

UCZNIOWIE HIPPOKRATESA

AŁBENA GRABOWSKA

DOKTOR ZOSIA

MARGINESY



AUTORKA STULECIA WINNYCH I MATEK I CÓREK

**AŁBENA
GRABOWSKA**

UCZNIOWIE HIPPOKRATESA

DOKTOR ZOSIA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

Kazimierz Funk (1884–1967)

Rozdział I

Rudolf Albert von Kölliker (1817–1905)

Rozdział II

Frederick Grant Banting (1891–1941)

Rozdział III

John Hughlings Jackson (1835–1911)

Rozdział IV

Alois Alzheimer (1864–1915)

Rozdział V

Sigmund Freud (1856–1939)

Rozdział VI

Alexander Fleming (1881–1955)

Rozdział VII

Biogramy

Przypisy

Wydawca ADAM PLUSZKA
Opieka redakcyjna ZESPÓŁ
Redakcja WERONIKA NAJDER
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych ANNA POL
Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura**
Koordynatorka produkcji PAULINA KUREK

Copyright © by Ałbena Grabowska
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Warszawa 2022
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67406-60-4

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

WSTĘP

Przedstawiam Wam trzeci, ostatni już tom *Uczniów Hippokratesa*, cyklu powieściowego, w którym połączyłam swoją wiedzę medyczną z warsztatem pisarskim i w który włożyłam całe swoje serce, tak aby jak najpełniej opowiedzieć o historii medycyny na ziemiach polskich. *Doktor Zosia* jest hołdem złożonym zapomnianym dziś bohaterom, którzy gdyby nie wojenna zawierucha, zostaliby uhonorowani prestiżowymi nagrodami, dostąpiliby zaszczytów albo przynajmniej zyskaliby status światowych autorytetów medycznych tamtych czasów. W ten sposób składam wyrazy szacunku tym, którzy w czasie wojny nieśli ludziom pomoc, narażając życie własne oraz swoich rodzin. Chciałam też oddać cześć medykom, którzy za swoją działalność lekarską zostali rozstrzelani, wywiezieni do obozów koncentracyjnych lub zamordowani w Katyniu.

Akcję powieści umieściłam w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie, nieistniejącym już szpitalu wojskowym, zbombardowanym przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego. Rozkwit szpitala, rozwój klinik i doskonalenie się pracujących tam lekarzy i lekarek przypadają na dwudziestolecie międzywojenne. Ten piękny czas, łaskawy dla kultury, był także niezwykle produktywny dla polskiej nauki.

Podobnie jak w dwóch poprzednich tomach cyklu, opowieść fabularną przetykam prawdziwymi historiami, tak aby czytelnik mógł jak najlepiej i najpełniej zrozumieć, z czym borykała się medycyna tamtych czasów i jakich odkryć dokonywali ówczesni lekarze klinicyści oraz naukowcy, którzy zdobywali wiedzę, patrząc w mikroskop bądź obserwując szalkę laboratoryjną. W tej książce poznamy historię: Rudolfa Alberta von Köllikera (histologa i embriologa), Aloisego Alzheimera (psychiatry i neuropatologa), Alexandra Fleminga (bakteriologa i lekarza), Fredericka Granta Bantinga (fizjologa), Johna Hughlingsa Jacksona (neurologa) oraz

polskiego naukowca Kazimierza Funka. Niektórzy z nich, jak Fleming czy Banting, zostali docenieni za życia i uhonorowani najbardziej prestiżowym wyróżnieniem – Nagrodą Nobla. Inni, jak chociażby odkrywca witamin Kazimierz Funk, chociaż na nią zasłużyli – nie otrzymali jej.

W części fabularnej występuje wielu bohaterów autentycznych, których wymieniam z imienia i nazwiska. Są to nie tylko lekarze, lecz także artyści, inżynierowie, żołnierze, powstańcy i zwykli ludzie. To ledwie ułamek z tych, którym pragnęłam złożyć hołd. Wśród nich chciałabym wyróżnić trzy osoby: Marię Werkenthin (pierwszą kobietę radiolog, która została ordynatorem), Witolda Zawadowskiego (jednego z najwybitniejszych polskich radiologów) oraz Zofię Garlicką (pierwszą kobietę ginekolog, która została ordynatorem), troje wybitnych lekarzy, z których tylko profesor Zawadowski przeżył wojnę. Doktor Werkenthin oraz doktor Garlicka zostały zamordowane w Auschwitz.

I wreszcie podziękowania:

Dziękuję wydawcy *Uczniów Hippokratesa* – wydawnictwu Marginesy, które aktywnie wspiera moją misję opowiadania o lekarkach i lekarzach.

Dziękuję wszystkim, którzy podzielili się ze mną opowieściami o wojnie i życiu ludzi pod niemiecką okupacją. Dziękuję tym, którzy powierzyli mi historię własnych ojców, dziadków oraz przyjaciół. Przede wszystkim jednak dziękuję panu doktorowi Krzysztofowi Królikowskiemu, prezesowi Stowarzyszenia dawnego Szpitala Ujazdowskiego, który pewnego wiosennego dnia zaprosił mnie na wycieczkę po Ujazdowie i przekonał do tego, żeby akcję trzeciego tomu *Uczniów Hippokratesa* osadzić właśnie tam. Przez cały czas pracy nad powieścią służył mi wszelkimi materiałami, wiedzą, doświadczeniem oraz czasem, aby moja opowieść była jak najpełniejsza i najprawdziwsza. Z całego serca dziękuję.

Dziękuję także Wam, Czytelniczki i Czytelnicy. Gdyby nie Wy, nie powstałaby powieść o doktorze Bogumile, który jako jeden z pierwszych lekarzy w Polsce zrozumiał, czym są aseptyka i znieczulenie okołoporodowe, o doktor Annie Tomaszewicz-Dobrskiej, pierwszej polskiej

dyplomowanej lekarce, i o doktor Zosi Gorazdowskiej, której działalność lekarska przypadła na czas wojny.

Dziękuję i zapraszam do lektury.

Kazimierz Funk

1884–1967

Kazimierz nie cierpiał leczenia, któremu go tu poddawali. Dałby wszystko, żeby opuścić sanatorium i wrócić do domu, do rodziców, nawet za cenę bycia kulawym do końca życia. Matka i ojciec stwierdzili jednak, że dysplazja biodra to groźna przypadłość, i wysłali go do Niemiec, do tego ślicznego miasteczka, do sanatorium, gdzie czuł się bardziej samotny, niż chciał się do tego przyznać. Ojciec był lekarzem, zajmował się chorobami wenerycznymi. Chłopiec lubił podglądać jego pacjentów. Najbardziej fascynowali go syfilitycy, którzy przychodzili do ojca ukradkiem, często po zmierzchu, i zasłaniali twarze maskami. Ojciec zabraniał mu wtedy wyściubiać nosa ze swojego pokoju, a dla Kazimierza to był sygnał, że warto podglądać tych ludzi przez dziurkę od klucza.

– Jesteś Niemcem! – Wysoki chłopiec wycelował w niego palec.

– Jestem Polakiem – odpowiedział spokojnie Kazimierz.

Chłopiec prychnął i odszedł. Kazimierz popatrzył za nim. Takich jak on było tu kilkunastu. Zwykle z chorobami kości, mięśni lub stawów. Kazano im się wygrzewać na słońcu i dobrze ich karmiono.

„Jedziesz do Niemiec, do sanatorium” – powiedział Kazimierzowi ojciec, a mama rozplakała się i całowała go raz za razem w czoło. „Pamiętaj, że jesteś Polakiem. Chociaż jedziesz do Niemiec”. Zapamiętał te słowa.

– Dlaczego tak powiedziałaś? – spytała Elsa, śliczna błękitnooka dziewczynka, która cierpiała na powikłania po gruźlicy kości. Jedną nogę miała całą zagipsowaną i nie wolno jej było na niej stawać.

– Bo to prawda. – Wzruszył ramionami. – Rodzice przysłali mnie tu na krótko. Wyzdrowieję i wracam do Polski.

– Twojej Polski nie ma – odważyła się powiedzieć Elsa. – A skoro nie ma Polski, to musisz być Niemcem.

Spojrzał na nią niechętnie.

– Nigdy nie będę Niemcem – rzucił stanowczo, po czym wstał i poszedł do pawilonu z książkami, gdzie znalazł tom o przygodach kapitana Nemo i zatopił się w lekturze.



– Czemu nie chciał pan zostać lekarzem? – zapytał Kazimierza profesor Stanisław Kostanecki, kiedy po ukończeniu chemii na uniwersytecie w Bernie młodzieniec oświadczył swojemu mentorowi, że pragnąłby pozostać na uczelni i prowadzić badania nad estrogenami.

– Nie interesuje mnie praca z pacjentami – odpowiedział szczerze Kazimierz. – Chcę się zająć ludzką fizjologią wyłącznie teoretycznie. Być może moje dokonania wpłyną na medycynę bardziej, niż gdybym biegał ze stetoskopem.

– Czyli studiowanie biologii w Genewie panu nie wystarczyło?

Kazimierz pokręcił głową.

– Pragnę zajmować się chemią. To jest przyszłość.

Profesor roześmiał się.

– Pański ojciec jest lekarzem, prawda?

– Tak – potwierdził Kazimierz. – Dermatologiem i wenerologiem.

– Może dlatego nie chciał pan kontynuować jego dzieła – uznał dobrotliwie Kostanecki. – Mój był anatomem i cytologiem. Zabrał mnie na pokazową sekcję, kiedy byłem bardzo mały. Zobaczyłem wtedy ludzkie zwłoki i przeraziłem się. Nie tyle trupa, ile tego, że to mój ojciec sprawił, że ten nieszczęśnik leżał na stole z wypatroszonymi wnętrznościami.

– Doskonale pana rozumiem, profesorze – powiedział Kazimierz. – Mój ojciec był zafascynowany zmianami skórnymi. Miałem wrażenie, że po raz

pierwszy zauważył, że istnieję, kiedy na mojej twarzy pojawił się silny trądzik młodzieńczy.

Profesor znów się roześmiał.

– Chce pan zatem zająć się flawonoidami, estrami i tłuszczami? – spytał.

– Bo podczas studiów interesowało pana chyba wszystko, co można zsyntetyzować. Pora, żeby wybrał pan specjalizację, określił temat, którym zajmie się pan w swoim doktoracie.

– Chcę badać hormony – odpowiedział Kazimierz, czym zdumiał profesora. – Ściślej rzecz ujmując, żeńskie hormony płciowe. Estrogeny.

– To coś nietypowego. – Profesor pokiwał głową z uznaniem. – Zatem przyjmuję pana do pracy. Widzę w panu potencjał, a rzadko się mylę.

Kazimierz Funk uklonił się. Profesor był promotorem około stu pięćdziesięciu doktorantów i słynął z ogromnej pracowitości. Można zaryzykować twierdzenie, że w każdym młodym naukowcu chętnym do pracy badawczej widział potencjał. Kazimierz docenił jednak jego słowa.

– I jeszcze jedno. – Stanisław Kostanecki zatrzymał Kazimierza. – Obaj jesteśmy Polakami na obcej ziemi. Nie mamy własnej ojczyzny, ale mamy tożsamość. Cieszę się, że możemy rozmawiać po polsku. Niech pan nigdy nie da sobie tego odebrać.



Kilka lat później, kiedy Kazimierz przeprowadził syntezę estrogenu, otrzymał propozycję z Paryża. Miał dwadzieścia lat, doktorat z chemii i wielkie ambicje. Zaczął pracę w Instytucie Pasteura. Spędził tam jednak tylko dwa lata, ponieważ później zaproponowano mu posadę w Berlinie, w Katedrze Chemii Organicznej tamtejszego uniwersytetu. Nie wahał się ani chwili. Spakował swoje rzeczy i pojechał w nieznane. W Berlinie też nie zagrzał miejsca – po zaledwie czterech latach znalazł się w Londynie. Propozycja z Instytutu Medycyny Zapobiegawczej wydawała mu się kusząca. Wreszcie mógł wykorzystać swoją wiedzę w służbie prawdziwym

pacjentom. Do profesora Kostaneckiego, który pozostał jego przyjacielem i mentorem, pisał:

Zajmuję się obecnie chorobą beri-beri. Dla tych badań porzuciłem Londyn, chociaż to tam, w trakcie analizy diety psów, skonstatowałem, że pewne niezbędne do życia substancje są syntetyzowane przez zwierzęta, a w ludzkich organizmach nie występują naturalnie. Pies może całe życie jeść tylko mięso albo różne ochłapy, a nie zapadnie na szkorbut, który nęka marynarzy po tym, jak wypływają w rejs. Szukam zatem substancji, która utrzymuje dziąsła w dobrym stanie, wytwarzanej przez organizm zwierzęcia. Człowiek musi ją pozyskiwać z zewnątrz. Podobną etiologię podejrzewam w przypadku krzywicy, tylko ta choroba dotyczy kości, więc musi chodzić o zupełnie inny czynnik niż przy szkorbutcie. To dopiero początek moich badań, ale wielce obiecujący. Beri-beri dziesiątkuje ludność Jawy, a ja przyglądam się dzieciom mieszkańców wyspy. Wygląda na to, że to brak pewnego składnika jest odpowiedzialny za objawy.

Kazimierz odłożył pióro i zastanowił się głęboko.

– To brak jakiejś cząsteczki w pożywieniu wywołuje niektóre choroby – powiedział głośno, po czym wrócił do analizowania zawartości składników pokarmowych w ryżu niełuskany oraz ziarnach, które zostały poddane obróbce.



– Brak niektórych substancji w pożywieniu powoduje choroby – zaczął wykład, który przygotował dla swoich pracodawców, a który był pokłosiem trzech lat jego pracy.

W sali konferencyjnej zapadła pełna niechęci cisza.

– Pana wnioski są dyskusyjne – przerwał mu dyrektor jego jednostki, doktor Tessler.

– Proszę pozwolić mi dokończyć – odpowiedział spokojnie Funk i odsłonił tablicę, na której wcześniej narysował wzór odkrytego przez siebie związku chemicznego. – Czy choćby zacząć – mruknął pod nosem

i kontynuował już głośno: – Przez ostatnie lata badałem chorobę beri-beri. Na początek krótko omówię jej objawy.

Usłyszał kilka chrząknięć. Wyjął zdjęcia osób dotkniętych omawianą przypadłością i ułożył je na stole. Żaden z obecnych nie wyciągnął ręki po zdjęcie, aby obejrzeć je z bliska.

– Beri-beri ma dwie postaci – powiedział Funk. – W typie suchym dominują objawy mózgowo, a w mokrym przeważają zmiany w układzie sercowo-naczyniowym. Niezależnie od typu choroby pacjenci cierpią na stopniowy zanik mięśni, przede wszystkim nóg, osłabienie czucia w stopach i rękach oraz postępujący paraliż mięśniowy. Wraz z postępem choroby pojawiają się obrzęki całego ciała, duszności, kołatanie serca, biegunka, wreszcie chorzy umierają. Opisano także postać piorunującą, w której w krótkim czasie dochodzi do uogólnionych obrzęków i niewydolności prawej komory serca.

Wskazał na wzór chemiczny narysowany na tablicy.

– To tiamina. Właśnie jej niedobór jest przyczyną beri-beri. Nazwałem tę cząstkę witaminą B. Jej źródłem są: mięso wieprzowe, orzechy i niektóre owoce egzotyczne. Przede wszystkim jednak jest obecna w otrębach ziaren ryżu. Wyekstrahowałem tę substancję. Po podaniu jej chorym objawy ustępują. Co więcej, nie można jej przedawkować, gdyż nadmiar witaminy jest wydalany z moczem, a ona sama słabo się wchłania z przewodu pokarmowego. Dlatego lepiej stosować ją w postaci zastrzyków domięśniowych.

– Podawano tę... tiaminę chorym?

Kazimierz Funk zwrócił się do pytającego:

– Nawet w postaci piorunującej choroby, po jednorazowym podaniu witaminy B objawy cofają się, a stan chorego poprawia się natychmiast.

– Witamina? – usłyszał czyjś drwiący głos.

– Tak. Połączyłem słowa *vita*, które po łacinie oznacza „życie”, i „amina”, gdyż owa życiodajna substancja, zawiera grupę aminową. –

Pokazał to na rysunku. – Co więcej, niedobór substancji zaliczanych do tej grupy chemicznej nazwałem awitaminozą.

– Zanegował pan eksperyment Eijkmana – odezwał się zastępca dyrektora instytutu.

Kazimierz Funk przełknął ślinę. Christiaan Eijkman był holenderskim uczonym, który badał chorobę beri-beri na wyspie Jawa na długo przed nim. Zauważył, że choroba występowała u kurczaków karmionych przez dłuższy czas resztkami ryżu z kontyngentu wojskowego – miały one osłabienie mięśni i drżenie kończyn. Po zmianie pokarmu objawy natychmiast ustępowały. Eijkman przeanalizował dietę miejscowych ludzi i skonstatował, że opierała się na łuskanym i polerowanym ryżu. Wystarczyło podać chorym czarny, niełuskany ryż, uchodzący za gorszy, a zdrowieli. Eijkman doszedł do wniosku, że beri-beri nie jest chorobą krwi. Do tego momentu jego wnioski były słuszne. Ale błędnie uznał jej etiologię za bakteryjną.

Kazimierz Funk nie zgadzał się z Eijkmanem. Nie znał choroby zakaźnej, która cofałaby się w wyniku diety. Powtórzył zatem eksperyment na gołębiach. Część z nich karmił łuskanym ryżem, pozostałym podawał ryż pełnoziarnisty. Po kilku miesiącach u gołębi z pierwszej grupy rozwinęły się objawy choroby beri-beri, podczas gdy grupa karmiona niełuskanym ryżem pozostała zdrowa. Funk zaczął karmić niełuskanym ryżem chore gołębie i w ciągu kilku dni objawy zaczęły się cofać. To wtedy zrozumiał, że choroba bierze się z niedoboru. Zaczął badać otręby ryżowe i odkrył substancję, której brak generował objawy. Zwierzętom doświadczalnym podał wtedy nie ryż, a wyizolowaną tiaminę. Zaobserwował natychmiastowe ustępowanie symptomów choroby. Wszystko skrupulatnie opisał i udokumentował zdjęciami. Teraz powinien opublikować swoje odkrycie. Nie mógł jednak tego zrobić bez poparcia kierownictwa instytutu, w którym pracował.

– Słyszeliśmy, że zamierza pan opublikować te rewelacje w literaturze – odezwał się ktoś inny kpiącym głosem.

– Tak – odpowiedział niezrażony. – Przygotowałem wszelkie materiały. I mam nadzieję, że uzyskam panów poparcie.

Ponownie rozległy się chrząknięcia. Funk powstrzymał się przed otarciem potu z czoła. Konflikt z Eijkmanem nie przysłużył się jego badaniom, ale Kazimierz dowiódł swoich racji w kilku wygranych polemikach, a teraz chciał swoje odkrycie obwieścić światu.

– Obecnie nad chorobą beri-beri pracuje doktor Adolphe Vorderman – odezwał się ponownie dyrektor Instytutu Listera lodowatym tonem. – Z jego publikacji wynika, że przyczyną choroby jest łuskany ryż skażony nieznaną substancją albo nieznaną bakterią.

Kazimierz Funk poczuł złość.

– Jestem gotów podzielić się swoimi doświadczeniami z profesorem Eijkmanem i doktorem Vordermanem – powiedział, siłąc się na spokój. – Jestem przekonany, że uznają moją rację. Mogę to zrobić przed opublikowaniem materiału w literaturze medycznej. Potrzebuję tylko panów zgody.

Przez salę przeszły szepty. Dyrektor pochylił się w kierunku swojego zastępcy i powiedział coś cicho. Ten wykrzywił wargi w uśmiechu.

– Nie wyrażamy zgody – usłyszał w końcu. – Nie uznajemy podstaw naukowych pana, pożałuj się Boże, odkrycia.

Pierwszy opuścił pomieszczenie dyrektor, po nim wyszli pozostali. Kazimierz stał sam w pustej sali wykładowej. Poczł dławiący żal. Czy ma wyrzucić do kosza kilka lat owocnej pracy? Nie, nie może się na to zgodzić, postanowił w duchu, a potem wyszedł z Instytutu Listera na deszczową londyńską ulicę.



– Niepojęta ignorancja! – wykrzyknął Ludwik Rajchman, redaktor naczelny „The Journal of State Medicine”. – To doskonały materiał. Pana badania są przełomowe.

Kazimierz Funk spojrział na gruby plik gęsto zapisanych kartek oraz zdjęć, owoc swoich wieloletnich badań nad tiaminą i jej związkami z chorobą beri-beri. Żaden naukowiec na świecie nie mógł mu zarzucić, że nie dość dobrze zbadał problem. Co więcej, Eijkman w międzyczasie porzucił koncepcję toksyczną jako przyczynę beri-beri. Tylko patrzeć, jak inni zsyntetyzują tiaminę i ogłoszą swoje odkrycie w literaturze.

– Moi pracodawcy nie zgadzają się, abym opublikował własne badania – powtórzył. – Sprzeciwiają się szczególnie określeniu „witaminy”. A ja chcę podzielić się ze światem swoim odkryciem. Co więcej, rozpocząłem już prace badawcze nad innymi witaminami. Takich cząstek, które regulują pracę wszystkich układów w organizmie człowieka, jest więcej. To z ich niedoborów biorą się szkorbut, krzywica, pelagra... – zaczął wyliczać.

– Czy jest pan gotowy odejść z pracy? – spytał go Rajchman.

Funk pokiwał głową. Odejście z pracy było nieuniknione, ale nie rozwiązywało jego problemów. Materiał badawczy stanowił niejako własność Instytutu Listera. Jego szefowie mogli zablokować publikację, a on, odchodząc z pracy, robił im tym samym wyłącznie przysługę. Sytuacja wydawała się więcej niż trudna.

– Mam pewien pomysł – powiedział w końcu Rajchman i dodał: – Jeśli nie można być lwem, trzeba być lisem.

– Jak to? – Kazimierz nie zrozumiał, co jego rozmówca ma na myśli.

– Drogi doktorze Funk – Rajchman uśmiechnął się szelmowsko – musi mieć pan zgodę władz Instytutu Listera na to, aby opublikować pracę eksperymentalną.

– W tym właśnie problem... – zaczął Kazimierz, ale profesor nie pozwolił mu dokończyć.

– Na opublikowanie pracy pogładowej nie potrzebuje pan żadnej zgody – oznajmił, a widząc, że Kazimierz nie jest do końca przekonany, dodał: – Niech pan opisz witaminę w pracy pogładowej. Wszystko, po kolei, co pan odkrył. Budowę tych związków, funkcje, pokarmy, w których są obecne, dietę powodującą choroby, żywność, którą należy spożywać, aby zapobiegać objawom, oraz to, co należy podawać w przypadku wystąpienia

choroby. Wszystko, co pan zbadał. A ja to opublikuję w „The Journal of State Medicine” i nikt mi w tym nie przeszkodzi.

– Jeśli opiszę badania, w Instytucie Listera zarzucą mi, że to praca eksperymentalna.

Rajchman pokręcił głową.

– Praca eksperymentalna zawiera cel, materiał, metodę, dyskusję, wyniki i wnioski. Szczególnie metoda badawcza stanowi sedno takiej pracy. W przypadku pana badań byłby to opis dwóch grup gołębi karmionych ryżem łuskanym i niełuskanym et cetera. A praca pogładowa to kompendium wiedzy na dany temat. I taki artykuł właśnie pan przygotowuje. Opisz pan wszystko, co wie o witaminach. To nic, że wiedzę czerpie pan z własnych badań.

– To byłoby wspaniałe rozwiązanie – powiedział Kazimierz, głęboko wdzięczny wydawcy za pomoc. – Nie uchroni mnie to przed utratą etatu, ale nie muszę mieć zgody na publikację od kierownictwa Instytutu Listera. Świetnie! Zabieram się do pracy.



Kazimierz spojrział przez okno na zamgloną ulicę Warszawy.

– Polska. Wreszcie Polska. Tu jest nasze miejsce – powiedział do żony.

Alix Denise uśmiechnęła się. Przypomniała sobie słowa, które wypowiedział jej mąż po narodzinach ich syna.

– Będzie nazywał się Jan Kazimierz. Chciałbym, żeby miał polskie imię, bo któregoś dnia wrócimy do ojczyzny.

Kiedy się poznali, miała zaledwie dziewiętnaście lat. On, chociaż tylko o dziewięć lat od niej starszy, był już znanym uczonym. Przedstawił ich sobie znajomy Alix. Onieśmielony urodą dziewczyny, Kazimierz powiedział coś niepoprawnie po angielsku, a ona zaczęła się śmiać z jego zabawnej pomyłki.

– Dlaczego się pani śmieje? – spytał nieco urażony. – Jestem Polakiem – usprawiedliwił się, kiedy wyjaśniła mu przyczynę swojego rozbawienia. – Długo pracowałem w Londynie, wcześniej przebywałem w Szwajcarii i Berlinie.

– Ja jestem Belgijką – powiedziała. – Oboje jesteśmy tu obcy.

– Kiedy pracuję, nie czuję się obco. Dopiero wtedy, kiedy ktoś wypomina mi moje pochodzenie albo krytykuje akcent.

Powiedział to bez złości, ale poczuła się źle, że sprawiła mu przykrość. Sięgnęła po kieliszek szampana.

– Pan nie pije? – spytała, kiedy podziękował kelnerowi.

– Alkohol szkodzi – powiedział i uciekł wzrokiem.

– Pierwsze słyszę – stwierdziła. – Na co niby miałyby szkodzić?

– Przyczynia się do usuwania z organizmu pewnych ważnych dla zdrowia związków – wyjaśnił, a zauważywszy jej zdumioną minę, dodał: – Jestem biochemikiem. – I przez ponad godzinę opowiadał jej o swoich badaniach, a ona słuchała jak zaczarowana.

Po krótkim narzeczeństwie wzięli ślub, a niespełna rok później urodził się ich syn. Nie mieli łatwego życia, przynajmniej na początku. W Nowym Jorku Kazimierz pracował w Laboratorium Badawczym Harrimana. Warunki pracy były złe, płacę dostawał nieregularnie i często nie starczało im na najpotrzebniejsze rzeczy. Kazimierz nieomal przyplącił to zdrowiem, bo za nic nie chciał przyjąć rodzinnych pieniędzy Alix. Nie zgadzał się także, aby poszła do pracy. Na szczęście jego talent i możliwości dostrzegł ktoś z firmy farmaceutycznej Metz & Co. Alix żartowała, że rok 1917, moment przejścia Kazimierza do koncernu farmaceutycznego, oznaczy złotymi literami i oprawi kalendarz w ramki. Wreszcie mogli przenieść się do nowego, większego mieszkania. Kazimierz osiągał kolejne sukcesy. Doprowadził do masowej produkcji swoich witamin. Odkrył, że w wątrobie niektórych ryb morskich znajduje się witamina A. Dzięki jego pracy koncentrat witaminowy z wątroby dorsza można było kupić w każdej drogerii. Udzielał niezliczonych wywiadów, w których tłumaczył, jak ważne jest zapobieganie chorobom. Jego słowa zyskały uznanie w kręgach

politycznych, bo podnosił aspekt ekonomiczny medycyny prewencyjnej. „Najdroższe jest leczenie skutków choroby”, mawiał. „Zapobieganie tylko wydaje się drogie”. Alix podziwiała męża, a kiedy firma, w której pracował, zaczęła produkować syntetyczną adrenalinę, kobieta nie posiadała się ze szczęścia, chociaż Kazimierz mówił, że to przecież nie jego zasługa – że „nadnerczynę” opisał i wyekstrahował wybitny polski uczoney Napoleon Cybulski, i to już w 1895 roku.

Najbardziej imponowała Alix miłość Kazimierza do ojczyzny. Pracował w tyłu miejscach, po amerykańskich sukcesach świat stał przed nim otworem, ale on wciąż czekał, aż będzie mógł wrócić do niepodległej Polski, o której opowiadał tak, jakby była rajem na ziemi, chociaż spędził w niej stosunkowo niewiele czasu. Gdyby Kazimierz przyjął wielokrotnie proponowane mu obywatelstwo niemieckie, jego kariera naukowa nabrałaby jeszcze większego rozpędu. Ale on nie chciał zdradzić swojej ojczyzny.

– Co teraz? – spytała.

Uśmiechnął się do niej.

– Spędzimy tu trochę czasu – powiedział i pocałował ją w czoło. – Ludwik Rajchman we mnie wierzy. To dzięki jego staraniom otwarto w Warszawie Państwowy Zakład Higieny i to on uparł się, żebym został kierownikiem Zakładu Biochemii. Pozyskał środki, znalazł dla nas mieszkanie.

– I jesteśmy – odpowiedziała z zadumą w głosie.

– Gdyby nie Rajchman, który opublikował moją pracę, moja kariera skończyłaby się, zanim się zaczęła – powiedział łagodnie.

Znała tę historię. Instytut Listera zabronił Kazimierzowi publikacji jego badań, a Rajchman wydrukował je jako pracę opisową. Niedługo potem niemieckie wydawnictwo opublikowało *Die Vitamine*, gdzie bibliografia liczyła kilkaset pozycji. Wkrótce książkę przetłumaczono na liczne języki. Kazimierz zastanawiał się, czy w Instytucie Listera zapoznano się z jego publikacją. To właśnie Alix w nim kochała – tę jego skromność. Był wielkim naukowcem, po sukcesach w Stanach Zjednoczonych biły się

o niego największe firmy farmaceutyczne, a laboratoria naukowe oferowały mu ogromne sumy za to, żeby stanął na czele ich zespołów badawczych. Wreszcie, w 1923 roku, Kazimierz otrzymał obywatelstwo amerykańskie. I wtedy przyszła propozycja z niepodległej Polski. Ludwik Rajchman, dobroczyńca Funka i wydawca, autor jego sukcesu, pragnął, aby Kazimierz wrócił i stworzył zespół badawczy w Warszawie. Każdy inny by odmówił, ale nie mąż Alix. Pozałatwił swoje sprawy, pożegnał się ze współpracownikami, wydał przyjęcie pożegnalne dla przyjaciół, a potem razem z Alix, małą Doriane i dziewięcioletnim Janem Kazimierzem wsiedli na statek.

– Być może tu wrócę – powiedział Kazimierz na odchodne.



– Skąd pomysł, żeby stworzyć Państwowy Zakład Higieny? – spytał Kazimierz Rajchmana.

– Pamięta pan, profesorze, naszą rozmowę na temat prewencji? Wtedy wydawało mi się, że pana zalecenia to przesada, fanaberia. Coś jak *primum non nocere*, tylko ze strony pacjenta. Ale miał pan rację.

– Cieszę się, że to słyszę. – Ukłonił się. – I jestem gotowy stanąć na czele Zakładu Biochemii Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie.

Rajchman podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

– Przez te wszystkie lata śledziłem pańską karierę i muszę się przyznać, że mieliśmy rację. Świat wreszcie przyjął do wiadomości, że witaminy istnieją i są niezbędne dla zdrowia.

– Świat jest oporny na wiedzę – powiedział Funk z głębokim westchnieniem. – A kiedy już ją akceptuje, to zamiast ją rozwijać, zaczyna wydziwiać.

Rajchman pokiwał głową.

– Mówi pan o nazewnictwie?

– Tak, o nazewnictwie – potwierdził naukowiec. – Nazwałem odkrytą przez siebie substancję witaminą, ponieważ zawiera w cząsteczce grupę aminową. W 1916 roku Elmer McCollum napisał do mnie w tej sprawie, a potem opublikował w piśmiennictwie obszerną pracę na temat witamin. Zaproponował, żeby cząstki rozpuszczalne w tłuszczach nazwać witaminą A, a dla substancji rozpuszczalnej w wodzie, leczącej beri-beri, zaproponował nazwę „witamina B”. Uznałem to za bardzo dobry pomysł. Skoro mówimy o nazewnictwie, to wydawało mi się, że fakt zasadniczy, czyli skuteczność witamin w leczeniu pewnych chorób, jest bezsporny. A jednak się myliłem.

– Zgadza się, że „dodatkowe czynniki pokarmowe” to nie jest najszcześniejsza nazwa – wtrącił Rajchman. – Ale przy jej tworzeniu brano pod uwagę kwestie biochemiczne.

Funk skrzywił się.

– Tak, witamina jest określeniem nieprecyzyjnym. Tak się złożyło, że odkryta przeze mnie cząsteczka okazała się akurat aminą, podczas kiedy pozostałe to kwasy, zasady...

– I tak wszyscy stosują pańską nazwę – pocieszył go Rajchman. – Mamy już opisaną witaminę C.

– A moja witamina B ma cyferkę jeden, ponieważ znamy już jej pochodne: witaminy B₂ i B₆.

– B₆? – zdziwił się Rajchman.

– Pirydoksynę. – Kazimierz Funk pokiwał głową. – Ma ogromne znaczenie w transporcie żelaza przez krew. Jej niedobory wywołują objawy ze strony układu nerwowego, podobnie jak pozostałe witaminy z grupy B. Jeszcze w Londynie zacząłem badania nad pelagrą. Pisałem w tej sprawie do Paula Györgya i przesłałem mu swoje obserwacje. Wydaje mi się, że choroba czarnego języka może być leczona właśnie pirydoksyną.

Rajchman nie miał wątpliwości, że Kazimierz Funk się nie myli. Nie znał bardziej przenikliwego naukowca.

– Możemy spodziewać się odkrycia witamin B₃, B₄ i B₅?

– Pewnie tak, Williams i Waterman badają obecność witaminy B₃ w drożdżach piwnych. Leczą w ten sposób wywołane zapalenie mózgu u gołębi. Z kolei witamina B₄ podobno zapobiega specyficznemu zapaleniu mózgu u szczurów, ale tu badania posuwają się bardzo powoli i wedle mojej oceny wkrótce zostaną zarzucone.

– I wszyscy badacze używają określenia „witamina”? – dociekał Rajchman.

– Tak, chociaż nawet Polacy usiłowali zmienić tę nazwę. Ale termin „życiany” jakoś się nie przyjął – odparł Kazimierz z przekąsem. – Podobnie nie powiodła się próba zmiany formy na męską: „witamin”. Cóż za pomysł... A odkrycie witaminy C jest naprawdę doniosłym wydarzeniem. Sam zacząłem w Londynie badania nad szkorbutem, ale to Frølich i Holst wywołali szkorbut u świnek morskich i wyleczyli go kwasem askorbinowym.

– A wystarczyło przypomnieć sobie mądrości ludowe, które nakazywały leczenie gnilca kapustą kiszoną – dodał Rajchman.

– Gdy ktoś już dokona takiego przełomowego odkrycia, to każdy jest mądry. – Kazimierz Funk zaśmiał się. – Napoleon Cybulski latami pracował nad nadnerczyną, ja w Ameryce doprowadziłem do jej produkcji masowej.

– Teraz będzie pan syntetyzował insulinę – stwierdził z zadowoleniem Rajchman.

– Moim celem jest produkcja przemysłowa. – Naukowiec pokiwał głową. – Muszę opracować biochemiczną linię technologii. Odkrycie insuliny jest niezwykle ważne. Właśnie przyznano za to Nagrodę Nobla^[1].

– Równie ważne jest pańskie odkrycie – powiedział Rajchman.

Kazimierz Funk lekceważąco machnął ręką.

– Nie, nie... – odpowiedział. – Cukrzyca to straszna choroba. Dzieci, które na nią cierpią, chociaż przestrzegają specjalnej diety, umierają kilka lat po diagnozie. Beri-beri jest o wiele rzadszym schorzeniem, a cukrzyca

dotyczy milionów młodych ludzi na całym świecie. Najlepszy dowód, że Nagrodę Nobla przyznano niespełna rok po odkryciu insuliny.

– Słyszałem o jakichś kontrowersjach wokół nagrody.

Kazimierz spojrział na niego uważnie.

– To nie kontrowersje, tylko zwykła ludzka przyzwoitość ze strony Bantinga. Jego asystent Best pracował razem z nim, właściwie to on zauważył, że psy pozbawione części wyspowej trzustki nie wydzielają substancji eliminującej cukier z moczu. Ale Zgromadzenie Noblowskie go pominęło. Uehonorowano tylko Bantinga i jego zwierzchnika, Macleoda. I Banting, proszę sobie wyobrazić, podzielił się nagrodą finansową z asystentem.

– Zachowanie godne pochwały – stwierdził Rajchman. – Pan także kiedyś otrzyma to wyróżnienie, profesorze. Już kilkakrotnie pana nominowano.

Kazimierz Funk zamyślił się.

– Byłoby to ukoronowanie mojej pracy – oznajmił. – A i pieniądze nie byłyby bez znaczenia.



Alix rozejrzała się po paryskim apartamencie.

– Kazimierzu – powiedziała gorzko. – Gdyby ktoś mi powiedział, że będę z tobą prowadziła koczownicze życie, nie wiem, czy zdecydowałabym się ciebie poślubić.

Kazimierz wiedział, że żona wcale nie czyni mu wyrzutów. Jej słowa jedynie trafnie podsumowywały ich tryb życia.

– Widocznie taki mój los, kochanie... – powiedział, po czym usiadł obok żony i objął ją ramieniem. – Będzie nam tu dobrze. A Jan może studiować na Sorbonie.

– Myślałam, że zostaniemy w Polsce – odezwała się.

– Kontrakt z Państwowym Zakładem Higieny wygasł, a propozycja z Francji była naprawdę atrakcyjna – tłumaczył.

Wiedziała o tym, ale nie podobało jej się, że znów muszą wyjechać. Ich syn był coraz starszy, miał w szkole kolegów, Doriane Jacqueline chodziła do polskiej szkoły. Alix chciała gdzieś zapaść korzenie, spokojnie patrzeć, jak dzieci dorastają.

– Zobacz, ile dobrego można zrobić, szerząc wiedzę o zapobieganiu. – Kazimierz pocałunkiem w czoło wyrwał żonę z zamyślenia. – Chyba że ty także uważasz, że moda na zdrowy styl życia jest mało odkrywczą.

Alix przytuliła się do niego.

– Nie – wyszeptała. – Ogromnie podziwiam twoją pracę. Badasz nowe witaminy, dzielisz się wiedzą, w jakich pokarmach można je znaleźć... To ważne. Ale wtedy, kiedy tak ciężko zachorowałeś...

Kazimierz pogłaskał żonę po głowie.

– Moja praca wiąże się z podróżami. Zapalenie płuc niejako zawdzięczam samemu sobie. Poza domem źle się odżywiałem, osłabiłem odporność i stało się nieszczęście. Od lat przekonuję innych, jak ważne są zdrowy tryb życia i zbilansowana dieta, a sam tak się wtedy zaniedbałem. Ale było warto, kochanie.

Alix spojrzała na niego zdumiona.

– Jesteś jedynym znanym mi człowiekiem, który uważa, że zdobycie domu na przedmieściach Warszawy i dofinansowania od laboratorium są warte niemalże utraty życia!

– Przecież wiesz, że nie o to mi chodziło – próbował uspokoić wzburzoną żonę.

– Myślałam, że będziemy mieszkać w Warszawie, a ty będziesz czuwał nad produkcją swojej insuliny. Przecież kupiłeś aparaturę za własne pieniądze!

Roześmiał się.

– Grant Fundacji Rockefellera pokrył koszty samych badań. Nie żałuję, Alix. Dzięki naszym staraniom Polska jest trzecim producentem

przemysłowym insuliny. Spędziliśmy w mojej ojczyźnie pięć wspaniałych lat. Pora na kolejne doświadczenie.

Z trudem powstrzymała łzy napływające do oczu.

– Jak długo tu zostaniemy? – spytała.

Kazimierz uśmiechnął się łagodnie.

– Być może do końca życia, a może tylko do czasu, aż opracuję szczepionki, skończę badania nad witaminą B₁₂ i hormonami żeńskimi – odpowiedział szczerze. – Wtedy będę potrzebował nowych wyzwań.



Kazimierz Funk pracował we Francji przez dwanaście lat. Kiedy wybuchła druga wojna światowa, wrócił do USA i pozostał tam do końca życia. Zmarł w Nowym Jorku 19 września 1967 roku w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Był kilkakrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. Nigdy jej nie otrzymał. W 1927 roku nagrodą uhonorowano Christiaana Eijkmana i Fredericka Hopkina za odkrycie witaminy A. Zasługi Funka zostały pominięte, a jego nazwisko padło jedynie w laudacji.

ROZDZIAŁ I

w którym poznajemy Zosię Nibużankę, dziewczynę z dobrego domu, chociaż jej przyjsciu na świat towarzyszył skandal, i ze zdumieniem dowiadujemy się, że nie chce ona wychodzić za mąż, gdyż jest lekarzem i z tą profesją wiąże swoją przyszłość. Wprawdzie nie jest jej łatwo, bo wciąż jest na dorobku, ciotka wypomina jej „łaskawy chleb”, a mentor w szpitalu nie przyjmuje do wiadomości, że jest rok 1924, ale Zosia nie poddaje się i walczy o swoje miejsce na świecie i szacunek kolegów.

Zosia Nibużanka uśmiechnęła się do pani Borawskiej najgrzeczniejszym i najbardziej niewinnym ze wszystkich swoich uśmiechów. Kobieta nie dała się jednak zwieść.

– Hmm – chrząknęła i upiła spory łyk herbaty, którą Zosia zaparzyła osobiście, jako że nie było służącej. – Przejdźmy do rzeczy.

„Czyli do próby zeswatania mnie”, westchnęła w duchu dziewczyna i wyprostowała się na krześle.

– Umie panienka podać dobrą herbatę, to na początek coś – zauważyła stara dama, a Zosia ponownie pokiwała głową, aż jej niesforne jasne loki podskoczyły.

– I jak służby zabraknie z takich czy innych powodów, to panienka sobie poradzi do czasu, aż zgodzi odpowiednie osoby.

Zosia jeszcze raz kiwnęła głową, przywołując w pamięci energiczną Julcię. Julcia była służącą wujostwa Reszczyńskich, użyczaną Zosi z dobroci serca na dwa dni w tygodniu. Dawało to dziewczynie złudne poczucie, że ma kogoś do sprzątnięcia i zaparzania kawy oraz herbaty na wypadek odwiedzin znajomych, których nie miała, albo swatki, której nie chciała gościć.

– Dziękuję – odpowiedziała, bo chyba należało podziękować, a poza tym Zosia była więcej niż pewna tego, że poradzi sobie w każdej sytuacji.

Nauczyło ją tego smutne dzieciństwo, przy niezaradnym ojcu, bez matki, która odeszła przedwcześnie, a potem przy dziadku, który nie mógł ukryć rozgoryczenia, że losy jego jedynej córki tak źle się potoczyły. Długo nie mógł wybaczyć Zosi, że się urodziła, ponadto miał do niej żal, że nie była chłopcem. Lata młodości były dla dziewczyny łaskawsze, ale również wymagały od niej hartu ducha i niebywałej odwagi, aby wstąpić na studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie na wydziale lekarskim w tym czasie studiowało zaledwie dwadzieścia kobiet. Wreszcie Zosia zamieniła spokojny i cichy dom w Krakowie na klitkę przy ulicy Żelaznej w Warszawie, gdzie musiała liczyć każdy grosz i ciężko pracować. Nie narzekała jednak i znosiła bez słowa skargi wszelkie przeciwności losu, bo miała przed sobą jasno wytyczony cel.

Pani Borawska tymczasem nałożyła sobie na porcelanowy talerzyk kopiastą łyżeczkę konfitur poziomkowych, których słoik Zofia otworzyła z bólem serca, bo nie stać jej było na żadne słodczyce z cukierni. Owe konfitury, przywiezione z Krakowa, a podarowane Zosi przez Honorkę, starą służącą pamiętającą jeszcze „panieneczkę Marysię, tego kwiatuszka, który się zmarnował”, stanowiły jedyny deser, którym dziewczyna mogła wynagrodzić sobie trudy codziennego życia w Warszawie. Konfitury poziomkowe były czymś więcej niż zamkniętymi w słoiku słodkimi owocami – były wspomnieniem łąk, po których biegała jako dziecko, i lasów, w które lubiła się zagłębiać, wyobrażając sobie, że jest królewną uciekającą z wysokiej wieży, ściganą przez całą zgraję zbrojników nasłanych przez wrogów dziadka. Zosia racjonowała przysmak – pozwalała sobie na łyżeczkę konfitur przy niedzieli – i cierpiała teraz, widząc, jak rubinowe owoce znikają w szerokich ustach pani Borawskiej.

– Podziękujesz, jak ci dobrego męża znajdziemy. – Pani Borawska pokiwała głową, a Zosia tym razem się nie uśmiechnęła, tylko popatrzyła z rezygnacją na kobietę siedzącą naprzeciwko.

„Jeśli będę niewiele mówiła, może ją to zniechęci i sobie pójdzie”, pomyślała. Niestety nie miała pojęcia, że dobrą swatkę nie jest tak łatwo zniechęcić, że zawsze jest ona gotowa przekonać pannę do zamążpójścia

i ma w zanadru kilku kandydatów, z których każdy kolejny jest bardziej nieodpowiedni od poprzedniego.

– Słuchaj, turkaweczko, co ja tu dla ciebie mam – podjęła pani Borawska, kiedy wreszcie odsunęła od siebie talerzyk i wypila ostatni łyk herbaty. – Pan mecenas Andruszkiewicz, wdowiec, ale młody...

– Mecenas Andruszkiewicz ma pięćdziesiąt lat – przerwała jej Zosia ze zgrozą w głosie, nie zważając na to, że przerywać nie należy, zwłaszcza starszym i w domyśle mądrzejszym. – Nie jest młody. Jest bardzo stary!

– Jak na wdowca jest młody. Ty masz dwadzieścia dwa lata, on jest w sam raz dla ciebie – odparła pani Borawska, nie zwróciwszy uwagi dziewczynie, że weszła jej w słowo.

– Mecenas Andruszkiewicz ma córkę w moim wieku – zaprotestowała Zosia, ale zaraz się uspokoiła, bo uświadomiła sobie, że po pierwsze, nikt jej siłą przed ołtarz nie zaciągnie, a po drugie, dobrze знаła rodzinę Andruszkiewiczów i wiedziała, że mecenas to porządny człowiek, który ledwie rok temu owdowiał i ogromnie przeżywa śmierć ukochanej żony.

Kiedy ostatnio widziała go na jednym z przyjęć ciotki Reszczyńskiej, na które musiała uczęszczać, ponieważ „tak wypadało”, zamieniła z nim kilka słów i było jej go strasznie żal, bo od śmierci uroczej pani Andruszkiewiczowej postarzał się jakby o dziesięć lat i schudł tak, że Zosia ledwie go poznała. Nie wyglądał też na osobę chętną do ponownej żeniaczki. „I na pewno nic nie wie o zakusach pani Borawskiej”, pocieszyła się szybko w duchu. Przypomniała sobie także, że miała siedzieć cicho i czekać, aż swatka się podda i sobie pójdzie, więc znów spróbowała przybrać miły wyraz twarzy i postanowiła odzywać się tylko wtedy, kiedy będzie to bezwzględnie konieczne.

– Będiesz jej przyjaciółką i po trosze matką, zanim urodzisz własne dzieci – podsumowała sprawę starsza dama.

– Nie – sprzeciwiła się stanowczo Zosia, czym natychmiast złamała własne postanowienie. – Nie, tak nie może być. Mecenas Andruszkiewicz to... – Zawahała się. – Mecenas Andruszkiewicz to porządny, przemyły człowiek, który nigdy wobec mnie... Nigdy wobec mnie nie...

– Gdy miał żonę, świeć panie nad jej duszą, nigdy na ciebie nie patrzył w ten sposób – tłumaczyła jej cierpliwie pani Borawska.

– Teraz też nie patrzy – wykrztusiła Zosia. – Ja nie jestem dobrą partią.

– Przynajmniej dopóty, dopóki twój dziadek nie opuści ziemskiego padołu, a i wtedy, z tego, co mi doniesiono, nie będziesz szczególnie bogata. Dlatego też nie możesz grymasić – oznajmiła swatka.

Zosię w pierwszej chwili zamurowało, w następnej oburzyła się, usłyszawszy tak nietaktowne słowa.

– Nie – powiedziała z mocą.

Pani Borawska już otwierała usta, żeby rzucić jakąś ciętą ripostę, ale uznała, że mówiąc „nie”, Zofia Nibużanka zgadza się z nią co do tego, że nie jest dobrą partią i nie znajdzie męża, jeśli się jej nie pomoże, nie poda ręki i nie uświadomi, na co realnie może liczyć.

– Otóż to – przytaknęła stara dama. – Nie.

– Dziękuję – odpowiedziała z ironią w głosie Zosia, bo miała zupełnie co innego na myśli.

– Dlatego słuchaj, co ja ci tu mówię. Radca Kowalski. Jemu chyba niczego nie możesz zarzucić. Młodszy od Andruszkiewicza – palnęła swatka, a Zosi, która oczyma wyobraźni już widziała, jak sprząta po gościu i zagłębia się w lekturze pism, które spoglądały na nią z półki nieopodal, zastygła w przerażeniu. Ta propozycja była o stokroć gorsza.

– Młodszy tylko o dziesięć lat – powiedziała ostrożnie.

– Nie jest wdowcem i nie ma dzieci – przekonywała ją pani Borawska. – Ponadto majątny, a wiem skądinąd, że panienka mu się podoba.

Zosia wzdrygnęła się. Radca był tępy, tusty i niezgułowaty. Myśl o tym, że mogłaby z nim dzielić życie, wydała się jej niedorzeczna.

– Nie – odparła znów.

Pani Borawska o dziwo nie próbowała naciskać, widocznie był to kandydat i przez nią uznany za nierokującego – a może przeznaczyła go innej pannie.

– Karol Wereszczaka. – Pani Borawska najwyraźniej w swoim mniemaniu wyciągnęła asa z rękawa, bo po wypowiedzeniu tego nazwiska przybrała triumfalny wyraz twarzy. – Młody, przystojny, majątny i tylko czeka, aby go usidlić.

Zosiaomalże nie parsknęła śmiechem.

– Przecież to utracjusz – powiedziała. – Przegrywa w karty pieniądze rodziców i spotyka się z kobietami – tu skromnie spuściła głowę – lekkich obyczajów.

– W sam raz dla ciebie – stwierdziła pani Borawska, a Zosia, zamiast natychmiast się obrazić, zastanowiła się nad jej słowami.

W rzeczy samej słowa swatki były obraźliwe, jeśli wziąć pod uwagę to, co prezentował sobą kuzyn Karolek. Jeśli natomiast patrzeć na to, czym trudniła się Zosia, słowa pani Borawskiej miały głębszy sens.

– Ja tak nie uważam – powiedziała Zosia po zastanowieniu. – Pomogłabym raczej ofiarom chuci Karola Wereszczaki niż jemu samemu.

Pani Borawska wysunęła brodę do przodu. Najwyraźniej słowa młodziutkiej podopiecznej państwa Reszczyńskich zrobiły na niej wrażenie.

– Sporo majątku mu jeszcze pozostało – oznajmiła z godnością swatka. – A mądra kobieta, jeśli uwije mu gniazdko i sprowadzi do niego ptaszki, jego samego w domu zatrzyma i sprawi, że będzie szczęśliwy.

Zosia znała Karola Wereszczakę i była pewna, że żadne gniazdko, ptaszki i ćwierkanie nie odciągną go od hazardu i dziwek. Poza tym oburzyły ją słowa, że to do niej należy sprowadzenie mężczyzny pokroju Karola ze złej drogi.

– Wątpię, aby to było możliwe – stwierdziła i dodała: – Karol Wereszczaka nie nadaje się na męża. Na pewno nie dla żadnej porządnej dziewczyny.

– Z takim podejściem, moja droga, to ty męża nie znajdziesz – zauważyła pani Borawska.

– Ale ja przecież mówiłam, że wcale nie szukam – weszła jej w słowo Zosia. – Poza tym nie podejmuję się uszczęśliwiania mężczyzn. Wydaje mi

się raczej, że to mężczyzna powinien uszczęśliwiać mnie.

Było to typowe dziewiętnastowieczne podejście, więc Zosia sądziła, że swatka je podziela, wydawało się bowiem, że pani Borawska zatrzymała się mentalnie i obyczajowo w ubiegłym wieku. Zosia jednak się pomyliła. Swatka tylko machnęła ręką.

– Wiem, wiem... – powiedziała cierpkim głosem. – Panuje moda na wykształcone panienki, które garną się do pracy... Swatki to przeżytek, relikwyt dziewiętnastego wieku. A ja panience mówię, że jeszcze wróci stare i dobre.

„Niedoczekanie pani Borawskiej”, pomyślała Zosia, ale tym razem przytomnie nic nie powiedziała.

– Ja wiem, co panienka sobie myśli – stwierdziła swatka i dodała cierpko: – Ale niech panienka nie zapomina, czego życzą sobie jej dobroczyńcy.

– Wiem, czego życzą sobie moi dobroczyńcy, którzy w szlachetności swojej użyczyli mi mieszkania, abym mogła w spokoju pracować zgodnie z moim wykształceniem i pasją. – Zosia uniosła wzrok i śmiało spojrzała swatce w twarz.

Borawska i na te słowa nie zareagowała tak, jak Zosia przewidywała.

– Moja panno – westchnęła kobieta i zrobiła zatroskaną minę. – Ty jeszcze tego nie wiesz, ale ja wiem, że droga, którą obrałaś, prowadzi cię na manowce.

– Zatem proszę nie tracić na mnie czasu. – Zosia ze zniecierpliwieniem podniosła się z krzesła, zdecydowana wyprosić panią Borawską.

Może i ciotka, daleka krewna jej zmarłej matki, chciała dobrze, ale Zosia nie zamierzała porzucić swojej pracy – tego, co najbardziej na świecie kochała – i osób, które w nią uwierzyły. Tylko z szacunku wobec ciotki zgodziła się przyjąć do siebie swatkę i udawać, że jest skromną panienką na wydaniu, która tylko czeka, aż pani Borawska pomoże jej zostać szczęśliwą małżonką u boku jakiegoś jegomościa, starego, głupiego albo próżnego,

w najgorszym wypadku uosabiającego wszystkie te cechy, który pierwsze, co zrobi po ślubie, to zabroni jej pracować.

– A zatem do widzenia, moja panno – powiedziała pani Borawska w drzwiach. – Powiem twojej ciotce, że to moja ostatnia wizyta u ciebie. Nie przywykłam słuchać impertynencji.

Zosia uśmiechnęła się grzecznie i demonstracyjnie odetchnęła z ulgą, co panią Borawską oburzyło do reszty. Kiedy zamknęła za swatką drzwi, poszła posprzątać po gościu i dojadła konfitury, co zagłuszyło jej wyrzuty sumienia. Mimo wszystko żałowała, że nie była bardziej powściągliwa i nie umiała dać do zrozumienia kobiecie, że nie ma u niej czego szukać, w grzeczniejszy sposób. „Musisz nauczyć się panować nad emocjami”, przypomniała sobie słowa swojej mistrzyni, doktor Grażyny Ungerowej. „My, lekarki, nie możemy pozwolić, żeby pacjent wyprowadził nas z równowagi”. Pani Borawska nie była pacjentką, ale w rozmowie z nią Zosia dała popis niecierpliwości i lekceważenia, czego z pewnością nie pochwaliby doktor Ungerowa, która umiała sobie poradzić z najbardziej rozhisteryzowanymi pacjentkami i roszczeniowymi rodzinami, a przy tym ani na chwilę nie traciła klasy i cierpliwości.

Co do rodziny Reszczyńskich, sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Ciotka może i była krewną matki, ale Zosia wiedziała, że wcale nie chce przyjąć jej pod swój dach. Z kolei wuj początkowo wydawał się bardzo jej przychylny, miły i pomocny, ale kiedy Zosia zaczęła go unikać po tym, jak wielokrotnie niby przypadkiem dotknął jej kolana, dzieląc się z nią radami życiowymi, ich stosunki wyraźnie się ochłodziły. Z czasem Witold Reszczyński przyjął pogląd kłótlivej żony, że każde brewerie muszą się kiedyś skończyć, a każda porządna panna znaleźć męża.

– No nic – powiedziała głośno Zosia i sięgnęła po podręcznik histologii Rudolfa von Köllikera.

Chciała powtórzyć embriologię, z której jutro miała kolokwium w szpitalu. Zagłębiła się w pasjonującym temacie budowy i różnicowania listków zarodkowych, z których powstawał człowiek.



– Chociaż chce pani być ginekologiem, musi sobie pani zdawać sprawę z tego, że organizm kobiety jest całością! – grzmiał doktor Halicki.

„Jestem ginekologiem, do diabła. I to cholernie dobrym”, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Lepiej było nie zaczynać dyskusji z doktorem Bernardem Halickim, bo mogło się to skończyć odsunięciem od pracy.

– Tymczasem ja panią pytam o przyczyny niewydolności serca, a pani mi tu duka...

Zosia i tym razem nie zaprotestowała. Mogłaby powiedzieć, że po trzech godzinach odpytywania z położnictwa i ginekologii – przy czym warto zaznaczyć, że udzieliła poprawnych odpowiedzi na wszystkie pytania doktora – była nieco zaskoczona, kiedy Halicki zaczął przepytawać ją z kardiologii, ale i tu sobie poradziła. Niestety chwilę wahania doktor wykorzystał przeciwko niej i natychmiast oskarżył ją o niewiedzę.

– Dobrze – odezwał się. – Skoro nie ma pani pojęcia, jak funkcjonuje u ludzi układ krwionośny, wróćmy do położnictwa. Niech pani opisz budowę łożyska.

– Łožysko łączy układ krwionośny matki z układem płodu – zaczęła, ale Halicki natychmiast jej przerwał.

– Nie pytałem o funkcję, tylko o budowę! – wrzasnął i rzucił niedopałek do popielniczki, a następnie odpalił kolejnego papierosa.

– W skład łożyska wchodzi powierzchnia maczyna łożyska, zespolona przez całą ciężę ze ścianą macicy...

– Pytałem o budowę mikroskopową! – zagrział ponownie Halicki. – A pani udaje, że mnie nie rozumie, bo pani nie umie...

Zosia siedziała jak trusia i pozwalała się rugać jak byle służąca, która nie dość dobrze wytarła podłogę.

– Łožysko składa się z...

– Po łacinie! – znów wrzasnął.

Zosia i tym razem nie dała się wyprowadzić z równowagi. Wymieniła wszystkie warstwy i naczynia po łacinie.

Kiedy po kolejnej godzinie Halicki wyrzucił ją wreszcie za drzwi, burknąwszy, że dziewczyna może nadal pracować, była mokra od potu i niemalże zdecydowana, aby zabrać swoje rzeczy z szafki lekarskiej, wyjść z Miejskiego Zakładu Położniczego im. Świętej Zofii i nigdy do niego nie wracać.

Przypomniała sobie, jak pierwszy raz stanęła w jego progu, naturalnie z rekomendacji dziadka, bo kogóż by innego, ale jak zwykle postanowiła udowodnić, że ani płeć, ani protekcja nie zmieniają tego, czego była pewna – że jest wspaniałą lekarką, oddaną położnicom, i żaden mizogin jej nie zaszkodzi.

– I jak ci poszło? – spytał ją Bogumił Soszyński, kolega ginekolog, który nie był ani tak zdolny jak ona, ani tak pracowity, ale był mężczyzną.

– Bardzo dobrze – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Jeśli ktoś odpowiadał na pytania doktora Halickiego przez cztery godziny, a potem słyszał, że nic nie umie, ale może dalej pracować – pod warunkiem, że zacznie się uczyć – to tak, jakby przyjechała delegacja ze Szwecji, żeby wręczyć delikwentowi Nagrodę Nobla.

Soszyński uśmiechnął się, a potem rzucił lotką w tarczę powieszoną obok obrazu przedstawiającego płód w macicy w przededniu jej opuszczenia. Obraz był piękny i tak perfekcyjnie namalowany, że mógł zastąpić atlas anatomiczny. Został подарowany szpitalowi przez malarkę, która szczęśliwie powiła zdrową dziewczynkę. W ten sposób postanowiła odwdziżyć się za opiekę.

– Uszkodzisz obraz – zwróciła koledze uwagę Zosia, bo Soszyńskiemu rzadko udawało się trafić w tarczę.

Mężczyzna zrobił obrażoną minę i ponownie rzucił lotką. Trafił w dwójkę, co go wyraźnie rozzłościło.

– Wyglądasz nie najlepiej – stwierdził złośliwie, przypatrując się Zosi z uwagą. – Może sobie usiądź, moja droga, i popraw loczki.

„Następny, który traktuje mnie jak słodkie dziewczątka, a potem prosi o notatki”, pomyślała, ale usiadła, tyle że zamiast poprawiać loczki, które i tak żyły własnym życiem i nie dawały się ujarzmić, zażądała, aby kolega zrobił jej herbaty. Potem jednak dostrzegła, że na biurku wśród licznych papierów, w sąsiedztwie mikroskopu i popielnicy wypełnionej niedopałkami, stoi filiżanka świeżo zaparzonego napoju, którego Soszyński jeszcze nie zdążył upić. Poczęstowała się bez pytania o pozwolenie.

– Już nie musisz. Co mamy na stanie? – spytała, popijając herbatę małymi łyчками.

– Spokój – powiedział z zadowoleniem. – Dwie położnice urodziły w terminie. Pozostałe czekają. Jedna jest w izolatce.

– Sprawdziłeś łożyska? – dociekała.

– Położne to zrobiły. – Wzruszył ramionami. – Mówiły, że łożyska są całe.

Zosia dokończyła herbatę. Doktor Ungerowa nigdy nie zaniechałaby sprawdzenia łożyska, choćby położna zapewniała, że wyszło całe. Podobno legendarna doktor Dobrska^[2], pierwsza dyplomowana polska lekarka, mentorka wszystkich ginekologów, zarówno kobiet, jak i mężczyzn, potrafiła przyjechać do szpitala tylko po to, żeby sprawdzić, czy na pewno jama macicy pacjentki została opróżniona jak należy. W końcu od tego zależało zdrowie i życie położnicy.

– Na twoim miejscu mimo wszystko bym sprawdziła – powiedziała.

– Jeśli nie wierzysz położnym, sprawdź sama – zasugerował Bogumił. – Ja im ufam.

– To nie jest kwestia zaufania – powiedziała z westchnieniem Zosia i pomyślała, że gdyby to ona nie sprawdziła łożysk, Halicki nie zostawiłby na niej suchej nitki, ale Soszyńskiemu z racji płci na pewno się upieczce.

– Dziękuję za herbatę. Do jutra – powiedziała.

Soszyński machnął ręką i pochylił się nad jakimiś papierami. „Przynajmniej papierami się zajmuje”, pomyślała Zosia. Kiedy przyszła do pracy, jeden z lekarzy położył przed nią stertę pustej dokumentacji

lekarskiej i nakazał jej „się tym zająć”. Może i by to zrobiła, ale stwierdziła, że opisywanie przebiegu porodu czy operacji, przy której jej nie było, jest nadużyciem. Uznała to zadanie za próbę i odmówiła, czym zyskała pierwszego wroga w osobie doktora Halickiego. Jak się okazało – nie jedyne, który potem został jej „opiekunem”.

– Przyszłam sprawdzić łożyska – powiedziała do położnej Janiny Uniejskiej, uczennicy doktor Dobrskiej.

– Bardzo proszę, pani doktor – odpowiedziała kobieta i zaprowadziła Zosię do pomieszczenia, gdzie mogła dokładnie obejrzyć zrazik po zraziku i przekonać się, że łożyska opuściły macice w całości.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – powiedziała pani doktor i podziękowała Janince.

– Przywieziono właśnie kolejne dwie kobiety do porodu – oznajmiła położna. – Obie pierwiastki. Na szczęście płody są pojedyncze i prawidłowo ułożone. Pierwsza urodzi za kilka godzin, druga za kilkanaście.

Zosia zrozumiała, że siostra Janina daje jej w ten sposób do zrozumienia, że doktor Soszyński nie ma ochoty osobiście badać rodzących i nie przejmuje się ewentualnymi powikłaniami. W dni jego dyżurów natura ma sama załatwiać kwestię przyjścia dziecka na świat.

– Jest jeszcze doktor Halicki – powiedziała Zosia. – Ubrał Urszulkę, sędzę, że będzie pracował w gabinecie.

Urszulka była kobiecym szkieletem, który stał w gabinecie doktora Halickiego. Jeśli doktor „ubierał” szkielet, był to niewątpliwie znak, że nie zamierza wracać do domu, tylko studiować na miejscu pisma medyczne i robić notatki do swoich badań.

– Skoro pracuje, to nie pomoże – powiedziała Janina z cierpką miną. – Pracuje niby dla kobiet, ale nie do końca w ich służbie.

Janina odeszła, a Zosia stała jeszcze chwilę zdumiona śmiałością położnej. Musiała się jednak zgodzić z jej opinią na temat doktorów Halickiego i Soszyńskiego. „Po co zajmować się ginekologią, skoro

nienawidzi się kobiet?”, pomyślała, wychodząc na zalane wiosennym słońcem podwórze szpitalne.



– Karol? – Zosia zdumiała się, widząc kuzyna siedzącego przed jej drzwiami.

Zastanawiała się, czego on może od niej chcieć. „Najpewniej pieniędzy”, odpowiedziała sama sobie. Jeśli taki był cel jego wizyty, to źle trafił. Szpital wypłacał Zosi pensję, a Reszczyńscy pobierali od niej jedynie skromną sumę za wynajem mieszkania, ale mimo wszystko dziewczyna nie zaliczała się do osób majątnych. Wciąż była na dorobku, oszczędzała każdy grosz, aby się uniezależnić. Na pewno nie miała pieniędzy, które mogłaby pożyczyć Karolowi na spłatę jego karcianych długów. I na pewno nie chciałaby marnować własnych środków na cudze słabości.

– Mogę wejść? – spytał pokornie kuzynek, a jego wielkie brązowe oczy wypełniły się łzami.

Zosia rozważyła wszelkie za i przeciw. Jeśli teraz przegoni Karola, gotów będzie albo zrobić coś głupiego, albo polecieć do swojej matki i naskarżyć na kuzynkę. Wereszczakowa była spokrewniona i zaprzyjaźniona z Reszczyńskimi i niechętna Zosi. Mogłoby się to skończyć wymówieniem dziewczynie mieszkania, które było wprawdzie skromne i ciasne, ale zupełnie jej wystarczało.

– Oczywiście – przytaknęła Zofia i wpuściła mężczyznę do środka.

Karol wszedł do pokoju, a ona samodzielnie zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku, myśląc gniewnie, że co jak co, ale kuzynek, nawet przybity widmem skończenia w nurcie Wisły z kamieniem u nogi za długi, powinien zachowywać się wobec niej jak dżentelmen.

– Mógłbyś chociaż... – zaczęła rugać Karola, ale nie dokończyła.

Kuzynek stał na środku pokoju i wyglądał jak uosobienie rozpacz, choć w oczach miał determinację. Prawą dłonią targał swoją bujną czuprynę,

lewą wymachiwał. Zerkał przy tym na okno, jakby miał zamiar przez nie wyskoczyć. Był ubrany w koszulę, kamizelkę i drogą marynarkę, uszytą dla niego przez któregoś z modnych warszawskich krawców. Nie byłoby w tym obrazku nic dziwnego, gdyby nie to, że od pasa w dół Karol był prawie nagi. Spodnie miał spuszczone do kostek, jego blade i szczupłe nogi były odsłonięte. Przyrodzenie zwisało smętnie pośród kręconych ciemnych włosów.

– Co, do... – zaczęła Zosia i przełknęła ślinę, bo widok był dość niecodzienny i co najmniej zaskakujący.

– Zobacz! – krzyknął z rozpaczą Karol i wskazał na swoje genitalia.

Zosia podeszła bliżej i przyjrzała się.

– Powiedz, że pchły mnie pogryzły – jęknął, a następnie wybuchnął płaczem.

Zosia dla porządku obejrzała zmianę skórną jeszcze raz, starając się na przyrodzenie Karola patrzeć jak lekarka, a nie jak jakaś dzierlatka, ale było to dość trudne. Nie chodzi o to, że nie widziała nigdy męskich narządów, bo owszem, widziała chociażby podczas studiów, ale zwykle były to przyrodzenia albo nieboszczyków, albo zupełnie obcych jej ludzi. Karolka Zosia знаła, co więcej, nie dalej niż kilka dni temu pani Borawska przedstawiała go jej jako potencjalnego kandydata na męża.

– Nie pogryzły cię pchły – powiedziała cicho. – Przykro mi, Karolu.

Kuzyn przestał na chwilę płakać i znów popatrzył na nią sarnimi oczami.

– Jesteś pewna?

Przytaknęła.

– Ale mnie to nie boli! – upierał się. – Mój znajomy, który miał syfa, mówił, że go bardzo bolało.

– To zmiana pierwotna – wyjaśniła mu. – A te nie bolą.

Karol podciągnął spodnie, a do Zosi nagle dotarła cała groza sytuacji. Kuzyn zaraził się syfilisem, chorobą, która przetrzebiła pół świata, a na którą wciąż nie było skutecznego lekarstwa. W dodatku przyszedł z tym do

niej, co oznaczało kłopoty, i to pewnie spore. „No cóż – pomyślała – najpierw należy go uspokoić, a potem wypytać o szczegóły”.

– Nie! Nie! Nie! – zaczął nagle krzyzczeć Karol. – Ja nie mogłem złapać francy!

– Ale złapałeś – stwierdziła spokojnie Zosia. – Pytanie tylko gdzie.

– Kiedy? – zapytał. – Kiedy to się mogło stać?

– Zmiana pierwotna – zaczęła recytować, bo temat był jej aż nazbyt dobrze znany, chociaż na szczęście nie z autopsji – pojawia się po około trzech tygodniach od stosunku z osobą zakażoną. Syfilisem można zarazić się poprzez stosunek tradycyjny, oralny albo – spojrzała znacząco – analny.

– Nie jestem sodomitą! – krzyknął oburzony. – Trzy tygodnie temu, powiadasz?

Wydawało się, że Karol intensywnie myśli, co – jak Zosia wiedziała z narzekań ciotki Reszczyńskiej – nie było jego mocną stroną.

– Gdzie ja byłem trzy tygodnie temu? – spytał na głos, a Zosia bezradnie rozłożyła ręce.

– To musiało być około Wielkanocy – powiedziała. – Może to ci pomoże?

Karol zastanowił się głęboko, a potem westchnął i zaczął trzeć oczy.

– To się zdarzyło tylko raz – wykrztusił w końcu. – Tylko raz.

„Wystarczy raz”, chciała powiedzieć Zosia, ale powstrzymała się.

– Zaparzę ci herbaty, a potem pomyślimy, co zrobić, dobrze?

– Nie chcę herbaty! – wybuchnął Karol. – Idę zabić tę... tę... kurwę...

Zosia odczekała chwilę, po czym odezwała się cicho:

– Mówiłam ci, że kontakty z podobnym towarzystwem prędzej czy później...

Karol wycelował w nią blady palec.

– Życia nie znasz – stwierdził. – Życia nie znasz. Mężczyzna musi. Mój ojciec chadza do burdelu regularnie i co? Nigdy nic nie złapał.

Zosia nawet nie mrugnęła. Prostyucja była zupełnie legalna, nie dalej niż rok temu utworzono Urząd Sanitarno-Obyczajowy, który objął swoistą opieką córy Koryntu. Prawo zobowiązywało je do posiadania „czarnych książeczek”, czyli kart zdrowia świadczących o regularnych badaniach.

– Mówiłam ci, że chodzenie do burdela jest bezpieczniejsze. Tamtejsze kobiety są systematycznie badane i jeśli któraś jest chora, nie ma mowy, żeby spotykała się z klientami. Musiałeś to złapać na ulicy. Przyznaj się, Karolu, poszedłeś pewnie z jakąś z bramy? Za parę groszy, co?

Karol niechętnie przytaknął, a potem ukrył twarz w dłoniach. Zosia pokręciła głową. Najuboższe cichodajki, które wystawały w bramach, świadcząc usługi za cenę kilkakrotnie niższą niż w burdelu, roznosiły choroby weneryczne.

– Co teraz? – spytał w końcu kuzyn.

– Teraz mi powiesz, czy potem byłeś jeszcze z jakąś kobietą – postanowiła Zosia. – Jeśli tak, trzeba ją znaleźć i uprzedzić, bo rozniesie zarazę.

– Wracalem jeszcze ze dwa razy do tamtej, bo była dobra i tania – wyznał niechętnie, zapomniawszy, że przedtem zarzekał się, „że to było tylko raz”.

Zosia odetchnęła z ulgą. Oczyma wyobraźni widziała, jak przeczesuje z koleżankami burdele i szuka dziewczyn, z którymi był Karol, a następnie mężczyzn, którzy spotkali się z tymi dziewczynami. Na szczęście nie było to konieczne.

– Dobrze. Podaj mi w takim razie adres.

– Chyba nie zamierzasz iść do tej kobiety? – spytał ze strachem.

Zosia właśnie tak zamierzała postąpić. Była to najmniej przyjemna część jej lekarskich obowiązków, ale bezwzględnie konieczna.

– Dobrze wiesz, że powinnam ją znaleźć i poinformować, że jest chora. W przeciwnym wypadku zarazi innych.

Już nieraz chadzała po bramach i namawiała prostytutki do badań, ofiarowując im swoje usługi. Takie działania należały do obowiązków

młodych doktorek, jeszcze bez specjalizacji. Zosia nigdy nie chodziła do nich sama, chociaż kobiety stojące w bramach rzadko miały alfonsów. Bywało jednak, że do lekarek wychodził niczego nieświadomy mąż czy ojciec albo przeciwnie – taki, co stręczy własną żonę. Rozmowy z tymi ludźmi nie były ani miłe, ani bezpieczne, ale jak już zostało powiedziane – były konieczne.

– Guzik mnie obchodzą inni – burknął Karol. – Nie podam ci adresu.

Zosia skrzyżowała ręce na piersiach.

– W takim razie ogłoszę w burdelu, że złapałeś syfilis – zagroziła.

– Nie zrobiłabyś tego – jęknął kuzyn.

– Wiesz, że nie chodzi o ciebie – próbowała mu wytłumaczyć. – No powiedz, gdzie się na nią natknąłeś, a ja załatwię tę sprawę dyskretnie. Znasz mnie, Karolu.

Mężczyzna znów zaczął płakać, po czym podał adres bramy przy ulicy Wilczej, a następnie opisał kobietę. Zosia pokiwała głową.

– Co ze mną będzie? – spytał wreszcie.

– Od kiedy to masz? – Wysunęła brodę w kierunku krocza kuzyna.

– Od kilku dni – jęknął.

– Utrzyma się jakiś miesiąc, może tydzień dłużej, a potem stwardnieje i zacznie boleć.

– Czyli mam miesiąc na podjęcie wszystkich życiowych decyzji – westchnął.

Zosia przekrzywiła głowę. Przypomniała sobie, że zanim doktor Ungerowa dopuściła ją do pracy, pytała o patogen, który wywołuje ową francuską – jak się mówiło w Polsce – chorobę. Zosia odpowiedziała wtedy, że ruchliwą i nieuchwytną bakterię udało się złapać i opisać dopiero w 1905 roku, a dokonali tego niemieccy uczeni – Fritz Schaudinn^[3] oraz Erich Hoffmann^[4]. Było to o tyle trudne, że ta – nomen omen – franca nie chciała rosnąć na pożywkach w laboratorium, chociaż tak skutecznie radziła sobie z namnażaniem się w ludzkim ciele.

– Im szybciej, tym lepiej – powiedziała Zosia ze współczuciem.

– Myślałem o tym, żeby palnąć sobie w łeb – wyznał nieoczekiwanie kuzyn, a ona gwałtownie zaprotestowała:

– Nie, Karolu, nie... Są różne możliwości.

– Nie pocieszaj mnie, bo nic mi nie może pomóc – stwierdził i zrobił tragiczną minę. – I najlepiej nie zbliżaj się do mnie – krzyknął, widząc, że Zosia siada obok niego i sięga po jego dłoń.

– To jest zakaźne tylko jedną drogą – powiedziała łagodnie. – Kiła to nie gruźlica.

– Szkoda – powiedział gorzko. – Szkoda, że nie mam gruźlicy.

Zarówno gruźlica, jak i kiła zbierały na całym świecie wielkie żniwo. Obie choroby były nieuleczalne. Tyle że gruźlica była jakby mniej wstydliva, a w pewnych kręgach, z czym oczywiście Zosia się nie zgadzała, uchodziła za niemal romantyczną.

– Mam inne zdanie – powiedziała łagodnie. – Inaczej byś mówił, gdyby twoje płuca po prostu się rozpadły.

Przez krótką chwilę, kiedy profesor Koch^[5] działał w Berlinie, wydawało się, że tuberkulina uwolni ludzkość od gruźlicy, ale okazało się, że substancja nie spełniła pokładanych w niej nadziei, nie leczyła gruźlicy i obecnie była stosowana jedynie w jej diagnostyce.

– Ale suchot nie trzeba się wstydzić. I nie szpecą człowieka – westchnął Karol. – No i można wyjechać w Alpy i tam pod kocykiem pisać wiersze o śmierci.

Zosia wyobraziła sobie Karola jako gruźlika w Szwajcarii. Opiekowała się nim piękna pielęgniarka. W jednej chwili ten uroczy obrazek zakłóciła wizja, jak Karol bałamuci pielęgniarkę i zaraża ją syfilisem, a potem rodzi im się dziecko z siodełkowatym nosem charakterystycznym dla dzieci urodzonych przez matki zarażone kiłą. Wzdrygnęła się.

– Karolu, ty też możesz i powinieneś wyjechać...

– Na kurację rtęciową, tak? – przerwał jej. – Pojechać do dalekiego kraju i przyjmować kalomel, to chcesz mi doradzić? W pierwszej kolejności moje jelita wywrócą się na drugą stronę, a jeśli nie zdąży mnie zabić biegunka,

moja skóra pokryje się bolesnymi wrzodami. Będę się ślinił jak starzec, moim ciałem będą wstrząsały drgawki...

– Karolu, przestań – zaprotestowała Zosia. – Są inne...

– Wypadną mi wszystkie zęby oraz włosy – kontynuował, nie zwracając uwagi na jej słowa. – A na koniec zamienię się w żywego trupa. I to wszystko dla zdrowia.

– Posłuchaj mnie wreszcie! – krzyknęła.

Karol umilkł i wbił spojrzenie w swoje szyte na miarę buty, zapewne od Hiszpańskiego^[6]. Znów płakał. Tym razem jednak cicho i żałośnie. Ponownie ujęła go za rękę.

– Kuracja rtęciowa jest inna niż przed laty – zaczęła cicho, ale dobitnie. – Mimo wszystko to nie jedyna możliwość.

Karol podniósł głowę.

– Omawialiśmy to ostatnio na wykładach. Czytaliśmy doniesienia z Berlina na temat innego środka, który leczy kiłę. To salwarsan.

– Nie rtęć?

– Nie – zaprzeczyła. – Nie rtęć, tylko arsen. Doktor Ehrlich^[7] w Berlinie opiekuje się pacjentami takimi jak ty. To wciąż kuracja eksperymentalna, ale wielce obiecująca. I nie tak drastyczna jak rtęć.

– To znaczy, że mam szansę na przeżycie? – spytał z nadzieją w głosie.

Przytaknęła, chociaż nie była pewna, czy arsen rzeczywiście pomoże nieszczęśnikowi. Doktor Ehrlich donosił z Berlina, że badania na ludziach powiodły się. Doktor Sahachirō Hata^[8], który współpracował z doktorem Ehrlichem i w 1909 roku odkrył razem z nim lecznicze właściwości arsenu, także uznał, że salwarsan jest wspaniałym lekiem. Dzięki niemu kiła stała się uleczalna. W 1914 roku doktor Hata zainicjował badania epidemiologiczne w Instytucie Chorób Zakaźnych w Tokio. Zosi i jej mentorkom daleko było jednak do optymizmu, choć dostrzegały szansę. Poza tym do Berlina było bliżej niż do Tokio. Dziewczyna przypomniawszy sobie, co czytała o tym leku. Przede wszystkim nie był łatwy w użyciu, bo nie rozpuszczał się w wodzie i był bardzo wrażliwy na tlen, ale doktor

Ehrlich pracował nad nowym preparatem, który miał być jeszcze skuteczniejszy i powodować mniej działań ubocznych.

– Arsen, powiadasz? – upewnił się Karol.

Zosia ponownie przytaknęła.

– Arsen – powtórzyła.

– I nie wypadną mi włosy? – dopytywał.

– Wiesz, Karolu, w twojej sytuacji, kiedy grozi ci...

– Wiem – znowu jej przerwał. – Szaleństwo w późnym stadium i śmierć w męczarniach.

– Może nie aż tak... – stwierdziła, ale zaraz znów pokiwała głową, bo najwyraźniej Karol był dobrze poinformowany na temat następstw nieleczzonej kiły.

Wiedziała nawet, skąd czerpał te informacje. Jego matka była daleką kuzynką Stanisława Wyspiańskiego^[9], znanego Zosi malarza, poety i autora słynnych nie tylko w Krakowie sztuk teatralnych. Nie było dla nikogo tajemnicą, na jaką przypadłość chorował nieszczęśnik i jak cierpiał przed śmiercią, chociaż miało to miejsce kilkanaście lat temu. Było to przedmiotem rozmów na przyjęciach, co zawsze Zosię dziwiło, bo mimo jej profesji niewłaściwe wydawało jej się rozprawianie przy herbatce i ciastkach o uwiądzie członków czy postępowaniu, które przynosiło wstyd całej rodzinie, nawet dalekiej.

– Proszę cię... – westchnął Karol. – Jeśli masz mi zabrać nadzieję, zrób to jednym cięciem, jakbyś przecinała... jak to się nazywa?

– Wrzód – odpowiedziała.

– Właśnie. A jeśli chcesz mi dać nadzieję, to zrób to jak trzeba.

– Dobrze zatem – odparła. – Jeszcze dziś napiszę list do profesora, a jutro wyślę go pocztą. Ty zaś zajmij się przygotowaniem do podróży. Musisz porozmawiać z rodzicami na ten temat...

Karol doskoczył do niej, objął ją w pasie i uniósł wysoko, potem zaczął się obracać, aż zawirowało jej w głowie.

– Zostaw mnie, wariacie – powiedziała, a kiedy postawił ją na ziemi, dodała: – Wszystko będzie dobrze.



Ową prostytutkę, która zaraziła Karola, znalazła aż nazbyt łatwo. Dziewczyna stała we wskazanej bramie, wypatrując klientów. Zosia pokazała ją dyskretnie swojemu towarzyszowi, Rafałowi Dziubie, koledze z pracy, chirurgowi ortopedzie, wielkiemu jak góra i wyglądającemu groźnie, chociaż był poczciwy i łagodny jak dziecko. Niegdyś służył w armii jako lekarz wojskowy, uczestniczył w bitwie warszawskiej. Zosia nieraz widziała, jak nastawiał kości i zszywał naczynia, ratując niejedną kończynę od niechybnej amputacji. Zwykle towarzyszył jej w wyprawach do burdeli i do biednych dzielnic, bo samą swoją posturą budził przestrach. Mimo swojej poczciwości umiał rozprawić się z wszelkiej maści sutenerami, agresywnymi mężami, a nawet fabrykantami, jeśli w jakiś sposób zagrażali zdrowiu czy bezpieczeństwu swoich pracowników.

– To ta dziewczyna – powiedziała.

– Wygląda na zadbaną – stwierdził. – Trudno określić, czy ma alfonsa. Może ja do niej podejść, co?

Zosia pokręciła głową.

– Nie, nie... – zaprotestowała. – Ty zostań i rozglądaj się.

Prostytutka była młoda i na pierwszy rzut oka zdrowa. Możliwe zatem, że miała normalną pracę, tylko w nocy dorabiała sobie do fabrycznej pensji. Zosia żałowała, że nie zapytała Karola o więcej szczegółów. Wiedziała tylko, że dziewczyna ma własny pokój w mansardzie w kamienicy, przy której wystawała.

– Ile? – spytała bez wstępów Zosia, kiedy podeszła do dziewczyny.

Dziewczyna wzdrygnęła się na te słowa.

– Ja nie z tych – powiedziała.

– Wiem, że nie z tych, ale mam do ciebie sprawę i zapłacę za twój czas – oznajmiła stanowczo Zosia. Znała życie prostytutek i wiedziała, że musi zrekompensować im potencjalnie utracony zarobek. Poza tym uznawała znaną w świecie prawdę, że nic nie ma za darmo.

Dziewczyna rozważyła w duchu wszelkie za i przeciw, ale widocznie doszła do wniosku, że gra nie jest warta świeczki, bo pokręciła głową.

– Idź, paniusiu, bo mi klientów płoszysz.

– Pójdę. – Zosia wzruszyła ramionami. – Ale wrócę z policją. I nie próbuj uciekać, bo mieszkasz za stróżówką w mansardzie. Dozorczynie mi powiedziała.

Dziewczyna stanęła jak wryta, po czym wypluła na ziemię tabakę i groźnie łypnęła na Zosię.

– To jak będzie? – spytała znów lekarka. – Zapłacę ci.

Kobieta skinęła głową. Zosia podreptała za nią przez podwórze, minęła stróżówkę, ignorując zdumione spojrzenie stróżki, a potem weszły na czwarte piętro, gdzie prostytutka zajmowała mały schludny pokój.

– Pieniądze z góry.

Zosia wyjęła portmonetkę i zapłaciła ustaloną sumę, a potem usiadła na łóżku. Dziewczyna zaczęła zdejmować bluzkę.

– Nie, nie... – zaprotestowała Zosia.

– To czego? – westchnęła córka Koryntu i wpatrzyła się tępo w Zosię. – Uwieść kogo trzeba? Panienczki małżonek ją zdradza? Braciszek zszedł na złą drogę? A może tatulek?

– Kuzynek – odparła Zosia. – Zaraził się od ciebie francą.

Dziewczyna nawet nie próbowała zaprzeczać.

– Żebym ja dorwała tego, który mnie to sprzedał... – Zacisnęła pięści.

Zosia się jej przyjrzała. Była ładna, na jej twarzy nie było widać śladu profesji, którą się trudniła, ani choroby. Musiała niedawno zarazić się kiłą.

– A wiesz, od kogo mogłaś to złapać? – spytała Zosia.

– A panienska to kto? Siostra miłosierdzia? Nie wygląda panienska.

– Jestem lekarką. Pracuję w Szpitalu Świętej Zofii – powiedziała Zosia nie bez dumy.

Dziewczyna gwizdnęła cicho.

– Nie wygląda panienka. – Smarknęła do chustki.

– Może i nie wyglądam – stwierdziła Zosia. – Ale taka prawda.

– A do mnie panienka doktorka to po co przylazła? – spytała dziewczyna.

– Nie możesz przyjmować klientów – wyjaśniła jej Zosia. – Bo ich zarazisz.

Wszystkie dziewczyny, które słyszały ów wyrok, reagowały albo śmiechem, albo płaczem. Czasami najpierw się śmiały, a potem, kiedy docierała do nich groza sytuacji – zaczynały płakać. Ta się roześmiała.

– Mam z głodu zdechnąć? – spytała.

– Możesz iść do uczciwej pracy – stwierdziła Zosia. – Żyjesz tylko z nierządu?

Dziewczyna znów się roześmiała, ale zaraz umilkła, wstała i podeszła do kotary, która dzieliła łóżko od reszty pomieszczenia. Zosia sądziła, że za kotarą jest miejsce do umycia się, ale zamiast tego zobaczyła na podłodze siennik, na którym spała mała, na oko trzyletnia dziewczynka.

– Ja już miałam uczciwą pracę. Przy maszynach – powiedziała. – Ja i mój mąż, zanim oddał życie za wolną Polskę. Ta praca też jest uczciwa.

Zosia wiedziała, że za tymi słowami kryje się typowa historia: mąż zginął, a kobieta musi się zająć dzieckiem. Nie może pracować w fabryce, bo nie ma nikogo, kto mógłby w tym czasie zaopiekować się małą. Nie myliła się, przynajmniej nie zasadniczo.

– Dali rentę po mężu, ale ja muszę córkę do szkoły posłać. Ona nie może mieć takiego życia jak ja. A teraz, jeśli paniusia pozwoli... – prostytutka wykrzywiła się szkaradnie, ale Zosia pokręciła głową.

– Przecież wiesz, że nie mogę pozwolić, żebyś nadal stała w bramie.

– Siłą mam panienkę wyrzucić czy jak? – Dziewczyna chwyciła się pod boki.

Zosia podeszła do okna, uchyliła je i wychyliwszy się na podwórze, gwizdnęła cicho.

– Co, do...? – Dziewczyna się przeraziła.

– Nic się nie bój – uspokoiła ją Zosia.

Kiedy do pokoju wszedł Rafał Dziuba, przerażona kobieta skuliła się.

– Spokojnie – odezwała się Zosia. – Tylko spokojnie.

– Co wy chcecie...? Ja nic nie mam...

– Już mówiłam, że jestem lekarką, ten pan – pokazała na Rafała – to też doktor. Nic złego wam się nie stanie. Nic.

O wiele łatwiej było w burdelach, gdzie ustalali wszystko z *maman*, której samej zależało, żeby jej podopieczne nie miały syfa, i jeśli okazywało się, że któraś z nich jest zakażona, nie dyskutowała, tylko pokazywała dziewczynie drzwi. Wtedy lekarze obejmowali ją opieką, oferowali pracę i w razie potrzeby miejsce, gdzie mogła zostawić dziecko.

– Nic? – zapytała zdenerwowana dziewczyna.

– Nic – zapewniła ją Zosia. – Nic złego. Jak masz na imię?

– Maryna – przedstawiła się niechętnie.

– A córeczka? – Rafał Dziuba uśmiechnął się do niej.

– Kasia – nieco łagodniej odparła Maryna. – Nie budźcie jej.

Doktor Dziuba udał się za przepierzenie, kucnął przy dziecku i przyjrzał się mu z bliska.

– Przyjmowałaś klientów przy córce? – Zosia nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania.

Dziewczyna skrzywiła się.

– Nie budzi się i za mała, żeby rozumieć – odpowiedziała niechętnie.

– Śpi jak aniołek – stwierdził doktor. – Nie będę jej budził, ale wygląda mi na zdrową.

– Jest zdrowa – burknęła prostytutka. – Już ja o to dbam.

Godzinę później Zosia i Rafał wyszli stamtąd zadowoleni – na tyle, na ile można było być zadowolonym z takiej interwencji. Dziewczyna zgodziła

się pracować w szpitalu jako sprzątaczką. Dziecku zapewniono przedszkole niedaleko placówki.

– Przyjdzie? – Rafał spytał Zosię po drodze.

Dziewczyna kiwnęła głową. Wiara w rozsądek pacjenta i własną zdolność perswazji należała do podstawowych narzędzi w pracy lekarskiej.

– Te, które mają dzieci, częściej chcą odmienić swój los.

– Ciekawe, czy wytrzyma w tej pracy – zastanawiał się doktor.

Zosia, która była niepoprawną optymistką, znów pokiwała głową.

– Wypytywała przecież, czy chcemy ją wysłać do klasztoru, a kiedy dowiedziała się, że nikt jej pacierzy nie każe odmawiać, to nawet się ucieszyła. Ja myślę, że ona się utrzyma. I jeszcze nas zadziwi. Jej córeczka też.

Dziuba uśmiechnął się. Stali pod mieszkaniem Zosi.

– Odprowadzę cię na górę – zaproponował.

– Lepiej nie – zaprotestowała. – Moja ciotka i wuj ostatnio bardzo martwią się o moją reputację. Kilka dni temu, wyobraź sobie, przysłali do mnie swatkę.

Rafał uniósł brwi.

– Swatkę? – spytał.

– Swatkę – potwierdziła.

– Nie wiedziałem, że w Warszawie jeszcze istnieją swatki.

– Istnieją. – Przywołała w myśli obraz pani Borawskiej. – Moi dobroczyńcy życzą sobie, żebym wyszła za mąż.

Rafał, który nie pierwszy raz odprowadzał ją do domu po nocnych eskapadach, pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Wydawali się świątkami ludźmi. Przecież mamy już dwudziesty wiek.

– Owszem, mamy, ale ciotka nie przyjmuje tego do wiadomości. Dla niej jestem panią Zosią, córką jej zmarłej dalekiej krewnej. Zachowuje się tak, jakby nie miała pojęcia, ani że jestem lekarką, ani że wykonuję swój zawód z radością i pasją.

– Pewnie nie głosuje w wyborach, co? – Doktor Dziuba zaśmiał się.

– Oczywiście, że nie – odparła Zosia z oburzeniem. – Nawet wuj ją przekonywał, żeby poszła, i podpowiedział, na kogo powinna zagłosować, ale ciotka umarłaby ze wstydu, gdyby ją kto tam zobaczył.

– I mieszkasz przy nich? – dopytywał Rafał.

Zosia skrzywiła się. To był dla niej drażliwy temat. Z jednej strony było jej dobrze przy krewnych, z drugiej – miała do siebie żal, że prowadzi jakby podwójne życie. Przy rodzinie udaje panienkę z dobrego domu, za dnia odbiera porody, a w nocy pomaga kobietom, które zeszyły na złą drogę.

– Mieszkam, bo tego życzą sobie mój dziadek i mój ojciec – ucięła.

Rafał pokiwał głową. Dziadkiem Zosi był wybitny krakowski lekarz i fizjolog, specjalista od pracy serca Konstanty Piechowski.

– Oczywiście – powiedział ciepło.

– To bywaj, Rafale. – Podała mu rękę. – Mam nadzieję, że zdołam powtórzyć na jutro „postępowanie przy porodzie powikłanej ciąży mnogiej”, bo stary będzie mnie z tego pytał, a on jest zadeklarowanym przeciwnikiem kobiet lekarzy.

Rafał Dziuba wiedział o tym. Doktor Rozwadowski z niechęcią patrzył, jak do warszawskich szpitali dołączają wysoko wykwalifikowane i oddane swojej pracy lekarki. Pod tym względem był jeszcze gorszy niż doktor Halicki. Rafał podziwiał Zosię, że w obliczu tylu trudności się nie poddawała.

– Może powinnaś go zaprosić do domu swojej ciotki? – Puścił do Zosi oko.

– Albo wyjść za niego. – Roześmiała się, po czym pomachała koledze i weszła do budynku, bo naprawdę nie wypadało tak stać nocą na ulicy i gawędzić z mężczyzną, nawet w 1924 roku.



Czasem zdarza się tak, że ktoś wypowiada słowa w złą godzinę albo diabeł ich słucha czy też los od początku nie jest życzliwy planom. Nie wiadomo dokładnie, czy chodziło o wyjazd Karola jako taki czy może tylko o pochopne stwierdzenie Zosi, że wszystko będzie dobrze. Przez pewien czas wydawało się, że rzeczywiście sprawy zaczęły się układać. Zosia znalazła przecież ową nieszczęśnicę i zdołała jej pomóc. Karol powiadomił kuzynkę, że posiada środki na wyjazd, asystent doktora Ehrlicha odpisał jej i przedstawił wszelkie warunki, pod którymi Karol mógł poddać się kuracji „magiczną kulką”, która zabija zarazki kiły, czyli neosalwarsanem. I kiedy Zosia była już niemal pewna, że kuzynek tylko patrzeć, jak wróci do domu wyleczony i szczęśliwy, jego matka wraz z ojcem, a nawet jej własna ciotka i wuj wkroczyli z impetem w jej życie, a ściślej – do mieszkanek, które zajmowała. Zosia właśnie odsypiała ciężką noc, podczas której przyjęła bardzo trudny poród, a następnie musiała dokonywać cudów, bo matka walczyła o życie, a dziecko nie chciało mleka żadnej z mamek. Musiała wezwać do pomocy Irkę, lekarkę, która zajęła się pozostałymi położnicami, podczas gdy Zosia ratowała tę dwójkę. Ostatecznie udało się zatamować krwawienie, dziecko zaczęło jeść, a Zosia nawet zdołała pomóc Irce przy innej położnicy, która rodziła dziecko obrócone pośladkami. Kiedy dotarła do domu, nie marzyła o niczym innym jak o kilku godzinach snu, który to sen brutalnie jej przerwano.

– Co masz na swoje usprawiedliwienie, moja panno? – zapytała od progu pani Wereszczakowa.

Zosia zamrugała powiekami. Matka Karola wyglądała jednocześnie na wściekłą i zrozpaczoną, a była to w jej przypadku mieszanka wybuchowa, o czym doskonale wiedziało pozostałe towarzystwo, w tym Zosia, która poczynania pani Wandy знаła z opowieści, a teraz miała doświadczyć ich na własnej skórze.

– Nie rozumiem... – zaczęła zgodnie z prawdą, ale nie była to najwyraźniej właściwa odpowiedź.

– Ona nie rozumie! Ona nie rozumie! – piekliła się korpulentna matrona.

Stary Wereszczaka zaczął dawać jej znaki za plecami małżonki, ale Zosia, marząca tylko o tym, żeby zasnąć, zignorowała komunikat, aby położyć uszy po sobie i przeczekać, aż pani Wanda się uspokoi.

– Naprawdę nie rozumiem – odpowiedziała.

– Trzymajcie mnie! – wrzasnęła znów kobieta, a mąż posłusznie podszedł do niej i złapał ją pod ramię.

– Panno Zofio – powiedział uroczyście. – Chodzi o naszego Karola.

Tego się Zosia domyślała, tylko nie bardzo wiedziała, co może być powodem furii jego matki.

– Zosiu, czy to prawda, że odrzuciłaś oświadczyny Karolka? – spytała z pozoru grzecznie ciotka Reszczyńska.

Zosia zrobiła niepewną minę. Z jednej strony była to prawda, bo powiedziała pani Borawskiej, że nie zamierza za niego wyjść, nawet kiedy jeszcze nie wiedziała, że Karol nie powinien brać ślubu ze względu na kiłę, którą by ją niechybnie zaraził. Z drugiej strony sam Karol nie zaproponował jej małżeństwa, więc nie można było powiedzieć, że odrzuciła oświadczyny.

– I tak, i nie – odpowiedziała zatem, ale to też nie zadowoliło Wereszczakowej.

– Uważasz, że jesteś dla niego za dobra, tak? – zaatakowała Zosię. – Sierota, której pieniądze rodziny pozwoliły na trudnienie się profesją dla kobiety nieprzystojnej! Osóbką zadająca się z podejrzanym towarzystwem! Kobieta, która...

– Zaraz, zaraz – przerwała jej gniewnie Zosia. – Zechce mi pani powiedzieć, w czym uchybiłam Karolowi? Ośmielam się twierdzić, że gdyby nie ja i moja, jak to pani określiła, nieprzystojna profesja, Karol byłby teraz...

Chciała powiedzieć „w czarnej dupie”, ale uznała, że użycie wulgarnego wyrażenia, które znała z pracy, w takim towarzystwie nie postawi jej w najlepszym świetle i w najbliższym czasie nie pozwoli na powrót do łóżka.

– ...w poważnych tarapatach – dokończyła.

– O jakich tarapatach mowa? – wtrąciła się zdumiona Reszczyńska. – Mamy wątpliwości, czy byłabyś dobrą partią dla jedynego syna znamienitej rodziny, ale...

– Za pozwoleniem – próbował się wtrącić Wereszczaka, ale pani Wanda zaczęła ciężko dyszeć i omdlała, więc nie dokończył swojej myśli, tylko zajął się cuceniem żony.

Zosia nie zareagowała, bo umiała rozpoznać histerię. Pani Wereszczakowej nic nie dolegało, może poza zbyt ściśniętym gorsetem. Ona sama nie nosiła gorsetu, głosowała w wyborach i ani myślała słuchać absurdalnych oskarżeń.

– Zrób coś, dziecko! – krzyknęła do niej ciotka i wtedy Zosia zdecydowała się nieco skapitulować.

Poszła do kuchni po wodę i z bólem serca wyjęła ostatni słoik konfitur poziomkowych. Wróciła do pokoju, postawiła wodę i konfitury na stoliku i zarządziła:

– Proszę się odsunąć.

Potem podeszła do Wereszczakowej i złapała ją za ramię, zajrzała w oczy i powiedziała dobitnie:

– Proszę spokojnie oddychać.

O dziwo Wereszczakowa posłuchała. Zosia podała jej szklanekę wody, którą pani wypija duszkiem, odmówiła konfitur, którymi jednak poczęstował się wuj, i znów zaczęła perorować, ale tym razem spokojniej.

– Karol powiedział nam o wyjeździe. Odrzuciłaś jego oświadczyzny, jego miłość i oddanie. On... o mało się nie zabił. A teraz chce wyjechać gdzieś daleko, porzucić biedną matkę. Nie wiemy, kiedy wróci. Wszystko po to, aby o tobie zapomnieć, niewdzięcznico.

Zosia wzięła kilka głębokich oddechów. Stała chwilę spokojnie, a potem pokiwała kilka razy głową i powiedziała:

– Nie jest to prawdą. Karol nigdy mi się osobiście nie oświadczył, a wyjeżdża dlatego, że złapał kiłę od prostytutki.

Zebrani wyglądali jak rażeni gromem. Cała czwórka zastygła niczym na fotografii. Wyglądało to może i zabawnie, ale Zosia z różnych powodów wcale dobrze się nie bawiła. Przez chwilę miała wyrzuty sumienia, że zdradziła tajemnicę kuzyna, ale przecież Karol zapewniał ją, że rodzice wiedzą o wszystkim, są jej głęboko wdzięczni i popierają jego wyjazd do Berlina.

– Zapewnił mnie, że państwo o tym wiedzą – dodała.

Z min zebranych wywnioskowała, że Karol podzielił się hiobową wieścią jedynie z ojcem, oszczędzając, może i słusznie, prawdy matce. Poczęstował ją kłamstwem, które doprowadziło do całego nieporozumienia. Zosia nie zamierzała pozwalać się obrażać tylko dlatego, że Wereszczakowie uważali się za lepszych od niej.

– Napisałam do doktora Kochlera, który... – tu zrezygnowała z powtarzania skomplikowanej wymiany wiadomości i skupiła się na efekcie istotnym dla sprawy – ...zgodził się przyjąć Karola na obiecującą terapię arsenem.

Ciotka Wereszczakowa tym razem naprawdę zasłała, zatem ułożono ją na wygodnym fotelu i wsparto poduszkami. Kiedy otworzyła oczy, wbiła spojrzenie w męża i powiedziała cicho:

– Wiedziałeś o tym...

Wereszczaka pokiwał głową, nie patrząc na żonę.

– Mój nieszczęsny syn – dodała pani Wanda. – Co go do tego doprowadziło...

W innych okolicznościach Zosia byłaby wtrąciła swoje trzy grosze, ale zdecydowała się milczeć. Wciąż była śpiąca i wciąż miała nadzieję na odespanie okropnej nocy. Stała tymczasem wyprostowana, ignorując piasek pod powiekami oraz wuja Reszczyńskiego, który zjadał jej konfitury, i czekała na przeprosiny oraz opuszczenie jej mieszkania przez zebranych.

– Czy mój kochany, dobry syn skończy jak... – jęknęła pani Wanda.

– Jak pani kuzyn Wyspiański? – dokończyła grzecznie Zosia. – Nieleczona kiła prowadzi do... – zawahała się i uznała, że oszczędzi ciotce

wykładu – ...wielu zmian, także w mózgu. Ale Karolowi to nie grozi. Wróci zdrowy.

Pani Wanda chwyciła się za serce, a Zosia poczuła ukłucie wyrzutów sumienia. Jej mentorka, doktor Ungerowa, wielokrotnie powtarzała, żeby nie obiecywać choremu wyleczenia, jakby się było prorokiem, tylko spokojnie przedstawić rokowania, możliwości, jakie daje medycyna, albo skutki zaniechania leczenia. „Jeśli będziecie zapewniać waszych chorych, że pod wpływem zalecanych kuracji będą fikać koziołki, chociaż wcześniej nie ruszali się z łóżka, a potem tak się nie stanie, to sami będziecie odpowiadać za ataki ich krewnych. I daj wam, Panie Boże, żeby tylko na atakach słownych się skończyło. Żeby żadna rozczarowana żona czy matka albo ojciec nie wyzwali was na pojedynek”. Zosia zdała sobie sprawę, że naruszyła jedną z podstawowych zasad lekarzy, ale zaraz się pocieszyła, że jest to winna zbolącej matce.

– Tak – powtórzyła. – Wróci zdrowy. A teraz, jeśli państwo pozwolą...

Pani Wanda znów zaczęła głęboko oddychać i cała operacja z pojeniem jej wodą i wachlowaniem powtórzyła się.

– Sądzę, Zofio – odezwała się nagle ciotka Reszczyńska – że jesteś na tyle samodzielna, aby opuścić nasz dom i poszukać sobie miejsca wśród... swoich.

W pierwszej chwili do Zosi nie dotarła powaga tych słów – przeciwnie, rozśmieszyły ją. Usłyszawszy określenie „swoich”, wyobraziła sobie jakieś plemię w dalekiej Afryce, względnie w Ameryce Południowej, i siebie taszczącą walizkę wśród koczowników i rozglądającą się za miejscem do spania. Potem jednak zrozumiała, że sprawa Karola będzie ją kosztować utratę domu. Spojrzała z nadzieją na wuja, ale ten siedział z głupią miną i nie patrzył w jej stronę. Przeniosła wzrok na pana Wereszczakę, ale on zrobił za plecami żony pełen bezradności gest i także odwrócił wzrok.

Przełknęła dumę.

– Przecież zgodziliście się objąć mnie opieką – zaoponowała.

– Ze względu na pamięć twojej nieszczęsnej matki, a mojej bliskiej krewnej – odparła ciotka.

Zosia nie zdecydowała się wspomnieć, że przecież na jej naukęłożył dziadek. Z różnych powodów ani ona, ani stary pan Konstanty nie chcieli, żeby pracowała w krakowskim szpitalu, dlatego przyjechała do Warszawy, a Reszczyńscy zgodzili się, aby u nich zamieszkała. Wprawdzie nie kryli, że woleliby zobaczyć Zosię jako nauczycielkę na pensji niż lekarkę w Szpitalu Świętej Zofii, ale do tej pory nie zgłaszali zastrzeżeń. Nie mieli pojęcia, jak wygląda jej praca, zarówno w dzień, jak i w nocy, a ona nie zwierzała im się z żadnych trudności, które napotykała na swojej drodze. Płaciła drobną sumę za mieszkanie, które zajmowała, przyjmowała życzliwość krewnych i uważała, że kiedy stanie na nogi, podziękuje im za gościnę i pójdzie swoją drogą, pozostając w głębokiej wdzięczności i szacunku dla nich.

– Dlaczego zatem mnie wyrzucacie? – Zosia postanowiła, że nie podda się bez walki. Chęć na sen odeszła bezpowrotnie.

– Nie wyrzucamy, tylko... – odezwał się wuj Reszczyński, ale zamilkł pod groźnym wzrokiem żony.

„No tak”, pomyślała rozgoryczona Zosia, przypomniawszy sobie, ile razy wuj okazywał jej zainteresowanie, wypytywał o postępy w nauce i o pracę, co nie spotykało się z życzliwością ciotki. Wiedziała aż nazbyt dobrze, że państwo Reszczyńscy są sobą znudzeni, wuj szuka pocieszenia flirtując, gdzie tylko może – Zosia nie dociekała, czy na tym poprzestaje. Kilka razy miała wrażenie, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby młoda lekarka okazała mu więcej zainteresowania, a może nawet pozwoliła się sobą „zaopiekować”. Nigdy jednak nie dała mu powodu, aby myślał, że traktuje go inaczej niż dużo starszego krewnego. Robiła to nie tylko ze względu na ciotkę, lecz także na zasady, które jej wpojono.

– ...tylko grzecznie prosicie, żebym się wyprowadziła, ponieważ Karol zaraził się chorobą weneryczną? – niedowierzała.

Popatrzyła na ojca Karola, który źle zrozumiał jej wzrok. Może się obawiał, że dziewczyna wie o jego wizytach w burdelach albo że zechce dokładnie przedstawić drogi rozprzestrzeniania się choroby. Zerwał się nagle z miejsca i oświadczył:

– To my może już pójdziemy.

Ale jego żona zamknęła oczy i znów zaczęła żywo się wachlować, więc nieszczęśnik klapnął na krzesło i skierował zboląły wzrok na Zosię.

Ona spoglądała teraz na ciotkę.

– Czy mam się wynieść już teraz, czy mogę tu zostać, póki czegoś nie znajdę? – spytała.

– Ufam, że tak obrotnej dziewczynie jak ty uda się znaleźć coś odpowiedniego w ciągu dwóch miesięcy – powiedziała stanowczo ciotka, a potem dodała: – Jeszcze dziś napiszę do twojego biednego dziadka i wyjaśnię mu powody swojej decyzji.

– Nie ma takiej potrzeby. – Zosia zmarszczyła brwi. – Od dawna odpowiadam za siebie.

– Nie chcę, żeby myślał, że okazaliśmy się nieodpowiedzialni – stwierdziła ciotka. – To raczej ty okazałaś się niewdzięczna.

Zosia nie zgadzała się z tą opinią, ale postanowiła nie polemizować.

– Dobrze – westchnęła. – Jak ciocia sobie życzy. A teraz, jeśli można, chciałabym wrócić do łóżka. Miałam ciężką noc wypełnioną krzykiem rodzących kobiet. Jedna z nich urodziła dziecko z kiłą wrodzoną – dodała prowokacyjnie.

Obaj panowie pomogli pani Wandzie wstać, po czym wyprowadzili ją z mieszkania. Na odchodnym ciotka Reszczyńska odwróciła się do Zosi.

– Nie spodziewałam się tego po tobie – powiedziała.

– Czego się ciocia nie spodziewała? – Zosia nie wytrzymała. – Czego? Że skończę medycynę, ale będę pracowała na pensji, ucząc przyrody? Wolałaby ciocia, żebym opowiadała dyrdymały dorastającym dziewczynkom?

– Nie spodziewałam się, że... – ciotka spojrzała na nią z pogardą – ...że będziesz bałamucila mężczyzn, starych, młodych, a nawet własnego wuja.

Trzasnęła drzwiami, a Zosia stała z rozdziawioną buzią, głęboko oburzona. Targały nią sprzeczne myśli.

– Coś takiego! – powiedziała głośno.

Wróciła do łóżka, ale sen nie chciał już do niej przyjść. Gorączkowo zastanawiała się, co zrobić, od czego zacząć poszukiwania mieszkania. „Za dobrze mi było”, karciała się w duchu. „Nie trzeba było przyjmować gościny u Reszczyńskich, nie trzeba było słuchać o tym, że potrzeba mi opieki i ochrony. Jak się chciało być lekarką, to trzeba było od razu się usamodzielnąć i nie liczyć na niczyją łaskę”. Tu jednak stwierdziła, że nie jest do końca sprawiedliwa, bo łaska była tym, czego doświadczała od wczesnego dzieciństwa, i nie zawsze była jej przykra. Matka uciekła z ojcem, pogrążając w żałobie dziadków i okrywając ich hańbą. Gdyby dziadek nie był taki zacięty, nie doszłoby do tego. Dziadek, znany lekarz, chciał dla swojej jedynej córki jak najlepiej, marzył, aby poślubiła któregoś z jego asystentów. Natomiast matka Zosi zakochała się w skrzypku z orkiestry i po wyczerpaniu wszelkich argumentów i po próbie otrucia się proszkami na ból zębów, którejs nocy zsunęła się z okna po zrobionym z prześcieradła sznurze wprost w ramiona ukochanego. Uciekli do Poznania, gdzie wzięli ślub i zerwali wszelkie kontakty z rodziną. Potem urodziła się Zosia, a kilka lat później matka zmarła, rodząc martwego chłopczyka, jej braciszka. Z wczesnego dzieciństwa dziewczynka pamiętała, jak tułali się z ojcem po różnych skromnych mieszkankach. Ojciec zarabiał, grając na skrzypcach podczas wesel, i pogrążał się w coraz większej rozpacz. Nieraz szła głodna spać, ale nigdy nie narzekała, bo kiedy ojciec miał pełną kieszeń, był najwspanialszym człowiekiem na świecie, a jej samej niczego nie brakowało. Pewnego dnia ojciec wziął ją za rękę i powiedział, że jadą do pięknego miasta odwiedzić cudownych ludzi, którzy bardzo Zosię pokochają. Tak się stało, bo kiedy tylko dziadek Konstanty i babka Klara zobaczyli ją, tak podobną do matki, serca im zmiękły i zaraz przyjęli ich pod swój dach. Ojciec nie od razu z nimi zamieszkał; próbował jeszcze żyć na własny rachunek – jeździł od miasta do miasta, a nawet zaczął grać w prawdziwej orkiestrze. Szybko i ta praca się skończyła, a ojciec wrócił do Krakowa i zajął osobny pokój w apartamencie dziadków przy Plantach. Piechowscy sprowadzili prochy córki, aby została pochowana przy nich. Wkrótce potem spoczęła przy niej babcia Klara. Dziadek wysłał małą Zosię do szkoły i wypłacał jej ojcu

pensję. Niektóre z nauczycielek szeptały za plecami dziewczynki, bo w Krakowie historia jej rodziców była powszechnie znana, ale otwarcie zaatakowała ją tylko jedna – sucha stara panna Józefa Leszniewska, ucząca przyrody. Kiedy Zosia nie umiała odpowiedzieć na jakieś pytanie dotyczące liści czy kwiatów – już nie pamiętała – nauczycielka zbiła ją boleśnie linijką po ręce i wysyczała, że tak wspaniałemu człowiekowi, lekarzowi i społecznikowi, jak jej dziadek najpierw trafiła się głupia jak but córka, a potem jeszcze gorsza wnuczka, która do trzech nie zliczy i do niczego w życiu nie dojdzie. Na te słowa Zosia rozplakała się, ale zamiast pobiec do dziadka na skargę, uniosła się honorem. Wróciła do domu, zamknęła się w pokoju i myślała o tym, co usłyszała. Potem poszła do ojca i zadała mu kilka pytań, a kiedy uzyskała szczere, chociaż szokujące odpowiedzi, postanowiła, co następuje: ona, Zosia Nibużanka, będzie odtąd najlepszą uczennicą na pensji, a potem zostanie lekarzem jak dziadek. W ten sposób zmyje rodzinną hańbę.

„A teraz – pomyślała, odrzucając koc i wstając – pora wreszcie się usamodzielnic”.



– Bierze panienka czy nie? – zapytała przysadzista kobieta i poprawiła sobie perukę.

Zosia jeszcze raz spojrzała na ciasne i brudne pomieszczenie. Pomysł, aby wynająć pokój studencki, początkowo wydał się jej bardzo dobry. Sądziła, że za niewielką opłatą znajdzie mieszkanie w czystej i jasnej kamienicy, podobne do tego, które zajmowała u Reszczyńskich, tyle że nieobciążone ich towarzystwem. Myliła się. Pokoje, na które było ją stać, były małe, nierzadko albo wcale nie miały okien albo wychodziły one na klatkę schodową, toaleta znajdowała się na podwórzu i nie było bieżącej wody, na co Zosia nie mogła przystać.

– Nie – powiedziała. – Nie biorę.

Kobieta wzruszyła ramionami, a Zosia wyszła z zatęchłej kamienicy i odetchnęła ciepłym wiosennym powietrzem. Do czasu wyprowadzki pozostał jej jeszcze ponad miesiąc, ale po początkowej fali entuzjazmu, że oto los każe jej w pełni stanąć na własnych nogach, zrozumiała, że nie będzie to takie łatwe, jak myślała, a nawet może okazać się niemożliwe. Pomyślała o liście od dziadka Konstantego, który otrzymała przed kilkoma dniami w odpowiedzi na list, który sama do niego wysłała. Dziadek pisał, żeby rozważyła powrót do Krakowa. Mógł wykorzystać swoje znajomości i znaleźć jej pracę w tamtejszej klinice położniczej.

Droga moja Zosieńko, stare oczy ucieszy Twój widok. Jesteśmy z Twoim drogim ojcem coraz starsi i coraz bardziej skłaniam się ku myśli, że decyzja o Twoim wyjeździe była po prostu i nie do końca właściwa.

Kiedy to czytała, oczy jej zwilgotniały. Jak cudownie, że dziadek znalazł najlepszego przyjaciela w osobie jej ojca. Kto by pomyślał, że polubi człowieka, który doprowadził jego jedyne dziecko do przedwczesnej śmierci? Dziadek bardzo kochał jej matkę, a teraz całą miłość przeniósł na nią. Ona kochała jego i nie chciała go zawieść. Przez chwilę myślała o powrocie, ale co tu dużo mówić – wróciłaby na tarczy, i to nie dlatego, że ktoś ją wyrzucił ze szpitala, tylko z powodu tego, że nie wpisuje się w obyczajowość osób pokroju ciotki Reszczyńskiej. A przecież wyjechała z Krakowa właśnie dlatego, że tamtejsze środowisko medyczne mogło zaakceptować studiujące kobiety, ale już do ich pracy w klinikach uniwersyteckich nie chciało się przyzwyczaić. Wieść głosiła, że o wiele łatwiej było kobietom zatrudnić się w Warszawie. Wprawdzie „łatwiej” nie znaczyło „łatwo”, o czym przekonywała się w pracy niemalże każdego dnia, ale mimo wszystko lekarek pracujących w szpitalach było bardzo dużo.

– Nic to – westchnęła i wyjęła kartkę, na której miała zanotowane dwa inne adresy. – Idziemy dalej. Pora obejrzeć pokoje numer dwadzieścia osiem oraz dwadzieścia dziewięć.



Doktor Ungerowa wbiła w Zosię spojrzenie swoich jasnych pięknych oczu. Mimo szacownego wieku wciąż pracowała, na sercu leżało jej dobro innych lekarek, dlatego chętnie służyła radą młodszym od siebie.

– Doszły mnie słuchy, że ciężko ci w szpitalu – powiedziała.

Zosia z przestachem spuściła głowę. „Mój Boże – pomyślała – nigdy się nie skarżyłam. Doktor Ungerowa gotowa pomyśleć, że latam z ozorem i opowiadam o swoim ciężkim życiu”. Wiedziała, jak trudną drogę przeszły zarówno doktor Ungerowa, jak i jej starsza koleżanka, doktor Dobrska, i nigdy by się nie ośmieliła porównywać do nich.

– Nie, wcale nie, pani doktor, naprawdę nie... – powiedziała szybko. – Ja nigdy nie...

– Nie obawiaj się, moje dziecko. – Stara lekarka uśmiechnęła się do Zosi.
– Nikt nie powiedział, że się skarżysz.

– To skąd pani... – Zosia umilkła i przełknęła ślinę.

– Miałam ostatnio wykłady dla położnych i natknęłam się na doktora Halickiego, który z właściwym sobie brakiem taktu opowiadał mi, jak to kobiety z racji słabego umysłu nie nadają się na lekarki, jedynie na położne. Podpytałam go wtedy o ciebie, Irenkę Kraśkównę, Renatkę Maliborską i Gienię Sukiennik.

Zosia westchnęła.

– Wyobrażam sobie, co o nas powiedział – stwierdziła.

Doktor Ungerowa zrobiła rozbawioną minę.

– Nie, moja droga, nawet sobie nie wyobrażasz. Otóż on was strasznie krytykował. Że dopust Boży, tyle kobiet pracuje na oddziale. A najgorzej wyrażał się o tobie. I dlatego pomyślałam, że zaproszę cię tutaj i spytam, czy byś nie chciała zmienić pracy.

– Nie, nie, pani doktor. – Zosia przeraziła się, sądząc, że Grażyna Ungerowa sugeruje jej, aby odeszła ze szpitala i oddała się wykładowi oraz

działalności społecznej. – Ja sobie radzę, naprawdę, i nigdy bym nie chciała odejść.

– Ależ ja cię nie namawiam, żebyś odeszła z zawodu, tylko żebyś zmieniła szpital, w którym pracujesz – powiedziała serdecznie jej mentorka.

Zosia rozdziawiła usta ze zdumienia. Dlaczego miałyby zmienić szpital? Pracowała w najlepszym szpitalu w Polsce! Jego fundatorzy, bankier Leon Feliks Goldstand^[10] oraz jego żona Zofia, wybudowali przy wsparciu władz Warszawy nowoczesną placówkę, z przestronnymi salami porodowymi, inkubatorami dla noworodków, łazienkami oraz toaletami! Sala operacyjna była wentylowana elektrycznie i odpowiednio oświetlona, szpital miał własną pralnię i sterylizatornię narzędzi. Na jego terenie znajdowała się ponadto Miejska Szkoła Położnych. Na każdym z jej kursów szlchetnego fachu uczyło się około czterdziestu kobiet. Każdy, kto pracował w Szpitalu Świętej Zofii, czuł się, jakby złapał Pana Boga za nogi. Nikt nie chciałby odejść stamtąd z własnej woli. A już na pewno nie ona. A poza tym, dokąd miałyby pójść?

– Ale na jaki? – spytała.

– Szpital Ujazdowski potrzebuje młodych, dobrze wykształconych lekarek – powiedziała doktor Ungerowa. – Widziałabym tam ciebie.

– Mnie? – Zosia nie posiadała się ze zdumienia. – Przecież to szpital wojskowy. Co ja bym tam miała robić?

Grażyna Ungerowa zaczęła się śmiać.

– Pracować – powiedziała w końcu. – Na oddziale położniczym jest wakat. Moja koleżanka, doktor Zofia Garlicka^[11], jest tam ordynatorem. Znam też doktor Hołówkową^[12], jej prawą rękę.

Zosia rozważała wszelkie za i przeciw. Nie wiedziała, że w szpitalu wojskowym jest oddział ginekologii i położnictwa.

– Moja córka i zięć tam pracowali – zachęcała Zosię Grażyna Ungerowa.
– Ona na położnictwie, zięć jako chirurg. Mają służbowe mieszkanie. Niestety opuszczają mnie, wyjeżdżają do Bostonu. I tak sobie pomyślałam,

że wprawdzie jest tam oddział położniczy, ale może chciałabyś pomyśleć o neurologii, pediatrii albo nawet o... chirurgii.

Zosia wiedziała, że to niemożliwe. Chirurgia była jej najskrytszym marzeniem, zdawała sobie sprawę, że ta ścieżka jest niedostępna nawet dla doktor Ungerowej, a co dopiero dla niej. Zosia mogła poczuć się jak chirurg jedynie podczas wykonywania cesarskiego cięcia.

– Nie musisz decydować teraz – oznajmiła pani doktor. – Przemyśl to.

Zosia zatopiała się w myślach.

– Pani córka i jej mąż mają służbowe mieszkanie? – spytała nagle. – Ja też bym mogła takie dostać?

Doktor Ungerowa zastanowiła się.

– Wydaje mi się, że przydzielają te mieszkania tylko rodzinom, ale dowiem się. Jeśli będzie to możliwe, postaram się, aby ci takowe przyznano, mam tam pewne wpływy.

– Pani doktor, z nieba mi pani spadła! – Zosia klasnęła w ręce. – Jeśli tylko zostanie mi przydzielone mieszkanie, to z radością będę tam pracowała!

Rudolf Albert von Kölliker

1817–1905

Rudolf Albert von Kölliker wyjął ze skrzyni nowy model mikroskopu optycznego, oczyścił go z trocin i ostrożnie ustawił na obitym skórą biurku. Starszy model, z którego do tej pory korzystał, przesunął nieco do tyłu.

– Jest piękny i pełen gracji – powiedział do swojego młodszego kolegi, Arnolda Lutrie.

– To prawda – przytaknął Lutrie, odnotowując po raz kolejny, że Kölliker o mikroskopach i preparatach histologicznych wyrażał się jak o kobietach.

– Mógłbym do końca życia chodzić piechotą i spać w szałasie, bylebym mógł korzystać z dobrodziejstw mikroskopu – ciągnął Kölliker.

Lutrie nie roześmiał się, gdyż wiedział, że Kölliker nie żartuje. Mikroskop, a zwłaszcza to, co anatom mógł dzięki niemu obejrzeć i opisać, był jego całym życiem i absolutną pasją. Wychowany na pracach dwóch francuskich biologów, Jeana Baptiste’a Lamarcka i Georges’a Cuviera, twórców biologii ewolucyjnej, kontynuował ich dzieło, opisując złożoność budowy człowieka.

– Sądzę, panie doktorze, że gdyby nie wynaleziono maszyn parowych, to i mikroskopu nie dałoby się udoskonalić – powiedział Lutrie i ponownie zajrzał do okularu swojego przyrządu.

– Nowy mikroskop wymaga specjalnego preparatu, absolutnie wyjątkowego – mruknął Kölliker, ignorując słowa młodzieńca. – Co by tu obejrzeć? A pan nad czym pracuje? – zainteresował się nagle.

Lutrie umieścił na szkiełku podstawowym komórki wnętrza naczyń krwionośnych człowieka wyizolowane z mięśnia serca. Serce, chociaż

samo w sobie pełne krwi, jako mięsień czerpało tlen i składniki niezbędne do pracy z naczyń, które je oplatały.

– Mięśnie wewnętrzne naczyń krwionośnych – powiedział.

– Czy już opisał pan te naczynia? – dopytywał Kölliker.

Lutrie skinął głową.

– Naczynia, które odżywiają serce, niczym nie różnią się w swojej budowie od tych, które dostarczają krew do wątroby, śledziony czy trzustki – wyrecytował. – Tak jak pan sugerował już podczas pierwszych badań.

Kölliker pokiwał głową i zatopił się w myślach. Lutrie nie był pewien, czy taka odpowiedź jest zgodna z teorią zależności czy też jej przeczy. Kölliker, podobnie jak Cuvier, uważał bowiem, że narządy w organizmie człowieka zbudowane są na zasadzie ścisłej współzależności budowy i czynności. To był wstęp do stwierdzenia, że organizm człowieka składa się z oddzielnych narządów, które nie funkcjonują odrębnie, ale ściśle ze sobą współpracują. Ostatnio zbadali budowę naczyń krwionośnych pobranych z różnych miejsc i stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że różnica występuje jedynie między ścianą naczyń żylnych i tętniczych.

– Bardzo dobrze... – powiedział w końcu Kölliker. – To potwierdza teorię, że naczynia krwionośne pełnią funkcję integracyjną w całym organizmie. Zadaniem tętnic jest dostarczanie krwi do tkanek, zadaniem żył jest jej odbieranie i prowadzenie do płuc, żeby nasyciła się ponownie tlenem.

– Czyli naczynia nie poddają się teorii ewolucji? – spytał nieśmiało Lutrie.

Doktor Kölliker zastanowił się. Lutrie wiedział, że zbiera myśli, aby nie tylko wyjaśnić mu zawłości anatomii i fizjologii naczyń, ale też samemu podsumować wiedzę, którą do tej pory zgłębili. Było to przygotowanie do przyszłej polemiki z teoriami Cuviera.

– Wiesz, że Cuvier był przeciwny Lamarckowi – zaczął Kölliker. – A ten uważał, że teoria ewolucji to nie tylko ogólne pojęcie, ale dotyczy także narządów, tkanek, a nawet najmniejszych komórek. Lamarck twierdził, że

ani zwierzęta, ani ludzie jeszcze nie dotarli w toku ewolucji do końcowego etapu rozwoju. Dotyczy to zarówno ich budowy makroskopowej, jak i mikroskopowej. Uważam, że Lamarck miał rację. I chociaż Cuvier wprowadził podstawowe pojęcia anatomiczne, to jeśli chodzi o własną koncepcję rozwoju zwierząt i ludzi, zasadniczo się mylił.

Kölliker zawiesił głos i Lutrie poczuł się wywołany do odpowiedzi.

– Aby wyjaśnić występujące różnice międzygatunkowe u zwierząt kopalnych i współczesnych, Cuvier stworzył teorię katastrof, to znaczy domniemywał, że w przyrodzie występowały pewne zjawiska, które powodowały wyginięcie jednych gatunków, a powstawanie innych, nowych.

– I pewnie teoria ta zostałaby zaakceptowana, gdyby nie Lorenz Oken – wszedł mu w słowo Kölliker, który uwielbiał podobne dyskusje.

– Tak – potwierdził Lutrie, który doskonale odnajdywał się w roli młodszego rozmówcy o znacznie mniejszej wiedzy. – Jako jeden z pierwszych przeprowadził bardzo szeroko zakrojoną analizę porównawczą cech anatomicznych i fizjologii tkanek i narządów u różnych gatunków zwierząt. Poza pewnymi różnicami wynikającymi wyłącznie z zaawansowania gatunkowego, tkanki nie różniły się zbytnio między sobą.

– Właśnie. I nie bez znaczenia jest tu fakt, że Oken swoje badania poczynił lata temu – zauważył Kölliker.

– Opieramy się na jego publikacji z tysiąc osiemset ósmego roku – wtrącił Lutrie.

– Tak. – Kölliker ponownie spojrzął w mikroskop, a Lutrie zamyślił się i po chwili spytał:

– Czemu scedował pan większość badań porównawczych nad tkankami i komórkami na mnie, a sam zajmuje się pan badaniami nad embrionami?

Kölliker uśmiechnął się.

– Twierdzi pan, doktorze, że powinienem się skupić na tkankach i komórkach? Zbadać je do końca? I dopiero wtedy zacząć pracę nad innym tematem?

Lutrie tak właśnie uważał, ale milczał i czekał na odpowiedź Köllikera.

– Właściwie to nie wiem – wyjaśnił ten po chwili. – Czasem jest tak, że koncentruję się na jakimś układzie, na przykład krwionośnym, i przechodzę stopniowo od narządów do tkanek, wreszcie badam komórki. Oczywiście z pana pomocą. Innym razem wpada mi w ręce jakiś artykuł i zaczynam pracować nad podjętymi w nim zagadnieniami, rozwijać badania, które ktoś już wykonał.

– Czasami się w tym gubię. Proszę mi wybaczyć... – wyznał Lutrie.

– Drogi panie kolego, proszę mnie nie przepraszać. Kiedy dyskutujemy nad przyczyną albo skutkiem badań, jakie prowadzimy, taka dyskusja zawsze jest rozwijająca – uspokoił go profesor Kölliker.

– No tak... – bąknął Lutrie.

– I ma pan prawo pytać o wszystko co się wiąże z tym, co kładziemy pod mikroskop.

„Czyli mogę rozważać dowolny problem, w każdej naszej rozmowie”, pomyślał Lutrie. „Bo wszystko, o czym dyskutujemy, kładziemy pod mikroskop i analizujemy”.

– I ja panu odpowiem, jeśli będę umiał. A jeśli nie będę, to się razem zastanowimy nad powyższą kwestią – kontynuował Kölliker, po czym wyjął z szuflady gęsto zapisaną kartkę papieru i podał ją młodszemu koledze. – Niech pan czyta – polecił.

Lutrie spojrział na kartkę.

– To list od profesora Karla Ernsta von Baera – powiedział nabożnym szeptem.

– Tak jest – potwierdził Kölliker i dla porządku dodał: – Karl Ernst von Baer, profesor uniwersytetów w Królewcu i w Petersburgu, to najwybitniejszy przedstawiciel ruchu embriologicznego w anatomii. Niech pan czyta.

– „Szanowny panie profesorze” – odczytał uroczyście Lutrie. – „Dziękuję za pańskie pismo. Znam pana znakomite publikacje dotyczące budowy mięśni szkieletowych i polecam je swoim studentom...”

– Niech pan czyta od trzeciej strony – zniecierpliwiał się Kölliker. – Publikacje, których dotyczą te uprzejmości, są panu przecież doskonale znane.

Lutrie kiwnął głową. Wspomniane badania Kölliker wykonał tuż po studiach i dowiódł wtedy, że przyszłością rozwoju medycyny są nie tyle sekcje i pokazowe operacje, ile badania mikroskopowe.

Lutrie czytał dalej na głos:

– „Momentem przełomowym w moich badaniach histologicznych było odkrycie, że powinienem zacząć analizę od embrionów. Przedstawiona przeze mnie trzydzieści lat temu teoria listków zarodkowych, w myśl której powstający twór, czy to zwierzę, czy człowiek, zbudowany jest początkowo z trzech warstw komórkowych, różnicujących się potem w komórki, tkanki i wreszcie narządy oraz układy, była w pierwszej chwili niezrozumiała nawet dla mnie...”

– Czyta pan jak papuga – zdenerwował się Kölliker i zabrał Lutriemu list.

– Bo nie rozumiem tego – wyznał asystent. – Spędziłem tyle czasu na analizie budowy krwi, skóry i komórek mózgowia, że nie pojmuję, jak mogły powstać z zaledwie trzech warstw.

– Drogi kolego. – Tym razem ton Köllikera nie był ani pobłażliwy, ani zniecierpliwiony. – Ja też tego początkowo nie rozumiałem i chciałem powtórzyć badania von Baera, żeby obalić tę teorię. Ale pojąłem wtedy dwie rzeczy.

Lutrie mógł się założyć, że jego mentor powtórzył każdą czynność von Baera i obejrzał samodzielnie każdą opisaną przez badacza tkankę.

– Początkowo zacząłem powtarzać jego badania i rozszerzać je o swoje obserwacje. Byłem zadowolony, kiedy uzyskałem potwierdzenie jego teorii. Potem zrozumiałem, że popełniam błąd. I to duży błąd.

– Jaki? – spytał Lutrie.

– Otóż taki, że nauka nie rozwija się wtedy, kiedy w nieskończoność powielamy nasze badania. Powinniśmy przyjąć to, co opisał już ktoś inny,

jako swoje i iść dalej. Gdybyśmy zachowywali swoje teorie dla siebie, to...

Przerwał na chwilę i otarł czoło chustą.

– To ktoś inny jako pierwszy opublikuje nasze dokonania? – odpowiedział Lutrie.

– Też, ale nie o to tylko chodzi. – Profesor pokręcił głową. – Publikujemy badania po to, aby wytyczać nowe ścieżki, aby rozumieć coraz więcej. Darwin^[13] czekał latami, żeby opisać to, co odkrył podczas podróży po obu Amerykach. Bał się, oczywiście, że jego teorie podważą nauki Kościoła, i to jest w jakimś stopniu zrozumiałe.

– Dziś także boimy się pewnych uogólnień – skontrował Lutrie. – Dlatego wciąż powtarzamy badania.

Sam był świadkiem dyskusji na pewnym posiedzeniu naukowym w Berlinie, kiedy Kölliker spierał się ze znanym i uznanym profesorem, że badanie budowy komórek i tkanek w żaden sposób nie przeczy nauce Kościoła. „Jeśli to Bóg stworzył człowieka – dowodził – to najwyraźniej zrobił to tak dokładnie, że efekty można obejrzeć pod mikroskopem”.

– Dlatego szukamy szczegółów, o czym ciągle panu przypominam. – Kölliker uniósł palec wskazujący.

– A druga rzecz, którą pan pojął? – spytał z westchnieniem Lutrie, który rozumiał jedno: że wszystkie rozwiązania znajdują się na szkiełku podstawowym.

– Skoro powstaliśmy z jednej komórki – a co do tego wszyscy się zgadzamy – to jak możemy negować fakt, że wszystkie organy wzięły się z trzech warstw komórek, które się zróżnicowały?

Lutrie zastanowił się głęboko.

– I teraz będziemy się tym zajmować? – zapytał. – Różnicowaniem tych trzech warstw na poszczególne organy i tkanki?

– Tak – odparł Kölliker. – Tym będzie się zajmował pan. Ja zaczynam badania nad ową komórką, która daje początek wszystkiemu. Niech pan przeczyta przedostatni akapit listu.

Lutrie posłusznie wziął odebrany sobie wcześniej rękopis, znalazł właściwy fragment i przeczytał:

– „Najważniejszym moim spostrzeżeniem jest jednak istnienie embriologii porównawczej. W trakcie rozwoju wewnątrzmacicznego płód powtarza całą drogę ewolucyjną...” To nie może być. – Przerwał i podał Köllikerowi pismo. Pewne rzeczy po prostu nie mieściły mu się w głowie.

– Ależ może – zapewnił go Kölliker. – Von Baer to udowodnił. Zrobił coś jeszcze, i to lata temu. Mianowicie opisał jajo ssaków.

– Nie rozumiem – powiedział Lutrie gwałtownie i zaraz się zdenerwował, że uraził profesora.

Rudolf Albert von Kölliker słynął z łagodnego usposobienia i zawsze był chętny do tłumaczenia, ale jako że sam spędzał wiele godzin na pracach porównawczych i badawczych, wymagał od swoich asystentów, żeby nadążali za problemami, które aktualnie zgłębiał. Mówiąc tak beztrąsko „nie rozumiem”, Lutrie narażał się na naganę, być może nawet gniew przełożonego, a kto wie, czy nie na wykluczenie z badań.

– Przepraszam bardzo – powiedział skruszony. – Uzupełnię wiedzę i...

Naukowiec pokiwał głową.

– Właśnie o to chodzi, doktorze Lutrie – odparł. – W roku tysiąc osiemset dwudziestym siódmym von Baer dokonał wielkiego odkrycia, a mamy już rok tysiąc osiemset czterdziesty i mało kto o tym odkryciu słyszał. Proszę. – Podał mu rycinę z rysunkami. – To jest, jak pan widzi, jajo ssaka. Co miesiąc z tego jaja wyłania się pęcherzyk. Pod wpływem żeńskich hormonów płciowych rośnie, aż w końcu pęka. Do czasów badań von Baera mylnie sądzono, że ten pęcherzyk jest komórką jajową. Von Baer udowodnił, że pękający pęcherzyk dopiero ją uwalnia. Po czym dokładnie ją opisał.

Lutrie oglądał ryciny i raz za razem kiwał głową.

– Rozumiem – powiedział w końcu. – Teraz już rozumiem.

– Nie jest to łatwa wiedza, ale trzeba się z nią zmierzyć – dodał Kölliker, wracając do stołu, na którym stał mikroskop.

– Czyli tym właśnie teraz będziemy się zajmować? – spytał Lutrie. – Pan zajmie się ową komórką, a ja listkami zarodkowymi?

– Absolutnie nie – zaprzeczył profesor i westchnął, bo był już nieco zniecierpliwiony. – Już panu mówiłem, że nie będziemy powtarzać niczyich badań. Zajmiemy się rozwijaniem wiedzy na temat komórki jajowej, a szczególnie tym, jak zostaje zapłodniona. Będziemy badać wycinki z jąder ssaków oraz analizować nasienie pod kątem jego zawartości.

– Skąd pozyskamy nasienie? – spytał Lutrie, czując nagle narastający niepokój.

Kölliker wyglądał, jakby miał się roześmiać, ale zamiast tego uniósł palec i powiedział:

– Możemy skłonić mały albo psy, żeby nam go dostarczyły, ale prościej będzie, jeśli zrobimy to sami.

Lutrie przeżegnał się.

– Boże, przebacz mi to, co muszę uczynić – wyszeptał.



Rudolf von Kölliker oglądał z uwagą szkice komórki nerwowej pobranej z mózgu psa. Porównywał ją z komórką opisaną przez profesora Roberta Remaka, poznańskiego histologa. Oglądana przez niego komórka miała długą wypustkę. Remak już w 1838 roku opisał taką wypustkę komórki nerwowej i nazwał ją aksonem. Komórki, które pobierał z tylnej części mózgu, czyli z mózdzku, miały inną nieco budowę, ale sama struktura pozostawała podobna.

Wypustka zwana aksonem jest charakterystyczna dla wszystkich komórek nerwowych biegnących od kory mózgu do ciała – zanotował Kölliker. – Aksony mają różną długość. Kończą się małymi wypustkami, które nie łączą się bezpośrednio z inną komórką, ale pozostają z nią w bliskości. Jak można zinterpretować takie połączenie, tego Remak nie opisuje.

Odłożył pióro. Przypomniawszy sobie, że trzy lata po swoim odkryciu poznański profesor opisał inne włókna nerwowe, bezrdzenne, nazwane później jego imieniem – włókna Remaka. Były to jakby gołe, nieotoczone płaszczem osłonowym wypustki nerwowe. Kölliker zastanowił się chwilę i znów chwycił za pióro.

Profesor Remak przypuszcza, że włókna bez osłony mają inne przeznaczenie niż te z osłoną. Przedstawił ostatnio badania, które dowodzą, że włókno osłonięte przewodzi impulsy szybciej niż nieosłonięte.

– Ile bym dał, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, na jakiej zasadzie funkcjonuje komórka nerwowa – powiedział do siebie.

Zarzucił jednak zgłębianie budowy mikroskopowej mózgu i powrócił do analizowania bardzo ciekawej struktury, która u ludzi mieściła się pod żebrami po lewej stronie. Śledziona wydawała się organem zupełnie niepotrzebnym, być może pozostałością po przodkach, ale Kölliker zaobserwował, że gromadzą się w niej stare, obumierające krwinki czerwone. Dlatego nazwał tę strukturę „cementarzyskiem krwinek czerwonych”.

– Czy krwinki giną w tym miejscu, czy też gromadzą się tam już martwe? – zastanawiał się na głos.



– Wszystkie organizmy zbudowane są z komórek – zaczął swój wykład doktor anatomii Rudolf von Kölliker w 1841 roku w Berlinie. – Opisali to w swoich monografiach badacze tacy jak Matthias Schleiden, profesor botaniki na uniwersytecie w Jenie, oraz Theodor Schwann, zoolog. Ten drugi uściślił dotychczasowe spostrzeżenia i dokładnie opisał budowę podstawowej jednostki budulcowej żywego organizmu. Wszystkie komórki składają się z żywych kulek otoczonych błoną albo ścianą i wypełnione są cieczą, w której pływa jądro.

– Przedstawia pan tu teorię o wspólnym pochodzeniu całego świata ożywionego! – zagrzemiał ktoś z widowni, ale Kölliker zachował spokój.

– Tak, ponieważ przez ostatnie dwa lata zgłębiałem budowę komórek różnych narządów, zarówno ludzkich, jak i zwierzęcych, i moje obserwacje potwierdzają tę teorię. Jeśli panowie pozwolą, chciałbym kontynuować – powiedział.

Rozległy się ciche pomruki przyzwolenia.

– Miesiąc temu miałem niewątpliwą przyjemność być obecnym w tej sali na wykładzie profesora Roberta Remaka, którego badania nad komórką nerwową i jej wypustkami znam od wielu lat. Tym razem profesor Remak mówił o zwojach nerwowych w sercu. Wydaje się, że wszystkie komórki nerwowe powinny mieć taką samą budowę, ale tak nie jest, co udowodnił między innymi mój znakomity kolega. Mają jednak podobną budowę. Komórki, nawet będące częścią jednego układu, różnią się między sobą ze względu na funkcję. To też przyczynek do stwierdzenia, że wszystko w naszym organizmie, od komórki, przez tkankę, po narząd i układ, jest tak zbudowane, aby pełnić określone funkcje. Aby służyć większej całości, jaką jest organizm.

Tu przerwał, potem powiódł wzrokiem po obecnych, którzy słuchali go – niespełna trzydziestoletniego doktora – w ciszy i skupieniu. Wziął głęboki oddech i kontynuował:

– Zatem w organizmie na samym początku dochodzi do wyodrębnienia kilku warstw komórkowych, z których powstają poszczególne linie komórkowe. Funkcja, którą komórki mają pełnić, determinuje ich budowę...



Patrzył z dumą na książkę swojego autorstwa, która właśnie ukazała się w druku. „Rudolf Kölliker *Handbuch der Gewebelehre*” – widniało na okładce.

– Chciałbym panu profesorowi złożyć najserdeczniejsze gratulacje – usłyszał głos jednego ze swoich asystentów, doktora Teodora Levy’ego.

– Pan także ma w tym swój udział. – Kölliker uśmiechnął się do niego.

– Minimalny – odpowiedział poważnie Levy. – Jestem dumny, że mogę uczyć się pod pana kierunkiem.

– A ja wdzięczny, że mam tak chętnego do pomocy asystenta, który nie boi się moich kontrowersyjnych pomysłów.

– Jeśli ma pan na myśli oddawanie nasienia, to podszedłem do tego jak naukowiec – odparł Levy z godnością, ale na samą myśl o tamtym „pobraniu materiału” do badań zrobiło mu się gorąco ze wstydu. – Szkoda, że nie pozwolił mi pan odciąć kawałka mięśnia, w znieczuleniu oczywiście – dodał nie bez żalu.

Kölliker wrócił do mikroskopu. W rękę trzymał świeżo przygotowany preparat mięśni poruszających jelita. Obecnie badał ich strukturę.

– Mięsień to nie jest tkanka, która się łatwo regeneruje, co udowodniłem – powiedział i spojrzał ciepło na swojego asystenta.

Levy przypomniał sobie wycinanie fragmentów tkanki mięśniowej kotom i psom oraz obserwacje procesu regeneracji. Musiał przyznać swojemu mentorowi rację.

– Jutro wyjeżdża pan na wykłady do Würzburga, a następnie do Zurychu. Czy nie chciałby pan odpocząć przed podróżą? – zmienił temat.

Kölliker oderwał wzrok od mikroskopu.

– A czemuż miałbym odpoczywać? – spytał zdumiony. – Wykłady mam przygotowane, a pakować się specjalnie nie muszę. Poza tym nie mogę się doczekać wyjazdu, a praca pozwala mi dobrze spożytkować czas.

– Jedzie pan do miast, w których pan studiował – zauważył Levy.

– A tak. – Kölliker zadumał się. – I pomyśleć, że przedstawię tam swój podręcznik histologii.

Levy spojrzał na książkę, którą profesor z lubością gładził. Wiedział, że jest to wielkie dzieło – profesor nie tylko podsumował dotychczasową

wiedzę o tkankach, mięśniach, sercu, krwi i śledzionie, lecz także opisał własne szeroko zakrojone badania.

– Tym właśnie jest ta książka. Podręcznikiem dla studentów medycyny i lekarzy. To kompendium wiedzy – powiedział Levy.

– Zastanawiam się nad jednym – westchnął nagle Kölliker. – Przecież nasze badania wciąż są aktualizowane. Już po wydaniu mojej książki przeczytałem prace Henlego dotyczące włókien mięśniowych w ścianach tętniczek. Powinienem dopisać do książki jego odkrycie. Wie pan, o których badaniach mówię?

Levy pokiwał głową. Jakob Henle w 1839 roku zbadał i opisał mikroskopową budowę wnętrza nerki. W samym jej miąższu znajdowały się pętle w kształcie litery U, części kanalików moczowych. I to odkrycie, powitane entuzjastycznie między innymi przez Köllikera, ten ostatni umieścił oczywiście w swoim podręczniku. Henle jednak, wzorem innych mikroskopistów, nie próżnował i zajął się budową ścian kapilarów, czyli najmniejszych tętnic. W ich ścianach znalazł włókna mięśniowe. Początkowo on sam i wszyscy dokoła sądzili, że Henle się myli, bo skąd w maleńkich naczyniach znalazłyby się włókna mięśniowe? Ale okazało się, że uczoney ma rację. Wielokrotnie powtórzył swoje badania i ogłosił, że naczynia krwionośne mają w ścianach włókna mięśniowe, i to dzięki ich kurczliwości krew przedostaje się do komórek.

– Wiem – powiedział Levy. – I wiem, że chciałby pan, żeby pana podręcznik zawierał te badania. Ale to niemożliwe. Przy takim tempie rozwoju badań nad fizjologią, histologią i cytologią, podręczniki szybko tracą na aktualności i trzeba spisywać nową wiedzę co kilka lat, a nawet częściej.

– Ma pan rację, doktorze – odparł Kölliker. – Umieszczę wnioski Henlego w następnym wydaniu mojego podręcznika.

– A także ostatnie odkrycia profesora Remaka, które ma dopiero ogłosić. Zdaje się, że dotyczą zwojów nerwowych w sercu.

– To prawda – potwierdził Kölliker, a na jego twarzy zagościł wyraz najwyższego szczęścia. – Wtedy być może sam będę już po dogłębnej

analizie włókien mięśnia serca i kto wie, czy nie znajdę tej struktury, która pobudza je do pracy...



Ponownie stał za katedrą wydziału lekarskiego Uniwersytetu Berlińskiego, tym razem już jako uznany histolog, autor podręcznika dla studentów. Prezentował swoje kolejne dzieło, zatytułowane *Entwicklungsgeschichte des Menschen und der höheren Tiere*, które było pionierskim opracowaniem z zakresu embriologii. Przemawiał do kilkudziesięciu studentów medycyny. Musiał ich przekonać, że anatomia opisowa i topograficzna to już przeszłość, a lekarz w dzisiejszych czasach powinien korzystać z dobrodziejstw mikroskopu.

– Nawiązując do opisanych już przeze mnie prac profesora von Baera, skupiłem się na badaniu rozwoju trzech warstw, z których powstaje człowiek. Nazwałem je listkami zarodkowymi – zaczął mówić.

Wcześniej konsultował swoje wystąpienie z kolegami. Nie podobało im się, że jego wykład w tak jawny sposób nawiązywał do teorii ewolucji Darwina.

„Pana wnioski na temat komórkowego pochodzenia plemników i ich udziału w procesie zapłodnienia wywołują mieszane odczucia wśród profesorów uniwersyteckich, a co dopiero wśród studentów”, stwierdził jego imiennik doktor Rudolph Gertner, z którym prowadzili wspólnie badania na temat komórkowej struktury mięśni gładkich.

Kölliker nie zgadzał się z Gertnerem. Uważał, że studenci medycyny to przyszłość. Mają burzyć stary porządek, korzystać z nowych podręczników i uczyć się o najnowszych odkryciach medycyny. W swoich wykładach poświęcał mnóstwo czasu tematowi pracy badawczej jako takiej. Uczył, w jaki sposób należy prowadzić badania, jak formułować ich cel, jak znaleźć najwłaściwszą metodę badawczą, jak prawidłowo opisać swoje

wnioski. Uważał, że zamiast rywalizować, warto prowadzić merytoryczną polemikę z innymi badaczami.

Odegnął to wspomnienie i skupił się na wygłaszanym wykładzie.

– Chciałbym jednak dziś zacząć od dawniejszych badań nad rozrodem.

Wśród studentów przebiegł pomruk, a Kölliker nie wiedział, czy wyrażał on niezadowolenie czy zawstydzenie.

– Powiększający się pęcherzyk – powiedział głośno i dobitnie – w drugiej części cyklu miesięcznego pęka i uwalnia komórkę jajową. Do niedawna nie wiedzieliśmy dokładnie, jak dochodzi do jej zapłodnienia, innymi słowy, co się z nią dzieje, zanim w jamie macicy zacznie rozwijać się dziecko. Moje badania pozwoliły na ustalenie, że męskim czynnikiem prowadzącym do zapłodnienia jest komórka obdarzona zdolnością ruchu, która znajduje się w męskim nasieniu...

Studenci słuchali go w ciszy, kiedy omawiał dokładną strukturę owej komórki i dowodził, że to do nich należy ustalenie, dlaczego komórka jajowa jest z reguły pojedyncza, podczas gdy w nasieniu występuje mnóstwo męskich komórek zapładniających.

– Czy to prawda, że kiedyś uważano, że czynnikiem zapładniającym jest samo nasienie, a obecność opisanych przez pana komórek jest przypadkowa? – spytał jeden ze studentów po tym, jak Kölliker zakończył wykład.

– To prawda. – Uśmiechnął się. – Uważano nawet, że komórki zawarte w nasieniu to nic innego jak pasożyty.

Rozległ się śmiech. Kölliker zdjął okulary i spojrzał w dziesiątki par oczu, jasnych i ciemnych.

– Czy mają państwo jeszcze jakieś pytania?

– Dlaczego nie zajął się pan medycyną kliniczną? – spytał ktoś, ale zaraz przeprosił, zganiony przez kolegę siedzącego obok.

– Proszę nie przepraszać, odpowiem na to pytanie, bo jest ono bardzo ważne. – Kölliker uniósł rękę, żeby uciszyć zebranych. – Otóż, drogi panie, po ukończeniu studiów w Szwajcarii chciałem zacząć pracę w klinice

chorób wewnętrznych. Na początek zaprowadzono mnie do anatomicum, później do mikroskopowni. Widziałem oczywiście wcześniej preparaty na studiach, opisywaliśmy je z kolegami i cieszyliśmy się, gdy Lister udoskonalił ostrość obrazu, ale wtedy nie zdawałem sobie sprawy, jak ważnym aspektem leczenia jest analiza mikroskopowa. W tamtej pracowni zrozumiałem, że nigdy nie będę podawał choremu lekarstw, ale zrobię wszystko, żeby poznać funkcjonowanie narządów. Ot, impuls, ale wydaje mi się, że bardzo ważny.

– Stworzył pan podwaliny histologii. Nikt nie prowadził tak obszernych badań jak pan. Opisał pan mięśnie, komórki rozrodcze, nerkę, wątrobę...

– Dziękuję, ale równie dobrze można powiedzieć, że oglądałem w powiększeniu wszystko, co tylko mi się nawinęło pod rękę, i miałem to szczęście, że nie myliłem się tak często jak inni.

– Co trzeba zrobić, żeby zostać badaczem struktur mikroskopowych? – To pytanie padło z najwyższego rzędu, a zadał je młodzieniec o wyglądzie dziecka.

Kölliker zastanowił się głęboko. Od odpowiedzi na to pytanie wiele zależało. Medycyna kliniczna być może była najszybciej rozwijającą się dziedziną w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, ale pora, aby palmę pierwszeństwa przejęły nauki bazujące na podstawach: na komórce, jej budowie oraz funkcji.

Długo myślał, jak ubrać w słowa to, co czuł. Wreszcie oznajmił:

– Rozwój nauki bierze się z niezgody, z tego swoistego buntu, który się w nas rodzi, gdy patrzymy w mikroskopy i nie rozumiemy, co widzimy. Ze złości, którą my, naukowcy, czujemy zawsze wtedy, kiedy przeprowadzane przez nas doświadczenie okazuje się celem samym w sobie i nie prowadzi do żadnych wniosków. Tyle że często *ex juvantibus* tego nie wiemy, a dowiadujemy się o tym *ex post*, kiedy już stracimy lata na udowadnianie tego, co jest bez znaczenia... Pamiętajcie o tym. Zawsze.

ROZDZIAŁ II

w którym dowiadujemy się, czy doktor Zofia odnalazła się w nowym miejscu pracy, poznamy jej kolegów i koleżanki oraz spotykamy w Szpitalu Ujazdowskim pewne znane osobistości tamtych czasów. Dowiadujemy się także więcej o życiu osobistym Zosi, o jej tęsknotach i pragnieniach, a także o zawodowych ambicjach i możliwościach. Towarzyszymy jej na ekskluzywnym przyjęciu, na którym poznaje dwóch ważnych dla siebie mężczyzn. Jeden z nich zostanie miłością jej życia, drugi srodze ją zawiedzie.

Drogi Dziadku,

mam nadzieję, że zarówno Ty, jak i ojciec jesteście zdrowi. Ja już się urządziłam w moim nowym mieszkanku i jestem naprawdę szczęśliwa. Trudno mi opisać, jak bardzo cieszy mnie posiadanie własnego lokum, za które nie muszę nikomu dziękować.

Zosia przerwała w tym miejscu pisanie. Zastanawiała się, czy dziadek nie poczuje się urażony jej słowami, ale kiedy przypomniała sobie, jak ciotka ją „pożegnała”, nie miała już skrupułów. Pani Reszczyńska dotrzymała słowa i wystosowała okropny, szkalujący list, w którym nazwała ją „panną lekkich obyczajów”. I chociaż Zosia napisała starszemu panu wiadomość, w której przedstawiła swoją wersję wydarzeń, a pan Konstanty wiedział doskonale, że wnuczka nigdy nie kłamie, natychmiast do niej zadzwonił. Z rozmowy wynikało, że dziadek jest nie tyle zdumiony i głęboko zasmucony oskarżeniami ciotki, ile przerażony faktem, że Zosia pozostanie bez opieki rodziny. Dziewczyna przekonała go wówczas, że tego typu „opieka” nie tylko jej uwłacza, lecz także ją ogranicza. Wtedy zrozumiała, że zarówno u dziadka w domu, jak i w mieszkaniu ciotki udawała kogoś, kim w istocie nie była – grzeczną panienkę wyjętą żywcem z dziewiętnastego wieku, która słuchała starszych i ukrywała swoje pasję

i inteligencję. Pod tym względem propozycja doktor Ungerowej była jednym z najważniejszych wydarzeń w jej dotychczasowym życiu.

Służbowe mieszkania przysługują tylko rodzinom, dlatego doktor Ungerowa musiała użyć wszelkich swoich znajomości, żeby i ja mogła mieszkać na terenie szpitala.

Rozejrzała się po mieszkanku. Było więcej niż skromne, składało się z jednego małego pokoju oraz łazienki z bieżącą wodą, ale Zosia nie narzekała. Była pierwszą samotną kobietą, której przydzielono służbowe lokum na terenie szpitala. Właściwie mało kto mieszkał w lepszych warunkach, nawet ordynatorzy zajmowali jedno- lub co najwyżej dwupokojowe mieszkania, i to tylko jeśli mieli rodziny. Zosia postanowiła, że wszystkie zarobione pieniądze przeznaczy na urządzenie sobie przytulnego i kobiecego gniazdka. Pisała dalej:

Szpital jest wspaniały. Ciągłe się rozwija, bo po wojnie jesteście na dorobku, ale mieliśmy i mamy wspaniałych gospodarzy, na przykład pułkownika Zielińskiego^[14]. W ciągu kilku lat liczba łóżek dla pacjentów wzrosła z niespełna tysiąca do kilku tysięcy. Oczywiście jest to zasługą kierowników oddziałów. Komendant rekrutuje ich spośród najlepszych specjalistów z całego kraju, ci z kolei zatrudniają najlepszych lekarzy, także młodych.

Uśmiechnęła się przy tym do siebie, bo ona przecież należała do owych najlepszych młodych lekarzy.

Pracuję we wspaniałym zespole. Pod tym względem jest zupełnie inaczej niż w Świętej Zofii. Niemal co dzień zdaję egzaminy wewnętrzne, podchodzę do rozlicznych kolokwiów, ale nikt mnie nie obraża, nie szkaluje i nie sprawia, że czuję się nic niewarta. Omawiamy wspólnie każdy przypadek, dyskutujemy, wspieramy się wzajemnie. Moi koledzy dzielą się ze mną doświadczeniem, a ja ponoć mam nieocenioną wiedzę na temat fizjologii położnicy oraz noworodka. Sekcje są nieodłącznym elementem naszej pracy. Zjawiają się na nich lekarze z różnych oddziałów. Przeprowadzane są zwykle przez kierowników, ale potem wszyscy omawiamy dany przypadek i zastanawiamy się, czy można było cokolwiek zrobić inaczej. Przy tym nawet bardzo doświadczeni profesorowie zaznaczają, że jesteście tu po to, aby się uczyć i dzielić wiedzą, a nie wzajemnie piętnować. Niemal co dzień

odbywają się pokazowe operacje, na które może przyjść każdy, nie tylko młodzi chirurdzy. Jako operatorka mam doświadczenie, ale na razie nie mogę praktykować chirurgii.

Zastanowiła się, czy nie wykreślić ostatniego zdania, ale po namyśle pozostawiła je. Nie mówiła wprost dziadkowi, że chirurgia jest jej marzeniem, ale wiedziała, że on się tego domyślał. Bo niby czemu ciągle podkreślał, że kobieta klinicystka może liczyć na takie samo miejsce w medycynie jak mężczyzna, ale w żadnym razie nie może marzyć o zabiegach. Przecież nawet przyjaciel dziadka, profesor Napoleon Cybulski^[15], gorący orędownik pracy naukowej kobiet, nie pochwalał takich aspiracji. Dziadek także studził jej zapał, tłumacząc, że jedyne, na co może liczyć w tej materii, to drobne zabiegi oraz cesarskie cięcia. Taką możliwość zawdzięczała doktor Ungerowej, ale przede wszystkim mentorce wszystkich lekarek – doktor Dobrskiej. Zosia nie miała okazji pracować pod jej kierunkiem, doktor Anna zmarła bowiem w 1918 roku, czym pozostawiła po sobie wielką wyrwę zarówno w świecie naukowym, jak i klinicznym. To ona wykonała pierwsze w Polsce cesarskie cięcie i wyszkoliła kilka setek lekarzy i lekarek ginekologów, wykwalifikowanych położnych oraz pielęgniarek. Stała się legendą jeszcze za życia i nie było lekarki, która nie chciałaby być podobna do doktor Dobrskiej.

Zespół, do którego trafiłam, jest bardzo zgrany, ale przyjęto mnie do niego życzliwie. Pracują tu: dwóch lekarzy ogólnych – doktor Romuald Ficowski i doktor Joachim Goldschmidt – oraz chirurg Henryk Iwanicki i trzy lekarki, w tym dwie ze specjalizacją ogólną, doktor Joasia Rychter oraz doktor Danusia Rodziewiczówna. Mną opiekuje się doktor Klementyna Gorazdowska, która studia skończyła w Paryżu. Mogła tam pozostać i pracować naukowo, ale wolała wrócić do Polski. Rozpoczęła pracę w tutejszym szpitalu w przededniu epidemii tej nieznanej grypy, która i u nas w Krakowie zebrała straszne żniwo. To wspomniała koleżanka i wybitna lekarka. Będzie się uczyła pediatrii.

Tak jak wspominałam, wcale nie pracuję na ginekologii.

W szpitalu działał mały oddział położniczy. Po wstępnej rozmowie przyjęto do niego Zosię, ale nie jako etatowego pracownika, tylko na

dyżury. Oddział, podobnie jak inne kliniki na dorobku, ciągle się rozwijał i w przyszłości Zosia miała zostać tam zatrudniona na stałe, jeśli oczywiście nie zmieniałaby zdania co do wybranej specjalizacji. Na prośbę komendanta dołączyła do zespołu interdyscyplinarnego, który miał zgłębiać wiedzę z różnych specjalizacji, na każdym z oddziałów, a docelowo stworzyć własny – pediatryczny. Zosia przyjęła propozycję z ogromnym zaskoczeniem, ale po namyśle uznała ją za jeszcze bardziej atrakcyjną niż praca ginekologa i położnej, bo rozwijającą i stwarzającą nieograniczone możliwości.

Tworzymy coś na kształt lotnego zespołu, patrolu, który ma za zadanie nauczyć się wszystkiego, co możliwe, abyśmy później, gdy będziemy pracować jako pediatrzy, mieli dogłębną wiedzę z każdej dziedziny, zarówno teoretyczną, jak i praktyczną.

Tu Zosia przerwała, ponieważ dochodziła północ, a ona musiała z samego rana wstać do pracy. Zawsze przed odprawą zaglądała do pacjentów, żeby znać ich stan. Chciała jeszcze przeczytać świeżo opublikowaną pracę lekarzy Bantina i Besta na temat leczenia cukrzycy, wielką sensacją w świecie naukowym. Rok wcześniej Frederick Banting dostał Nagrodę Nobla za odkrycie insuliny. Mówiło się, że ten hormon będzie produkowany także w Polsce, co stanowiło ogromną szansę dla wszystkich ciężko chorych na „słodką” chorobę. Za kilka dni w Szpitalu Ujazdowskim planowano konferencję na temat opieki nad pacjentami z cukrzycą. Na konferencję zostali zaproszeni wybitni naukowcy z całej Polski zgłębiający temat trzustki i leczenia chorób metabolicznych. Zosia chciała być jak najlepiej przygotowana. I tylko było jej strasznie szkoda, że Napoleon Cybulski nie dożył tej chwili.



– Naprawdę go znałaś? – spytała Zosię doktor Klementyna Gorazdowska, jej starsza koleżanka i opiekunka od chwili, kiedy młoda

lekarka przestąpiła próg Szpitala Ujazdowskiego.

– Napoleona Cybulskiego? – Zosia się roześmiała. – Tak. To był cudowny człowiek.

Westchnęła, ponieważ wujcio Napoleon, który swoje imię otrzymał – a jakże – po Bonapartem^[16], zmarł przed pięciu laty. Niemal cały Kraków pogrążył się w żałobie. Zosi, która знаła tego wybitnego naukowca od dziecka, bardzo go brakowało. To on namówił ją na studia medyczne i przekonał jej dziadka, że tak uzdolniona dziewczynka z powodzeniem może praktykować ten szlachetny zawód. Wcześniej przez wiele lat zabiegał o to, aby kobiety mogły studiować na Uniwersytecie Jagiellońskim oraz by drzwi klinik specjalistycznych stanęły przez nimi otworem. To on polecił Zosię opiece doktor Grażyny Ungerowej i namówił dziewczynę i pana Konstantego, aby rozpoczęła nowe życie w Warszawie.

– Powinien dostać Nagrodę Nobla – stwierdziła Klementyna.

– Trzy razy był nominowany – przypomniała Zosia.

Za każdym razem środowisko krakowskie, ogromnie sprzyjające profesorowi, trzymało kciuki za uhonorowanie go tym najwyższym dla naukowca wyróżnieniem, ale niestety – Napoleon Cybulski nigdy go nie otrzymał.

– Powinien dostać za odkrycie adrenaliny – upierała się przy swoim Klementyna.

Zosi pozostawało tylko się zgodzić z koleżanką. W 1911 roku była jeszcze mała i nie śniło jej się, że zostanie lekarką, ale pamiętała, jak dziadek dyskutował z kolegami, że odkrycie profesora Cybulskiego jest daleko bardziej doniosłe niż badania nad dioptryką oka, choćby pionierskie, które przyniosły Nobla Szwedowi Allvarowi Gullstrandowi^[17]. Kilka lat później znów nominowano Cybulskiego, ale nagrodę otrzymał Robert Bárány^[18] za prace nad budową i funkcją układu przedsionkowego. Kiedy w 1918 roku profesor po raz trzeci miał szansę na to najwyższe wyróżnienie i wszyscy byli pewni, że tym razem Nobel powędruje do Krakowa, a skromnie żyjącemu naukowcowi, który pracował jako stomatolog, żeby wyżywić liczną rodzinę, przyniesie spokój i pieniądze na

kontynuowanie badań, ostatecznie nagrody nie przyznano. W tym samym roku profesor Cybulski zmarł.

– I za odkrycie adrenaliny, i za opisanie fal mózgowych – dodała Zosia. – Zrobił o wiele więcej niż pięciu ostatnich noblistów razem wziętych.

– Kiedy natrafiłam na jego badania, chciałam tak jak on badać mózg. – Klementyna uśmiechnęła się. – Niemalże pojechałam do Krakowa. Jak stałam.

Klementyna jeździła samochodem, nosiła spodnie i paliła papierosy jak mężczyzna, nie używając fiki. Była na tyle szalona, że Zosia wierzyła, że mogłaby pojawić się w pracowni profesora Cybulskiego i przekonać, aby przyjął ją do swojego zespołu pracującego nad falami mózgowymi.

– Na pewno by cię przyjął. Był feministą. Wojował o nas, kobiety, z Rydygierem^[19]. Rydygier nie zgadzał się, żebyśmy studiowały, a potem szykanował każdą, która zakładała fartuch lekarski.

– Uważał, że nie podołamy fizycznie. Też już nie żyje – dodała Klementyna.

Zosia wzruszyła ramionami.

– Świeć, Panie, nad jego duszą. Poróżnił się z moim dziadkiem, kiedy dowiedział się, że wstąpiłam na uniwersytet. Wcześniej bardzo go poważał, przez kilka lat nawet razem pracowali.

– Strasznie nieprzejednany – westchnęła Klementyna. – Wyobrażam sobie, jak przepycha się w niebie, przekonując Pana Boga, że mężczyźni mają pierwszeństwo.

– W końcu Pan Bóg to też mężczyzna. – Zosia uśmiechnęła się do koleżanki.

Miały jeszcze chwilę na rozmowę podczas przerwy obiadowej, więc usiadły razem na ławce przy pawilonie ginekologicznym i wystawiały twarze do majowego słońca.

– Wiesz, kiedy doktor Ungerowa zaproponowała mi, żebym porzuciła Świętą Zofię i przyszła tu do pracy, nie sądziłam, że to miejsce tak szybko stanie się dla mnie domem – powiedziała. – I że jest tu tyle kobiet.

– Ja też nie sądziłam, że będzie tu tyle lekarek – przyznała Klementyna. – Przyjechałam prosto po studiach, zapukałam do gabinetu dyrektora, pokazałam dyplom, powiedziałam, że chcę pracować i... zostałam przyjęta.

Zosia wyobraziła sobie minę podpułkownika Ignacego Zielińskiego, kiedy doktor Klementyna Gorazdowska przekonywała go, że warto ją zatrudnić w szpitalu.

– Rodzice nie zmienili zdania co do twojego powołania? – spytała niezbyt taktownie Zosia.

Klementyna się skrzywiła, więc Zosia natychmiast przeprosiła. Ta jednak machnęła ręką.

– Wystarczy mi to, że sfinansowali moje studia. W Paryżu. – Zaczęła się śmiać. – Liczyli na to, że kiedy już tam się znajdę, rzucę się w wir nocnego życia i niebawem im napiszę, że zostałam tancerką w Folies Bergère.

Zosia pomyślała, że Klementyna osiągnęłyby wszystko, czegokolwiek by zapragnęła: mogłyby tańczyć w Paryżu, wygrać rajd w Monte Carlo albo zdobyć najwyższą górę świata jako pierwsza kobieta. Postanowiła jednak zostać lekarką i była w swoim fachu absolutnie bezkonkurencyjna.

– To dziwne, że nie wiedzą, jak bardzo jesteś utalentowana – powiedziała z namysłem Zosia. – Mój dziadek też początkowo sądził, że dziewczynce nie pozostaje nic innego jak skończyć pensję. Wiesz, Kraków to nie tylko miasto. To... stan umysłu. Pewne sprawy docierają do Galicji później niż do Kongresówki. – Uśmiechnęła się.

– Czytałam prace twojego dziadka pisane z Rydygierem na temat zespolenia żołądkowo-jelitowego – przypomniała sobie Klementyna. – Jeszcze kiedy byłam w Paryżu. Usiłowałam wytłumaczyć Francuzom, że Billroth opisał swoje zespolenie długo po Rydygierze.

– Mało nas poważają w świecie – zauważyła Zosia.

– Nie do końca się zgodzę. Maria Skłodowska^[20] dostała Nobla już dwukrotnie, Henryk Sienkiewicz^[21] też został uhonorowany tą nagrodą... – Zawiesiła głos. – Sienkiewicz jest po prostu wspaniały!

– Był – zauważyła z westchnieniem Zosia.

– Był – powtórzyła Klementyna. – Ale jego książki nigdy nie umrą. Nikt nie może się z nim równać!

– Ja uważam, że Prus^[22] jest równie wybitny – stwierdziła Zosia, która poznała w domu rodzinnym Henryka Sienkiewicza, znajomego dziadka, ale nie dane jej było spotkać Aleksandra Głowackiego, którego bardzo ceniła.

– Był – teraz to Klementyna poprawiła koleżankę. – Moja mama przyjaźni się z jego żoną Oktawią^[23]. Wspaniała kobieta.

Zosia pokiwała głową. Klementyna, która najwyraźniej ją polubiła, zaprosiła ją do swojego domu rodzinnego na przyjęcie wydawane przez jej rodziców. Mieli na nim być obecni ludzie nauki i kultury i Zosia była ogromnie ciekawa, co to za towarzystwo. Wstyd się przyznać, ale nocne życie stolicy znała jedynie z eskapad do prostytutek, a za dnia obserwowała Warszawę ze szpitalnego okna. W pokoju nie miała nawet radia.

– Są pewne korzyści z tego, że moi rodzice są obrzydliwie bogaci – powiedziała Klementyna, jakby słyszała jej myśli. – Niemniej to jedyni znani mi ludzie, którzy daliby wszystko, żeby ich córka jeździła na bale, popijała poncz i spotykała się z przyjaciółkami na ploty i chichoty. Nigdy nie pogodzili się z faktem, że pracuję na swoje utrzymanie.

– Chcieli, żebyś wyszła za mąż? – spytała Zosia.

Klementyna znów się roześmiała.

– Moja droga, ja odstraszam każdego mężczyznę. I choćbym się starała, raczej nie znajdę takiego, który by się mnie nie bał. Muszę cię uświadomić, że ciebie prawdopodobnie czeka ten sam los.

Zosia zastanowiła się nad jej słowami. Powiedziała pani Borawskiej, że nie zamierza wyjść za mąż, ale w skrytości ducha nie odrzucała tej możliwości. Co więcej – sama nieraz rozmyślała, czemu do tej pory nie dane jej było poznać smaku miłości, choćby niespełnionej. Owszem, w Krakowie studiowało wielu chłopców, a Zosia była ładna, miała wdzięczną figurę i tak zwaną wrodzoną słodycz. Żaden jednak nie zainteresował się nią jako kobietą. Może miała na to wpływ historia jej matki, która była powszechnie znana. Zosia tłumaczyła sobie, że

kawalerowie, w większości z dobrych krakowskich domów, są przestrzegani przez rodziców, aby nie wiązali się z dziewczyną, która prawdopodobnie odziedziczyła po matce nieprzewidywalny charakter. Ale w Warszawie także nikt nie zaprosił jej na tańce czy choćby na spacer. Spotykał się z nią jedynie doktor Dziuba, ale cóż to za randki – wyprawy do dzielnicy biedoty albo w poszukiwaniu chorych prostytutek.

– Powinniśmy znaleźć mężów wśród lekarzy – powiedziała nagle.

– O ho, ho. – Klementyna wyszczerzyła białe zęby. – Ja nic nie powinnam. A już na pewno nie chcę dać się usidlić jakiemuś mężczyźnie.

– Ja uważam, że to ty powinnaś kogoś usidlić. – Zosia dała jej kuksańca w bok.

– A kogo masz na myśli? – spytała Klementyna.

– Ficowski? – podrzuciła Zosia. – Kawaler.

– Brzydki – natychmiast odpowiedziała jej Klementyna.

Istotnie, Romuald Ficowski nie należał do najbardziej urodziwych mężczyzn, ale miał głęboki i piękny głos, był dobrym człowiekiem, a przy tym niezmiernie oddanym pacjentom lekarzem.

– Iwanicki? – zasugerowała.

Klementyna machnęła ręką, chociaż Henryk Iwanicki był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jacy pracowali w szpitalu. Przynajmniej w jej ocenie.

– Ten jest jak małpa w cyrku – odpowiedziała jej Klementyna. – Powinien pracować w kabarecie, nie w szpitalu. Od rana do nocy sypie żartami. Może kogoś to bawi, gdy zamienia kredę do tablicy na kawałek kiełbasy ubielony mąką, ale mnie ten żart rozśmieszył tylko raz. Za dziesiątym razem miałam ochotę wcisnąć mu tę kiełbasę do gardła i dopilnować, żeby się nią udławił.

– Mnie włożył odcięty palec do kanapki – wyznała Zosia. – Pierwszego dnia pracy.

– Żartujesz? – Klementyna miała minę, jakby nie wiedziała, czy się roześmiać czy wściec. – Skąd go wziął? I co zrobiłaś?

– Pewnie z prosektorium, bo skąd indziej? – Zosia wzruszyła ramionami.
– Wyrzuciłam, co miałam zrobić? Obrzydliwość. Teraz za każdym razem sprawdzam swoje drugie śniadanie w obawie, że powtórzy ten żart.

– Sama widzisz! – wykrzyknęła koleżanka. – A chcesz, żebym wyszła za niego za mąż.

– Tylko proponuję, bo jest naprawdę przystojny. Poza tym to świetny chirurg. I uważam, że skutecznie byś go oduczyła podobnych żartów.

– Nie zamierzam go wychowywać – zachnęła się Klementyna, ale zaraz dodała: – Ale ty możesz spróbować, bo on się bardzo tobą interesuje.

– Naprawdę? – Zosia zaczerwieniła się.

– Tak – potwierdziła Klementyna. – Wypytywał o ciebie.

– No a Joachim? – spytała szybko, bo nie wiedziała, jak odnieść się do rewelacji koleżanki.

– On się ożeni wyłącznie z Żydówką z dobrego domu – stwierdziła Klementyna i dodała konspiracyjnym szeptem: – Choćby się zakochał w gojce, to tego po sobie nie pokaże. Jest taki żydowski, od czubka głowy po pięty. Jego żona nie będzie pracowała, tylko prowadziła mu dom i rodziła kolejne dzieci. Czyżbyś nie zauważyła, że on jedyny patrzy na nas, kobiety, z pobłażaniem?

Zauważyła to niemal natychmiast. O ile Romuald Ficowski i Henryk Iwanicki dzielili się z koleżankami swoim doświadczeniem i przyjmowali ich rady, o tyle Joachim Goldschmidt trzymał się na uboczu, stroniąc od przyjacielskich pogaduszek. Być może dlatego, że sprawował kierownictwo nad zespołem interdyscyplinarnym i jako szefowi nie wypadało mu spoufalać się z resztą. Kiedy nie zajmował się pacjentami, bez końca analizował wyniki ich badań lub siedział zatopiony w literaturze fachowej. Trzeba jednak przyznać, że jeśli poproszono go o jakiś komentarz albo wyjaśnienie, nigdy nie odmawiał, tyle że koleżankom wyluszczał problem medyczny, jakby nie potrafiły zliczyć do trzech, a kolegów traktował po partnersku.

– Masz rację – stwierdziła Zosia. – Goldschmidt jest dla nas stracony. Ale możemy rozejrzeć się po innych oddziałach. Tu jest mnóstwo możliwości.

– Sama nie znam wszystkich pracujących tutaj lekarzy – przyznała Klementyna. – Zwłaszcza nowe oddziały pełne są świeżego narybku – stwierdziła, po czym nachyliła się w stronę Zosi i dodała konspiracyjnym szeptem, jakby ktoś ich podsłuchiwał: – Zwłaszcza oddziały kobiece są pod tym względem warte zainteresowania.

Zosia ponownie się zaczerwieniła, bo przypomniała sobie jednego przystojnego doktora pracującego na oddziale kobiecym, od czasu do czasu pomagającego im przy dzieciach, dlatego prędko spytała:

– Czy to prawda, że dopiero w tysiąc dziewięćset dwudziestym otwarto oddziały dla kobiet?

Klementyna pokiwała głową.

– Wcześniej, zważywszy na wojnę i konieczność opieki nad żołnierzami, nie było o tym mowy. Trudno się zresztą dziwić. Ale teraz to... zwykły szpital. I całe szczęście, bo kraj po dwóch wojnach i epidemii potrzebuje spokoju i normalnej opieki lekarskiej.

Zosia roześmiała się.

– No, nie taki zwykły – zaprotestowała.

Przypomniała sobie historię o tym, jak w listopadzie 1918 roku przejęto szpital z rąk Niemców. Opowiadała jej o tym doktor Ungerowa, zaprzyjaźniona z profesorem Lothem^[24], który tego dokonał. Razem z pułkownikiem Rudzkiem^[25] najpierw udali się do koszar na ulicę Nowowiejską, gdzie przydzielono im dwunastu rekrutów. Potem wszyscy pomaszerowali do Szpitala Ujazdowskiego i tam stanęli naprzeciwko uzbrojonych po zęby wartowników. Niemcy, którzy nie mieli pojęcia, że rekruci, którzy mierzą do nich z broni, mają niewielkie pojęcie o strzelaniu, pozwolili im wejść. Rudzki i Loth udali się prosto do Schmidta^[26], komendanta szpitala, i rady żołnierskiej i omówili, a potem spisali warunki przejęcia placówki przez władze polskie. Wszystko odbyło się spokojnie

i kulturalnie. Obie strony podpisały dokument i w ciągu niespełna miesiąca Niemcy z pomocą kapitana Mayera^[27], lekarza Szpitala Legionów w Zamku Ujazdowskim, ewakuowali swoich chorych wraz z personelem.

– Rzeczywiście, nie taki zwykły – zgodziła się Klementyna, a potem wstała i otrzepała fartuch z okruszków chałki.

– O której przywiozą szczepionki? – zaniepokoiła się nagle Zosia, spoglądając na zegarek, który odziedziczyła po matce.

Szczepionki przywożono z Państwowego Zakładu Higieny, w którym wytwarzano ponad trzydzieści ich rodzajów, między innymi przeciw wścieklicznie, czerwonce i durowi brzuszemu, oraz dziesięć różnych surowic odpornościowych – w tym błoniczą, czerwonkową, tężcową i paciorkowcową.

– Zdążymy – zapewniła ją Klementyna. – Szczepionki przyjadą około czternastej, doktor Korczak^[28] przyjeżdża z dziećmi zwykle po piętnastej. Najpierw dzieciaki pójdą na badania, potem je zaszczepimy. Zobaczysz, to bardzo przyjemna robota.

– Czemu on przyjeżdża właśnie tutaj? – spytała. – Nie wolałyby iść z dziećmi na Litewską?

– Jeszcze kilka lat temu sam tu pracował, pewnie dlatego – odparła Klementyna. – Ma stopień majora. Przyjaźni się z komendantem i będzie wspierał powstanie tutejszego oddziału pediatricznego. Doktor Korczak jest wspaniały.

Zosia pokiwała głową. Pierwszy raz miała uczestniczyć w takich badaniach i bała się, że sobie nie poradzi. Nie miała dużego doświadczenia z dziećmi. Kiedy przysłała na rozmowę z dyrektorem, ten przekonał ją, aby popracowała po kilka miesięcy w różnych klinikach i dopiero potem wybrała dla siebie specjalizację.

– Mamy wielu położników i ginekologów – powiedział wtedy. – Zawdzięczamy to nieodżałowanej doktor Annie Dobrskiej. Natomiast brakuje nam młodych zdolnych lekarek na laryngologii, radiologii i pediatrii.

– A na chirurgii? – spytała wtedy i natychmiast przeprosiła za śmiałość, ale podpułkownik Ignacy Zieliński, komendant szpitala, uśmiechnął się tylko i powiedział:

– Mamy wielu chirurgów, niestety dwie wojny sprawiły, że jest ich więcej, niż potrzeba.

– To prawda, wojna przyczynia się do rozwoju chirurgii – westchnęła.

Wiedziała, że podczas samej tylko wojny polsko-bolszewickiej liczba szpitali polowych wzdłuż polskich pozycji obronnych przekroczyła siedem tysięcy. Zosia nikomu się nie przyznała, ale marzyła o tym, żeby znaleźć się w jednym z nich i operować chorych.

– W mniejszym stopniu do rozwoju chirurgii, w większym do rozwoju zakaźnictwa – odparł z przekąsem podpułkownik Zieliński. – Zmagaliśmy się z plagą duru brzuszego i czerwonki.

– Wiem o tym – odparła nieco zawstydzona. – Dziadek mi opowiadał. I doktor Ungerowa. Obserwowałam pociągi sanitarne, które wiozły rannych do szpitali, gdzie byli izolowani.

– Pociągi sanitarne wiozły rannych. – Komendant uśmiechnął się. – Natomiast chorych zakaźnych transportowano w pociągach infekcyjnych. Mieliśmy też osobny pociąg z żywnością dla kuchni polowych. Nasz szpitalny nosił numer czterdzieści cztery.

Zosi ponownie zrobiło się wstyd.

– Oczywiście – skwitowała, obawiając się, że pracy jednak nie dostanie, skoro wykazała się taką ignorancją. – U nas w szpitalu była izolatka i bardzo dbaliśmy o to, żeby zakażone położnice nie stykały się ze zdrowymi. Mam doświadczenie w selekcji i izolacji chorych.

– Znałem doktor Dobrską. – Podpułkownik Zieliński zadumał się. – Wspaniała lekarka. To od niej uczyłem się aseptyki. Chodziłem na jej wykłady. – Pokiwał głową. – Ona pierwsza tak otwarcie i głośno domagała się czystości w szpitalach i szorowania wszystkiego do imentu. Propagowała poglądy Listera^[29] już wtedy, kiedy był jeszcze wyszydzany

we własnym kraju. Doktor Ungerowa kontynuuje jej dzieło w zakresie nie tylko aseptyki, ale też statystyki.

– Zajmowałam się statystyką medyczną – powiedziała nieśmiało Zosia. – Nie spotkałam się osobiście z doktor Dobrską, bo studiowałam w Krakowie i dopiero po jej śmierci przyjechałam do Warszawy, ale wszystkiego nauczyła mnie doktor Ungerowa.

– Czy w naszym szpitalu chciałaby się pani tym zająć? Oczywiście tylko na początek – zaznaczył z entuzjazmem w głosie. – Zamierzam stworzyć oddzielny pion poświęcony statystyce medycznej. Pani mogłaby się zająć szkoleniami.

– Bardzo chętnie – powiedziała z radością. – Równoległe ze studiami skończyłam kurs matematyki i jestem przygotowana do takiej roli.

Nie dodała, że początkowo statystyka medyczna wydawała jej się straszliwie trudną i nudną dziedziną wiedzy, ale Napoleon Cybulski przekonał ją, że ta stworzona przez pewną angielską pielęgniarkę^[30] gałąź jest niezmiernie ważna i stanowi podłoże wszelkich badań naukowych oraz działalności szpitalnej.

– Wspaniale, absolutnie wspaniale. Oczywiście tylko na początek, aż wyszkoli pani personel – powtórzył podpułkownik.

Kiedy dziękowała swojemu szefowi za przyjęcie do pracy i stworzenie nowych możliwości, ten uśmiechnął się szelmowsko i spytał:

– Nie wystarczyło pani wykonywanie zabiegów ginekologicznych na Żelaznej? Sądziła pani, że tu, w szpitalu wojskowym, będzie mogła poświęcić się chirurgii, tak?

– Mój dziadek był chirurgiem – wyjaśniła. – A kiedy jestem na sali operacyjnej... czuję, że żyję.

– Tak, wiem o tym – odpowiedział jej Zieliński. – Doktor Ungerowa bardzo panią chwaliła, również jako świetną operatorkę.

Zastanowił się chwilę.

– Ja widzę panią jako pediatrę – powiedział w końcu. – Niech pani o tym pomyśli. Dziecko... – zawahał się – ...to jest niezwykła istota, na którą

należy spojrzeć, że tak powiem, całościowo. Trzeba być internistą, laryngologiem, neurologiem i chirurgiem. Kto wie, może chirurgia dziecięca wyodrębni się jako osobna dziedzina.

Zosia pokiwała głową, bo to, co mówił podpułkownik, brzmiało sensownie.

– Moim zdaniem tylko najzdolniejsi lekarze mogą być pediatrami. Proszę docenić moją propozycję.

– Doceniam. – Podała mu rękę. – I dziękuję.

– To dla mnie wielki zaszczyt – powiedział podpułkownik Zieliński i skłonił głowę.

Rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła sekretarka.

– Inżynier Stanisław Maciąg^[31] do pana komendanta – powiedziała.

– Prosić, prosić, my już skończyliśmy.

Wychodząc, Zosia przywitała się z przystojnym inżynierem o żołnierskiej postawie.

Po wyjściu z gabinetu komendanta sekretarka zwróciła się do Zosi z uśmiechem:

– Mam panią oprowadzić i przedstawić kolegom.

Po drodze opowiadała Zosi:

– Inżynier Maciąg to przyjaciel naszego komendanta, znają się jeszcze sprzed wojny. Bardzo miły człowiek. Pomaga nam przy budowie kolejnych pracowni, zawsze spojrzy na wyliczenia, skoryguje błędy. Sam profesor Odo Bujwid^[32] prosił, aby pan inżynier był obecny przy budowie pracowni bakteriologii. Zaprojektował specjalne szafki na odczynniki i system grzewczy niezbędny dla wzrostu bakterii.

Stanęły przed imponującym ceglany pawilonem w południowej części szpitala, od strony ogrodu botanicznego.

– Zapraszam do środka – sekretarka zwróciła się do Zosi.



Doktor Janusz Korczak był drobnym mężczyzną o smutnej twarzy i pięknym głosie. W szpitalu towarzyszył mu tuzin dzieci w wieku od trzech do dwunastu lat.

– Dzień dobry, panie doktorze. – Klementyna Gorazdowska podała Korczakowi rękę, a ten skłonił się i uścisnął ją uprzejmie. Następnie lekarka uśmiechnęła się do dzieci, które stały grzecznie i rozglądały się ciekawie na boki. – Dzień dobry wszystkim – powiedziała poważnie, a potem podeszła do wszystkich dzieci po kolei, także do tych najmłodszych, podała im rękę i przedstawiła się z imienia i nazwiska.

Zdumiona Zosia zrobiła to samo. Najpierw oczywiście przywitała się z doktorem Korczakiem.

– Już wam mówiłem, moi drodzy, na czym będzie polegała wizyta w szpitalu – powiedział poważnie Korczak do dzieci. – Ale powtórzę. Obie panie doktor was zbadają. Na koniec dostaniecie szczepionkę, czyli zastrzyk w ramię.

Jedna mała dziewczynka się rozpląkała. Dwie starsze koleżanki, na oko siedmio- i dziesięcioletnia, znalazły się przy niej, wzięły ją za rękę i zaczęły uspokajać.

– Haniu – zwrócił się do dziecka doktor bardzo poważnym tonem. – Ukłucie prawie nie boli, a szczepienia są bardzo ważne, ponieważ zapobiegają ciężkim chorobom.

Dziecko pokiwało głową, przestało płakać i z ufnością przestąpiło próg pracowni rentgenowskiej.

– Pani pewnie się dziwi, że zwracam się do czterolatki jak do osoby dorosłej, prawda? – spytał Zosię Korczak.

Dziewczyna знаła doktora jedynie z radia, wiele lat temu czytała też w tygodniku „Głos” powieść *Dziecko salonu*, która przyniosła lekarzowi sławę. Dziś miała okazję po raz pierwszy spotkać go osobiście i tak jak wszyscy była pod wielkim wrażeniem jego charyzmy.

– Sama nie mam dzieci, więc trudno mi ocenić, czy pana metody wychowawcze są słuszne – powiedziała w końcu i natychmiast zastygła, bo

zdała sobie sprawę z tego, że jej słowa mogły zostać odebrane jako co najmniej niegrzeczne.

Korczak jednak uśmiechnął się.

– Ja również nie mam dzieci i nie zamierzam ich mieć – stwierdził. – Uważam, że w dzisiejszych czasach posiadanie swoich dzieci to prawdziwy egoizm.

– Ja jeszcze nie wiem – wyznała nieoczekiwanie Zosia i znów się zawstydziała, bo nie wypadało mówić takich rzeczy bądź co bądź obcemu człowiekowi.

– Nie wie pani, czy chce mieć własne dzieci, tak? – dociekał Korczak. – Ale chce pani zajmować się cudzymi, dobrze pojąłem?

– Tak – potwierdziła. – Skierowano mnie na oddział ogólny, chociaż rozpoczęłam pracę na ginekologii, ale komendant namawia mnie na specjalizację z pediatrii. Jednocześnie dyżuruję na ginekologii i położnictwie. Taki to mój los. Biegać między oddziałami.

– Nie ma przypadków – powiedział poważnie Korczak. – Znam poglądy komendanta i zgadzam się z nimi. Tylko najzdolniejsi lekarze powinni być pediatrami.

Zosia miała wątpliwości, czy jest tak zdolna, żeby sprawować należyłą opiekę nad dziećmi. Korczak widocznie wyczytał z jej twarzy, że w sobie wątpi, bo rzekł:

– Proszę przyjąć ode mnie radę: jeśli nie czuje pani głębokiej miłości do dzieci, szacunku do ich odrębności, to nie trzeba się zmuszać, żeby z nimi pracować. Można nieść posługę lekarską w innym miejscu. I nie należy tego poczytywać za klęskę. To kwestia odpowiedzialności.

Pokiwała głową, a ponieważ zrobiło się strasznie poważnie, Klementyna pospieszyła z odsieczą.

– Ileż to teraz ma pan sierot pod opieką? – spytała.

– Prawie dwieście – odpowiedział Korczak. – Dwieście istot wymagających miłości, opieki, szacunku.

– I jedzenia – skwitowała Klementyna. – Jestem pełna podziwu, jak pan i pani Stefa^[33] sobie radzicie.

Korczak machnął ręką.

– Nie jesteśmy sami – powiedział. – Pomaga nam całe grono życzliwych osób. Chociaż bywa ciężko, nigdy niczego nam nie zabrakło.

Z pracowni wychyliła się osłonięta białym czepkiem głowa pielęgniarki, pani Irenki, która miała nadzorować badania.

– Już można? – spytała Zosia, a kiedy pani Irenka pokiwała głową, uśmiechnęła się do podopiecznych doktora Korczaka.

– Dzieci – zwróciła się do nich. – Do pracowni będziemy wchodzić pojedynczo. Kto jest chętny, by wejść jako pierwszy? Na odważnego czeka nagroda.

Cała dwunastka podniosła ręce.

– W takim razie wszyscy dostaną nagrodę – odpowiedziała Zosia i wzięła za rękę chłopczyka, który stał najbliżej niej.

– Jak masz na imię? – spytała, kiedy weszli do środka.

– Samuel – powiedział mały z przejęciem.

– Zdejmij koszulę, Samuelu – poprosiła, prowadząc go za przepierzenie.
– A potem przyjdź do mnie.

Kiedy mały stanął przed nią bez koszuli, Zosie ścisnęło w gardle na widok wystających żeber dziecka.

– A teraz osłucham cię stetoskopem – powiedziała i przyłożyła słuchawkę do piersi dziecka. – Oddychaj głęboko – poleciła.

Po badaniu mały rażno pomaszerował do gabinetu zabiegowego, gdzie poddał się szczepieniu na ospę. Kiedy Zosia dała mu cukierek, chłopiec oznajmił, że poczeka, aż wszystkie dzieci zostaną zaszczepione i dopiero wtedy przyjmie nagrodę.

Podobnie zachowała się reszta wychowanków doktora Korczaka. Zosia uznała, że metody wychowawcze ich opiekuna są bardzo skuteczne. Sama nie miała w życiu do czynienia z wieloma dziećmi, jedynie z upiorną parką

kuzynów Reszczyńskich, bliźniakami Romką i Tadkiem, które były złośliwe i niegrzeczne. Podopieczni Korczaka byli zupełnie inni.

– Może dlatego, że to sieroty – powiedziała później Zosia Klementynie. – Nawykłe do biedy i ograniczeń.

– Raczej nie – nie zgodziła się doktor Gorazdowska. – To kwestia wychowania. Z dzieckiem jest tak: co włożysz, to wyjmiesz. Wiem, chociaż sama nie mam dzieci.

– Ciekawe... – Zosia zadumała się. – Mnie samą wychowywano dosyć swobodnie, przynajmniej w czasach, kiedy jeszcze mieszkaliśmy z ojcem sami. Pozwalał mi na wszystko, zwłaszcza kiedy miał pieniądze. Dziadek i babcia postępowali ze mną zupełnie inaczej. I jestem...

Urwała. Nie bardzo wiedziała, jaka jest. Uważała się za staroświecką i pruderyjną, mimo że nie chciała taka być.

– Czy ty wiesz, że w sierocińcu Korczak ustanowił mały parlament oraz sądy? – zapytała tymczasem Klementyna.

– Żartujesz – odparła zdumiona Zosia.

– Nie – zapewniła ją Klementyna. – Byłam kiedyś na jednej z ich „rozpraw”. Poproszono mnie na świadka. Czternastolatek uciekł ze szpitala. Wcześniej ukradł lekarstwa i próbował je sprzedać. Odstawiono go do sierocińca. Odbył się nad nim sąd. W procesie brali udział sędzia, oskarżyciel, obrońca i świadkowie. A także ławnicy.

Zosia wpatrywała się w koleżankę z rozdziawionymi ustami.

– Pytano mnie, czy należycie wytłumaczyłam temu chłopcu, z jakim niebezpieczeństwem wiąże się opuszczenie szpitala. Muszę przyznać, że miałam trudności z odpowiedzią na to pytanie.

– I skazali go? – pytała Zosia. – Jaką otrzymał karę?

Klementyna uśmiechnęła się.

– Nie wiem – odpowiedziała. – To wewnętrzne sprawy sierocińca. I jak w prawdziwym sądzie, rozprawa odbyła się za zamkniętymi drzwiami. Powiedziałam, co moje, a potem mnie wyproszono.

– Coś takiego – dziwiła się Zosia.

– Doktor Korczak naprawdę uważa, że dziecko rozumie jak dorosły, tylko nie ma bagażu jego doświadczeń.

Zosia postanowiła, że skoro ma zajmować się dziećmi, jak najszybciej zapozna się z pismami Korczaka.

– I tak mamy traktować dzieciaki, które leżą tutaj? – spytała nagle. – Mamy stworzyć oddział wzorowany na sierocińcu? Tego sobie życzy doktor Korczak?

– Ja przyjąłam jego nauki, bo wierzę w ich skuteczność, ale doktor nikomu niczego nie narzuca – odparła Klementyna i zaproponowała: – Może pójdziesz do domu, a ja zajrzę do Krysi?

Spośród dwanaściorga dzieci, które zbadały, u jednej dziewczynki, sześciolatniej Krysi, Zosia usłyszała dziwne szmery w płucach, które wymagały dokładniejszego zbadania. Dziecko zostało w szpitalu. Zosia zaprowadziła je na oddział, dopilnowała, aby przebrało się w piżamkę i położyło do łóżka.

– Pójde z tobą – zaprotestowała.

– No przecież! – Klementyna klepnęła się w udo. – Zrobimy odwrotnie. Ja już pójde, a ty pogadasz z naszym doktorem Radowickim.

Zosia zaczerwieniła się. Doktor Radowicki zajmował się chorobami płuc, przypominał Tadeusza Olszę^[34], był szarmancki i – co tu dużo mówić – wpadł Zosi w oko, co natychmiast zauważyła Klementyna; koleżanka nie omieszkała podzielić się tą informacją z resztą personelu, zapewniwszy Zosię, że nikt nigdy „nie puści pary z ust”. Zosia miała wątpliwości co do dyskrecji kolegów; każdy uśmiech skierowany do niej brała za drwinę, a Bogumiła Radowickiego unikała jak ognia.

– Jesteś nieznośna – powiedziała z rezygnacją, ale posłusznie skierowała się do gabinetu, w którym pracował młody specjalista chorób płuc, zapukała i weszła do środka.



Bogumił Radowicki ucieszył się na widok Zosi. Jej serce natychmiast mocniej zabiło.

– Moim zdaniem dziewczynka ma początki gruźlicy – oznajmił bez ogródek.

– Mój Boże – powiedziała.

Radowicki odłożył zdjęcie rentgenowskie, a potem zaproponował Zosi, żeby usiadła.

– Jak już mówiłem, to początek choroby – powtórzył. – Zadzwoń do doktora Korczaka. Dziecko pojedzie do prewentorium, do Rabki. Ale... – Radowicki zawiesił głos.

„Jakie on ma piękne niebieskie oczy”, myślała właśnie Zosia, kiedy dotarło do niej, że Bogumił czeka na jej reakcję.

– Ale co? – spytała.

– Dwie sprawy – powiedział. – Pierwsza: u małego Tomaszka na dwójce, tego przyjętego z powodu wielomoczu, nie potwierdziła się wstępna diagnoza niewydolności nerek. To zwykłe zakażenie.

Pokiwała głową. Trzeba przenieść chłopca do części zakaźnej oddziału, żeby zdrowe dzieci się nie zaraziły.

– A druga? – zapytała, a Radowicki uśmiechnął się ciepło, spojrzawszy jej w oczy i powiedział:

– Nie wzięłabyś za mnie dyżuru w niedzielę? Przyjeżdżają rodzice mojej narzeczonej, a ja zupełnie o tym zapomniałem.

Zosia zdołała jedynie pokiwać głową i zaczęła szybko oddychać. Miała nadzieję, że Bogumił nie zauważył rozczarowania malującego się na jej twarzy. Narzeczonej? Jeśli Zosia coś sobie wcześniej roiała, teraz musiała pogrzebać złudzenia. Bogumił miał narzeczoną.

– Oczywiście – powiedziała. – Twoja narzeczonej także jest lekarką? – odważyła się zapytać.

– Nie – powiedział. – Jest artystką.

Jego mina wyrażała dumę oraz podziw. Zosia przełknęła ślinę i postanowiła natychmiast wybić sobie przystojnego lekarza z głowy.

Wyobraziła sobie, że narzeczona Radowickiego wygląda jak Hanka Ordonówna^[35], że równie pięknie jak ona śpiewa, tańczy, jest zawsze wesoła i elegancko ubrana. Chociaż jej nie znała, natychmiast poczuła się jak szara myszka. W skrytości ducha podziwiała artystki, może dlatego, że były z całkiem innego niż ona świata.

– O – zdołała powiedzieć. – Jesteś szczęściarzem.

– Owszem – przytaknął i spojrzał na nią tak, że przeszył ją dreszcz. – Chociaż przyznam ci się szczerze, że wolałbym mieć żonę, która nie śpiewa i nie tańczy w kawiarni, choćby nie wiem jak modnej. To kwestia czasu, kiedy uzna, że ubogi naukowiec nie jest dla niej zbyt dobrą partią.

– Nie zgodzę się z tobą – wykrztusiła Zosia. – Artystka może być wspaniałą towarzyszką życia dla naukowca. Profesor Robert Koch, odkrywca patogenu gruźlicy, porzucił swoją żonę dla aktorki. Ożenił się z nią i stanowili wspaniałe małżeństwo przez wiele lat.

Bogumił Radowicki zmarszczył brwi.

– Ciekawe... – powiedział. – Faktycznie, słyszałem o tym. Jego druga żona wspierała go nawet wtedy, kiedy środowisko naukowe się od niego odwróciło.

Zosia gorliwie pokiwała głową, jakby szczęście Bogumiła u boku nieznanej jej artystki zależało od jej wiary w powodzenie ich związku.



Onieśmielona rozglądała się wokoło. Wiedziała, że Klementyna pochodzi z bogatego domu, ale nie sądziła, że jej rodzice są aż tak majątni. Pożałowała, że nie przyjęła sukienki, której chciała jej użyczyć Klementyna – uznała, że jej własna suknia wieczorowa jest zupełnie wystarczająca. Tymczasem okazało się, że Zosia jest najskromniej ubraną kobietą w całym towarzystwie. Pani Gorzowska przypominała Mieczysławę Ćwiklińską^[36], jej mąż natomiast był niski, przysadzisty i obficie się pocił. Oboje byli dla Zosi bardzo mili i wyrazili podziw, że przyjechała

z Krakowa oraz że należała do rodziny spokrewnionej z samym Stanisławem Wyspiańskim, choć było to dalekie pokrewieństwo.

– Czy to jedyna rzecz, którą im o mnie powiedziałaś? – zapytała gniewnie Zosia, kiedy odeszły na chwilę z Klementyną na bok.

– To jest coś, co oni chcieliby usłyszeć – oznajmiła Klementyna spokojnie. – Przecież im nie powiem, że studiujesz po nocach sposoby uzyskiwania surowic, bo piszesz o tym pracę pogładową i wzdychasz do Kazimierza Funka.

– Ponczu? – odezwał się obok nich kelner.

Zosia wzięła kieliszek i wypła łyk.

– Bardzo tu u ciebie wytwornie – stwierdziła.

– Dziadek dorobił się na handlu z Rosjanami – wyszeptała Klementyna konspiracyjnie, ale zaraz zachichotała. – Niczym, wyobraź sobie, Wokulski^[37]. Ojciec stara się o tym zapomnieć, a właściwie stara się, żeby inni o tym zapomnieli. Dlatego matka wydaje te przyjęcia, zaprasza na nie samą śmietankę towarzyską i trwoni pieniądze na ich organizację.

Zosia spojrzała na piękne wazy ustawione na sprowadzonych z Włoch meblach oraz na kryształowy żyrandol wielkiej urody i powiedziała do koleżanki:

– Nawet jeśli twoja matka trwoni pieniądze, robi to z prawdziwym wdziękiem.

Klementyna ponownie zachichotała, a potem wskazała koleżance młodzieńca, który stał nieopodal.

– Spójrz na tego tam. To Jaro Malicz, chłopiec z dobrego domu, który marnie skończy. Jego rodzinie, chyba w piątym pokoleniu wstecz spokrewnionej z moją, nie powiodło się tak dobrze jak nam, zatem Jaro, korzystając ze swojego uroku, stara się poderwać jakąś majątną wdówkę, aby ustawić się na całe życie.

Zosia przyjrzała się mężczyźnie, o którym mówiła Klementyna. Istotnie był niezwykle urodziwy. Miał też świadomość swojego uroku. Opowiadał

właśnie o czymś z werwą damie w wieku matki Klementyny, spoglądając na nią z wyższością.

– Przypomina mi mojego kuzyna Karola, który właśnie zasila szeregi pacjentów profesora Ehrlicha w Berlinie.

Klementyna nieomal zachłysnęła się ponczem.

– Żartujesz! – wykrztusiła.

– Dziwi cię, że mam kuzyna utracjusza, który złapał francę w bramie, czy to, że udało mi się nawiązać kontakt z profesorem i wysłać go na kurację? – spytała Zosia.

– I to, i to – odparła Klementyna. – Jesteś tak skromna, pracowita i cicha, że czasami zapominam, że przyjmowałam porody.

– Ja nigdy o tym nie zapomnę – mruknęła Zosia i w duchu postanowiła, że gdy nadarzy się okazja, opowie Klementynie o swojej działalności wśród warszawskich prostytutek. Tymczasem dodała: – Powiem ci, że moja warszawska rodzina mogłaby gościć na tym przyjęciu. Zwłaszcza kuzyn Karolek.

– Wiem skądinąd, że cała Warszawa zastanawiała się, gdzie ukrywa się dobrze znany w pewnych kręgach Karol Wereszczaka – wyznała Klementyna. – Mówi się, że przebywa w Szwajcarii, gdzie leczy gruźlicę.

– Karol powiedział mi, że wolałby złapać gruźlicę niż kiłę – odparła Zosia, nie dziwiąc się, że Klementyna zna Karola.

– Ja bym chyba też wolała, zwłaszcza że na gruźlicę są już szczepionki. Na razie sprowadzamy je z Danii, ale tylko patrzeć, jak zaczniemy je produkować w Polsce.

– To chyba nie jest możliwe – powątpiewała Zosia. – Czytałam, jak trudno jest uzyskać taki preparat.

Przypomniała sobie, jak biedny profesor Koch, który wyizolował prątki odpowiedzialne za chorobę, latami łudził się, że tuberkulina będzie skutecznym lekarstwem na gruźlicę, tymczasem po trzydziestu latach wiadomo było, że służyła jedynie wywołaniu silnej immunizacji i określeniu odporności człowieka na tę straszną chorobę.

– Skądinąd wiem, że do Państwowego Instytutu Higieny ma przyjechać ktoś wyjątkowy, kto się zajmie nie tylko szczepionkami, lecz... – zaczęła Klementyna, ale Zosia jej przerwała:

– Calmette^[38] i Guérin^[39] opracowali ten preparat ledwie kilka lat temu. Szczepionka zawiera żywy szczep bakterii, tylko pozbawiony zjadliwości...

– O jakich strasznych rzeczach rozprawiacie, moje drogie... – rozległ się za nimi miły męski głos i kiedy Zosia się odwróciła, zobaczyła brzydkiego jak noc kawalera, który uśmiechał się do nich sympatycznie, w rękach trzymając dwa kieliszki szampana. – Napijcie się, to przestaniecie rozprawiać o tych waszych bzdurach.

– Drogi Stanisławie – powiedziała wyniośle Klementyna, ale przyjęła kieliszek i zaczęła się śmiać, zdradzając tym samym sympatię do brzydala. – Wybacz nam ten nietakt. Pewnie wolałbyś porozmawiać o surowicy przeciwbłoniczej, którą produkujecie w instytucie, a my dyskutujemy o szczepionce, której nie umiecie wyprodukować.

Brzydal zrobił zabawną minę, a potem zwrócił się do Zosi:

– Ona mi dokucza, chociaż powinna trzymać ze mną sztamę. My jedyni z całej rodziny Gorazdowskich pracujemy na swoje utrzymanie, nie polegając na pieniądzach, które odziedziczyliśmy.

– Stach jest odpowiedzialny za surowice, które produkuje Państwowy Instytut Higieny – wyjaśniła Zosi Klementyna.

Zosia pomyślała, że to właśnie od niego Klementyna musi czerpać wiedzę na temat produkcji w instytucie. Mężczyzna tymczasem uklonił się jej.

– Stanisław Gorazdowski. Do usług.

Zosia przedstawiła się i Stanisław ponownie się uśmiechnął.

– Chętnie przyniosę paniom kolejny kieliszek szampana, ale absolutnie nie chcę słyszeć na przyjęciu takich strasznych słów jak „surowica”, „szczepionki” czy brr... „gruźlica”...

Zosia roześmiała się, bo Stach był bardzo sympatyczny.

– To jeden z najgłębszych umysłów polskiej farmakologii – powiedziała Klementyna, kiedy Stach oddalił się, oświadczywszy, że zauważył pewną pannę, z którą koniecznie musi porozmawiać. – Brzydki, niestety, ale przemiły, bardzo dobry, bajecznie bogaty i do wzięcia.

Zosia nic nie powiedziała. Aluzja była aż nadto czytelna.

– Usidli go jakaś głupiutka aktorka, która najpierw będzie szczęśliwa, że może ubierać się w Paryżu, potem zacznie go zdradzać, a w końcu zażąda rozwodu, na który Stanisław się zgodzi, ale tak go to unieszczęśliwi, że palnie sobie w łeb – stwierdziła Klementyna, patrząc na Zosię znacząco.

Ta zaś uznała, że kompletnie nie zna życia i raczej powinna pozostać przy pracy klinicznej oraz naukowej, bo podobne historie nigdy nie będą jej udziałem.

– Czy przedstawiłaś pannę Zofię innym naszym gościom? – Koło nich znalazła się matka Klementyny, najwyraźniej zwabiona niepewną miną Zosi.

– Pozwól, Zosiu. – Klementyna pociągnęła ją w stronę ekscentrycznie ubranej damy w średnim wieku, po czym dokonała prezentacji: – Doktor Zofia Nibużanka. A to Maria Łucja Nicz^[40].

Zosia nie miała pojęcia, kim jest owa dama spoglądająca na nią wyniośle, ale uśmiechnęła się grzecznie i ścisnęła upierścienioną zimną dłoń.

– Bardzo mi miło – powiedziała, zastanawiając się, czy powinna zapytać o zajęcie owej pani czy to jednak nie wypada.

– Nicz-Borowiakowa – powiedziała tamta i dodała: – Pani jest lekarką jak nasza Klementynka?

Zosia pokiwała głową. Pani Nicz zapaliła papierosa i trzymając w obciążonej aksamitną rękawiczką dłoni przepiękną firkę, zaciągnęła się kilka razy.

– Może poradzi pani coś na moje... wahania? Klementyna stanowczo odmawia opieki medycznej rodzinie i przyjaciołom. Twierdzi, że bliskich się nie leczy.

Zosia nie wiedziała, co powiedzieć, bo nie miała bladego pojęcia, o jakich wahaniach może być mowa, zatem postanowiła odnieść się do kwestii leczenia rodziny.

– Mój dziadek jest lekarzem i także jest zdania, że nie powinno się leczyć własnej rodziny. Czasami żartuje, że wszyscy się na niego obrazili za taką postawę, ale przynajmniej są zdrowi.

Pani Nicz najwyraźniej nie rozbawił jej żart, bo nawet się nie uśmiechnęła.

– Od kilku lat poszukuję swojej drogi – rzuciła i wyjaśniła: – Jestem malarką. Dwa lata temu wróciłam z Paryża, gdzie wymieniałam doświadczenia z tamtejszymi artystami. Fascynują mnie kubizm, futurizm, ale... – Ponownie zaciągnęła się papierosem. – Ciągłe się waham, jaką powinnam iść drogą.

Potem wbiła w Zosię spojrzenie jasnych oczu, najwyraźniej oczekując odpowiedzi. Zosia pomyślała, że nie potrafi udzielić tej kobiecie żadnej sensownej rady, i już rozważała, czy nie przyznać się, że nie zna się na malarstwie. O pani Nicz dotychczas nie słyszała i nigdy nie była w Paryżu. Zastanowiła się jednak przez chwilę i powiedziała poważnie:

– Lubię sobie powtarzać słowa Rudolfa von Köllikera, wybitnego fizjologa i histopatologa. – Widząc, że kobieta wpatruje się w nią z zainteresowaniem, kontynuowała: – Otóż oburzało go, kiedy naukowcy tracili czas na powtarzanie badań innych. Uważał, że powinno się przyjąć to, co wcześniej zostało opisane, jako swoje, czerpać z tego wiedzę i... iść dalej.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem... – zaczęła wolno artystka.

– Jeśli życzy sobie pani opinii osoby, która nie zna się na malarstwie, powiem tak: proszę czerpać z tego, co już powstało, wziąć to jako swoje i iść dalej.

Maria Nicz pokiwała głową, chwyciła Zosię za rękę i zaprowadziła do jakiegoś poczciwie wyglądającego mężczyzny, który rozmawiał z ojcem Klementyny.

– Józefie – powiedziała władcym tonem, przerywając mężczyznom konwersację. – Ta młoda dama ubrała w słowa moje poszukiwania.

– Inżynier Józef Borowiec^[41] – przedstawił się pocziwina. – Mąż obecnej tu artystki.

– Wybitnej artystki – dodał ojciec Klementyny, co Maria skwitowała uśmiechem.

– Właśnie – przytaknęła i zwróciła się do męża: – Konieczne jest stworzenie awangardowej grupy, która skupi wszystkich konstruktywistów, suprematystów oraz kubistów. Będziemy się wspierać, inspirować i wystawiać wspólnie nasze dzieła. Natychmiast muszę się skontaktować z Berlewim^[42], Golusem^[43], Strzemińskim^[44], Kobro^[45] – wyliczała.

– Olek Rafałowski^[46] i Tereska Żarnower^[47] są tutaj. – Inżynier uśmiechnął się i objął żonę ramieniem. – Od razu z nimi porozmawiajmy.

Odeszli, a Zosia została sama z Leonem Gorazdowskim.

– Wspaniałe przyjęcie – powiedziała szczerze.

– Doprawdy? – spytał jegomość i puścił do Zosi oko. – Klementyna opowiadała mi o pani. Proszę wybaczyć moje słowa, ale nie wygląda pani na taki tęgi umysł.

Zosia wcale się nie obraziła.

– Wiele osób mi to mówi – stwierdziła poważnie. – Klementyna też nie wygląda.

– Z jej urodą i temperamentem mogłaby dobrze wyjść za mąż – westchnął pan Leon. – Niestety woli służyć innym. A kiedy przychodzi do nas na niedzielne obiady, cuchnie karbolem.

– Bo ten zapach osiada na włosach – powiedziała Zosia poważnie. – Bardzo często uczestniczymy w pokazowych operacjach i sekcjach zwłok, a karbol...

Pan Leon zamachał rękoma.

– Nie, nie, nie! – wykrzyknął. – Nie chcę o tym słyszeć. Napawa mnie to lękiem. Trupy, zwłoki, mój Boże...

I odszedł od zdumionej Zosi, do której znów doskoczyła Maria Nicz. Koleżankę uratowała Klementyna, mówiąc, że na przyjęciu jest jeszcze kilka przemiłych osób, z którymi warto porozmawiać – zwłaszcza z jedną, która właśnie przyjechała najnowszym cudem Forda. I jeśli kogoś z tego przyjęcia Zosia zapamiętała – oprócz awangardowej artystki – to właśnie Antoniego Jarockiego, inżyniera samochodowego, zwanego przez wszystkich Nino i uwielbianego za urok, wdzięk i dowcip.



– Pacjentka nie ma temperatury, a rana goi się prawidłowo – powiedział doktor Ficowski.

Kobieta skrzywiła się i dotknęła brzucha.

– Boli – powiedziała. – Pokroili mnie, a teraz boli.

– Do wesela się zagoi – pocieszył pacjentkę Romuald.

Zosia spojrzała na chorą ze współczuciem. Pamiętała, jak ją tu przywieziono. Kiedy dotarła do szpitala, była ledwie żywa. Wcześniej przez kilka dni ukrywała ból i złe samopoczucie w obawie, że ją „państwo odeślą”, ponieważ była służącą. Zdecydowano o natychmiastowej operacji, a wyrostek pękł tuż po usunięciu. Niestety kobieta nie zdawała sobie sprawy z tego, że niemal w ostatniej chwili uratowano jej życie, obawiała się jedynie wyrzucenia na bruk, chociaż jej „państwo” zapewniało, że gdy służąca tylko dojdzie do siebie, może wrócić do pracy, a za chorobę i pobyt w szpitalu nikt jej nie zmniejszy pensji.

– Trzeba jej pilnować, bo gotowa uciec ze szpitala – powiedziała Zosia do Stanisławy Heglerowej, jednej z głównych pielęgniarek, kobiety pracowitej, niezwykle kompetentnej i bardzo srogiej. Pod jej kierunkiem pielęgniarki i salowe chodziły jak w zegarku, w salach dla chorych nie było najmniejszego pyłku, a sali operacyjnej nie sposób było określić inaczej niż jako sterylnej.

Heglerowa tylko kiwnęła głową i Zosia wiedziała, że nieszczęsna służąca nie ruszy się z łóżka, zanim lekarze nie uznają, że może bezpiecznie opuścić lecznicę.

– A tu mamy coś dla pani. – Doktor Henryk Iwanicki wyciągnął z kieszeni fartucha paczuszkę i wręczył kolejnej pacjentce.

Była to kobieta około czterdziestoletnia, korpulentna i zadbana, bo nawet w pooperacyjnym łóżku leżała w starannie wykrochmalonej koszuli nocnej i w czepku na głowie. Strój i wyniosłość, z jaką zwracała się do lekarzy opiekujących się pacjentkami po zabiegach operacyjnych, zdradzały jej arystokratyczne pochodzenie.

– Co to jest? – Dama odrzuciła ze wstrętem podaną jej paczuszkę.

– To pani kamienie żółciowe – wyjaśnił usłużnie doktor Iwanicki. – Mamy zwyczaj oddawać je pacjentkom.

– Ależ to... oburzające! – piekliła się matrona.

– Ma pani rację – ze śmiertelną powagą powiedział Iwanicki. – To oburzające, by kobieta w pani wieku wyhodowała tak imponującą kolekcję kamieni.

Dama rozdziawiła usta, a leżąca obok służąca zachichotała cicho.

– Ależ to jest, ależ to jest... – wydyszała.

– Doktor Nibużanka chciała wyjaśnić pani podstawy prawidłowej diety, ale słyszałem, że nie życzy sobie pani zaleceń lekarskich.

Zosia drgnęła. Istotnie, jeszcze wczoraj poszła do owej pacjentki z zamiarem opowiedzenia jej, co należy jeść, aby nie trafić ponownie na stół operacyjny z zapaleniem pęcherzyka żółciowego, ale pacjentka traktowała ją z góry, zwracała się do niej „moje dziecko”, a w końcu ją wyprosiła.

– Nie życzę sobie pouczeń – odparła matrona.

– W takim razie my nie życzymy sobie podobnych pacjentek – stwierdził doktor Goldschmidt i dodał: – Może pani już bezpiecznie opuścić szpital, zatem żegnamy.

– Opuszczę! – wrzasnęła pacjentka, całkiem nie jak dama, i wycelowała palec w leżącą na drugim łóżku pacjentkę po appendektomii^[48]. – Cóż za nieodpowiednie towarzystwo! – perorowała. – Nie przywykłam do...

– Dosyć tego, szanowna pani – przerwał jej doktor Goldschmidt. – Nie wiem, do czego pani przywykła, ale to jest szpital dla wszystkich.

– Widzę – stwierdziła dama i wbijając spojrzenie w lekarza, stwierdziła złośliwie: – I personel, i pacjenci są wymieszani.

Doktor Goldschmidt nawet okiem nie mrugnął, chociaż Zosi stanęło serce, bo to, co powiedziała owa dama, było nie na miejscu. Kiedy wyszli na korytarz, zwrócił się do Stanisławy Heglerowej:

– Proszę panią Zawisza-Ostaszewską wysłać do domu, a pannę Jarosz przenieść na salę ogólną.

Heglerowa natychmiast wydała polecenie dwóm stojącym z tyłu siostrom miłosierdzia, a te weszły do sali pooperacyjnej.

– Kontynuujemy obchód – zarządził Goldschmidt i całe towarzystwo posłusznie poszło dalej, na jeden z oddziałów kobiecych, gdzie leżały pacjentki „internistyczne”.

– Moja matka była taka sama – opowiadał potem w pokoju lekarskim Henryk Iwanicki. – Też miała obsesję na punkcie swojego pochodzenia. Nasze służące odchodziły jedna po drugiej, bo matka traktowała nieszczęśnice niczym karaluchy i uważała, że powinny pracować za darmo.

– Żartujesz, Henryku – odezwała się Joasia Rychterówna. – Poznałam twoją matkę, to urocza osoba.

– Urocza dla młodych lekarek z dobrego domu – zgodził się doktor Henryk. – Gdybyś pochodziła z biedniejszej rodziny, natychmiast by ci pokazała, gdzie jest twoje miejsce.

– Pani doktor – zwrócił się Goldschmidt do Zosi. – Przy pacjentce tego nie powiedziałem, ale z ubolewaniem stwierdzam, że nie poradziła sobie pani z prostym zadaniem, jakim jest poinformowanie o wtórnej prewencji...

– Ależ, Joachimie – przerwał Goldschmidtowi Ficowski. – Doktor Nibużanka dołożyła wszelkich starań, ale sam słyszałeś...

– Nie przerywaj mi, Romualdzie – odparł cierpko Goldschmidt i znów zwrócił się do Zosi, która stała cała w pąsach niczym skarcona uczennica: – Spotka pani na swojej drodze różne pacjentki, takie, które nie pozwalają sobie pomóc, takie, które myślą, że na nic nie zasługują, oraz takie, które sądzą, że zjadły wszelkie rozумы. Pani obowiązkiem jest poradzić sobie z nimi.

Zosia jedynie pokiwała głową i odeszła skruszona.

– Ja powinnam pójść do babiszona – powiedziała jej potem Klementyna.
– Nie przejmuj się Goldschmidtem. Pewnie obraził się, że wytknęła mu żydowskie pochodzenie.

– Miał rację – stwierdziła Zosia. – Kiedy odbierałam porody i szukałam prostytutek po bramach, miałam więcej siły i stanowczości niż wczoraj.

– Niejedna dziwka jest porządniejsza od takiej pańci, która uważa, że należy się jej specjalne traktowanie i nie chce leżeć koło służącej – odezwała się Danusia Rodziewiczówna.

– Mimo to miał rację – upierała się Zosia. – Po dwóch zdaniach pacjentka stwierdziła, że nie będzie ze mną rozmawiała, a ja po prostu sobie poszłam.

Postanowiła w głębi ducha, że już więcej nie okaże słabości i nie pozwoli się lekceważyć.

– Ja bym na twoim miejscu, Zosiu, te pouczenia traktował jako komplement – stwierdził Henio Iwanicki. – Nasz Joachim nie zawracałby sobie głowy uczeniem osoby, która nie rokuje.

– Nie jesteś, Heniu, na moim miejscu – zauważyła cierpko. – Ja uważam, że słusznie mnie pouczył.

– Nie przejmuj się tak – wtrąciła znów Joasia Rychter. – Doktor Garlicka prosiła, żebyś wstąpiła do niej na oddział, bo noworodek, który urodził się godzinę temu, ma bladą skórę. Chciałaby się z tobą skonsultować. Powiedziałam jej, że przekażemy ci, gdy u nas skończy się obchód.

Zosia natychmiast wstała i narzuciła sweter na fartuch, bo dni zrobiły się bardzo chłodne.

– Czemu od razu nie powiedziałaś? – spytała.

– Chciałam, żebyś trochę wypoczęła – serdecznie odpowiedziała jej koleżanka. – Jesteś po dyżurze i po obchodzie. Jeszcze zdążysz.

Zosia nie powiedziała, że stan zdrowia noworodka może się pogorszyć w ciągu kilku minut, bo doceniała troskę koleżanek. A kiedy zbadała małego chłopczyka, stwierdziła, ku uldze swojej i doktor Garlickiej, że dziecko jest po prostu zmęczone długim porodem, ale zupełnie zdrowe.

– Całe szczęście – skomentowała doktor Garlicka. – Dziecko wymodlone, wyczekane, matka leciwa jak na pierwszy poród, bo aż trzydziestoletnia. Gdyby coś było nie tak, nie mieliby szans na kolejną.

Rozległo się pukanie do drzwi i do sali weszła siostra zakonna.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – powiedziała.

– Siostra Józefa z Lasek – przedstawiła zakonnice Zosi doktor Garlicka. – Przyjechała po naszego podopiecznego i jego matkę.

– Udało się przekonać tę dziewczynę, aby spędziła u nas w zakładzie trzy miesiące i dopiero wtedy opuściła dziecko – powiedziała siostra, na co doktor Garlicka bardzo się ucieszyła.

– Mieliśmy tu prawdziwy dramat – wyjaśniła Zosi, kiedy siostra Józefa wyszła. – Jakaś bidula przywlekła się do nas miesiąc temu w zaawansowanej ciąży. Twierdziła, że wykorzystał ją jeden z żołnierzy. Upierała się, że ów żołnierz pracuje w szpitalu wojskowym. Rzuciła oskarżenia to na jednego, to na drugiego. Nawet nasz dowcipniś Iwanicki musiał się tłumaczyć, że nie zna owej panienki. – Uśmiechnęła się. – Urodziła, a wtedy okazało się, że noworodek nie ma gałek ocznych. Agenezja – westchnęła.

– Mój Boże – powiedziała Zosia ze współczuciem. Biedne dziecko.

– Mamy świadomość, że dziewczyna odda je do sierocińca i wróci na swoją wieś, ale na szczęście udało się ją przekonać, żeby spędziła kilka miesięcy w zakładzie w Laskach. Właśnie o tym mówiła siostra Józefa.

– Tam się nimi dobrze zaopiekują. Czemu trzeba ją było przekonywać?

Doktor Zofia Garlicka westchnęła.

– Dziecko wygląda strasznie. Kiedy się urodziło, matka stwierdziła, że została wykorzystana przez diabła, i chciała uciec. A mały potrzebuje miłości i pokarmu.

„Może moim powołaniem jest opieka nad położnicami i ich dziećmi, tymi wyczekiwanyymi i odrzuconymi”, pomyślała Zosia, zanim wróciła na swój oddział.



– Już nie mieszkamy w prowincjonalnym mieście wielkiego imperium – perorował Nino z wielką pewnością w głosie. – Obecnie Warszawa jest Paryżem Północy. Widziała pani te neony, te nowoczesne ulice, po których suną automobile?

Zosia, popijając szampana, wpatrywała się w scenę, na której tańczyła dziewczyna w skąpym stroju, cała pomalowana na brązowo, ani chybi udająca mieszkankę egzotycznych wysp.

– W Warszawie jest jedynie kilka ulic, po których bez obaw można jeździć automobilami, a życie kulturalne stolicy ogranicza się do jej centrum.

Nino się roześmiał, a dziewczyna na scenie tańczyła, wykonując ruchy, które pewnie miały nawiązywać do zwyczajów plemiennych. Zosia uznała ten taniec za niesmaczny.

– Klementyna mówiła, że jest pani trudna do zdobycia. – Nino uśmiechnął się i skinął na kelnera, który postawił przed nią kolejny kieliszek szampana.

Zosia oburzyła się.

– Współczesnej kobiety nie zdobywa się, zabierając ją na dancingi – stwierdziła cierpko.

Nino się roześmiał.

– A jak? – spytał, po czym wbił w nią spojrzenie niebieskich jak niezapominajki oczu.

Zosia wytrzymała jego wzrok.

– Każdej kobiecie należy dać coś innego – powiedziała.

– Pani pewnie wolałaby się wybrać do Zachęty? – pytał niby poważnie, ale w oczach miał kpinę. – Ale tam niebezpiecznie...

Zosia spojrzała na Nina z ironią.

– Ogromnie przeżyłam morderstwo prezydenta Narutowicza^[49], chociaż przyjechałam do Warszawy dopiero na wiosnę dwudziestego trzeciego roku – powiedziała. – Od tego czasu bywam regularnie w Zachęcie i co pewnie pana zdziwi, jakoś się nie boję.

Nino złożył swoje piękne usta w dzióbek.

– Oj, oj, oj – powiedział. – Jaka odważna... Mnie to zdarzenie przekonało jedynie, że malarze są szaleni, dlatego wolę pozostać przy aktorach i muzykach.

– Malarze nie są szaleni – zaprotestowała. – Ten jeden był szalony. Wśród aktorów także zdarzają się mordercy. Jeden z nich zabił amerykańskiego prezydenta. Podczas przedstawienia.

– Chce pani powiedzieć, że nie przyjmie zaproszenia do teatru? – indagował Nino.

„On nie traktuje mnie poważnie, ale jest taki uroczy”, westchnęła w duchu Zosia. Klementyna uprzedzała, że Nino spróbuje ją uwieść. Zosia początkowo nie brała jej słów na poważnie, ale kiedy zaczął słać do szpitala kwiaty, uznała taki sposób uwodzenia za bardzo miły i wkrótce zgodziła się przyjąć zaproszenie do jednego z najmodniejszych klubów odrodzonej stolicy, to jest Qui Pro Quo. Nino wywoływał w niej niepokój, a jednocześnie Zosia czuła się wyróżniona, kiedy tak się przekomarzali i docinali sobie. „Na pewno nie jest łatwo mnie uwieść – powtarzała w myślach – bo cenię sobie u mężczyzny powagę i stabilność, której ten oto bawidamek mi nie zapewni”.

– To zależy, czy umie pan wybrać właściwy repertuar – powiedziała przekornie i wpatrzyła się w scenę, gdzie energiczna Zula Pogorzelska^[50] śpiewała piosenki, a była przy tym tak pełna życia i radości, że Zosia przestała czuć się spięta i nie na miejscu i zaczęła czerpać radość z sobotniego wieczoru.

– Postaram się – szepnął jej do ucha Nino, po czym także utkwiał wzrok w Zuli.



– On jest taki zepsuty – zwierzyła się później Klementynie, kiedy po pracy spacerowały Nowym Światem. – A Zula cudowna. I ta muzyka! Wspaniała.

Klementyna się roześmiała.

– Mówiłam ci, żebyś na niego uważała, moja droga.

– Uważałam – zapewniła ją Zosia. – Ale zgodziłam się przyjąć zaproszenie do teatru.

– No to nie uważałaś. – Klementyna zrobiła śmieszoną minę.

– Może nie do końca uważałam, ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że przejażdżki automobilem zrobiły na mnie większe wrażenie niż szampan i kawior. A nawet Zula Pogorzelska.

Klementyna spojrzała na nią z udawanym zrozumieniem.

– Odtąd ja cię będę zabierała na przejażdżki automobilem – stwierdziła. – Bo przecie to wszystko jedno. Co więcej, na pierwszą pojedziemy już za kilka dni. Do Podkowy Leśnej. Moja przyjaciółka Halina Regulska^[51] i jej mąż nabyli właśnie tatrę T30 z czterocylindrowym silnikiem. Zamierzają wystartować w rajdzie samochodowym!

– W takim razie koniecznie muszę poznać tę niezwykłą kobietę – oznajmiła Zosia, po czym, kiedy skręciły w wąską uliczkę, zapytała: – Dokąd ty mnie prowadzisz, moja droga?

– Do Wedla – powiedziała Klementyna. – Na gorącą czekoladę. Tego ci żaden mężczyzna nie zapewni, bo oni sądzą, że wolimy pić szampana.

W kawiarni panował przyjemny chłód. Dziewczyny zajęły stolik blisko okna i zamówiły dwie filiżanki cudownego napoju, który odtąd stał się Zosi ulubionym.

– Halina jest niezwykła – kontynuowała opowieść Klementyna. – Po odzyskaniu niepodległości zorganizowała Komitet Opieki nad Żołnierzem Polskim. Szyto tam ubrania, organizowano żywność i lekarstwa dla żołnierzy. Skończyła kurs Czerwonego Krzyża, tam ją poznałam. Chociaż połączyła nas pasja do samochodów.

Zosia popijała gorącą czekoladę.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła – powiedziała ciepło do Klementyny. – Opiekujesz się mną w szpitalu, zapraszasz na przyjęcia, nawet rendez-vous mi załatwiłaś.

Klementyna machnęła ręką.

– Powiem ci, moja droga, że i ja bardzo sobie cenię naszą znajomość. Danusia i Joanka są wspaniałe, ale raczej koni bym z nimi nie kradła.

– Mowa naturalnie o koniach mechanicznych – rozległ się koło nich głęboki głos. – Panie pozwolą, że się przywitam.

– Kto by się spodziewał, że jesteś wielbicielem czekolady, braciszku. – Klementyna powitała Stanisława Gorazdowskiego i zanim zdążyła zaprosić go do stolika, ten bez zbędnych ceregieli przysiadł się do nich.

– Jestem wielbicielem czekolady, którą wolę od szampana – potwierdził i zaczął wyliczać: – Gorącej, w tabliczkach, migdałów nią oblanym...

– Wystarczy, mój drogi, wystarczy... – przerwała mu Klementyna. – Obie mamy skurcz żołądka.

– Jak się pani odnajduje w niskich progach Szpitala Ujazdowskiego? – zwrócił się do Zosi, a ta nieoczekiwanie oblała się rumieńcem.

– Właśnie skończyłam kurs statystyki – odpowiedziała, a Stanisław natychmiast wykrzyknął:

– Wspaniale! Statystyka jest podstawą wszelkich badań naukowych. U nas w instytucie mamy regularne szkolenia ze statystyki. Mógłbym panią na nie zaprosić, skoro interesuje się pani tematem.

– Stachu – westchnęła Klementyna. – To Zofia uczyła statystyki medycznej na tym kursie, a nie odwrotnie.

Gorzdowski był wyraźnie zmieszany.

– Zechce mi pani wybaczyć – powiedział skruszony. – Jestem przyzwyczajony do tego, że tylko jedna kobieta na świecie jest intelektualistką.

Tu skłonił się Klementynie, ujął jej dłoń i ucałował.

– Nic nie szkodzi. – Zosia uśmiechnęła się. – I choć bardzo wysoko cenię Klementynę, myli się pan co do nas, kobiet. Już nie tylko Maria Skłodowska nas reprezentuje, jest nas więcej.

– Zapamiętam. – Kiwnął głową, nadal skruszony.

– Statystyki uczyła mnie doktor Grażyna Ungerowa, która pracowała ramię w ramię z legendarną Anną Dobrską – ciągnęła Zosia, której o dziwo Stanisław ani nie złościł, ani nie onieśmielał.

– Znałem doktor Dobrską – pochwalił się Stanisław. – Miałem nadzieję, że stanie na czele Szpitala Świętej Zofii, ale tak się nie stało.

„A szkoda”, pomyślała Zosia. Wiedziała o propozycji, którą otrzymała lekarka, a której nie przyjęła, bo była zbyt zajęta działalnością społeczną i już bardzo chora.

– Czy mógłbym w ramach zadośćuczynienia zaprosić panią na wykłady do naszego instytutu? – spytał pojednawczym tonem.

– A kto jest wykładowcą? – zainteresowała się Zosia.

– Nasz szef, doktor Kazimierz Funk, wygłasza cykl wykładów dla pracowników. Będą dotyczyły zarówno jego odkryć, jak i insuliny, której produkcję uruchamiamy.

– O! – wykrzyknęła Klementyna, a kilka osób obejrzało się w jej stronę i pokręciło z dezaprobatą głowami. – Pamiętaj, Stanisławie, kto cię przedstawił Zosi.

– Oczywiście, zaproszenie dotyczy was obu – oznajmił Stanisław i dodał chętnie: – Wykłady nie są publiczne, ale mam pewne wpływy. No i doktor Funk niezmiernie sobie ceni osoby zainteresowane badaniami naukowymi.

– Jak to dobrze, że wstąpiłyśmy do Wedla – ekscytowała się Klementyna w drodze powrotnej.

Zosia także była bardzo zadowolona z takiego obrotu spraw. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! Będzie mogła wziąć udział w wykładach Kazimierza Funka! Coś takiego. Z tym mogłyby się równać jedynie lektura pierwszych pism Hughlingsa Jacksona, uczestnictwo w słynnych środowych spotkaniach Freuda albo obecność przy podawaniu insuliny pierwszemu ludzkiemu pacjentowi przez Bantinga i Besta. „Mój Boże”, pomyślała, wchodząc do swojego mieszkania.

– Róże – powiedziała głośno. – Róże od Nina...

Ale kiedy podeszła i przeczytała bilecik, odkryła, że przysłał je nie Nino, ale Stanisław Gorazdowski. Do bukietu dołączona była tabliczka wedlowskiej czekolady deserowej. „Kiedy on zdążył to zrobić?”, zdumiała się w duchu Zosia. „Przecież rozstaliśmy się niespełna godzinę temu”.

Frederick Grant Banting

1891–1941

Zza przymkniętych drzwi salonu dochodziły szepty rodziców. Niestety Frederick nie słyszał pojedynczych słów, ale wiedział, że matka i ojciec rozmawiają o Jane, jego małej przyjaciółce. Chłopak kochał Jane jak siostrę i podobnie jak inni, nie rozumiał tego, co się z nią dzieje. Coraz bardziej się o nią martwił. Bezskutecznie próbował uprosić rodziców, aby pozwolili mu ją odwiedzić. Był przekonany, że kiedy tylko Jane go zobaczy, polepszy się jej. Ale jego ojciec i matka byli nieprzejednani, czego Frederick także nie rozumiał. Jane musiało dolegać coś naprawdę poważnego, bo nawet jego starsi bracia byli dla niego mili i pocieszali go, że wszystko na pewno dobrze się skończy, a Jane wyzdrowieje.

– Fredericku! – Drzwi otworzyły się gwałtownie i chłopiec spojrzął w gniewną twarz swojego ojca. – Podśluchiwanie jest niegodne dżentelmena.

– Wiem o tym, ojczy – odpowiedział śmiało chłopak. – Ale rozmawiacie o Jane, która jest mi bardzo droga. Nikt nie chce mi powiedzieć, na co zachorowała.

Mina ojca nieco złagodniała.

– Williamie. – Matka Fredericka stanęła obok ojca. – Frederick ma rację. Nie jest już dzieckiem.

– Dobrze – westchnął ojciec i wskazał synowi fotel, na którym chłopak usiadł. – Chodzi o to, że niewiele wiemy. Fredericku, Jane męczy jakaś nieznana choroba.

To już wiedział. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej.

– Na czym polega ta choroba? – pytał. – Czy Jane trawi gorączka?

Ojciec westchnął.

– Nie – odpowiedziała matka. – Jane nie ma gorączki. Jest bardzo słaba i śpi całymi dniami.

– Dlaczego nie mogę jej zatem odwiedzić? – spytał.

– Nikt nie może jej odwiedzać. – Matka bezradnie rozłożyła ręce. – Ponoć doktor zabronił. Biedni Gerda i John.

Ojciec popatrzył na matkę, a ona pokręciła przecząco głową. Nie chciała, by powiedział synowi, że Jane w istocie gaśnie w oczach i jej koniec wydaje się bliski. „Biedna to jest Jane, a nie jej rodzice”, pomyślał Frederick, ale nie powiedział tego na głos.

Następnego dnia śmiało zapukał do domu Wilsonów, a kiedy służąca Gertie mu otworzyła, wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Czego tu szukasz, Fredericku?

– Przyszedłem odwiedzić Jane – odpowiedział, zdecydowany, że nie da się wyprosić, chociaż widok pani Gerdy, bladej, z włosami w nieładzie i podkrążonymi oczami, wstrząsnął nim do głębi.

– Nie wiem, czy to... – zaczęła pani Wilson, ale Frederick złożył dłonie w błagalnym geście.

– Bardzo panią proszę – powiedział. – Nie zostanę długo, a Jane na pewno się ucieszy.

Pani Wilson pokiwała głową i wskazała mu drzwi.

– Tylko jej nie męcz – poprosiła. – Jest bardzo słaba.

Frederick wszedł cicho do pokoju. Na widok dziewczyny poczuł ucisk w gardle. Podeszedł jednak śmiało do łóżka, wziął krzesło i usiadł obok przyjaciółki.

– Dzień dobry, Jane – wykrztusił.

– To nie jest dobry dzień, Fredericku – odpowiedziała i spróbowała się uśmiechnąć.

Chociaż zasłony były zaciągnięte i w pokoju panował półmrok, Frederick dostrzegł, że Jane ma bladą twarz i bardzo podkrążone oczy oraz że

oddycha płytko, jakby z trudem. Jej oddech dziwnie pachniał i Frederickowi zrobiło się niedobrze, ale tego nie okazał.

– Wyzdrowiejesz – powiedział z mocą.

Jane ledwie zauważalnie pokręciła głową.

– Doktor mówił, że nie – powiedziała cicho. – Słyszałam.

– Doktor nie zawsze ma rację – zaproponował. – Co ci dolega?

– Nikt nie wie – odpowiedziała. – Wszystko mnie boli, nie mogę jeść. Chudnę. Tak jakbym zniknęła.

– Będziesz mogła latać – stwierdził ze śmiechem, ale Jane nawet się nie uśmiechnęła, słysząc żart, z którego kiedyś oboje się zaśmiewali.

– Ważę tyle co piórko – ciągnęła Jane. – Tylko piję bardzo dużo. Wciąż chce mi się pić. Teraz też. Podaj mi wodę, proszę.

Frederick nalał dziewczynie wody z karafki i przytrzymał głowę, kiedy piła.

– Może ugryzł cię jakiś owad albo wściekły pies? – zapytał, kiedy skończyła.

– W Alliston, a nawet w całej Kanadzie, nie ma wściekłych owadów – odpowiedziała, a Frederick znów zaczął się śmiać.

Przypomniał sobie, jak lubili razem z Jane snuć niestworzone historie o zamieszkałych w kanadyjskich lasach dziwnych zwierzętach, których nikt nigdy nie widział, latających rybach i kęsających owadach wielkości psów.

– Obiecuj mi, że będziesz jadła. – Ujął ją za rękę. – Kiedy ja jestem chory, jem rosół i zaraz mi się polepsza.

Jane pokiwała głową, ale nie patrzyła na niego.

– Opowiedz mi coś – poprosiła nagle i dodała: – Dobrze, że mnie odwiedziłeś, Fredericku. Już mi lepiej.

Chociaż żal ścisnął mu gardło, zaczął opowiadać dziewczynie o zielonych łąkach i tajemniczym lesie, który nagle pojawił się tuż za ich szkołą.

– Jeszcze będziemy biegać po łąkach i łapać motyle wielkości gołębi – powiedział, po czym wyszedł cicho, bo zauważył, że zmęczona odwiedzinami Jane zasnęła.



– To była cukrzyca, ale wtedy tego oczywiście nie wiedziałem – opowiadał po wielu latach Frederick. – Kilka tygodni później moja przyjaciółka Jane umarła, a ja niosłem jej trumnę.

Wojna miała się ku końcowi, ale Frederick Grant Banting wciąż nie wracał do domu, do Kanady, tylko tkwił we francuskich okopach i operował rannych.

– To dlatego zostałeś lekarzem? – spytał Barnie McFerrin, starszy o kilka lat chirurg wojskowy, z którym Frederick się zaprzyjaźnił i z którym wspólnie pracował w szpitalu polowym.

Frederick pokiwał głową.

– Właściwie nie tylko dlatego – przypomniał sobie. – Czasem myślę, że musiałem zostać lekarzem, że mam jakąś misję do wypełnienia, jakby los popychał mnie na tę drogę.

Barnie czekał, aż Frederick zacznie opowiadać. Towarzysze broni kochali jego opowieści. Freddy miał niezwykłą wyobraźnię i Barnie już kilka razy mu mówił, że kiedy wojna się skończy i wrócą do domu, po pracy powinien pisać powieści. Freddy zbywał jednak te komplementy śmiechem.

– Po śmierci Jane myślałem o tym, żeby studiować medycynę – wyjaśnił. – Rodzice życzyli sobie jednak, żebym raczej myślał o Bogu niż o leczeniu. Zacząłem zatem studiować teologię.

Barnie gwizdnął przeciągle.

– Jakoś trudno mi sobie ciebie wyobrazić, mój drogi, jak pocieszasz zbłąkane owieczki w jakiejś zapadłej wiosce – stwierdził. – Nie z twoimi zdolnościami manualnymi. Wierz mi, nie ma tu zdolniejszego operatora od ciebie.

Frederick uśmiechnął się do Barniego.

– Pewnie byłbym został pastorem, ale jak mówiłem, los chciał inaczej. – Uśmiechnął się. – Któregoś dnia wracałem do domu po zajęciach. Kiedy przechodziłem obok pewnego budynku, zawalił się jego dach. Wcześniej widziałem, że pracowało na nim dwóch mężczyzn. Wpadli do środka. W jednej chwili zrobił się chaos. Ludzie zaczęli krzyczeć: „Pomocy, pomocy!”. Kilka osób wbiegło do środka, inne znów próbowały wejść na dach i z góry zobaczyć, co z robotnikami. Znalazł się nawet ktoś, kto kamieniem wybił szybę w oknie, rzekomo, żeby pomóc.

– Należało wejść do środka, znaleźć rannych, zabezpieczyć... – zaczął recytować Barnie.

– Właśnie – zgodził się z nim Frederick. – Tak należało zrobić, zamiast siać panikę. I znalazł się ktoś, kto dokładnie wiedział, jak należy postąpić.

– Czyli ty? – spytał Barnie. – Znalazłeś rannych, opatrzyłeś ich, uspokoiliś ludzi, tak?

Frederick pokręcił głową.

– Nie – zaprzeczył. – Zrobił to miejscowy lekarz, którego wezwano do wypadku. Kiedy przybył na miejsce, natychmiast opanował sytuację. Nakazał ludziom, żeby zeszli z dachu. Rozkazał tłumowi, żeby się rozszedł. Dwaj ranni zostali wyniesieni z budynku i doktor opatrzył najpierw jednego, potem drugiego. Wszystko to trwało kilkanaście minut. Ja stałem i patrzyłem.

– Zaimponował ci. – Barnie roześmiał się.

– Tak – potwierdził Frederick. – Już wiedziałem, do czego zostałem powołany. Wróciłem do domu, oświadczyłem moim rodzicom, że rzucam teologię i rozpocynam studia medyczne. Nie byli szczęśliwi, delikatnie mówiąc, ale cóż mieli zrobić. Dalszy ciąg już znasz. W tysiąc dziewięćset

szesnastym wstąpiłem do Korpusu Medycznego Armii Kanadyjskiej. W czasie wojny uzyskałem dyplom. Niemal natychmiast przerzucono mnie do Francji, gdzie spotkałem między innymi ciebie. Teraz mamy tysiąc dziewięćset osiemnasty rok, jestem wziętym wojennym chirurgiem ortopedą. Mam jednak nadzieję, że wojna się skończy, wrócę do domu i będę mógł kontynuować przygodę z chirurgią w mniej drastycznych warunkach.

Barnie znów zaczął się śmiać, ale nagle spoważniał.

– Jak myślisz, ile jeszcze bitew dzieli nas od powrotu do Kanady?

– Niemcy zbierają siły pod Cambrai – powiedział Frederick. – Dowództwo ma nas tam przerzucić. Mam nadzieję, że to już ostatnia bitwa.

Żaden z nich nie powiedział na głos, że przecież od co najmniej roku mieli nadzieję, że kolejna bitwa będzie już ostatnią.



Otworzył oczy. Ogłuszające huki artylerii ucichły. Bitwa musiała się skończyć. Pamiętał nagły ból w boku, potem już nic. Musiał zostać ranny. „Ręce”, pomyślał nagle przerażony. „Czy ręce mam całe?”

Uniósł obie jednocześnie i zacisnął dłonie w pięści. Odetchnął z ulgą. Spróbował wstać.

– Niech pan leży – zwrócił się ktoś do niego po angielsku. – Zaraz zaniemiemy pana do szpitala. Jest pan ranny.

– To nic poważnego – odpowiedział także po angielsku. – Mogę iść o własnych siłach. Jestem lekarzem.

– Ja też, doktorze. – Żołnierz w stopniu sierżanta pochylił się nad nim. – Dlatego zostawiłem pana tutaj, z lżej rannymi. Ci w ciężkim stanie już pojechali. Jest po bitwie. Odparliśmy Niemców.

– Nasze czołgi ich odparły – poprawił go Frederick i zaczął kaszleć. Ból w boku wzmógł się.

Doktor odszedł, by zająć się innymi chorymi. Frederick usiadł ostrożnie, a potem rozpiął kurtkę wojskową i obejrzał ranę. Tak jak myślał, była powierzchowna, tylko dotkliwie bolała. Sięgnął po bandaż i środki do dezynfekcji, które miał przy sobie. Przemył ranę obficie i zawiązał bandaż, krzywiąc się z bólu. Ponownie zapiął kurtkę, wstał i ignorując zawroty głowy, rozejrzał się. Na nieco chwiejnych nogach podszedł do wojskowej ciężarówki pełnej rannych.

– Proszę mi pozwolić pojechać do szpitala – zwrócił się do jednego z żołnierzy.

– Niech pan, kapralu, czeka na swoją kolejkę – odpowiedział mu żołnierz. – Obowiązuje selekcja...

– Jestem lekarzem, mogę pomóc przy rannych – przerwał mu i objął wzrokiem otoczenie. – Tu już niewiele zostało do roboty, w szpitalu na pewno się przydam.

– Skoro tak, niech pan wsiada, doktorze – zgodził się żołnierz, po czym pomógł Frederickowi wsiąść do samochodu, zaciągnął plandekę i dał znak kierowcy, żeby ruszał.



Ilekroć Frederick wracał myślami do tamtych czasów, był zdumiony, że udało mu się mimo strzaskanych dwóch żeber i otwierającej się krwawiącej rany operować przez kilkanaście godzin.

– Barnie wtedy zginął – opowiadał potem kolegom w Kanadzie. – A ja stałem przy stole operacyjnym, dopóki tamten doktor, który zbierał mnie z pola bitwy, nie wszedł i nie powiedział „dość”.

– I odpoczął pan?

Frederick pokiwał głową.

– Tak – odpowiedział. – Straciłem przytomność. Leżałem tak dwa dni, więc siłą rzeczy odpocząłem.



Frederick stał przed obliczem Johna Richarda Macleoda, profesora fizjologii na uniwersytecie w Toronto, i starał się przekonać go do swoich racji.

– A zatem podsumujmy – powiedział ironicznie Macleod. – Nie ma pan żadnego doświadczenia w pracach badawczych, ale chciałby pan prowadzić badania nad trzustką, czy tak?

– Tak – powiedział z prostotą Banting.

– I zwraca się z tym pan do mnie jako przewodniczącego Amerykańskiego Towarzystwa Fizjologicznego? – ironizował dalej Macleod.

„Co za buc”, pomyślał Frederick, ale uśmiechnął się grzecznie. Potrzebował laboratorium, w którym mógłby przeprowadzić badania.

– Właśnie tak – powtórzył. – Zwracam się do pana jako największego autorytetu w dziedzinie metabolizmu węglowodanów.

– A co skłoniło zwykłego ortopeda do zgłębienia budowy i funkcji tego narządu? O ile się orientuję, w trzustce nie ma kości – powiedział Macleod.

Już nie ironizował, teraz otwarcie szydził z Bantina, ale Frederick ponownie zacisnął zęby.

– Jestem nie tylko ortopedą, lecz także wykładowcą – zaczął wyjaśniać, udając, że nie dostrzega obraźliwego tonu ani wyraźnego lekceważenia w pytaniu profesora. – Jeden z moich wykładów dotyczył właśnie trzustki. Zwykłem przygotowywać się do wykładów bardzo starannie, zatem przejrzałem dostępną na ten temat literaturę. Oprócz zgłębienia powszechnej wiedzy na temat soków trzustkowych, które uczestniczą w procesie trawienia pokarmów, trafiłem również na opis eksperymentów doktorów Josepha von Meringa oraz Oskara Minkowskiego z tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku. Wykazały one, że psy po usunięciu trzustki przejawiały wiele cech podobnych do tych występujących u diabetyków. Bardzo mnie to zainteresowało. Postanowiłem przyjrzeć się temu bliżej.

– Doprawdy... – Macleod skrzywił się. – Chce pan powtórzyć badania sprzed ponad czterdziestu lat?

Frederick przecząco pokręcił głową.

– Nie, panie profesorze – powiedział cierpliwie. – W moich analizach chciałbym się oprzeć na innej pracy, z tysiąc dziewięćsetnego roku. Doktor Eugene Lindsay Opie opisał badane na sekcjach trzustki diabetyków. Wyglądały one tak jak trzustki zdrowych osób – z jednym wyjątkiem – wokół wysepek Langerhansa występowały skupiska nietypowych komórek.

– I co z tego? – Mimo opryskliwego tonu Macleod wykazywał zainteresowanie słowami Fredericka, więc ten wziął głęboki oddech i kontynuował swój wywód.

– Później natknąłem się na raport doktora Mosesa Barrona, który opisał w nim sekcję zwłok przeprowadzoną u pacjenta z zablokowanymi przez kamienie przewodami trzustkowymi. Proszę sobie wyobrazić, że komórki miąższu trzustki zostały zniszczone, ale komórki wysepek trzustkowych pozostały zdrowe.

– Ponownie pytam: czego to dowodzi?

– Że chory nie zmarł z powodu cukrzycy! – wykrzyknął Banting.

– Drogi panie – powiedział zniecierpliwiony Macleod. – Czy pan sądzi, że nie słyszałem o badaniach nad ową substancją produkowaną przez trzustkę, która miałaby łagodzić cukrzycę? Spełzły one na niczym.

– Tak – zgodził się Banting. – To kwestia nie tylko wyizolowania owej substancji i oczyszczenia jej, lecz także sposobu podania. Dotychczas podawano ją pacjentom doustnie. Trawiły ją soki żołądkowe, stąd niepowodzenie eksperymentów. Ja chciałbym tę substancję podawać drogą pozajelitową.

– To ogromne ryzyko. – Macleod pokręcił głową.



– Nie posiadałem się ze zdumienia, kiedy kilka dni później otrzymałem list, w którym profesor informował mnie, że użyczy mi laboratorium, abym mógł przeprowadzić swoje badania, a na dodatek otrzymam asystenta do pomocy i kilka psów do doświadczeń – opowiadał, kiedy siedział już w pracowni i przygotowywał się do rozpoczęcia kolejnego etapu badań.

– Profesor jest świątłym człowiekiem. – Jego asystent Charles Best uśmiechnął się do niego i w myślach dodał: „Mimo wielu swoich wad”.

– Nie masz pojęcia, jak się zdumiałem i ucieszyłem! – Banting klepnął się w udo. – A niemalże wyrzucił mnie z gabinetu! Otwarcie wyśmiał moje teorie!

Best przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy usłyszał nazwisko Bantinga i poznał przedmiot jego zainteresowań. Pracował razem ze swoim kolegą Edwardem Noble'em nad sokami wydzielanymi w dwunastnicy, kiedy Macleod wszedł do ich pokoju i poinformował, że jeden z nich obejmie stanowisko asystenta młodego ortopedy, który będzie prowadził badania nad trzustką u psów.

– Ustalcie między sobą, który z was zostanie przy badaniach dwunastnicy, a który będzie pomagał Bantingowi – powiedział Macleod i wyszedł z pokoju.

– Ty nadasz się do tego najlepiej, Best^[52] – rzucił Noble i wybuchnął śmiechem.

– Jeśli ty się zgodzisz, kto wie, czy nie dostaniesz nagrody swojego imienia – odgryzł się Charles.

Noble, nie przestając się śmiać, oznajmił, że z radością odstąpi Bestowi potencjalne zaszczyty oraz że życzy mu gorąco, aby badania na trzustkach psów przyniosły mu Nagrodę Nobla.

I tak Charles Best został asystentem Bantinga i pilnował, aby jego badania miały podłoże naukowe. Ortopeda był bardzo dobrym operatorem, miał rozległą wiedzę kliniczną, ale jego teorie i ich opis wciąż bywały

chaotyczne, a wyniki skutkowały często kolejnymi hipotezami, zamiast stanowić poparte dowodami wnioski.

– Panie doktorze – powiedział Best. – Suka Marjorie, ta, u której usunęliśmy trzustkę, ma cukrzycę.

– Świetnie – powiedział Banting. – Zatem jesteśmy gotowi, aby rozpocząć eksperyment.



Maj, 1921 rok – zanotował Best. – Po czterech tygodniach od podwiązania przewodów trzustkowych u dwóch eksperymentalnych psów doktor Banting usunął zdegenerowany narząd. Następnie z wysepek Langerhansa wyekstrahowaliśmy substancję gotową do podania chorej na cukrzycę suce.

Wartości cukru we krwi Marjorie przekraczają normę trzykrotnie. Suka pije dużo wody, niemalże się nie rusza, przesypia większość dnia.

Po godzinie od wstrzyknięcia ekstraktu zwierzę podniosło łeb.

– Piesku kochany! – Banting zaczął głaskać Marjorie po miękkiej sierści.
– Best, szybko oznacz poziom cukru.

Poziom cukru we krwi suki po godzinie od wstrzyknięcia ekstraktu wykraczał niewiele ponad normę, a zwierzę zachowywało się niemalże normalnie. Suka podeszła do miski, zjadła, o własnych siłach wyszła za potrzebą. Niestety po kolejnych czterech godzinach ponownie opadła z sił, stan kliniczny się pogorszył, a oznaczony poziom cukru był podobny do wartości, jaką zanotowaliśmy przed podaniem leku.

– Mamy potwierdzenie naszej teorii – stwierdził szczęśliwy Banting. – Ekstrakt z komórek wyspowych obniża poziom cukru we krwi.

– Tyle że trzustka wydziela ów ekstrakt w odpowiedzi na bodziec, jakim jest pokarm – studził jego zapamięł Best. – Nie wystarczy podawanie leku co jakiś czas. Trzeba podawać go po każdym posiłku.

– Trzeba go podawać kilka razy na dobę – potwierdził Banting. – Potrzebujemy zatem dużo ekstraktu.

– Tylko skąd go uzyskać? – zatroskał się Best. – Nie możemy zabijać kolejnych psów.

Banting zastanowił się. Kilka dni wcześniej czytał doniesienia o tym, że trzustki płodów i nowo narodzonych zwierząt mają więcej wysp trzustkowych niż narządy osobników dorosłych. Podzielił się tą wiadomością z Bestem.

– To jest kierunek naszych badań – powiedział.



– Wracam z wakacji i co zastaję? – pieklił się Macleod.

„Krowie płody, dzięki którym otrzymujemy większe ilości potrzebnej nam substancji”, odpowiedział w myślach Banting, ale nie ośmielił się wypowiedzieć tego na głos. Przynajmniej do czasu, aż Macleod wykrzyczy wszystkie swoje pretensje.

– Wasze wyniki są nic niewarte! – wrzeszczał, uderzając o stół zapiskami Besta i Bantinga.

– Przeciwnie – odezwał się Banting. – Udowodniliśmy ponad wszelką wątpliwość, że substancja uzyskana z wysp trzustkowych obniża poziom cukru we krwi i tym samym leczy cukrzycę. *In vivo* jest wydzielana wielokrotnie w odpowiedzi na przyjmowany pokarm. *In vitro* musimy ją podawać za pomocą iniekcji po każdym posiłku. Uważam, że nadszedł czas, aby spróbować podać tę substancję ludziom.

– Niech pan przestanie! – krzyknął Macleod. – Niczego nie udowodniliście! Musicie uzyskać te same wyniki co najmniej kilkadziesiąt razy, aby w ogóle myśleć o eksperymentach na ludziach. Cóż za tupet!

– Za pozwoleniem, panie profesorze – powiedział milczący dotąd Best. – Uzyskujemy te same wyniki. Potrzebujemy jednak większych nakładów na

nasze badania.

– Wynościę się obaj – nakazał Macleod. – Zapoznam się z waszymi badaniami. I jeśli będą coś warte, porozmawiamy o zwiększeniu funduszy.

Banting i Best skłonili się i wyszli. Za drzwiami odetchnęli z ulgą.

– Jak sądzisz, Charlesie, czy on gotów jest zakończyć nasze badania? – spytał kolegę Banting.

Best pokręcił przecząco głową.

– Nie, Fredericku – stwierdził z mocą. – Jestem pewien, że każe je nam kontynuować, co więcej, zezwoli na podanie naszej „insuliny” chorym ludziom.

– Obyś miał rację, Charlesie, obyś miał rację... – westchnął Banting.



Czas pokazał, że Best dobrze znał profesora Macleoda, który nie tylko zezwolił na kontynuowanie badań nad insuliną, lecz także wsparł je znaczną sumą pieniędzy. Teraz niemal całe laboratorium przeznaczone było na badania nad insuliną. Miało to oczywiście swoje dobre strony, ale Frederickowi przeszkadzało nagle zainteresowanie Macleoda tematem.

– Najpierw nie chciał się tym zajmować, a teraz stoi nam nad głowami i bez końca analizuje wyniki – denerwował się Banting.

– Drogi Fredericku, powinniśmy się cieszyć, że tak się zaangażował – uspokoił kolegę Best.

– No dobrze, dobrze – westchnął Banting. – Mamy podać insulinę pacjentowi, to jest powód do ekscytacji. Nie będę się martwił Macleodem. – I dodał cicho: – Pomyśleć, że podamy insulinę choremu zaledwie rok po rozpoczęciu badań. To jest ogromny sukces. Ogromny.



11 stycznia 1922 roku

Pierwszym pacjentem, który otrzymał insulinę, był czternastoletni Leonard Thompson

– zapisał Banting, a potem ciężko westchnął. Eksperyment nie do końca się powiódł. Leonard zaczął się nagle dusić, a na jego ciele wystąpiła wysypka.

Odpowiedzialna za ostrą reakcję alergiczną jest nie insulina, ale coś, co ją zanieczyszczało. Należy pracować nad czystością preparatu.

Odłożył pióro i przypomniał sobie straszne chwile, kiedy wydawało się, że chłopiec umrze, a eksperymenty Bantinga i Besta na zawsze trafią do kosza na śmieci. Na szczęście niebezpieczeństwo udało się zażegnać, a badanie pobranej od Leonarda krwi wykazało, że insulina zadziałała zgodnie z oczekiwaniami, to znaczy obniżyła poziom cukru we krwi.

– Słyszałeś? – zapytał Fredericka Best, kiedy tylko wszedł do laboratorium.

– Słyszałem – odpowiedział mu Banting. – Macleod zaangażował do badań Jamesa Collipa.

– Fredericku, to najlepsze, co mogło nas spotkać – powiedział łagodnie Charles Best. – To wybitny chemik. Wiem, co sądzisz o Macleodzie, ale jego decyzja to akurat strzał w dziesiątkę. Jeśli ktokolwiek jest w stanie oczyścić insulinę, to tylko tak wybitny specjalista jak Collip.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, a ten chemik będzie z nami współpracował, a nie działał przeciwko nam.

– Jestem o tym przekonany – zapewnił go Best. – To bardzo skromny człowiek. I pracować ma pod twoim kierunkiem. Ja bym się nie martwił.



Leonard Thompson otrzymał drugą dawkę insuliny po dwunastu dniach od pierwszej. Nie zaobserwowano reakcji alergicznej

– notował Best z takim entuzjazmem, że drżała mu ręka.



– Nasze doniesienie jest sensacją – powiedział Macleod kilka miesięcy później i uśmiechnął się, co było zupełnie nie w jego stylu. – Serdecznie gratuluję, panowie.

Best uśmiechnął się do Bantinga, a kiedy Macleod opuścił laboratorium, powiedział:

– Mój Boże, jestem taki szczęśliwy, że uda się uwolnić te wszystkie bezbronne dzieci od skutków tej strasznej choroby.

– Biedna Jane – westchnął Banting. – Gdybym wtedy miał insulinę...

– Czasu nie cofniesz. Pociesz się, że od teraz żadne dziecko nie umrze z powodu cukrzycy.

– Nie tak prędko – ostudził zapał kolegi Banting. – Najpierw musimy zacząć produkcję insuliny na skalę przemysłową, a wiesz, że to nie jest łatwe. Dopiero wtedy możemy ogłosić pełen sukces.

– To już jest sukces, Fredericku – zaczął Best, ale w tej chwili wpadł do pokoju Macleod z jakimś pismem w ręku.

– Otrzymaliśmy Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny – wysapał w końcu.

– Mój Boże! – krzyknął Best. – Co za radość! Jakie to szczęście!

– Niech pan czyta, doktorze Banting! – Macleod wcisnął Frederickowi list, a sam usiadł na krześle i złapał się za serce.

Banting chwycił kartkę i przebiegł wzrokiem tekst. Z każdym przeczytanym zdaniem jego entuzjazm gasł. Wreszcie rzucił kartkę na stół.

– Co się stało? – spytał Best. – Nie cieszysz się?

– Otóż Nagrodę Nobla otrzymałem wspólnie z profesorem Macleodem, a nie z tobą, Best – powiedział Banting cierpko, a potem dodał: – W takiej sytuacji nie mogę jej przyjąć.

Macleod wyglądał jak rażony piorunem.

– Jak pan śmie negować mój udział w tym wielkim sukcesie?!

Banting patrzył na profesora ze zdumieniem.

– Pana udział jest, owszem, znaczący. Po tym, jak już uwierzył pan w moją koncepcję. Przedtem miał pan znaczący udział w rzucaniu nam kłód pod nogi, podważaniu naszych wyników...

– A kto finansował badania?! – wrzasnął Macleod. – Kto sprowadził doktora Collipa, aby oczyścił insulinę?

– Mimo wszystko pana zasługi są niczym w porównaniu z tym, co zrobił Best. Nie przyjmę nagrody! – krzyknął Banting.

Po czym odwrócił się na pięcie i opuścił laboratorium.



Charles Banting do końca życia twierdził, że Macleod niesłusznie przypisywał sobie zasługi w leczeniu cukrzycy, a jego wkład w badania nad insuliną był marginalny. Przyjął jednak przyznaną mu w 1923 roku Nagrodę Nobla i ogłosił, że podzieli się otrzymanymi pieniędzmi ze swoim asystentem Charlesem Bestem. W odpowiedzi na to Macleod przekazał z kolei połowę swojej nagrody doktorowi Collipowi, dzięki któremu udało się wyekstrahować czystą insulinę.

ROZDZIAŁ III

w którym poznamy kolejne osoby pracujące w Szpitalu Ujazdowskim, w tym doktor Marię Werkenthin. Jest już rok 1926, w życiu uczuciowym Zosi wiele się dzieje, niekoniecznie dobrego, ale za to dziewczyna ma stabilną pozycję w szpitalu i odbywa staże w kolejnych klinikach oraz zakładach specjalistycznych. Szpital się rozwija, powstają nowe pracownie, formują się nowe przyjaźnie, stare relacje się rozluźniają. Jedno się nie zmienia: Zosia oraz Klementyna wciąż uwielbiają Zulę Pogorzelską.

Przy ulicy Jazdów 5 wznosił się największy budynek szpitalny, gdzie mieścił się Zakład Radiologii. Zosia bywała w nim od początku swojej pracy w szpitalu, bardzo interesowała się jego działalnością, bo uważała, że radiologia to przyszłość. Do niedawna wszechwładzę sprawował tutaj profesor Bronisław Sabat^[53], który studiował fizykę i medycynę w Krakowie, we Lwowie oraz w Wiedniu, a na praktykach w Paryżu został uczniem samego Pierre'a Curie^[54]. Zosia pamiętała, jak z wypiekami na twarzy śledziła jego pokaz obrazowania pracy fałdów głosowych przy pomocy kimografu. W sali było wtedy wielu wybitnych chirurgów, w tym tacy, którzy już operowali albo pragnęli operować krtań. To, co pokazywał profesor, było niezwykle skomplikowane. Co chwila przebiegały szmery powątpiewania i braku zrozumienia, chociaż radiolog starał się mówić jasno oraz przekonywał zgromadzonych, że opiera się jedynie na znajomości fizyki i medycyny.

– Tutaj mają państwo schematyczny przebieg analizy czasowej wykadrowanych obrazów – oznajmił, a widząc, że większość wciąż nie rozumie jego słów, dodał: – Chodzi o zobrazowanie pracy krtani przy pomocy filmu, który powstaje z nakładania na siebie zaznaczonych uprzednio kadrów.

– Chyba tylko on sam to rozumie – powiedziała do Zosi Joasia Rychter po pokazie.

Zosia twierdziła, usiłując przekonać samą siebie, że w zrozumieniu wykładu profesora Sabata przeszkadza jej nie tyle nieznajomość fizyki, ile brak obeznania z budową i funkcją krtani.

– Zobacz. – Pokazała na doktora Rocha Brzoskę^[55], wybitnego laryngologa, który był zachwycony pokazem i zadawał profesorowi Sabatowi kolejne pytania. – Laryngolog odebrał ten wywód zupełnie inaczej.

Postanowiła wtedy, że postara się uczestniczyć w operacjach pacjentów z chorobą krtanią i na własne oczy przekona się o możliwościach kimografu, ale ponieważ dyżurowała na kilku oddziałach, najczęściej na położnictwie, uczyła się diabetologii i reumatologii, a za kilka miesięcy miała zacząć staż neurologiczny, zabrakło jej czasu na uczestnictwo w pokazowych zabiegach.

Rozmowę tę przypomniała sobie, kiedy Danusia Rodziewiczówna oświadczyła, że stary profesor Sabat odchodzi z pracowni, aby kierować ubezpieczalnią w Warszawie, a na jego miejsce przychodzi niejaki docent Witold Zawadowski^[56].

– Ciekawe, czy będzie równie nieprzystępny jak Sabat – zastanawiała się na głos Zosia.

– Chyba żartujesz! – wrzasnęła tymczasem Klementyna i tak szybko, na ile pozwalał jej okazały brzuch, narzuciła na siebie płaszcz i wybiegła z pokoju lekarskiego.

– A jej co? – spytał Romuald Ficowski. – Zaczęła rodzić?

– Za trzy miesiące – odpowiedziała koledze Zosia.

– Ja też myślałem, że to już, skoro wrzeszczy głośniejsz niż zwykle – odparł Joachim Goldschmidt i zaczął się śmiać, co było do niego niepodobne. Swoją wesołością zaraził wszystkich obecnych.

Ich śmiech był absolutnie uzasadniony, pierwszym sygnałem ciąży u Klementyny był bowiem bardzo podniesiony ton głosu. Dziewczyna

zamiast mówić, krzyczała. Pacjenci, rodzina, a przede wszystkim koledzy z pracy zachodzili w głowę, co się stało zwykle spokojnej koleżance. Z tego powodu zbadał ją nawet laryngolog, gdyż podejrzewano niedosłuch, ale z uchem – zarówno zewnętrznym, jak i środkowym oraz wewnętrznym – u doktor Gorazdowskiej było wszystko w najlepszym porządku. Wkrótce okazało się jednak, że na świat ma przyjść jej pierwsze dziecko. Nie wiadomo, jaki związek miała ciąża z podniesionym głosem, którym nieustannie męczyła wszystkich Klementyna, ale jakiś musiał ewidentnie istnieć, bo z każdym kolejnym tygodniem mówiła coraz donośniej i aż strach było myśleć, jak jej głos będzie brzmiał w okresie okołoporodowym. Koledzy Klementyny z pracy na określenie jej przypadłości wykorzystali termin „ucho-brzuch”, który do tej pory opisywał dolegliwości żołądkowe u dzieci z zapaleniem ucha środkowego. Mali pacjenci skarżyli się na bóle brzuszków, nękały ich biegunki. Lekarze zwykle ordynowali wtedy ziółka i dietę. Winowajcą był jednak stan zapalny nie w żołądku, lecz zlokalizowany zupełnie gdzie indziej – w głowie. Teraz pojęcia „ucho-brzuch” używano za plecami Klementyny, co ta przyjmowała z łagodną rezygnacją, także dla niej nietypową. To właśnie doktor Goldschmidt zasugerował, że Klementyna spodziewa się potomka, w co dziewczyna początkowo nie wierzyła. Twierdziła, że musiałaby zajść w ciążę podczas nocy poślubnej, a podobne cuda przecież nie przydarzają się tak nowoczesnym kobietom jak ona. Doktor Zofia Garlicka, świeżo upieczona ordynator oddziału położniczego, potwierdziła jednak przypuszczenia Goldschmidta. Klementynie pozostało jedynie zaakceptować ten fakt, choć wciąż się dziwiła i powtarzała: „Jak do tego doszło?”. Henio Iwanicki któregoś razu usiadł naprzeciw koleżance, ujął jej dłoń w swoją i zaczął perorować niby to śmiertelnie poważnie:

– Pozwól, moja droga, że ci wyjaśnię, jak się sprawy mają. Wobec twojej delikatności zrobię to na przykładzie pszczołek. Albo lepiej kwiatków, bo bzykające pszczołki mogłyby cię zgorszyć...

Klementyna ciskała w niego wzrokiem pioruny, ale to nie zraziło doktora Iwanickiego.

– Zważywszy jednak na to, że kwiatki potrafią być równie perwersyjne podczas rozrodu, zacznę może od sztucznych...

Wtedy już wszyscy się śmiali, także Klementyna, która w końcu stwierdziła z rezygnacją:

– No dobrze. Może tak miało być. Muszę tylko zdać egzamin z pediatrii teoretycznej, zanim zajmę się praktyczną.

Henryk Iwanicki nie odpuszczał jednak dowcipów i proponował, że porozmawia z mężem Klementyny, Kornelem, bo jak wiadomo, kobieta jest stworzeniem zbyt delikatnym, żeby używać głośno takich pojęć jak „rozród” czy „ciąża”.

– Śmieście się, śmieście – wzdychała Klementyna. – Myśmy mieli inne plany na najbliższe kilka lat.

– Życie je weryfikuje – powiedziała wtedy Zosia i dodała, że bardzo cieszy się szczęściem Klementyny.

Była świadkiem, jak strzała Amora trafiła Klementynę i jej obecnego męża, a miało to miejsce w Podkowie Leśnej, w domu Haliny Regulskiej, do której przyjaciółki pojechały w pewną słoneczną niedzielę. Bawił tam także Kornel Witchel, przedsiębiorca i zapalony automobilista. Tak się złożyło, że zaraz po swoim pierwszym spotkaniu z Klementyną mężczyzna wyjechał na kilka miesięcy na południe, aby otworzyć nową fabrykę, ale kiedy tylko wrócił, od razu skierował się do szpitala, gdzie wypytywał o nią każdego napotkanego doktora i stażystę. Wieść, że ktoś szuka doktor Gorzdowskiej, rozniosła się po niemal wszystkich budynkach. Wreszcie sama zainteresowana, zaalarmowana przez dziesięć osób jednocześnie, wyszła z pracowni mikrobiologii, gdzie z żalem porzuciła pracę przy szczepionkach przeciwko wścieklicznie. Okazało się, że szuka jej ów przystojny automobilista, z którym tak zaciekle dyskutowała o wyższości silników z doładowaniem sprężarkowym Bugattiego^[57] nad benzynowymi Forda^[58]. Zaręczyli się po kilku miesiącach, ślub wzięli tradycyjnie po roku, a na weselu bawiła się śmietanka towarzyska Warszawy oraz pół personelu szpitala. Zosia była pierwszą druhną.

Mała Klementynka urodziła się w terminie i była prześliczna. Dwa lata później, kiedy doktor Witchelowa przedstawiała pierwsze doniesienie na temat leczenia pacjentów chorych na cukrzycę insuliną, uwzględniając korzyści krótko- i długoterminowe oraz objawy niepożądane, a swój wykład dokończyła, niemal krzyżując, stało się jasne, że znów jest przy nadziei. Nie była tym specjalnie zachwycona, bo dopiero co przekazała Klementynkę bonie i chciała powrócić do pracowni profesora Odonu Bujwida oraz do szczepień przeciwko wścieklicznie. Zamierzała także zostać pierwszym diabetologiem w Warszawie. Kornel tymczasem objął kierownictwo Miejskich Centralnych Warsztatów Samochodowych w stolicy. Co więcej, zatrudnił inżyniera Tadeusza Tańskiego^[59] na stanowisku głównego konstruktora samochodów. Tański, którego odprawiono z kilku fabryk w Polsce, przypinając mu łątkę szarlatana, okazał się absolutnym geniuszem. Skonstruował samochód CWS T-1, którego pierwszy egzemplarz zachwycił cały świat, gdy tylko zjechał z taśmy. Nadwozie samochodu wykonano z drewna i stali, a całe auto można było rozkręcić i skrócić na nowo za pomocą jednego klucza, bo wszystkie śruby i nakrętki miały ten sam rozmiar. Skrzynia biegów i układ rozrządu były złożone z identycznych kół zębatach. CWS T-1 był wyposażony w górnozaworowy silnik benzynowy. Kornel zamierzał produkować modele dwudrzwiowe, czterodrzwiowe, zamknięte berliny, otwarte torpeda, a nawet siedmioosobowe otwarte karety. Planowano też wersje dostawcze.

Sukces tego przedsięwzięcia był ogromny. Kornel Witchel został gwiazdą inżynierii samochodowej oraz bogaczem, chociaż wcześniej także biedny nie był. Na szczęście pozostał tym, kim się wydawał od samego początku – miłym, skromnym, piekielnie zdolnym człowiekiem, do nieprzytomności zakochanym w swojej żonie i małej córce. Klementyna, pochodząca przecież z bogatego domu, miała teraz więcej pieniędzy, niż była w stanie wydać, więc wspomagała czynnie ochronki, zakłady dla samotnych matek, niezamożne robotnice i wysyłała dzieci z gruźlicą do sanatoriów. Działalność dobroczynna nie przysporzyła jej

podziwu ani szacunku ze strony rodziców, którzy ciosali jej kołki na głowie, aby teraz, skoro już wyszła za mąż, zaczęła żyć jak typowa żona. Klementyna opowiadała, wywracając oczami i trzęsąc lokami, jak matka przekonuje ją, aby porzuciła pracę w szpitalu na rzecz wydawania przyjęć i jeżdżenia na zakupy do Paryża i Wiednia.

– Wyobrażasz sobie? Teraz to dopiero żyję pełnią życia! – śmiała się Klementyna, która z zagranicy, zamiast sukni i kapeluszy, sprowadzała coraz to nowe książki, atlasy i pisma medyczne.

– Przecież jeździsz do Paryża i Wiednia i przywozisz stamtąd stroje, w których wygłaszasz odczyty – przypomniała jej Zosia.

– Co prawda, to prawda – zgodziła się przyjaciółka.

Klementyna rzuciła się w wir pracy naukowej. Z własnej kieszeni opłacała wyjazdy na zagraniczne konferencje naukowe, podczas których poszerzała swoją wiedzę. Fundowała też podobne wyjazdy Zosi, która tylko dzięki przyjaciółce mogła wybrać się na kongres diabetologiczny do Wiednia oraz konferencję radiologów do Paryża.

Słowem, Kornel był najcudowniejszym człowiekiem pod słońcem i jeśli Zosia zazdrościła przyjaciółce szczęścia, to tylko w najlepszym tego słowa znaczeniu. Tymczasem Zosia miała szczęście na wyciągnięcie ręki, ale tego nie dostrzegала, ponieważ wzrok i umysł zaćmiewał jej Nino, który tak długo obsypywał ją kwiatami, czekoladkami i perfumami oraz zabierał na szalone przejażdżki, że w końcu Zosia mu uległa. W tym samym czasie Stanisław Gorazdowski zapraszał ją na wykłady do Państwowego Instytutu Higieny, dostarczał jej najnowsze artykuły naukowe, a nawet tłumaczył dla niej publikacje francuskie, ponieważ Zosia zwierzyła mu się, że nie radzi sobie dobrze z tym językiem i zna go jedynie w zakresie podstawowym. Nieświadomy obecności Nina w życiu Zosi otwarcie ją adorował. Początkowo taka sytuacja jej schlebiała, ale później zrobiła się nieznośna. Klementyna wiedziała od Zosi o Ninie oraz od swojego kuzyna o jego atencji wobec dziewczyny i nie rozumiała, co przyjaciółka wyprawia. Wyglądało na to, że Zosia zwodzi obu mężczyzn, bo nie umie wybrać jednego z nich. Samo w sobie może nie było to czymś niezwykłym, bo

niejedna dziewczyna nie umie wybrać między dwoma mężczyznami. Nino i Stanisław byli jednak tak różni – z wyglądu, zachowania i charakteru – że niezdecydowanie Zosi można określić jako zupełnie niezrozumiałe.

– Co jak co, ale już czas, abyś wybrała jednego z nich albo rzuciła ich obu, moja droga – powiedziała jej któregoś dnia Klementyna.

Ostre słowa sprawiły, że ich przyjaźń zawisła na włosku.

– Co masz na myśli? – spytała Zosia, chociaż było to aż nazbyt oczywiste.

– Nie chodzi o to, że Stanisław jest moim kuzynem – odpowiedziała przyjaciółka, nie patrząc Zosi w oczy. – Mówiłam ci, że poślubi go jakaś dziewczyna, która go wykorzysta i porzuci. Po prostu nigdy, przenigdy bym nie pomyślała, że możesz to być ty.

Zosia poczuła się słowami Klementyny bardzo urażona – do tego stopnia, że wymówiła się od ich kolejnego zwyczajowego spotkania w czwartek u Wedla, gdzie chodziły od lat, oświadczając demonstracyjnie, że boli ją głowa. W tym samym czasie spotkała się z Ninem, pozwoliła mu na upojne pocałunki, szaloną jazdę automobilem ulicami Warszawy i wreszcie wypięła z nim szampana w Teatralnej, gdzie przy stoliku obok siedziała Zula Pogorzelska z Konradem Tomem^[60], Eugeniuszem Bodo^[61] oraz Adolfem Dymszą^[62]. Przy szampanie Zosia uświadomiła sobie, że chciałaby, aby Nino miał charakter Stanisława albo żeby Stanisław wyglądał jak Nino. To jednakowoż w niczym nie pomogło.

Po powrocie zastała w domu słusznych rozmiarów czekoladę deserową Wedla, wykonaną specjalnie dla niej, z wypisanym białą czekoladą wyznaniem: „Jesteś tą jedyną...”, oraz książkę Juliana Tuwima^[63] *Tysiąc dziwów prawdziwych*. Do książki dołączono list, który Zosia przeczytała z pewnym zażenowaniem, nie czując żadnego drżenia serca.

Kochana, najdroższa Zofio. Nie, nie Zofio – Zosiu, Zosieńko, Zofko, Sonko, Słonko moje...

Dalej autor listu wyznał jej miłość oraz wyraził nadzieję, że uczucie jest odwzajemnione, i pragnienie, aby połączyć dwa serca w jedno. Kiedy Zosia skończyła czytać, rozległo się pukanie do drzwi, więc dziewczyna schowała list pod czekoladę, poprawiła fryzurę i otworzyła, przekonana, że posłano po nią do pomocy w szpitalu. Za progiem nie stała jednak żadna z dyżurnych pielęgniarek czy akuszerok ani żaden z lekarzy, tylko Stanisław z bukietem w ręku. Zanim się obejrzała, już klęczał i powtarzał wszystkie swoje słowa z listu.

– Ja panu nigdy nie dałam do zrozumienia, że ja... – Przełknęła ślinę, bo to nie do końca była prawda.

„Przyjmowałaś przecież czekolady i kwiaty, udając przed sobą, że to nic nie znaczy”, skarciła się w myślach. „Dziękowałaś mu z zachwytem za każdy artykuł, który dla ciebie zdobył, i widziałaś, jak go to cieszy”, wyrzucała sobie. „Mimochodem rozpoczynałaś dyskusję na temat produkcji insuliny, szczepionek, interakcji lekowych, działań niepożądanych, a on, szczęśliwy jak nie wiem co, dzielił się z tobą swoją wiedzą, chociaż obowiązywała go klauzula poufności”. I tak sztorcowała siebie w myślach, a tymczasem Stanisław wstał i spojrzał na nią z takim żalem, że Zosia pragnęła, aby zarzucił jej manipulację, oszustwo, nawet ją obraził, żeby mogła z honorem wyjść z tego rozpaczliwego położenia. Nic takiego nie nastąpiło. Stanisław milczał, a jego twarz, która nagle wcale nie wydawała się Zosi nieładna, wyrażała stratę i ból.

– Czy mój afekt jest pani niemiły, czy też jest ktoś inny? – spytał w końcu.

– Jest ktoś inny – odpowiedziała Zosia, mając nadzieję, że to zakończy sprawę.

Stanisław pokiwał głową, a potem wręczył jej kwiaty i skierował się do wyjścia.

– Niech pan poczeka! – krzyknęła Zosia, a on odwrócił się i spojrzał na nią z nadzieją.

– Tak? – spytał.

Wręczyła mu czekoladę, książkę i list i powiedziała:

– Ja nie mogę tego zatrzymać.

W jego oczach nie było już nadziei, żalu czy nawet rozpacz. Zosia dostrzegła w nich rozczarowanie. Tak jakby nagle Stanisław zobaczył ją w zupełnie innym świetle. Najgorsze było to, że Zosia także spojrzała na siebie w ten sposób. Zobaczyła kogoś, kto się jej nie spodobał. Już nie młodą lekarzkę z ambicjami, która cieszyła się jak dziecko, gdy ktoś zdobył dla niej publikację nie do zdobycia albo podzielił się z nią informacjami przekazanymi ze Stanów Zjednoczonych przez samego Kazimierza Funka. Zobaczyła kobietę próżną, bezmyślną, która wdzięczyła się do jednego mężczyzny, zwodząc drugiego dla niejasnych korzyści.

– Czekolada niczemu nie jest winna – powiedział Stanisław i uśmiechnął się blado. – Ani książka. Książkę tym bardziej polecam pani uwadze, bo to dziełko nietypowe jak na Tuwima. Mianowicie traktujące o ziołach, czarodziejskich właściwościach amuletów oraz o tym, jakie znaczenie mają talizmany.

– Dziękuję – powiedziała, chociaż nie czuła wdzięczności.

– Wezmę jedynie list – powiedział i wyciągnął rękę. – Nie chciałbym, aby był przedmiotem śmiechu i kpin.

– Ależ ja bym nigdy... – powiedziała, po czym zagryzła wargi i odwróciła wzrok pod jego spojrzeniem.

Miał prawo ją osądzać. „Skąd mógł mieć pewność, że nie przeczytam tego listu koleżankom, chwając się, jakie to mam powodzenie, jak zawróciłam w głowie temu biedakowi”, myślała potem.

– Przepraszam – dodała szczerze i z głębi serca, ale Stanisław pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

– Nie trzeba przeproszać, pani doktor. Serce nie sługa.

Po jego wyjściu Zosia czuła się, jakby zjadła coś nieświeżego. Bolały ją żołądek i głowa. Zaparzyła sobie mięty i położyła się wcześniej do łóżka, modląc się, żeby nikt dzisiaj nie prosił jej o pomoc czy zastępstwo, ale to nic nie pomogło. Następnego dnia unikała Klementyny, podobnie kolejnego i kolejnego, aż wreszcie przyjaciółka zaciągnęła ją do

pustego o tej porze dnia pokoju badań, posadziła na kanapie i zażądała wyjaśnień.

– Tylko mi tu nie kręć. – Wycelowała palec w Zosię. – Coś ty narobiła?

– Ja? – spytała zdenerwowana Zosia. – Sama mi kazałaś wybrać!

– I zrobiłaś to w taki niecny sposób? – piekliła się Klementyna. – Człowiekowi, dla którego byłaś wszystkim?

– Ja nic nie zrobiłam! Nie dałam mu powodu, by myślał, że to coś więcej niż przyjaźń!

Obie wiedziały, że nie było to prawdą, ale Klementyna najwyraźniej pozwoliła przez chwilę iść Zosi w zaparte.

– Tacy jak Stanisław nie robią sobie nadziei tylko dlatego, że ktoś przyjmie czekoladki – stwierdziła.

– Rozmawialiśmy jedynie o artykułach, o doniesieniach naukowych, o wykładach... – upierała się Zosia.

Stanisław był jednym z najinteligentniejszych ludzi na świecie. Oprócz tego, że miał ogromną wiedzę z dziedziny farmakologii, znał na pamięć najmodniejsze skecze kabaretowe, pięknie śpiewał i sypał żartami jak z rękawa. Nino uwielbiał kabaret, bywał w najmodniejszych miejscach, znał osobiście Juliana Tuwima, a jednak nie miał w sobie tyle uroku co Stanisław. Nie był też w połowie tak dowcipny, elokwentny czy inteligentny. Żarty Nina były ciężkie, chociaż chętnie je wygłaszał, nie zwracając uwagi na to, że wywołany nimi śmiech szybko cichnie.

– A z Ninem o czym rozmawiałaś w tym czasie?

Zosia spuściła głowę. Z Ninem rozmawiali o ich miłości i wspólnej przyszłości.

– Ja nie wiedziałam, jak to powiedzieć Stanisławowi, żeby nie stracić...

– Żeby nie stracić dostępu do wykładów i publikacji naukowych czy też szacunku w jego oczach? – przerwała jej bezlitośnie Klementyna.

– Przestań – poprosiła Zosia i zalała się łzami, co ani o jotę nie zmniejszyło furii Klementyny.

– Nie przestanę – oświadczyła. – Jesteś moją przyjaciółką i skoczyłabym za tobą w ogień. Ale on jest moim kuzynem. I także przyjacielem.

– Już go nie zwodzę. – Zosia podniosła głowę. – Więc nie musisz mi prawić kazań. Nie będę też chodziła na wykłady do jego instytutu, a po publikacje mogę pójść do biblioteki.

– A o tłumaczenie z francuskiego możesz poprosić mnie? – ironizowała Klementyna.

– Właśnie – potwierdziła Zosia z zaciętą miną i otarła łzy. – A ty nie masz prawa mnie oceniać!

– Mam! – krzyknęła Klementyna. – Bo dokonujesz okropnych wyborów. Ja bym cię najchętniej przełożyła przez kolano i dała ci kilka klapsów! A potem kazała klęczeć na grochu.

– Coś takiego! – odparowała Zosia. – Moje wybory może są okropne dla ciebie. To moje życie i mam prawo robić to, co uznam za właściwe!

Ich wymianę zdań przerwało wkroczenie doktor Zofii Garlickiej, która przysłała skonsultować się z nimi w sprawie noworodka mającego krótkie kończyny i wyjątkowo grube palce. Zamiast się wycofać, zapytała o powód kłótni między przyjaciółkami. Klementyna wyznała, że Zosia dała się uwieść bawidamkowi, który ma narzeczoną w każdym porcie, jego majątek pochodzi z niejasnych źródeł, a on sam jest zepsuty do cna. Nawet Zofię Garlicką, z którą były przecież blisko, zaskoczyła gwałtowność słów Klementyny. Lekarka bąknęła tylko, żeby przyjaciółki obejrzały noworodka z dziwnymi kończynami, gdy już skończą rozmowę. Zosia nie zamierzała badać dziecka, tylko uciec, gdzie pieprz rośnie. Wymaszerowała z pokoju badań ciężko obrażona i postanowiła, że od tej chwili nie odezwie się do przyjaciółki ani słowem, chyba że będzie to absolutnie konieczne z powodów zawodowych.

Jej relacja z Ninem, na złość Klementynie, rozwijała się bardzo dobrze. Nino był cudowny, szarmancki i opiekuńczy. Wprawdzie nie interesowała go kariera naukowa Zosi, ale nie przeszkadzało jej to. On również nie wtajemniczał jej w interesy, które prowadził, a ona nie dopytywała o ceny maszyn rolniczych, które produkował w swojej fabryce. Wystarczyło jej to,

że zabierał ją na przedstawienia do najlepszych warszawskich teatrów. Sfinansował także jej wyjazd do Berlina na konferencję, co sprawiło, że zakochała się w nim jeszcze bardziej. Klementyna już dawno stwierdziła, że nie pojedzie, bo obiecała mężowi, że nie będzie podróżować w ciąży. Zosia, którą ta wiadomość początkowo ucieszyła, bo z przyjaciółką wciąż odzywały się do siebie jedynie oficjalnie, nie mogła się powstrzymać i spytała:

– Ale dobrze się czujesz?

Klementyna odpowiedziała jej wyjątkowo oschłym tonem.

– Tak, pani doktor, dobrze się czuję – kładąc przy tym nacisk na „pani doktor”.

A potem, kiedy zostały same, odwróciła się nagle w kierunku Zosi i dodała tak zjadliwym głosem, że dziewczyna aż się wzdrygnęła:

– Wygrałam los na loterii, kiedy Kornel obdarzył mnie uczuciem. Nie zamierzam mu robić na złość ani przysparzać trosk. A poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego nie wybieram się na konferencję do Berlina. Mój kuzyn się żeni. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby mnie zabraknąć u jego boku w tak radosnym dniu.

W Zosię jakby piorun strzelił. Patrzyła na Klementynę, nie mając odwagi zadać żadnego pytania. W głowie tłukła jej się jedynie myśl, że Stanisław tak szybko się pocieszył. Zrobiło się jej nagle bardzo przykro. To wydawało się do niego niepodobne i sugerowało wątpliwości co do jego uczuć – albo do niej, albo do nowej wybranki. „Może dobrze się stało”, pomyślała z żalem.

– Przywiozę prace, notatki i zdjęcia z Berlina – powiedziała i wyszła z pokoju, więc nie słyszała, jak Klementyna rzuciła najnowszym wydaniem podręcznika Köllikera o ścianę i mruknęła:

– Obejdzie się!



Kochani Tatusiu i Dziadku – pisała Zosia. – Za chwilę wyjadę w kolejną podróż naukową i jestem tym faktem wielce podekscytowana. W Berlinie odbywa się zgromadzenie kardiologów, podczas którego będą prezentowane najnowsze osiągnięcia w zakresie diagnostyki oraz terapii. Będę mogła uczestniczyć w pokazowych operacjach...

Tak jak się spodziewała, Berlin okazał się cudowny. Od rana do wieczora w szpitalu Charité oraz Instytucie Roberta Kocha odbywały się wykłady, operacje pokazowe i spotkania w wąskim gronie ekspertów. Robert Koch, Rudolf Virchow^[64] oraz Paul Ehrlich, wielcy naukowcy i byli pracownicy szpitala Charité, już nie żyli, ale duch badań naukowych oraz doświadczeń klinicznych wciąż się tam unosił. Zosia była bardzo podekscytowana tym wydarzeniem. Pierwszego wieczoru zadzwoniła do Nina, aby mu opowiedzieć, jakich wspaniałości dowiaduje się tu na co dzień, a to wszystko dzięki niemu, ale nie było go w domu. Zepsuło jej to nieco nastrój, bo wyobrażała sobie, jak Nino bez niej bawi się w Teatralnej, Qui Pro Quo czy też Czarnym Kocie. Podobnie było dnia drugiego i trzeciego. Dodzwoniła się do niego w przeddzień wyjazdu, całkiem już zmartwiona, ale jej żal natychmiast minął, gdy Nino wyjaśnił, że wyjechał do majątku rodzinnego, ponieważ dostał wiadomość, że jego matka niedomaga.

– Mogłeś wysłać mi telegram – powiedziała Zosia, po czym sama zaczęła go przeproszać za te pretensje.

– Kochanie moje – mówił czule Nino. – Nie chciałem cię martwić. Zwłaszcza że moja matka niedomaga od dawna.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – pytała Zosia. – Jakiego rodzaju to jest niemoc? Kochany mój, najdroższy, przecież możemy mamę zbadać u nas w szpitalu i cokolwiek jej dolega, zaraz się coś na to poradzi.

– Moja cudowna, nie przyszło mi to do głowy – usłyszała po drugiej stronie słuchawki.

– Dlaczego nie przyszło ci do głowy? – spytała i już miała dodać, że on nie traktuje jej poważnie, kiedy wyjaśnił:

– Jesteś pediatrą, a moja matka ma już dawno za sobą choroby wieku dziecięcego.

Zosia roześmiała się, a Nino dodał:

– Mama uskarża się na palpacje serca, zawroty głowy, migreny, wrażliwość na pogodę i tym podobne. Powtarzam jej, że wystarczy zaprzestać seansów spirytystycznych, a wszelkie bóle odejdą.

Zosia wyobraziła sobie matronę wywołującą duchy, co było bardzo modne w pewnych kręgach, głównie wśród wiekowych pań, i ponownie się roześmiała.

– Uwielbiam, kiedy się śmiejesz – oznajmił Nino. – Uświadomiłem sobie ostatnio, że moi rodzice jeszcze cię nie poznali, więc kiedy tylko wrócisz, zamierzam bezzwłocznie naprawić to zaniedbanie.

Na jednym z oficjalnych przyjęć w czasie konferencji obecni byli dyrektor Kolei Berlińskiej i jego żona, lekarka specjalizująca się w pediatrii, z którą Zosia wymieniała doświadczenia w leczeniu chorób układu pokarmowego u dzieci. Kiedy mężczyzna dowiedział się, że Zosia wraca do Warszawy pociągiem, ale ma miejsce w zwykłym przedziale, zaraz przesłał jej bilet na inny pociąg, wygodniejszy, z miejscem w salonce. Podróż była nie tylko komfortowa, ale też szybsza, więc Zosia wysiadła z pociągu kilka godzin wcześniej, niż pierwotnie planowała. Nino na nią nie czekał, co ją nieco zdumiało, bo przesłała mu telegram z Berlina informujący o zmianie planów. Poczekała kilka minut, ale kiedy zdała sobie sprawę z tego, że Nino najwyraźniej nie otrzymał telegramu, skinęła dłonią na bagażowego, a potem kazała się zawieźć do apartamentu ukochanego.

Zza drzwi dochodziły dźwięki skrzypiec, więc Nino był w domu. Zosia zapukała do drzwi i zastygła w oczekiwaniu, ale nikt nie otwierał. Zapukała zatem mocniej, przekonana, że Nino nie słyszy jej pukania przez grający nieco zbyt głośno patefon. Nawet jeśli tak było, to kamerdyner Nina, Franciszek, powinien jej otworzyć. Zapukała po raz trzeci i wreszcie drzwi się otworzyły. Stał w nich sam Nino, odziany w szlafrok, i patrzył na Zosię osłupiałym wzrokiem. Dziewczyna weszła do środka, zapytała o Franciszka i pokazała palcem bagaże, które Nino wniósł do środka, mamrocząc, że kamerdyner pojechał w pilnej sprawie do rodziny pod Siedlcami. Już miała

zacząć opowiadać o tym, co działo się w Berlinie, kiedy zrozumiała, że Nino wcale nie cieszy się na jej widok.

– Wysłałam ci telegram. Nie dostałeś go? – spytała, po czym podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Nino! – rozległ się nagle kobiecy głos z sypialni.

Zosia gwałtownie odskoczyła od Nina i ze zdumieniem wpatrywała się w jego twarz, teraz całkiem purpurową.

– Stygnę tutaj! – odezwał się ten sam głos, tym razem jeszcze bardziej uwodzicielski.

Zosia pomaszerowała do sypialni i otworzyła szeroko drzwi. Jej oczom ukazała się śliczna blondynka zawinięta w satynowe prześcieradło Nina, która sączyła szampana i patrzyła na dziewczynę z miną tyleż znudzoną, co zniecierpliwioną.

– Kto to jest?! – krzyknęła Zosia.

– Pozwól, że ci wyjaśnię – zaczął Nino, chociaż nawet chromy na umyśle by się domyślił, że nie ma tu nic do wyjaśniania.

Zosia jednak, zamiast wymierzyć mu policzek i wyjść z apartamentu, zamknęła drzwi sypialni, poszła do salonu i usiadła na jednym z foteli.

– Proszę bardzo, wyjaśnij – oznajmiła.

– Miałaś wrócić jutro – powiedział Nino bezradnie. – Nie dostałem żadnego telegramu.

Także po tych słowach Zosia powinna wstać, wymierzyć mu policzek i wyjść, ale ponownie tego nie zrobiła, tylko wycedziła zimno:

– Ale wróciłam dziś.

– I postanowiłaś przyjść do mnie, nie zawiadomiwszy mnie pierwej? – wykrzyknął dramatycznie Nino. – Mogłaś zatelefonować!

– Pierwej nie. Zawiadomiwszy – stwierdziła bezładnie i bezradnie. – Kto to jest?

– Nikt – odparł Nino.

– Nikt?! – wrzasnęła Zosia, zupełnie jak jakaś przekupka. – A ja widzę, że to jest ktoś! Kobieta! Rozebrana! W twoim łóżku!

– Przede wszystkim musisz się uspokoić – oznajmił Nino, czym doprowadził Zosię do ostateczności

Dopiero wtedy wstała i wywrzaskując obelgi, spośród których słowo „podły” było najłagodniejszą, okładała go po twarzy i drapała paznokciami.

– To ja już pójdę, Nino – oświadczyła blondynka, która nagle stanęła obok nich kompletnie ubrana, i skierowała się kołyszącym krokiem ku drzwiom.

– O nie, nie, nie! – Zosia odskoczyła od Nina i ruszyła w kierunku dziewczyny.

Ta, najwyraźniej bojąc się, że Zosia potraktuje ją tak jak mężczyznę, zasłoniła twarz i zaczęła krzyczeć scenicznym sopranem:

– Proszę mnie nie krzywdzić! Ja mam jutro zdjęcia do filmu!

– Do filmu?

Zosia przyjrzała się jej i rozpoznała artystkę, którą nieraz widziała na scenie, w drugim albo trzecim rzędzie za Zulą Pogorzelską czy Lodą Halamą^[65].

Dziewczyna tymczasem czmychnęła, a Zosia, już spokojna, zwróciła się do Nina:

– Czyli wtedy, kiedy ja mam dyżury albo przygotowuję się do odczytów, ty zapraszasz do domu różne piplaje i wyczyniasz z nimi...

– To nie tak, kochana – przerwał jej Nino.

– A jak? Co im obiecujesz? Karierę? Protekcję?

– Jestem mecenasem sztuki... – bąknął.

Wtedy właśnie Zosi spadły łuski z oczu i zobaczyła Nina takiego, jakim był. Było to doświadczenie tak gwałtowne i bolesne, że złapała najbliższy wazon sprowadzony z Włoch, ulubiony przedmiot Nina, i rzuciła nim o ziemię. Napotkała jego wzrok pełen żalu z powodu rozbitego flakonu, co sprawiło, że złapała kolejny. Nino był tak zaskoczony, że dopadł do niej, żeby ją powstrzymać, dopiero wtedy, kiedy rozbiła kolejne dwa oraz

złapała alabastrową rzeźbę kobiety stojącą na kominku i rzuciła nią w lustro. Lustro rozbiło się w drobny mak, a rzeźba miała obtłuczoną głowę i członki.

– No to teraz czeka cię siedem lat nieszczęścia – stwierdziła.

– Wynocha! – wrzasnął Nino.

Zosia rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, co jeszcze może zniszczyć. Dostrzegła szampana w wiaderku, więc pochwyciła butelkę i wylała jej zawartość wprost na dywan. W ostatnim geście furii złapała pełen kałamarz i rzuciła nim w Nina. Patrzyła, jak purpurowy szlafrok przywieziony z Orientu spływa atramentem. I dopiero wtedy wyszła.

– Powiem wszystkim, że cię posiadłem! – wrzasnął za nią Nino.

W domu Zosia rzuciła się na łóżko i zapłakała żałośnie, przeklinając swoją głupotę i naiwność oraz zadając sobie pytanie, dlaczego Nino składał jej obietnice wspólnego życia, skoro zupełnie nie pasowała do jego świata, zdradzał ją od samego początku i nigdy nie traktował poważnie.



Najprościej było pogodzić się z Klementyną. Któregoś dnia zostały same w pokoju lekarskim i po prostu padły sobie w ramiona, przeprasząc jedna drugą.

– Tak mi ciebie brakowało – powiedziała Klementyna.

– Bardzo mi ciebie brakowało – przyznała w tej samej chwili Zosia.

– Miałam rację – stwierdziła Klementyna z triumfem.

– Miałas rację – potwierdziła Zosia.

I tak od słowa do słowa wyjaśniły sobie wszystko, starannie tylko omijając osobę Stanisława Gorzdzowskiego, każda ze swoich powodów. Potem poszły po obiad do Antoniego Salisa^[66], który właśnie otworzył zakład gastronomiczny przy ulicy Zgoda 4, gdzie oferował gotowe dania na wynos, na ciepło i na zimno.

Klementyna zamówiła sobie zimne nóżki, uwielbiała bowiem to knajpiane, proletariackie danie. Zawsze jadła je w tajemnicy przed Kornelem, który nie rozumiał, jak dama może jeść galaretę polaną octem. Zosia wzięła dla siebie okazałych rozmiarów kotlet z burakami i ziemniakami. Za wszelką cenę chciała się poczuć jak w domu, kiedy Honorka podawała jej mielonego i wrzucała na talerz parujące ziemniaki, ignorując utyskującą panienkę, że to za duża porcja.

– Jak się trzymasz? – spytała Zosię Klementyna.

– Strasznie mi wstyd, że mu wierzyłam – przyznała i poprosiła: – Czy mogłybyśmy już nigdy o nim nie mówić?

Klementyna przez chwilę zastanawiała się nad tą prośbą, aż w końcu się zgodziła.

– Masz rację. To jest podejście naukowe. Teza okazała się nie do udowodnienia, ponieważ materiał pobrany do pracy nie spełniał norm, a metoda była niewystandaryzowana. Nie będziemy o nim mówić.

I to był koniec niesnasek między nimi.

Trudniej było wyleczyć złamane serce, ale z tym też Zosia sobie jakoś poradziła. Po prostu rzuciła się w wir pracy i uznała, że widocznie nie są jej pisane małżeństwo ani dzieci. Trudno. Zofia Garlicka miała trzy córki, podobnie jak Danusia Rodziewiczówna, która teraz nazywała się Milicz. Klementyna oczekiwała drugiego dziecka, Joachim Goldschmidt mógł się pochwalić czwórką chłopców. Ale Joasia Rychter, Romek Ficowski oraz Henryk Iwanicki nie założyli jeszcze rodzin i Zosia nie dostrzegła u nich kompleksów z tego powodu. Raz nawet zagadnęła o to Joasię Rychter, ale koleżanka, która chętnie omawiała z nią ciekawe przypadki i na którą zawsze można było liczyć przy analizie literatury fachowej, na tematy osobiste nie chciała rozmawiać.

Nieco łatwiej poszło Zosi z mężczyznami. Brzydki Romek Ficowski wprawdzie źle ją zrozumiał, bo kiedy spytała, czy nie przeszkadza mu opieka nad chorymi dziećmi, kiedy nie ma własnych, zrobił się czerwony i nagle sobie „przypomniał”, że ma pilne konsultacje pacjentów w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Wiele się nie spodziewała po Iwanickim, który z początku

jak zwykle żartował, że Zosia może na niego liczyć w kwestii zamążpójścia oraz posiadania dzieci – muszą się tylko porozumieć co do ceny.

– Ty zawsze żartujesz – powiedziała z westchnieniem.

– Tak mi łatwiej – odpowiedział i nieoczekiwanie spojrzął na nią bardzo poważnie.

– Dlaczego łatwiej? – spytała.

– Miałem w życiu dwie narzeczone – wyznał nagle, a po jego minie Zosia poznała, że Henryk tym razem nie żartuje.

– Dwie? – wyrwało jej się, jakby nie dowierzała, że ktoś taki jak Iwanicki może mieć aż dwie narzeczone.

– Dwie – potwierdził. – Jedna zerwała zaręczyny po miesiącu, bo spotkała w tym czasie miłość swojego życia.

– Mój Boże – wyszeptała Zosia ze współczuciem.

– Lepiej tak, niż gdyby to miała zrobić miesiąc po ślubie. – Henryk uśmiechnął się krzywo. – No i oddała pierścionek, który sprzedałem za niemal tę samą kwotę, za którą go kupiłem.

– A druga?

– Druga zostawiła mnie w dniu ślubu – odpowiedział znów bez cienia uśmiechu na twarzy. – Wysłała liścik. – Zrobił patetyczną minę, chwycił się za serce i zaczął recytować niczym Dymsha w Qui Pro Quo: – „Jesteś najcudowniejszym człowiekiem na świecie i nigdy, przenigdy nie myśl, że to twoja wina. To moja wina, kochany. Będiesz mi zawsze najdroższy, a teraz wybacz...”.

– Przykro mi – wyszeptała Zosia, wstrząśnięta do głębi.

– Dlaczego? – spytał Iwanicki. – Przecież jej nie znałaś. Może obojgu wyszło to nam na dobre. W końcu mogłaby odejść dzień po ślubie, zabrawszy pieniądze ukryte w wazie z Murano – ups, wygadałem się! – i rodową biżuterię po babci.

Zrobił przy tym typową dla siebie głupią minę i Zosia się roześmiała.

– I nie próbowałaś znowu? – indagowała.

Pokręcił przecząco głową, po czym zasłonił się rękoma i zrobił minę wyrażającą skrajne przerażenie. Zosia znów się roześmiała.

– Byłbyś niezłą konkurencją dla Bodo.

– Ja jestem bezkonkurencyjny. Co mi tam Bodo – odparował Henryk i roześmiał się, ale natychmiast spoważniał. – Wiem, że ten dupek, co ci tu kwiatki i czekoladki przysyłał, miał słabość do artystek...

– Żeby do artystek – sarknęła. – To bym zrozumiała. Ale on piplaje obracał.

– Zosiu – zaczął Iwanicki z oburzeniem. – Zula, Ina, Loda... Na początku to były piplaje! Dopiero potem wielkie artystki.

– Masz rację – zgodziła się. – Tylko ciężko zapomnieć.

– Kwestia czasu – pocieszył ją. – Śmiej się.

– Z czego? – spytała Zosia, nie rozumiejąc.

– Ze wszystkiego – poradził. – Z niego, z siebie, z kwiatów i czekoladek. Najbardziej z siebie. A gdybyś uznała, że jednak chcesz za męża młodego, przystojnego i wielce obiecującego chirurga, który mało kiedy poważnieje, możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję – powiedziała z głębi serca.

I faktycznie, od tej chwili było jej znacznie lżej na duszy.



Wkrótce w szpitalu zjawił się Witold Zawadowski, który objął kierownictwo w Zakładzie Radiologii.

– Słuchajcie – powiedziała Joasia Rychter, wchodząc do pokoju. – Klementyna wita nowego kierownika radiologii, wrzeszcząc przy tym jak opętana. Cały szpital się niedługo zleci, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Poszli zatem wszyscy – akurat była przerwa obiadowa – żeby razem z Klementyną powitać w progach Zakładu Radiologicznego nowego gospodarza.

– Nikt nas nie uprzedził. – Danusia zmarszczyła brwi.

– Przecież wiedzieliśmy, że Sabat odchodzi. Był tu, żeby się pożegnać.

Faktycznie, profesor Sabat zadał sobie trud, aby podziękować za współpracę każdemu z lekarzy oraz każdej z pielęgniarek, akuszerki i osób z personelu technicznego i pożegnać się osobiście. Zajęło mu to prawie miesiąc, ale wszyscy byli pod wielkim wrażeniem.

– Chodzi mi o nowego kierownika. Zupełnie nie wiem, kto to jest – wyjaśniła Danusia.

– Poznaliśmy się w Paryżu – tłumaczyła potem Zosi Klementyna. – Niezły był z niego szalapat.

– Jak to? – zdumiała się Zosia, bo doktor Zawadowski wyglądał niezwykle poważnie, a już na pewno nie na szalaputa.

– A tak – stwierdziła Klementyna i zachichotała. – Studiowaliśmy w jednym czasie i powiem ci, że nie było lepszych przyjęć niż u Zawadowskich.

– To ich jest więcej? – zaciekała się Zosia.

– Jego brat Jan^[67] jest malarzem. Przez jakiś czas mieszkał w pracowni Modiglianiego i wyobraź sobie, mieli nawet wspólną kochankę.

Chociaż ściszyła głos, to i tak ich rozmowę słyszało pół tuzina osób, w tym niewysoka blondynka, która podeszła do nich śmiało, wyciągnęła rękę i przedstawiła się:

– Maria Werkenthin^[68]. Nowy nabytek szpitala i Zakładu Radiologii.

– O! – wykrzyknęła Klementyna. – Będzie pani doktor asystentką doktora Zawadowskiego, tak?

– Mówcie mi po imieniu. – Lekarka uśmiechnęła się, a w jej policzkach pojawiły się dwa pełne wdzięku dołeczki. – Tak. Będę odbywała tutaj staż.

Zosia niemal natychmiast polubiła tę dziewczynę. Klementyna musiała dużo odpoczywać, bo drugą ciążę znosiła nie najlepiej i doktor Garlicka zakazała jej najpierw dyżurów, a następnie pracy. Siłą rzeczy widywały się z Zosią znacznie rzadziej. Maria w naturalny sposób zastąpiła dziewczynie dotychczasową przyjaciółkę, a że była osobą niezwykle ujmującą, a przy

tym towarzyską, od razu się do siebie zbliżyły. Maria, podobnie jak Klementyna, jeździła samochodem, wspaniale tańczyła, czego jej Zosia bardzo zazdrościła, i lubiła chodzić do klubów oraz do teatru. To ona namówiła Zosię na wizytę w teatrze proletariackim, gdzie wystawiano awangardowe sztuki, które się Zosi ogromnie podobały. Z Marią można było porozmawiać o wszystkim, bo drugiej tak bezpośredniej i bezpretensjonalnej dziewczyny Zosia jeszcze nie poznała. Ale było coś jeszcze. Nowa koleżanka była nie tylko urocza, miła i zdolna. Maria Werkenthin była genialna.

– Maria ma niesłychanie rozwinięty zmysł obserwacyjny i świetną pamięć wzrokową – dowodził przy każdej okazji Witold Zawadowski, a potem patrzył na Marię z dumą, jakby była jego własną córką, i dodawał: – Doktor Werkenthin ma łatwość adaptacji wzroku do ciemności, szybko i dokładną orientację przestrzenną, zdolność widzenia stereoskopowego podobną do drapieźników wychytujących między liśćmi ukrywającą się ofiarę.

W słowach Zawadowskiego nie było ani krzty przesady. Kiedy Zosia pytała koleżankę o te niezwykle cechy, Maria wzruszała ramionami i mówiła, że odkryła je jeszcze w dzieciństwie, kiedy w ciemnościach lasów, w których otoczeniu się wychowała, odnajdowała każdą drogę.

– Wybór radiologii był oczywisty – dowodziła skromnie.

Zosia oponowała, że wcale nie taki oczywisty, bo przed Marią nie było żadnych kobiet o takiej specjalizacji.

– To samo powiedział Witold, kiedy przyszedłam do pracowni i oświadczyłam, że chcę pracować jako radiolog.

– Jak go przekonałaś? – spytała Zosia.

– Udowodniłam, jak to „szybko i trafnie zauważam szczegóły widzianego obrazu i właściwie je oceniam”. – Uśmiechnęła się szelmowsko i dodała: – Po prostu pokazałam, co potrafię.



– Sprowadźcie doktor Garlicką! – krzyczała Zosia, przerażona tym, co zobaczyła, kiedy zbadała rodzącą Klementynę.

– Doktor Garlicka wyjechała z córką i studentami do Mądralina – odpowiedziała jej młoda, równie zdenerwowana położna.

– Dokąd? – Zosia nie rozumiała.

– Mądralin to azyl pracy twórczej ofiarowany uczonym przez Stanisława Hiszpańskiego. Tego od butów – wyjaśniła jej Klementyna grobowym głosem. – O co chodzi?

– A doktor Iwanicki?

– Wyjechał na konferencję do...

– To wezwijcie doktor Hołówkową – przerwała jej Zosia i dodała wbrew sobie: – Sama nie dam rady.

– Jestem tylko z jedną pielęgniarką ginekologiczną, a mam dwa porody we wczesnej fazie – powiedziała dziewczyna i dodała szeptem: – Nie mogę zostawić położnic.

– Ma rację – przytaknęła akuszerce Klementyna, która ponownie zeszytniała z bólu. – Nie może zostawić położnic. O co chodzi?

– Ty siedź cicho – nakazała przyjaciółce Zosia, a potem zwróciła się do dziewczyny: – Niech pani zadzwoni z sekretariatu do doktor Hołówkowej. Nie musi pani iść do niej do domu. To zajmie chwilę. Niech jej pani powie, żeby tu natychmiast przyszła.

Dziewczyna rzuciła Zosi zalęknione spojrzenie i wyszła z sali.

– Aaaaa! – krzyknęła Klementyna, a kiedy skurcz minął, spytała: – Co się dzieje? Czemu jesteś taka zdenerwowana? Czuję główkę, dziecko jest dobrze wstawione. O co chodzi?

Zosia uciszyła przyjaciółkę gestem ręki. Myślała gorączkowo. Klementyna krwawiła, ponieważ skrawek łożyska dotykał ujścia macicy. Nie było to łożysko przodujące, ale przy porodzie krwawienie mogło się nasilić. Najbezpieczniej było wykonać cesarskie cięcie, ale Zosia była na dyżurze sama. W razie komplikacji wzywano doktor Garlicką albo Henia Iwanickiego, który także mieszkał niedaleko, ale obojga tego dnia nie było

w Warszawie. Poza tym nie było czasu. Lada chwila Klementyna będzie miała pełne rozwarcie i dziecko znajdzie się w kanale rodnym. Trzeba by je było wpychać z powrotem do jamy macicy, jednocześnie wykonując operację. Zosia uznała, że sama sobie z tym nie poradzi.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Klementyna.

– Posłuchaj – powiedziała Zosia, uznawszy, że nadeszła pora na wyjaśnienia. – Rąbek łożyska dotyka ujścia.

– Zrób cięcie! – zażądała Klementyna i znów zwinęła się z bólu, bo nadszedł kolejny skurcz.

– Jest za późno – tłumaczyła Zosia. – Zaraz zacznie się drugi okres porodu. Masz prawie pełne rozwarcie.

– To zrobimy tak... – zaczęła Klementyna, ale Zosia jej przerwała.

– Posłuchaj mnie, Klementyno – powiedziała bardzo stanowczo. – Skup się na roli położnicy, a ja odbiorę twój poród. Nie mów mi, co mam robić. Gdzie kucharek sześć...

– Dobrze! – wrzasnęła koleżanka. – Będę słuchać twoich poleceń.

– Musisz wyprzeć dziecko jednym, góra dwoma parciem – zarządziła Zosia. – Postaraj się.

Klementyna zaczęła gwałtownie oddychać jak ryba wyrzucona z wody.

– Uspokój się – powiedziała Zosia. – Dziecko jest właściwie ułożone. Tak jak mówiłaś, nie powinno być żadnego problemu. Oddychaj spokojnie. Jeszcze nie teraz.

Klementyna wzięła ją za rękę.

– W razie czego... wychowasz?

Zosi gorąco uderzyło do głowy.

– Gdzie mi tu z takimi tekstami! – nakrzyczała na przyjaciółkę. – Już! Nabierz powietrza i przyj!

Z krocza gwałtownie popłynęła krew, a dziecko znalazło się w kanale rodnym. Zosia czekała na kolejny skurcz, niemal nie oddychając ze zdenerwowania. Krew ściekała na posadzkę.

– Już! – krzyknęła, a Klementyna nabrała powietrza i wypchnęła dziecko na świat.

Kiedy Zosia trzymała na rękach maleńkiego chłopczyka, do gabinetu wpadła doktor Hołówkowa, wiążąc w pośpiechu fartuch, a chwilę za nią młoda położna.

– Ja się nim zajmę – oznajmiła, w lot rozumiejąc sytuację.

Zosia natychmiast podała jej dziecko, a sama zaczęła tamować krwawienie z dróg rodnych Klementyny, przyjmując jednocześnie łożysko. Helena Hołówkowa tymczasem przeszła na drugą stronę porodówki, gdzie badano noworodki. Dziecko nie płakało. Chociaż Zosia skupiona była na tamowaniu krwawienia, słyszała, jak Helena wkłada małemu rurkę do tchawicy i odsysa zalegającą tam krew, po czym przewraca je na brzuch i poklepuje po plecach.

– Klementyna, wytrzymaj, udało się – powiedziała Zosia.

Przyjaciółka jednak nie odpowiedziała, tylko zwiesiła głowę na bok i zamknęła oczy. Krew wciąż ściekała na podłogę. Zosia wpadała w panikę.

– No dalej! – prosiła tymczasem cicho Helena. – Oddychaj, bo co ja powiem twojej matce? Oddychaj.

– Niech pani zmierzy położnicy ciśnienie – poprosiła Zosia dziewczynę, a akuszerka natychmiast chwyciła za aparat i po chwili zameldowała: – Skurczowe pięćdziesiąt, rozkurczowego nie słyszę.

– Ożeż psia mać! – przeklęła Zosia. – Helena! Co z dzieckiem?!

– Tętno nitkowane! – usłyszała. – Resuscytacja! – zabrzmiał kolejny meldunek, który zmroził jej krew w żyłach.

Zosia skupiła się na swoich działaniach, dziękując Bogu, że doktor Hołówkowa, doświadczona pediatra, przybiegła w odpowiednim momencie, dzięki czemu ona mogła zająć się ledwie żywą położnicą.

– No dalej! – prosiła doktor Hołówkowa, uciskając malutką niczym u lalki klatkę piersiową.

– Jest – powiedziała Zosia, kiedy znalazła i zacisnęła krwawiącą obficie tętnicę w kroczu Klementyny. – No, teraz już będzie dobrze.

Mały tymczasem stęknął, po czym nabrał powietrza. Kilka razy pociągnął ustami jak karp i wreszcie rozległ się cichutki jęk, a potem słaby płacz.

– Mamy go! Żyje! – krzyczała Helena. – Klementyna! Twój synek żyje!

– Bogu dziękować. – Zosia rozplakała się, po czym przyłożyła między nogi Klementyny kawał lodu przyniesiony przez położną.

Klementyna nadal była nieprzytomna.

– Bogu dziękować – powtórzyła Zosia, ale po chwili znajome uczucie paniki powróciło, bo prześcieradło nadal nasiąkało krwią.

– Wciąż krwawi – powiedziała przerażona Helena.

– Straciła bardzo dużo krwi – oznajmiła Zosia ze ściśniętym z przerażenia gardłem. – Musi dostać krew. Ja jej oddam – zdecydowała nagle. – Mam grupę krwi zero. Jestem dawcą uniwersalnym.

– Zosiu. – Helena Hołówkowa zbliżyła się do niej. – Transfuzje są wciąż w fazie badań. Jeśli coś się stanie...

– Profesor Hirszfeld^[69] opisał dziedziczenie grup krwi jeszcze w tysiąc dziewięćset jedenastym roku – sprzeciwiła się Zosia. – Wygłosił od tego czasu setki wykładów i popularyzował swoje odkrycie w prasie na całym świecie. Znam zasady transfuzji i...

Na salę wbiegła położna.

– Pani doktor – powiedziała do Heleny Hołówkowej. – Właśnie odebrałam dwa porody, jeden po drugim. Dzieci i matki są w dobrym stanie. Czy zechce pani obejrzyć łożyska?

– Ufam, że pani dokładnie je obejrzała – odparła Helena. – Zajmujemy się teraz doktor Witchelową, z którą jest coraz gorzej. Z jej synkiem już dobrze, ale...

Zosia i Helena spojrzały po sobie.

– Umieść dziecko w inkubatorze i pilnuj parametrów życiowych – poleciła położnej doktor Hołówkowa. – W międzyczasie ochrzczij. Zaraz wezwij pielęgniarki noworodkowe, ale nie odchodź od niego, dopóki nie

przyjdzie zmiana. Chłopiec jest stabilny, ale jego stan może w każdej chwili się pogorszyć.

Położna pokiwała głową, wzięła nowo urodzonego chłopca i wybiegła. Klementyna oddychała płytko, jej tętno wynosiło powyżej stu dwudziestu uderzeń na minutę, ciśnienie skurczowe spadło poniżej czterdziestu milimetrów słupa rtęci.

– Zaraz będzie miała wstrząs. Szykujmy się do transfuzji – powiedziała Zosia.

– Zadzwoń po chirurga, same nie damy rady – zdecydowała Helena i wybiegła z porodówki.

– Trzymaj się, Klementyno. Pomoc jest blisko – powiedziała Zosia, głaszcząc przyjaciółkę po głowie.

Klementyna nieoczekiwanie otworzyła oczy.

– Co z dzieckiem? – wyszeptała tak cicho, że Zosia odczytała jej pytanie z ruchu warg.

– Śliczny, zdrowy chłopczyk! – odpowiedziała z przesadnym entuzjazmem.

Klementyna uśmiechnęła się słabo i zamknęła oczy. Na korytarzu słychać było tupot nóg. Po chwili drzwi otworzyły się.

– Melduję się na rozkaz!

W progu porodówki stał pułkownik profesor Bolesław Szarecki^[70], a za nim weszły zadyszana położna i Helena Hołówkowa. Onieśmielona spotkaniem z wojskowym tak wysokiej rangi, Zosia zaczęła szybko relacjonować:

– Łóżysko częściowo przodujące. Pacjentka straciła dużo krwi i wciąż krwawi. Oddam jej swoją krew, mam grupę zero.

Profesor podszedł do Klementyny i pochylił się pod prześcieradłem zasłaniającym jej krocze.

– Proszę zabrać pacjentkę na salę operacyjną – powiedział po chwili i wskazał na Zosię. – Pani doktor ze mną, przeprowadzimy transfuzję podczas zabiegu. Pani – wskazał na położną, która tej nocy biegła na

posyłki – zadzwoni do pielęgniarek zabiegowych, Teresy Makowskiej i Janiny Węglowej. Niech tu natychmiast przyjdą. Proszę też pobiec po mojego kolegę z dyżuru, doktora Leońskiego. Mamy, odpukać, spokojną noc, tu jest bardziej potrzebny. Pani doktor Hołówkowa zostaje na oddziale.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

Zosia wspominała później, że gdyby nie fachowość profesora Szareckiego, Bóg jeden wie, czy zdołałaby ocalić Klementynę, której pękła kolejna tętniczka, najpewniej przy oczyszczaniu jamy macicy, i pozbawiłaby życia. Ponieważ było za późno na szukanie winowajczynie, a z Klementyny uchodziło życie, profesor usunął jej macicę, a Zosia oddała jej pół litra własnej krwi.

– Całe szczęście, że pan był na dyżurze, panie pułkowniku. I całe szczęście, że mam grupę zero – powiedziała po operacji.

– Całe szczęście, że miała pani tak przytomny umysł – powiedział profesor. – Gdyby nie kolejne pęknięte naczynie, poradziłaby sobie pani sama.

– Nie poradziłabym sobie bez pana – zaprotestowała Zosia. – Najbardziej drżałam, że mimo odpowiedniej grupy krwi nie będę mogła oddać jej doktor Witchelowej.

– Ja też mam grupę zero. – Chirurg uśmiechnął się do niej. – Oddałbym swoją.

– Tylko kto by wtedy operował? – spytała Zosia.

– Pani. – Pułkownik Szarecki wskazał na nią palcem. – Pani się świetnie sprawdza jako chirurg.

Oczy Zosi zaszyły mgłą szczęścia.



– Przeprowadziłam na badanie nie byle kogo, bo własnego męża. – Helena Hołówkowa roześmiała się i wprowadziła do gabinetu jednego

z najbardziej znanych działaczy II Rzeczypospolitej.

– Proszę, proszę – powitała polityka Maria Werkenthin i włożyła fartuch.

– Cóż to za cudo? – Tadeusz Hołowko^[71] wskazał jeden z najnowocześniejszych aparatów rentgenowskich w Warszawie. – Czy to urządzenie dobrze pokaże moje nieszczęsne płuca?

Marysia pokiwała głową. Wiedziała od Heleny, że rodzinę jej męża zesłano na Syberię za udział w powstaniu styczniowym i tam przechorował zapalenie płuc. Na domiar złego w pierwszych dniach wojny polsko-bolszewickiej mężczyzna został ciężko ranny. Regularnie przyjeżdżał do szpitala na badania, zawsze czekając na swoją kolej, chociaż bliska znajomość z Piłsudskim i miejsce w rządzie pozwalały na korzystanie z wszelkich przywilejów. Tadeusz Hołowko był jednak człowiekiem wyjątkowo skromnym i obraziłby się, gdyby ktoś zaproponował mu protekcję. Zgadzał się jednak, aby badania profilaktyczne wykonywać w Szpitalu Ujazdowskim pod czujnym okiem żony. Do tradycji szpitala należała także opieka nad powstańcami styczniowymi, którzy byli tu bardzo poważani.

Zosia dobrze знаła Hołowków, nieraz bywała u nich w domu. Helena zawsze zawiadamiała ją, kiedy Tadeusz przychodził na badania. Po rentgenie, który wykonywała Maria, Zosia badała pacjenta elektrokardiografem. Zanim jeszcze Willem Einthoven^[72] dostał Nagrodę Nobla za odkrycie podstaw elektrokardiografii, Zosia i Maria przekonały dyrekcję szpitala, że elektrokardiograf, chociaż jest bardzo drogim urządzeniem, jest niezbędny w diagnostyce chorób serca dorosłych oraz dzieci. Nowy aparat był dumą szpitala, a Zosia miała szczęście brać udział w szkoleniu, podczas którego nauczyła się, jak interpretować zapis wykonany specjalnym tuszem. Dzięki temu wiedziała, czy serce pacjenta w istocie dobrze pracuje czy też nie.

– Witam pana profesora. – W korytarzu pokazał się także doktor Zawadowski. – Widzę, że jest pan nie tylko w dobrych, lecz także pięknych rękach.

Zosia uchwyciła ukradkowe spojrzenie, które posłała docentowi Maria, ale wtedy nie zastanowiła się szczególnie nad jego znaczeniem, zwłaszcza że Tadeusz Hołówko dopytywał o szczegóły badania i możliwości aparatu rentgenowskiego. Dopiero kiedy wróciła do pracowni radiologii z elektrokardiogramem polityka i dostrzegła, jak Zawadowski pospiesznie odsuwa się od Marii, zrozumiała, że łączy ich coś więcej niż relacje zawodowe. Stała jak wryta, wbijając wzrok w koleżankę, ale ona uciekła spojrzeniem. Zosia chrząknęła, przerywając Zbigniewowi i Marii nieco zbyt sztucznie ożywioną rozmowę na temat zdjęcia rentgenowskiego, które przedstawiało aż nazbyt dobrze widoczne zmiany gruźlicze.

– Chciałam skonsultować z wami wyniki badania serca Tadeusza Hołówki – powiedziała powoli. – Elektrokardiogram pokazuje niewielki przerost lewej komory serca. Wciąż jednak się uczę i nadal kalibrujemy nowy aparat, więc może to być błąd techniczny. Chciałabym porównać elektrokardiogram ze zdjęciem rentgenowskim.

Maria bez słowa spojrzała na wynik badania rentgenowskiego.

– Masz rację – stwierdziła, nie czekając na opinię swojego szefa. – Niewielki przerost lewej komory. Proponuję uczulić pacjenta, żeby zażywał więcej ruchu. Może zaproponować mu jakieś sanatorium? Na pewno będzie miał tam mniej nerwów.

Zosia pokiwała głową i w milczeniu opuściła pracownię, nie zaszczyciwszy ani Marii, ani Witolda podziękowaniami.



Zosia wraz z Marią przekroczyły próg Zamku Ujazdowskiego, który był siedzibą Centrum Wyszukolenia Sanitarnego. Jak zwykle przystanąły na chwilę w hallu w pełnej szacunku pozie przed tablicami pamiątkowymi poświęconymi medykom, którzy polegli w czasie obu powstań, listopadowego oraz styczniowego, a także wojny polsko-bolszewickiej.

Potem Zosia zapukała energicznie do drzwi gabinetu komendanta i usłyszawszy „Proszę”, weszła do środka.

– Zaraz uprzedzę pana komendanta, że panie doktorowe przyszły – poinformowała je sympatyczna sekretarka.

– Zawsze mówi „doktorowe”, jakbyśmy były żonami lekarzy, a nie lekarkami – westchnęła Maria.

– Mnie to nie przeszkadza – stwierdziła Zosia. – Kiedy mówię w towarzystwie, że jestem lekarką, wszyscy robią wielkie oczy i milkną, bo nie wiedzą, jak ze mną rozmawiać. To zabawne. Jakby nagle wyrosły mi rogi albo jakbym zaczęła świecić w ciemności.

– I to jest według ciebie zabawne? – zdumiała się Maria. – Mnie to drażni. W przychodni przeciwgruźliczej na Miodowej biorą mnie za laborantkę.

– Ludzie się jeszcze nie przyzwyczaili do kobiet, które coś potrafią – starała się ją uspokoić Zosia, która nie jeden raz doświadczyła lekceważenia ze strony pacjentów, głównie mężczyzn, domagających się, żeby przynajmniej w szpitalu wojskowym leczył ich „prawdziwy lekarz”, a nie jakaś „panienka”.

– Pan komendant wzywa. – Sekretarka uchyliła drzwi gabinetu.

Maria i Zosia weszły do środka.

– Witam panie – powiedział tubalnym głosem Jan Kołłątaj-Srzednicki^[73]. – Zapraszam do środka. Czego się panie napiją? Otrzymaliśmy wspaniałą kawę z darów, z Brazylii. Polecam, chociaż ja pozostaję przy kawie zbożowej.

Obydwie podziękowały za kawę i poprosiły o herbatę. Doktor Srzednicki uśmiechnął się i spojrzał znacząco na sekretarkę, która kiwnęła głową i zniknęła za drzwiami.

– Ot, takie żołnierskie przyzwyczajenie.

Zosia popatrzyła na generała z wielkim szacunkiem. „Nie wygląda na tak wybitną osobowość”, pomyślała. Bo czyż niewysoki wąsacz w okularach może być legendą Legionów Polskich, walczyć u boku generała Roi^[74] pod

Lwowem i Przemyślem i sprawować funkcję kierownika Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych?

– Zaprosiłem panie tutaj, ponieważ jesteście związane z opieką nad dziećmi, a ja chciałbym rozszerzyć tę działalność – powiedział z silnym wschodnim akcentem, który niektórzy określali mianem „straszliwego”. – Moją misją jest stworzenie kompleksowej opieki dla dzieci, szczególnie sierot po żołnierzach Rzeczypospolitej oraz potomków powstańców. Bywa, że obrońcy niepodległej Polski mieszkają w opłakanych warunkach. Szczególnie wśród dzieci szerzy się gruźlica.

– Panie doktorze – powiedziała Maria. – Opiekujemy się powstańcami, hallerczykami i żołnierzami Rzeczypospolitej. Oraz ich rodzinami. Jest to naszym obowiązkiem nie tylko jako Polaków, ale też jako lekarzy zatrudnionych w szpitalu wojskowym.

– Opiekują się panie na terenie szpitala – zaznaczył Szrednicki. – To za mało.

– Poza szpitalem także – odparła Zosia. – Razem z doktorem Iwanickim regularnie odwiedzamy sierociniec doktora Korczaka i badamy dzieci. Jeśli któreś wymaga hospitalizacji, natychmiast przyjmujemy je na oddział.

– Wraz z doktorem Zawadowskim udostępniłmy naszą pracownię sierotom, nie tylko tym będącym pod opieką doktora Korczaka, lecz także z innych sierocińców – dodała Maria. – Wykonujemy prześwietlenia nawet maleńkich dzieci.

– Do szpitala trafia coraz więcej dzieci przewlekłe chorych, które wymagają stałej opieki, dlatego podjęliśmy współpracę z prewentoriami w całej Polsce. Szczególnie w Zakopanem możemy liczyć na życzliwość kierownictwa – argumentowała Zosia.

– I właśnie tutaj otwierają się nowe możliwości – stwierdził doktor Szrednicki. – Nieodżałowany doktor Dłuski^[75] z Warszawskiego Towarzystwa Przeciwgruźliczego już nie żyje.

– Znałyśmy pana doktora – powiedziała Maria.

Zosia tylko przytaknęła. Doktor Dłuski był ftyzjatrą, a jego żona Bronisława^[76], także lekarka, była starszą siostrą Marii Skłodowskiej-Curie.

– Właśnie. – kontynuował Szrednicki. – Prewentorium, które zbudował w Aninie, nie działa i nie przyjmuje pacjentów. Można kierować dzieci do Zakopanego.

Zosia i Maria pokiwały głowami.

– Chciałbym także prosić... – Doktor zdjął okulary i spojrzał niepewnie. – Trochę mi niezręcznie zwracać się z tym do pań – wyznał.

– Proszę mówić wprost – zachęciła doktora Maria.

– Chciałbym zorganizować lotne patrole medyczne – powiedział.

– Takie, jakie stworzyła Maria Skłodowska? – Maria w mig zrozumiała intencje komendanta.

– Tak – odparł. – Chciałbym przerobić samochód na jeżdżący aparat rentgenowski i zorganizować badania w terenie. Białe niedziele.

– To wspomniały pomysł – zapaliła się Zosia. – Porozmawiam z doktor Gorazdowską-Witchel i jej mężem na ten temat. – Pan Kornel Witchel pracuje w Centralnych Zakładach Samochodowych – wyjaśniła. – Na pewno można mu zlecić przerobienie takiego samochodu.

– A ja podejmuję się dostosować aparat – dodała Maria. – No i oczywiście chętnie będę wykonywać zdjęcia, oceniać je i na miejscu konsultować pacjentów.

– Niebo mi was zesłało – sapnął komendant.



– Lotne patrole medyczne? – westchnęła Zosia, kiedy wracały.

– Lotne patrole medyczne – potwierdziła Maria. – Namówię Witolda, żeby także z nami jeździł.

– A nie lepiej przekonać do tego którąś dziewczynę z personelu średniego? – spytała Zosia nieco zbyt ostro.

Jeśli Maria domyśliła się, skąd taki ton koleżanki, to nie dała tego po sobie poznać.

– Nie lepiej – odpowiedziała spokojnie. – Jak znam komendanta, będzie to działalność nisko płatna albo *pro bono*. My zaś z Witoldem będziemy mieli okazję poszerzyć archiwum zdjęciowe.

– Aha – powiedziała z dezaprobatą Zosia, po czym dodała bezczelnie: – A może jego żona będzie miała za złe, że pracuje także w niedziele?

– Może będzie miała. A może nie – odpowiedziała spokojnie Maria.



– Nie mam dowodów, ale wydaje mi się to oczywiste – powiedziała Zosia do Klementyny. – Jest cudowna, wspaniała, mądra...

– Myślisz, że wystarczy mówić w czterech językach, żeby nie popełniać błędów życiowych? – zapytała Klementyna.

– W pięciu. Ona mówi biegle w pięciu językach. Widzi w ciemności jak sowa, dwu- i trójwymiarowo i ma świetną pamięć wzrokową. Umie przywołać z pamięci obraz klatki piersiowej pacjenta sprzed dwóch lat...

– I kocha żonatego mężczyznę – powiedziała spokojnie Klementyna.

– Przestałam jeździć na białe niedziele, bo nie mogę udawać, że nie dostrzegam, co się dzieje – wyznała Zosia.

Siedziały u Wedla, popijając czekoladę i gawędząc jak dawniej.

– Wracam do pracy – oświadczyła nagle Klementyna.

Zosia klasnęła w rękę.

– Tak się cieszę – powiedziała. – Ale czy jesteś absolutnie pewna, że już wszystko jest z tobą dobrze?

– Od początku wszystko było dobrze. – Klementyna wzruszyła ramionami.

– Nie było... – przypomniała jej Zosia.

– Och, moja droga. – Klementyna machnęła ręką. – Nie wolno żyć przeszłością! Życie toczy się dalej. Szkoda tylko, że nie będę mogła mieć więcej dzieci – dodała nagle. – Wprawdzie chyba bym poprzestała na dwójce, ale kto wie...

Zosia ścisnęła ją za rękę. Nie musiała mówić, że usunięcie macicy było jedynym wyjściem.

– Nie będę dyżurowała, bo dzieci są zbyt małe, ale nawet Kornel zgodził się co do tego, że powinnam już wrócić do pracy – ciągnęła Klementyna.

Zosia wyobraziła sobie, jak Kornel wysyła żonę do szpitala, bo nie może znieść jej utyskiwania, że gdzie indziej może być bardziej potrzebna.

– Witam panie – usłyszała nagle znajomy głos.

Przywitała się ze Stanisławem Gorazdowskim serdecznie, bo przecież minęło już sporo czasu od ich ostatniego spotkania u niej w domu. Sądziła, że Stanisław się do nich dosiadzie i porozmawiają we trójkę o działalności Państwowego Instytutu Higieny, ale Klementyna nagle „przypomniała” sobie, że musi natychmiast udać się do domu i przypilnować nowej służącej.

– Czy ja się mylę, czy Klementyna ukartowała to spotkanie? – spytała Zosia, kiedy zostali ze Stanisławem sami.

– Ja ją o to poprosiłem. Aby dała mi znak, kiedy znów spotkacie się u Wedla – przyznał.

– Zamówi pan czekoladę? – spytała, żeby wypełnić nieco niezręczną ciszę.

– Raczej nie – powiedział. – Przestałem ją lubić. Wolałbym pospacerować, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

– Chętnie. Jest piękny dzień – przyznała Zosia.

Włożyła płaszcz i razem wyszli na zalaną słońcem ulicę.

Szli w milczeniu, mijając innych ludzi. Zosia pomyślała, że to dziwny spacer. Z jednej strony od dawna nie było jej tak przyjemnie, a z drugiej

czuła się niezręcznie u boku Stanisława. Czego mógł od niej chcieć dawny wielbiciel, w dodatku – wedle słów Klementyny – żonaty?

– Chciałbym panią o coś spytać – powiedział, kiedy doszli już na rynek i zatrzymali się, aby popatrzeć w stronę placu Zamkowego.

„Ani chybi zażąda przeprosin, będzie indagował, czy zwodziłam go, aby mieć dostęp do najnowszych pism medycznych, albo nie daj Boże zapyta o Nina”, myślała gorączkowo Zosia.

– Proszę – powiedziała z rezygnacją.

Zamierzała wyrzucić potem Klementynie, że mogła sobie darować taką okropną zemstę.

– Wtedy, kiedy... – zaczął i zamilkł, a Zosia ledwie powstrzymała się, aby nie uciec. – Potem dowiedziałem się, że pani już nie... – dukał. – I chciałbym spytać, czy istnieje... czy istnieje...

Zosia nic z tego nie rozumiała.

– Czy istnieje dla mnie usprawiedliwienie? – spytała. – O to panu chodzi?

– Czy istnieje cień szansy, że mógłbym się starać... – wymamrotał. – Mógłbym mieć nadzieję...

Zosia niczego tak nie żałowała jak utraty Stanisława. Zdała sobie już dawno sprawę, że porozumienie intelektualne, które ich łączyło, było także porozumieniem duchowym. Gdyby mogła cofnąć czas, wiedząc to, czego wtedy nie wiedziała, Nino nie miałyby u niej żadnych szans, nawet gdyby sama Zula Pogorzelska namawiała ją na związek z nim. Szansę miałyby wyłącznie Stanisław – dobry, uroczy, inteligentny, dowcipny i czuły farmakolog. Ale Zosia nigdy nie pozwoliła sobie na myślenie o Stanisławie, było już przecież na to za późno.

– Na co nadzieję? – spytała gorzko. – Co pan chce mi powiedzieć? Przecież pan się ożenił.

– Ja? – spytał zdumiony Stanisław.

Wyglądał przy tym tak poczciwie i żałośnie, że Zosia poczuła się jeszcze gorzej.

– Pan – stwierdziła. – Klementyna mi powiedziała.

– Klementyna pani powiedziała, że się ożeniłem?

– Tak – odrzekła zniecierpliwiona, przypominając sobie, ile razy po rozstaniu z Ninem chciała odezwać się do Stanisława, przez wzgląd na stare czasy, ale powstrzymywała się, bo miał przecież żonę.

– Ależ ja nie...

Wpatrywał się w nią z najwyższym zdumieniem i wtedy Zosi zaczęło coś świtać w głowie.

– Klementyna powiedziała, że nie pojedzie do Berlina, bo musi być na ślubie kuzyna – powiedziała powoli.

– Kuzyna Władysława Tarczyńskiego, który ożenił się z panną Józefiną Halińską, spokrewnioną z samymi Potockimi... – powiedział Stanisław i dodał: – Piękny ślub. Wesele trwało trzy dni.

– Bogu dzięki – westchnęła Zosia i rozplakała się.

Stanisław wtedy zrozumiał, że słusznie miał nadzieję i że Zosia odwzajemnia jego uczucie. Obiecali sobie, że już nigdy, przenigdy się nie rozstaną, ślub wezmą w Nałęczowie, a w podróż poślubną pojedą do Wenecji.

Zosia od razu zawiadomiła dziadka oraz ojca o szczęśliwym zwrocie w swoim życiu i wkrótce udała się ze Stanisławem do Krakowa, aby go przedstawić obu panom. Stanisław strasznie się denerwował, że rodzina narzeczonej go nie zaakceptuje, ale jak się później okazało – zrobił bardzo dobre wrażenie. Wprawdzie nieszczęsny omal nie wyzionął ducha, kiedy przyszy teść zabrał go na wyprawę do Zakopanego i przegonił po górach. Biedny Stach ledwie przetrzymał tę próbę. Z profesorem Piechowskim poszło Stachowi znacznie łatwiej, bo dziadek Zosi przepytął go tylko z leków przeciwbólowych oraz surowic, a wynik tego egzaminu był więcej niż bardzo dobry. Decydujący głos na temat tego, czy Stanisław będzie dobrym mężem dla Zosi, miała jednak Honorka, która o świcie zabrała narzeczonego „panienki” na targ i tam niby mimochodem opowiedziała mu historię jej matki i ojca, ale dodała co nieco o tym, jak „panieneczka” przez

pierwszy rok po powrocie do domu chowała jedzenie pod poduszką i budziła się w nocy z krzykiem. Wspomniała mu także o tym, że Zosia uparła się, że zostanie lekarzem i że sam Napoleon Cybulski naraził na szwank swoją reputację, żeby tylko stworzyć w Krakowie wydział dla kobiet. Na koniec dodała, nie patrząc na Stacha, że „panieneczka” to niby taka nowoczesna i ze wszystkim sobie radę da, ale tak naprawdę niczego w życiu jej tak nie trzeba jak miłości. Stach ujrzał wtedy Zosię w zupełnie innym świetle, bo niby wiedział, jaka jest wrażliwa, ale do tej pory nie myślał o niej jako o istocie, która nade wszystko potrzebuje opieki i uczucia, tylko raczej jako o kobiecie, której należy dotrzymywać kroku i stworzyć warunki do rozwoju.

– Przyrzekam Honorce, że zrobię wszystko, żeby Zosia była szczęśliwa – przyrzekł, a stara służąca pokiwała głową i po powrocie do domu uspokoiła obu swoich panów, że przyszły zięć jest uczciwy i honorowy, dla ludzi niższego stanu pełen szacunku i poważania, będzie więc dla Zosi dobrym mężem.

A oni, przyzwyczajeni do tego, że Honorka się nie myli, po prostu przytaknęli i zajęli się obstalowywaniem surdutów na ceremonię ślubną.



Maria wpadła do pokoju lekarskiego, gdzie siedziała Zosia wraz z Ficowskim, Goldschmidtem i Joasią Rychter. Wszyscy mieli grobowe miny.

– Już wiecie? – krzyknęła od progu.

– Wiemy – odpowiedział jej krótko Ficowski. – To straszne.

W przeddzień wyjazdu Tadeusza Hołówki z sanatorium w Truskawcu do pokoju mężczyzny wtargnęło dwóch Ukraińców i oddało sześć strzałów z broni krótkiej. Poseł na sejm II Rzeczypospolitej zginął na miejscu. Zamach natychmiast potępiły społeczności polska i ukraińska.

– Cholerni Ukraińcy – burknął Goldschmidt.

– Hołówko był najważniejszym orędownikiem zbliżenia z Ukraińcami w Polsce. Jeżeli za morderstwem istotnie stali ukraińscy nacjonaści, ich motywem było usunięcie kłopotliwego człowieka, którego polityka osłabiała ukraiński sprzeciw wobec polskich rządów – wygłosiła z powagą Maria.

– A co ty nagle stałaś się specjalistką od stosunków polsko-ukraińskich?
– ironizował Ficowski. – Nigdy się z nimi nie dogadamy. Będą zabijać naszych, a gdy Niemcy znów zaczną przygotowywać wojnę, Ukraińcy pierwsi się z nimi sprzymierzą.

– Bzdury – zaprotestował Goldschmidt. – Pierwsza wojna światowa pochłonęła czternaście milionów ofiar.

– I nie rozwiązała wszystkich konfliktów – odparowała Maria. – A hiszpanka pochłonęła sześćdziesiąt milionów istnień. Co nie znaczy, że przestaniemy teraz chorować na gruźlicę.

– Co ma piernik do wiatraka? – denerwował się Ficowski. – O co ci chodzi?

– O to, jak powiedzieć Helenie, że jej były mąż nie żyje – odparła Maria.

– Na pewno wie – bąknęła Joasia Rychter i spojrzała na Zosię. – Wszyscy o tym mówią.

Tadeusz i Helena rozwiedli się kilka lat wcześniej. Mężczyzna niespełna rok później poślubił inną kobietę, a Helena wpadła w stagnację. Nieco odżyła, kiedy powierzono jej kierownictwo i organizację nowego oddziału pediatrycznego. Zofia Garlicka pozostała szefową ginekologii, natomiast Helena stanęła na czele pediatrii.

– Nie są już razem – przypomniała Zosia

– Ich córka ma czternaście lat, a syn dziesięć. Zawsze będą... – Joasia spojrzała na Zosię karcącym wzrokiem i dokończyła niepewnie: – ...razem.

– Jeśli kobietę z mężczyzną łączą jedynie dzieci, to nie bardzo jest o czym mówić – ironizował Goldschmidt.

– Opinia publiczna obrusza się, kiedy mężczyzna porzuca żonę dla innej – stwierdziła dobitnie Zosia i położyła rękę na zaokrąglonym brzuchu.

Podobnie jak Klementyna, niemal natychmiast po ślubie zaszła w ciążę, ale bynajmniej jej to nie zmartwiło, bo uznali ze Stachem, że nie ma na co czekać, gdyż Zosia już dawno przekroczyła trzydziesty rok życia i niedługo byłoby dla niej za późno na macierzyństwo. Stach szalał ze szczęścia, a ona czuła się tak dobrze, że nie opuściła ani jednego dnia w pracy. Nie miała mdłości, nogi jej nie puchły, jej umysł był po dawnemu ostry jak brzytwa. Poza tym wszyscy otaczali ją troską.

– Jeśli nic go z nią nie łączyło, dlaczego miał nie szukać szczęścia gdzie indziej? – zaperzyła się Maria.

– Czy dzieci to niewystarczający powód, by trwać w małżeństwie? – zapytała Zosia.

– Uważasz, że miłość nie ma znaczenia? – Maria patrzyła jej prosto w oczy.

– Uważam, że ma. Miłość małżeńska – odrzekła jej Zosia i dotknęła z miłością obrączki, którą Stanisław włożył jej na palec w kościele Świętej Anny.

– Przestańcie, bardzo was proszę – powiedział doktor Goldschmidt, który wydawał się rozumieć rozgrywkę między Zosią a Marią, ale najwyraźniej nie chciał w niej uczestniczyć albo uważał, że zamach na Tadeusza Hołówkę to nie pretekst, by dyskutować o wierności małżeńskiej.

Zosia kilka razy nabrała powietrza, aby się uspokoić. Już po porzuceniu Heleny Tadeusz Hołówko miał czelność nadal przychodzić na zdjęcia rentgenowskie i elektrokardiogram do Szpitala Ujazdowskiego. Zosia, w przeciwieństwie do Marii i Zawadowskiego, uważała, że jest to wysoce niestosowne. Nie mogła jednak odmówić badania i wykonywała je bardzo starannie. Była także uprzejma wobec polityka, chociaż nie reagowała na komplementy i przyjazne zagadywanie. Jako że Hołówko był inteligentnym człowiekiem, szybko zrozumiał, że Zosia potępia jego życiowe wybory, i więcej się w szpitalu nie pojawił. Ponoć chodził na badania do innej placówki, ale Zosia nigdy nie zapytała do której.

– Ja w każdym razie pójdę do Heleny – oświadczyła Maria. – Może potrzebuje pomocy przy dzieciach.

Po czym wyszła z pokoju. Zapadła niezręczna cisza.

– Akurat od niej nasza Helena nie potrzebuje pociechy... – burknął Goldschmidt.

– Swoją drogą ten zamach to straszna sprawa – westchnęła Joasia Rychter.

– Straszna – zgodził się Ficowski.



– Coś ty zrobiła, Marysiu...? – wyszeptała Zosia w progu mieszkania Marii Werkenthin.

– Wejdz – zaprosiła ją przyjaciółka. – Nie chcę, żebyś łąjała mnie na stojąco. I to w progu. A już zwłaszcza w twoim stanie.

– Nie zamierzam cię łąać – zaprotestowała odruchowo Zosia. – I mój stan odmienny nie ma tu nic do rzeczy.

– To po co przyszłaś? Nie lepiej było zostać w domu i odpoczywać? – spytała Maria.

– Chciałam cię spytać, co zamierzasz – odparła Zosia, kiedy usiadła w fotelu. – Wszyscy o was wiedzą. Wszyscy plotkują. Żal patrzeć na jego żonę.

– Nic nie poradzę – powiedziała Maria bezradnie – na pewne sprawy.

– Uważam, że nie powinnaś przychodzić do szpitala, zwłaszcza że w nim już nie pracujesz – stwierdziła Zosia. – I wiesz, że mam rację.

– Masz – powiedziała nieoczekiwanie Maria i zwiesiła ramiona. – Sądzę, że lepiej będzie, jeśli przestanę przychodzić do pracowni rentgenowskiej.

– Zerwiesz z nim? Inaczej nigdy nie ułożysz sobie życia.

– Ja nie wiem, czy chciałabym mieć jakieś inne życie.

Zosia znów położyła rękę na ciężowym brzuchu.

– Czasem tylko się wydaje, że idziemy dobrą drogą, a prawda jest taka, że błądzimy – powiedziała i zaraz westchnęła, bo nie chciała, żeby jej

słowa zabrzmiały tak banalnie.

– I kto to ma ocenić? Kto ma wskazać błędzającemu właściwą drogę? – Maria roześmiała się. – Ty?

– Jesteś jedną z najinteligentniejszych osób, jakie znam. Nie mnie mówić ci, co jest dobre. Ty wiesz, co jest złe. I cały czas w tym tkwisz. Proszę cię jako żona, jako przyszła matka... Odejdź od niego i zacznij żyć swoim życiem.

– Nie wiem, czy potrafię – wyznała Maria. – Ale są pewne sposoby, żeby się... odsunąć.

Zosia spojrzała pytająco.

– Od dwóch lat mam własną pracownię i kierownicze stanowisko – powiedziała, nie patrząc na Zosię.

Ten fakt był wszystkim znany. Maria jako pierwsza kobieta objęła kierownictwo Pracowni Radiologicznej Szpitala Wolskiego i doprowadziła ją do rozkwitu mimo braków kadrowych i nie najnowocześniejszego sprzętu. Szkoliła od podstaw personel pomocniczy, tworzyła własne archiwum radiologiczne. Zosia nie raz zastanawiała się, czy przyjaciółka w ogóle sypia.

– Mimo swoich zajęć regularnie przychodzisz pomagać Witoldowi – powiedziała bez litości Zosia.

Maria zdawała się nie słyszeć pretensji w jej głosie.

– Sądzę, że już pora przestać to robić – powiedziała poważnie, jakby Witold Zawadowski naprawdę kiedykolwiek potrzebował pomocy. – Przyjęłam kolejną pracę. Wandzia Stankiewicz-Trybowska^[77] ze Stacji Odmy Sztucznej poprosiła mnie, żebym objęła kierownictwo gabinetu radiologicznego. Już tam byłam. Mają ogromne braki. Sądzę, że będę musiała poświęcić dużo czasu, żeby wyposażyć tę placówkę w aparaturę diagnostyczną na poziomie.

– Im więcej obowiązków na siebie weźmiesz, tym mniej będziesz o nim myślała – domyśliła się Zosia.

– Może się uda – odpowiedziała Maria i wyznała: – Przecież po to odeszłam do Szpitala Wolskiego. Żeby być dalej.

– To, co robicie, jest... – Zosia nie wiedziała, czy Marię karcić czy też błagać, aby zakończyła niestosowny związek – ...straszne. Poza tym, Mario – dodała – jeśli nadal z nim będziesz... to nigdy nie ułożysz sobie życia. Cały czas próbuję ci to uświadomić.

– A skąd pomyśl, że chciałabym ułożyć sobie życie bez niego? – spytała Maria.

Wydawała się wciąż nie rozumieć argumentów Zosi. A może właśnie rozumiała, tylko że chciała tę historię zakończyć po swojemu.

– Rozszerzam zakres swoich badań – powiedziała w końcu. – Wprowadzam bronchografię jako rutynową metodę diagnostyczną oraz tomografię liniową.

– Żartujesz! – Zosia gwałtownie wciągnęła powietrze. – To dlatego jeździłaś ostatnio do Paryża i Brna?

– Między innymi – potwierdziła przyjaciółka.

Bronchografia była nowoczesną metodą badania oskrzeli. Po podaniu kontrastu w postaci aerozolu można było dokładnie ocenić budowę morfologiczną drzewa oskrzelowego.

– Chciałam dostosować nasz aparat do tego badania, a przy tym wyszkolić dwóch chirurgów, którzy operowaliby ewentualne rozstrzenia oskrzelowe – dodała, bo Zosia wciąż trwała w niemym podziwieniu dla geniuszu medycznego przyjaciółki i zapomniała, że przyszła w innej sprawie, dotyczącej życia prywatnego Marii, a nie zawodowego.

– A tomografia?

– Liniowa. – Maria przybrała rzeczowy ton. – Musiałam pojechać do Berlina, ale opłaciło się.

– Przecież tego nie robi nikt na świecie – powiedziała Zosia z podziwem w głosie.

Maria pokiwała głową.

– Musimy poczekać na rezultaty, które pozwolą na publikację prac. Jeszcze nie mogę ogłosić sukcesu. Ale nie poddaję się.

– Mario, on ma rodzinę. Proszę, usuń się. Bardzo cię proszę. – Zosia postanowiła wrócić do właściwego tematu i złożyła ręce jak do modlitwy.

– Już dawniej robiłam zdjęcia taką techniką, co prawda jakby chałupniczo, ale można było ocenić płuca warstwowo. Oczywiście w ograniczonym zakresie. Teraz będzie inaczej – odpowiedziała jej Maria.

– Jego żona była w szpitalu i zrobiła mu przykrą scenę. Proszę cię.

– Ruch lampy rentgenowskiej – ciągnęła przyjaciółka, patrząc Zosi prosto w oczy – wokół punktu, który nas szczególnie interesuje, pokazuje struktury na zdjęciu w sposób nieostry. Ruch musi być synchroniczny, potrzebujemy specjalnej konstrukcji. Nie mogę na razie przeprowadzić tych zmian w moim szpitalu. Tutejszy sprzęt jest daleko bardziej odpowiedni. Nowocześniejszy po prostu.

– Mario, proszę cię... – Zosia wstała.

– Obyś nigdy nie musiała doświadczać podobnych uczuć – powiedziała Maria.

– Też się o to modłę – westchnęła Zosia i wyszła cicho z mieszkania.

John Hughlings Jackson

1835–1911

John zamknął się w pokoju, zaciągnął szczelnie ciężkie zasłony, tak że wewnątrz pograżyło się w mroku. Znowu nękała go migrena. Nauczył się, że podczas ataku najbardziej pomagają spokój i ciemność. Tylko wtedy był w stanie wytrzymać ból, który zawsze pojawiał się najpierw za lewym okiem, potem przenosił się na lewą stronę czoła i skroń. John czuł wtedy pulsowanie krwi wewnątrz czaszki, a pod zamkniętymi powiekami widział świetliste linie, które przypominały mu zwieńczenie zamkowych fortyfikacji. Zacisnął zęby. Wiedział, że jeśli będzie leżał nieruchomo bez dopływu bodźców z zewnątrz, ból zelżeje na tyle, że zdoła wyjść z pokoju i wrócić do pracy. John postrzegał migrenę jako coś zupełnie niepotrzebnego, co okrada go z czasu. Kiedy atakował go ból głowy, domownicy, jego koledzy z kliniki, a nawet służący wiedzieli, że wybitny neurolog John Hughlings Jackson nie istnieje dla nikogo i nawet najciekawszy przypadek choroby umysłu, najrzadszy objaw czy nowo opisany odruch nie są w stanie sprawić, że poświęci im swój czas. Co innego, kiedy był w pełni sił. Wtedy mózg, jego budowa i funkcje zaprzętały umysł Johna od chwili, w której otwierał oczy, do momentu, kiedy kładł się spać. Najbardziej cenił sobie nietypowe przypadki, które trafiały do Państwowego Szpitala dla Sparalizowanych i Epileptyków przy londyńskim Queen Square, pierwszego w brytyjskiej stolicy szpitala, gdzie leczono pacjentów z chorobami mózgu. Wraz z kolegami, Williamem Gowersem i Davidem Ferrierem, w ciągu kilku lat od otwarcia szpitala w 1859 roku doprowadzili ten nędzny, ośmiołóżkowy przybytek do rozkwitu. Obecnie posiadał on ponad pięćdziesiąt łóżek, a jego sława jako ośrodka diagnostycznego wykroczyła poza Londyn i rozeszła się po całym

kraju. Badanie mózgu stanowiło dla Johna spełnienie marzeń i kontynuację dzieła greckich filozofów, których nauki zgłębiał, odkąd nauczył się czytać. Jego największą ambicją było znalezienie i umiejscowienie ośrodków, które odpowiadają za mowę, jej wyrażanie i rozumienie, oraz za wszelkie zmysły, takie jak smak, węch, wzrok. Był blisko określenia, gdzie w mózgowiu rozpoczyna się wyładowanie, które prowadzi do ruchu ręki czy nogi. Chciał zrozumieć struktury, które oglądał na sekcjach. Podziwiał ich budowę, ale nie miał pojęcia, do czego służą. Wreszcie chciał je operować, aby przywrócić im utracone funkcje, tam gdzie to było możliwe. Pragnął namówić do współpracy wybitnych chirurgów swoich czasów i tym samym przełamać swoiste tabu, którym wciąż pozostawały operacje na tak specyficznym organie, jakim był ludzki mózg.

Kiedy trzy godziny później szczęśliwie udało mu się pożegnać ból, wyszedł z pokoju i poprosił o herbatę. Było kilka minut po piątej.

– Powiedz pani, że już jestem i chciałbym napić się z nią herbaty w salonie. Proszę podać także herbatniki.

– Pani raczej nie przyjdzie na herbatę, sir – powiedziała niepewnie Katie. Jackson zaniepokoił się.

– Czyżby znowu miała atak? – spytał.

Katie pokiwała głową.

– Dlaczego mnie nie zawołano? – spytał z żalem, chociaż wiedział, że podczas migreny nie tylko nie pomógłby żonie, lecz także mógłby ją zdenerwować i tym samym pogłębić atak.

– Bates zabronił pana wołać. Odesłał mnie do pani i ja przy niej byłam – wyznała Katie.

John popatrzył na dziewczynę z wdzięcznością.

– W takim razie podaj herbatę w pokoju pani – zdecydował i pospieszył do sypialni żony.

Elizabeth leżała na łóżku bardzo blada. Jej lewa ręka spoczywała bezwładnie na poduszce. Jackson wiedział, że minie kilka godzin, nim wyczerpane drgawkami mięśnie odzyskają sprawność.

– Jak się czujesz, kochanie? – spytał, pocałowawszy żonę w czoło.

Elizabeth uśmiechnęła się.

– Martwię się, John – odpowiedziała i popatrzyła smutno. – Ostatnio ataki są coraz częstsze.

On także się tym martwił. Kiedy w 1863 roku wzięli ślub, drgawki lewej ręki występowały ledwie raz, dwa razy do roku. Po dziesięciu latach do napadów dochodziło już raz w tygodniu, były coraz dłuższe i obejmowały coraz większe partie mięśni. Johna męczyła świadomość, że mimo nieprzerwanego studiowania budowy mózgu nie umiał pomóc żonie i ulżyć jej w cierpieniu.

– Czy ten napad był mocniejszy, skarbie? – spytał.

Pokiwała głową.

– Najpierw drgało mi ramię, a potem drgawki rozprzestrzeniły się na całą lewą połowę mojego ciała. – Nagle złapała go prawą ręką za ramię. – Johnie – powiedziała zduszonym głosem. – Czy to znaczy, że będę traciła przytomność, jak ci nieszczęśnicy z twojej kliniki?

Zaklął w duchu. Po cóż opowiadał jej o napadach epileptycznych innych pacjentów? Ta jego odwieczna chęć dzielenia się doświadczeniami z bliskimi osobami w końcu go zgubi.

– Oczywiście, że nie, kochanie – powiedział z mocą, chociaż nie miał pojęcia, czy rzeczywiście nie dojdzie do tego, że drgawki rozprzestrzenia się na całe ciało, a wtedy Elizabeth, tak jak jego pacjenci, straci przytomność, przygryzie sobie język, a kto wie, czy nie uszkodzi sobie mózgu podczas ataku.

– Mam nadzieję, że mówisz prawdę – powiedziała.

Służąca, która wniosła herbatę i ciasteczka, wybawiła go od udzielenia szczerzej odpowiedzi na ów zarzut. Katie postawiła tacę na stole, obdarzyła swoją panią współczującym spojrzeniem, dygnęła i wyszła z pokoju.

– Napijmy się herbaty – powiedział John.

Nalał parujący płyn do filiżanki i dodał tyle cukru i mleka, ile Elizabeth lubiła. Pomógł jej się podnieść i oprzeć na poduszkach, następnie podał

filiżankę.

– Proszę, kochanie.

Żona uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Jesteś dla mnie taki dobry – powiedziała.

Kiedy ją zobaczył, natychmiast się w niej zakochał. Elizabeth była jego daleką kuzynką, piękną i wrażliwą kobietą. Szalał ze szczęścia, gdy ta cudowna, eteryczna istota odwzajemniła jego afekt i zgodziła się poślubić krzepkiego, dość tęgiego mężczyznę, który słynął z absolutnego oddania pracy i pacjentom. Ani ona, ani jej rodzice nie kryli przed Jacksonem faktu, że cierpiała na epilepsję. Wiedział, że ci, którzy go nie znają, mówią za jego plecami, że zawarł owo małżeństwo tylko po to, aby w domu, pod ręką mieć fascynujący obiekt badań struktury mózgu. Tymczasem nie było w tych złośliwościach ani cienia prawdy. John kochał Elizabeth, a ona kochała jego. Wybaczała mu, kiedy zaszywał się na całe dni w klinice, gdzie bez końca analizował ciekawe przypadki chorób. Patrzyła z wyrozumiałością, kiedy w domu, już po pracy, przypominał sobie nagle, że nie dość dokładnie wypytał któregoś z pacjentów o szczegóły jego choroby, i wstawał od stołu, żeby wrócić do szpitala i ponownie przeprowadzić badanie. Nie gniewała się, kiedy cały gabinet zasłany był kartkami z przemyśleniami, notatkami, analizami i rysunkami. Zdawała sobie sprawę z tego, że jej mąż nie spocznie, póki nie zrozumie, gdzie w mózgu usytuowane są ośrodki odpowiedzialne za każdy ruch i każdy rodzaj czucia. Co więcej, wierzyła głęboko, że właśnie on, wybitny neurolog John Hughlings Jackson, znajdzie owe powiązania. Miała też nadzieję, że jej choroba, owe dziwne, specyficzne objawy ruchowe, które towarzyszyły jej atakom, przyczyni się do tego, że John znajdzie w mózgu miejsca odpowiadające za ruch i zmysły.

– Weź notatnik, kochany, i zanotuj, jak to było tym razem – poprosiła jak zwykle.

Odkąd się poznali, John opisywał każdy jej napad i analizował jego przebieg. Teraz pokiwał głową i w skupieniu słuchał opowieści żony. Po sześciu latach obserwacji wiedział już, że jej ataki zaczynają się

i przebiegają według dwóch schematów. Według pierwszego, który był znacznie częstszy, drgawki zaczynały się od małego palca w lewej ręce, następnie przechodziły na palec serdeczny, środkowy, wskazujący oraz kciuk i całą rękę. Z dłoni przenosiły się na przedramię, ramię i bark. Na tym mogły się skończyć, ale od około dwóch lat rozszerzały się na całą lewą połowę ciała. Według drugiego schematu, który zdarzał się rzadziej, konwulsje zaczynały się w palcach u stopy, także lewej, od małego do dużego, po chwili obejmowały stopę i podudzie, udo, a następnie lewą połowę ciała. Prawa strona ciała zawsze pozostawała w spoczynku.

– Tym razem konwulsje maszerowały bardzo szybko – powiedziała Elizabeth – i bardzo mnie wycęczyły.

Użyła sformułowania, które zaproponował kiedyś John: „marsz”^[78]. Tak nazwał drgawki rozprzestrzeniające się według ściśle określonego schematu. Na podstawie owych objawów doszedł do kilku interesujących wniosków. Po pierwsze, obie półkule mózgu musiały funkcjonować oddzielnie, skoro drgawki występowały po jednej stronie ciała, nie przemieszczając się na drugą. Po drugie, musiało istnieć miejsce, w którym rozpalało się dziwne ognisko wyładowań. Owo centrum odpowiadało za ruch w lewym palcu ręki. Co więcej, obok tego centrum musiało istnieć drugie, odpowiadające ruchowi palca serdecznego, trzecie uruchamiające drgawki w palcu środkowym i tak dalej, i tak dalej. Tylko bliskość owych ośrodków usprawiedliwiała rozprzestrzenianie się drgawek. I jedynie rozdzielność półkul gwarantowała, że drgawki nie przenikną na prawą stronę mózgowia.

– Czy doszedłeś do nowych wniosków? – zapytała Elizabeth.

Jackson potwierdził.

– Badałem ostatnio mózg epileptyka, który zmarł na gorączkę krwotoczną – powiedział, nieświadomy, że być może żonie przykro słuchać o pośmiertnym badaniu mózgu kogoś, kto cierpiał na podobną chorobę. – Za życia miał ataki bardzo gwałtownych drgawek obejmujących całe ciało. Wyobraź sobie, że w jego czole znalazłem pośrodku guz, który rozsadał mózg i wypychał korę pod czaszką. Kiedy wcześniej go badałem,

początkowo stwierdziłem niedowład kończyn lewych, potem prawych, a wtedy pacjent nie mógł też mówić.

Elizabeth zadrżała, chociaż nie zrozumiała nic z przemowy męża.

– Czy to znaczy, że ja też mam guza? – spytała cichym głosem.

– Absolutnie nie – odpowiedział jej szczerze. – Guz w mózgu daje także inne objawy. Mam na myśli inne niż ataki epileptyczne.

– Jakie? – dociekała, wiedząc, że John bardzo lubi o tym opowiadać.

– Różne paraliże albo kłopoty z mową – wyjaśnił. – Ale nie tylko.

– A na cóż można jeszcze cierpieć? – spytała ze zgrozą. – Paraliże i drgawki to wystarczająco straszne objawy.

– Widzisz, moja droga, mózg znajduje się w czaszce, czyli w zamkniętej przestrzeni – wyjaśniał. – Ma tam tyle miejsca, ile potrzebuje. Jeśli pojawia się guz, to zabiera on miejsce, a tym samym rozpycha mózgowie. Czy rozumiesz?

– Rozumiem. – Pokiwała głową. – To tak, jakbyś chciał do słoika z konfiturami włożyć całą śliwkę.

John spojrzał na żonę uszczęśliwiony.

– Przy zamkniętym słoiku rzecz jasna. Właśnie tak! – wykrzyknął. – Jeśli spróbujemy włożyć mirabelkę, to najwyżej konfitury podejną pod same wieczko, ale jeśli włożymy większe śliwki, to nie ma możliwości, aby część konfitur się nie wylała.

Elizabeth zastanawiała się, czy aby na pewno w jej mózgowiu nie ma guza. John, który jakby czytał jej w myślach, dodał szybko:

– Moja droga Elizabeth, owa śliwka nie tylko naciska na te struktury, obok których się znajduje, ale też powoduje, że pod czaszką robi się nieznośnie mało miejsca. Wtedy, powiadam ci, chorego zaczyna straszliwie boleć głowa, pojawiają się problemy ze wzrokiem i...

– Przecież cię głowa boli i masz problemy ze wzrokiem! – przerwała mu żona, wyraźnie przestraszona.

John machnął ręką.

– Ta moja migrena to zupełnie inna choroba. A bóle głowy u chorego z guzem mają odmienny charakter. Posłuchaj, moja droga. – Złapał żonę za lewą rękę i z zadowoleniem stwierdził, że odwzajemniła ucisk, co oznaczało, że władza w ręce wraca. – Chorzy z guzami mają specyficzne zmiany w oczach. Pamiętasz, jak cię badałem? Jak zaglądałem ci w oczy takim urządzeniem?

Pamiętała. Niemalże zaraz po podróży poślubnej John poprosił ją, aby poddała się owemu badaniu, które chociaż niebolesne, było bardzo nieprzyjemne. Mąż zbliżył dziwne, świecące ostrym światłem urządzenie najpierw do jej jednego oka, a potem do drugiego. Długo coś oglądał i na tej podstawie doszedł do jakichś wniosków, najpewniej dobrych, bo po badaniu był bardzo zadowolony.

– Pamiętam – potwierdziła.

– Nie znalazłem u ciebie żadnych zmian na dnie oka – powiedział. – Stąd wiem, że nie masz guza. A u tego pacjenta, o którym zacząłem ci opowiadać, takie zmiany były, co więcej, pogłębiały się i wiedziałem, że nawet jeśli gorączka krwotoczna czy inny czort go nie zabije, to prędzej czy później zrobi to guz, a mózg chorego trafi w moje ręce.

John uśmiechnął się tak promiennie, jakby pacjent swoim odejściem wyświadczył mu najwyższą przysługę. Elizabeth, która znała męża i kochała bardziej, niż mogła wyrazić, oraz w miłości swojej starała się go zrozumieć, także klasnęła w ręce.

– Jakiż to szczęśliwy traf – powiedziała.

– Prawda? – ucieszył się John i dodał: – Widzę, kochanie, że ci już lepiej, więc pozwól, że pójdę do siebie i opiszę twój atak oraz przeanalizuję dwa przypadki, które dzisiaj zbadałem.



John Hughlings Jackson krążył niespokojnie po swoim szpitalnym gabinecie. Jego dwaj koledzy i najbliżsi przyjaciele, Gowers i Ferrier, stali

spokojnie i czekali, aż poukłada myśli w głowie i zechce podzielić się refleksjami.

– Co tak stoicie? – spytał w końcu. – Trzeba znaleźć kogoś, kto zechce operować te wszystkie przypadki. Jesteśmy świetni w obserwacjach, potwierdzamy je na sekcjach, ale pora wreszcie pomagać ludziom za ich życia.

Ferrier skrzywił się. Nie marzył o niczym innym, tylko o tym, żeby operować mózgowie, przełamać to swoiste tabu, które ciążyło nad chirurgią. Wciąż jednak nie było chętnych, aby użyzyć swojej tkanki mózgowej.

– Pewne nadzieje wiązaliśmy z Listerem, ale sam wiesz... – powiedział Gowers.

Teraz to Jackson się skrzywił.

– To tylko pogłoski – stwierdził.

Chociaż gdyby owe doniesienia okazały się prawdą, należałoby przeanalizować przebieg nieudanej operacji Listera i wyciągnąć wnioski. Ponoć namówiono Listera, aby usunął guz zlokalizowany według jednego z neurologów w okolicy skroniowej. Lister zgodził się przeprowadzić zabieg, ale niesłusznie założył, że guz jest otorbiony i da się go palcem wyłuskać w całości. Wieść niosła, że odsłonił mózgowie, włożył palec i wtedy nastąpiła katastrofa, bo guz nie był lity, tylko miękki. Nie tylko nie udało się go usunąć, lecz także wepchnięto zmienioną tkankę w głąb, a tym samym zniszczono płat skroniowy i doprowadzono do śmierci nieszczęśnika. Jackson mimo to uważał, że nie ma co demonizować mózgu.

– Pogłoski czy nie, nie ma chętnych do przeprowadzania operacji na ludziach – podsumował Ferrier. – Kto jak kto, ale ty, mój drogi, powinienesz to zrozumieć.

– Ja? – zdumiał się Jackson.

– Właśnie ty – potwierdził Gowers. – To ty zgłębiasz idee Demokryta i Platona.

Jackson zaczął się zastanawiać, co też jego koledzy chcą przez to powiedzieć. To prawda, zgadzał się z Demokrytem, że świat i człowiek są jednością składającą się z atomów, a wyższe siły duchowe powstały z najdelikatniejszych z nich i zamieszkały w mózgowiu. Teorię tę powtarzał Platon, który wprost pisał, że ludzka dusza jest nieśmiertelna, ale ma dom mieszczący się w mózgu.

– To nie ma nic do rzeczy. Oprócz duszy w mózgu są obecne centra odpowiedzialne za konkretne funkcje. Doskonale o tym wiecie. Obaj. – John wycelował palec w jednego, a potem w drugiego kolegę. – I skoro już mówimy o osiągnięciach starożytności, to pora, aby eksperymenty, jakie przeprowadzali Herofilos i Erasistratos, nie poszły na marne. Umęczyli tyle zwierząt, poddali je wszelkim badaniom, wiwisekcjom i sekcjom, że doprawdy...

Ferrier spojrział na Gowersa. Wszyscy trzej mężczyźni zgadzali się co do tego, że czas eksperymentów na zwierzętach dobiega końca, a chirurdzy powinni się odważyć na otwarcie ludzkiej czaszki i leczenie mózgu tak samo jak wątroby czy nerek. Tyle że wciąż brakowało odważnych, aby wykonać pierwszy krok, a raczej pierwsze nacięcie. I chociaż opisywano poszczególne przypadki leczenia chirurgicznego chorób mózgu, to w większości sprowadzały się one do usuwania wbitych w mózg złamanych kości po ulicznych bójkach.

– Już rozmawiałem z niejakim Jamesem Crichtonem-Browne’em – przyznał się Ferrier i zanim jego koledzy zdążyli zaprotestować, dodał szybko: – Wiem, kim jest i jaką ma reputację.

– Jest dyrektorem zakładu dla psychicznie chorych w Wakefield. Nie byłoby w tym nic złego, tyle że zrobił ze szpitala cyrk – mruknął Gowers.

– Niezupełnie – bronił go Ferrier. – On po prostu chce być mecenasem nauki i zapewnia wszelkiej maści zwierzęta do eksperymentów. Owszem, pije za dużo, ale któż z nas oparłby się sile dobrej irlandzkiej whisky?

– Mówiliśmy o tym, żeby skończyć ze zwierzętami i zacząć leczyć ludzi – burknął Jackson i w myślach dodał, że on sam doskonale opiera się zarówno whisky, jak i innym używkom. – Czy opisałem zbyt mało

ośrodków w mózgu? Czy nie dość zmian w miejscach, które określaliśmy za życia, potwierdziliśmy u naszych pacjentów po śmierci? Pomyśl, drogi Davidzie, ilu z nich mogliśmy uratować, gdybyśmy uwolnili ich mózgi od cyst, ropni, narośli, krwiałaków i guzów!

– Właśnie dlatego nawiązałem kontakt z Crichtonem-Browne’em – odparł spokojnie Ferrier. – Wiecie, że urządza różne festiwale naukowe, podczas których odbywają się sekcje, wiwisekcje i badania na zwierzętach. Moglibyśmy ćwiczyć operacje na jego zwierzętach doświadczalnych, a potem operować ludzi z pewnością, że się nie mylimy co do lokalizacji zmiany.

– A kto niby miałby to robić? – spytał go Jackson.

– Gerald Yeo – odpowiedział natychmiast Ferrier. – Młody, obiecujący chirurg z King’s College.

– Ten żeglarz? – Jackson nie posiadał się ze zdumienia.

– Johnie. – Gowers chrząknął. – Kazałeś nam znaleźć chirurga, który podejmie się zabiegów na ludzkim mózgu. Szukamy wszędzie. Znaleźliśmy chętnego, dysponujemy miejscem, w którym może oddać się doświadczeniom. Co ci się teraz nie podoba?

Jackson sięgnął po ostatni numer pisma „Lancet”, znalazł artykuł, który wprawdzie już przeczytał, ale chciał jeszcze spokojnie przestudiować w domu, i wyrwał stronę, jak to zwykł czynić w przypadku pism medycznych oraz wszelkiego rodzaju książek. Schował kartkę do kieszeni.

– Mówicie, że ja jestem ekscentryczny – zaczął. – Nie – poprawił sam siebie – nazywacie mnie dziwakiem. Tymczasem wy chcecie, aby żeglarz przeprowadzał operacje na ludzkim mózgu w szpitalu cyrkowca alkoholika.

– Może w tym szaleństwie jest metoda? – podsumował Ferrier.



Elizabeth zdecydowanie wkroczyła do biblioteki, w której od godziny przebywał jej mąż. Znała jego napady niepokoju, podczas których nie mógł sobie znaleźć miejsca i krążył po całym domu, aż nogi zaczynały go boleć. Wiedziała także, że mijają one same i należy jedynie cierpliwie poczekać. Tym razem jednak nie zamierzała czekać. John zachowywał się bardzo głośno, mówił do siebie, a nawet rzucał przedmiotami w ściany. Zwykle starała się zrozumieć jego ekscentryczne zachowanie, ale tym razem miarka się przebrała.

– Co ty wyprawiasz? – spytała groźnym tonem.

Omiotła wzrokiem podłogę. Leżały na niej liczne książki, z których jej mąż wydierał pojedyncze kartki. Zawsze tak robił, kiedy coś zawartego w wierszu, prozie czy artykule medycznym szczególnie go zainteresowało. Na ich półkach stały zatem liczne woluminy, w których straszyły ślady po wydartych stronicach.

– Czytam Szekspira – odparł jej mąż. – Przecież dziś wieczorem idziemy na *Hamleta*.

Elizabeth zacisnęła usta.

– I cóż z tego? – spytała cierpko. – Czyż nie znasz *Hamleta* na tyle, aby nie wydierać stron z tego dramatu i nie rzucać innymi dziełami Szekspira o ściany?

– Szukam fragmentu, w którym Szekspir mówi o „mózgu, kruchym domu duszy”, i nie mogę go znaleźć – poskarżył się John.

Wyglądał przy tym jak nieszczęśliwe dziecko. Elizabeth roześmiała się cicho.

– Nic dziwnego, że nie możesz go znaleźć – odparła i zajęła się uprzątnięciem leżących na dywanie dramatów Szekspira. – To zdanie nie pada w *Hamlecie*, tylko w *Królu Janie*. To król Jan wypowiada te słowa do Henryka.

Sięgnęła do jednej z półek, wyjęła właściwy tom, znalazła stosowny cytat i podała książkę mężowi.

– Moja kochana. – John zamknął Elizabeth w żelaznym uścisku. – Moja jedyna, cudowna i najukochańsza.

– Już dobrze, już dobrze. – Elizabeth wyswobodziła się z jego ramion.

– Tyle tego szukałem. A gdybym nie znalazł... – Zrobił bezradną minę.

– Wiem, wiem – odparła żona. – Wydarłbyś większość stron z naszych książek, a kto wie, czy w złości nie odwołałbyś dzisiejszego wyjścia.

– Nie zrobiłbym ci tej przykrości – zaprotestował John. – Wiem, jak kochasz teatr.

Elizabeth westchnęła. Owszem, kochała teatr i operę. John mógł się spokojnie obyć bez jednego i drugiego. Od czasu do czasu udawało jej się namówić go na wyjście. Na jedną sztukę wybierali się kilka razy z rzędu – z tej przyczyny, że John szybko się nudził i strasznie męczył, jeśli zbyt długo przebywał w jednym pomieszczeniu. Dlatego z premiery wychodzili po pierwszym akcie, tydzień później szli obejrzeć drugi, a trzeciego raczej w ogóle nie oglądali, nawet jeśli przedstawienie bardzo im się podobało. Elizabeth pogodziła się z tym. Podobnie jak z innymi dziwactwami męża, niektórymi ogromnie trudnymi do zniesienia, na przykład z koniecznością podróżowania do celu kilkoma dorożkami, bo jazda dłużej niż kilkanaście minut w ciasnym wnętrzu powozu była dla Johna nie do zniesienia.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – powiedziała, kiedy ostatnia książka została odstawiona na miejsce. – Który akt *Hamleta* dziś obejrzymy?

– Ostatni – zdecydował John. – Chciałbym zobaczyć, jak trup ścieli się gęsto na scenie. Jestem dzisiaj tak zdenerwowany, że tylko to mnie uspokoi.

Elizabeth wzniosła oczy ku niebu.

– Oczywiście – powiedziała. – A potem opowiesz mi, które naczynia krwionośne zostały w sztuce przecięte. I będziesz narzekał, że aktorzy nie umieją wiarygodnie zagrać objawów tego uszkodzenia.

– Moja słodka – odparł John z czułością.



Na widok Johna, Ferrier i Gowers spojrzeli po sobie zaskoczeni. Nie spodziewali się, że neurolog przyjdzie do pracy. Ledwie wczoraj ich przyjaciel pochował ukochaną żonę, która zmarła niespodziewanie w wyniku jednego z ataków epileptycznych. Na pogrzebie Elizabeth John był tak zrozpaczony, że przyjaciele bali się o niego. Trzymał rękę na trumnie, a poproszony o wygłoszenie kilku słów, wykrztusił zachrypniętym głosem: „Przepraszam, Elizabeth. Nie umiałem ci pomóc”. Nie dodał nic o Królestwie Niebieskim ani o powierzeniu żony Bogu. Był ateistą i nie krył się ze swoimi przekonaniem. Liczne ciotki Elizabeth szeptały z oburzeniem, bo oczekiwały słów o ukochanej małżonce, wiernej towarzysze życia i tym podobnych określeń. Zarówno Gowers, jak i Ferrier, którzy znali Johna najdłużej, wiedzieli, że Elizabeth była dla niego wszystkim: żoną, przyjaciółką, towarzyszką i powierniczką, a jej śmierć, zwłaszcza tak niespodziewana, pogrążyła Johna Hughlingsa Jacksona w rozpacz.

– Nie spodziewaliśmy się tu ciebie dziś. – Ferrier wstał, żeby go przywitać.

– Dlaczego? – wymamrotał John. – Czyż przestałem tu pracować? Nie jestem potrzebny pacjentom?

– Jesteś potrzebny i nam, i pacjentom – powiedział łagodnie William Gowers. – Uważamy tylko, że powinieneś odpocząć przez kilka dni.

John wzruszył ramionami. Był blady, na jego twarzy malował się smutek.

– Moja matka zmarła, kiedy miałem rok – odezwał się nieoczekiwanie. – Ojciec był farmerem. Po jej śmierci zaczął pracować ponad siły. Na szczęście byłem najmłodszym dzieckiem i to nie do mnie należało pomaganie ojcu i utrzymywanie farmy. Mogłem się uczyć. Zawsze byłem inny. Ale nie myślałem o medycynie. Pragnąłem zająć się filozofią.

Przyjaciele słuchali z szacunkiem. Wcześniej John nigdy tyle o sobie nie opowiedział. Nagle przerwał i chwycił w ręce numer „British Medical Journal”, znalazł własny artykuł prezentujący przypadek postępującej choroby mózdzku, wyrwał go, złożył starannie i schował do kieszeni.

– Ojciec wybił mi ten pomysł z głowy – kontynuował jak gdyby nigdy nic. – Uważał, że powinienem zająć się medycyną. Zgodziłem się, głównie z szacunku do niego, ale też sądziłem, że z dala od domu będę mógł robić, co chcę.

– Nie znam większego filozofa od ciebie, Johnie. – Gowers położył mi rękę na ramieniu. – Nigdy nie pytałem, co sprawiło, że z takim oddaniem zająłeś się badaniem mózgu.

– Nigdy o tym nie mówiłem – zgodził się Jackson. – Ale miały na to wpływ dwie rzeczy. Po pierwsze, Demokryt, którego zasady, jak wiecie, stosuję w życiu, zajmował się mózgiem, widząc w nim siedlisko duszy, tak więc i ja na mózg zwróciłem uwagę. Po drugie, z braku środków do życia zatrudniłem się jako pomocnik lekarza w klinice chorób ocznych Moorfields. Tam nikt się ze mną nie patyczkował. Dano mi do ręki oftalmoskop i kazano badać chorych. Zajrzałem w oko pierwszemu ślepcowi i zrozumiałem, że oglądam żywą tkankę mózgu. Że zaglądam w ten sposób we wrota duszy. To wszystko zmieniło. Mogłem być kimś więcej niż filozofem.

Tę część opowieści znali. Nie było na świecie większego specjalisty w zakresie badania dna oka od Johna Hughlingsa Jacksona. Umiał on precyzyjnie opisać wszelkie możliwe zmiany będące pokłosiem uszkodzeń siatkówki, jaskry, zwyrodnienia nerwu wzrokowego czy też, co dla niego było najciekawsze, przejawem wzmożonego ciśnienia śródczaszkowego.

– Już kilka dni po ślubie zbadałem dna oczu mojej Elizabeth – podsumował. – I wiem, że przyczyną epilepsji u niej nie był guz. Wyładowania nie były spowodowane przez żadną narośl, cystę czy zmianę, którą można by usunąć. – Westchnął. – Gdyby tak było, sam bym to zrobił. Bóg mi świadkiem, sam otworzyłbym jej czaszkę i usunął przyczynę cierpienia – dokończył cicho. – Ale mogłem tylko studiować jej objawy, zapisywać je, czytać o podobnych symptomach, studiować literaturę dniami i nocami w nadziei, że cokolwiek naprowadzi mnie na trop, odpowie na pytanie, jak jej pomóc.

– Johnie... – zaczął Ferrier wyraźnie poruszony, ale Jackson mu przerwał.

– Miałem ją i swoje badania. Dwie miłości mojego życia. Teraz jej nie ma. Zabił ją skrzep krwi – powiedział gorzko. – Zostało mi tylko studiowanie mózgu.

Ponownie zamilkł. Gowers popatrzył na Ferriera, ale ten pokręcił głową. Nie było sensu przekonywać Johna, żeby wziął urlop, wyjechał gdzieś i odpoczął.

– Mamy tu pewien przypadek, który powinien cię zainteresować – powiedział Gowers. – To czterdziestoletni prawnik z dobrej londyńskiej rodziny. Ma ataki, które polegają na stanach nieobecności. On sam opowiada o snach na jawie, jakich doświadcza podczas ataków, rodzina mówi, że wypowiada wtedy dziwne treści, na poły logiczne, na poły nie.

Zgasłe oczy Johna Hughlingsa Jacksona w jednej chwili wypełniły się blaskiem. Sięgnął po oftalmoskop.

– Gdzie go znajdę? – spytał.



– I co wy o tym sądzicie? – spytał Jackson, stukając palcem w artykuł zamieszczony w „Timesie” z 26 listopada 1884 roku.

– Chodzi ci o to, że zwykła gazeta doniosła o operacji mózgu? Czy że mamy do czynienia z, jak tu piszą, „narodzinami chirurgii mózgu” i „nieopanowanym postępem w dziedzinie nauk medycznych”? A może o to, że to nie my wykonaliśmy ten zabieg? – spytał Gowers.

– Ja też uważam, że operacja powinna się odbyć w naszym szpitalu – mruknął niezadowolony Ferrier.

– Absolutnie nie w tym rzecz! – zdenerwował się Jackson. – Co z wami? Chodzi o sam jej przebieg. Zakrawa to na barbarzyństwo, a ludzie są zachwyceni.

– Założenie było słuszne – tłumaczył Gowers. – Ten farmer, Jeremy Henderson, cierpiał na bóle głowy i lewostronne zaburzenia czucia i ruchu.

Na podstawie badań uznano, że skoro zaburzenia czucia są silniejsze niż ruchowe, a wzrok nie uległ uszkodzeniu, to guz ma nie więcej niż dwa cale. Co do jego lokalizacji nie było żadnego sporu.

– Owszem, prawy górny zakręt płata czołowego – zgodził się Jackson. – Ja tylko nie rozumiem, czemu znów ktoś poczynił założenie, że guz jest lity i da się go usunąć w całości bez żadnego kłopotu.

– Godlee jest siostrzeńcem Listera – wtrącił się Ferrier. – Przeprowadził zabieg w oparach karbolu i z wielką ostrożnością.

– Z jaką ostrożnością, skoro guz pękł z chwilą, kiedy go dotknął? Zamiast poświęcić czas i metodycznie usunąć tkankę chorobową, zaczął grzebać w guzie, jakby dokonywał, proszę ja was, operacji przepukliny pachwinowej.

– Nie wiadomo, czy to niedelikatność spowodowała krwotok – mruknął Ferrier.

– A co innego? – denerwował się Jackson. – W dodatku nie mógł zatamować krwotoku gąbkami i wsadził do mózgu rozżarzony pręt.

Popatrzył na przyjaciół ze zgrozą w oczach.

– Przynajmniej udało mu się powstrzymać krwawienie – powiedział Gowers, ale nie patrzył na Jacksona.

– Uważam to za cud, że pacjent wybudził się z narkozy – zawyrokował John i wydarł gwałtownie stronę z „Timesa”, ale nie włożył jej do kieszeni, tylko zmiął w kulkę i wyrzucił przez okno na ulicę.

– Dowiadywałem się, co z Hendersonem – przyznał się Ferrier. – Ma jedynie paraliż lewego ramienia. Poza tym wszystkie dolegliwości, z którymi przyszedł do Bennetta, czyli paraliż języka, bóle głowy i kłopoty z chodzeniem, minęły.

Jackson uniósł brwi.

– To jest cud, który się nie powtórzy – zawyrokował. – Niech sobie Bennett operuje w Regent’s Park. Niech zatrudnia podobnych do Rickmana Godleego rzeźników.

– Rozmawiałem z Alexandrem Bennettem – powiedział Ferrier. – I Rickmanem Godleem. Żaden z nich nie podejmie się więcej operacji mózgowia. Jeden jest bardziej przestraszony od drugiego.

Jackson pokręcił głową.

– My szukamy kogoś, kto będzie z nami ściśle współpracował, kto połączy w sobie umiejętności chirurga i pasję neurologa, kto będzie się uczył wraz z nami, studiował wraz z nami, dzielił pasję wraz z nami.

– Czyli szukamy twojego alter ego, tyle że sprawnie posługującego się nożem chirurgicznym – podsumował Gowers i popatrzył z triumfem na przyjaciół. – I ja chyba znam kogoś takiego.

– Mianowicie? – spytał Jackson i zaczął krążyć po pokoju, po czym przyjaciele poznali, że John musi natychmiast zmienić otoczenie.

– To Victor Horsley, człowiek o diabelsko zręcznych rękach – wygłosił uroczyście Gowers.

– Jest leworęczny i nie rozróżnia kolorów – odpowiedział natychmiast Jackson.

– To nie ma znaczenia. – Ferrier spiorunował go wzrokiem. – Jest chirurgiem w University College Hospital i dyrektorem Instytutu Browna. Mógłby zostać zatrudniony w National Hospital. A tylko ten ostatni może zapewnić salę operacyjną i pozwolić nam na zabiegi na mózgu.

– On sam chce operować mózg? – spytał Jackson.

– Przygotowuje się do tych zabiegów od lat i ma dość operowania zwierząt. Jest gotów spróbować.

Jackson wydarł kolejną stronę gazety, spojrzął na nią, a następnie podarł na drobne kawałki i rzucił na podłogę.

– Sprowadź go zatem – powiedział i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu.



– To powód, by otworzyć szampana, mój drogi – powiedział stanowczo sir David Ferrier. – Nie codziennie zakłada się nowe pismo medyczne.

– Wiesz, że alkohol prowokuje u mnie napady migreny. – John Hughlings Jackson skrzywił się.

– Nie alkohol, tylko czerwone wino – przypomniał mu trzeci z założycieli pisma medycznego „Brain”, podobnie jak Ferrier obdarowany tytułem szlacheckim, sir James Crichton-Browne. – Czytam twoje prace, mój drogi kolego, podobnie jak ty śledzisz moje doniesienia.

Jackson kiwnął głową i przyjął od przyjaciela kieliszek szampana.

– Za pierwsze pismo medyczne na świecie, które łączy neurologię kliniczną oraz doświadczalną.

– Za nas i za wszystkich, którzy będą w nim publikować. – Jackson uniósł swój kieliszek. – Za przyszłość nauki i mózgu.

ROZDZIAŁ IV

w którym zobaczymy, jak Zosia odnajduje się w małżeństwie i czy jest szczęśliwa u boku Stanisława Gorazdowskiego, a także jaką jest mamą dla małej Grażynki. Ponadto będziemy cały czas towarzyszyć Marii, Klementynie i naturalnie Zosi (która po odchowaniu córeczki wraca do pracy w Szpitalu Ujazdowskim) w ich drodze zawodowej, a także wtedy, kiedy za sprawą Marii ich przyjaźń zostaje wystawiona na próbę. Niestety będziemy świadkami przykrych chwil w życiu Zosi, która straci jednego z najbliższych sobie ludzi.

Witold Zawadowski i Maria Werkenthin stali przy aparacie rentgenowskim w towarzystwie mężczyzny, który wydał się Zosi znajomy.

– Pozwól, Zosieńko – zaprosił ją docent Zawadowski. – To jest inżynier Stanisław Maciąg. Pomaga nam przy zdjęciach warstwowych.

– Spotkaliśmy się przed laty. – Zosia uśmiechnęła się do mężczyzny. – Pierwszego dnia mojej pracy tutaj. Komendant nas sobie przedstawił.

– Pamiętam. Nigdy nie zapominam pięknych kobiet. – Inżynier uklonił się z kurtuazją, po czym uśmiechnął się szelmowsko i zapytał: – Czy pani także jest radiologiem?

– Uchowaj Boże! – Zosia pokręciła energicznie głową. – Ja jestem pediatrą.

Stanisław Maciąg demonstracyjnie odetchnął z ulgą, po czym zrobił śmieszoną minę, wskazał oskarżycielsko palcem najpierw na Witolda Zawadowskiego, a potem na Marię i powiedział:

– To niech pani się za mną ujmie. Próbuję wytłumaczyć tym upartym ludziom, że tylko synchroniczny ruch lampy rentgenowskiej zapewni rzutowanie dwóch punktów w różnych miejscach. A oni na to: „Jak uzyskać ruch synchroniczny?”.

– To jak uzyskać ruch synchroniczny? – niecierpliwiła się Maria, która na przyjęciach opowiadała dowcipy i w teatrze śmiała się do rozpuku ze skeczy Tuwima i Hemara^[79], ale z chwilą kiedy przestępowała próg pracowni rentgenowskiej, stawała się śmiertelnie poważna.

Inżynier podszedł do tablicy, wziął kredę i zaczął rysować.

– Oto dwa punkty, które rzutują się w różnych miejscach. – Kreda zabawnie trzeszczała mu pod palcami. – Nazwijmy je punktami A i B. Punkt C, ten, o który nam chodzi, musi znajdować się w płaszczyźnie obrotu lampy, wtedy będzie rzutowany zawsze w jedno miejsce – powiedział i zerkając na Zosię, dodał tytułem wyjaśnienia: – W typowym zdjęciu wszystkie badane struktury nakładają się na jedną płaszczyznę.

– Chodzi o efekt trójwymiarowy? – Zosia wreszcie zrozumiała.

– Właśnie, pani doktor. – Inżynier Maciąg uśmiechnął się. – A kto wymyśli coś takiego, może liczyć na...

– Nagrodę Nobla? – Zosia popatrzyła znacząco na Marię.

Według niej Maria była potencjalną laureatką owego prestiżowego wyróżnienia.

Inżynier się roześmiał.

– Stawiałbym raczej na patent. I mnóstwo pieniędzy – powiedział i mrugnął do zebranych.

– Po pana minie widzę, że ma pan jakąś koncepcję – odezwała się zniecierpliwiona Maria.

Stanisław Maciąg wyglądał jak kot, który właśnie zlizął śmietankę.

– Mam – oznajmił.

– Tak? – zapytała Maria. – To niechże nam pan powie.

Inżynier ponownie wziął do ręki kredę, ale tym razem nie rysował, tylko obracał ją w palcach, aż zaczęła się kruszyć i sypać na podłogę. Zosia odruchowo podała inżynierowi chustkę, aby wytarł palce.

– Państwo wiedzą – w końcu rozpoczął – że jestem dyrektorem fabryki zapalników.

Zosia o tym nie wiedziała, bo i skąd? Zrobiło to na niej wielkie wrażenie.

– Chce pan wprawiać w ruch lampę przy pomocy zapalnika? – zapytała.

Inżynier ponownie się roześmiał.

– Nie do końca, droga pani doktor – powiedział. – Nie chcielibyśmy strzelać do ludzi, którzy chcą nam jedynie pokazać wnętrze swojego ciała. Wyjaśnię związek. W zapalniku jest około dwóch gramów materiału wybuchowego, pobudzanego znacznie mniejszą ilością materiału, który nazywamy inicjującym. Mamy tutaj ruch i wybuch. W skrócie rzecz ujmując.

– Ale gdyby lampę potraktować jako zapalnik, tylko bez materiału wybuchowego, to można ją wprawić w ruch za pomocą takowego? – spytała Zosia.

Inżynier z kurtuazją skinął do niej głową.

– Zapalnik można uruchomić mechanicznie, elektrycznie, akustycznie, optycznie oraz drogą radiową.

– A lampę jak by pan uruchomił? – zapytał docent Zawadowski.

– A lampę najlepiej uruchomić mechanicznie? – spytała w tej samej chwili Maria.

– Myślę, że najprościej byłoby uruchomić ją elektrycznie – powiedział inżynier. – Wtedy upieklibyśmy dwie pieczenie na jednym ogniu. Można byłoby to zrobić z pewnej odległości oraz w wybranej przez nas chwili.

– Tylko jak określić taką chwilę? – dociekała Maria.

– To jest największa trudność – przyznał inżynier Maciąg. – Proszę mi pozwolić się nad tym zastanowić. Dokonam także obliczeń i kiedy następnym razem będę w Warszawie, przedstawię konkretne propozycje.

Maria kilkakrotnie pokiwała głową. Po jej minie Zosia poznała, że najchętniej zamknęłaby w szpitalu sympatycznego inżyniera, karmiła i dbała o niego, aż zbudowałby upragnioną maszynę.

– Nie wiem, co byśmy bez pana zrobili – powiedział tymczasem docent Zawadowski. – Przenośny aparat rentgenowski sprawdza się po prostu idealnie.

– Podczas każdej operacji, która wymaga kontroli masy kostnej, pana imię wymawiane jest z nabożną czcią – dodała doktor Maria.

– A to akurat zasługa mojej żony – stwierdził skromnie i widząc pełne zdumienia miny zebranych, rzekł: – Proszę się nie dziwić, ale taka jest prawda. Jeśli państwo mają jeszcze chwilę, wyjaśnię.

– Koniecznie – odparła Maria. Zawsze uważała, że proces myślowy, który prowadzi do stworzenia metody badawczej, jest równie ważny jak same badania.

Inżynier wycierał przez chwilę ubielone kredą palce podaną przez Zosię chusteczką.

– Moja fabryka otrzymała nietypowe zamówienie: zlecono nam wykonanie konstrukcji w kształcie skrzydeł motyla, na których planowano rozpiąć jedwab. Całość miała służyć jakiejś pannie na balu. Otóż zainteresowały mnie dwie sprawy – opowiadał. – Pierwsza: cóż to za oryginalna panna. Druga: jak wykonać taką konstrukcję, aby była stabilna, ale co ważniejsze, na tyle lekka, żeby nie utrudniała poruszania się, a tym bardziej tańca.

– I wtedy wymyślił pan, jak skonstruować przenośną lampę rentgenowską? – spytała Maria i wykrzyknęła: – Genialne!

– I poznał pan tę pannę? – zainteresowała się w tym samym momencie Zosia.

– Tak – odpowiedział inżynier Marii, po czym zwrócił się do Zosi: – Owszem, poznałem ową pannę, zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, a następnie poślubiłem.

– Jakie to romantyczne – powiedziała Zosia. – Miłość w służbie medycyny.

– Wspaniałe – dodała Maria. – Poruszające się skrzydła kostiumu balowego jako inspiracja do stworzenia przenośnej konstrukcji technicznej.

Witold Zawadowski zaczął kasłać, co odwróciło chwilowo uwagę zebranych od pozbawionych emocji wywodów Marii.

– Ja się już pożegnam. – Stanisław Maciąg skłonił się, po czym nieoczekiwanie zwrócił się do Zosi: – Gdyby pani doktor zechciała mi poświęcić odrobinę czasu, byłbym bardzo wdzięczny, bo mam pewną sprawę związaną z pani specjalizacją.

– W czym mogę panu pomóc? – spytała, kiedy wyszli z Zakładu Radiologii i skierowali się w stronę pawilonów, gdzie mieścił się Oddział Położnictwa i Ginekologii.

– Moje pytanie dotyczy witamin i ich stosowania u dzieci – odpowiedział inżynier Maciąg.

– O, to temat mi bliski, z różnych powodów – oznajmiła Zosia. – Zajmowałam się tym zagadnieniem od strony klinicznej, a mój mąż jest farmakologiem i pracował z samym Kazimierzem Funkiem w tutejszym Instytucie Higieny.

Stanisław Maciąg i Zosia zgodzili się, że to skandal, że Eijkman^[80] i Hopkins^[81] sprzątnęli Kazimierzowi Funkowi sprzed nosa Nagrodę Nobla, a samego Funka, prawowitego odkrywcę witamin, wymieniono jedynie w laudacji. Zosia nie omieszkała jeszcze dodać, z równym oburzeniem, że rok później, w 1930, Karl Landsteiner^[82] otrzymał Nagrodę Nobla za odkrycie grup krwi, a profesora Ludwika Hirszfelda, który opisał ich dziedziczenie – mało tego: nadał im nazwy A, B, AB i 0, które przyjęto na całym świecie już w 1928 roku, dwa lata przed Noblem dla Austriaka – pominięto.

– Zgadzam się z panią, że nie ma sprawiedliwości na świecie – westchnął inżynier.

– Bardzo proszę – powiedziała Zosia, zapraszając mężczyznę do swojego gabinetu. – Tu możemy spokojnie porozmawiać na interesujące pana tematy.

Inżynier od razu przeszedł do rzeczy.

– Otóż mam trzyletnią córeczkę, Grażynkę^[83], która jest dzieckiem wyjątkowo delikatnym, ze skłonnością do infekcji górnych dróg

oddechowych – powiedział. – Zastanawiam się, czy podawanie jej witamin zmniejszyłoby ową skłonność.

– Moja córeczka także ma na imię Grażyna! – wykrzyknęła Zosia. – Imię odziedziczyła po mojej mentorce, doktor Grażynie Ungerowej!

– No widzi pani – odparł inżynier z uśmiechem. – Trafiłem pod właściwy adres.

Córeczka Zosi i Stanisława urodziła się dziewięć miesięcy po ich ślubie. Była dzieckiem zdrowym, spokojnym i niezwykle bystrym. Zosia czuła się w ciąży bardzo dobrze, miała siły i energii za dwoje i pracowałyby do samego rozwiązania, gdyby Stach i Honorka nie uprosili jej, żeby ostatni miesiąc spędziła na relaksujących spacerach i wysypiała się „na zapas”. Zosia, owszem, na spacery chodziła, ale już na spanie szkoda jej było czasu, a „na zapas” czytała pisma naukowe, bo chciała zaraz po powrocie do pracy zdać egzamin specjalizacyjny z kardiologii dziecięcej. Stach prosił, żeby się z tym nie spieszyła. Honorka, która chociaż nie miała dzieci, swoje wiedziała i twierdziła, że kiedy jedno się odchowa, to zaraz przychodzi na świat drugie, a nawet trzecie. Zosia ignorowała takie gadanie – zamierzała zająć się dzieckiem, całkowicie mu się poświęcić, ale po roku wrócić do pracy i dalej praktykować pediatrię. Tak też uczyniła: szybko zdała egzamin z kardiologii i zaczęła uczyć się chirurgii dziecięcej pod okiem życzliwego jej pułkownika Szareckiego.

– Co do meritum – odezwała się Zosia, uśmiechając się do inżyniera Maciąga. – Brak witamin powoduje pewne konkretne objawy oraz choroby. Podawanie ich służy wyrównywaniu niedoborów. Nie powstały jednak żadne prace, które analizowałyby ich wpływ na zapobieganie chorobom u dzieci.

– Czy jest zatem coś, co ma potwierdzony wpływ? – spytał inżynier.

– Odpowiednia dieta – stwierdziła Zosia. – Zmiany klimatu. Krótko mówiąc: dobre życie.

– Rozumiem. – Stanisław Maciąg pokiwał głową. – Wyjeżdżamy z żoną nad morze oraz w góry przynajmniej raz do roku. Mieszkamy w Warszawie,

ale planujemy powrót w Świętokrzyskie, ponieważ sądzimy, że okoliczne lasy są lepsze dla dziecka niż duże miasto.

– Bardzo słusznie – stwierdziła Zosia.

– A dieta? – dopytywał inżynier.

– Czerwone mięso jest lepsze dla dziecka niż białe. Ryby morskie mają korzystniejszy wpływ na funkcjonowanie organizmu od rzecznych, a ciemne pieczywo jest zdrowsze niż biały chleb. Ze słodczy najlepsza zaś jest czekolada – wyrecytowała Zosia i mimowolnie przełknęła ślinę.

– Rodzina mojej żony też tak twierdzi. – Inżynier Maciąg pogłaskał z zadumą podbródek. – Zawsze mnie to zdumiewało, że jej siostry raczą nas ciemnym chlebem i nazywają to działaniem prozdrowotnym.

– Pierwszą witaminę, nazwaną B₁, Kazimierz Funk odkrył w otrębach ryżowych – oznajmiła Zosia.

– Czytałem o tym – odparł inżynier. – No dobrze, zatem będę raczył córeczkę czekoladą. I ciemnym chlebem.

W tej chwili za ścianą rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, a potem jeszcze jeden i kolejny. Ponieważ biedny inżynier wyglądał, jakby miał zemdleć, Zosia pospiesznie wyjaśniła:

– Jesteśmy na oddziale położniczym. Krzyczą rodzące kobiety. Nic złego się nie dzieje.

– Nic złego? – Inżynier złapał się za serce. – Przecież to straszne...

– Dlatego mężczyźni nie rodzą dzieci – odpowiedziała poważnie Zosia, ale w jej oczach zamigotały wesołe iskierki. – A ojców nie wpuszczamy na salę porodową.

– Ja bym tego nie przetrzymał. – Inżynier łapał powietrze głębokimi haustami.

– Żona jakoś przetrzymała. – Zosia śmiała się już otwarcie.

– Wie pani, kiedy moja żona rodziła w Szpitalu Dzieciątka Jezus, wystąpiły komplikacje – wyznał nieoczekiwanie. – Miała zakrzepy w nogach i lekarze nie wiedzieli, jak jej pomóc.

Zosia spoważniała. Na krótko wróciła wspomnieniami do straszego porodu Klementyny, który przyjaciółka nieomal przypłaciła życiem. Przypomniała sobie także własny poród, który trwał niecałe dwie godziny. Grażynka urodziła się szybko, a Zosia nawet nie jęknęła. Nigdy w życiu, u żadnej pacjentki, nawet wieloródki, nie widziała tak lekkiego rozwiązania.

– Przyznam się – ciągnął inżynier Maciąg – że kiedy bezradnie rozkładali ręce, wyciągnąłem pistolet. Powiedziałem, że ich wszystkich powystrzelam.

Zosia na chwilę przestała oddychać. Zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby na sali porodowej albo przy operacji, ktoś celował do niej z pistoletu.

– W końcu sprowadziłem lekarza ze Szwajcarii – opowiadał dalej mężczyzna, nie bacząc na lekko przerażoną minę Zosi. – I pomógł. Podał żonie terpentynę.

Zosia pokiwała głową.

– Szkoda, że nie przyszedł pan do nas – powiedziała. – W takich przypadkach stosujemy aspirynę.

– Aspirynę? – zdumiał się inżynier. – Ten lek na gorączkę? Na hiszpankę?

– Owszem – potwierdziła. – Lek obniża gorączkę, ale działa także przeciw ogniskom zapalnym i zakrzepom. Jest skuteczniejszy niż terpentyna i zupełnie nieszkodliwy^[84].

Stanisław Maciąg patrzył na Zosię z uwagą.

– Faktycznie, szkoda – powiedział z żalem.

– Panie inżynierze – odezwała się Zosia, kiedy już się zegnali. – Jest pan dobroczyńcą tego szpitala. Proszę pamiętać, że pan i cała pana rodzina jesteście tu najmilej widziani. Chętnie przebadamy córeczkę, skoro jest słabego zdrowia.

– Niewykluczone, że skorzystam – odparł. – Nie śmiałybym nadużywać państwa uprzejmości.

Zosia wyszła razem z nim, aby go odprowadzić. Po drodze natknęli się na grupę sierot doktora Korczaka, prowadzonych do pracowni

rentgenowskiej przez Stefanię Wilczyńską, „panią Stefę”, ich opiekunkę, jedyną matkę, jaką miały.

– Nie nadużywa pan – zapewniła inżyniera Zosia. – Poza tym jako hallerczyk ma pan prawo do opieki medycznej tutaj. To szpital wojskowy i komendant szczególnie dba o żołnierzy Rzeczypospolitej. My także jesteśmy wdzięczni za ocalenie z rąk bolszewików. Całe szczęście, że to już za nami.

Stanisław Maciąg ukłonił się. Widać było, że słowa Zosi sprawiły mu przyjemność.

– Bolszewikom trzeba zawsze patrzeć na ręce – stwierdził na odchodnym. – Nigdy nie wolno uznać, że z ich strony nie grozi Polsce żadne niebezpieczeństwo. Poza tym – dodał – martwi mnie Adolf Hitler^[85], który w styczniu objął w Niemczech władzę. On to dopiero może przynieść Polsce klęskę.



– Maria będzie? – spytała niecierpliwie Klementyna.

– Ona przecież pracuje w Szpitalu Wolskim – odparła Zosia.

– No ale słyszałam, że ciągle przychodzi do tutejszej pracowni.

– Do tutejszej pracowni... – Zosia skrzywiła się, ale nic nie dodała. – Nie ma potrzeby, aby na nią czekać – stwierdziła stanowczo, po czym zwróciła się do małego Karola, który ciekawie przyglądał się wiszącemu na ścianie plakatowi przedstawiającemu serce wraz z unaczynieniem oraz układem bodźco-przewodzącym. – Karolku, chodź do cioci.

Dziecko podeszło do Zosi i uśmiechnęło się.

– Ile masz lat? – spytała.

– Ciocia wie – odpowiedział zdumiony Karolek i spojrzał na matkę.

– Wiem, ale chciałabym wiedzieć, czy ty też wiesz.

Chłopczyk rozcapierzył palce jednej ręki i znów popatrzył na Klementynę, która kiwnęła głową.

– Bardzo ładnie – pochwaliła chłopca Zosia.

Kiedy Klementyna powiedziała jej o dziwnych ruchach rączki synka, które zauważyła kilka miesięcy wcześniej, Zosia bardzo się zaniepokoiła. Karolek urodził się przecież z niedotlenieniem. Był reanimowany i szybko odzyskał przytomność, a potem rozwijał się zupełnie prawidłowo, ale trudny poród mógł mieć późne następstwa. Mózgowie jest tworem niezwykle delikatnym, zwłaszcza u nowo narodzonego dziecka, i łatwo można je uszkodzić.

– Porozmawiamy chwilę, dobrze? – spytała małego, a ten pokiwał główką.

Zosia spojrzała na Klementynę, a potem ponownie zwróciła się do dziecka:

– Czy sądzisz, Karolku, że możemy poprosić mamę, aby poszła na spacer? Taki piękny dzień.

I tym razem dziecko potwierdziło kiwnięciem głowy. Mniej zgodna była Klementyna, której twarz wyrażała powątpiewanie, a potem wyraźny protest. Zosia spojrzała przyjaciółce głęboko w oczy i powiedziała:

– Chciałabym porozmawiać z Karolkiem sam na sam, naturalnie, jeśli pozwolisz. Karolek wyraża zgodę.

Najpewniej Klementyna przypomniała sobie badania dzieci, nie tylko tych od Korczaka. Nieraz po wyjściu rodziców lekarki dowiadywały się więcej niż od paplających dorosłych, często bagatelizujących objawy, sugerujących diagnozy albo wmawiających im, że dziecku nic nie jest. Opór matki natychmiast stopniał. Uśmiechnęła się do synka, pocałowała go w czoło i opuściła pomieszczenie.

– Powiedz: jaka jest teraz pora roku? – zapytała Zosia, kiedy Klementyna wyszła.

Karol natychmiast się rozgadał.

– Wiosna – odpowiedział. – Kwiatki kwitną, a ja lubię, jak pachną.

– Bardzo dobrze – pochwaliła go Zosia. – Mamy późną wiosnę. A jaki zawód wykonuje twoja mama?

– Leczy dzieci – odpowiedział mały.

– A tata?

– Pracuje w fabryce i zrobił dla mnie samochód – odparł z dumą Karol.

– Wspaniale – oznajmiła Zosia. – Wiesz, też bym chciała, żeby ktoś zrobił dla mnie samochód.

– Poproś tatę, to ci zrobi – zasugerował rezolutnie mały.

– Poproszę – odrzekła Zosia i zmieniła temat. – Czy wiesz, czemu mama przyprowadziła cię na badania?

Dziecko pokiwało głową, potem wyciągnęło do góry lewą rękę.

– Mam chorą rączkę – powiedziało.

Zosia poprosiła Karola, aby ścisnął jej palce, następnie podała małemu kartkę i poleciła, aby kolejno ścisnął ją kciukiem oraz palcem wskazującym, potem kciukiem i palcem środkowym, kciukiem i palcem serdecznym, a w końcu kciukiem i małym paluszkami. Następnie zbadała prawą rękę i przystąpiła do oceny mięśni przedramienia, ramienia oraz tułowia. Kiedy wyjęła młotek neurologiczny, mały nie przestraszył się, tylko zaczął się śmiać, więc Zosia, zanim zbadała jego odruchy, pozwoliła mu opukać swoje własne kolana i tłumaczyła, czemu „odskakują”. Z większym oporem odniósł się do badania czucia powierzchniowego, które wiązało się z koniecznością co prawda delikatnego, ale jednak dotyknięcia skóry dziecka igłą. Kiedy Karolek upewnił się, że igła tylko „leciutko ukłuje”, zgodził się i na ten test. Zosia badała kolejne partie skóry dziecka, zabawiając Karolka żartami, aby nie nudził się i dobrze współpracował. Wreszcie oznajmiła, że musi podrapać go po podeszwie stopy, na co on zaprotestował.

– Mam łachotki – stwierdził. – Co to, to nie.

– Ale to jest bardzo ważne. Proszę cię, żebyś mi pozwolił – powiedziała Zosia poważnym tonem.

– Ważne, żeby ciocia robiła mi łachotki? – protestowało dziecko.

– W ten sposób będę w stanie ocenić, czy nerwy, które biegną od twojej główki aż do paluszków, prawidłowo pracują – oświadczyła. – To naprawdę bardzo ważne. Podrapię cię tylko raz, i to po boku stópki.

Dziecko namyślało się chwilę, po czym pokiwało głową i zdjęło skarpetki. Zosia nie pomagała mu przy tych czynnościach, obserwowała za to uważnie ruch jego paluszków, ponieważ w ten sposób mogła ocenić ich sprawność, tak zwaną praksję.

– No widzisz, to nie było takie nieprzyjemne – powiedziała, kiedy już zbadała odruch Babińskiego^[86], jeden z kluczowych objawów uszkodzenia dróg korowych opisany przez francuskiego fizjologa polskiego pochodzenia w 1896 roku.

– Ale dasz mi czekoladkę? – upewnił się Karol.

– Oczywiście – potwierdziła Zosia. – Ale jak skończymy. Zrobimy ci jeszcze badanie serduszka, prześwietlenie klatki piersiowej i poświecimy lampką w oczka. To nie będzie bolało.

– Dobrze – westchnął chłopiec z rezygnacją. – Tylko dlatego, że rączka mi się rusza?

Zosia pokiwała głową. Właśnie te dziwne ruchy były powodem do niepokoju i przyczyną całego zamieszania.

– A teraz opowiedz mi o tych ruchach. Czy ty je czujesz?

– To nie boli – odpowiedział Karol.

– Pamiętasz je? – indagowała.

Chłopiec kiwał głową. Klementyna zaobserwowała, że mały nie ma wtedy zaburzeń świadomości.

– A możesz mi pokazać? – poprosiła Zosia.

Karolek kilka razy zgiął mały palec lewej ręki, potem to samo zrobił z palcem serdecznym, następnie z pozostałymi. Na końcu pomachał ręką, jakby zęgnął kogoś odjeżdżającego pociągiem.

– To tak wygląda? – spytała Zosia.

Karol zastanowił się chwilę, potem spróbował jeszcze raz powtórzyć sekwencję ruchową. Tym razem przytrzymał paluszki drugą rączką, więc

ruchy były bardziej skoordynowane. Podobnie ruch przedramienia nie przypominał już machania, tylko bardziej zginanie i prostowanie.

– Bardzo ładnie. Bardzo – pochwaliła dziecko.

Po wszystkich badaniach bona Witchelów zabrała małego do kawiarni na ciastka z kremem, a Zosia wraz z Krystyną Ossowską^[87], Heleną Hołówkową i naturalnie Klementyną zamknęły się w pokoju lekarskim.

– Czy to guz? – wydusiła z siebie Klementyna.

Zosia postanowiła, że nie będzie Klementyny pocieszać ani jej okłamywać.

– Nie można wykluczyć, ale nie wygląda to na guz – odpowiedziała za nią Helena Hołówkowa.

A Krystyna Ossowska, która dołączyła do zespołu szpitala z zamiarem specjalizowania się w pediatrii, ale pod wpływem Marii Werkenthin, zaczęła się uczyć radiologii, dodała:

– Wykonaliśmy prześwietlenie czaszki i nic nie wskazuje na rozpychanie kości.

– Co więcej – dodała Zosia – dzielny Karol dał sobie zajrzeć na dno oka i tam także nie widzę żadnych cech tarczy zastoinowej, ostrej czy też przewlekłej. Naczynia są najzupełniej prawidłowe. Po obu stronach.

– Nic? – Klementyna przełknęła ślinę.

– Nic takiego, co wskazywałoby na guz – uściśliła Zosia. – Natomiast pamiętamy – tu spojrzała na Helenę – w jak dramatycznym stanie był Karol, kiedy się urodził. Możliwe, że niedotlenienie...

– Ale rozwija się zupełnie prawidłowo! – krzyknęła Klementyna. – Mój Boże, mój Boże...

– I jest ponad wiek inteligentny. Wywnioskowałam to nie tylko ze znajomości z twoim synem, którego znam już przecież pięć lat, lecz także na podstawie zadań, jakie mu dziś poleciłam wykonać. Nie zanotowałam żadnych, podkreślam, żadnych zaburzeń – zapewniła przyjaciółkę Zosia.

– Spokojnie – powiedziała Helena, widząc, że Klementynie zbiera się na płacz. – Jesteśmy tu po to, aby wyjaśnić, skąd biorą się te ruchy.

– To chyba nie jest też następstwo przewlekłego niedotlenienia – kontynuowała rozważania Zosia. – W badaniu neurologicznym nie stwierdziłam żadnych patologicznych objawów.

– Incydenty nie są wtórne wobec jakichkolwiek zaburzeń metabolicznych? – spytała Krystyna Ossowska, która kiedyś interesowała się problemami metabolicznymi oraz hormonalnymi u dzieci.

– Wykonaliśmy wszystkie możliwe badania – powiedziała Zosia – i wyniki, przynajmniej te, które dotychczas uzyskaliśmy, są książkowe.

– Profesor Bujwid posiał krew i mocz, ale nic nie wskazuje na proces zapalny. Sugerował wprawdzie, aby pobrać płyn mózgowo-rdzeniowy do badania, ale...

– Ja też uważam, że nie ma takiej potrzeby – powiedziała Zosia. – Nie ma sensu sprawiać dziecku bólu. Nic nie wskazuje na świeży ani tym bardziej przebyty proces zapalny mózgowia.

– Może się czymś denerwuje? – zasugerowała Helena.

Klementyna prychnęła.

– Czym miałyby się niby denerwować? – odpowiedziała. – Co najwyżej zabraniamy mu zjedzenia całej tabliczki czekolady za jednym razem.

– Uważasz, że to choroba tików? – spytała Zosia koleżankę.

– Może właśnie tak? – zastanawiała się na głos Krystyna.

Zosia pokręciła głową.

– Te ruchy nie mają charakteru tików – powiedziała. – Nie pojawiają się często, Karol nie może ich powstrzymać. Nie są to ruchy dystoniczne ani ciągłe, spoczynkowe. Powiedziałabym, że przypominają drgawki.

– Izolowane – potwierdziła Krystyna.

– Mówisz o epilepsji? – Klementyna gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Mówię, że te ruchy najbardziej przypominają izolowane drgawki, a nie że Karol ma epilepsję – oznajmiła stanowczo Zosia.

– Ale on nigdy nie stracił przytomności, drgawki nigdy nie objęły całego ciała – przekonywała Klementyna. – Ja wiem, jak wygląda epilepsja

u dzieci.

– No jak? – spytała Helena Hołówkowa. – Sama wiesz, że epilepsja to nie tylko konwulsje czy utrata przytomności.

– Wiem – zgodziła się Klementyna. – Pytałam go o dziwne zapachy, wrażenia słuchowe, wzrokowe. Nic takiego nie wystąpiło. Nigdy się nie zamyślił.. Ani u mnie, ani w rodzinie Kornela nie było przypadków epilepsji. Ani żadnych chorób psychicznych.

„Moim zdaniem to epilepsja, tylko drażnienie z jakiegoś powodu jest izolowane i nie przenosi się na całe mózgowie”, pomyślała Zosia, ale na głos powiedziała tylko:

– Odbynam teraz staż na neurologii. Porozmawiam o tym z profesorem Pieńkowskim^[88].

– Mój Boże, mój Boże – powtarzała Klementyna. – Przecież ja nie mogę mieć więcej dzieci.

– Klementynko – powiedziała Helena i przytuliła koleżankę. – Musisz być dobrej myśli. Obserwować chłopca.

– A jeśli choroba się pogłębi? – pytała Klementyna. – Jeśli Karol będzie sparaliżowany?

– Myśl rozsądnie! – wykrzyknęła Zosia. – Nie mamy żadnych podstaw, aby podejrzewać, że dojdzie do paraliżu!

– Mój Boże – powiedziała Klementyna. – Co ja mam teraz zrobić? Czy mam odejść z pracy?

Pracowała obecnie jako pediatra w Otwocku, w sanatorium dla dzieci z gruźlicą. Witchelowie mieszkali nieopodal w okazałej willi, którą Kornel wybudował dla rodziny. Klementyna nigdy nie wyrażała obawy, że zarazi się gruźlicą.

– Nie sędzę, żeby te ruchy miały podłoże zakaźne – odpowiedziała Zosia. – Już o tym zresztą rozmawialiśmy.

Tego popołudnia, kiedy Klementyna w końcu pojechała do domu, Zosia długo dyskutowała z Heleną Hołówkową i obie doszły do wniosku, że zanim w sprawę wmiesza się któryś z neurologów, Zosia powinna poszukać

w bibliotece artykułów na temat podobnych ruchów, zarówno u dzieci, jak i u dorosłych.

– Jaka szkoda, że wujek Napoleon nie dokończył swoich badań i nie stworzył metody badania pracy ludzkiego mózgu. Byłaby jak znalazł dla Karolka... – powiedziała do męża Zosia przed zaśnięciem.

– A może byśmy tak do kina poszli, co, Zosiu? – spytał nieoczekiwanie Stach.

– Ja ci tu opowiadam o nieszczęściu, jakie dotyka synka Klementyny, a ty o kinie mówisz? – Zosia usiadła na łóżku.

Stanisław popatrzył na nią błagalnym wzrokiem.

– Zosieńko, jutro jest niedziela, nie masz dyżuru w szpitalu, a biblioteka jest nieczynna. Karolowi nie zaszkodzi, jeśli pójdziemy do kina.

– A na jaki film? – spytała ostrożnie. – Pójdę na wszystko z Zulą.

Kochała kino, teatr i rewię, z aktorek najbardziej lubiła oczywiście Zulę Pogorzelską, i była gotowa biegać od Qui Pro Quo do Czarnego Kota, żeby po raz tysięczny obejrzeć ukochaną artystkę.

– Widziałas wszystkie filmy z Zulą, nawet po kilka razy, a na nowy trzeba poczekać do grudnia. – Stanisław odgarnął jej niesforny lok z czoła.

– Nie widziałam jeszcze *Romea i Julci*, ale są problemy z dystrybucją i trzeba chwilowo poczekać – westchnęła.

– Przypominam, że istnieją inne aktorki niż Zula... – powiedział łagodnie Stanisław.

– Nie wiem, czy pójdę na *Zabawkę* – powiedziała wyniośle, nie dodając, że *Sto metrów miłości* widziała nie kilka, a kilkanaście razy.

Stanisław roześmiał się cicho. Przypomniał sobie, jak jego żona wraz z Klementyną i Marią Werkenthin zebrały się kilka lat temu i dyskutowały zawzięcie o Eugeniuszu Bodo, który rzekomo skrzywdził Zulę, rozkochując ją w sobie, a następnie porzucając na oczach całej Warszawy. Wszystkie trzy obiecały sobie wieczną niechęć do Bodo i uznały, że nie będą oglądały jego popisów ani w kabarecie, ani w kinie. Stanisław potem

stwierdził, że zachowywały się zupełnie jak pensjonarki, które wypisują w sztambuchach „Józia kocha Gienka”, a nie jak poważne lekarki.

– Właśnie wróciłyście z Marią z Paryża, gdzie wygłosiliście odczyt na Sorbonie! – powiedział, śmiejąc się do rozpuku. – A gotowe jesteście uszyć lalkę tego nieszczęśnika i wbijać w nią szpilki!

Maria naturalnie zareagowała śmiechem, a potem przyznała Stanisławowi rację, za to Zosia śmiertelnie obraziła się na męża. Stanisław zmitygował się, bo przypomniał sobie perypetie miłosne żony i nie chciał za nic w świecie do tego wracać. Obie strony przeprosiły się nawzajem i sprawa odeszła w zapomnienie – aż do tego wieczora.

– No ale Zula przebaczyła Bodo i jest teraz szczęśliwą żoną Konrada Toma – powiedział łagodnie.

– Ja mu nie przebaczyłam – uniosła się Zosia.

Stanisław uznał, że jej zachowanie jest urocze, dziecinne i słodkie, ale zrobił bardzo poważną minę.

– Kochanie, nie wiesz, jak było...

Chwycił jej podbródek palcem i uniosł nieznacznie, a potem pocałował czerwone wargi. Pomyślał przy tym, jakie ma szczęście, że taki brzydka jak on mógł ożenić się z tak cudowną, piękną i mądrą istotą jak Zosia. Ona zaś odwzajemniła pocałunek i pomyślała z kolei, że doprawdy nie rozumie, czemu Klementyna kiedyś określiła jej męża mianem brzydala. Może nie jest tak przystojny jak amant filmowy, ale ma urok, wdzięk, piękne oczy i figurę, której mógłby mu pozazdrościć gruby Bodo.

– No dobrze – zgodziła się w końcu. – Możemy pójść do kina. Na jaki film?

– *Romeo i Julcia* – oznajmił uroczyście.

– A! – krzyknęła z radości Zosia, a potem zaczęła żartobliwie bić piąstkami w ramiona męża. – Ty oszuście. Przecież to film z Zulą! I z Dymszą! Bilety zostały wyprzedane.

– Cóż, porozmawiałem z dyrektorem kina i oto udało mi się zdobyć dwa bilety na jutro. Chyba że nie chcesz iść, bo...

– Stachu! – przerwała mu Zosia. – Oczywiście, że chcę. Co więcej – uniosła palec – pragnę ci podziękować za ten pomysł już dziś.

Stanisław chciał powiedzieć, że nie dlatego kupił bilety, ale widząc pełną wdzięku figurę żony, po prostu zgasił światło.



Zosia mijiała oddział pediatryczny w drodze do biblioteki, gdzie zamierzała poszukać artykułów na temat rodzajów ataków epileptycznych, kiedy zauważyła grupkę dzieci stojących w pobliżu pawilonu, w którym mieściło się położnictwo. Przez chwilę podziwiała ich pomysłowość. Na trawie pod oknem stał chłopiec, na jego ramionach siedziała dziewczynka i zaglądała ciekawie przez okno. W pewnym momencie zeszła z ramion chłopca, a po niej wgramoliła się następna. Inni chętni do podglądania przepychali się w kolejce. Dzieci były tak zajęte obserwowaniem tego, co się działo w sali, że nie usłyszały, kiedy Zosia do nich podeszła.

– Ładnie to tak podglądać? – spytała, po czym chwyciła jedną z podglądaczek za kołnierzyk sukienki w obawie, że mała jej ucieknie.

Dzieci jednak wcale nie próbowały uciekać, przynajmniej nie od razu, tylko wpatrywały się w Zosię z beczelnym wyrazem twarzy, zwłaszcza dziewczynka, która jako pierwsza siedziała na ramionach chłopca. On sam także stał ze skrzyżowanymi ramionami, przybrawszy minę mówiącą „I co mi zrobisz?”.

– Chcieliśmy zobaczyć – powiedziała ładna blondyneczka.

– Chcieliście zobaczyć poród? – spytała Zosia, która nie wiedziała, czy powinna się gniewać na dzieci czy raczej się roześmiać.

– Chcieliśmy zobaczyć wszystko – powiedział chłopiec, po czym spojrzał na Zosię spode łba. – A paniusia to co? Policmajsterka?

– No – potwierdziła Zosia. – Z obyczajówki. Pilnuję, żeby nie doszło tu do żadnego niemoralnego zdarzenia.

Dzieci stały z niepewnymi minami. Te mniejsze wycofywały się rakiem, wreszcie na placu boju pozostali tylko butny chłopiec i dziewczynka, która właśnie zeszła mu z ramion.

– I moim zdaniem – kontynuowała Zosia z najpoważniejszą miną na świecie – do takiego zdarzenia właśnie doszło.

– Do niczego nie doszło, bo baba sapie od godziny i nie może...

– Cicho, Alina^[89] – uciszył dziewczynkę chłopiec.

Zosia z trudem powstrzymała się od śmiechu. Była pełna podziwu dla odwagi tej pary.

– Jeśli chcecie zobaczyć kawałek ciała ludzkiego, to... – zaczęła.

– Mój ojciec pracuje w prosektorium, ale mnie to nie interesuje – oznajmił chłopiec poważnie.

– Porody bardziej cię interesują? – zapytała Zosia.

W końcu nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Dziewczynka nazwana Aliną pociągnęła chłopca za rękaw swetra.

– Chodź, Kazik, nic tu dziś po nas.

– Idźcie do kina, jeśli chcecie zobaczyć coś pięknego! – krzyknęła za dziećmi Zosia.

– A co pięknego w kinie? – spytała Alina.

– Miłość, Alinko, miłość! – Zosia pomachała im i po chwilowym zastanowieniu zamiast do biblioteki udała się do Zofii Garlickiej, na położnictwo, aby powiedzieć koleżance, że położne mają podczas porodów towarzystwo za oknem.



W bibliotece panowało poruszenie.

– Pani doktor, dziś zamkniemy bibliotekę wcześniej – powiedziała pani Eufemia Pakoszyńska, bibliotekarka.

– A to czemu? – zdumiała się Zosia.

– Marszałek^[90] przyjeżdża na badania oka – wyszeptała kobieta.

– Pawilon oftalmiczny jest daleko stąd – odparła ze złością Zosia.

– Tak, pani doktor, ale podczas badania naszego marszałka odbędzie się tutaj zebranie generałów. Sam doktor Wieniawa-Długoszowski^[91] tak zarządził.

Zosia westchnęła. Czasem zapominała, że Szpital Ujazdowski jest placówką wojskową i takie zebrania są na porządku dziennym.

– Dlaczego dziś, kiedy chciałam wyszukać publikacje na temat incydentów napadowych... – jęknęła.

Bibliotekarka zapisała sobie na kartce interesujące Zosię zagadnienie i zamknęła jej drzwi przed nosem, poleciwszy, aby przysłała po południu, być może coś się dla niej znajdzie. Zosia wyszła na podwórze akurat wtedy, kiedy marszałek Piłsudski w otoczeniu wojskowych szedł powolnym krokiem w stronę oddziału oftalmicznego. Pokręciła głową. Doceniała wkład Piłsudskiego w odparcie bolszewików, ale po tym, jak w 1926 roku doszło do przewrotu, bała się kolejnej wojny.

– Ciekawe, czy przyszedł po prostu na badanie, czy też coś mu wpadło do oka – powiedziała.

– Ma przywieźć swoje córki na badania – odrzekł Romuald Ficowski.

– Zawiadomiono nas. Trzynasto- i piętnastolatkę.

– Właściwie to się dziwię, że jeszcze ich nie przywiózł – burknęła Zosia.

– Dba tylko o własne zdrowie.

– Słyszałam, że on nie znosi lekarzy – powiedziała Joasia Rychter.

Zosia także o tym słyszała. Maria mówiła jej, że Józef Piłsudski ufa jedynie swoim lekarzom wojskowym i rzadko godzi się na konsultacje w szpitalu. Jedyne wyjątek czyni dla docenta Zawadowskiego, którego bardzo ceni i lubi.

– Szedł z nim Wieniawa – przypomniała sobie. – Widziałam. Jeśli on nie potrafi pomóc, musi chodzić o coś poważnego.

– Wieniawa – odezwał się Iwanicki, po czym wyprężył się na baczność i zaczął recytować poważnym tonem: – Od pasa w górę aspiryna, od pasa w dół rycyna.

– Wieniawę spotkałam kilka razy w Qui Pro Quo – wyznała Zosia. – Był w mundurze.

– Mówią, że teatr interesuje go bardziej niż medycyna. – Iwanicki zachichotał. – Ponoć sam pisze teksty kabaretowe. Czy ktoś taki może być lekarzem?

– A jednak marszałek go ceni – stwierdził Ficowski i odwrócił się w stronę kolegi. – Boy-Żeleński^[92] też jest lekarzem, a nie ma takiego drugiego pióra jak on.

– W każdym razie marszałek wyglądał nie najlepiej – podsumowała Zosia.

– Mój Boże – odezwał się zaniepokojony Goldschmidt. – Mam nadzieję, że wydobrzeje. Tylko on może nas obronić przed kolejną wojną.

– Tylko on może ją wywołać – powiedziała cicho Zosia, dziwiąc się, że Goldschmidt jest takim gorliwym piłsudczykiem.

Sama nie umiała wyjaśnić swojej niechęci do marszałka, chociaż nie była zwolenniczką Stronnictwa Narodowego jak Stanisław. Endecja była antybrytyjska i antyniemiecka, a zwolennicy Piłsudskiego za głównego wroga Polski uważali Rosję. Gdyby ktoś spytał Zosię, ku jakiej frakcji się skłania, odpowiedziałyby, że wybór między Rosją a Niemcami przypomina wybór między dżumą a cholera albo, jak w przypadku kuzyna Karolka Wereszczaki, między gruźlicą a kiłą. Notabene Karolek wrócił do Warszawy z berlińskiej kuracji całkowicie odmieniony – próżno go było szukać na przyjęciach i rautach. Ku zdumieniu Zosi spoważniał i ożenił się. Urodziły mu się bliźnięta, co uszczęśliwiło Wereszczaków i pośrednio także Reszczyńskich.

– Niech Bóg ma marszałka w swojej opiece – powiedział Goldschmidt i dodał, że próbuje się dowiedzieć od doktora Wacka^[93], ordynatora

oddziału ocznego, czy Piłsudski był badany tylko okulistyczne, czy też pod kątem innych dolegliwości.

– Najprościej spytać Zawadowskiego – powiedziała Zosia. – On będzie wiedział, jakie badania mu robiono i co z nich wyniknęło. Marszałek zawsze do niego zachodzi. Uwielbia jego wschodni zaśpiew.

– I ceni fachowość. – Goldschmidt spiorunował Zosię wzrokiem i wyszedł z gabinetu.

– Czemu tak lubi Zawadowskiego? – spytała Joasia Rychter, kiedy kolega wyszedł.

– Byłam kiedyś świadkiem, jak Zawadowski tłumaczył marszałkowi działanie lampy rentgenowskiej. Piłsudski siedział i wpatrywał się w naszego Witolda, jakby ten odmawiał modlitwę za ojczyznę, a za nim stało na baczność trzech generałów. Kiedy Zawadowski skończył, Piłsudski uścisnął mu dłonie i powiedział, że nic z jego słów nie zrozumiał, ale słuchał jego wschodniego zaśpiewu z najwyższą przyjemnością.

Marszałek odjechał dopiero późnym popołudniem. Zosia dowiedziała się, że w bibliotece odbyło się nie zebranie wojskowe, ale konsylium, w którym udział wzięli między innymi profesorowie Zygmunt Radliński^[94] i Odo Bujwid, a także Witold Zawadowski.

– Dowiedziałem się w naszym laboratorium, że problem leży w wątrobie marszałka – relacjonował dyskretnie Ficowski, kiedy w pokoju zostały tylko Zosia i Joasia Rychter.

– Pewnie to choroba zakaźna, skoro prosili Bujwida o konsultację – zauważyła doktor Rychter, a Zosia zaproponowała, bo profesor Bujwid był oddanym przyjacielem Józefa Piłsudskiego.

– Radowickiego też poprosili – zauważyła Zosia. – Widziałam, jak tam wchodził. A on jest specjalistą chorób płuc.

– Radowickiego poprosili pewnie ze względu na mariaż ze znaną aktorką. – Ficowski roześmiał się, ale zaraz spoważniał: – Założę się, że Wieniawa jest jej wielbicielem.

– Sama jestem jej wielbicielką, odkąd zobaczyłam ją na scenie z Zulą i Lodą Halamą – stwierdziła Zosia. – Była świetna.

– Wracając do meritum – przerwała im Joasia. – Skoro poprosili Bujwida, to znaczy, że marszałek cierpi na jakąś chorobę zakaźną. Wątroby.

– To naturalne, że poprosili kierownika laboratorium na konsylium... – zaczęła Zosia, ale Ficowski jej przerwał:

– Ponoć marszałek ma żółtaczkę i stąd te wszystkie badania. Ale cii... To tajne przez poufne.

– No przecież wiadomo – odparła Zosia.

– Żeby go tylko wyleczyli – westchnęła Joasia.

– Jeśli przyczyną jego dolegliwości jest wątroba, to będzie trudno – powątpiewał Ficowski. – Postaram się dowiedzieć więcej.

Zosia pomyślała, że kiedyś po prostu spytałaby Marię, a ta nie tylko powiedziałaaby jej, jakie badania wykonano, ale też postawiłaby wstępną diagnozę i omówiła rokowanie na podstawie znanej sobie literatury. Zosi bardzo, ale to bardzo brakowało przyjaciółki.



Klementyna siedziała w fotelu i płakała cicho.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Zosia.

– Ale dlaczego Karol? – łkała przyjaciółka.

– Sądzę, że to skutek trudnego porodu. – Zosia starała się jak najdelikatniej przekazywać świeżo nabyte wiadomości na temat objawów, która nękały chłopca.

Klementyna, na co dzień znakomita lekarka, w obliczu choroby własnego dziecka była po prostu matką.

– Klementynko... – Zosia złapała ją za rękę. – Spróbuj, chociaż spróbuj popatrzeć na to z innej strony.

– Z jakiej strony? – spytała Klementyna, po czym chwyciła przyniesiony przez Zosię artykuł na temat napadów padaczkowych napisany przez Johna Hughlingsa Jacksona i zaczęła nim machać. – Przecież jego żona na to umarła!

– Nie tak głośno – poprosiła ją Zosia, patrząc z przerażeniem, jak przyjaciółka wywija bezcennym numerem pisma „Brain”.

– Mój świat właśnie się skończył. – Klementyna uderzyła dłonią w artykuł. – Za sprawą tego, co ten Jackson tu napisał. Co ja teraz zrobię?

– Klementyno, jestem tu po to... – zaczęła ze współczuciem, ale przyjaciółka znów jej przerwała:

– Po to, aby mi powiedzieć, że moje dziecko cierpi na straszną chorobę! Straszną! Po to, aby złamać mi serce!

– Ależ skąd! – zaprotestowała Zosia.

– Nie próbuj mnie przekonywać, że wszystko jest w porządku!

Zosia zebrała się w sobie, po czym wstała i zwróciła się ostro do Klementyny:

– Bardzo ci serdecznie gratuluję. Naprawdę bardzo! Wychodzę.

I skierowała się do wyjścia. Klementyna natychmiast przestała płakać.

– Ale dokąd idziesz?! Dlaczego wychodzisz?!

– Dlatego że nie mam o czym z tobą rozmawiać – stwierdziła Zosia.

Stały naprzeciwko siebie, każda wściekła z innego powodu.

– Nigdzie nie pójdziesz! – wrzasnęła Klementyna, zupełnie jak wtedy, kiedy była w ciąży. – Masz ze mną porozmawiać!

– Owszem pójdę, bo rozmowa z tobą nie ma żadnego sensu – upierała się Zosia. – Cały czas słyszę tylko: co ja zrobię, jak ja cierpię. Ja, ja i jeszcze raz ja. Nie będę tego słuchać!

Klementynie odjęło mowę. Służąca, która niosła w ręku tacę z herbatą, zawróciła do kuchni, słysząc krzyki w korytarzu.

– Co ty mówisz?... – powiedziała wreszcie przyjaciółka.

– Mówię, że przejawiasz najwyższy egoizm, a mnie się to nie podoba – stwierdziła Zosia. – Oczekuję od ciebie fachowego podejścia, a nie hysterii.

– Ale... – zaczęła Klementyna, ale widząc, że Zosia trzyma rękę na klamce i naprawdę zamierza wyjść, złożyła dłonie jak do modlitwy i poprosiła: – Zostań. Przepraszam cię. Zostań.

Zosia zastanowiła się chwilę, po czym kiwnęła głową i powiedziała:

– Jeśli zaczniesz histeryzować, wyjdę.

Kiedy ponownie znalazły się w pokoju, służąca przyniosła herbatę i ciasteczka, a następnie zniknęła, starannie zamknąwszy za sobą drzwi, Zosia odezwała się:

– Przede wszystkim chciałam uściślić, co dolega Karolowi. To drgawki o charakterze padaczkowym. Podobne opisał u swojej żony Jackson. Nie mam co do tego wątpliwości.

– A więc Karol jest epileptykiem. – Klementyna przełknęła ślinę.

– Tak, Klementyno. Twój syn choruje na epilepsję – powiedziała Zosia. – Wykluczaliśmy guz mózgu, Karol nie cierpiał na choroby zapalne, w waszych rodzinach epilepsja nie występowała. Etiologia zatem jest związana z niedotlenieniem okołoporodowym.

Klementyna znów pokiwała głową.

– Mamy rozpoznanie i etiologię, zostaje nam rokowanie – ciągnęła Zosia. – Niestety jest niepewne.

– Żona Jacksona miała tylko jeden napad, podczas którego drgawki objęły całe ciało – oznajmiła Klementyna.

– Dopiero w trzeciej dekadzie życia – zauważyła Zosia. – Ile napadów miał Karol?

– Pięć – odpowiedziała Klementyna. – Każdy praktycznie taki sam.

– Pięć napadów na pięć lat. To jeden rocznie. Kiedy był ostatni?

Pytała, chociaż dobrze znała odpowiedź. Chciała w ten sposób pokazać przyjaciółce, że choroba jej dziecka nie musi prowadzić do paraliżu ani do śmierci.

- Miesiąc temu.
- A poprzedni?
- Dziesięć miesięcy wcześniej.
- Sama widzisz.

Klementyna zwiesiła głowę, a Zosia poczuła wyrzuty sumienia, że może nazbyt ostro potraktowała zbolełą przyjaciółkę.

- Trzeba wdrożyć leczenie – powiedziała.
- Bromek potasu – stwierdziła Klementyna. – Moja mama bierze go na nerwy.
- Nie, nie bromek potasu – zaprotestowała Zosia. – Są inne możliwości.
- Jakie? – spytała Klementyna. – Chyba nie masz na myśli opisywanego przez Browna-Séquarda^[95] zamykania krtani azotanem srebra?
- Oczywiście, że nie – obruszyła się Zosia. – Nie jestem zwolenniczką leczenia inwazyjnego, jeśli napady są łagodne.

Zosia opowiedziała Klementynie, że po przeczytaniu w piśmie „Brain” serii artykułów Jacksona na temat padaczki oraz leczenia operacyjnego, poszła do profesora Stefana Pieńkowskiego, który był najbardziej doświadczonym w leczeniu epilepsji lekarzem w ich zespole. To z nim rozmawiała na temat możliwych metod leczenia.

- To logiczne, że leczenie operacyjne może przynieść korzyści tylko wtedy, gdy przyczyną jest guz lub kilak – zgodziła się Klementyna. – A w przypadku Karolka ryzyko przeważa nad korzyściami.

„Wreszcie mówi jak rozsądny człowiek i lekarz”, ucieszyła się Zosia w duchu.

- Zobacz. – Wyjęła z teczki inny artykuł. – Tu masz obserwację Alfreda Hauptmanna^[96] na temat fenobarbitalu w leczeniu padaczki.
- To lek nasenny i uspokajający – powiedziała Klementyna.
- Tak. Doktor Hauptmann podawał go na oddziale psychiatrii właśnie z takich wskazań. Byli tam także epileptycy z wieloma napadami. Hauptmann zauważył, że po podaniu tego leku nie dręczą ich ataki ani

w nocy, ani następnego dnia. Stosował zatem lek przewlekłe, z dużym sukcesem.

– Sądzisz, że fenobarbital byłby dobry dla Karola?

– Amerykanin Bernarr Macfadden^[97] – kontynuowała Zosia – jest zwolennikiem teorii, że epilepsję, zwłaszcza u dzieci, należy leczyć głodem.

Podawała Klementynie kolejny artykuł, który przyjaciółka zaczęła czytać.

– Przeanalizuj to wszystko – zasugerowała. – Tylko ostrożnie obchodź się z tymi materiałami, w przeciwnym wypadku pani Eufemia mnie zabije.

– Dobrze – odpowiadała posłusznie przyjaciółka. – Przeczytam, zrobię notatki, pójdę do tutejszej biblioteki.

– I jeszcze jedno... – powiedziała Zosia.

– Tak? – zapytała z nadzieją Klementyna.

– Trafiłam także na niemieckie prace Bergera^[98] – oznajmiła. – Udało mu się usystematyzować i opisać to, nad czym pracował Napoleon Cybulski, a potem Adolf Beck^[99].

– Mówisz o zapisie pracy mózgowia?

Zosia pokiwała głową.

– Tak. Berger robi badania na ludziach. Nieinwazyjne – uspokoiła Klementynę. – Nie wiem tylko, czy takie badanie miałoby sens w przypadku Karolka.

Wstała i objęła przyjaciółkę.

– Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam – powiedziała.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi... – łkała Klementyna. – Jestem ci bardzo wdzięczna.



– Wielka rewia *Zjazd gwiazd*? I Zula Pogorzelska? – dopytywała męża Zosia. – Moja kochana Zula?

– „To Zula, to Zula, w futerko się otula” – zanucił Stanisław, po czym pocałował Zosię w policzek. – I Loda Halama, i Adolf Dymsha...

– Gdzie? – pytała bez tchu. – W *Qui Pro Quo*?

– W Panoramic, przy Karowej osiemnaście – odpowiedział jej mąż. – Pójdziemy tam wcześniej, wypijemy szampana w kawiarni, a potem oddamy się w ręce muzy... Jak jej tam? Tej, która zajmowała się teatrem? Melpomena?

– Nie, nie. Melpomena patronuje tragedii i śpiewowi. Chodzi ci o Talię, muzę komedii.

– Jak uważasz, moja droga. Dla mnie ty jesteś muzą wszystkiego...

Zosia zaczęła klaskać w ręce.

– Kochany, to absolutnie cudownie. Absolutnie cudownie!

Uwielbiała Zulę, odkąd po raz pierwszy zobaczyła ją na scenie w *Qui Pro Quo*.

– Powiem ci więcej – odparł Stanisław. – Nie idziemy tam tylko we dwoje. Razem z nami na rewię wybierają się Klementyna z małżonkiem oraz... – Zawiesił głos.

– Oraz? – dopytała Zosia.

– Z całą inicjatywą wyszła najbardziej rozrywkowa z twoich przyjaciółek, czyli Maria.

Dobry nastrój nagle uleciał.

– Maria? – spytała Zosia z niedowierzaniem.

Stanisław uniósł ręce w obronnym geście.

– Zanim coś powiesz, pozwól, że przedstawię ci swoją wersję wydarzeń – zaczął. – Maria zadzwoniła do mnie i zaprosiła nas na przedstawienie. Zgodziłem się, bo wiem, że ona bardzo chciałaby się z wami pogodzić.

– Nie pokłóciłyśmy się. Ja po prostu nie mogę...

– Wiem, co między wami zaszło, ale uważam, że mylisz się w swojej ocenie – przerwał jej mąż.

– I ty to mówisz? – Zosia zastygła w zdumieniu. – A gdyby to chodziło o mnie?

– Ale nie chodzi o ciebie – odpowiedział. – To po pierwsze. Po drugie: osądzasz tylko ją. Nie usłyszałem od ciebie złego słowa na temat Witolda Zawadowskiego, a on też jest tutaj istotną *dramatis personae*.

Zosia już miała odpowiedzieć, ale zrezygnowała, bo uświadomiła sobie, że jej mąż ma rację. Nikt nie osądzał Zawadowskiego. Wszyscy skupiali się na Marii.

– Dobrze – oznajmiła w końcu. – Pójdziemy, ale najpierw porozumiem się z Klementyną. Nie wiem, jak ona się na to zapatruje.

– Rozmawiałem z Kornelem. On i Klementyna myślą tak samo jak ja.

Zosia chwyciła za słuchawkę i natychmiast zadzwoniła do przyjaciółki. Kiedy Klementyna odebrała, Zosia rzuciła bez żadnych wstępów:

– Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

– Przemyślałam wszystko. Po prostu – stwierdziła przyjaciółka. – I uznałam, że nie mam prawa jej osądzać.

– Miałam nadzieję, że ona się przynajmniej postara – mówiła Zosia.

– Starła się – padło z drugiej strony. – Zapracowuje się nieomal na śmierć, żeby się z nim nie widywać. Działa w towarzystwach naukowych, założyła Polskie Towarzystwo Badań Naukowych nad Gruźlicą, jest zastępcą prezesa Warszawskiego Koła Radiologów, sekretarzem redakcji „Polskiego Przeglądu Radiologicznego”. Szkoli lekarzy ftyzjatrów i radiologów...

– Przestań – przerwała jej Zosia. – Przecież wiem, że w kółko publikuje, pisze podręczniki i jeździ po całym świecie, by wygłaszać referaty. Co to ma do rzeczy?

– Moim zdaniem ma – odparowała Klementyna. – Widocznie nawet to wszystko nie jest w stanie powstrzymać jej przed sekretnymi spotkaniami

z Zawadowskim. Skoro wciąż do niego wraca, widocznie nie umie inaczej. A my jesteśmy od wspierania jej, a nie od osądzania.

– Zgoda. W sobotę oglądamy Zulę – poddała się Zosia.

– I cieszymy się, że znów jesteśmy razem – odpowiedziała jej Klementyna i odłożyła słuchawkę, zanim Zosia zdążyła zapytać o zdrowie męża i dzieci.



Kiedy przekroczyli próg Panoramy, natknęli się na Bogumiła Radowickiego. Zosia i Klementyna przedstawiły swoich mężów.

– Muszę się przyznać, że mam wielką treść, ponieważ moja żona także występuje w rewii – oznajmił kolega.

– Och, rewia ma wspaniałe recenzje! – Klementyna klasnęła w dłonie. – Bogumile, twoja żona na pewno jest jej ozdobą.

– Obok Zuli i Lody Halamy – stwierdził z zadowoleniem doktor Radowicki, po czym uklonił się i odszedł na bok, aby przywitać się z innym znajomym.

– Zobacz. – Klementyna trąciła Zosię w bok i wskazała szczupłego, niewysokiego mężczyznę, któremu towarzyszyła śliczna kobieta. – To Julian Tuwim.

– Och! – zdołała wykrztusić Zosia, która uwielbiała jego twórczość.

– Chodźmy, Maria zapewne na nas czeka – powiedział Stach, co sprawiło, że zarówno Zosia, jak i Klementyna oderwały wzrok od jednego z najpopularniejszych poetów w Polsce i poszły szukać Marii Werkenthin.

Maria wyglądała prześlicznie w czarnej wieczorowej sukni. Na widok Zosi zrobiła tak niepewną, a jednocześnie wyrażającą winę i nadzieję minę, że jeśli Zosia czuła jakikolwiek opór przed spotkaniem, to teraz on natychmiast zelżał.

– Wyglądasz zjawiskowo, Zosieńko – powiedziała Maria serdecznie. – Macierzyństwo bardzo ci służy.

– Ty też pięknie wyglądasz! – odpowiedziała jej Zosia i natychmiast poczuła się jak dawniej, kiedy w przerwie od pracy siadywały razem z przyjaciółką na ławce przed biblioteką, zamawiały u Solisa gotowe dania na wynos i bez końca dyskutowały o ciekawych przypadkach pediatrycznych i radiologicznych, a także o najnowszej modzie, sukienkach, które sobie szyły u modystek, i bucikach od Hiszpańskiego.

– Tak się cieszę, że cię widzę! – przywitała się z Marią Klementyna, która także wyglądała cudownie w burgundowej sukni, z satynowymi rękawiczkami za łokcie i w prześlicznym kapelusiku na niesfornych jak zwykle lokach.

– Napijemy się szampana. – Stanisław skinął na kelnera.

– Proszę o program rewii – uśmiechnęła się do męża Zosia, ponieważ chciała mieć pamiątkę po tym cudownym wieczorze.

– Mario, opowiedz, jak było w Paryżu – powiedziała Klementyna.

– Och! – westchnęła Maria. – Spotkałam się z Marią Skłodowską. Bardzo źle wygląda. Naprawdę bardzo źle. Ledwo mówi, ma silne drżenie rąk. Proponowałam, żeby przyjechała do Polski.

– Już my byśmy ją zdiagnozowały – stwierdziła Klementyna z zapalem. – Całościowo.

– To jej właśnie powiedziałam. Wzbraniała się, przekonywała, że jest po prostu zmęczona. Podobno wybiera się do sanatorium. Jej córka mówiła, że lekarze podejrzewają gruźlicę. Prosiłam ją o pokazanie zdjęć, ale nie miałam okazji ich zobaczyć.

– Marysiu, bój się Boga – rzekła Zosia z przerażeniem. – Na oficjalnym przyjęciu chciałaś omawiać zły stan zdrowia Marii Skłodowskiej?

– A co w tym dziwnego? – zdumiała się Maria. – Jestem specjalistką. Żadna zmiana gruźlicza mi nie umknie. A jeśli to nie jest zmiana gruźlicza, to na pewno...

– Myślisz, że w Paryżu nie przeprowadza się takiej diagnostyki? – spytała Klementyna.

– Nie wnikałam już w szczegóły po tym, jak dano mi do zrozumienia, że nie powinnam się interesować zdrowiem Marii Skłodowskiej – uspokoiła Klementynę Maria. – Ale nie w tym rzecz, jaką mają diagnostykę. Nawet najlepszy i najnowocześniejszy aparat nic nie zdziała, jeśli analizuje się pojedyncze badania.

– Jak to? – Zosia nie rozumiała.

– Otóż pojęłam to dopiero w Szpitalu Wolskim podczas kompletowania archiwum – wyjaśniła koleżankom Maria. – Chodziłam po innych oddziałach, wypytywałam kolegów, jaką ostatecznie postawili diagnozę, co się stało z chorym, jak zareagował na leczenie i tak dalej. Wszyscy mieli mnie dosyć, zwłaszcza że ciągle komuś przeszkadzałam w pracy. Postanowiłam zatem usystematyzować podejście do diagnostyki pacjenta.

– W jaki sposób? – drążyła Klementyna, przy czym zignorowała pełne dezaprobaty spojrzenie swojego męża, który wciskał jej w rękę szampana oraz program rewii, kupiony za siedemdziesiąt groszy.

– Zorganizowałam spotkania lekarzy pracujących w klinikach z nami, radiologami. Każdy oddział ma swoje ustalone dni i godziny prześwietleń radiologicznych. W oznaczonym terminie zjawiają się u nas wszyscy asystenci z ordynatorem na czele i wspólnie omawiamy wyniki badań oraz stan kliniczny pacjenta. Uważam – dodała szeptem, bo do sali wszedł właśnie konferansjer – że droga do trafnej diagnozy prowadzi od łóżka chorego, przez zakłady diagnostyczne, do konsylium lekarskiego, a kiedy nie uda się uratować pacjenta, to dalej do stołu sekcyjnego.

– My też chodzimy na sekcje naszych pacjentów – zapewniła ją Klementyna.

– Ja chodzę na wszystkie sekcje. Oglądam także badania histopatologiczne pobranych tkanek. Chcę po prostu lepiej zrozumieć istotę choroby i jej związek z obrazowaniem radiologicznym.

– Jesteś niesamowita... – wyszeptała z przejęciem Zosia.

– Tylko dociekliwa – sprostowała Maria, ale widać było, że komplement sprawił jej przyjemność.

– Za cudowny wieczór... – Kornel wzniosł kieliszek.

Maria, Zosia i Klementyna zrobiły to samo.

– Panie i panowie! – zagrział konferansjer.

– Jestem taka podekscytowana! – zdążyła jeszcze powiedzieć Zosia, zanim przedstawienie się zaczęło.

– Proszę cię, kochanie – uciszył ją mąż, chociaż nie musiał tego robić, bo kiedy tylko na scenę weszła Zula, Zosia zamilkła.

Wpatrywała się w ulubioną artystkę z podziwem graniczącym z uwielbieniem. Zula wyglądała jak zwykle prześlicznie, tyle że od początku coś było z jej tańcem nie tak. Poruszała się bez dawnej gracji, a jej uśmiech, zwykle promienny, zdawał się sztucznie przyklejony do twarzy. „Może miała przerwę w występach i zapomniała kroków”, pomyślała Zosia, kiedy artystka pomyliła się w stosunkowo nietrudnym układzie. Girlsy, które z nią tańczyły, zasłoniły Zulę, żeby mogła odnaleźć zagubiony rytm. Po sali przeszedł szmer, Maria ścisnęła rękę Zosi, a Klementyna spojrzała na nie, robiąc dziwną minę. Zosia miała nadzieję, że to tylko chwilowe kłopoty i że Zula zaraz odzyska dawny animusz, ale tak się nie stało. Przy charlestonie, który zawsze był jej popisowym numerem, Zula już nawet nie próbowała się uśmiechać. Choreografię znacznie uproszczono w stosunku do tego, co Zosia, Maria i Klementyna pamiętały z poprzednich lat. Mimo to Zula wypadła jak początkująca tancerka, a jej partner bezskutecznie starał się zatuszować błędy, które popełniała na scenie.

– Ona ma kłopoty z prawą nogą – wyszeptała do ucha Zosi Maria, kiedy Zula wróciła na scenę, żeby zaśpiewać *Pannę Manię*.

„Moim zdaniem z obiema... Całe szczęście, że już nie tańczy, tylko śpiewa”, chciała odpowiedzieć Zosia, ale wtedy jedno z kolan Zuli ugięło się. Tancerka przez chwilę bezskutecznie próbowała utrzymać równowagę, ale poddała się i przewróciła na scenie. Muzyka nagle zamilkła, a na widowni rozległy się pojedyncze gwizdy. Zdumionej Zosi przyszło do głowy, że to niesprawiedliwe, że coś tak przykrego spotyka Zulę. „No dalej,

Zula, wstawaj”, ponaglała ją w myślach i zaczęła klaskać z całej siły, żeby dodać artystce otuchy. Maria i Klementyna, a potem także inni dołączyli do niej. Wkrótce widzowie skandowali: „Zula! Zula!”, ona jednak wciąż leżała na deskach, patrząc na widownię obojętnym wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Wiem, że nie powinnam dziś występować, ale wyprzedano wszystkie bilety. Co miałam zrobić?”. Nagle podbiegła do niej Loda Halama i próbowała pomóc jej wstać, ale Zula pokręciła przecząco głową. Zosi wydawało się, że słyszy jej słowa: „Nie mogę...”. Pierwsza zerwała się z krzesła Maria, ale zaraz to samo zrobiły Klementyna i Zosia.

– Jestem lekarką! – mówiły jedna przez drugą, gdy weszły na scenę i pochyliły się nad leżącą Zulą.

– Czy panią coś boli? – pytała Maria.

– Czy to pierwszy raz? – chciała wiedzieć Klementyna.

– Czy odczuwa pani osłabienie którejś z nóg czy też obu... – zaczęła Zosia, ale zaraz na scenie znalazł się sam Andrzej Włast^[100], dyrektor rewii i współautor przebojów, i kazał kobietom odsunąć się od pani Pogorzelskiej.

– Przedstawienie będzie kontynuowane! – powiedział do zgromadzonej widowni niespokojnie obserwującej rozwój sytuacji. – Prosimy ponownie zająć miejsca!

– Ale... – zaprotestowała Maria Werkenthin.

– Bardzo proszę – powiedziała Zula do trzech przyjaciółek i przy pomocy męża, Konrada Toma, zwanego Tim-Tomem, zeszła ze sceny.

Przedstawienie wznowiono i do końca nie było już żadnych niespodzianek, tyle że ani Zosia, ani Klementyna, a w szczególności Maria nie zapamiętały nic z tego, co zostało zaprezentowane na scenie.



– To pani? – Zosia aż się zachłysnęła na widok Zuli Pogorzelskiej, która siedziała u boku męża na korytarzu Oddziału Neurologii i Psychiatrii.

Zula uniosła głowę i spojrzała na Zosię.

– Poznaje panią – powiedziała wolno. – To pani weszła tamtego wieczoru na scenę.

Nieszczęsny występ Zuli miał miejsce miesiąc wcześniej, ale nie było dnia, żeby Zosia nie zastanawiała się, jaka była przyczyna spadku formy wielkiej artystki i co się z nią teraz dzieje.

– To ja... – zaczęła Zosia. – I moje koleżanki. Najmocniej przepraszam, ale byłyśmy wtedy bardzo przejęte. Uwielbiamy panią...

Zanim Zula zdążyła odpowiedzieć, drzwi obok się otworzyły i stanął w nich psychiatra doktor Jan Nelken^[101], zastępca ordynatora oddziału. Zosia ogromnie go lubiła i ceniła.

– Zapraszam panią do gabinetu – powiedział. Zauważywszy Zosię, dodał: – Jeśli nie mają państwo nic przeciwko, chciałbym, aby doktor Gorazdowska również była obecna podczas badania. Jest u nas na stażu z chorób nerwowych...

– Oczywiście – powiedziała Zula, a kiedy już byli w środku, oznajmiła: – To nawet lepiej. Pani doktor i jej koleżanki widziały, co stało się na scenie.

Zosia potwierdziła.

– Byłyśmy z doktor Werkenthin i doktor Witchelową w Panoramie. – Od początku zauważyłam, że coś jest nie tak – powiedziała delikatnie i zaraz dodała: – A już charleston nie był taki, do jakiego nas pani przyzwyczaiła.

– Co ma pani na myśli? – spytał doktor Nelken.

– Wolniejsze tempo tańca, wyraźny wysiłek w ruchach...

Zosia nie dodała, że Zula myliła kroki, ale artystka sama do tego nawiązała.

– Dokładnie tak było. Myliłam kroki. Nogi mnie nie słuchały. W pewnej chwili zupełnie odmówiły posłuszeństwa – wyjaśniła i po policzku spłynęła jej łza.

– Jeśli sobie życzysz, moja droga, mogę wyjść – odezwał się cicho jej mąż.

Zula pokręciła głową.

– Nie ma takiej potrzeby, kochany. Nie ma takiej potrzeby – wyszeptała.

– Pani Pogorzelska zgłosiła się do nas z powodu osłabienia mięśni kończyn dolnych, które obserwowwała od kilku miesięcy – Doktor Nelken stworzył dokumentację, którą miał przed sobą. – Wstępnie zasugerowano, że to...

– Powiedziano, że mam kiłę! – powiedziała Zula z rozpaczą w głosie.

Mąż podszedł do niej i ścisnął jej rękę. Na twarzy miał wymalowane poczucie winy i Zosia pomyślała, że faktycznie taka diagnoza mogłaby tłumaczyć objawy, ale oznaczałaby też, że choroba latami przebiegała u artystki bezobjawowo. Dała o sobie znać dopiero w późnym stadium.

– Ja nie chciałabym, aby państwo źle o mnie myśleli – powiedziała nagle Zula, a Zosia i doktor Nelken gwałtownie zaprotestowali.

– Nie jesteśmy od osądów, tylko od postawienia prawidłowej diagnozy – stwierdziła Zosia.

– Porozmawiam z lekarzem, który rozpoznał u pani kiłę. Powiem mu, aby nigdy więcej nie powtórzył takiego błędu – dodał doktor Nelken.

Zula i jej mąż zaczęli mówić jedno przez drugie. Doktor Nelken uciszył małżeństwo i zwrócił się do Zosi:

– Zdiagnozowano wiać rdzenia i uznano, że przyczyną jest kiła. Tak po prostu.

– Nie potwierdzono diagnozy serologicznie? – Zosia nie mogła uwierzyć.

– Nie – odparł krótko Nelken.

– Kiedy usłyszeliśmy to straszne słowo, zaczęły się między nami problemy. Mąż natychmiast wyprowadził się z domu – powiedziała Zula.

– Wróciłem i błagałem cię o przebaczenie – powiedział mężczyzna zbolalym tonem i popatrzył najpierw na Zosię, a potem na Nelkena. – Ja jestem zdrowy.

„To naturalne, że podejrzewał zdradę”, stwierdziła w duchu Zosia i zapytała Nelkena:

– A zatem odczyny kiłowe były ujemne, zgadza się?

– Tak – potwierdził doktor Nelken. – Przeprowadziliśmy pełne spektrum badań serologicznych u nas w laboratorium, aby z całą pewnością wykluczyć syfilis.

„Nie zmienia to faktu, że ta biedna kobieta ma niedowład nóg, a przecież jest tancerką...”, pomyślała z żalem Zosia i na polecenie doktora przystąpiła do wywiadu lekarskiego.

– Czy pamięta pani moment, w którym to wszystko się zaczęło?

– Tak. – Zula pokiwała głową. – Kilka miesięcy temu. Najpierw czułam osłabienie mięśni. Nie miałam siły tańczyć, ale sądziłam, że po prostu się przeforsowałam. Poprosiłam nawet Własta o kilka dni przerwy, a on się zgodził. Kiedy odpoczęłam, było znacznie lepiej.

– Włast się przestraszył, że codzienne wielogodzinne próby naraziły Zulę na kontuzję – wtrącił Konrad Tom.

– Czy odczuwała pani bóle? – spytał doktor Nelken.

– Raczej nie, przynajmniej na początku. Dopiero potem się zaczęły – odparła. – Ale miałam inne dziwne objawy.

– To znaczy? – dążył Nelken.

– W kąpielni – odrzekła Zula i zamyśliła się. – Wydaje mi się, że po lewej stronie ciała nie czuję temperatury wody. Lubię, kiedy woda jest bardzo ciepła.

– Wręcz gorąca – wtrącił się mąż. – Zawsze się bałam, że Zula się poparzy.

– Teraz mogłabym się polewać ukropem i nic bym nie poczuła – stwierdziła. – Czy to nie dziwne?

– To dość charakterystyczne dla pewnych zmian – powiedział Nelken ostrożnie, ale szybko dodał: – Taka obserwacja jest bardzo cenna, weźmiemy ją pod uwagę podczas stawiania diagnozy.

– Czy doznała pani urazu kręgosłupa? – zapytała Zosia. – Może spadła pani z konia albo przewróciła się podczas tańca? Pytam także o zdarzenia sprzed lat.

– Przewracałam się wiele razy. – Zula uśmiechnęła się blado. – Jak każda z nas.

Zosia popatrzyła na śliczną twarz ukochanej artystki, i pomyślała, że gdyby nie ten wypadek, nigdy by się nie zastanawiała nad tym, ile wysiłku trzeba włożyć, aby tak wspaniale tańczyć.

Zacząła powoli i systematycznie badać artystkę. Najpierw zbadała odruchy kostne i ścięgnowe, a następnie mięśniowe. Zmierzyła obwody nóg na wysokości ud oraz łydek i stwierdziła, że zaniki mięśniowe w kończynach dolnych są bardzo wyraźne. Potem sprawdziła czucie dotyku, bólu i temperatury – to ostatnie za pomocą probówek z zimną i ciepłą wodą. Potem zbadała czucie wewnątrz i odruchy, za które odpowiedzialny jest mózdzek. Gdy skończyła, zwróciła się do Zuli:

– Bardzo pani dziękuję za współpracę i cierpliwość.

Potem popatrzyła na doktora Nelkena.

– Zatrzymamy panią w szpitalu, dobrze? – zwrócił się lekarz do Zuli.

Zosia sądziła, że artystka będzie protestowała, ale ta natychmiast się zgodziła.

– Dopełnimy wszelkich starań, aby miała tu pani jak najlepsze warunki...

– zaczęła mówić Zosia, ale Zula jej przerwała.

– Jestem dziewczyną z Kresów – powiedziała. – Mój ojciec był lekarzem. Wiem, czym są szpital, chorzy, bolesne badania. Nie trzeba mnie oszczędzać.

Doktor Nelken pokiwał głową.

– Proszę powiedzieć, co mi jest – poprosiła.

– Na razie nie wiemy z całą pewnością – wyjaśnił lekarz. – Po badaniu mamy pewne podejrzenia, ale chcemy je najpierw omówić oraz zaplanować inne badania, które potwierdzą naszą wstępną diagnozę...

– Najważniejsze, żeby można to było wyleczyć – wtrącił mąż Zuli. Pomagał przy tym żonie ubrać się za parawanem.

Doktor Nelken zadzwonił po pielęgniarkę oddziałową, a kiedy ta przyszła, wyjaśnił, że pani Pogorzelska zostanie w szpitalu i będzie poddana diagnostyce. Poleciał, aby pobrano jej krew na badania i przydzielono łóżko szpitalne.

– Oczywiście – powiedziała pielęgniarka i zwróciła się do pacjentki: – Proszę za mną, wszystko wyjaśnię.

Zula podziękowała Zosi oraz Nelkenowi i z pomocą męża wyszła z pokoju.

– I co pani o tym sądzi, koleżanko?

– Można było podejrzewać wiać rdzenia – powiedziała Zosia ostrożnie. – Wskazywałyby na to zaburzenia czucia głębokiego, bólu i wibracji, parapareza, osłabienie mięśniowe. I zanik odruchów ścięgnistych.

– Można było, ale nie o podłożu kiłowym – zgodził się doktor Nelken.

– Typowe rozszczepienne zaburzenia czucia – podsumowała Zosia.

– Pani Pogorzelska sama o tym mówiła, podając bardzo dobry przykład braku czucia temperatury po jednej stronie ciała.

Zosia przypomniała sobie, że o rozszczepionym zaburzeniu czucia, czyli zachowaniu odczuwania dotyku i ucisku przy zaburzonym poczuciu bólu i temperatury, czytała w artykule o wadach wrodzonych mózgowia: wodogłowiu oraz rozszczepie kręgosłupa. Podzieliła się tym spostrzeżeniem z doktorem.

– Jak pani sądzi? – spytał doktor Nelken. – Co może być przyczyną tego schorzenia u osoby dorosłej?

– Wydaje mi się, że guz – powiedziała z ciężkim sercem.

– Musiałaby to być zmiana, która zaatakowała rdzeń kręgowy na odcinku co najmniej pięciu, sześciu segmentów. Trudno sobie wyobrazić tak rozległą zmianę, która nie powodowałaby ucisku. Pani Pogorzelska nie skarży się na bóle, przynajmniej nie tak nasilone, jak powinny być przy ucisku na korzenie nerwowe.

– To artystka – stwierdziła Zosia. – A artystki są przyzwyczajone do tańczenia z kontuzjami, bólami. Dla nich to codzienność.

– Sugeruje pani, że pacjentka odczuwała i odczuwa bóle, ale z powodu wysokiego progu bólowego i osobniczej wytrzymałości po prostu o tym nie mówi? – spytał poważnie doktor Nelken.

Zosia nie wiedziała, co powiedzieć. Lekarz gładził się po brodzie.

– Mnie przychodzi do głowy inna przyczyna tego typu dolegliwości – stwierdził w końcu. – Ale będę wiedział więcej po badaniach.



– To bardzo ciekawe – stwierdził docent Zawadowski po wysłuchaniu analizy przypadku Zuli Pogorzelskiej z ust Nelkena oraz Zosi. – Bezwzględnie trzeba ocenić rdzeń – dodał. – A do tego najlepiej nada się Maria.

Zosia i Nelken milczeli. Zawadowski perorował dalej, wydawał się przy tym nie zauważać, że dyskredytuje własny zespół, sugerując, że jego asystenci nie potrafią wykonać badania rdzenia kręgowego.

– Tylko Maria potrafi wkłuć się w kanał kręgowy powyżej odcinka lędźwiowego tak, żeby nie uszkodzić rdzenia – stwierdził.

– Ja też potrafię – powiedział doktor Nelken.

– Oczywiście. Jeśli pan chce, kolego, proszę bardzo – zmitygował się Zawadowski. – Nie moją rolą jest przeszkadzać, chciałem jedynie pomóc.

Zawadowski spojrzał Zosi prosto w oczy.

– Wiem, jak bardzo Maria kocha tę artystkę. Opowiadała mi, co się stało na koncercie.

Zosia odwzajemniła spojrzenie.

– To może przewieźmy panią Pogorzelską do Szpitala Wolskiego, skoro doktor Werkenthin najlepiej wykonuje mielografię.

– Raczej sprowadźmy ją tutaj – powiedział z prostotą Zawadowski. – Maria ma największe doświadczenie, ale my mamy ruchomy stół i lepszy sprzęt.

Od razu podszedł do telefonu, wybrał odpowiedni numer, a kiedy po drugiej stronie rozległ się głos Marii, wyjaśnił, w jakiej sprawie dzwoni, i spytał, kiedy mogłaby przyjść, by wykonać mielografię znanej pacjentce. Zosia słyszała jeszcze, jak Maria obiecuje, że przyjdzie następnego dnia z samego rana.

– Załatwione – powiedział Zawadowski, gdy odłożył słuchawkę. – Ja naturalnie będę obecny przy badaniu.

Zosia i Nelken wymienili spojrzenia.



Zula okazała się pacjentką wyjątkowo cierpliwą, bo chociaż Maria miała niezwykle wprawna rękę, to nakłucie lędźwiowe nie należało do przyjemnych zabiegów. Już na początku badania opór Nelkena przed „sprowadzaniem do szpitala lekarzy, którzy już tu nie pracują”, stopniał, ponieważ lekarka zdecydowanie przystąpiła do działania, jej ruchy były precyzyjne, a przygotowanie perfekcyjne. Rozpoczęła od krótkiej prezentacji przeznaczonej zarówno dla pacjentki, jak i dla wszystkich obecnych na badaniu. Następnie zapytała Zulę o zgodę na badanie. Kiedy pacjentka zgodziła się na wszelkie czynności lekarskie, „byle tylko dowiedzieć się, cóż to za świństwo mnie dopadło”, Maria przyszykowała kontrast.

Doktor Werkenthin zdecydowała, że środek kontrastowy, który uwidoczni rdzeń kręgowy, ma zostać podany jednocześnie pod potylicę oraz poniżej piątego kręgu lędźwiowego.

– W ten sposób, jeśli w kanale jest jakaś przeszkoda, uwidocznimy ją – oznajmiła, zakładając specjalny fartuch, który miał ją chronić przed promieniowaniem rentgenowskim.

Godzinę później wszyscy oglądali zdjęcie rdzenia kręgowego jednej z najwybitniejszych artystek swoich czasów.

– Mój Boże – wyrwało się Zosi.

– Jamistość rdzenia – wypowiedział na głos diagnozę doktor Nelken.

Maria wskazała miejsca, gdzie rozlewał się kontrast, chociaż nie powinien był tam przeniknąć, gdyby rdzeń miał prawidłową strukturę.

– Rdzeń ma dwie jamy – powiedziała i dodała: – Biedna Zula.

– Jak my jej o tym powiemy? – spytała Zosia.

– Uważam, że powinna to usłyszeć od kobiet, swoich wielbicielk – stwierdził docent Zawadowski. – Nam może nie uwierzyć.

Zosia i Maria spojrzały na siebie.

– Nie wiem, czemu mnie miałyby uwierzyć, a tobie nie – powiedziała cierpko Maria.

– Ja uważam, że to dobry pomysł – powiedział doktor Nelken. – Niech panie idą do pacjentki, a ja porozmawiam z jej mężem.



Kiedy Zosia i Maria weszły do sali, gdzie przebywała Zula wraz z dwiema innymi pacjentkami, z których jedna miała rwę kulszową, a druga cierpiała na silne bóle głowy, zastały atmosferę powszechnej wesołości. Zula opowiadała właśnie anegdotkę z jakiegoś występu, zaśmiewając się radośnie, a następnie zanuciła a cappella *Bubliczki*, jedną z ulubionych piosenek Zosi.

– Nie mogę zatańczyć. – Rozłożyła szeroko ramiona. – To chociaż wam zaśpiewam.

Zaraz jednak przestała się śmiać, bo miny lekarek wskazywały, że Zosia i Maria nie mają dobrych wieści.

– To my sobie pójdziemy. Żeby nie przeszkadzać – powiedziały zgodnie pacjentki i wyszły na szpitalny korytarz.

– Co mi jest? – spytała Zula i dodała: – I jak można to wyleczyć?

Kilkanaście minut później wszystkie trzy długo siedziały w ciszy. Wreszcie pacjentka odezwała się.

– Skąd coś takiego mogło się u mnie pojawić? – spytała pobielalymi wargami.

– Trudno powiedzieć – wyjaśniła cicho Zosia. – Nie znamy etiologii tego schorzenia.

– I nie ma na to lekarstwa? – dopytywała Zula.

Zosia i Maria pokręciły głowami.

– Nie – powiedziała doktor Werkenthin. – Nie ma.

– Ale ja muszę wrócić do pracy – dodała pacjentka błagalnym tonem. – Muszę tańczyć.

Zosia i Maria popatrzyły na siebie bezradnie.



– Co tam czytasz, mój drogi? – spytała Zosia, zaglądając mężowi przez ramię.

– Fascynującą publikację, ale nie z twojej dziedziny, kochanie – odparł Stanisław i żartobliwie zasłonił artykuł.

– Nie zamierzam ci wyrywać tej gazety – odparła Zosia, opierając się pokusie, odwróciła się na pięcie i usiadła przy swoim biurku, gdzie zgłębiała właśnie teorie Freuda.

– Sam ci opowiem, ponieważ nie bardzo wiem, co o tym myśleć – wyznał Stanisław.

Byli sami w apartamencie, bo Leonia zabrała małą Grażynkę na spacer.

– No to mów, mów... – ponagliła męża.

– Otóż eksperyment jest hipotetyczny i dotyczy fizyki – zaczął.

– W takim razie powinieneś poprosić o opinię Marię – powiedziała Zosia ze zważeniem w głosie. – Ona ma fizykę w małym palcu. Podobnie jak chemię, biologię i jeszcze parę innych dziedzin.

Stanisław pokiwał głową, po czym odpowiedział nieco cierpkim tonem:

– Ja też ją podziwiam, ale spróbuję to zrozumieć sam. Dopiero gdy nie dam rady, zwrócę się do doktor Werkenthin.

– No, powiedzże wreszcie, co to za hipotetyczny eksperyment? – zachęciła go Zosia.

– Wyobraź sobie pudełko, zupełnie nieprzezroczyste. W środku jest kot.

– Prawdziwy? – upewniła się.

– Załóżmy, że prawdziwy – odparł ze zniecierpliwieniem Stach. – Oprócz kota w pudełku znajduje się też licznik Geigera... Wiesz, co to jest licznik Geigera, prawda?

– Licznik, który mierzy promieniowanie beta i gamma – odpowiedziała Zosia i dodała: – Za kogo ty mnie uważasz, Stachu?

– Ja tylko pytam – bronił się Stanisław.

– Dobrze, opowiadaj dalej – ponagliła go znów Zosia. – Skoro w pudełku jest licznik Geigera, to musi być też jakiś pierwiastek promieniotwórczy. Ale o co chodzi? Eksperyment polega na tym, żeby wyliczyć, ile pierwiastka promieniotwórczego potrzeba, żeby uśmiercić kota? I to cię tak frapuje?

– Nie – odpowiedział Stach. – Daj mi dokończyć. Kiedy atom się rozpadnie, uruchomi licznik Geigera, a to spowoduje, że młotek stłucze butelkę z trucizną.

Umilkł i popatrzył na Zosię.

– I kot umrze? Eureka! – ironizowała Zosia. – I to cię tak zainteresowało? Kto to opublikował?

– Schrödinger^[102] – wyjaśnił jej mąż. – Nie chodzi o to, że kot umrze. Tam w ogóle nie chodzi o to, żeby uśmiercić kota.

– To o co? – pytała coraz bardziej zafrapowana.

Doprawdy, kiedy czytała pisma Freuda, myślała, że medycyna idzie w bardzo dziwnym kierunku. Jeśli nie uda się czegoś zważyć, zmierzyć albo oznaczyć, to jak będzie można omawiać rezultaty? I jakie badania będziemy wykonywać, żeby uzyskać wiarygodne wyniki?

– Nie możemy przewidzieć dokładnej chwili rozbicia atomu – mówił dalej Stach. – Nie wiemy poza tym, co dzieje się w pudełku, zatem nie mamy pojęcia, czy licznik się uruchomił. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć, ani że kot jest na pewno martwy, ani że jest żywy.

– Wystarczy otworzyć pudełko – stwierdziła Zosia. – Albo posłuchać, czy kot miauczy.

– W tym czasie – ciągnął Stach, nie zwracając uwagi na sugestię żony – kot jest albo martwy, albo żywy. Z punktu widzenia fizyki kot jest jednocześnie i martwy, i żywy.

– Cóż za... – zaczęła Zosia. Chciała powiedzieć „bzdura”, ale zastanowiła się nad tym, co powiedział Stach. – Hmm... – mruknęła w końcu. – Bardzo ciekawe.

– Jeśli kupujesz los na loterii, to aż do chwili, kiedy zostaną ogłoszone zwycięskie numery, jesteś przegraną i wygraną – kontynuował. – Jesteś milionerką oraz biedakiem. Jednocześnie.

– Mówisz, że chodzi o fizykę? Mnie się wydaje, że raczej o filozofię.

Teraz Stach zastanowił się nad jej słowami.

– Muszę porozmawiać o tym z Marią. I Klementyną – powiedziała Zosia.

– Jej teraz lepiej nie denerwować – zauważył Stach. – Karolek znów ma ataki, Klementyna odnosi wrażenie, że się nasiliły. Razem z Kornelem chcą wysłać małego do Szwajcarii, na wypoczynek.

– Przecież epilepsja to nie gruźlica – stwierdziła Zosia, ale szybko dodała: – Wiem, wiem. Łatwo mówić, gdy ma się zdrowe dziecko.

– Ja uważam, że powinni jechać – powiedział Stach. – Kornel już zamknął produkcję samochodów CWS T-1. Swoją drogą, wielka szkoda, bo cóż to była za genialna konstrukcja. Tylko osiemset wyprodukowanych aut...

– Co ty mi tu o autach opowiadasz, Stachu? – rozzłościła się Zosia, która zaczęła dodawać dwa do dwóch.

Skoro Witchelowie rozważali wyjazd do Szwajcarii, a Kornel zaprzestał produkcji samochodów, zapewne planują coś innego niż krótki pobyt w wysokich górach dla zdrowia.

– Klementyna nic nie mówiła o wyjeździe – stwierdziła w końcu.

– Zapewne chciała mieć wszystko dopięte na ostatni guzik. Myślę, że bała się, że będziecie ją z Marią od tego odwozili.

– Ja wiem, co ona chce zrobić – gorączkowała się Zosia. – Ona chce zoperować Karolka. A nikt, nikt tego nie zrobi. Przynajmniej z sukcesem.

Stach złapał ją za rękę.

– Kochanie – powiedział. – To Szwajcaria. Dobre powietrze dziecku nie zaszkodzi.

– Może i masz rację – zgodziła się w końcu. – Skoro nie jadą za ocean, to znaczy, że nie wpadły im do głów rewolucyjne pomysły.

– Wracając do kota... – rzekł Stanisław, ale Zosia ponownie mu przerwała.

– Co do kota, zgodziliśmy się. Jest jednocześnie i żywy, i martwy. Zupełnie jak nasza Zula, która nie przyjęła do wiadomości, że na jamistość rdzenia nie ma lekarstwa, i pojechała na leczenie do Wilna.

– Czyli jest jednocześnie i zdrowa, i chora? – spytał Stanisław.

– Nie – stwierdziła Zosia. – Jest jednocześnie i żywa, i martwa, bo już nigdy nie zatańczy.

Stanisław objął żonę ramieniem i przytulił do serca.



Władysław nie żyje.

Trzy słowa w otrzymanym telegramie były dla Zosi jak sufit, który nieoczekiwanie spada człowiekowi na głowę i grzebie go żywcem. Jak to możliwe, że jej młody jeszcze i – jak się wydawało – zupełnie zdrowy ojciec umarł?

– Trzeba zadzwonić – powiedział wstrząśnięty Stanisław.

Zosia bez słowa wykręciła numer. Odebrała Honorka.

– Dzień dobry, Honorko – przywitała ją Zosia.

– Zosieńka, panienska z okienka – odpowiedziała stara służąca, a Zosia dopiero wtedy wybuchnęła płaczem.

– Honorko, Honorko... – łkała.

– Nie trzeba, paniensko. – Honorka po drugiej stronie także przełykała łzy.

– On już w lepszym świecie.

Zosia chciała powiedzieć, że nie wiadomo, czy tamten świat istnieje, a jeśli tak, czy jest taki dobry, ale zamiast tego powiedziała:

– Są już z mamą razem.

– Tak, z panienczką moją kochaną – odparła Honorka, a potem dodała cicho: – Ja powiem Zosieńce, że gdy panienska uciekła z panem, to ja go chciałam wtedy gołymi rękoma zamordować. A teraz... tak żal...

Zosia wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Pamiętała, że kiedy wróciła do dziadków, jeszcze za życia babci, Honorka otwarcie okazywała jej wrogość, a nawet mruzczała pod nosem, że „panienkę zabiła”, chociaż jej matka umarła podczas narodzin synka. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiała, ani z ojcem, ani z dziadkiem, a tym bardziej z samą Honorką, która z czasem pokochała Zosię tak bardzo, jak jej matkę, a później obdarzyła miłością także jej ojca. Teraz, kiedy Zosia czytała prace Sigmunda Freuda, przypominała sobie różne sytuacje z dzieciństwa i zastanawiała się, w jakim stopniu tamte wydarzenia ją ukształtowały i sprawiły, że była tym, kim była.

– Czy Honorka może mi powiedzieć, co się stało? Czy ojciec chorował?

Ostatni raz widzieli się w święta. Zosia przyjechała do Krakowa razem ze Stanisławem i Grażynką i bawili tam aż do Nowego Roku. Bardziej

zwracała wtedy uwagę na stan zdrowia dziadka, bo starszy pan zaczął mieć problemy z pamięcią. Zdarzało mu się nazywać Zosię Klarą, Grażynkę Marychną, a imienia Stanisława ciągle zapominał. Wnuczka zbadała go dokładnie i stwierdziła z zadowoleniem, że dziadek ma serce jak dzwon i prawidłowe ciśnienie. Ojca także zbadała, ale i jemu nic nie dolegało, przeciwnie, był w bardzo dobrej formie, dokazywał z wnuczką, biegał z nią po Plantach w poszukiwaniu ciastek i ozdób choinkowych, jakby tych w domu było mało. W pierwszy dzień świąt poszli wszyscy na ślizgawkę; Stach ubrał się zbyt lekko, w wyniku czego się przeziębził. Chociaż ojciec jako ostatni zszedł z lodowiska i w domu nie chciał ani herbaty, ani rosółu, nic mu nie było.

– Ależ nie! – wykrzyknęła Honorka. – Nigdy na nic się nie skarżył.

Ojciec był okazem zdrowia. Niezależnie od pogody chadzał co dzień na Planty i spacerował godzinami. Wyjeżdżał w góry, latem zdobywał szczyty, a zimą jeździł na nartach.

– To co się stało? – spytała Zosia.

– Nic – odpowiedziała Honorka. – Wziął i umarł.

– No dobrze. – Zosia uznała, że niczego się od Honorki nie dowie. – A dziadek jak się trzyma?

– Jest bardzo smutny, ale zdrowy – powiedziała stara służąca. – Panienska zadzwoni jutro, bo pan Konstanty teraz śpi i mnie się wydaje, że nie będzie chciał rozmawiać.

– Ale trzeba zorganizować pogrzeb – powiedziała Zosia.

– Z pogrzebami to u nas nijakiego kłopotu nie ma, panienko – sapnęła Honorka. – Nieboszczyk sam się niemal do ziemi pakuje.

Zosia o mało się nie roześmiała. Przypomniała sobie krakowskie pogrzeby. Były nierzadko wielkimi wydarzeniami towarzyskimi.

– Dobrze, Honorko – skapitulowała. – Proszę ucałować dziadka i powiedzieć, że niedługo przyjedziemy.



Pogrzeb był bardzo uroczysty i tak jak Zosia przypuszczała, zleciało się pół miasta, aby zobaczyć, jak chowają Władysława Nibugę, przybłędę, który kiedyś porwał, a potem doprowadził do śmierci córkę profesora Konstantego Piechowskiego. Sama Zosia otrzymała tyle kondolencji i wyrazów współczucia, że pod koniec dnia była zmęczona i zupełnie skołowana.

– Kim była ta kobieta ubrana jak wdowa po twoim ojcu, która szlochała tak głośno, że ksiądz przerywał mszę? – spytał ją wieczorem Stanisław.

Zosia, która także się nad tym zastanawiała, zwróciła się z tym pytaniem do dziadka.

– To Adela z Radeckich Męczyńska, primo voto Lubecka – odparł Konstanty, ale ponieważ niewiele to Zosi powiedziało, indagowała dalej:

– Ale czemu tak płakała?

Profesor Konstanty Piechowski zastanowił się głęboko i w końcu powiedział:

– Myślę, że było jej bardzo smutno z powodu śmierci twojego ojca. Jak nam wszystkim. To był dobry człowiek.

– Bardzo mi przykro, dziadku, że tak się stało – powiedziała i znów się rozpłakała.

– Czy nie sądzisz, że z panem Konstantym dzieje się coś niedobrego? – spytał ją później Stanisław.

Pokręciła głową.

– Raczej nie – powiedziała. – Jest już sędziwy, a poza tym bardzo przeżył śmierć taty.

– Zosieńko – odezwał się znów Stanisław. – Jak to się właściwie stało, że z największego wroga twój ojciec stał się najlepszym przyjacielem twojego dziadka?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się blado. – Pamiętam, że kiedy przyjechał ze mną do dziadków, wcale nie było między nimi dobrze. Mam przed oczami taki zabawny obrazek. Każdego ranka Honorka zawsze chodziła po sprawunki i przynosiła dwie gazety – to był chyba „Czas” – dla ojca i dziadka. Każdy z nich czytał swój egzemplarz. Dziadek nie znosił, gdy ktoś dotykał jego rzeczy. Pewnego dnia zaczęli dyskutować na temat jakiegoś artykułu i potem już zawsze wymieniali się opiniami. Z czasem dziadek pokochał ojca jak rodzzonego syna. Naprawdę. I gazetę czytali już jedną.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – spytał delikatnie.

Starszy pan, chociaż wciąż sprawny i pod czujnym okiem Honorki, wydał mu się zbyt sędziwy, aby można go było pozostawić w Krakowie.

– Uważam, że trzeba go zabrać do nas, do Warszawy – stwierdziła Zosia niepewnym głosem. – Tylko czy on się na to zgodzi?

Zosia i Stanisław zajmowali przy Piusa XI wygodny, obszerny i pięknie urządzony apartament. Obok znajdowało się małe mieszkanko, także należące do nich. Mógł tam zamieszkać dziadek, a Honorka zajęłaby pokój dla służby. Teraz przebywała tam młoda służąca Halinka, ale mogłaby się przenieść na mansardę. Wszystko było do ustalenia, bez szkody dla nikogo. Tyle że Konstanty Piechowski nie chciał o tym nawet słyszeć.

– A co ja będę robił w Warszawie? – spytał. – Tutaj mam wszystkich bliskich. Twoją matkę, moją żonę, teraz twojego ojca.

– Dziadku – zauważyła Zosia. – Oni wszyscy nie żyją. A ja, Stanisław, mała Grażynka, my żyjemy.

– To sobie życie na zdrowie i oby jak najdłużej – stwierdził Konstanty Piechowski i ponownie zanurzył się w lekturze „Czasu”.

– Ale... – zaczął Stanisław.

Staruszek znalazł coś ciekawego w gazecie, popukał w nią palcem, pokazał Zosi i powiedział:

– Piszą o twoim ojcu. Że pogrzeb piękny.

Zosia spojrzała na artykuł, tymczasem dziadek zaczął krzyczeć w stronę kuchni:

– Żoneczko! Córeczko! Gdzie wy się podziewacie? Chciałbym wam coś przeczytać!

Stanisław spojrzał z niepokojem na Zosię.



Wspólne początki nie były łatwe, ani dla Zosi, ani dla jej dziadka. Przeprowadzka do Warszawy wiązała się z ogromnym wysiłkiem dla starszego pana, a Zosia i Stanisław byli pełni wyrzutów sumienia, że na starość pozbawiają Konstantego znanego sobie otoczenia.

„No ale nie mógł tam przecież zostać sam”, przekonywała Zosia samą siebie. „I w końcu zgodził się na to, aby przyjechać do nas”.

Po licznych negocjacjach ze starym doktorem zawarto kompromis: Konstanty Piechowski przeniesie się do Warszawy jedynie na jakiś czas. Krakowskie mieszkanie pozostanie jego własnością, nie wystawiają go na sprzedaż, aby starszy pan miał poczucie, że zawsze może wrócić do siebie. Żadna ze stron nie była jednak zadowolona. Zosia bała się, że w każdej chwili dziadek może zażądać „odwiezienia” go do Krakowa, Konstanty natomiast uważał, że wnuczka i jej mąż będą go tak długo zabawiać i przekonywać, jaki jest teraz potrzebny rodzinie, że już nigdy nie zobaczy krakowskich Plant. Wprawdzie jego opór słabł, kiedy mała Grażynka pakowała mu się na kolana, ciągnęła za brodę i prosiła, aby opowiadał jej o smoku wawelskim, ale koniec końców Warszawa nie zdobyła jego serca.

Jeszcze gorzej zrobiło się, kiedy gruchnęła wieść, że marszałek Piłsudski, zbawca narodu, Naczelnik, wódz, kochany Dziadek i mąż opatrnościowy, zmarł. Zosia wiedziała o jego problemach ze zdrowiem i spodziewała się tej wiadomości, ale nieopatrnie podzieliła się z Konstantym informacją o jego śmierci, a ten przejął się tym tak, jakby zmarł mu ktoś bliski.

– Tylko niech cię ręka boska broni przed tym, żeby mu powiedzieć, że ciało marszałka zostanie przewiezione do twojego szpitala – szeptał gorączkowo Stanisław, który jako sympatyk endecji miał do marszałka stosunek ambiwalentny, ale był pełen uszanowania dla straty profesora Piechowskiego.

– Przecież sama wiem – odszeptywała Zosia. – Poza tym czy ty myślisz, że ktoś wpuściłby dziadka do Zakładu Anatomii Patologicznej, żeby obserwował sekcję?

– Na pewno próbowaliby tam wejść wszelkimi sposobami – odpowiedział Stanisław. – Uznałby, że ty taką wyprawę zorganizujesz.

– Żartujesz chyba, Stanisławie – zdenerwowała się Zosia. – W szpitalu pracuje kilkaset osób. Gdyby każdy chciał wejść i zobaczyć sekcję zwłok marszałka...

Sama nie spodziewała się takiego tłumu wojskowych, dziennikarzy i zwykłych gapiów, który szturmował bramy i płot szpitala, chcąc być jak najbliżej ukochanego Naczelnika. Odpowiedzialnym za sekcję zwłok był major doktor Wiktor Kaliciński^[103], który zdecydował, że w obliczu zaistniałych okoliczności autopsję, a następnie balsamowanie ciała Józefa Piłsudskiego przeprowadzi w Belwederze. Dziennikarze, także ci z prasy brukowej, przenieśli się spod bram szpitala pod bramę Belwederu i dzięki temu można było wreszcie spokojnie wejść na teren Ujazdowa. Przynajmniej przez jakiś czas, bo kiedy tylko do opinii publicznej przedostało się nazwisko anatomopatologa, doktor Kaliciński nie miał spokoju. Raz nawet schował się przed jakimś natrętnym dziennikarzem na położnictwie, bo słusznie uznał, że wśród noworodków i małych dzieci nikt nie będzie go szukał. Zosia zrobiła doktorowi herbaty, podzieliła się z nim czekoladą od Jana Wedla^[104], którą ten wspaniały człowiek przesyłał dzieciom do szpitala, i powiedziała ze współczuciem:

– Bardzo mi przykro, panie doktorze. Wiem, jak cenił pan marszałka.

Wiktor Kaliciński pokiwał smutno głową.

– Gdyby marszałek dał sobie pomoc wcześniej... – westchnął.

A potem opowiedział Zosi o ostatnich dniach Piłsudskiego.

– Lata nałogu tytoniowego spowodowały rozedmę płuc – wyliczał doktor Kaliciński. – Marszałek cierpiał na miażdżycę, po przebytej grypie ujawniły się problemy z wątrobą. Pod koniec życia był nieprzytomny.

– Czytałam, że w zeszłym roku zasłabł podczas uroczystości z okazji jedenastego listopada – powiedziała Zosia. – Ale w lutym udał się na manewry wojskowe. Sądziłam, że pokonał choroby.

– Po dwóch dniach wrócił do szpitala, ale nadal nie pozwolił się zbadać ani w jakikolwiek sposób sobie pomóc. Wątroba sięgała mu do pępka, w brzuchu gromadziła się woda. Nogi mu puchły, a Wieniawa, wyobrazi pani sobie, zalecił gorące kompresy.

„Nogi puchły mu pewnie w wyniku narastającej niewydolności nerek i wątroby”, pomyślała Zosia.

– Bardzo mi przykro, doktorze – powiedziała ze współczuciem. – Kiedy wybiera się pan do Krakowa?

– Na dniach, droga pani doktor, na dniach – westchnął major Kaliciński. – Już wyjąłem i przygotowałem serce Naczelnika, które pojedzie na wileńską Rossę. Marszałek życzył sobie, aby spoczęło w grobie jego matki. Mózg też trafi do Wilna, do Instytutu Badań Mózgu, którym kieruje profesor Rose. No a ciało na Wawel. Tylko że...

– Tylko że co? – spytała Zosia.

– Tylko że balsamuję i balsamuję marszałka, a on ciągle się psuje – stwierdził Kaliciński z goryczą. – Ile ja bym dał, żeby porozmawiać z jakimś egipskim specjalistą.

Po czym odstawił filiżankę i uśmiechnął się do oniemiałej Zosi, która wyobraziła sobie psującego się marszałka i nieustanne wysiłki Kalicińskiego, aby mumia należycie prezentowała się w odkrytej trumnie.

– Dziękuję za herbatę – powiedział i zasalutował, zanim opuścił oddział położnictwa.

Alois Alzheimer

1864–1915

Na twarzy mężczyzny, który przedstawił się jako Robert Deter, malował się niepokój. Alois Alzheimer wskazał mu krzesło.

– Proszę spocząć – poprosił.

Mężczyzna kiwnął głową i usiadł na brzegu krzesła.

– Gdzie jest moja żona? – spytał.

– Już się nią zajęliśmy – zapewnił Detera znany psychiatra.

– Co jej jest? – pytał. – Czy zbadał ją pan, doktorze?

Alois Alzheimer rozumiał zaniepokojenie Detera. Członkowie rodzin pacjentów nie ufali psychiatrom. Chorzy zwykle trafiali na oddziały psychiatryczne w skrajnej psychozie albo w głębokiej depresji. Od lekarzy oczekiwano natychmiastowej pomocy, a proces zdrowienia mózgu trwa przecież długo.

– Spotkam się z nią w stosownej chwili. Najpierw jednak chciałbym porozmawiać z panem.

Mężczyzna spuścił głowę.

– Nigdy bym jej nie oddał. – Zawahał się. – Ale ona nie jest sobą. Nasz doktor w miasteczku nie wiedział, co jej dolega. Radził zawieźć ją do Frankfurtu.

Alois uśmiechnął się krzepiąco.

– Bardzo dobrze pan zrobił. Zakład psychiatryczny jest jedynym właściwym miejscem dla tego typu przypadków.

– Pomożecie jej? – spytał Deter.

– Proszę opowiedzieć mi o żonie – poprosił Alzheimer.

– No więc. – Deter przełknął ślinę. – To się zaczęło około roku temu. Przykro mi o tym mówić, ale Auguste stała się bardzo zazdrosna.

– Czy dawał pan żonie powody do zazdrości? – spytał delikatnie Alzheimer.

Deter gwałtownie pokręcił głową.

– Skąd! – niemalże krzyknął. – Zawsze byłem wobec niej uczciwy! Nigdy bym się nie sprzeniewierzył Bogu! Ja...

– Dobrze, dobrze – uspokoił go Alzheimer. – Wierzę panu. Proszę powiedzieć, co żona robiła w chwilach zazdrości.

– Złorzeczyła mi – wyznał Deter ze wstydem w głosie. – Mówiła wulgarne rzeczy. Opisywała to, co miałem niby robić z innymi kobietami. Wydawało mi się, że sprawia jej to przyjemność.

– Czy próbował pan uspokoić żonę?

Deter pokiwał głową.

– Modliłem się. Razem się modliliśmy. I to pomagało, ale potem... Potem zaczęła naprzykrzać się sąsiadom. Chodziła do nich, kiedy ja byłem w pracy, i wmawiała im, że ukradli jej garnek, talerze, a nawet zegar ścienny. Raz próbowała wynieść święty obraz z jednego z okolicznych domów. Niemalże pobiła przy tym Bertę, swoją sąsiadkę i przyjaciółkę.

– A w domu? Jak się zachowywała w domu? – pytał dalej Alzheimer.

– Chowała różne rzeczy, a potem nie mogła ich znaleźć – wyjaśnił Deter. – Swoje i moje. A kiedy pytałem, gdzie jest koszula albo gdzie są skarpety, mówiła, że nie wie. Moje najlepsze ubranie oddała żebrakowi pod kościołem.

– Jak pan wtedy zareagował?

Mężczyzna spojrzął na lekarza. W jego wzroku tliła się niepewność.

– Wtedy pomyślałem, że to z dobroci serca, chociaż nie jesteśmy bogaci...

– Kiedy zaczął pan podejrzewać, że żona jest chora?

Deter nie wahał się.

– Kiedy wymieszała mąkę z cukrem oraz wydarła pierze z pierzyn i rozsypała je.

– Czy żona słyszała głosy? – spytał ostrożnie Alzheimer.

Mężczyzna nie zrozumiał.

– Że co? – spytał.

– Czy żona rozmawiała z kimś, kogo nie było w pomieszczeniu? – uściślił psychiatra.

– Chyba nie. – Deter zastanowił się. – Czasem mówiła do siebie, jakby nie widziała, że jestem obok. Raz, kiedy wróciłem do domu, zastałem ją przy kuchni. Próbowła rozpalić ogień i zrobić zupę, ale nie potrafiła. Wymyślała sobie wtedy od najgorszych. Sięgnęła nawet po nóż, chciała chyba zrobić sobie krzywdę, ale ją powstrzymałem.

– Czy były chwile, kiedy żona czuła się dobrze? Kiedy była taka jak dawniej?

Deter pokiwał głową.

– Na początku tak. Bywało, że zachowywała się normalnie. Gotowała, przeproszała sąsiadów. Wstydziała się tego, co robiła. Potem bała się zostawać sama, bo jak twierdziła, wtedy przychodzi do niej to coś, co miesza jej w głowie.

– Jak pan myśli, czym jest owo coś? – zapytał Alzheimer.

– To szatan – oznajmił Deter, po czym przeżegnał się kilka razy.

– Nie, to nie jest... – zaczął Alzheimer, ale przerwał, bo Robert Deter nagle zaczął płakać.

Płakał długo, szlochając niczym kobieta i drząc jak dziecko, które zostało niesłusznie ukarane.

Alois Alzheimer podszedł do mężczyzny i położył mu rękę na ramieniu. Nie znalazł żadnych słów pocieszenia, zatem nic nie powiedział.



– Nazywam się doktor Alois Alzheimer i jestem psychiatrą – przedstawił się pacjentce.

Auguste Deter była szczupłą pięćdziesięciolatką. Jej siwe włosy zwisały strąkami po obu stronach głowy. Spojrzenie kobiety było puste.

– Jak pani ma na imię? – spytał.

– Auguste – odpowiedziała.

– Czy wie pani, Auguste, gdzie się pani znajduje?

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie i nic nie odrzekła.

– Jest pani w szpitalu – powiedział łagodnym tonem Alzheimer.

Pacjentka przyjęła tę informację z obojętnością.

– Jak pani myśli, czemu znalazła się pani w szpitalu? – pytał dalej.

Auguste Deter milczała. Alzheimer skarcił się w duchu. Pytanie, które zadał, było trudne, a pacjentka sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– Jak ma na imię pani mąż? – znów spróbował zacząć rozmowę.

Auguste zaczęła kręcić się niespokojnie. Nagle wstała i podeszła do okna. Alzheimer także wstał z krzesła i podszedł do niej. Położył jej łagodnie rękę na ramieniu.

– Auguste, proszę się nie denerwować.

Zrzuciła jego rękę z ramienia i odwróciła się gwałtownie.

– Kim pan jest? – spytała. – Gdzie jestem?

– Nazywam się Alois Alzheimer i jestem psychiatrą – powiedział cierpliwie. – Znajduje się pani w Zakładzie Psychiatrycznym we Frankfurcie.

– O Boże, o Boże! – wykrzyknęła kobieta. – Dopadli mnie!

Podbiegła do drzwi i próbowała je otworzyć, a kiedy to się nie udało, zaczęła uderzać w nie pięściami i płakać.

– Auguste! – powiedział stanowczo Alzheimer. – Proszę się uspokoić.

Kobieta znieruchomiała, a następnie odwróciła się w jego stronę. Psychiatra ze spokojem zaprowadził ją na kozetkę. Pacjentka popłakiwała cicho.

– Już dobrze, już dobrze – Alois przemawiał do niej jak do dziecka. –
Wszystko będzie dobrze.

Auguste Deter spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– O Boże – jęknęła.



Frankfurt, 3.04.1901

Pacjentka Auguste Deter, lat 51, przywieziona przez męża z powodu zmiany w jej zachowaniu. Z relacji jej męża: podejrzliwa, oskarżająca go o zdradę, naprzykrzająca się sąsiadom. Problemy z planowaniem najprostszych czynności. Poważne zaburzenia pamięci. W chwili przyjęcia do szpitala niespokojna, słabo zorientowana, co do własnej osoby...

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę. – Alzheimer przerwał notować.

– Panie doktorze. – Do gabinetu lekarskiego weszła siostra Ulrike Schwartz, przełożona pielęgniarek. – Przychodzę w sprawie Auguste Deter.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

– Pacjentka od dwóch dni odmawia jedzenia. Wprawdzie nie karmimy pacjentów siłą, ale wczoraj dyżur miała siostra Helga, a wie pan doktor, jaka jest Helga.

Alzheimer skinął głową. Dobrze znał siostrę Helgę. Była to niezwykle sumienna Niemka, oddana pacjentom, ale działająca jak maszyna. Według niej pacjent ma jeść, spać o wyznaczonych porach, łykać proszki, jeśli ma takowe zaordynowane, i nie sprawiać kłopotów. On sam jako dyrektor zakładu próbował łagodnych metod. Do niczego pacjentów nie zmuszał, dużo z nimi rozmawiał, zachęcał do interakcji z innymi pacjentami. Dla lżej chorych organizował nawet wycieczki poza teren zakładu.

– I co zrobiła? – spytał ostrożnie.

Siostra Ulrike westchnęła.

– Helga w najlepszej wierze nakarmiła pacjentkę. Siłą. Dziś pani Deter wstała z łóżka, zaczaiła się na siostrę Helgę i zaatakowała ją uzbrojona we własne... – chrząknęła – ...fekalia.

– Mój Boże – powiedział Alzheimer.

– Podobnie wyraża się pani Deter – nie omieszkała dodać siostra Ulrike.
– Powtarza w kółko „o Boże, o Boże”.

– Co się teraz dzieje z pacjentką i siostrą Helgą? – odważył się zapytać Alzheimer.

– Obie się myją – odpowiedziała cierpko przełożona pielęgniarek. – Helga chce odejść z pracy. Czuje się poniżona.

Alzheimer zrobił zakłopotaną minę.

– Mogę tylko wyrazić ubolewanie...

– Już wyraziłam – przerwała mu pielęgniarka. – Ponadto wyjaśniłam tej dziewczynie, że jeśli chce pracować tu albo gdziekolwiek wykonywać szlachetny zawód pielęgniarki, musi być gotowa na podobne trudności. Nie wynikają one ze złośliwości pacjenta, a z jego choroby.

Alzheimer spojrział na przełożoną pielęgniarek z szacunkiem.

– Ma pani absolutną rację, ale może siostra Helga lepiej by się czuła na oddziale wewnętrznym, gdzie ryzyko podobnych zachowań ze strony pacjentów jest ograniczone? – zdołał wtrącić.

– Zajmę się tym – powiedziała stanowczo. – Ale ja nie przychodzę w tej sprawie.

– A w jakiej? – spytał niepewnie.

– Otóż panią Deter tak rozweselił jej... figiel, że jej stan znacznie się poprawił. Poprosiła o jedzenie, pytała o męża, a także o pana.

Alzheimer ucieszył się, słysząc tę informację.

– Dziękuję, siostrze Ulrike! – wykrzyknął i natychmiast wybiegł z pokoju.

Ostatnimi czasy Auguste leżała w łóżku i niewiele mówiła, zatem wieść o poprawie jej stanu zdrowia niezwykle go podekscytowała.

– Dzień dobry, Auguste – powitał ją w progu pokoju.

Pacjentka siedziała na łóżku w czystej pościeli. Na widok lekarza uśmiechnęła się.

– Dobry, doktor – odpowiedziała.

– Jak się pani dziś czuje, Auguste? – spytał serdecznie.

Pacjentka gwałtownie pochyliła się ku niemu.

– Mnie zamknęli – powiedziała szeptem. – Ty uciekaj.

Znów usiadła prosto i przybrała uprzejmy wyraz twarzy.

– Auguste, nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo – odrzekł Alzheimer łagodnie.

Kobieta spojrzała na swoje ręce, które nosiły ślady po bandażu, którym przywiązywano ją do poręczy łóżka, wtedy kiedy drapała swoje ciało do krwi i wrywała włosy. Alzheimer był przeciwny podobnym metodom i stosował je tylko w stanie najwyższej konieczności, tylko jeśli chory zagrażał samemu sobie albo innym osobom. Lekarz wyznawał filozofię, że najgorsze, co można zrobić, to unieruchomić człowieka, który ma urojenia, lęki albo słyszy głosy. W szpitalu, którym zarządzał, nie izolowano chorych, raczej zachęcano ich do spotkań i rozmów. Każdy z pacjentów mógł wyrazić swoją opinię na temat panujących w zakładzie warunków. Alzheimer uważał integrację pacjentów za element rekonwalescencji. Byli oczywiście tacy, którzy krytykowali jego metody, ale dopóki się one sprawdzały, dopóty robił to, co uważał za stosowne. Rzecz jasna nigdy nie zaryzykowałby wypuszczenia Auguste Deter z pokoju, w którym przebywała. Miał jednak nadzieję, że poprawa jej stanu utrzyma się nieco dłużej.

– Uciekaj – powtórzyła pacjentka.

– Obiecuję, że już nikt nie będzie pani zmuszał do jedzenia – przemówił znów łagodnym tonem.

– Byłam głodna – usłyszał.

– Cieszę się, że pani zjadła, Auguste. – Ponownie się uśmiechnął.

– Tak – odpowiedziała pacjentka. – A potem się zgubiłam. O Boże.

Delikatnie dotknął jej ręki. Nie cofnęła jej.

– Gdzie się pani zgubiła?

Auguste spojrzała na niego zdumiona.

– Kim pan jest? – spytała ostro.

Jej twarz wyrażała przestrah.

– Jestem doktor Alois Alzheimer – powtórzył. – Nic pani nie grozi.

– Doktor – powtórzyła jak echo.

– Pytała pani o męża. Chce pani, aby ją odwiedził?

Alzheimer nie był pewien, czy mąż pacjentki zechce do niej przyjść. Z początku często ją odwiedzał, ale te wizyty dużo go kosztowały. Za każdym razem bardzo przeżywał to, że żona go nie poznaje i nie chce z nim rozmawiać, a kiedy raz Auguste nieoczekiwanie rzuciła się na niego z pięściami, uciekł z zakładu i więcej go tu nie widziano.

– Poczciwy Robert – powiedziała. – Przyjść.

– Dobrze – przytaknął lekarz. – Mąż przyjdzie do pani.

– Odejdźcie, zostawcie – powiedziała beznamiętnym tonem.

– A może chciałaby pani pójść na spacer? – pytał niezrażony Alzheimer.

Wydawało mu się, że August rozumie, co do niej powiedział, ale nie potrafi sformułować właściwej odpowiedzi.

– Myślę, że się zagubiłam – odrzekła w końcu.

Na jej twarzy, przed chwilą obojętnej, znów malował się lęk.

– Chciałbym pomóc pani się odnaleźć – powiedział Alzheimer.

– Myślę, że się zgubiłam – powtórzyła, po czym położyła się powoli na łóżku i niezdarnie przykryła kocem.

– Pomogę pani, proszę mi zaufać – zapewnił ją.

– Uciekaj – jęknęła i zamknęła oczy.

Zrozumiał, że już nic więcej dziś nie uzyska. Kiedy wychodził, słyszał pełne żalu słowa Auguste:

– O Boże, o Boże, o Boże...



Stan Auguste Deter sukcesywnie się pogarsza. W ciągu pięciu miesięcy od przyjęcia stała się zupełnie niesamodzielna – notował Alois. – Pacjentka wydaje się nie odczuwać głodu, nie zgłasza potrzeb fizjologicznych, nie wstaje z łóżka. Wciąż zastanawiam się, czy jedną z przyczyn stanu pacjentki nie jest głęboka depresja.

Zastanowił się. Przypadek tej kobiety był szczególny. Porównywał go z wszystkimi swoimi pacjentami cierpiącymi na zaburzenia pamięci i dezorientację co do własnej osoby, czasu i przestrzeni, ale dotychczas nie znalazł podobieństw. Ponownie przeczytał publikację z „Jahresbericht über die Leistungen and Fortschritte auf dem Gebiete der Neurologie und Psychiatrie”. Profesor Flatau^[105] w swoim artykule przedstawiał przypadek Gerdy Minich, który na pierwszy rzut oka mógł się wydawać zupełnie inny niż przypadek Auguste Deter. Objawy tamtej kobiety zaczęły się w późniejszym wieku od kłopotów z pamięcią. Pacjentka zapominała imiona dzieci, nie pamiętała o umówionych spotkaniach z przyjaciółmi albo podczas rozmowy zadawała kilka razy to samo pytanie, czym wprawiała gości w konsternację. Zaniepokojony mąż relacjonował, że Gerda bagatelizowała swoje kłopoty i nie chciała o nich rozmawiać. Z czasem każda wzmianka o tym, że znów o czymś zapomniała, doprowadzała tę zazwyczaj pogodną kobietę do furii i agresji w stosunku do męża, tak słownej, jak fizycznej. Tu właśnie Alois Alzheimer dostrzegł między dwiema pacjentkami pewne podobieństwo. Z czasem Gerda przestała radzić sobie z zarządzaniem służbą. Zwykle to ona wydawała polecenia i udzielała pokojówkom i kucharkom jasnych instrukcji. Teraz nie umiała określić, czego oczekuje, a nawet nie potrafiła zdecydować, co ma zostać podane na obiad. Twierdziła przy tym, że służba odnosi się do niej bez szacunku, wyśmiewa ją na każdym kroku i okrada przy każdej możliwej okazji. Bywało, że wkraczała do kuchni i wylewała zupę na oczach kucharki albo rozrzucała produkty spożywcze – raz nawet wyrzuciła mięso przez okno. Potem zaprzeczała, jakoby coś takiego miało się wydarzyć, i upierała się, że jest prześladowana, a wszyscy wokół wymyślają te historie, żeby jej

dokuczyć. Była przy tym tak nieprzyjemna i agresywna, że córki nie odwiedzały jej z uwagi na sposób, w jaki odnosiła się do nich i wnuków. Zmarła nagle na szybko postępującą gorączkę. Po jej śmierci profesor Flatau zbadał mózg kobiety i znalazł duże zmiany w korze mózgowej, widoczne nawet gołym okiem. Pod mikroskopem zaś zaobserwował zmianę struktury kory, nierównomierne wybarwienie się komórek oraz poszerzenie przestrzeni płynowych.

Po raz pierwszy od przyjęcia, to jest po pięciu miesiącach i czterech dniach, nie udało mi się nawet na chwilę nawiązać kontaktu z pacjentką – notował tymczasem Alzheimer. – Mówiłem do niej, ale nie odpowiadała na pytania o samopoczucie ani nawet na pytania o to, czy mnie słyszy. Jej spojrzenie pozostało nieobecne, pacjentka cały czas patrzyła na wprost. Kiedy wykonywałem ruch ręką przed jej oczami, nie przymykała oczu, nie próbowała kierować wzroku w inną stronę. Zbadałem odruchy, które podczas pierwszego badania określiłem jako prawidłowe; obecnie są znacznie osłabione, szczególnie odruch kolanowy. Podobnie reakcja źrenic na światło wydaje mi się dość leniwa. Obserwuję atrofię mięśni, ale od wielu dni Auguste Deter nie wstaje.

– No cóż – powiedział do siebie. – Pozostaje mi tylko dalej ją obserwować, szukać podobnych przypadków i w odpowiednim czasie zbadać jej mózg.



Franz Nissl, wybitny psychiatra i neuropatolog, przyjaciel Alzheimera, zastał go jak zwykle przy pracy.

– Ach, to ty, mój drogi. – Alois ucieszył się na jego widok.

Chociaż nie pracowali już w jednym zakładzie – Nissl przeniósł się bowiem do kliniki psychiatrycznej w Heidelbergu – pomimo to Franz pozostał najbardziej zaufanym kolegą Alzheimera.

– Otrzymałem twój list. – Nissl uścisnął mu rękę. – Już miałem odpowiedzieć, ale okazało się, że i tak muszę przyjechać do Frankfurtu.

Pomyślałem sobie, że cię odwiedzę i porozmawiamy o wspomnianym przez ciebie przypadku.

Alzheimer wskazał przyjacielowi krzesło.

– Częściowo opisałem ci Auguste Deter. Zamierzam przedstawić historię jej choroby w prasie fachowej, jestem w trakcie gromadzenia opisów podobnych przypadków z całej mojej dotychczasowej praktyki. Na razie szukam tych z postępującymi zaburzeniami pamięci. Potrzebuję jednak twojej pomocy. To jest wyjątkowy obraz chorobowy i nie chciałbym popełnić jakiegoś błędu, spłaszyc tej historii albo pójść niewłaściwym tropem w dyskusji.

Nissl roześmiał się. Jak zwykle Alzheimer przeszedł do rzeczy, nie zaproponował mu, żeby odpoczął, ani nie poczęstował filiżanką herbaty.

– O innych pacjentach porozmawiamy później. Teraz opowiedz mi dokładnie o tym przypadku, bo na razie nie mam jasności, czy rozmawiamy o lekkiej psychozie, nietypowej depresji czy może o innej chorobie – odparł.

Alzheimer westchnął, po czym zaczął opowiadać koledze o Auguste Deter, o tym, w jakim stanie została przyjęta do szpitala i jak zmieniła się w ciągu zaledwie kilku miesięcy.

– Czyli zaburzenia pamięci mimo wszystko wysuwają się na pierwszy plan? – podsumował Nissl.

– Tak – potwierdził Alzheimer. – I dotyczą one pamięci zarówno krótkotrwałej, jak i długotrwałej.

– Czy któryś deficyt przeważa?

Alzheimer pokręcił głową.

– Nie. Z początku Auguste miała lepsze i gorsze dni. W te lepsze pamiętała, jak ma na imię, że ma męża, zdarzało jej się także wspominać dzieciństwo. Potrafiła wykonać proste czynności, bywała nawet pogodna.

– A w te gorsze? – pytał Nissl.

Alzheimer zamyślił się.

– Wtedy zachowywała się dwojako. Albo była bardzo smutna, leżała cały dzień i odmawiała jedzenia, powtarzając w kółko „O Boże, o Boże”. Albo też – westchnął – była bardzo agresywna. Określała nas wszystkich najbardziej obelżywymi słowami, pluła jedzeniem, kopała i próbowała zrobić sobie krzywdę.

Teraz to Nissl się zamyślił.

– To przypomina zachowanie naszych dotychczasowych pacjentów z zaburzeniami pamięci – zauważył.

– Owszem – zgodził się Alzheimer. – To podobny przypadek, ale tu proces utraty pamięci jest bardzo gwałtowny.

– Czy pamiętasz, Aloisie, tego siedemdziesięcioletniego zegarmistrza? – spytał nagle Nissl.

Alzheimer pokiwał głową. Był to jeden z najciekawszych przypadków utraty pamięci, jeden z pierwszych przedstawianych przez nich na sympozjum neurologicznym we Frankfurcie. Stary zegarmistrz początkowo narzekał na utratę precyzji w palcach. Zważywszy na jego wiek, nie było to specjalnie zaskakujące. Tyle że mężczyznę złościła własna niezgrabność. Nie poddawał się i mimo porażek nie przestawał naprawiać zegarków, a klienci zaczęli skarżyć się, że odbierają swoje czasomierze w jeszcze gorszym stanie. Mężczyzna stał się bardzo przykry dla rodziny. Twierdził, że córka go więzi i odmawia mu jedzenia, syn okradł go ze wszystkich pieniędzy, a brat czyha na jego życie. Zegarmistrz trafił do zakładu, kiedy był już w takim stanie, że musiał zamknąć sklep. Po jego nagłej śmierci w zbadanym mózgu nie znaleziono guza, krwiaków czy malformacji naczyń, jedynie przestrzenie płynowe były bardzo poszerzone, a kora mózgu cienka niczym kartka papieru.

– Również zachowywał się agresywnie wobec bliskich – zauważył Nissl.

– Tak – potwierdził Alzheimer. – Ale zaburzenia pogłębiały się u niego stopniowo. Był coraz mniej sprawny, miał coraz większe kłopoty z pamięcią i coraz gorzej odnosił się do członków rodziny. W przypadku Auguste jest inaczej. Jej zachowanie zmienia się niemalże z godziny na godzinę. Jest coś jeszcze. Mam wrażenie, że ona mnie nie rozumie. Kiedy

mówię do niej ja albo ktoś z personelu, reaguje raczej na tembr głosu, niczym pies, którego się albo głaska, albo karci.

– To zmiany starcze, tyle że bardzo gwałtowne – stwierdził Nissl.

– Tak to wygląda, ale Auguste ma pięćdziesiąt dwa lata.

Nissl zamilkł, najwyraźniej zaskoczony wiekiem pacjentki. Zachowania takie jak Auguste Deter zdarzało im się widywać już wcześniej. Ich przyczyną był niejasny proces degeneracyjny – lekarze obserwowali wówczas u pacjentów utratę masy mózgowej, ścieńczenie kory mózgu i powiększenie komór, zwłaszcza bocznych. Jednak pacjenci ci zawsze byli w podeszłym wieku.

Najmłodszy pacjent z zaburzeniami pamięci, którym się zajmowali, miał sześćdziesiąt osiem lat. U wszystkich pierwszym i dominującym objawem była utrata pamięci bezpośredniej. Chorzy opowiadali o dzieciństwie z najdrobniejszymi szczegółami, przywoływali imiona ludzi, których spotkali przelotnie, a jednocześnie zapominali imion swoich własnych dzieci.

– Jesteś pewien, że choroba zaatakowała ośrodek mowy? – spytał Nissl.

– Tak. – Alzheimer pokiwał głową. – Jej kłopoty z mową nie wynikają z zaburzeń pamięci. Ona nie rozumie słów, które słyszy, i nie potrafi znaleźć tych, których powinna w danej sytuacji użyć.

– Uważasz, że ośrodek Broki^[106] został uszkodzony? – spytał.

– Nie tylko proces generowania mowy jest zaburzony. Ośrodek rozumienia także, a przecież nie są położone blisko siebie.

– Może przyczyną jest szybko rosnący guz mózgu? – zastanawiał się na głos Nissl.

Alzheimer pokręcił przecząco głową.

– Nie ma żadnych objawów wskazujących na to, żeby w mózgowiu przebiegał proces rozrostowy. Żrenice są równe, pacjentka nie ma bólów głowy, nie zauważyłem drgawek.

– Trzeba ją zatem obserwować – westchnął Nissl.

– Obserwuję ją – odparł Alzheimer. – Tymczasem próbujemy wszelkich sposobów, żeby utrzymać ją przy życiu. Karmimy, zmuszamy do chodzenia, czytamy jej. Auguste jest przy tym albo bierna, i wtedy pozwala się prowadzić niczym pies na smyczy, albo też złości się i protestuje, jakby czuła, że staramy się na siłę przedłużyć jej życie.

– Nie poddajesz się. – Nissl uśmiechnął się.

Nie znał nikogo, kto bardziej angażował się w leczenie pacjentów i przejmował się, kiedy nie potrafił im pomóc, niż Alois.

– Nigdy się nie poddam – westchnął Alzheimer. – Ilekroć wydaje mi się, że Auguste za chwilę umrze, ona odrobinę się ożywia, chętniej zjada posiłek albo pozwala rozmasować sobie nogi.

– Czyli wciąż ma przebłyski lepszego nastroju?

Alzheimer pokiwał głową.

– Czasem wydaje mi się, że znów mnie poznaje i chciałaby coś powiedzieć, ale nie potrafi. Próbuje i rezygnuje, powtarza tylko swoje „o Boże, o Boże”, tyle że coraz mniej wyraźnie.

Zamyślił się, a Nissl postanowił wykorzystać ten moment, aby wyjawic prawdziwy cel swojej wizyty.

– Aloisie – zaczął. – Kraepelin^[107] wysłał mnie do ciebie z misją. Chce cię widzieć w Heidelbergu.

– Nie może być – wyszeptał przejęty Alzheimer, ale zaraz się zasmucił. – Jeśli się przeniosę, kto będzie opiekował się tutejszymi pacjentami?

Nissl pokręcił głową z niedowierzaniem. Jak zwykle jego przyjaciela zaprzątały problemy podopiecznych. Kilka miesięcy temu zmarła żona Aloisa i po jej odejściu Alzheimer jeszcze bardziej oddał się pracy.

– Ile przypadków zaburzeń pamięci opisałeś? – spytał.

– Około pięćdziesięciu. – Alzheimer spojrzął na stertę notatek.

– Tam będziesz opisywał kolejne. A tutejszy zakład zostawisz w dobrych rękach. Możesz poprosić, aby na bieżąco donoszono ci o stanie pani Deter, a po jej śmierci, która, jak wiemy, nieuchronnie nastąpi, zbadasz jej mózg.

Alzheimer jeszcze raz spojrzął na swoje notatki, potem na przyjaciela.

– Chciałbym zmienić otoczenie po śmierci Nathalie – wyznał cicho. Na jego twarzy zagościł smutek. – Zresztą Kraepelinowi się nie odmawia – dodał.



3 listopada 1906 roku było bardzo zimno. W Tybindze spadł śnieg i nieliczni przechodnie przemykali ulicami miasta, zasłaniając twarze przed mrozem. Alois Alzheimer spieszył się na posiedzenie Towarzystwa Neuropsychiatrii, na którym miał opowiedzieć o Auguste Deter. Był tak podekscytowany, że prawie nie czuł zimna.

– Chciałbym przedstawić szanownemu gronu przypadek specyficznej choroby kory mózgowej u zmarłej pacjentki Auguste Deter – zaczął.

Od czasu, kiedy opuścił Frankfurt, regularnie dowiadywał się o jej stan zdrowia. Przez ostatnie lata kobieta nie wstawała z łóżka ani nie nawiązywała żadnego kontaktu z otoczeniem. Na jej ciele pojawiły się odleżyny, które spowodowały zakażenie krwi, a w konsekwencji – śmierć pacjentki. Jej mózg przesłano Alzheimerowi do zbadania. Pod mikroskopem lekarz zauważył rozległe zmiany w komórkach. Istota biała była zbita, warstwa szarych komórek bardzo cienka, a komory boczne – mocno poszerzone. W płatach skroniowych, gdzie mieszczą się ośrodki odpowiedzialne za pamięć, Alzheimer znalazł największe zmiany, widoczne zarówno gołym okiem, jak i pod mikroskopem.

– Określiłbym tę jednostkę jako chorobę zapominania – podsumował. – Chociaż występowały także inne objawy, to procesy pamięciowe wydawały się najbardziej zaburzone. Mówię tu o kojarzeniu miejsc, osób, słów, a także o pamięci bezpośredniej i dawnej.

Kiedy skończył, rozległy się oklaski. Alzheimer skłonił się.

– Czy mają państwo jakieś pytania? – Rozejrzał się po sali wykładowej.

– I my mieliśmy do czynienia z przypadkami, w których dominowały zaburzenia pamięci – powiedział szczupły naukowiec, który specjalizował

się w zmianach psychicznych zachodzących w mózgu po przebyciu zapalenia opon mózgowych. – Były to jednak zawsze osoby starsze niż prezentowana przez pana pacjentka.

– To prawda – odparł Alzheimer. – To jedyny przypadek pacjentki w wieku młodszym niż podeszły. Gromadziłem i nadal gromadzę informacje o innych chorych, u których dominują zaburzenia pamięci. Zmiany w mózgowiach u wszystkich tych pacjentów były podobne. Co wyróżniało Auguste Deter, to stosunkowo młody wiek; kiedy zachorowała, miała zaledwie pięćdziesiąt lat. Zwykle choroba ujawnia się po siedemdziesiątym roku życia.

– Ilu pacjentów z podobnymi objawami pan opisał?

– Dotychczas przeanalizowałem i opisałem około stu chorych – wyjaśnił. Na sali rozległ się szmer podziwu.



Na widok przyjaciela Nissl ledwo ukrył zdumienie. Policzki Aloisa były zapadnięte, mężczyzna oddychał ciężko, a jego skóra miała niezdrowy odcień.

– Nie patrz tak na mnie, mój drogi. Wiem, że jestem chory – mruknął Alzheimer.

Nissl nic nie odpowiedział. Korespondowali z Aloisem regularnie. Od lat publikowali w pismach specjalistycznych prace na temat zmian histologicznych zachodzących w komórkach mózgu pod wpływem różnych chorób. Część już ukazała się drukiem, na przykład *Histologische und histopathologische Arbeiten über die Großhirnrinde*. Nissl przybył do Wrocławia, gdzie aktualnie mieszkał Alzheimer, żeby zobaczyć Klinikę Psychiatryczną i Neurologiczną, w której Alois obecnie pracował, a także żeby omówić pewne kwestie związane z pracami na temat paraliżu postępującego. Alzheimer napisał bowiem rozprawę habilitacyjną na temat

histologicznej diagnostyki tej choroby. W listach przyjaciel nie wspominał jednak, że cierpi na jakąkolwiek przypadłość.

– Jeszcze kilka miesięcy temu, kiedy widzieliśmy się w Monachium, byłeś okazem zdrowia. – Nissl nie mógł powstrzymać się przed komentarzem. – Co ci dolega?

– Nie widzisz? – sapnął Alois. – Zestarzałem się, mój drogi kolego. Męczą mnie duszności, mam zaburzenia pracy serca...

– A nie możesz nieco ograniczyć tempa pracy? Leczysz chorych, prowadzisz badania, a do tego wykładasz na uniwersytecie.

Alzheimer machnął ręką.

– Wiesz, jak lubię uczyć. Poza tym kto miałby kierować tutejszą Katedrą Psychiatrii?

– Wrocław – westchnął Nissl. – Piękne miasto. Może i ja się tu przeniosę. Moglibyśmy znów razem pracować. Co ty na to?

Alois uśmiechnął się.

– Słuchaj, Franz – powiedział do przyjaciela. – Wiem, że umieram...

– Co ty opowiadasz? – przerwał mu Nissl, ale Alzheimer uciszył go ruchem ręki.

– Nawet nie próbuj. Nie potrzebuję pocieszenia. Mam postępującą niewydolność serca i chore nerki. Moja śmierć to kwestia czasu. Krótkiego czasu, Franz. Wydałem już dyspozycje. Chciałbym spocząć obok mojej Nathalie we Frankfurcie.

– Spoczniesz, kiedy przyjdzie czas – wtrącił Nissl.

– O tym właśnie mówię – odparł Alois. – Kiedy przyjdzie czas. Nie zamierzam grzebać się za życia.

Nissl milczał.

– No, nie rób takiej miny, mój drogi – powiedział Alzheimer i poklepał przyjaciela po ramieniu. – Przynajmniej nie cierpię na chorobę zapomnienia. Nie ma nic gorszego niż śmierć w wyniku przypadłości, którą samemu się opisało.

– Nie nazywaj jej chorobą zapomnienia. Pięć lat temu Kraepelin w swoim podręczniku określił ją jako chorobę Alzheimera – przypomniał mu Nissl.

– To miłe z jego strony. – Alois uśmiechnął się. – Choroba Alzheimera. Szkoda tylko, że nie znajdę na nią lekarstwa – dodał. – Już nie zdążę. Opisałem blisko sto pięćdziesiąt przypadków. Mogę spokojnie odejść.

Nissl spojrział na przyjaciela ze smutkiem. Nie spodziewał się, że Alois jest aż tak ciężko chory.

– No już, co tu tak będziemy siedzieć – zniecierpliwił się Alois. – Pokaż najnowsze rysunki, które przygotował twój rysownik do naszej książki. Zajmijmy się czymś pożytecznym.

Nissl westchnął i wyjął z teczki pięknie wykonane ryciny komórek mózgu ze zmianami zapalnymi oraz zwyrodnieniowymi.

– Twój rysownik jest znacznie lepszy niż mój – powiedział Alzheimer, z zadowoleniem oglądając prace. – Piękne ilustracje.

ROZDZIAŁ V

w którym nikomu nie będzie do śmiechu, ponieważ wybucha druga wojna światowa. Zosia wraz z rodziną pozostaje w Polsce. Życie w okupowanej Warszawie jest bardzo trudne, Niemcy bombardują domy mieszkalne i szpitale, mordują ludność cywilną. Lekarze wojskowi zostają zmobilizowani i udają się na wschód, skąd – jak wiemy z historii – nigdy nie wrócą. Szpital Ujazdowski nadal stosuje się do postanowień konwencji genewskiej. Zosia, podobnie jak tysiące innych lekarzy i pracowników ochrony zdrowia, niesie pomoc chorym i rannym, starając się przeżyć w koszmarze, który rozpętali Hitler i Stalin. W Warszawie powstaje getto.

– Wybuchła wojna, Zosiu. – Stanisław patrzył na żonę nieprzytomnym wzrokiem.

– Co ty mówisz? – spytała, przecierając zaspane powieki.

Wczoraj do późna pisała pracę pogładową na temat pośmiertnych zmian w strukturach mózgowia u pacjentów, którzy wcześniej cierpieli na zaburzenia pamięci. Położyła się po północy, ale długo nie mogła zasnąć, omawiając w myślach wszystko, co zamierzała przedstawić.

– Hitler napadł na Polskę – powiedział Stanisław. – Z morza, lądu i powietrza. Jest wojna.

Zosia odrzuciła kołdrę.

– Boże! – wykrzyknęła i zerwała się. – Muszę natychmiast iść do szpitala!

– Zofio Gorazdowska! – wrzasnął Stanisław, a Zosia zatrzymała się w pół kroku i obejrzała na męża.

– Stachu, tam na pewno będą się organizowały oddziały, komendant i ordynatorzy przeprowadzą narady. Dyrekcja będzie chciała wypisać chorych cywilów i przygotować miejsca dla żołnierzy – argumentowała.

– Czy ty słyszysz, co ja powiedziałem? – Stanisław złapał się za głowę. – Musimy natychmiast wyjechać z kraju. Póki jeszcze można.

– Ale dlaczego? – spytała Zosia. – Walki będą się toczyły pewnie gdzieś przy zachodniej granicy.

– Zosiu, co ty mówisz? – Stanisław patrzył na żonę z niedowierzaniem. – To nie będzie taka wojna, jaką znasz z opowieści sprzed dwudziestu lat. Do walki nie pójdą malowani chłopcy, a my nie będziemy wieszać flag w oknach.

– Niemcy nie ośmielą się wejść do Warszawy. Nawet bolszewików zatrzymaliśmy – upierała się Zosia.

Stanisław włączył radio, gdzie grzmiał komunikat:

– „Halo, halo, tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś rano o godzinie piątej minut czterdzieści oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji. Bombardowano szereg miast...”.

Dopiero później przyszły dokładniejsze informacje. Pierwsze strzały oddano z pancernika „Schleswig-Holstein” w kierunku magazynów wojskowych na półwyspie Westerplatte w pobliżu Gdańska. Luftwaffe wsparło atak z powietrza, a z lądu na Polskę ruszyły sześćdziesiąt dwie dywizje, dwa tysiące osiemset czołgów oraz dwa tysiące samolotów.

Trzy dni później, kiedy Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę, w szpitalu było już nieco spokojniej. Nawet starzy żołnierze – zwłaszcza oni – twierdzili, że już za chwilę polskie wojsko, wraz z aliantami, wkroczy do Berlina. Zosia myślała wprawdzie, że nie po to Hitler od lat się zbroił, żeby teraz wpuścić armię francuską albo angielską – o polskiej nie wspominając – do swojej stolicy, ale z niecierpliwością czekała na wiadomość o przekroczeniu granicy niemieckiej przez wojska alianckie. Tyle że taka wiadomość nie nadeszła. W szpitalu panowała gotowość do boju, ale i pełna wiara w rozsądek tych, którzy wywołali wojnę.

– Tydzień i po sprawie – przekonywała Stacha Zosia, zaklinając rzeczywistość. – Nasza flaga wkrótce będzie powiewała na Reichstagu.

– Mam trudności z załatwieniem biletów dla nas – odparł zdenerwowany Stanisław. – Ceny są niebotyczne, a mimo to brakuje wolnych miejsc.

Pluł sobie w brodę, że podczas wakacji w Szwajcarii zlekceważył wszystkie ostrzeżenia, które podsyłały mu gazety, i nie tylko nie pozostał na miejscu, ale też jak jakiś kmiotek, który nie zna historii, wrócił do Warszawy. Ale kiedy powiedział o tym żonie, zareagowała oburzeniem i wypowiedziała mnóstwo patriotycznych formuł, które Stanisław kiedyś uznałby za słodkie, teraz jednak wiedział, że to brednie.

– Ale ja nie chcę wyjeżdżać – odpowiedziała mu Zosia. – Trzeba zostać i przeczekać.

– To głupota, Zosiu – wyjaśnił jej. – Trzeba spieniężyć, co się da, i uciekać.

– Dokąd? Czy nie uważasz, że tym bardziej należy trwać przy ojczyźnie? – spytała.

– Nie – odpowiedział jej. – Lepiej wyjechać. Do Szwajcarii albo do Ameryki.

– Przecież my tam nikogo nie znamy – oburzyła się. – Poza tym naprawdę Anglicy, Francuzi i Polacy, a nawet... Rosjanie zaraz Niemców zatrzymają i wtedy wyjdziemy na tchórzy.

Stanisław podszedł i ją objął.

– Ale co, kochany? Co? – pytała Zosia, targana wprawdzie niepokojem, ale głęboko przekonana, że wypływa on tylko z faktu, że pracuje wśród wojskowych, dla których wojna jest chlebem powszednim. – Wojna dotyczy żołnierzy.

– Nie słyszysz odgłosów bombardowań?

Oczywiście, że je słyszała. W szpitalu otwarto schrony i urządzono w nich sale operacyjne oraz sale dla najciężej chorych pacjentów. Ponadto zgromadzono prowiant i potrzebny sprzęt.

– Słyszę, ale... – Głos jej się załamał. – Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom. Szpital się mobilizuje.

Stanisław zaśmiał się krótko i nieprzyjemnie.

– Wyjeżdżamy natychmiast. Na razie z Warszawy – zdecydował. – I nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu. Jeśli za tydzień będzie po wszystkim, wrócisz do szpitala.

– Ale ja nie mogę tak po prostu wyjechać – stwierdziła oburzona Zosia. – Poza tym dokąd chcesz pojechać? Do Krakowa?

– Nie – odparł. – W Krakowie wcale nie jest bezpieczniej niż w Warszawie. Pojedziemy do naszego majątku, do Komorowa. Rozmawiałem z Klementyną. Ona też tam zjedzie z dziećmi. Przeczekamy największy chaos, może ceny spadną, a wtedy znów spróbuję zdobyć bilety na statek.

– Klementyna od dłuższego czasu bała się wojny, a mimo to nie słyszę, żeby z Kornelem snuli plany wyjazdu – stwierdziła Zosia z przekąsem. – A w majątku to co? Towarzystwo matki i ojca Klementyny będzie gorsze niż wojna. A poza tym co z moim dziadkiem? Wiesz, jak pogorszył się jego stan. Kiedy znajdzie się w kolejnym nieznanym sobie środowisku...

– Nie czas na targi! – krzyknął Stanisław, do reszty zniecierpliwiony oporem Zosi. – Zrozum to! Masz dzieci i musisz im zapewnić bezpieczeństwo!

– Stanisławie, ale Hitlerowi chodzi tylko o Gdańsk! – powiedziała z uporem. – Kiedy Wolne Miasto wejdzie w skład Rzeszy, on zostawi nas w spokoju.

– Co za bzdury opowiadasz! Jesteś naukowcem, do cholery, a zachowujesz się jak panienka z pensji, która upiera się przy lodach, mimo że jest zimno na dworze!

Zosia, która nigdy nie widziała męża tak bardzo zdenerwowanego, pokiwała wreszcie głową.

– Dobrze, Stachu, dobrze – zgodziła się. – Weź dzieci i jedźcie, a ja tu załatwię wszystkie sprawy i najdalej w poniedziałek do was dołączę.

Syreny znowu zawyły, zwiastując nalot, i Zosia, chociaż całe jej ciało dopominało się wypoczynku po dyżurach, zeszła ze Stanisławem, dziadkiem i Honorką do schronu.



– Zosiu, bądź rozsądna i wyjeżdżaj, tak jak ci radzi mąż. – Zdenerwowany Witold pakował sprzęt Zakładu Radiologii.

– Maria nie wyjechała – powiedziała cicho Zosia.

– Mówiłem jej, żeby to zrobiła. – Podniósł głowę, po czym wskazał asystentom szuflady, w których były jakieś papiery i odczynniki. – Zapakujcie to w papier nieprzezierny. A tamto musi znaleźć się w szczelnych puszkach.

Do pracowni wszedł młody sierżant i zasalutował.

– Panie pułkowniku – zameldował. – Podjechały ciężarówki.

– Gdzie twoja żona i synowie? – spytała Zosia. – Może zabrać ich do Komorowa? To wielki dom, z łatwością się pomieścimy.

– Dziękuję, kochana, ale wczoraj wywiozłem ich do Skobelki, do rodziny. Jak najdalej od działań wojennych.

– Bogu dzięki, że się zgodzili. – Zosia przeżegnała się mimowolnie.

Pamiętała, jak najstarsi synowie Witolda, Andrzej i Witek, harcerze z „Pomarańczarni”, rozprawiali o wybuchu wojny i deklarowali, że będą walczyli z Hitlerem, co naturalnie nie spotkało się z entuzjazmem ani samego Witolda, ani tym bardziej ich matki. Zwłaszcza Andrzej, tegoroczny maturzysta, wrywał się do walki i jeszcze przed wybuchem wojny zamierzał jechać do Berlina i tam obserwować ruchy wojsk.

– Andrzej chciał jechać ze mną. – Witold przystanął i omiół wzrokiem puste pomieszczenie. – Z armią. Jako mój adiutant. Z trudem mu to wyperswadowałem. Matki ma pilnować. I braci.

Witold został komendantem szpitala ewakuacyjnego, który miał podążać za polską armią na wschód.

– Panie pułkowniku... – Żołnierz przestępował z nogi na nogę. – Wszyscy czekają.

– Idź z Bogiem. – Zosia objęła przyjaciela. – Pogońcie Niemców i szybko wracajcie.

Patrzyła za odjeżdżającymi ciężarówkami, mrużąc oczy, bo słońce stało już bardzo wysoko.



– Wszyscy cywilni pracownicy, którzy mają taką możliwość, powinni pozostać na terenie szpitala, gdzie mamy dobrze przygotowane schrony i zaopatrzenie na wypadek taki jak ten – powiedział komendant na jednym z pierwszych zebrań.

– A nasze rodziny? – spytał ktoś z głębi sali.

– Warszawa jest bombardowana. Wiara, że odeprzemy narastające siły wroga, jest złudna. Szpital znajduje się na pierwszej linii ognia. Uważam, że w domach wasi najbliżsi będą bezpieczniejsi.

Zosia siedziała z innymi cywilnymi pracownikami, otepiała, przerażona, wreszcie gotowa porzucić wszystko i uciekać do Komorowa, do dzieci, Grażynki i trzyletniego Gienka, które razem ze Stanisławem zdecydowali się wywieźć do rodzinnego majątku i tam pozostawić. Początkowy plan, aby wszyscy wyjechali do dworku Gorazdowskich, spalił na panewce. Po pierwsze, stanowczo sprzeciwił się temu dziadek Zosi, który w przebłysku pamięci i uporczywości stwierdził, że już raz dał się wyrwać z korzeniami z ziemi i nie zrobi tego po raz drugi, nawet dla dobra wnuczki. Po drugie, Stach stwierdził, że nie ma na co czekać i najważniejsze teraz jest to, aby spieniężyć aktywa i uzyskać bilety na samolot do Szwajcarii. Bawiąc na wsi, nie dałoby się tego zrobić, a Stanisław już nie chciał liczyć na pośredników, którzy tylko windowali ceny, a potem rozkładali ręce w bezradnym geście i otwarcie sobie z niego kpili, kiedy pytał o następny samolot. Już dawno zrezygnował z pomysłu rejsu statkiem z Polski, bo Niemcy kontrolowali wybrzeże i podróż do Gdańska z małymi dziećmi oraz sędziwym dziadkiem była czystym szaleństwem. Obawiał się, że

niedługo droga powietrzna zostanie również zamknięta, a jedyną realną szansą na opuszczenie kraju będzie przekroczenie granicy na wschodzie samochodem i jazda okrężną drogą do Szwajcarii, Francji albo Hiszpanii.

– Na miejscu się zobaczy, czy zostajemy czy też ruszamy dalej, a jeśli tak, to dokąd – mówił.

– Nie uważasz, że lepiej przeczekać wojnę? – spytał Kornel, który wcześniej zgadzał się ze wszystkim, co mówił Stach, ale w głębi serca wydawało mu się absurdem, by rzucać wszystko i jechać w nieznane.

– A ty na co chcesz czekać? – zdumiał się Stanisław. – Aż nas pozabijają?

– A majątek u kogo chcesz zostawić? – Kornel skrzywił się w odpowiedzi. – Ja uważam, że w Otwocku jest bezpieczniej niż w Komorowie, a tym bardziej w Szwajcarii, ale już nic nie mówię.

Stanisław przedyskutował sprawę z upartym szwagrem i w końcu ustalili, że Klementyna pojedzie do Komorowa, by opiekować się wszystkimi dziećmi, Zosia pozostanie w szpitalu, bo tam mimo wszystko było najbezpieczniej, a Kornel i Stanisław zajmą się zdobyciem żywej gotówki i organizacją wyjazdu. Honorce powierzono opiekę nad starszym panem, którą kobieta przyjęła z rezygnacją, wolałyby bowiem zajmować się bardzo grzecznymi dziećmi Zosi i Stanisława i nieco mniej grzecznymi dziećmi Witchelów, a nawet okropnymi rodzicami pani Klementyny niż „panem starszym doktorem”, który nie słuchał się jej i robił, co chciał.

Chaos, jaki zapanował w całej Warszawie – we wszystkich instytucjach, nawet w Szpitalu Ujazdowskim, który wydawał się placówką przygotowaną na taką okoliczność – przekroczył najśmielsze obawy mieszkańców. Tylko że najgorsze miało dopiero nadejść.

Pierwsze „najgorsze” wydarzyło się 17 września, kiedy Rosjanie zaatakowali Polskę od wschodu. Wszyscy ci, którzy uciekli do Lwowa, nie wiedzieli, czy liczyć na to, że Rosjanie nie będą aż tak okrutni jak Niemcy, czy też natychmiast wracać, skąd przybyli.

Drugie „najgorsze” przyszło z bombardowaniami. Już nikt nie miał wątpliwości, że trzeba było posłuchać mądrzejszych i bardziej

zapobiegliwych i uciekać, gdzie pieprz rośnie. Także Zosia nie miała już co do tego najmniejszych wątpliwości. Nikt nie próbował nikogo uspokajać, bo wizja wkroczenia do Berlina Francuzów i Anglików z Polakami u boku była tak nieprawdopodobna jak bajki o żelaznym wilku.

– Trzeba natychmiast zdjąć tę flagę! – krzyczał zlany potem komendant szpitala, nagle bezradny wobec ataku wroga, zniszczeń i wszechobecnej śmierci.

Po zbombardowaniu obiektów cywilnych, w tym Szpitala Praskiego, w pierwszych dniach września polecono na dachach szpitali zawiesić białe flagi z czerwonym krzyżem. Tak uczyniono też w Szpitalu Ujazdowskim w przekonaniu, że bombardujący Warszawę Niemcy uszanują miejsca chronione przez konwencję haską. Okazało się jednak, że czerwone krzyże na białym tle stanowiły wspaniały cel dla czterystu samolotów Luftwaffe, które 25 września przez jedenaście długich godzin bombardowały Warszawę. Dwa dni wcześniej w nieco mniejszej liczbie nadleciały nad dzielnicę żydowską i niemal zrównały ją z ziemią.

– Mój Boże, co się stało z Joachimem...? – zamartwiał się Henryk Iwanicki. Kiedy zaczęły się bombardowania, natychmiast pobiegł do szpitala i tam operował rannych, chociaż zszedł z dyżuru kilka godzin wcześniej.

Jak na zawołanie do pokoju wszedł doktor Goldschmidt, cały i zdrowy. Usiadł na leżance do badań i ukrył twarz w dłoniach. Drżały mu ramiona.

– Herbaty? – spytała bezradnie Zosia. – Czy coś byś zjadł?

– Był Jom Kipur – powiedział Joachim, ignorując jej słowa. – Dranie celowo zbombardowali dzielnicę mieszkalną i synagogi.

– Czy wszyscy...? – spytała Zosia i zasłoniła ręką usta, bo nie potrafiła wypowiedzieć słowa „przeżyli”.

– Nikt z moich bliskich nie zginął – odpowiedział jej Joachim.

– Mówiłeś, że masz rodzinę w Chełmie – przypomniała sobie Joasia Rychter. – Na twoim miejscu wywiozłabym ich tam. Byle poza Warszawę. Na wschodzie będą bezpieczniejsi.

– Przecież Rosja zaatakowała Polskę od wschodu – powiedziała gorzko Danusia Rodziewiczówna.

– Ale Rosjanie nie nienawidzą Żydów tak bardzo jak Niemcy – powiedziała Joasia, ale w jej głosie nie było słycać pewności, tylko ogromne zmęczenie.

– Pozostaniemy razem – powiedział Joachim z godnością. – Jeśli trzeba, to do końca.

Zosia milczała. Myślała o Witoldzie, który wraz z innymi oficerami przebywał na wschodzie. Modliła się za niego co wieczór.



„Pojawili się z rannymi. Nie od razu, ale należało się ich spodziewać”, myślała Zosia, kiedy zobaczyła, jak w pełnym słońcu Niemcy wbiegają przez bramę i kierują się z noszami wprost do budynku, gdzie na wszystkich stołach chirurgicznych operowano rannych. Ona też operowała, ramię w ramię z największymi, najbardziej biegłymi chirurgami. Gdyby ktoś jej powiedział, że w taki właśnie sposób spełnią się jej marzenia o specjalizacji zabiegowej, natychmiast przestałaby jej pragnąć. Początkowo wykonywała drobniejsze zabiegi, szyła i opatrywała rany, wyciągała powierzchownie umiejscowione odłamki z ciał żołnierzy i cywilów. Wkrótce zaczęła pomagać chirurgom przy bardziej skomplikowanych operacjach, a radiologom przy zdjęciach rentgenowskich. Przenośny rentgen, który pomógł skonstruować inżynier Maciąg, okazał się nieoceniony. Na zdjęciach klatek piersiowych i jam brzusznych uwidaczniały się odłamki pocisków czy kule, które utkwily w ciałach operowanych, dzięki czemu można było je usunąć. Wreszcie, kiedy większość chirurgów pojechała na front, nikt już nie pytał lekarzy o specjalizację, a umiejętności Zosi okazały się bezcenne.

– Niemcy! – rozległy się pełne niedowierzania głosy.

Musieli znać rozkład budynków, bo udali się wprost na chirurgię, gdzie operowano rannych cywili. Żołnierze byli poddawani zabiegom w schronie, który mieścił się głęboko pod ziemią, miał własny generator prądotwórczy i sterylizatornię. „Mój Boże”, pomyślała Zosia, biegnąc za nimi. „Co my teraz zrobimy?”

Razem z pielęgniarkami usiłowała zatrzymać Niemców, argumentując, że trwają operacje, a przed zakwalifikowaniem do kolejnych zabiegów należy przeprowadzić selekcję chorych.

– Milczeć! – wrzasnął dowodzący oddziałem, wyjął pistolet i strzelił w sufit.

Zosia i siostra Romana Podgórska natychmiast się cofnęły, drzwi prowadzące do sali operacyjnej zostały otwarte, a Niemcy weszli do środka, brudząc sterylne pomieszczenie.

Na ich widok zastępca komendanta odłożył narzędzia operacyjne, uniósł rękę i podszedł do dowódcy Niemców.

– Jesteśmy szpitalem funkcjonującym w ramach konwencji genewskiej. Jesteśmy lekarzami cywilnymi, którzy niosą pomoc rannym.

Niemiec skłonił się lekko.

– Dlatego przywieźliśmy do was naszych rannych – powiedział. – Macie natychmiast się nimi zająć.

Zastępca komendanta bez zbędnych dyskusji skinął głową na Zosię i dwie wolne pielęgniarki.

– Proszę położyć rannych, zaraz się nimi zaopiekujemy – powiedział.

Było ich około dwudziestu, z czego tylko dwóch, według wstępnej oceny Zosi, wymagało pilnej interwencji chirurgicznej.

– Tych dwóch w pierwszej kolejności na stół – zarządził zastępca komendanta. – Resztą proszę się zająć później.

Pielęgniarki chirurgiczne i Zosia ruszyły do leżących Niemców, ale dowódca wrogów uniósł prawą rękę.

– Macie się zająć wszystkimi naszymi żołnierzami już teraz – powiedział zimnym, spokojnym tonem, po czym znów wyjął pistolet, odbezpieczył go

i wycelował w zastępcę komendanta.

Doktor spojrzał prosto w lufę.

– Oczywiście – powiedział opanowanym tonem.

Niemiec opuścił broń. Pielęgniarki z pomocą chirurgów przeniosły rannego na stół operacyjny i zaczęły rozcinać mu mundur.

– Proszę panów o opuszczenie sali operacyjnej – zarządził doktor.

Niemiec skinął głową na swoich kompanów, którzy wyszli z sali. Sam pozostał w pomieszczeniu.

– Zaczynać! – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zosia i młody asystent, doktor Pomianowski, skupili się na opatrywaniu lżej rannych żołnierzy. Przy kilku stołach operacyjnych pozostali lekarze przeprowadzali zabiegi. Gdyby nie jęki rannych, w pomieszczeniu panowałaby złowroga cisza.

– Teraz zaboli – powiedziała Zosia po niemiecku do młodego żołnierza, któremu spomiędzy żeber po prawej stronie wystawał kawałek żelaza.

Szarpnęła szybko i zaczęła tamować wypływającą krew. Żołnierz krzyknął i zemdlął.

– Co zrobiłaś?! – wrzasnął na nią dowódca Niemców, który natychmiast znalazł się koło niej z pistoletem w dłoni i przystawił jej lufę do skroni.

– Wyjęłam szrapnel – odpowiedziała po niemiecku. – Proszę nie celować do mnie z pistoletu.

Sama się dziwiła, skąd w niej tyle odwagi. Nawet ręce się jej nie trzęsły.

– Jeśli on umrze, zabiję cię, polska suko – wycedził.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie umrze – powiedziała stanowczo. – Proszę pozwolić mi pracować.

Niemiec ustąpił. Nie poświęcając mu już ani jednego spojrzenia, szybko zaszyła ranę, założyła opatrunek i przeszła do następnego żołnierza. Tu sprawa przedstawiała się nieco gorzej. Po odsłonięciu munduru Zosia zobaczyła, że żołnierz ma w brzuchu trzy kule.

– Tego trzeba jak najszybciej operować – powiedziała cicho do Pomianowskiego.

Pomianowski kiwnął głową i podszedł do pierwszego zespołu operacyjnego.

– Już zamykamy – usłyszał.

Niemiec z pistoletem ponownie się wtrącił.

– Ten żołnierz jest ciężko ranny – uspokoiła go Zosia, widząc, że znów unosi broń. – Zaraz będzie operowany.

– Teraz! – wrzasnął Niemiec.

– Oczywiście! – ponownie rozległ się spokojny głos zastępcy komendanta. – Tu już skończyłem.

Pielęgniarki przeniosły na nosze rannego po zabiegu, a sanitariusze zabrali go na salę pooperacyjną. Na stół trafił Niemiec.

– Będę potrzebował rentgen! – krzyknął doktor Damięcki, który zaczął operować, gdy tylko pacjent został znieczulony. – Jedna z kul się rozpadła!

Zosia kiwnęła głową.

– Pójdę po aparat – powiedziała do dowodzącego Niemca i pokazała palcem pozostałych żołnierzy. – Oni wszyscy są bezpieczni, opatrzyłam ich.

– Nigdzie nie pójdziesz! – wycedził Niemiec.

– Rentgen jest potrzebny dla waszego żołnierza – wyjaśniła równie spokojnie jak wcześniej. – Ma w brzuchu trzy kule. Jedna z nich się rozpadła i trzeba odnaleźć jej odłamki. Jeśli ich nie wyjmujemy, on umrze.

Przenośny aparat rentgenowski znajdował się w prowizorycznym ambulatorium. Dzięki niemu udawało się wyjmować odłamki metalu z rąk i brzuchów dzieci, kobiet i starszych ludzi, którzy podczas bombardowań nie zdążyli udać się do schronów.

Dowódca zastanowił się przez chwilę, po czym dał Zosi znak głową, że się zgadza.

– Pójdę z tobą. Tylko nie próbuj żadnych sztuczek – powiedział.

Kiwnęła głową. Dobrze znanymi sobie korytarzami poprowadziła go jak najkrótszą drogą. Mijali dziesiątki rannych, którzy leżeli na korytarzach albo na ziemi przed szpitalem i czekali, aż ktoś ich opatrzy.

– Zabieram aparat – powiedziała do doktora Stanisława Michałka-Grodzkiego^[108], który kierował ambulatorium.

Zobaczywszy Niemca u boku Zosi, lekarz skinął głową.

– Proszę pozwolić mi zrobić jeszcze tylko jedno zdjęcie... – Wskazał na małą, nieprzytomną dziewczynkę, która leżała na stole z drutem sterczącym z brzucha.

Niemiec skierował pistolet w kierunku głowy doktora Grodzkiego. Zosia poczuła narastającą wściekłość.

– Niech pan to wreszcie schowa! – wrzasnęła na Niemca, po czym skinęła na doktora, który szybko wykonał zdjęcie i odetchnął z ulgą, gdyż okazało się, że drut wbił się pod skórę na zaledwie centymetr.

Spojrzenia Zosi i Niemca skrzyżowały się. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Niemiec ustąpił.

– Bierz to i wracamy! – zażądał.

– Sama mogę przenieść aparat, ale to potrwa dłużej. Chce pan, żeby pana człowiek przeżył? – spytała beczelnie.

Niemiec nie schował pistoletu, tylko kiwnął głową na dwóch żołnierzy.

– Zanieście aparat na blok operacyjny – rozkazał.

Zosia już chciała iść za nimi, gdy chłopiec, który siedział najbliżej drzwi ambulatorium, wyprężył się nagle, a potem jego małym ciałem wstrząsnęły drgawki. Po kilku sekundach znieruchomiał. Doktor Grodzki zamknął oczy.

– Zostanę, żeby pomóc przy dzieciach. Jestem pediatrą – powiedziała do dowódcy Niemców Zosia.

Ten z trudem pohamował wybuch wściekłości.

– Zaraz cię zastrzelę – wycedził, potem złapał ją za rękę i pociągnął w drugą stronę, tam gdzie stało kilku niemieckich żołnierzy pilnujących trzech młodych chłopców. Wszyscy, Niemcy i Polacy byli zakrwawieni. – Co to za jedni? – spytał, trzymając Zosię tak mocno, że sprawiał jej ból.

– Zabieramy ich do więzienia, gdy tylko zabezpieczymy rannych – wyjaśnił najwyższy rangą. – Zaatakowali naszych żołnierzy.

Zosia niczym we śnie patrzyła, jak Niemiec celował po kolei w głowę każdego z chłopców i strzelał. Zrobiło jej się słabo.

– Zgodnie z konwencją genewską nie możecie... – wykrztusiła, ale wtedy dowódca znów wymierzył broń w jej głowę.

„Jak to dobrze, że dzieci i Stach są bezpieczni”, pomyślała, patrząc oprawcy prosto w oczy.

– Strzelaj – powiedziała. – Na co czekasz?

On tylko roześmiał się krótko.

– Wracaj tam i pracuj! – rozkazał.

Pobiegła na chirurgię ile sił w nogach. Spodziewała się, że Niemiec strzeli jej w plecy, ale tak się nie stało. Kiedy dotarła na salę operacyjną, lekarze właśnie kończyli zszywać niemieckiego żołnierza.

– Będzie żył? – spytała jak gdyby nigdy nic.

– Oczywiście – odparł tym samym spokojnym głosem zastępca komendanta. – Nawet nie potrzebuje krwi. Bogu dzięki, bo byłby kłopot z przetoczeniem.



– Panie profesorze – zwróciła się Zosia do Ludwika Hirszfelda. – Ranni napływają masami. Chorzy żołnierze leżą bez pomocy.

– Co mogę zrobić? – Profesor Hirszfeld wyprostował się na baczność.

– Liczy się każda para rąk – odpowiedziała. – Większość chirurgów została zmobilizowana. Ale najgorzej jest z krwią.

Oszczędziła profesorowi opisu tego, co się działo po wejściu Niemców do szpitala. Hirszfeld na pewno znał te opowieści. Niemcy byli już niemal wszędzie.

– Czy macie możliwość transfuzji? – spytał profesor.

– Skąd! – odpowiedziała zrezygnowana Zosia.

– No to idziemy po krew – oznajmił.

Poprowadził ją w głąb swojego zakładu, krótko przedstawił asyistentom i zarządził przygotowanie butelek.

– Wszyscy oddamy krew, mnie nie wyłączając – stwierdził, a kiedy spostrzegł, że Zosia także ogląda się za krzesłem, na którym mogłaby usiąść do transfuzji, pokręcił przecząco głową. – Pani to raczej bym przetoczył – powiedział stanowczo.

Po dwóch godzinach oboje zameldowali się u komendanta szpitala.

– Jestem przygotowany do zorganizowania stacji transfuzji krwi – powiedział, pokazując komendantowi zabezpieczone jednostki. – Od wielu lat myślałem o tym, że taka stacja mogłaby się przydać na wypadek wojny.

– Uważam, że najwygodniejszym miejscem będzie Zakład Bakteriologii – zdecydował komendant, po czym po raz kolejny uścisnął profesorowi dłoń i dodał wzruszonym głosem: – Jestem panu niewymownie wdzięczny.

Jeszcze tego samego dnia w dawnym królestwie profesora Bujwida, który obecnie przebywał na zasłużonej emeryturze w Krakowie, profesor Hirszfeld rozpoczął tworzenie stacji krwiodawstwa. Przyniesione przez niego jednostki krwi zostały wprawdzie wykorzystane w ciągu kilku godzin, ale wtedy profesor zaangażował swoich asystentów, którzy zorganizowali w całej Warszawie punkty pobrań. Największy z nich powstał w Szpitalu Ujazdowskim. Profesor przez radio i gazety zwrócił się z apelem do mieszkańców stolicy, przede wszystkim do kobiet, aby oddawali krew dla rannych. Dwie niestrudzone współpracownice Hirszfelda, Róża Amzel^[109] i Zosia Skórska^[110], przyjmowały chętnych, pobierały i zabezpieczały bezcenny dar oraz przechowywały go w odpowiednich warunkach, a ftyzjatra Olgierd Sokołowski^[111] badał krew, zanim przetoczono ją rannym.



Była piękna jesień i Zosia zbierała kasztany jak każdego roku. Wiedziała, że tym razem nie usiądą z Grażynką, żeby zrobić z nich ludziki i odgrywać przedstawienia, w których kasztanowe postacie stawały się Lodą Halamą, Zulą Pogorzelską, Ordonką czy Eugeniuszem Bodo. Zuli, kochanej, cudnej Zuli, już nie było. Umarła w Wilnie jeszcze w 1936 roku, a Zosia, dowiedziawszy się o tym, płakała przez kilka dni.

– Nasze państwo jest okupowane i podzielone – mówił cicho komendant Szpitala Ujazdowskiego. – Aneksji dokonały Trzecia Rzesza i Rosja. Trzydziestego września tego roku rząd Rzeczypospolitej na uchodźstwie oficjalnie zaprotestował przeciwko rozporządzaniu terytorium niepodległego kraju, jako że stanowi to jawne pogwałcenie prawa.

– Raczkiewicz^[112] wydał dekret o nieważności okupacyjnych aktów prawnych – wtrącił Ficowski.

– I co z tego, kiedy świat milczy – powiedziała gorzko Zosia.

– Zawsze milczał wobec nas – stwierdziła Danusia Rodziewiczówna i zaczęła płakać. – Ambulatorium zbombardowane, nie dajemy sobie rady z rannymi, wojskowi wyjechali...

– Nie wszyscy – wtrącił Henryk Iwanicki, który zdecydował się pozostać w szpitalu, mimo że miał stopień wojskowy.

– Co my teraz zrobimy? – spytał bezradnie Romuald Ficowski.

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Zresztą nie było czasu na dywagacje, bo do szpitala nadjechał nowy transport rannych.



– Jestem – powiedziała Zofia Garlicka.

Zosia, która w obliczu ostatnich wydarzeń zapomniała o doktor Garlickiej, rzuciła się jej na szyję.

– No już, już – uspokoiła ją Zofia. – Powiedz mi lepiej, gdzie się najbardziej przydam.

– Co chwila schodzimy do schronu przez bombardowania – powiedziała Zosia. – Mamy tam sale operacyjne. Zabiegi przeprowadzane są w miarę sprawnie.

– Może w takim razie przydam się na oddziale kobiecym albo w dawnym pawilonie położniczym?

– Najlepiej, jeśli pani doktor uda się na oddział położniczy – wtrąciła pielęgniarka Eulalia Mostowska, zwana Lalką.

Zofia Garlicka uniosła ciężką torbę.

– Przywiozłam z Lwowskiej wszystko, co zostało. Środki opatrunkowe, jakieś narzędzia, trochę leków. Nie wiem, czy będę mogła tam wrócić. Zresztą wolę pracować tutaj.

Zosia pokiwała głową. Kilka lat temu Zofia Garlicka odeszła na zasłużoną emeryturę. Wciąż jednak pracowała ambulatoryjnie. Prowadziła zakład przy Lwowskiej i prywatną praktykę.

– Chodźmy na położnictwo – zdecydowała Zosia.

– Co tu się dzieje? – zapytała starsza lekarka niby żartem, kiedy dotarły na oddział położnictwa, zasypany częściowo pyłem, ale czynny, pełen lżej i ciężiej rannych pacjentów. – Trzeba posprzątać.

– Sprzątamy, a Niemcy wciąż nam robią bałagan – odpowiedziała jej Zosia. – A ciebie gdzie licho poniosło, że dopiero teraz przyszłaś?

– Wnuki bawiłam, kiedy wszystko się zaczęło – odpowiedziała doktor Garlicka. – I trochę mi zajęło, zanim zorganizowałam opiekę, żeby móc wrócić do Warszawy. Dwóch moich zięciów, wyobraź sobie, Zosiu, zostało od razu wcielonych do armii.



Alina Guzowska^[113] aż drgnęła, kiedy na korytarzu rozległ się tupot podkutych wojskowych butów, a do siedziby Naczelnej Izby Lekarskiej

przy ulicy Koszykowej wpadł oddział Wehrmachtu. Oficer, który mu przewodził, wyciągnął rękę w nazistowskim pozdrowieniu i wrzasnął:

– Jestem doktor Schrempf^[114], obejmuję dowodzenie Izby Lekarskiej. Natychmiast, powtarzam, natychmiast ma zostać sporządzona lista wszystkich lekarzy!

Po czym zamachał Alinie i jeszcze dwóm kobietom rękawiczkami przed nosem. Zanim Alina odzyskała głos, zdążyła jeszcze usłyszeć, że jeśli nie wykonają rozkazu, Niemcy rozstrzelają prezesa Izby.

– Oczywiście – powiedziała po niemiecku. – Natychmiast.

Schrempf wymaszerował, a echo podkutych butów jego i jego kompanów długo dźwięczało Alinie w głowie. Niemiec wrócił następnego dnia.

– Rozkaz zostanie wykonany – zapewnił go prezes Naczelnej Izby Lekarskiej profesor Mieczysław Michałowicz^[115].

– Przygotować też bilanse i zestawy finansowe! – wrzasnął Schrempf i Alina zastanowiła się, czy temu straszemu człowiekowi nie wystarczą broń i oddział żołnierzy przy boku, że musi jeszcze tak krzyżeć.

Po trzech dniach nieprzerwanej pracy kilku osób przygotowano wymagane dokumenty. Bilanse były znacznie łatwiejsze do sporządzenia, ponieważ zestawienia finansowe regularnie drukowano w Dzienniku Urzędowym Izb Lekarskich. Kiedy profesor Michałowicz przedstawił je Niemcowi, ten wściekł się jeszcze bardziej i wrzeszczał nieprzerwanie przez kilka minut, strasząc, że wszystkich rozstrzela.

– Sfałszowane! – krzychał. – Żeby ukryć majątek podlegający konfiskacie wojennej! Pójdziecie pod mur!

Profesor, który walczył w pierwszej wojnie światowej i w wojnie bolszewickiej, a podczas kampanii wrześniowej został ranny, wiedział, że nie są to czcze pogroźki. Uznał jednak, że okazując strach, tylko sprowokuje Niemca.

– Dokumenty są autentyczne – oświadczył ze spokojem i godnością w głosie. – Ale jestem pediatrą, nie buchalterem. Dlatego proponuję, aby

wyznaczył pan rzeczoznawcę, który oceni ich autentyczność.

Niemiec o dziwo zamilkł i przyjął dokumenty, po czym wymaszerował ze swoją stałą asystą z budynku. Alina pierwsza zaczęła klaskać. Po chwili dołączyły do niej dwie koleżanki. Profesor otarł pot z czoła.

– Zawsze miałem Niemców za cywilizowany naród. Cóż. Myliłem się – powiedział cicho.



Zosia jakby zobaczyła ducha.

– Witold! – krzyknęła. – Mój Boże! Witold!

Wyglądał źle, był zabiedzony i wychudzony. Poszła z nim do kantyny, gdzie dostali niewielką ilość zupy i pajdę chleba. Jadł powoli, starannie przeżuując kęsy. Od czasu do czasu krzywił się, jakby go coś bolało.

– Kiedy usłyszałam, że Sowieci weszli do Polski... – powiedziała.

Wiadomość zastała go we Włodawie nad Bugiem.

– Szpital rozmontowali, a mnie i innych aresztowali – odparł.

– Sowieci? – spytała. – Oficerów?

Pokiwał głową.

– Ale wypuścili was? – spytała naiwnie.

– Nie. Nie wypuścili. Gnieździliśmy się tam w jakichś barakach. Pilnowali nas, ale niezbyt dobrze. Gorączkowałem, więc przeniesiono mnie do szpitala, do Brześcia. Z okien widziałem Bug.

– Jak udało ci się wrócić? – pytała.

– Ludzie mi pomogli – odpowiedział. – Tamtejsi. Dostałem cywilne ubranie i pieniądze, żeby przedostać się do Warszawy.

– Nie lepiej było iść do rodziny? Na Wołyń? – spytała.

– Nie mogłem tego zrobić. Aresztowano by mnie. I Ninę. Pewnie nawet chłopców by nie oszczędzono... – Witold szarpał się za włosy.

– Co ty mówisz? – zapytała głęboko wstrząśnięta. – Przecież jesteś tamtejszy, ze wschodu...

– Zosiu, jestem polskim oficerem. – Popatrzył jej głęboko w oczy. – Próbowałem naszym przemówić do rozumu, kiedy nas zamknęli. Byli ze mną generał Haller^[116] i inni... Pieńkowski, Królikiewicz^[117], Rosnowski^[118], Brzosko, Kaliciński, Nelken – wyliczał. – Tłumaczyłem im, że trzeba uciekać. Ale oni twierdzili, że Rosjanie będą potrzebować polskich oficerów, kiedy Niemcy ich napadną.

– Myślisz, że jak długo będą ich trzymali w areszcie?

Witold nic nie odpowiedział.

– No, w każdym razie dobrze, że już jesteś – powiedziała i po chwili zastanowienia dodała: – Twoje mieszkanie służbowe wciąż stoi. Wracasz do pracy?

– Tak. – Pokiwał głową. – Co innego miałbym robić? Wracam do szpitala i do praktyki na Poznańskiej. A co do mieszkania, wydaje mi się, że nie jest tu bezpiecznie. Muszę poszukać czegoś innego. Ale powoli. Najpierw sprowadzę z powrotem Ninę i chłopców.

– Uważam, że trzeba podjąć jakieś kroki w sprawie naszych uwięzionych lekarzy.

– Jakie kroki? – spytał Witold.

– Trzeba zwrócić się do kogoś w tej sprawie – gorączkowała się Zosia.

– Do kogo? – spytał Witold i roześmiał się krótko, z goryczą. – Moim zdaniem oni już nie żyją.

– Nie mów tak! – oburzyła się Zosia. – Dlaczego tak twierdzisz?

Witold odsunął talerz.

– Idę zobaczyć, co zostało z radiologii – stwierdził.



Niemcy zaanektowali dwa drewniane pawilony, w których dotychczas mieścił się oddział zakaźny, i otoczyli je drutem kolczastym. Jeszcze w listopadzie trzydziestego dziewiątego roku trafili tam jeńcy.

– Przechodzę tamtędy co dzień, kiedy idę na stomatologię – powiedziała któregoś dnia do Zosi doktor Janina Krzyżanowska^[119]. – To jest widok tak straszny, że zakazałam Oleńce^[120] na to patrzeć.

Zofia nie wiedziała co powiedzieć. Sama tamtędy nie chodziła. Nie mogła patrzeć na setki mogił. Teren za pawilonami zakaźnymi zamienił się bowiem w wielki cmentarz obrońców Warszawy.

– Niektórzy jeńcy to dzieci – powiedziała Janina, bo na twarzy Zosi wypisane było dokładnie to, o czym właśnie myślała.

– Dostałam list ze Lwowa. Od mojej siostry – powiedziała Danusia Rodziewiczówna. – Rosjanie się tam panoszą i wsadzają Polaków do więzień. Ci, którzy tam wyjechali, popełnili błąd.

– Bogumił Radowicki też o tym pisał – przypomniała sobie Janina Krzyżanowska. – Razem z żoną udali się do Lwowa jeszcze we wrześniu. Z teatrem. Najpierw była sielanka, grali, wyobraźcie sobie, po polsku, a po wejściu Rosjan – po rosyjsku. Na ich przedstawienia przychodzili bracia Sowieci z całymi rodzinami. Rosjanki ubierają się w koszule nocne, bo myślą, że to suknie wieczorowe.

Żadna się nie roześmiała.

– Jest tam bezpieczny? – spytała Danusia.

Janina pokiwała głową.

– Nie przyznał się, że jest lekarzem, ponoć tak jest lepiej. Udaje pracownika teatru. Inspecjenta.

– A mój kuzyn Karol napisał z Afryki – zwierzyła się Zosia. – Czekają tam z żoną na zakwaterowanie. Niedaleko Mombasy. Pisze, że mają mieszkać w domkach z gliny na polskim osiedlu.

Mimowolnie się uśmiechnęła, przypomniawszy sobie Karolka Wereszczakę, który odwiedził ich w pierwszych dniach września i serdecznie namawiał ją i Stanisława na wspólną podróż „tam, gdzie wojna

na pewno nie dotrze”. Ona nie chciała jechać z wiadomych powodów, a Stanisław uważał, że Europa będzie dla nich mimo wszystko lepszym wyborem niż Afryka. „Cóż, Karol miał rację”, pomyślała. I dobrze, że żona się z nim zgodziła.

– Janinko – zwróciła się do koleżanki Danusia. – Trudno leczyć Niemców?

Janina wzruszyła ramionami. Chwilę się zastanowiła, a potem odpowiedziała:

– Mogłabym wam powiedzieć, że robię swoje i traktuję ich jak zwykłych pacjentów. Ale nie do końca tak jest. Zastanawiam się, co oni myślą, przychodząc do mnie do gabinetu, otwierając usta, kiedy dopiero co kogoś zamordowali albo pobili.

Zosia i Danusia objęły Janinę.

– Trzeba przetrwać – powiedziała Danusia.

Janina i Zosia więcej jej nie zobaczyły. Jeszcze tego samego dnia, kiedy Danusia wracała z pracy, na Marszałkowskiej zatrzymała się ciężarówka, z której wysypali się niemieccy żołnierze. Ktoś później opowiadał, że Danusia pierwsza została złapana, ponieważ nie próbowała uciekać.

– Wszystkich zabili. – Słowa świadka dochodziły do Zosi jak przez mgłę. – Ot tak. W biały dzień. Postawili pod murem i rozstrzelali. Dwadzieścia osób. Tak po prostu.



Maria i Witold Zawadowski uścisnęli się szybko i krótko. Zosia, która nie widziała przyjaciółki od chwili wybuchu wojny, rzuciła się jej na szyję ze szlochem. Powiedziała przy tym:

– Jak dobrze, że nic ci nie jest. Jak dobrze.

– Oczywiście, że nic mi nie jest – łagodnie odparła Maria. – Złego licha nie weźmie.

– Jak jest u was? – spytała Zosia.

– Praktycznie nie wychodzę ze szpitala – odpowiedziała Maria. – Od początku mieliśmy pełne ręce roboty. W kółko przywożono rannych, rentgen pracował pełną parą. Potem zabrakło prądu, przecież wiecie.

Szpital Ujazdowski miał własny generator, w przeciwieństwie do Szpitala Wolskiego, ale mimo to nawet tu zabrakło prądu już pod koniec września.

– Asystowałam przy zabiegach, znieczulałam. Byłam wszędzie, gdzie mogłam się przydać – powiedziała ze zmęczeniem.

– Ponoć otworzyłaś sklepik koleżeński – powiedziała Zosia i pogłaskała koleżankę po rękę.

Kiedy o tym usłyszała, była pełna podziwu dla dobroci i pomysłowości Marii. W sklepiku można było kupić artykuły pierwszej potrzeby, żywność, środki czystości i wiele innych rzeczy. Maria osobiście troszczyła się o zaopatrzenie, a bywało, że sama sprzedawała towary. Z własnej kieszeni kupowała jedzenie dla chorych, wspomagała finansowo kolegów i wszystkich, którzy tego potrzebowali, a nie mieli śmiałości prosić.

– Czego ci potrzeba? – spytał Witold.

– Gotówki, mój drogi – odrzekła szybko Maria. – I pomocy przy zorganizowaniu wyprawy na Powązkowską. Muszę zdobyć środki opatrunkowe.

Zosia pomyślała, że taka wyprawa jest absolutnym szaleństwem, ale Witold Zawadowski pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – Pójdę z tobą. Zorganizuję jeszcze kilku chłopaków i zrobimy to. A teraz mam do ciebie prośbę.

– Tak? – Maria natychmiast wstała z krzesła.

– Idź do kuchni i zjedz zupę – powiedział Witold. – A potem prześpij się trochę. Gdy się obudzisz, to pójdziemy.

Maria chciała zaprotestować, ale wtrąciła się Zosia.

– Witold ma rację. Ja też pójdę z tobą i zjem. A potem chwilę odpoczniemy.

– Dobrze – skapitulowała Maria. – Zupa dobrze mi zrobi.

Kiedy w milczeniu jadły krupnik, Zosia czuła, że to, co się dokoła nich dzieje, jest jakimś nieporozumieniem, snem, z którego wystarczy się obudzić. Już niedługo jak dawniej będzie pilnowała, aby Grażynka nie pobrudziła sobie niedzielnej sukienki, zanim wrócą z kościoła, a mały Gienek nie wypraszał od Honorki dodatkowej porcji czekolady, za którą przepadał.

– Trzy razy Niemcy u mnie byli i namawiali, żebym przyznała, że jestem Niemką – wyznała nieoczekiwanie Maria. – „Przecież pani ojciec jest Niemcem, czy tak?” – przedrzeźniała. – „Owszem”, ja im na to, „ale matka jest Angielką”. A wtedy jeden z nich, wyobraź sobie, pyta: „A pani, kim pani jest?”.

Zosia westchnęła.

– Co odpowiedziałas? – spytała, chociaż znała odpowiedź.

– Że jestem Polką. – Maria wzruszyła ramionami. – Jeszcze przez chwilę bredził coś o tym, że mogę być Niemką, jeśli zechcę.

Wpatrzyła się w przestrzeń.

– Dziś tu tak spokojnie – powiedziała Zosia. – Ale w każdej chwili może zaroić się od rannych.

– Muszę ci przyznać, że się zawahałam – oznajmiła nagle Maria. – Nie ze strachu. Przeszło mi przez myśl, że może byłoby bezpieczniej, biorąc pod uwagę to, co robimy.

– Nie boisz się? – spytała ją Zosia.

– Boję się – odpowiedziała jej przyjaciółka. – Ale jakoś inaczej. Tak w złości. W gniewie. W niezgodzie na to wszystko.

Zosia milczała. Ona sama nie potrafiła opisać swoich uczuć.

– Gdzie dzieci? – spytała Maria.

– W Komorowie u rodziny. Z Witchelami. Stach też tam pojechał.

– A ty? – spytała Maria.

– Nie zostawię szpitala. – Zatoczyła ręką wokoło. – Tych ludzi. Nie zostawię.

Maria złapała jej dłoń.

– Słuchaj – powiedziała, pochylając się do niej. – Masz rodzinę. Ona jest najważniejsza. Rzucaj wszystko i jedź.

– Nie – odpowiedziała Zosia. – Kiedyś bym tak zrobiła. Ale dziś – nie.



– Jestem Julien Bryan^[121], dokumentalista – przedstawił się Amerykanin i uklonił się Zosi, uchylając kapelusza.

Widok tego eleganckiego mężczyzny pośród śmierci i zniszczenia wydał się Zosi absurdalny. Mężczyzna wyciągnął jakiś dokument i podał go jej.

– To polecenie od prezydenta Starzyńskiego^[122] – powiedział poważnie. – Chciałbym udokumentować to, co się tu dzieje. I opowiedzieć o tym światu.

– Proszę. – Zosia złożyła ręce jak do modlitwy. – Proszę to zrobić.

Po czym poprowadziła go do zniszczonego ambulatorium, do pomieszczeń pełnych chorych, którzy czekali na pomoc, ale także do pacjentów, którym już nie można było pomóc.

– Był pan na froncie? – spytała, kiedy wyszli z sali operacyjnej, gdzie na jednym stole amputowano nogę młodej kobiecie, przy drugim chirurg tamował masywny krwotok wewnętrzny nastoletniemu chłopcu.

– Chcę pokazać prawdziwe ofiary wojny: ludność cywilną – powiedział. – Ofiary zmasowanych ataków lotniczych.

– Niemcy bombardują szpitale... – powiedziała Zosia i ledwo powstrzymała się, aby nie wybuchnąć płaczem.

– I drogi, po których przemieszczają się uchodźcy, węzły kolejowe, kościoły, miasta, wszystkie te miejsca, gdzie jest najwięcej ludzi – odparł

gorzko dokumentalista. – Czy da pani wiarę, że piloci samolotów zniżają pułap lotu na minimalną wysokość i strzelają z karabinów do ludzi?

– Mój Boże – wyszeptała.

– Tak. Strzelają do kobiet, do dzieci. Do wszystkich.

– Pracujemy ponad siły, brakuje nam wszystkiego: rąk do pracy, środków opatrunkowych, leków, żywności... Wszystkiego – powiedziała po angielsku do kamery.

– Zaapeluję do prezydenta Roosevelta^[123] – powiedział Bryan, kiedy skończyli nagranie. – Musi uwierzyć, że to samo, co dziś dzieje się w Warszawie, jutro stanie się na ulicach Paryża, Londynu, nawet Nowego Jorku.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziała Zosia i rozplakała się.

– Proszę o siebie dbać – odrzekł poważnie filmowiec, uścisnął jej dłoń, wsiadł do eleganckiego samochodu i odjechał.

Odprowadziła go spojrzeniem, wzięła kilka głębokich oddechów i wytarła mokre oczy wierzchem dłoni.

– Oby się panu udało – powiedziała głośno.

Rozległ się dźwięk syren zwiastujących kolejny nalot, zatem pobiegła do ambulatorium, żeby pomóc w ewakuacji chorych. Wciąż mieli zbyt mało rąk do pracy.



– Dziadek nie może wychodzić wieczorami, bo jest wojna i obowiązuje godzina policyjna – mówiła Zosia łagodnie, ale profesor Konstanty Piechowski jej nie słuchał.

– Spacer, muszę na spacer – upierał się i trzeba było siłą zdejmować mu kapelusz i płaszcz.

– Pójdziemy jutro do Łazienek, za dnia – przekonywała Zosia. – Akurat będzie niedziela. Obiecuję.

W rzadkich przebłyskach świadomości stary doktor rozumiał, co się dzieje, ubolewał nad Niemcami, którzy wydawali się cywilizowanym narodem, a jednak zaatakowali Polskę. Większość czasu spędzał jednak w swoim świecie. W swoich wyobrażeniach wciąż znajdował się w Krakowie i martwił się tym, że jego jedyna córka uciekła w nieznane. Zosię brał za swoją żonę i nie mógł uwierzyć, że jest jego wnuczką, chociaż bez końca mu to tłumaczyła.

– Co też, Klaro, opowiadasz? – pytał i kręcił głową z niedowierzaniem. – Przecież wczoraj byli tu Rydygier i Napoleon i tak się pokłócili, że musiałem ich wyprosić.

Podstępna choroba atakowała nie tylko pamięć, ale i mowę. Bywały dni, kiedy profesor Piechowski, erudyta i znawca literatury, zarówno polskiej, jak i obcej, mówiący biegle w kilku językach, bełkotał i wskazywał palcem przedmioty, które chciał, żeby mu podano. Tupał przy tym nogami jak dziecko. Gdy w takie dni Niemcy zrzucali bomby, nie chciał schodzić do schronu. Pół biedy, kiedy w domu była Zosia. Zawsze znajdowała jakiś sposób – mieszaninę próśb i gróźb – żeby starszy pan dał się sprowadzić do piwnicy. Kiedy w domu była tylko Honorka, nie słuchał poleceń i biedna kobiecina musiała wybierać między pozostaniem w mieszkaniu – wtedy ryzykowała, że zginie pod gruzami – a pozostawieniem podopiecznego samego w zamkniętym na klucz pokoju.

– Czy pan doktor nie słyszy, że syreny wyją? – pytała, załamując ręce.

– Robotnicy do pracy idą! – krzyczał na nią Konstanty, a Honorka potem z płaczem opowiadała Zosi, która wracała ze szpitala nieprzytomna ze zmęczenia, że znów musiała zamknąć pana w domu. Na szczęście alarm nie trwał długo, bo starszy pan zdołał znaleźć zapasowe klucze i otworzyć drzwi.

– Porozmawiam z nim – powiedziała zrezygnowana Zosia, ale kiedy weszła do pokoju dziadka, zastała go w kałuży likierów domowej roboty, które wyciągnął z kredensu i wylewał na podłogę.

– Co dziadek robi? – spytała zrozpaczona.

Stary lekarz nie odpowiadał. Był tak zafascynowany swoim zajęciem, że nie pozwolił się wyprowadzić ze śmierdzącego spirytusem pokoju, a kiedy Zosia próbowała siłą go przebrać i umyć, odepchnął ją tak mocno, że uderzyła bokiem o kredens.

– Co pan robi, profesorze?! – krzyczała Honorka i trzeba było uspokajać też ją, bo sąsiedzi pukali w ścianę.

Wreszcie po kilku godzinach walki, kiedy zmęczony staruszek już spał w łóżku, Zosia usiadła w kuchni z Honorką i zaczęły zastanawiać się, co zrobić.

– Ja sama nie dam sobie rady ze starszym panem – powiedziała Honorka.
– Panienska ciągle dyżuruje, siedzi w szpitalu, a ja muszę na targ chodźć i zakupy robić.

– Też uważam, że dłużej tak nie można – zgodziła się Zosia. – Tylko co zrobić? Kogoś Honorce przydzielić, żeby dziadek pilnował?

– Ja bym do Komorowa go zawiozła – stwierdziła stara służąca. – Tam bezpieczniej jak w Warszawie. Przecież panienska wie. No i dwa chłopa tam jednak, mnóstwo ludzi. Może mu się nawet lepiej zrobi.

Zosia wiedziła, że Honorka ma rację, ale bała się, że dziadek nie pozwoli się zawieźć do Komorowa pociągiem, a samochodem bała się z nim jechać.

– No tak – powiedziała. – Ale czy się zgodzi na wieś pojechać?

– A co panienska będzie go pytała? – zżymała się Honorka. – Przecież mu się głowa zepsuła dawno temu.

– To co mu powiem? – martwiła się Zosia.

– Święci pańscy. – Honorka załamała ręce. – Ja to z panienką nie mogę. Panienska taka uczciwa, że aż śmiechu warte. Panienska powie, że do Krakowa jedziecie. Do domu.

– A jak zajedziemy do Komorowa, to co będzie? – denerwowała się Zosia.

– Powie panienska: „Jesteśmy jednak tutaj” – odparła Honorka i poszła przygotować mięso, bo akurat była niedziela, a w niedziele i środy jadal

mięso.

– Dziadku – zagadnęła starszego pana przy obiedzie Zosia, korzystając z tego, że był w dobrej formie: wstał z łóżka i usiadł przy stole jak dawniej.

– Może byśmy tak do Krakowa pojechali, co?

Starszy pan odłożył łyżkę i spojrzał na Zosię poważnie.

– Nie ruszę się stąd na krok – stwierdził, po czym wrócił do jedzenia zupy.

– A na wycieczkę? – spytała Honorka, która od początku wojny na prośbę Zosi siadywała z nimi przy jednym stole do posiłku.

– A dokąd? – spytał profesor Piechowski.

W Zosi wezbrała nadzieja.

– A dokąd by pan doktor chciał? – spytała chytrze Honorka.

– Rydygier na obiad zapraszał – burknął doktor. – Pod Kraków, ma tam majątek i chciał się domem pochwalić.

– A to świetnie – stwierdziła Zosia, chociaż Ludwik Rydygier zmarł we Lwowie dwadzieścia lat wcześniej i Zosia nigdy nie słyszała o tym, jakoby miał dom pod Krakowem.

– To ja szarlotkę zrobię – zaproponowała Honorka, co spowodowało pewien zgrzyt, bo starszy pan zdziwił się, że służba z nimi jedzie, ale Zosia czym prędzej zapewniła go, że przecież zostaną u Rydygiera kilka dni, podczas których służba będzie nieodzowna.

– Mój Boże – powiedziała potem do Honorki. – Tyle się naczytałam o tej strasznej chorobie, o tym, jak zabiera ludziom pamięć, osobowość, zdolności... Nigdy nie przypuszczałam, że dziadek na nią zachoruje.

Honorka, która nie wiedziała, o jakiej chorobie mowa, tylko wzruszyła ramionami.

– Wy, doktorzy, znacie lepsze i gorsze choroby. Dla mnie to jedno i to samo. Czy na serce choruje, czy na głowę – nie ma znaczenia.

Zosia zastanowiła się nad słowami Honorki.

– Honorka uważa, że tak wszystko zapomnieć, mylić ludzi i słowa i nie wiedzieć, na jakim świecie się żyje, to lepiej niż na serce chorować?

– A lepiej – potwierdziła staruszka. – Wczoraj wracałam z bazaru i już w bramie byłam, kiedy Niemcy podjechali, ludzi zaczęli gonić po ulicy, nawet z kawiarni wywlekli. Załadowali ich do ciężarówki, i to jak leci: kobiety, dzieci, nawet taką jedną starą babę, jak ja zupełnie. Potem odjechali. Chciałabym zapomnieć.

Zosia była dwukrotnie świadkiem łapanki, ale za pierwszym razem znajdowała się blisko domu i udało jej się wejść do mieszkania, a za drugim nieznajomy chłopak wciągnął ją do sklepu, gdzie na zapleczu przeczekwała, aż Niemcy zabrali nieszczęśników i odjechali na Pawiak.

– Może i Honorka ma rację – westchnęła.

– A pewnie, że mam – podsumowała służąca. – I jeszcze panience powiem, że się bardzo cieszę na ten wyjazd na wieś, bo tu coraz gorzej. Mówią, że na wsi lepiej. I ja bym panience radziła, żeby panienka ten swój szpital zostawiła i do Komorowa pojechała. Pani Klementyna mądra była i panowie też dobrze robią, że się z dala trzymają od tego piekła.

Zosia pokręciła głową. Honorka o tym nie wiedziała, ale Stach i Kornel działali w konspiracji, regularnie przyjeżdżali do Warszawy i spotykali się z ważnymi ludźmi. Klementyna o niczym nie miała pojęcia, bo jej mąż uznał, że należy ją chronić; może się jedynie domyślała, że częste wyprawy „do Warszawy” wcale nie odbywają się po to, by dowiedzieć się, co tam słychać u krewnych i znajomych.

– Nie mogę opuścić szpitala – wyjaśniła Honorce. – Po pierwsze, to moja praca i płacą mi za nią, a po drugie, tylko tyle mogę zrobić. Dla wszystkich, którzy walczą.

– Ale panienka się tam naraża – stwierdziła Honorka. – A dzieci muszą mieć matkę.

Przed oczami Zosi stanęły te wszystkie matki, których nie zdołała uratować, i dzieci, które rodzice stracili, i ponownie pokręciła głową.

– Nie mogę, Honorko – powiedziała. – Musi mi Honorka na słowo uwierzyć.

I kiedy już wszystko było ustalone, pożyczono samochód od Henryka Iwanickiego, a starszy pan i Honorka się spakowali, wyjazd wstrzymały dwa dodatkowe dyżury, które Zosia musiała wziąć – jeden za Joasie Rychter, a drugi za Romualda Ficowskiego, który został ranny podczas strzelaniny na ulicy.

Wreszcie jednak udało się wszystko tak zorganizować, żeby następnego dnia z samego rana wyjechać. Zosia położyła się spać w poczuciu dobrze podjętej decyzji i względnego spokoju, bo stan dziadka się polepszył: starszy pan był bardziej przytomny i rozmowny i nawet przypomniał sobie, że ma prawnuki. Pytał kilka razy, co tam u nich słyszc.

– Jutro je dziadek zobaczy – powiedziała, nie troszcząc się o to, że przecież ostatnio trzymały się z Honorką wersji o wyjeździe do Rydygiera.

W nocy obudził ją jakiś trzask. Śniło jej się coś bezsensownego: operowała zwierzęta, a za nią ktoś stał i przekonywał, że tylko ludziom należy pomagać.

Wstała i bosy przeszła do pokoju, w którym spał starszy pan.

– Dziadku?

Łóżko było zasłane, ubranie zniknęło.

– Honorko! – Pobiegła do starej służącej i obudziła ją. – Dziadek wyszedł.

– Boże drogi – powiedziała służąca, gramoląc się z pościeli. – Przecież jest godzina policyjna.

Podbiegły do okna, ale na zewnątrz nikogo nie zobaczyły.

– I co teraz? – gorączkowała się Zosia. – Muszę go poszukać.

– Nigdzie panienska nie pójdzie – zaprotestowała Honorka. – Zabiją panienskę.

– Dziadka zabiją. – Zosia rozplakała się. – Czemu go nie zamknęłam w pokoju?

– Paniensko, starszy pan już jedną nogą w grobie, a panienska musi żyć...

Zosia jednak powzięła decyzję.

– Nie mógł odejść daleko – powiedziała, ubierając się pośpiesznie. – Zaraz go poszukam i migiem wrócimy. Będę uważała.

I chociaż Honorka zaklinała ją na wszystkie świętości, Zosia wyszła z domu i rozejrzała się, zastanawiając się, dokąd mógł się udać Konstanty Piechowski. Po obu stronach Piusstrasse nie było widać ani żywej duszy, dlatego Zosia zdecydowała, że pójdzie w stronę Łazienek. Pokonywała szybko ulicę, co chwila chowając się w bramach, ale na szczęście nie natknęła się na żaden patrol.

Kiedy dostrzegła starszego pana, maszerującego dostojnie, podpierając się laseczką, chciało jej się płakać z radości. Podbiegła do niego.

– Dziadku, kochany dziadku.

Konstanty Piechowski odwrócił się, popatrzył na nią, a potem uchylił kapelusza.

– Czy my się znamy? – spytał.

„Boże, tylko nie teraz”, pomyślała Zosia, rozglądając się gorączkowo.

– To ja dziadku, Zosia – powiedziała proszącym szeptem.

– Nie wiem, czemu pani nazywa mnie dziadkiem. Wydaje mi się to wielce niestosowne. – Ruchy i ton Konstantego były pełne galanterii.

– Jest godzina policyjna. – Złapała go za ramię. – Proszę cię, dziadku. Wracajmy do domu.

– Moja panno! – zdenerwował się stary lekarz. – Niech no mi panna stąd idzie!

– Dziadku, zabiją nas, jeśli napotkamy patrol – tłumaczyła gorączkowo, ale zdołała tylko zdenerwować Konstantego. Starszy pan zaczął na nią krzyczeć.

– Idzie mi stąd! – Uniósł laskę i już miał ją uderzyć, kiedy rozległ się gwizd i z ciemności wyłoniło się dwóch granatowych policjantów.

– O Boże. – Pod Zosią ugięły się nogi.

– Papiery! – policjant zwrócił się do Zosi po polsku, co przyniosło jej pewną ulgę. Granatowi policjanci często rekrutowali się z przedwojennej polskiej policji i nie byli tak okrutni jak Niemcy.

– Proszę. – Podała swoje papiery i chciała sięgnąć do kieszeni dziadka, aby wyjąć jego kenkartę, ale starszy pan ponownie uniósł laskę i krzyknął na całe gardło:

– Co to jest?! Jak pani śmie?!

– Zofia Gorazdowska – odczytał policjant, po czym zwrócił się do Konstantego: – Papiery!

Konstanty ani drgnął.

– Proszę, dziadku, bardzo cię proszę. – Zosia złożyła ręce jak do modlitwy. – Pokaż im kenkartę.

Po chwili wahania profesor Piechowski sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej kenkartę. Zosia ponownie odetchnęła z ulgą.

– Proszę pana – zwróciła się do policjanta. – To mój dziadek. Jest bardzo chory. Nie rozumie, że jest godzina policyjna, i wyszedł z domu. Ja go zaraz odprowadzę. Bardzo proszę...

Policjant oddał jej papiery, po czym zwrócił się do Konstantego Piechowskiego.

– Czy pan to potwierdza? – spytał. – To pana wnuczka?

– Nie znam – odpowiedział krótko Konstanty. – Mniemam, że chce mnie okraść. To może być też prostytutka.

– Nie... – wyrwało się Zosi.

– Idziemy – zdecydował policjant. – Jedno i drugie.

Zosia ponownie złożyła ręce w błagalnym geście.

– Błagam pana, to prawda. On nie pamięta, kim jest. Wyszedł w nocy z domu, bo nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest wojna i nie można. Ja go zaraz odprowadzę do domu. Ja zaraz...

Pożałowała, że nie wzięła z domu żadnych pieniędzy, które mogłaby zaproponować policjantowi.

– Cóż za impertynencja! – odezwał się Konstanty Piechowski, a Zosia poczuła pod powiekami łzy. Była zupełnie bezsilna.

„To takie niesprawiedliwe”, myślała. Ostatnimi czasy Konstanty Piechowski miał trudności ze sformułowaniem najprostszych myśli, trzeba go było karmić siłą, bo zapominał, że musi jeść. Także potrzeby naturalne załatwiał tam, gdzie akurat stał, nie wstydząc się zupełnie ani Zosi, ani Honorki. Jeszcze wczoraj pokazywał palcem, że chce pić, i bełkotał coś niezrozumiałego. Dziś stał przed wnuczką i policjantami wyprostowany, dystyngowany, wyrażał się okrągłymi zdaniami. I jej nie poznawał.

– Błagam pana – zwróciła się do policjanta i ściągnęła z ręki pierścionek, który podarował jej Stanisław.

– Pójdziecie z nami – zdecydował jeden z policjantów i stanowczo odsunął rękę Zosi, w której trzymała pierścionek.

– Nie, proszę... Jestem lekarką. Pracuję w Szpitalu Ujazdowskim – mówiła, chociaż wiedziała, że to nic nie pomoże. – To przecież tu obok. – Pokazała palcem.

– Stój! – krzyknął tymczasem drugi policjant do Konstantego, który zaczął się oddalać w kierunku parku.

Wtedy podjechał samochód policyjny i zatrzymał się przed nimi. „To koniec”, pomyślała Zosia, kiedy zobaczyła, jak gestapowiec wysiada z auta i podchodzi do policjantów.

– To mój dziadek. Jest bardzo chory. Błagam pana... – przekonywała gestapowca, ale on nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Wyjął pistolet i wycelował w pierś Konstantego Piechowskiego, który stał oświetlony latarnią i wpatrywał się w gwiazdy. Padł strzał i na jasnej kamizelce starszego pana pojawiła się plama krwi. Profesor Piechowski skrzywił się, potem dotknął dłonią piersi i wpatrywał się przez chwilę w rękę umazaną czerwienią. Potem osunął się powoli na kolana, następnie padł twarzą na ziemię, a na koniec jego ciałem wstrząsnęły krótkie drgawki. Dopiero kiedy znieruchomiał, gestapowiec przeniósł spojrzenie na Zosię. Przez chwilę patrzył na nią pełnym pogardy wzrokiem.

– prostytutka, tak? – Słowa Niemca przebiły się do jej świadomości. – Taka stara?

Jak we śnie widziała unoszący się pistolet.

– Mówi, że lekarka – powiedział nagle granatowy policjant.

– Lekarka? – roześmiał się Niemiec, ale opuścił broń.

– Jestem pediatrą. – Zosia odzyskała głos i zaczęła mówić, starannie dobierając niemieckie słowa. – Pracuję w Szpitalu Ujazdowskim. Proszę sprawdzić. To był mój dziadek. Chory na demencję. Wyszedł z domu w nocy i chciałam go tylko odprowadzić do mieszkania.

– I nie wiesz, że jest godzina policyjna? – spytał dobrotliwym tonem gestapowiec, po czym nie czekając na odpowiedź, uderzył ją na odlew w twarz, potem złapał za ramię i siłą zaciągnął do samochodu.



Kiedy wepchnięto ją do celi, była tak przerażona i zmęczona, że po prostu usiadła w kąciaku, na wolnym kawałku pryczy, i zamknęła oczy.

– Ej, ty – usłyszała. – Skąd się tu wzięłaś?

Uniosła powieki. Przed nią stała młoda kobieta, starannie ufryzowana i umalowana.

– Dobrowolnie tu przecież nie przyszłam – odpowiedziała jej Zosia.

Tamta się roześmiała.

– Patrzcie no, jaka dowcipna! – stwierdziła, po czym podsunęła jej pod nos pięść. – A może ty tu nas szpiegować przyszłaś, co? Chcesz oberwać?

Udręczona Zosia odsunęła dłoń tamtej.

– Złapano mnie na ulicy, ponieważ naruszyłam godzinę policyjną. Zadowolona?

– I jak się wyraża... – kpiła kobieta.

– Zostaw ją, Irka. – Po drugiej stronie celi wstała szczupła kobieta w poszarpanej i brudnej bluzce. – Idź spać.

Wymalowana usiadła na swojej pryczy. Zosia ponownie oparła głowę o ścianę i zaczęła cicho płakać.

Przez cały następny dzień nikt po nią nie przyszedł i Zosia z jednej strony czuła ulgę, a z drugiej przeraziła się, że nikt nie wie, gdzie jej szukać. Co chwila drzwi celi się otwierały i wywoływano kogoś, nawet Irkę, która obdarzyła wszystkich triumfującym uśmiechem i oświadczyła, że wychodzi.

– Naprawdę ją wypuszczą? – spytała kobietę, która w nocy się za nią ujęła.

– To prostytutka – wyjaśniła jej tamta. – Pewnie się wykupi. Janka jestem. Za co cię zgarnęli?

Zosia wyjaśniła jej pokrótce, ale tamta chyba nie uwierzyła.

– A ty za co siedzisz? – spytała Zosia.

– Handel – wyjaśniła krótko Janka.

– Nie mogłaś uważać? – spytała naiwnie Zosia.

– Jak się handluje nie tym, co trzeba, a przy tym trafi na tajniaka, to się siedzi. Nawet jak się uważa.

– Myślisz, że stąd wyjdziemy?

Janka wzruszyła ramionami.

– Narzeczony mnie wykupi – powiedziała w końcu. – Jak będzie chciał i humor miał.

– Oby szybko miał ten humor. – Zosia ścisnęła Jankę za ramię.

– A ciebie? Ktoś wykupi?

Pomyślała, że Honorka zaczeka do rana, a potem pewnie zadzwoni do Komorowa, na plebanię. Ksiądz Rajmund zawiadomi Stacha. Stach przyjedzie do Warszawy. To wszystko będzie długo trwało. Czy ona sobie tu poradzi?

– Mojego dziadka zastrzelono na ulicy – powiedziała nagle do Janki. – A mnie wykupi mąż.

Wieczorem do celi wrzucono pobitą i zakrwawioną dziewczynę. Zosia natychmiast do niej podeszła.

– Zostaw ją – mitygowała ją Janka. – Nie widzisz, kto to? Będą pytali, czy czego nie powiedziała.

Dziewczyna miała buzię dziecka i na pewno nie więcej niż kilkanaście lat. Z rozciętego łuku brwiowego sączyła jej się krew i rozmazywała się na białej falbaniastej bluzce. Dziewczyna kulila się i cicho pojękiwała.

– Jestem lekarzem – powiedziała Zosia, odsłaniając jej brzuch. – Powiedz, gdzie cię boli.

– Bili po nerkach. I żebrach – wykrztusiła tamta.

Zosia wytarła jej krew z twarzy.

– Masz dwa złamane żebra. Z nerkami wszystko w porządku – powiedziała. – Trzeba cię przenieść do ambulatorium. Zszyć twarz.

Dziewczyna skrzywiła się.

– Co zrobiłaś? – pytała Zosia.

– Nie pytaj! – syknęła Janka.

– Słusznie – wystękała dziewczyna. – Niech pani nie pyta o takie rzeczy. Nigdy. A jak panią wezmą, niech pani udaje głupią.

– Musi tu przyjść lekarz – upierała się Zosia.

– Myślisz, że tu biją po to, żeby później leczyć? – zapytała Janka z przekąsem.

Zanim Zosia zdążyła odpowiedzieć, drzwi celi otworzyły się i gruby strażnik przeczytał jej imię i nazwisko.

– Niech się pani trzyma – powiedziała dziewczyna, po czym zamknęła oczy.

Kiedy wprowadzono Zosię do pokoju i wskazano jej miejsce, a za jej plecami stanął gestapowiec z pałką w ręku, sparaliżował ją strach. „Będą mnie bili”, pomyślała. Przypomniała sobie wredną nauczycielkę, która biła ją linijką po dłoni, i pomyślała, że czeka ją coś jeszcze gorszego. Strach dławił jej gardło.

– Zofia Gorazdowska – przeczytał gestapowiec siedzący przy biurku. – Aresztowana za naruszenie godziny policyjnej.

Pokiwała głową.

– Ja już mówiłam, że wyszłam, bo mój dziadek jest chory i...

Niemiec wstał i podszedł do niej.

– Czy ja o coś pytałem? – zapytał zimnym jak lód głosem.

– Nie, przepraszam – odpowiedziała grzecznie.

– Czyli przyznaje się pani do naruszenia godziny policyjnej? – Ponownie usiadł do papierów.

– Tak – odpowiedziała cicho. – Naruszyłam godzinę policyjną i bardzo przepraszam. Ja musiałam wyjść, ponieważ mój dziadek...

Ponownie przerwała, bo Niemiec pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Cisza! – krzyknął nagle.

Umilkła. Mężczyzna coś notował. Po kilku minutach, które dłużyły się niczym wieczność, uniósł głowę.

– Do celi – zarządził.

Ten z pałką w ręku skinął na nią. Zosia wstała. W ułamku sekundy podjęła decyzję.

– Godzinę temu przywieziono dziewczynę. Ma dwa złamane żebra i ciętą ranę na czole, którą trzeba zszyć. Powinna być w ambulatorium. Jestem lekarzem.

Opuściła głowę i skuliła ramiona, spodziewając się ciosu. Niemiec jednak spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Mój ojciec i brat są lekarzami. Pracują w Berlinie, w szpitalu Charité – powiedział wolno.

„Raczej nie są z ciebie dumni, zważywszy na to, gdzie trafiłeś i co robisz”, pomyślała, ale na głos powiedziała:

– Byłam w Charité na konferencji naukowej w tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym roku – powiedziała. – Specjalizuję się w pediatrii. Być może spotkałam tam pana ojca.

Tego dnia już nic się nie wydarzyło, poza tym, że strażnicy zabrali dziewczynę do ambulatorium. Wróciła potem z obandażowaną klatką piersiową i zszytym łukiem brwiowym.

– Dziękuję – powiedziała.

Następnego dnia znów wywołano nazwisko Zosi i zaprowadzono do tego samego pokoju, w którym była poprzednio. Niemiec wskazał jej stołek. Usiadła.

– Sprawdziliśmy – powiedział. – Pracuje pani w Szpitalu Ujazdowskim. Kiwnęła głową, nie śmiąc się odezwać.

– Ktoś za panią poręczył – mówił dalej Niemiec. – I zapłacił karę. – Wręczył jej kenkartę. – Na przyszłość proszę działać zgodnie z prawem – powiedział. – Bo za drugim razem nie będziemy tacy pobłażliwi.

Oślepiło ją słońce, kiedy otwarto przed nią bramę więzienia, ale mimo to zauważyła, że po przeciwnej stronie ulicy czeka na nią Stach.

– Chodźmy stąd – powiedział, kiedy rzuciła mu się z płaczem w ramiona.



– Nie wiem, Zosiu, gdzie jest ciało – tłumaczył jej Stach, kiedy już znaleźli się w domu, a ona przespała kilka godzin, nawet przez sen ani na chwilę nie puszczając ręki Stacha.

– Przecież trzeba go pogrzebać – powiedziała, odsuwając talerz z zupą, który przyniosła jej Honorka.

– Panienska niech Bogu dziękuje, że tak szybko udało się ją wykupić – stwierdziła Honorka, żegnając się co chwila i wznosząc oczy ku niebu. – W sumie nic się przecież nie stało.

Zosia spojrzała Stachowi w oczy. Ten odwrócił wzrok.

– Kiedy nie wróciliście, Honorka z samego rana przyjechała do Komorowa. Ja akurat byłem w Warszawie, ale Kornel mnie zawiadomił, bo wiedział, gdzie mnie szukać.

– Jezus Maria – westchnęła Zosia. – W Warszawie akurat był... Czy nie umawialiśmy się, że ze względu na dzieci nie będziesz się narażał?

Tym razem Stach spojrział na nią ostro i wycelował w nią palec.

– Ty pracujesz w szpitalu. Ja nie mogę siedzieć bezczynnie. Ludzie codziennie ryzykują życie, walczą, organizują ruch oporu. Dobrze o tym wiesz. Twoje prośby, żebym się nie narażał, wynikają z naiwności graniczącej z głupotą!

– Ale jesteś w konspiracji! To jest bardziej niebezpieczne niż pomaganie rannym. Pomyśl o dzieciach – prosiła.

Każdemu coś groziło. Można było wyjść na ulicę w słoneczny dzień i już nie wrócić do domu, zostać zabitym pod murem albo wywiezionym do obozu koncentracyjnego. Nie trzeba było robić nic niezgodnego z prawem.

– Nie masz prawa mnie o nic prosić, Zosiu. Zwłaszcza ty. Robię to dla dzieci. I dla nas – odpowiedział jej zdenerwowany Stach, a potem dodał: – Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mogę inaczej. Tak, wiem, że jest wojna, co grozi nam każdego dnia i jak można się temu przeciwstawić.

– Przepraszam! – przerwała mu. – Przepraszam!

– Trzeba zacząć od tego, że nie powinnaś była wychodzić na ulicę! – krzyknął na nią gwałtownie, aż się skuliła.

– A co miałam zrobić? Zostawić go?

– Tak! – wrzasnął Stanisław, a Honorka pokiwała głową na znak, że się z nim zgadza. – Trzeba go było zostawić, a nie narażać życie. To ty powinnaś pomyśleć o dzieciach!

Schowała twarz w dłoniach. Pod powiekami przemknął jej obraz więziennej celi, dziewczyny z rozciętym łukiem brwiowym, prostytutki Irki i Janki, która została na Pawiaku, bo jej nikt nie wykupił.

– Ile zapłaciłeś, żeby mnie wykupić? – spytała.

– Tyle co nic, aż się nadziwić nie mogłem. Przekazałem trochę czekolady i doprawdy drobną sumę – odpowiedział Stanisław. – Ale miałaś wielkie szczęście. Dali wiarę, że biegłaś za dziadkiem. Jakimś cudem.

Przypomniała sobie Niemca, któremu opowiedziała o swoim pobycie w Berlinie. Może to on jej pomógł.

– Była tam taka dziewczyna, Janka – powiedziała nagle. – Trzeba za nią zapłacić. Nic nie zrobiła. No i należy się koniecznie dowiedzieć, gdzie jest ciało dziadka. Chcę mu urządzić pogrzeb. To, że jest wojna, nie znaczy, że mamy zachowywać się jak zwierzęta i chować swoich zmarłych pod płótem.

Myślała, że Stanisław znów zacznie na nią krzyżeć, ale tak się nie stało. Podszedł do niej i objął ją, przyciskając mocno do siebie. Łzy same zaczęły płynąć jej po policzkach.

– Tam było strasznie – powiedziała. – Tak strasznie, a przecież nic mi nie zrobili. Nic a nic.

– Cicho, cicho... – Stach głaskał ją po włosach. – Już wszystko dobrze. Nic się nie stało.



Kiedy w gmachu dla zakaźnie chorych dostrzegła inżyniera Maciąga ubranego w lekarski kitel, „asystującego” doktorowi Michałowi Lityńskiemu^[124], udała, że go nie poznaje. Stał z dwoma innymi mężczyznami, również w fartuchach lekarskich, nad łóżkiem pacjenta, któremu rzekome zmiany zakaźne na twarzy pokryto gencjaną.

W szpitalu niemal od chwili wybuchu wojny działała siatka konspiracyjna. Stare drewniane baraki „zakaźne” otoczone drutem kolczastym wciąż służyły za więzienie dla jeńców radzieckich, dlatego wyizolowano inny pawilon, na tyłach „chorób wewnętrznych”. Niemcy nie byli głupi, ale chorób zakaźnych bali się jak ognia, co skwapliwie wykorzystywało dowództwo Armii Krajowej. Zosia szybko nauczyła się odróżniać konspiratorów, po charakterystycznym kroku wojskowym albo po nieporadności, z jaką udawali lekarzy, sanitariuszy czy nawet chorych.

– Czy pańska żona i córeczka są bezpieczne? – spytała, kiedy zdołała zostać z inżynierem chwilę sam na sam.

– Tak – powiedział. – Nie ma ich w Warszawie.

– Mojej rodziny też nie. Jest w majątku... – zaczęła, ale inżynier jej przerwał.

– Niech pani nie mówi nikomu, nawet tym, którym pani ufa – wyszeptał.

– Niech pani odwraca oczy. Dla własnego dobra.

Teraz, po tym, jak sama spędziła noc w więzieniu, rozumiała, o czym mówił. Ludzie co dzień trafiali na Pawiak, do więzień gestapo, gdzie bici, głodzeni, odzierani z godności umierali w zatłoczonych celach albo ginęli rozstrzeliwani w zemście za akcje Armii Krajowej. Ci, którzy nie mieli siły, żeby przetrwać tortury, wydawali bliskich, przyjaciół, żeby tylko już nie cierpieć, żeby ocalić siebie, co szybko okazywało się złudą. Już w ciągu kilku miesięcy od wybuchu wojny Zosia nauczyła się odwracać oczy, kiedy widziała w szpitalu generała Grota-Roweckiego^[125], kiedy na miejsce rannych żołnierzy podstawiano trupy cywilów i wywożono wojskowych w bezpieczne miejsca, kiedy wydawano dobre papiery Żydom i trzymano ich w szpitalu tak długo, aż udało się ich bezpiecznie ukryć po aryjskiej stronie.

Szybko otrząsnęła się ze strachu przed kolejnym aresztowaniem. Pomagała tak, jak umiała. Zbierała pieniądze na wykup aresztowanych, znajomych i nieznajomych, lekarzy i zwykłych ludzi, ostatnio dla profesora Michałowicza, niegdyś prezesa Izb Lekarskich^[126], który z niewiadomych przyczyn trafił na Pawiak. Jednym udawało się pomóc, innym nie. Pieniądze często przepadały, zatrzymywane przez pośredników, strażników czy samych katów, którzy wiedzieli, że danego więźnia nie da się już uratować. Nie można się było poddawać. Każde życie było na wagę złota, szczególnie to młode. Żydowskie dzieci dostawały szansę życia wśród polskich rodzin w Warszawie i w głębi kraju, gdzie było trochę bezpieczniej. Doktor Stanisław Michałek-Grodzki wykonał setki zabiegów rekonstrukcyjnych, czym uratował od kalectwa rannych żołnierzy. Z narażeniem życia wykonywał także w szpitalu niezwykle operacje

odwracające skutki obrzezania, zapewniające Żydom uratowanym z getta możliwość schronienia po aryjskiej stronie. Nieocenionym wsparciem był Jan Wedel, który posyłał do więzienia dziesiątki tabliczek czekolady, aby przekupić strażników, a kiedy to nie przynosiło efektów, ofiarowywał pieniądze, a nawet płacił strażnikom czystym złotem.

– Panie Stanisławie, jeśli czegoś panu potrzeba, to proszę... – powiedziała Zosia do inżyniera Maciąga, ale on znów pokręcił głową, ścisnął jej rękę i odszedł.



– To jest pani Loda Halama – powiedział komendant.

Zosia, Krystyna i Zofia Garlicka patrzyły jak urzeczone na tę śliczną kobietę, artystkę, która wyglądała, jakby właśnie zeszła z afisza albo wróciła do domu po zakupach w Paryżu.

– Dzień dobry – przywitała się śpiewnym głosem. – Zgłaszam się.

Zosia słyszała, że Loda tuż po wybuchu wojny wyszła za mąż za Szwajcara, ignorując spadające bomby i Niemców, którzy pojawili się w Warszawie. Tym samym, z typową dla artystek bez troską złamała konwenanse, gdyż z poprzednim mężem miała ślub kościelny.

– Zgłaszam się do pomocy – powiedziała jeszcze raz, słusznie sądząc, że stojące przed nią zmęczone lekarki nie rozumieją jej słów.

– To pani nie jest w Szwajcarii? – spytała Zofia Garlicka.

– Byłam tam w podróży poślubnej – odpowiedziała grzecznie Loda. – Ale już wróciłam. Kiedy jest wojna, trzeba wracać do kraju.

– Co pani chciałaby robić? – spytała Krystyna Ossowska. – Mamy tu siostry wolontariuszki, nazywamy je „mateczkami”, które oprócz wykonywania prac pielęgniarских i karmienia pomagają żołnierzom w pisaniu listów. Opiekuje się nimi generałowa Jadwiga Sosnkowska^[127]. Może chciałaby pani...

– Naturalnie – oznajmiła Loda z prostotą. – Już to robiłam, bo zarejestrowałam się w Polskim Czerwonym Krzyżu. Jeśli taka jest najpilniejsza potrzeba, to proszę mnie skierować do pani generałowej. Sądzę jednak, że... – Zamilkła na chwilę, ale potem podjęła ze swadą: – Znacznie skuteczniejsza jestem w zbieraniu funduszy na rzecz potrzebujących.

Mylił się ten, kto sądził, że Loda Halama zaśpiewa kilka piosenek i zbierze do czapki parę groszy. Już po paru dniach artystka przyniosła do szpitala zapas środków opatrunkowych, leków przeciwbólowych, strzykawek oraz igieł.

– Wsparli nas bracia Jabłkowscy^[128] – powiedziała do jednej z „mateczek”, Zosi Księżopolskiej-Rybickiej^[129], kiedy do szpitala wjechał transport mąki, mięsa i ziemniaków.

Innej z „mateczek”, która nie mogła wyjść z podziwu, że Loda zdobyła tak deficytowy towar jak strzykawki, odpowiedziała:

– Och! Dostałam te rzeczy od Niemców. Oni nawet za nie zapłacili.

Loda Halama miała żelazną zasadę. Uważała, że za krzywdy ludności cywilnej, dzieci i żołnierzy powinni przede wszystkim płacić Niemcy. Jeśli od nich nie uda się uzyskać gotówki, oczywiście pośrednio, dopiero wtedy należy namawiać bogatszych Polaków, aby wsparli potrzebujących. Lodzie nikt nie umiał odmówić. Przekonała do przekazania hojnych datków największe polskie firmy, takie jak Pluton, Fraget, Lawina, Serafiński, Bracia Pakulscy, Bracia Jabłkowscy. Oprócz pieniędzy Loda zdobywała także inne, daleko cenniejsze wsparcie – zatrudnienie dla wyleczonych żołnierzy, którzy nie mogli wrócić do swoich domów albo musieli się ukrywać.

Tym jednak, czym Loda zadziwiła nie tylko społeczność Ujazdowa, lecz także cały świat, była akcja z rannymi westerplatczykami, których po klęsce we wrześniu Niemcy umieścili w szpitalu. Dwudziestu pięciu żołnierzy miało zostać wyleczonych, a następnie wywiezionych do obozów koncentracyjnych. I chociaż ich los wydawał się przesądzony, Loda Halama

powiedziała, że nie dopuści do tego, aby nawet jeden z obrońców ojczyzny trafił do więzienia.

– Chodziło o to – opowiadał Zosi później Witold Zawadowski – aby jak najszybciej ich wyleczyć i umieścić w bezpiecznym miejscu. Loda, proszę ja siebie, zrobiła coś niesamowitego.

Nagle się okazało, że wszyscy westerplaczczy zapadli na gruźlicę i dzięki staraniom profesora Lotha^[130] zostali przeniesieni na oddział gruźliczy. Ordynator doktor Matuszewski^[131] poinformował Niemców, że wszyscy żołnierze aktywnie prątkują. Niemcom nie przyszło do głowy kwestionować diagnozy lekarskiej, panicznie bali się bowiem chorób zakaźnych. Teraz pozostało jedynie wywieźć żołnierzy w bezpieczne miejsce i zabezpieczyć im byt, czym zajęła się Loda Halama. Sobie tylko znanymi sposobami znalazła lokal przy Górskiej i zajęła się jego urządzaniem, zaopatrzeniem i organizacją. Pieniądze na ten cel przekazali nieoceniony Jan Wedel oraz spółka Lilpop, Rau i Loewenstein.

– Oczywiście poprosiłam o pomoc także mojego męża – powiedziała Loda, kiedy przyszła zameldować komendantowi, że kryjówka przy Górskiej jest gotowa na przyjęcie żołnierzy. – Dom Handlowy Gołombowski przeznaczył znaczną sumę na urządzenie schroniska i będzie wspierać jego funkcjonowanie.

– Jest pani niezwykłą kobietą – powiedział z podziwem komendant.

– Ach. – Loda machnęła ręką. – Zdobyć pieniądze jest łatwo. Prawdziwą odwagą wykazali się pan mecenas oraz strażacy. Nie mówiąc o lekarzach, którzy ryzykowali życiem, podmieniając rozpoznania.

Akcję wywożenia żołnierzy koordynował mecenas major Władysław Grzankowski^[132], a przeprowadzili ją strażacy z ruchu oporu „Skała” oraz wtajemniczeni lekarze.

– To było diabelnie niebezpieczne – opowiadał Witold Zawadowski.

– Wyobrażam sobie – powiedziała Zosia. – A jak spreparowałeś zmiany gruźlicze?

Witold Zawadowski uśmiechnął się.

– Spreparowałem jedynie nazwiska na kliszach – wyjaśnił. – Oczywiście Maria mi pomogła. Pokazywaliśmy je Niemcom, chociaż niespecjalnie chcieli oglądać.

Na miejsce części żołnierzy podstawiono trupy, dzięki czemu można było wywieźć wojskowych poza teren Ujazdowa. Ci, którzy oficjalnie pozostali żywi, dostali papiery nieuleczalnych gruźlików i strażacy ukradkiem wywieźli ich do schroniska. Niemcy, w co trudno uwierzyć, niczego nie podejrzewali, chociaż w tamtym czasie bardzo kontrolowali szpital.

– Ojczyzna pani tego nie zapomni – powiedział komendant i zasalutował.

Loda nie dbała jednak ani o zaszczyty, ani o honory, skupiona na wykonywaniu swojej misji. Nawet kiedy akcja zakończyła się sukcesem i wszyscy żołnierze cali i zdrowi zostali bezpiecznie przewiezieni do schroniska, zamiast odpocząć czy osiąść na laurach, aktorka zajęła się pozyskiwaniem środków na funkcjonowanie schroniska oraz wspieranie sierot, inwalidów wojennych, wdów i wszystkich, którzy mogli potrzebować jakiegokolwiek pomocy.

– Musi się pani oszczędzać – powiedziała któregoś dnia Joasia Rychter, kiedy Loda przyjechała do szpitala z prowiantem dla chorych dzieci i zorganizowała w szpitalu jasełka, podczas których zemdląca z wysiłku i niewyspania.

– Tylko chwilę odpocznę – zapewniała wszystkich, którzy zlecieli się na wieść o omdleniu artystki.

– Jest pani przy nadziei – stwierdziła Joasia Rychter. – A ciężarne kobiety nie tańczą godzinami, nie wywożą rannych i nie biegają po Warszawie, żeby wyciągnąć pieniądze od Niemców.

Loda pokryła się wdzięcznym rumieńcem.

– Odpocznę – zapewniła lekarkę. – Przysięgam pani doktor, że odpocznę. Obiecałam to mężowi. On nawet firmę przeniósł, żebym mogła w domu odpocząć. I obiecał, że teraz to on będzie wręczał łapówki i wyciągał ludzi z więzień. W końcu jako Szwajcar ma szczególnie urok osobisty.



– Nie mogą nas do tego zmusić – protestował profesor Hirszfeld.

Joachim Goldschmidt spojrzał na swoją opaskę z gwiazdą Dawida, którą zgodnie z nakazem władz okupanta nosił na prawym ramieniu.

– Mogą i pan dobrze o tym wie – powiedział spokojnie.

– Ja jestem katolikiem! – krzyknął profesor i schował twarz w dłoniach.

– Jest pan Żydem – odpowiedział mu Goldschmidt – Nie ma znaczenia, że pana rodzina jest zasymilowana. Ja też uważam się za Polaka. I co?

– Ale ja nie mogę iść do getta, jestem potrzebny tutaj... – jęknął bezradnie naukowiec.

Witold Zawadowski, Krystyna Ossowska i Zosia siedzieli razem z nimi w pokoju lekarskim. Zosia nie wiedziała, co powiedzieć, jak pocieszyć profesora i Joachima, który mimo że tego nie okazywał, był zdruzgotany wieścią, że ma opuścić swoje mieszkanie i udać się do getta.

– Powiem panu więcej – ciągnął Goldschmidt. – Żydzi w Rzeszy też uważali się za Niemców. Byli ogromnie zaskoczeni, kiedy Hitler zaczął ich mordować, przejmować ich majątki i tłumaczyć, że nigdy nie byli i nie będą Niemcami.

– Może powinniście się ukryć – zasugerowała Zosia. – Schować się po aryjskiej stronie?

– Na pewno niektórzy spróbują – odparł Joachim z zadziwiającym spokojem w głosie. – Ja mam żonę i pięcioro dzieci. Nie uda nam się przetrwać pod okiem Niemców.

Poprzedniego dnia został zatrzymany na ulicy i pobity przez dwóch policjantów kilkadziesiąt metrów od swojego domu. W jego obronie stanęła jakaś kobieta – krzyknęła do Niemców, żeby go zostawili. Jeden z nich strzelił do niej. Zginęła. Joachim był pewien, że i jego zabiją, ale puszczono go. Ledwie zdołał dotrzeć do domu, bo ludzie chcieli go zlinczować za to, co spotkało tamtą kobietę.

– Jakby to była moja wina – powiedział gorzko.

Już wcześniej wybijano szyby w oknach jego mieszkania. W kamienicy, w której mieszkał, była stróżka, dawniej pacjentka Joachima – pomagał jej nieodpłatnie, z dobrego serca, bo jej mąż był pijakiem, a mieli kilkoro dzieci. Kiedy podpisała volkslistę, Joachim i jego rodzina omijali ją z daleka, ale stróżka zapowiedziała, że gdy tylko wywiozą ich do getta, ona zajmie ich mieszkanie.

– Co też pani mówi, pani Marusiowa? – zapytała żona Joachima, Ida. – Przecież zawsze okazywaliśmy pani przyjaźń i szacunek.

– Wy, Żydki, musieliście mieć w tym jakiś interes – odpowiedziała Marusiowa i splunęła prosto pod nogi Idy. – A teraz zapłacicie za wszystko, co nam zrobiliście.

– Ale co wam zrobiliśmy? – pytała Ida, lecz Joachim pociągnął żonę do domu, który jeszcze należał do nich.

Kiedy Witold Zawadowski wyszedł z roztrzęsionym Ludwikiem Hirszfeldem i Krystyną, która miała za chwilę przyjąć grupę sierot doktora Korczaka, Goldschmidt wstał, podszedł do szafy i wyjął niewielki kuferek. Podszedł do Zosi i podał go jej.

– Co to jest? – spytała, chociaż doskonale znała odpowiedź.

– To wszystko, co mamy – powiedział. – Dużo.

Zosia nie zadawała już żadnych pytań.

– Dobrze, Joachimie – powiedziała. – Przechowam je. Możesz być pewien, że...

– Jeśli nie przeżyjemy...

Podeszła i ścisnęła go za rękę.

– Nawet tak nie mów – poprosiła.

– Możemy zabrać ze sobą tylko określoną sumę i niewiele rzeczy... – Nie patrzył na Zosię.

– Będziemy wam pomagać – zapewniła go. – Nie zostawimy was, przecież wiesz.

Popatrzył na nią czarnymi jak węgiel oczami.

– Cały świat nas zostawi – powiedział. – Cały świat.
Zosia nie wiedziała, co powiedzieć.



Witold rozmawiał ze Stachem i Kornelem. Zosia z Marią szykowały w kuchni coś do zjedzenia. Od wybuchu wojny Zosia rzadko spotykała się z Witoldem i Marią poza szpitalem, więc teraz, kiedy kroїła pasztet na małe kawałki, czuła się wyjątkowo.

– Skąd go masz? – spytała ją Maria.

– Z Różyckiego – odpowiedziała jej Zosia. – Tam można dostać wszystko. Uwielbiam pasztety. Honorka przed wojną robiła pyszne. Dziadek za nimi przepadał.

Nie dodała, że Honorka piekła pasztety z mięsa zajęcy albo dziczyzny, a ten był ze świńskich płuczek czy nerek i tylko trochę pachniał wątróbką. Na bazar Różyckiego zachodziła regularnie. Staruszkę, od której kupiła pasztet, zauważyła całkiem niedawno. Dała jej dwa razy więcej pieniędzy, niż tamta chciała, a babuleńkę wzruszyło to do łez.

– To prawda, że Ujazdów dostaje pieniądze z Różyca? – spytała Maria z nutą zazdrości w głosie.

– Prawda. – Zosia pokiwała głową.

Na bazarze często przeprowadzano kontrole i karano mandatami tych, którzy dodawali trocin do mąki albo oszukiwali na wadze. Pieniądze z mandatów otrzymywał Szpital Ujazdowski. Biorąc pod uwagę, że pracownikom regularnie wypłacano pensje, a mecenasi tacy jak Jan Wedel wspomagali placówkę, nie żyło im się źle.

Zosia wzięła talerz z pasztetem i chlebem, a Maria wazę z rosółem.

– O ho, ho... – cmoknął Witold. – Jakie tu u was frykasy.

– Ogórki, grzybki i konfitury z Komorowa – zachwalała Zosia.

– O czym rozmawialiście, kiedy byliśmy w kuchni? – spytała Maria.

Witold, Kornel i Stach wymienili spojrzenia.

– Dostałem list z oflagu od mojego dobrego kolegi Zbyszka Dobraczyńskiego^[133]. Był na wschodzie... – Witold ściszył głos. – Niczego wprost nie napisał, ale między wierszami wyczytałem, co trzeba.

– Chodzi o to, co się stało z oficerami? – spytała Zosia. – Wtedy, w trzydziestym dziewiątym?

– Właściwie nigdy o tym nie mówiłeś... Nie mówiliśmy – poprawiła się Maria.

– Zbigniew wiedział, że trafiłem do szpitala. Miał nadzieję, że przeżyłem. Jego rodzina się ze mną skontaktowała.

– Ci, którzy poszli na wschód w trzydziestym dziewiątym, nie wrócili – przypomniała Zosia. – Rosjanie wciąż trzymają ich na Syberii.

– Raczej nie... – stwierdził Witold i uciekł wzrokiem. – Zbyszek pisał, że wraz z innymi oficerami, wachmistrzami i zwykłymi policjantami trafił do Kozielska. Zgłosił się do dodatkowej pracy. Można było rozładowywać wagony. Dostawało się śledzia więcej.

Spojrzał na Marię, potem na resztę towarzystwa.

– Myśmy tam strasznie głodowali – wyjaśnił. – To też dawało do myślenia. Że prawie wcale nas nie karmią... Jakby im było szkoda na nas jedzenia.

– Skoro twój znajomy trafił do oflagu, to może i inni tam są? – spytał Kornel z nadzieją w głosie.

– Zaszczepiono ich na tyfus. Przyjeżdżały po nich wagony i Rosjanie twierdzili, że pojedą do Polski, na wymianę. Tyle że Zbyszek widział, że wagony są kierowane na wschód. I uznał, że się na tę wymianę nie pisze.

– Jak trafił do oflagu? – zapytał Stach.

– Nie pilnowano ich za bardzo, więc on po pracy nie wrócił do obozu. Szedł nocami, trzymał się torów. Przepląnął Bug wpław. Wszedł do Brześcia, zdarł epolety i dołączył do tych, którzy przyjechali jednym z pociągów. Bo oficerów wywożono na wschód, ale zwykłych żołnierzy rzeczywiście przewożono na wymianę. I Niemcy tam ich przejęli.

Powiedzieli, że wiedzą, że oficerowie się ukrywają, i kazali się ujawnić. Zbyszek to zrobił. Niemcy go sprawdzili, potwierdzili jego tożsamość. Wysłali go do Woldenberga. Ważył czterdzieści dwa kilo, wyobrażacie sobie?

– Żydzi w getcie ważą mniej. – Maria spuściła głowę.

– W każdym razie dostał tam ataku wyrostka. Operował go jakiś Włoch, nawet nie lekarz, tylko felczer. Na żywca.

– Ci, którzy pojechali na wschód – zaczął Stach – myślisz, że przeżyli?

– Nikt nigdy stamtąd nie napisał. Ostatnie wiadomości są ze stycznia, lutego czterdziestego roku. Potem zamilkli.

– Może mają zakaz pisania z więzienia? – powiedziała Zosia, ale sama w to wątpiła.

– Ja myślę, że już ich nie zobaczymy – stwierdził Witold. – Szwojnickiego^[134], Garbowskiego^[135], Kalicińskiego...

– Jedzcie – zachęciła ich smutno Zosia.

Sigmund Freud

1856–1939

Freud siedział przy swoim ulubionym stoliku w Café Landtmann w Wiedniu. Przed nim stała filiżanka kawy, którą podał mu osobiście właściciel kawiarni.

– Co na to pana mentor, profesor Charcot? – spytał dyrygent i kompozytor Gustav Mahler, z którym od dłuższego czasu Freud wiódł dysputy na temat wpływu muzyki na mózg. – Miałem okazję z nim kiedyś rozmawiać i wydaje mi się, że nie pochwała filozoficznych wycieczek poza krąg ściśle naukowy.

– Hmm... – Freud zapalił cygaro. – Nie zaniechałem studiowania mózgu. Profesor liczył na to, że jako wykształcony neurolog nadal będę zgłębiał schematy sieci neuronalnych, ale... – Urwał i zamyślił się.

– Rozumiem, że przestało to pana interesować – zagadnął Freuda inny stały bywalec kawiarni, młodziutki filozof i początkujący pisarz Stefan Zweig.

– Ależ skąd – zaprotestował Sigmund. – Nadal ciekawią mnie drogi komunikacji między komórkami mózgowia. Po prostu kwestie niedowładów, porażen czy zaburzeń widzenia pozostawiam innym. Sam zajmę się ludzkimi uczuciami, lękami, tęsknotami...

– ...i marzeniami... – wpadł mu w słowo Mahler.

– ...sennymi – dodał August Rohn, neurolog, który tak jak Freud zaczął dzień od kawy w Café Landtmann. – Sam mam niewiarygodne marzenia senne.

Freud uśmiechnął się.

– Hipnoza jest urzekająca – powiedział. – Nie macie panowie pojęcia, co dzieje się z pacjentem, kiedy zyskuje dostęp do najwcześniejszych wspomnień. Sprawy ukryte, głęboko wepchnięte do wnętrza umysłu, które wydają się nie mieć żadnego znaczenia, utrudniają nieszczęśnikowi normalne życie.

– Czytałem pana teorię nieświadomego umysłu. – Pisarz uśmiechnął się. – Chciałbym pana dobrze zrozumieć. Traktuje pan umysł ludzki jako worek bez dna, do którego przez całe życie wpuszczamy wspomnienia, przemyślenia i doświadczenia. Niektóre z nich wypieramy, a inne poddajemy swoistej obróbce.

– Zgadza się – potwierdził Freud.

– Czy to nie rodzaj chaosu, którego ludzie doświadczają w mniejszym bądź większym stopniu? – kontynuował Zweig. – Szczerze mówiąc, gdybym ja miał taki bałagan w umyśle, nie napisałbym żadnego tekstu.

Freud zastanowił się.

– Można to tak ująć – odpowiedział w końcu. – To jednak nie pasuje do pana jako pisarza. Wierzę bowiem, że moja teoria będzie miała wpływ na literaturę – tu przerwał i spojrzał znacząco na Mahlera – i muzykę – dodał.

Obaj mężczyźni uśmiechnęli się z powątpiewaniem.

– Powiedziałbym, że umysł to wielowarstwowa gleba – wyjaśniał dalej Freud. – Jest ona nieokiełznanym siedliskiem instynktów i pragnień. Przykrywa ją jednak warstwa nawozu, codzienna świadomość własnej osoby i czynów. Nad wszystkim czuwa ogrodnik, który decyduje o tym, które rośliny pielęgnować, a którym nie pozwolić wyrosnąć. Ogrodnik jest cnotliwy i można go nazwać głosem sumienia.

– Ogrodnik, powiada pan – mruknął w końcu Mahler. – Gdybym ja miał to wyjaśnić, odwołałbym się do struktury kompozycji.

– Byłaby to zatem raczej kakofonia dźwięków, z których wyłania się utwór muzyczny. To od wrażliwości i osobowości kompozytora zależy, jak zostanie skomponowany – odpowiedział Freud.

– Wielce ciekawa teoria, ale jak pan ją udowodni? – spytał Zweig.

– Empirycznie – odpowiedział żywo Freud. – Już rozpocząłem badania. Opiekuję się obecnie grupą pacjentek, które określono jako słabe na umyśle, nadpobudliwe, u których wystąpiło mnóstwo objawów na tyle sprzecznych, że niemożliwe jest stwierdzenie, w którym miejscu mózgowie jest uszkodzone. Doszedłem do wniosku, że fizycznie te kobiety są zdrowe. Przyczyną objawów jest zaś konflikt między różnymi częściami umysłu. Nazwałem tę chorobę nerwicą.

– Jak wygląda leczenie? – spytał Zweig.

– To leczenie przez rozmowę – wyjaśnił Freud. – Jedna z moich pacjentek była głodzona i zamykana w ciasnym, ciemnym pomieszczeniu. Podawano jej belladonę, skrzyp polny, dziurawiec i sole bromu. Wystarczyło, żebym z nią porozmawiał i wysłuchał, co ma do powiedzenia, a jej stan znacznie się poprawił.

– To prawda – potwierdził Rohn.

W tej chwili do kawiarni wszedł August Bergman, znany przemysłowiec i filantrop, który tak jak Freud, Mahler i Zweig zapragnął umilić sobie sobotnie przedpołudnie.

– Coś mnie ominęło? – spytał.

Streszczono mu przedmiot dyskusji.

– Nasz drogi doktor Freud opuszcza neurologię, by udać się na niepewny i niezbadany ląd – podsumował Rohn. – Mnie oraz Charcota zostawia na pastwę sieci neuronalnych i chorób degeneracyjnych mózgowia.

– Poradzisz sobie, mój drogi – pocieszył go Freud.

– A my – Bergman skinął głową na kelnera, aby podał mu to co zwykle, czyli kawę oraz ekler – powinniśmy wysłać do pana nasze córki i żony.

– Owszem – zgodził się Freud. – Ale tylko te, które nie mają kontaktu z rzeczywistością, bo nie dostały szansy na życie w społeczeństwie darwinowskim.

– Czyli w jakim? – mruknął Bergman i wsypał do kawy sporą łyżkę cukru. Na ten widok Mahler się skrzywił. – Mam wysłać do pana swoją szesnastoletnią córkę, aby pobyła nieco wśród małąp?

Freud, który znał Bellę Bergman, wstrzymał się od komentarza. Bella była uroczą dziewczyną u progu dorosłości, z umysłem dziesięciolatki, która czerwieniła się na widok każdego przedstawiciela płci męskiej. Jej ojciec opowiadał kiedyś z rozbawieniem, jak córka, poproszona do tańca przez jednego ze swoich kuzynów, zemdląca, gdy ten tylko dotknął jej pleców. Freud sądził, że kto jak kto, ale Bella jest żywym dowodem na potwierdzenie jego teorii, że u podłoża nerwicy leżą konsekwencje selekcji naturalnej opisanej przez Darwina.

– Nasz umysł – podjął przerwany wątek – ma wspierać w nas zachowania społeczne, podobne do tych, jakie obserwujemy u zwierząt. Fakt, że stoimy najwyżej w hierarchii gatunków, nie ma tu znaczenia. Żyjemy w grupie, gdzie musi istnieć proporcja między współpracą a współzawodnictwem.

– I moja Bella jest tej współpracy pozbawiona? – ironizował Bergman.

„Uderz w stół, a nożyce się odezwą”, pomyślał Freud.

– Możliwości takiej współpracy – uściślił.

– Twierdzi pan, że dzisiejsze dziewczęta tłumią swoje popędy? – indagował Mahler, po czym zaczerwienił się nagle, jakby sobie coś przypomniał.

Freud nie chciał zostać posądzony o obrażanie córki Bergmana ani ukochanej Mahlera, zatem postanowił posłużyć się przykładem jednej ze swoich pacjentek.

– Dzisiejsza młodzież zmuszona jest do tłumienia popędu seksualnego – powiedział. – Dziewczęta fantazjują o prokreacji, pisząc do sztambuchów wiersze o czystości i kwiatach, a chłopcy nie umieją oderwać swoich myśli i często rąk od własnych matek.

Kilka osób siedzących dalej dosłyszało, o czym mówi Freud. Rozległy się pomruki oburzenia. Sigmund udał, że tego nie słyszy.

– Właśnie tak! – Uniósł palec. – To, co mówię, wydaje się obrazoburcze, ale samo słowo „prokreacja”, albo co gorsza „seks”, wzbudza w panach,

wykształconych ludziach, oburzenie. Tak, pozwalacie na teoretyzowanie, ale nie dopuszczacie myśli, że chodzi o wasze żony i córki.

– Bo nie chodzi o nie – odezwał się Zweig.

– Tymczasem popęd seksualny odpowiada za przetrwanie jednostki. – Freud zignorował Zweiga. – Sukces w tej materii jest czymś naturalnym, a pomijanym milczeniem. Być może ze względu na siłę tego popędu. Kiedy usiłujemy go stłumić, negujemy miliony lat ewolucji, a tym samym zaprzeczamy selekcji naturalnej. To rodzi najpotężniejszy konflikt wewnętrzny, jaki może wystąpić.

– Czyli nerwicę? – upewnił się Mahler.

– Nie tylko nerwicę, lecz także poważniejsze zaburzenia – urojenia, niedostosowanie...

– Jak pan zamierza to udowodnić? – spytał Mahler.

– W taki sam sposób, w jaki udowodniłem właściwości znieczulające kokainy aplikowanej na powierzchnię ludzkiego oka. Opisałem to w prasie fachowej.

– Chodzi o Dorę? – przerwał im Damian Thorpe, kolega z katedry neurologii. Freud podejrzewał, że kiedy on sam opuści Charcota, to właśnie Thorpe zajmie jego miejsce.

Sigmund pokiwał głową.

– Nazwałem tę dziewczynę Dorą. Cierpiała na ataki kaszlu połączone z dusznością i utratą głosu. Wcześniej była badana przez najwybitniejszych wiedeńskich lekarzy, którzy dokładali wszelkich starań, aby odnaleźć przyczynę jej dolegliwości i skutecznie je wyleczyć.

– I udało się to dopiero panu? – spytał Bergman.

Freud poczuł irytację, usłyszawszy ironię w jego głosie, ale kontynuował jak gdyby nigdy nic.

– Tak. To ja spytałem ją, kiedy pojawiają się owe ataki kaszlu, i dowiedziałem się, że występują one w czasie wizyt niejakiego pana K., przyjaciela rodziny. Po kilku rozmowach już miałem pełen obraz. Dora cierpiała na nerwicę konwersyjną. Otóż pan K., jak mi wyznała pacjentka,

zachowywał się wobec niej nieprzystojnie. Szukał pretekstu, aby znaleźć się z nią sam na sam, a kiedy mu się to udawało, dotykał jej i ocierał się o nią ciałem. Kiedy Dora poskarżyła się ojcu, ten jej nie uwierzył; pewnie dlatego, że sam miał romans z żoną pana K. Dora, która wiedziała o poczynaniach ojca, szybko zdała sobie sprawę, że obrzydliwe zachowanie pana K. jest przez jej ojca akceptowane, gdyż stanowi cenę za możliwość spotkań z jego żoną.

– Stąd jej bezgłos? – spytał Thorpe, oglądając torcik czekoladowy, który podano mu na porcelanowym talerzyku.

– Tak. – Freud pokiwał głową i dopił kawę. – Dora kochała ojca i pragnęła mieć z nim dobre relacje. Jednocześnie nie mogła tolerować zachowania przyjaciela domu. To zrodziło potężny wewnętrzny konflikt. Do tego wydaje mi się, że matka Dory zadurzyła się w owym panu z wzajemnością, co szczęśliwie osłabiło jego zainteresowanie dziewczyną.

– Co stało się z Dorą? – spytał Thorpe.

– Ma się bardzo dobrze – skłamał Freud. – Od momentu, w którym mogła nazwać swój problem, a ja odbyłem rozmowę zarówno z jej ojcem, jak i matką, problem zniknął.

Freud nie dodał, że Dora nie jest już jego pacjentką. Z niejasnych przyczyn przestała korzystać z jego usług. Lekarz podejrzewał, że zbyt mocno zasugerował dziewczynie, że pociąga ją seksualnie własny ojciec. Ale wcześniejsza trafna diagnoza i skuteczne leczenie były niepodważalne.

– To ciekawe teorie, które przysporzą panu zwolenników – zauważył Thorpe. – Zwłaszcza że pan tak przekonująco je przedstawia.

Freud był więcej niż zadowolony, słysząc te słowa.

– Podsumowując naszą rozmowę: już znają panowie odpowiedź na pytanie, dlaczego oddaliłem się od neurologii i zostałem alienistą.

– Kim? – spytał Mahler.

– Tak nazywamy odszczepieńców, którzy zajęli się szeroko pojętą psychę – wyjaśnił Rohn.

– Wolę określenie „psychiatra”. – Freud uśmiechnął się i zwrócił do Thorpego: – W neurologii zrozumienie istoty choroby rzadko oznacza możliwość jej wyleczenia. Patrzymy bezradni, jak degeneracja mózgowia wyniszcza pacjenta, jak pogłębia się paraliż, a ataki epileptyczne osłabiają umysł, a co za tym idzie – ciało. W psychiatrii jest inaczej. Istnieje narzędzie do walki z chorobą, a ja zamierzam je dokładnie opisać.

W oczach Thorpego zobaczył zazdrość.

– Coś w tym jest. – Neurolog przełknął pierwszy kęs torcika. – Coś w tym jest...



Martha, żona Freuda, stanęła w progu skromnego mieszkania przy Berggasse w nijakiej dzielnicy Wiednia, zamieszkałej głównie przez żydowską klasę średnią, i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Wydajesz przyjęcie, mój drogi? – spytała ironicznie.

– To nie przyjęcie – zaprzeczył. – Tylko niezbyt formalne spotkanie naukowe. Zresztą to nie mój pomysł, tylko Stekla.

– Tego poety? – spytała Martha.

Sigmund skrzywił się.

– Jest przede wszystkim internistą. Sztuki teatralne i wiersze, które pisze, świadczą o jego światłym i nieograniczonym umyśle.

– O jego światłym i nieograniczonym umyśle świadczy zainteresowanie twoją książką – sarknęła żona.

Zaledwie dwa lata wcześniej Freud wydał pozycję *Objaśnianie marzeń sennych* i z przykrością patrzył, jak skromny – sięgający zaledwie sześciuset egzemplarzy – nakład zalega w księgarniach. Tylko kilku lekarzy z prawdziwego zdarzenia było zainteresowanych teoriami Freuda na tyle, by rozpocząć z nim korespondencję. Jednym z nich był Wilhelm Stekel i to

on właśnie podsunął Sigmundowi pomysł stworzenia nieformalnej grupy dyskusyjnej.

– Ile osób przyjdzie? – zapytała Martha, która pochodziła z oszczędnej i porządnej żydowskiej rodziny. – I czy naprawdę muszą przyjść tutaj? Nie możesz się z nimi spotkać w tej swojej kawiarni?

– Cztery – odpowiedział. – Oprócz Stekla pojawią się Max Kahane i Rudolf Reiter. Oraz – uważaj, moja droga – Alfred Adler. W kawiarni odbywamy dyskusje z ludźmi spoza kręgu medycznego. A ja chciałbym zorganizować spotkanie ściśle naukowe.

Martha nic nie powiedziała, ale jej twarz wyrażała zadowolenie. Kahane i Reiter byli przyjaciółmi jej męża jeszcze z dzieciństwa; przypuszczała, że wyświadczyli mu grzeczność, przyjmując zaproszenie. Z Adlerem sprawy miały się inaczej. Chociaż był ekscentrykiem i czuł dziwny pociąg do robotników – zresztą ubierał się jak jeden z nich – to był niezwykle ceniony w środowisku medycznym. Zręczność towarzyska i ogłada Adlera oraz jego liberalne poglądy mogły pomóc jej mężowi w rozpropagowaniu idei psychoanalizy. Do tej pory tylko Stekel poddał się psychoanalizie. Freud musiał zdobyć szersze grono zwolenników, aby traktowano go poważnie. Martha doskonale to rozumiała.

– Co wam podać do jedzenia? – spytała.

– Wystarczą ciasteczka i cygara – odpowiedział Freud, zadowolony, że żona jak zwykle praktycznie podchodzi do jego przedsięwzięć i on nie musi tracić czasu na jałowe dyskusje.

Punktualnie o dwudziestej trzydzieści w wiktoriańskim salonie Freudów przy podłużnym stole czterej goście zajęli miejsca. Każdy z nich dzierżył w ręku list z zaproszeniem, na którym napisano: „Sprawiłoby mi wielką przyjemność, gdyby mały krąg kolegów i współpracowników zechciał zbierać się u mnie raz w tygodniu wieczorem w celu omówienia interesujących zagadnień z zakresu psychologii i neuropsychologii. Czy byłby Pan tak miły, by do nas dołączyć?”.

Freud odchrząknął.

– Witam panów – zaczął uroczystym tonem.



Spotkania Środowego Towarzystwa Psychologicznego to w istocie spędy pseudonaukowców, głodnych dziwnej wiedzy, jaką aplikuje im samozwańczy mistrz Sigmund Freud. Uczestnicy owych seansów, które trudno odróżnić od spirytystycznych, palą cygara, piją kawę i podjadając ciasteczka, zgadzają się z bredniami, jakie wygłasza Freud. Sam mistrz ceremonii po wynalezieniu nowej religii i obwołaniu się jej mesjaszem poszerza krąg wyznawców, obiecując im psychoanalityczne zbawienie...

Freud rzucił gazetą i zapalił kolejne cygaro. To prawda, że środowe spotkania skupiały się na teoretycznych i praktycznych aspektach jego idei, ale czyż nie po to zapraszał zainteresowanych? I dlaczego ów dziennikarzyna nazywa ich „wyznawcami”? Przecież Sigmund za każdym razem dowodzi swoich racji, przedstawia konkretnych pacjentów, których ozdrowienie wyraźnie potwierdza postawioną tezę.

– Czemu palisz w ciągu dnia i chodzisz w kółko? – spytała Martha, która właśnie weszła do jego gabinetu.

– Siadaj, moja droga, siadaj tutaj – polecił żonie.

Martha usłuchała.

– Co mówią o mnie twoje przyjaciółki? – spytał nieoczekiwanie.

– Proszę? – zdumiała się.

– Na pewno słuchasz plotek. Chciałbym, abyś mi je powtórzyła. Zobacz, to ukazało się w gazecie.

Podał jej wydartą stronę z notatką. Martha uważnie ją przeczytała.

– Czy to cię tak zdenerwowało? – spytała spokojnie.

– Owszem. – Freud pokiwał głową. – A ciebie nie denerwuje, kiedy nazywają mnie szarlatanem?

Pokręciła przecząco głową.

– W pewnym sensie jesteś szarlatanem, ponieważ lek przez ciebie aplikowany nie ma wagi ani postaci, w której można by go było wstrzyknąć albo połknąć – powiedziała spokojnie. – Każesz ludziom wierzyć w terapię,

której nie można jednoznacznie określić. Nie dziw się zatem, że niektórzy są sceptyczni.

– Hipnoza jest metodą, którą można naukowo opisać – burknął, ale w duchu przyznał żonie rację.

– Sam mówiłeś, że w niektórych przypadkach nie działa – przypomniała mu.

– Izolowana tak, zawodzi w połowie przypadków. Dlatego stosuję ją w ramach usystematyzowanej terapii rozmową. Zarzuca mi się, że hipnoza jest terapią nieneurologiczną. Tymczasem to Charcot mnie jej nauczył!

Martha podniosła się.

– Wybacz, mój drogi, ale nie zajmują mnie plotki. Chociaż wiem, że moja przyjaciółka Kitty Weis jest wielce zadowolona z zastosowania twojej metody... jak to określiła... wolnego mówienia o wszystkim...

– Wolnych skojarzeń – poprawił ją mąż i spojrzał na nią z nadzieją. – To jest jedna z możliwości psychoanalizy. Wolne skojarzenia, niekontrolowany słowotok i interpretacja snów to królewska droga do nieświadomości.

– Jak widzisz, twoja terapia działa. Sądzę, że kłopot jedynie w tym... tym... – Skromnie spuściła oczy.

Freud się roześmiał.

– Wiem, moja droga, że porządne żydowskie wychowanie zabrania mówić ci tak otwarcie o tych sprawach. Seks jest jednak nieodłącznym elementem naszego życia, szczęśliwego życia.

Martha pokiwała głową.

– Nasze dzieci nie znalazły się w kapuście – wyjaśniła – ale kiedy słyszę, jak mówisz o pragnieniu synów, aby osiąść swoje matki, trudno mi złapać oddech.

– Odnosisz to do naszych własnych synów. I słusznie – powiedział Freud, zadowolony z zainteresowania żony tematem. – Kiedy nasz syn Ernst był małym chłopcem, śnił o tym, że znajduje się przed wejściem do domu i za chwilę wchodzi do środka.

Martha skrzywiła się.

– I to dowodzi, że... chciałby...?

– Owszem – potwierdził Freud z powagą. – W chwili wejścia do domu śniący przypomina sobie, że już się tam wcześniej znajdował. Dom, jego wnętrze, symbolizuje waginę matki. Cóż bardziej naturalnego w takim pragnieniu, zważywszy na to, że każdy syn znajdował się w tejże waginie?

Martha westchnęła.

– Gdyby twoje teorie były słuszne, połowa synów sypiałaby z matkami, a druga połowa je wymordowała – odrzekła.

Freud już jej jednak nie słuchał. Pogrążył się w rozmyślaniach. Na dzisiejszym spotkaniu zamierzał poruszyć bardzo ważny aspekt psychoterapii. Zwykle siadał za pacjentem tak, żeby ten go nie widział. Miał pewność, że staje się wtedy dla pacjenta kimś neutralnym i nie budzi w nim żadnych emocji. To z kolei pozwala na wybuch doświadczeń nieświadomych i przeniesienie na terapeutę uczuć, które pacjent żywi w stosunku do bliskich, a które są powodem jego problemów. Marzenia senne i wolne skojarzenia czynią wtedy „rzeczy ukryte” widocznymi. O tym chciał porozmawiać z uczestnikami środowego spotkania.



Freud krążył po salonie w stanie najwyższego wzburzenia.

– Wykluczenie Alfreda Adlera jest absolutnie konieczne! – powiedział gwałtownie.

– Mieliśmy rosnać w siłę, a nie wykluczać się nawzajem – rozległ się głos Maxa Eitingona.

Freud zaczerpnął głęboko powietrze. To go nieco uspokoiło.

– Środowe Towarzystwo Psychologiczne stawało się coraz bardziej podzielone, poza tym nie mieściliśmy się już w moim salonie – zwrócił się do swojego rozmówcy. – Dlatego stworzyliśmy nową grupę. Przypominam

panom, że celem Towarzystwa Psychoanalitycznego^[136] jest całkowita przemiana psychiatrii, a to możemy osiągnąć, tylko będąc wiernymi idei.

– Ale to są pańskie idee, Freud – odezwał się Hanns Sachs. – Nie pozwala pan na szeroko zakrojone badania, żąda pan całkowitej wiary w swoje twierdzenia. Ktokolwiek próbuje z panem dyskutować, obwoływany jest zdrajcą.

– Bo jest zdrajcą – odparł Freud. – Każdy, kto dowodzi, że u podłoża większości zachowań bierno-agresywnych oraz autodestrukcyjnych nie stoi teoria uzupełniających się i rywalizujących ze sobą systemów świadomości, nie powinien być członkiem żadnego szanującego się towarzystwa psychiatrycznego. A na pewno nie mojego.

– Czymże zgrzeszył Adler? – odezwał się Sándor Ferenczi. – To jego nazywał pan „jedyną znaczącą osobowością w otoczeniu”.

– Głosi teorie, że umysł jest niepodzielny i stanowi jedność.

– Czyż nie jest to przyczynek do dyskusji? – spytał Otto Rank.

– Nie, dlatego że wszystkie konflikty wewnętrzne dotyczą sfery seksualnej, a tę tezę Adler odrzuca. Twierdzi, że równie silną przyczyną chorób psychicznych są popędy agresywne.

– Jedno nie wyklucza drugiego – odparł Otto Rank, którego latami Freud nazywał „najbardziej oddanym pomocnikiem i współpracownikiem”. – A Adler oskarża pana o paranoję i terror.

– Ależ wyklucza, i to bezwzględnie! – krzyknął Freud w odpowiedzi. – Wiem, co Adler o mnie mówi. Że jestem anormalną jednostką doprowadzoną do szaleństwa przez własną ambicję. I wiem, że pan, którego miałem za przyjaciela, podziela jego zdanie i szkaluje moje imię za moimi plecami.

Rank wstał i skłonił się.

– Jestem naukowcem – powiedział. – Interesuje mnie medycyna oparta na dowodach, a nie schlebienie gustom duchowego przywódcy. Żegnam pana. Dołączam tym samym do Adlera i Wilhelma Stekla, którego także raczył pan usunąć ze swojego kręgu.

– Tak bywa. – Freud pozostał niewzruszony. – Rewolucja pożera własne dzieci.

Rank wyszedł, zebrani usłyszeli trzaśnięcie drzwiami. Freud wstał.

– Zatem przyszedł czas na podjęcie decyzji. Albo panowie wyrzekną się teorii Adlera, albo zostaną wydaleny z Towarzystwa.

Zaległa cisza. Freud z triumfem popatrzył na zebranych.

– A więc kontynuujmy – powiedział.



– Uważałem go za syna – zwrócił się Freud do Karla Abrahama i schował twarz w dłoniach. Nigdy nie czuł się tak bardzo zdradzony. – Tymczasem on wbił mi nóż w plecy.

Karl Abraham nie odezwał się. Po raz pierwszy Freud zdecydował się opowiedzieć o tym, co się wydarzyło między nim a Carlem Gustavem Jungiem.

– Po sześciu latach owocnej współpracy, po tym, jak entuzjastycznie poparłem jego kandydaturę na pierwszego prezesa Międzynarodowego Towarzystwa Psychoanalitycznego, po tym, jak nazywałem go „adoptowanym synem”... Nie mogę w to uwierzyć.

Abraham wstał i dotknął ramienia Freuda.

– Różniliście się od samego początku – powiedział łagodnym głosem.

– Kiedy bodajże w tysiąc dziewięćset szóstym przeczytałem jego *Studia nad skojarzeniami słownymi*, od razu zaprosiłem go do siebie. Rozmawialiśmy przez bite trzynaście godzin. Chociaż dzieliło nas dziewiętnaście lat, rozpoznałem w nim bratnią duszę.

– Różniliście się od początku – powtórzył Abraham.

– Sądziłem, że wybiję mu mistycyzm z głowy – rzucił gorzko Freud. – I ukierunkuję go w stronę uwarunkowań seksualnych. Był taki młody, miał prawo błądzić...

– Jako ateista lekceważysz siłę wiary niektórych osób – napomniął go Abraham.

– Naukowiec nie ma prawa być mistykiem. – Freud upierał się przy swoim. – Wiary nie można udowodnić empirycznie.

Abraham zamierzał powiedzieć, że swoich teorii Sigmund także nie jest w stanie udowodnić, ale nie chciał wszczynać dyskusji. Ostatnimi laty Freud zajęty był jedynie poszerzaniem zasięgu własnych idei. Psychoanaliza oddziaływała nie tylko na psychiatrię, ale też na szeroko pojętą kulturę. Jej wpływy można było odnaleźć na obrazach współczesnych pisarzy, dostrzec na kartach powieści i zobaczyć na scenie teatralnej. Sam Freud poświęcał mnóstwo czasu na kontakty z kompozytorami, pisarzami, poetami i malarzami i nakłaniał ich do czerpania inspiracji z teorii psychoanalizy, dowodząc, że stanie się ona elementem nie tylko nauki, ale również sztuki.

– Skoro nie można jej udowodnić, to czemu kruszyć o nią kopie? – spytał w końcu Abraham.

– Jeśli masz na myśli naszą dyskusję w Monachium w tysiąc dziewięćset dwunastym, to nie mogłeś nie zauważyć, że słowa Junga były w istocie próbą obrażenia mnie.

– Na miłość boską – nie wytrzymał Abraham. – Omawialiśmy pracę na temat starożytnego faraona Amenhotepa. Twoja reakcja była przesadzona!

– Przesadzona?! – Freud niemal się zachłysnął. – On stwierdził, że nie należy przywiązywać szczególnej wagi do faktu, że Amenhotep usunął nazwisko ojca ze wszystkich inskrypcji!

– A ty uznałeś, że usunął twoje ze wszystkich prac!

– Usunął je. Zachował się jak ojcobójca! A teraz oficjalnie odżegnał się od mojej teorii psychoanalitycznej na rzecz własnej formy terapii!

Abraham przypomniał sobie, że Freud, kiedy się o tym dowiedział, wpadł w szal, odgrażał się, krzyczał i złorzeczył Jungowi, a potem padł zemdlny na ziemię. Rozważył, czy należy w jakikolwiek sposób bronić Junga. Mimo ryzyka zdecydował się na to.

– Złożył ci hołd, nazywając swoją teorię psychologią analityczną. Zresztą on dopiero raczkuje. Psychoanaliza natomiast jest powszechną praktyką w Europie. Konkurencja może ci tylko zazdrościć.

– Konkurencja jest niebezpieczna – narzekał Freud. – I nie rozumiem, dlaczego moja teoria nie przyjęła się za oceanem.

Abraham, który dostrzegł możliwość skierowania gniewu Freuda na inne tory, powiedział z pewnością w głosie:

– Sądzę, że twoją rolą jest przekonać do niej Amerykanów. Na twoim miejscu właśnie tym bym się zajął.

– Nie jesteś na moim miejscu – burknął Freud. – Przypominam ci, że trzy lata temu wygłosiłem cykl wykładów w Nowym Jorku. Płynąłem przecież „George’em Washingtonem” z tym całym... Jungiem. – Skrzywił się. – Niestety tamtejsi specjaliści skupieni są na wpływie budowy mózgu na zachowania przestępcze, lubują się w tworzeniu przytułków psychiatrycznych i kochają teorię Rusha.

– Mówiłeś, że zaprosili cię psychologowie, nie lekarze – przypomniał mu Abraham.

– Owszem. – Freud pokiwał głową. – Stanley Hall, prezes Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego, w porównaniu z lekarzem Rushem to światły umysł. Ale cóż on może, kiedy pacjentom w ciężkiej psychozie wciąż zaleca się oczyszczanie jelit, kąpiele w lodzie i te, jak im tam, „krzesła obrotowe”.

– To działania rodem z dziewiętnastego wieku – zgodził się Abraham. – Rush zmarł sto lat temu.

– Ale jego metody są wciąż żywe – mruknął Freud.

– Drogi Sigmundzie – powiedział dobrotliwie Abraham. – Przeniosłeś swoją złość na mnie niczym pacjent na psychoanalitka. Przyjmij moją radę: jedź znów do Ameryki, wygłoś cykl wykładów na Harvardzie, do czego zachęca cię przecież James Jackson Putnam, zacieśnij współpracę z Amerykańskim Towarzystwem Psychoanalitycznym...

– Dobrze, dobrze – uciął dyskusję Freud, dla którego poprzednia podróż statkiem była koszmarem.

– A po drodze napisz kolejną powieść. – Abraham chciał mieć ostatnie słowo. – Już kilkakrotnie nominowano cię do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny. Jeśli nie otrzymasz jej na tym polu, zawsze możesz postarać się zdobyć nagrodę w dziedzinie literatury.

– Nominowano też tego kretyna Wagnera-Jauregga^[137] za leczenie kiły malarią. Kiedy o tym usłyszałem, pomyślałem, że nie mam ochoty znaleźć się w tym towarzystwie – westchnął Freud.



– Pozostanę w Wiedniu tak długo, jak to tylko będzie możliwe – powiedział stanowczo Sigmund.

Martha płakała cicho, skulona na kanapie w salonie.

– Nawet po tym, jak Göring przejął Niemieckie Towarzystwo Psychoanalityczne? – łkała. – Jak wyrzucił z niego wszystkich Żydów i kazał spalić ich książki?

Freud milczał.

– Pozwoliłeś wywiesić flagę ze swastyką na naszych drzwiach! – kontynuowała. – Nachodzą nas w domu! Poszukują w naszym mieszkaniu kontrabandy! Kontrabandy!

– Mimo wszystko uważam, że należy pozostać i poczekać, aż wszystko się uspokoi – westchnął Freud. – Jakież to ma znaczenie, że jestem Żydem? Zawsze byłem zdeklarowanym ateistą!

– A ja uważam, że należy uciekać. – Martha wstała i spojrzała hardo na męża. – Nie ma na co czekać. Lada chwila zacznie się wojna.

– Hitler nie odważy się... – powiedział niepewnie Freud.

– Odważy się. Już się odważył. A my jesteśmy Żydami.

– Jesteśmy Austriakami... – zaprotestował słabo.

Martha nie odpowiedziała. Wszyscy ich znajomi tak mówili. Czuli się Austriakami, Niemcami, Czechami. Podkreślali, co zrobili dla swojej ojczyzny, przypominali o swoim patriotyzmie. Nic z tego wszystkiego nie miało już jednak znaczenia w obliczu nienawiści wobec osób narodowości żydowskiej.

– Dowiadywałam się, co należy zrobić – powiedziała.

– Zapłacić – wszedł jej w słowo Sigmund i spojrzał na nią znad okularów. – Czy ty wiesz, jak ogromna jest to kwota?

– Tak. – Pokiwała głową. Już nie płakała. – Podatek wyjazdowy. Dziesięć tysięcy dolarów. To cena za nasze życie. Musimy sprzedać wszystko, co się da. I radziłabym ci przyjąć dar od swojej wielbicielki.

– Mówisz o Marii Bonaparte? – spytał Freud i wzdrygnął się, zdawszy sobie sprawę, że właśnie uległ żonie i zgodził się na opuszczenie Wiednia.

Martha przytaknęła.

– Dobrze wiesz, że chodzi o nią. Rozumiem, że honor ci na to nie pozwala, ale lada chwila będzie za późno.

Freud zastanowił się. Po raz tysięczny rozważał wszelkie za i przeciw. Martha miała rację. Pora podjąć decyzję.

– Dobrze – skapitulował. – Sprzedaj, co się da, nie wyłączając książek. Pozbądź się wszystkiego: mebli, porcelany, biżuterii. Wyjedziemy. Ale nie do Ameryki. Nie po tym, jak tamtejsi lekarze odrzucili moje teorie psychoanalityczne. Pozostaniemy w Europie.



Sigmund Freud dotknął ręki swojej żony. Martha siedziała przy jego łóżku.

– Moje życie już nie ma sensu – powiedział ledwie słyszalnym szeptem.

Martha wstała, podeszła do okna i popatrzyła na ulicę widoczną z ich londyńskiego mieszkania przy Maresfield Gardens pod numerem dwudziestym. Nieopodal, jak wskazywała nazwa ulicy, mieścił się

niewielki ogródek pełen róż, do którego chodzili po przybyciu do miasta. Wtedy, kiedy jeszcze Sigmund był w pełni sił. Kiedy jeszcze miał nadzieję, że w życiu spotka go coś dobrego, że zapanuje korzenie w Londynie, a jego prace zostaną docenione.

– Nie mów tak – poprosiła.

– Moje cierpienie nie ma sensu. Wszystko, co robiłem, nie miało sensu – powtórzył z wysiłkiem.

Tym razem Martha nie powiedziała tego, co zwykła była mówić przez ostatnie kilkanaście lat. Kiedy ból spowodowany nowotworem jamy ustnej stawał się nieznośny i nie pomagała kokaina, siadała po prostu u wezgłowia łóżka swojego męża i przekonywała, jak wielkim darem było dla niej życie u boku tak wybitnego człowieka. Pod wpływem jej pełnych miłości słów Sigmund uspokajał się, a na jego twarzy wykrzywionej z bólu widziała ulgę.

Patrząc wstecz na ich niezwykle, intensywne życie, uważała, że więcej w nim było porażek niż sukcesów. Los zadawał im wiele ciosów. Po każdym z nich podnosili się pokiereszowani, o nadwątłych siłach, byli bardziej obnażeni i podatni na kolejne cierpienia. Przywołała w pamięci śmierć ich córki Sophie i odejście wnuka. Martha zastygła w bólu na wiele miesięcy, niemalże przestała wychodzić z domu, tymczasem jej mąż, chociaż pogrążony w głębokiej żałobie, bardziej przeżywał konflikty z krytykującymi go kolegami niż stratę dziecka. No cóż. Cokolwiek złego zrobił w życiu, jakkolwiek by błędził, był jej mężem, ojcem szóstki ich dzieci. A teraz umierał. W 1923 roku po raz pierwszy dostrzegł guzek na wewnętrznej stronie policzka. Do tej chwili Max Schur, przyjaciel i lekarz prowadzący Sigmunda, przeprowadził trzydzieści jeden operacji, które przedłużyły Freudowi życie, ale nie przyniosły nawet chwilowej ulgi w cierpieniu.

– Wezwij Maxa – dobiegł ją szept męża.

– Już czas? – spytała i zaniosła się płaczem.



– Obiecał pan, że mnie nie opuści, kiedy nadejdzie ta chwila – powiedział.

Max zbladł.

– Skąd mam wiedzieć, czy to rzeczywiście jest właściwy moment? Że wyczerpaliśmy wszystkie możliwości? – spytał.

– Moje życie jest już tylko torturą – wychrypiał. – To nie ma sensu.

Schur popatrzył na Marthę. Powoli pokiwała głową, podeszła do łóżka Sigmunda i pocałowała go w czoło. Potem wyszła z pokoju. Doktor Schur zamknął oczy i zmówił krótką modlitwę, chociaż uważał się za człowieka małej wiary. Tym razem jednak zwrócił się do Najwyższego, aby przebaczył mu to, co w najlepszej wierze zamierzał uczynić. Następnie wyjął strzykawkę i trzy ampułki morfiny i powoli, niemalże z pietyzmem przygotował roztwór, a następnie wstrzyknął go swojemu przyjacielowi, nauczycielowi i mentorowi. Freud nie powiedział już nic. Spojrzał tylko na niego i uśmiechnął się blado. Potem zamknął oczy.

ROZDZIAŁ VI

w którym dowiemy się o tragedii spotykającej bliskich Zosi: doktor Ossowską, doktor Garlicką i jej córkę, synów Witolda Zawadowskiego i Marię Werkenthin. W Warszawie toczy się pozornie zwykłe życie, ale ruch oporu wobec Niemców się rozwija. Polskie Państwo Podziemne wydaje wyroki na konfidentów, aktywnie działa mały sabotaż. Polacy walczą. Getto, najpierw zamknięte, następnie jest powoli i systematycznie likwidowane. Powstanie w getcie zostaje krwawo stłumione, a Niemcy przyspieszają eksterminację Żydów. Trudno zdobyć leki, po zakazane towary trzeba udać się na Kercelak albo na bazar Różyckiego. Jedna z takich wypraw o mało nie kończy się dla Zosi tragicznie.

Joachim jadł chleb wielkimi kęsami. Zosia starała się na niego nie patrzeć. Doktor schudł, szerniał i przypominał starca, a był przecież mężczyzną w kwiecie wieku.

– Wszyscy mamy pracę – powiedział, kiedy zjadł wszystko, do ostatniego okruszka. – Ja, brat, żona i bratowa. Ich dorośli synowie. To bardzo ważne. Hirszfeld też pracuje. Udało mu się znaleźć pracę poza murami getta.

Zosia wcisnęła mu do ręki zwitek banknotów. Wziął je, nie licząc, i schował do kieszeni. Kuferek z kosztownościami, który przekazał Zosi, wywozła do Komorowa i tam z pomocą Stacha замуrowała w ścianie. O pieniądzach i kosztownościach Goldschmidtów wiedzieli także Witchelowie. „Gdyby nam się coś stało, przekazecie je Joachimowi”, powiedziała Klementynie, która wyjątkowo nie zaprotestowała, przekonując, że wszyscy dożyją końca wojny, tylko pokiwała głową i odpowiedziała krótko: „Dobrze”.

– Pracujesz jako lekarz? – spytała Zosia.

Pokiwał głową, ale uciekł wzrokiem.

– Na początku miałem całkiem sensowną praktykę, ale teraz coraz mniej ludzi ma pieniądze. Jestem ci wdzięczny, że ryzykujesz, żeby nas wspomóc.

Banknoty, które mu wcisnęła do ręki, pochodziły ze składki kolegów, a nie z kufra, który jej powierzył, ale nie chciała mu o tym mówić. Spod płaszcza wyciągnęła paczkę leków i środków opatrunkowych i podała je Joachimowi. Oczy mu się zaświeciły, ale po chwili zgasły.

– Dziękuję ci, Zosiu. Mówią, że niedługo nas zamkną – powiedział.

– Nie mogą – zaprotestowała.

Goldschmidt się roześmiał.

– A przenieść nas mogli?

Regularnie odwiedzała getto. Jako pediatra wyrabiała sobie przepustki i odwiedzała sierociniec doktora Korczaka. Nie tylko badała jego podopiecznych, ale też przekazywała mu pieniądze i leki. Nie bała się. Niemcy bez problemów ją przepuszczali. Na razie warunki życia w getcie były w miarę znośne. Funkcjonowały tam kawiarnie i sklepy, ludzie handlowali na ulicach.

– Czy ty wiesz, że przyjeżdżają do nas Niemcy i zasiadają w kawiarniach? – spytał nagle Joachim. – Dla nich to atrakcja. Jak odwiedziny w ogrodzie zoologicznym.

– Co ty mówisz... – zdumiała się Zosia. – Jak oni mogą...

– Mogą – stwierdził z rezygnacją. – Nie mamy tu żadnych praw. Mogą cię zabić na ulicy. Może to i dobra śmierć, lepsza niż na tyfus.

Początkowo miała dobry sposób na przemykanie lekarstw w uszytym specjalnie na ten cel woreczku, który podwiązywała pod spódnicą. Wciąż wyglądała młodo, mogła z powodzeniem udawać ciężarną. Ale raz omal nie wpadła. Po zdjęciu „brzucha” w sierocińcu u Korczaka wychodziła tą samą drogą i żołnierz, który zapamiętał ją jako ciężarną, zatrzymał ją. Z trudem uniknęła aresztowania. Całe szczęście, że doskonale znała niemiecki, poza tym właśnie coś się działo na przejściu i żołnierz pozwolił jej w końcu odejść. Następnym razem uszyła kilkanaście pojemników i podwiązała je symetrycznie na całym ciele, tak żeby wyglądać naturalnie. Nikt nie

zwracał uwagi, że wchodzi do getta grubsza, a opuszcza je o kilka kilogramów lżejsza. Można było także przejść przez sądy, ale tam stali szmalcownicy i pobierali od Bogu ducha winnych ludzi haracz za przejście. Jako nie-Żydówka mogła wprawdzie zrobić aferę, ale po pierwsze, nie chciała mieć na sumieniu niczyjego życia, nawet szmalcownika, a po drugie, mogła zwrócić na siebie uwagę, a to obróciłoby się przeciwko niej. Kto wie, co by zrobili Niemcy, gdyby się zorientowali, że przemyca do getta leki. Może by jej nie zabili, ale na pewno nie mogłaby tu wrócić.

– Warunki są straszne – powiedział nagle Goldschmidt. – Pluję sobie w brodę, że sprzedaliśmy futro Idy tak późno. Teraz nie można za nie wiele kupić.

– Przyniosłam czekoladę dla dzieci. – Zosia uśmiechnęła się blado. – Wiele nie mogę przemyścić.

– Czekolada jest dobra. I pomyśleć, że przed wojną nie pozwalałem dzieciom najadać się nią do syta. Teraz nawet kawałek czekolady to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić.

Zrozumiała, co miał na myśli. Wedlowskie tabliczki nie trafiały do małych Goldschmidtów; Joachim sprzedawał je i za zdobyte w ten sposób pieniądze kupował chleb i ziemniaki. Zosia widziała leżących na ulicach ludzi zebrzących o kawałek chleba i zdawała sobie sprawę, że wybuch zarazy to tylko kwestia czasu.

– Chorujemy – powiedział Joachim, jakby czytał jej w myślach. – Na razie nie ma epidemii, ale sama wiesz, że niedługo tak będzie.

– Niemcy przecież boją się zarazy – powiedziała słabo. – Czy z tego powodu nie pomogą w jej opanowaniu? Przecież sami zaczną chorować.

Goldschmidt pokręcił głową.

– Nie, Zosiu, nie pomogą – stwierdził. – Prędzej nas tu pozabijają w ramach leczenia.

– Joachimie – powiedziała. – Proszę cię. Zorganizuję waszą ucieczkę. Przejdziecie na aryjską stronę. Rozmawiałam z mężem i zgodził się...

Istotnie Stanisław był gotów zaryzykować życie i przyjąć całą siódemkę Goldschmidtów pod swój dach, i ukrywać ich tam do końca wojny. Joachim jednak pokręcił głową.

– Jest nas zbyt dużo – powiedział. – Nie zostawię brata i jego rodziny, ojca, matki, wuja... Po prostu nie mogę.

– Gdybyś zmienił zdanie... – spróbowała jeszcze, ale machnął ręką.

– Jak Joasia? – spytał, żeby zmienić temat.

– Wiem tylko, że jest bezpieczna – odpowiedziała.

Joanna Rychter ukrywała się po aryjskiej stronie.

– Co w szpitalu?

– Mamy tyfus i cholera. – Uśmiechnęła się lekko. – Michał Lityński jest w swoim żywiole.

Joachim zrozumiał, co miała na myśli. Szpital od czasu wybuchu wojny działał w konspiracji. Na jego terenie odbywały się zebrania dowództwa Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Z izolacji pawilonów zakaźnych, które omijali Niemcy, korzystały osoby wyrabiające Żydom dobre papiery. Szczególnym bohaterstwem odznaczał się doktor Michał Lityński, ordynator VI Oddziału Chorób Wewnętrznych.

– Ksiądz Gloeh może wam pomóc... – zaczęła znów Zosia, bo miała nadzieję, że przekona Joachima, aby zaryzykował.

Kapelan ewangelicko-augsburski Wojska Polskiego Feliks Gloeh^[138] przekazał dziesiątki podstemplowanych świadectw chrztu z Łomży, aby Żydzi i żołnierze AK mogli się ukryć w Szpitalu Ujazdowskim, a potem przejść na aryjską stronę.

– Nie – powiedział i zakończył rozmowę tak jak zwykle: – Jeśli się już nie zobaczymy, żałuję, że nie poznałem cię lepiej.

Ona jak zwykle nie mogła pohamować łez, bo każde spotkanie mogło być ostatnim, a jeśli getto zostanie zamknięte, nie będzie można już wchodzić i wychodzić, nawet dając łapówkę.



– Powiedz, co widziałaś – poprosiła córkę Janina Krzyżanowska.

Kilkunastoletnia Olga zaczęła opowiadać o szczegółach aresztowania Zofii Garlickiej. Zosia, Helena Hołówkowa i Witold Zawadowski słuchali przygnębieni.

– Zobaczyłam, jak z balkonu doktor Garlickiej spadają papiery – powiedziała dziewczyna. – Wcześniej na korytarzu słyszałam tupot nóg. Domyśliłam się, że to gestapo. Zbiegłam na dół i pozbierałam, co się dało. Potem z babcią wyniosłyśmy to wszystko i spaliłyśmy.

– Czemu ją aresztowano? – spytała Zosia, kiedy opowieść dziewczynki dobiegła końca.

– Co na nią mają? – rzucił w tym samym czasie Witold.

Janina nerwowo wykręcała palce.

– Zofia była jedną z najbardziej aktywnych członkiń Związku Walki Zbrojnej – wyjaśniła. – Opiekowała się zbiegłymi z niewoli Anglikami. W jej mieszkaniu funkcjonowała komórka dla cichociemnych i uciekinierów z obozu.

W pokoju zapadła cisza.

– Zofia Garlicka? – spytał w końcu Witold.

– Owszem, Zofia Garlicka – potwierdziła Janina. – To jedna z najodważniejszych osób w Warszawie. Ja wiedziałam o tym, co robi, bo jej pomagałam w opiece nad Natalią Zandową^[139], kiedy udało się ją wyprowadzić z getta.

– Opowiedz po kolei – poprosił Witold i otarł pot z czoła.

– Dobrze – westchnęła Janina. – Całą wiosnę Zofia ukrywała u siebie w domu angielskiego jeńca Christophera Silverwooda-Cope’a^[140], który uciekł z oflagu, oraz Natalię Zandową. Udałoby się przerzucić ich wcześniej, gdyby Cope nie zachorował na tyfus. I to bardzo ciężko.

– Mój Boże – westchnęła Krystyna.

– Staszek Wszelaki^[141] się nim zajmował. Cudem go wyleczył. Już na początku lipca znaleźliśmy mu inną, bezpieczną kwaterę. Wszystko było gotowe do przerzutu Anglika za granicę. Planowaliśmy akcję na piętnastego sierpnia, bo Niemcy koncentrują się w takie dni na obserwowaniu polskich kościołów. I wyobraźcie sobie, że wczoraj ten Cope i jego kolega, też Anglik, bodajże Crawford^[142], przyjechali do Zofii, żeby się pożegnać i podziękować. Chwilę później gestapo zapukało do drzwi. Aresztowano ich dwóch, Natalię Zandową, Zofię i jej córkę, która też była w domu.

Przez chwilę wszyscy siedzieli w milczeniu.

– Dokąd ich zawieźli? – spytała Zosia. – Na Pawiak?

– Na Szucha – powiedziała Janina. – Od razu.

– Trzeba poprosić Jana Wedla, żeby się dowiedział, co z nią – stwierdził Witold i natychmiast wyszedł z pokoju.

Następnego dnia posłaniec Wedla, który dostarczał Niemcom czekoladę na Szucha, przekazał złe wieści.

– Postawiono jej bardzo ciężkie zarzuty – oznajmił Witold. – Bito ją na przesłuchaniu. Podobno jest w fatalnym stanie fizycznym. Najgorzej, że... – Umilkł.

– Czy może być coś jeszcze gorszego? – spytała wstrząśnięta Zosia.

– W trakcie transportu z Szucha na Pawiak zażyła truciznę. Ledwie ją odratowano – powiedział cicho Witold.

Zosia przełknęła ślinę. „Mój Boże”, pomyślała, „dlaczego zdarzyło się coś takiego? Przecież Zofia kochała życie, ubóstwiała wnuki, miała tyle planów. Chciała podróżować, ciągle opowiadała, co zrobi po wojnie”.

– Kogo mamy na Pawiaku? – spytała Zosia.

– Krystynę Ossowską – odpowiedział gorzko Witold. – Ale nie ma z nią kontaktu.

Krystyna Ossowska w listopadzie czterdziestego pierwszego roku została aresztowana i przewieziona na Pawiak. Nie udało się jej wykupić.

Przyjaciele dowiedzieli się jedynie, że pracowała w więzieniu jako kierowniczka kolumny kobiecej.

– Maria kogoś zna – stwierdził Witold. – Ma się dowiedzieć, co z Zofią, i przekazać jej, że spróbujemy ją wykupić.

– Przecież to się nie uda – stwierdziła gorzko Zosia. – Ukrywała dwóch cichociemnych i Żydówkę z getta. Niemcy nie uwolnią jej za żadne pieniądze.

– Może wyciągniemy jej córkę. Przecież mieszkała gdzie indziej. Może uda się udowodnić, że o niczym nie wiedziała? – dywagował Romek Ficowski, który włączył się do dyskusji.

– Zofia musi wiedzieć, że jej tak nie zostawimy – powiedział stanowczo Witold. – I jeszcze jedno. Wierzę, że nikogo nie wyda, ale Janina musi opuścić mieszkanie.

– Już opuściła – odparła Zosia. – Jest z córką u mnie.

W kolejnych dniach spływały same złe wiadomości, jedna po drugiej.

– Lekarze z Pawiaka, chyba nasza Krysia, odratowali Zofię. Po tym, jak się otruła – opowiadała Maria. – Ponoć była nawet wdzięczna. Cały czas jest niestety przesłuchiwana. Biją ją... Ale wiem, że nic nie powie.

Zosia też była przekonana, że doktor Garlicka nikogo nie wyda. Przynajmniej nie dobrowolnie. Widziała jednak ofiary przesłuchań i była świadoma tego, że ból, jaki potrafią zadać SS-mani, jest nieporównywalny z niczym innym. Sama nie potrafiłaby znieść zrywania paznokci i rażenia prądem. Nie wyobrażała sobie, żeby ktokolwiek mógł to znieść.

– Wiem, o czym myślisz, Zosiu – powiedziała łagodnie Maria. – Dlatego już zaczęliśmy zbiórkę. Według naszych informacji Zofia upiera się przy tym, że nie zna tych Anglików, że przyjechali do niej wtedy tylko raz w poszukiwaniu pomocy.

– Czyli ma w sumie postawiony tylko jeden zarzut: przechowywania zbiegłej Żydówki, tak?

– Przecież to i tak jest karane śmiercią – stwierdził z rezygnacją Witold.

– Robimy wszystko, żeby wykupić jej córkę – oznajmiła Maria. – Wedel już wie i działa.

Kilka dni później Maria przyprowadziła młodą lekarkę, doktor Sabinę Dembowską^[143], którą Niemcy również aresztowali w sierpniu czterdziestego drugiego roku, ale udało się ją uwolnić.

– Co pani wie? – spytał Witold. – Jak ona się teraz czuje?

– Jest bardzo przygnębiona i martwi się o córkę. Ale trzyma się, cały czas pracuje w „Serbii” – opowiadała lekarka.

Zosia zauważyła, że doktor Dembowska ma zabandażowane palce i drżą jej ręce.

– Gdzie? – spytała.

– Na oddziale kobiecym w szpitalu na Pawiaku – wyjaśniła lekarka. – Nazywamy go Serbią. Doktor Garlicka pracuje tam od samego początku. Zbadała jedną z kobiet w zaawansowanej ciąży i określiła, kiedy nastąpi rozwiązanie. Dziewczyna urodziła piętnastego sierpnia podczas wieczornego apelu. Pani doktor odebrała poród.

– A słyszała pani coś o doktor Krystynie Ossowskiej? – spytał Witold bez nadziei, ale lekarka ożywiła się i odpowiedziała:

– Tak, także pracuje w Serbii, na oddziale kobiecym i męskim. Wyjątkowo odważna, uratowała niejedną więźniarkę. Zajmuje się też dziećmi. To ona pomogła doktor Zofii Garlickiej.

– Bogu dzięki – powiedział Witold.

– To jakaś korzyść? – spytała Zosia. – Praca w ambulatorium?

– Lepsze to niż siedzenie w celi. – Sabina Dembowska uciekła wzrokiem. – Ale zanim mnie zwolniono, udało się przenieść doktor Garlicką do szpitala więziennego, żeby miała lepszą opiekę.

– Czy to może opóźnić wywiezienie do obozu? – spytała Maria z nadzieją.

– Czasem tak, czasem nie. Niemcy różnie na to patrzą – odpowiedziała tamta. – Liczyliśmy na to, że doktor Zofia dzięki temu pozostanie dłużej na

Pawiaku. Ale ona bardzo niepokoi się o córkę. Że ją wywiozą pierwszą, skoro nie przebywa w szpitalu.

– Może ona też mogłaby się dostać do szpitala?

– Mamy tam tylko trzydzieści trzy łóżka – odparła lekarka. – I trzeba uważać. Niemcy wprawdzie nie lubią tam chodzić, bo ciągle im mówimy, że panuje tyfus albo cholera, ale zdarza się, że wprowadzają swoich lekarzy. Jeśli odkryją, że leży tam ktoś zdrowy, to może narazić wszystkich na rozstrzelanie.

– Musimy je wykupić. – Maria zacisnęła pięści. – Po prostu musimy.

W nocy z 12 na 13 października sformowano pierwszy transport do Auschwitz. Do obozu wywieziono wyłącznie kobiety, w tym doktor Zofię Garlicką oraz jej córkę. Wiadomość dotarła do szpitala dwa dni później.



– Profesor Hirszfeld zdołał uciec – opowiadała Zosia Klementynie nieco zbyt ożywionym tonem. – Miał przepustkę, pracował po drugiej stronie muru, na budowie. Ktoś mu pomógł i uciekł.

Odetchnęła z ulgą, kiedy dowiedziała się, że mu się udało. Doniósł jej o tym w tajemnicy Romek Ficowski. Po zamknięciu getta, przez pewien czas był jednym z nielicznych lekarzy Polaków, którzy otrzymywali przepustki i wchodzili za mury. Za każdym razem wracał coraz bardziej przygnębiony, opowiadał straszne rzeczy o tym, co się tam dzieje: o trupach na ulicach, ludziach umierających z głodu, brudu i zimna, braku jedzenia, wszechobecnej śmierci, codziennych egzekucjach i wywózkach do obozów.

– Chwała Bogu – powiedziała Klementyna i przeżegnała się trzy razy.

Zosia nie powiedziała jej, że kiedy odkryto ucieczkę jednego Żyda, rozstrzelano dziesięciu innych, między innymi Joachima Goldschmidta, jego brata i dwóch najstarszych synów. Nie zdradziła też, że w getcie w Otwocku, który od domu Witchelów dzieliły dwie przecznice, dzieją się takie same upiorne rzeczy. Nie było żadnego sposobu, żeby tam wejść

i przekazać leki lub pomóc w jakikolwiek inny sposób. Mówiło się o rychłej likwidacji tamtejszego getta. Zosia obawiała się, że skoro otwockich Żydów mają „przesiedlać”, to ten sam los szybko spotka Żydów z Warszawy. Nie wspomniała także ani słowem o tragedii, która spotkała Zofię Garlicką, i uprosiła Stacha, żeby pod żadnym pozorem nie mówił o tym Klementynie. Nie chciała dokładać jej zmartwień. Ataki Karolka znów się nasiliły, co bardzo niepokoiło jego rodziców. Stach twierdził, że za stan dziecka odpowiada lek kupiony na czarnym rynku.

– Sprowadziliśmy fenobarbital dzięki znajomościom – opowiadał jej Stach. – Sam załatwiałem, niby mój człowiek, pracował kiedyś w Instytucie Higieny. Musieli rozcieńczyć lekarstwo, dodać jakiegoś świństwa.

– Spróbuję załatwić lekarstwo przez Jana Wedla – odparła Zosia. – On bardzo często pomaga w takich przypadkach.

Pomyślała, że jeśli Wedlowi nie uda się kupić fenobarbitalu od jakiegoś Niemca, którego żona zażywa go na bezsenność, będzie musiała pojechać na Kercelak i tam rozpuścić wici.

– A może to naturalne pogorszenie stanu zdrowia? – zastanawiała się głośno. – Przecież tak może być, że niezależnie od przyjmowanego leku dziecko ma więcej napadów.

Stach westchnął.

– Karol miał dwa ataki, jeden po drugim, po dwóch dawkach z nowej partii. Nie wierzę w takie przypadki. To oznacza, że drastycznie spadł mu poziom leku we krwi.

– Co za draństwo, psiakrew – zaklęła Zosia, co jej się niezwykle rzadko zdarzało, nawet podczas wojny. – W dodatku nie można zwiększyć dawki, bo licho wie, ile prawdziwej substancji jest w jednej tabletkce.

– Nawet mi nie mów – westchnął Stach. – Dziecka tylko żal. Ludzi, którzy robią takie szwindle, wsadzałbym do więzień.

Kupowanie leków na czarnym rynku było bardzo ryzykowne, ale nie istniało inne wyjście. Polacy nie mieli wstępu do aptek.

– Niemcy ich wsadzają do więzień – przypomniała mu. – Niestety wsadzają też nas, czyli tych, którzy muszą kupować leki na lewo. Gdyby być w dobrych stosunkach z jakimś Niemcem albo chociaż volksdeutschem – westchnęła.

Tak naprawdę znała jednego volksdeutscha, ale o nic by go nie poprosiła, nawet gdyby ktoś z jej rodziny umierał. Nie wierzyła zresztą, że by jej pomógł, wręcz przeciwnie. Od czasu ślubu ze Stachem nie poświęciła mu ani jednej myśli, ale kiedy usłyszała, że Nino podpisał volkslistę jeszcze na początku wojny, zastanawiała się, czy naprawdę miał aryjskich przodków. Nigdy jej o tym nie wspominał. Wbrew pozorom nie było tak łatwo podpisać volkslisty – trzeba było wykazać, że ma się niemieckiego przodka i ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że nie jest się Żydem. Henryk Iwanicki miał dziadka pochodzącego z Berlina, ale podobnie jak Maria Werkenthin, odmówił podpisania hańbiącego dokumentu. Romuald Ficowski także wyznał, że jego babka była Niemką i że pod Monachium mieszka sporo jego krewnych, którzy namawiają go, aby przeniósł się do nich i tam, jako Niemiec, rozpoczął praktykę. Zosia przypomniała sobie, jak o tym rozmawiali.

– Nigdy o tym nie wspominałeś – powiedziała wtedy Maria, a Zosia dodała gorzko, że teraz rozmowy o pochodzeniu są częstsze niż te o pogodzie.

– Cóż się dziwisz, Zosiu – skwitował cierpko Iwanicki. – Nawet najlepsza pogoda teraz psu w dupę. A pochodzenie jest kluczowe.

Romuald Ficowski zastanawiał się głośno, czy podpisanie volkslisty nie mogłoby przynieść czegoś dobrego. Z dyskusji zrobiła się wielka kłótnia. Zosia broniła Ficowskiego ze wszystkich sił, bo sama wiele razy rozmyślała, czy wobec przeważającej siły wroga i codziennego terroru takie gesty jak odmowa podpisania volkslisty nie czynią więcej zła.

– Przecież mnie znacie – dowodził zdenerwowany Romuald. – Gdybym to zrobił, wykorzystywałbym swoje położenie, żeby kupować leki w aptece. I mógłbym wchodzić do getta.

– My to wiemy – odpowiedziała mu wtedy Maria. – Ale poza tym, że większość ludzi plułaby ci w twarz, byłbyś narażony na zemstę ze strony państwa podziemnego. Przecież nie mógłbyś nikogo poinformować, że to tylko na niby, żeby pomagać ludziom.

– Przecież wiesz, co się stało z Igo Symem^[144] – wtrąciła Maria. – Za to, że szantażował aktorów, żeby grali w jego teatryku, i za wydanie Hanki Ordonówny.

– Nie porównuj mnie z tym zdrajcą, mordercą i szantażystą – zaprotestował Romuald.

– On też niby chciał tylko brata wyciągnąć z oflagu – przypomniał koledze Iwanicki. – I wyciągnął. A potem go zastrzelono.

Igo Sym został na mocy wyroku Polskiego Państwa Podziemnego skazany na karę śmierci za współpracę z niemieckim okupantem. Został zastrzelony w drzwiach własnego domu przy ulicy Mazowieckiej 7 marca 1941 roku.

– Ponoć nie wydał Ordonówny, ale pomocy też jej nie udzielił – stwierdził potem Stach, kiedy Zosia zrelacjonowała mu rozmowę z kolegami.

– A tych aktorów, których szantażował, a którzy mu odmówili, nie spotkały z jego strony żadne represje – odpowiedziała Zosia. – Dopiero Niemcy ich aresztowali.

– Zaraz, zaraz. Czy ty uważasz, że to był błąd? Ta egzekucja? – Stach był bardzo zaskoczony.

– To jak w greckiej tragedii – odpowiedziała mu po chwili. Wciąż nie umiała ubrać swoich wątpliwości w słowa. – Konflikt dwóch równorzędnych racji. A my zbieramy pokłosie tych zamachów, odwetów i ludzkich dramatów. Co dzień jakieś egzekucje. Co dzień kogoś wykupujemy z Pawiaka.

– Jakich racji, na litość boską? Uważasz, że Niemcy mają jakąś rację? – niemal krzyknął Stach, ale szybko go uciszyła, bo dzieci już spały.

– Nie, Stachu. Co ty opowiadasz? – odpowiedziała groźnym szeptem. – Chodzi mi tylko o to, że państwo podziemne miało swoje powody, by zabić nikczemnego człowieka, ale Niemcy w odwecie aresztowali wszystkich, którzy odmówili mu współpracy, winiąc ich za zamach. Stefan Jaracz^[145], Leon Schiller^[146], Zbigniew Sawan^[147], Janusz Warnecki^[148], Elżbieta Barszczewska^[149], Zofia Małynicz^[150]... – wyliczała. – Oni wszyscy trafili do obozu. A w Palmirach rozstrzelano dwadzieścia osób! I to jest coś, nad czym się zastanawiam za każdym razem, kiedy zbieram pieniądze na wykupienie więźniów.

– Czy mamy zatem potulnie czekać, aż hitlerowcy zrobią z nas niewolników?

– Na to pytanie nie umiem ci odpowiedzieć – stwierdziła i szybko dodała: – Nie przyjechałam tu, żeby się kłócić. Przyjechałam odpocząć.

– Przepraszam cię, kochanie. – Stach przygarnął ją do piersi i pocałował w czoło. – Ja umieram ze strachu o nas wszystkich, ale nie umiem się pogodzić z tym, co się dzieje.

W tamtą stronę przewiozła bezpiecznie Salcię, bratanicę Joasi Rychter, i umieściła ją pośród dzieci swoich i Klementyny. Salcia, która teraz nazywała się Tereska Gołąbkówna, miała ciemnoblond loki i niebieskie oczy. Dużo rozumiała, mimo swoich siedmiu lat, ale niestety głównie te złe rzeczy: że tato i mama powinni się kłaniać ludziom w mundurach, że musieli opuścić swoje duże, przestronne mieszkanie i przenieść się do małego, brudnego i cuchnącego, że nie zawsze jest co jeść, że lepiej nie wychodzić w ogóle z pokoju i leżeć pod zawieszonym kocem, bo tak jest bezpieczniej. Wreszcie rozumiała, że w każdej chwili może przestać istnieć, tak jak to się stało z Idą Kranz, jej najlepszą koleżanką, która umarła na jakąś chorobę i której nawet jej tato, doktor, nie umiał wyleczyć. Nie rozumiała za to, dlaczego któregoś dnia mama ubrała ją pośpiesznie i prawie na nią nie patrząc, powiedziała, że dziewczynka „jedzie do lepszego miejsca” i że ma „być grzeczna”. Salcia pytała, kiedy wróci; mama odpowiedziała, że niedługo wszyscy spotkają się w starym, pięknym mieszkaniu, a potem pójdą do zoo i na lody. Klementyna chciała zabrać

jeszcze Moszego, starszego brata Salomei, także blondynka, ale Chaim Rychter uznał, że to za duże ryzyko. „Niech chociaż ona przeżyje”, powiedział.

Dzieciom Zosia powiedziała, że Tereska to ich „siostra cioteczna”, na co zareagowały z typową dla dzieci życzliwością. Żadne nie podawało jej słów w wątpliwość i nie dopytywało, która krewna jest jej mamą. Tereska została pouczona, żeby zwracać się do Klementyny i Zosi „ciociu”, a do Kornela i Stanisława – „wujku”. Wieczorami klękała do pacierza, bo mama jej to nakazała. Mama prosiła ją także, aby nie zaniedbywała gry na skrzypcach, bo wiadomo – kiedy wojna się skończy, tak zdolne dziecko jak Tereska znów stanie się Salomeą Rychter, wyjedzie na studia do Zurychu, Wiednia, a może nawet Berlina i zostanie wybitną skrzypaczką. Tereska-Salomea także tego chciała. Trochę jej mieszały w głowie liczne nakazy i zakazy, wielu utworów nie mogła grać i zupełnie nie wiedziała dlaczego, ale nie pytała. Na wszelki wypadek Tereska skupiła się na graniu gam i pasaży, starannie omijając zakazanych kompozytorów.

– Przywiozłam wam prawdziwe mydło. – Dopiero następnego dnia Zosia rozpakowała wszystkie dary, które jak podczas wypraw do getta miała poukrywane w woreczkach wszytych w podszewkę płaszcza. – I tak jak prosiła Honorka, nici szewskie i dratwę. – Wyjmowała kolejne dobra i podawała je zgromadzonemu. – Kiełbasy nie śmiałam przywieźć, bo gdyby jakiś Niemiec z psem wsiadł, tobym umarła ze strachu.

– Ty byś umarła ze strachu? – prychnęła Klementyna, która wielokrotnie podkreślała, że podziwia odwagę Zosi i sama czuje się jak szczur, chowając się w Komorowie.

– Widziałam kiedyś, jak owczarek o mało nie zagryzł kobiety, która miała ze sobą kawałek boczku. W tramwaju.

– A dokąd ty jechałaś tramwajem? – zainteresował się Stach. – Przecież do szpitala masz blisko.

Zosia jeździła na bazar Różyckiego po mięso i do getta, o czym Stach wiedział, ale nie chciała się przyznać, że jeździ także na Kercelak, gdzie można było dostać nielegalne towary. Wszyscy tam handlowali. Niektórzy

mieli mnóstwo towaru i ciągle dostawy, inni wyprzedawali jakieś drobiazgi z domu, żeby przeżyć. Nie lubiła tam jeździć. Bliskość getta sprawiała, że na straganach było mnóstwo żydowskich rzeczy, futer, biżuterii, porcelany, srebra i innych dóbr. Kiedy zaglądała w oczy zażywnym przekupkom czy przepitym handlarzom podjadającym podczas transakcji chleb ze smalcem robiło jej się niedobrze. Wiedziała, że te wszystkie przedmioty zostały wcześniej sprzedane za grosze przez ludzi pozbawionych nadziei, a skupowane przez bezwzględnych osobników bez honoru, którzy zysk przedkładali nad zwykłą ludzką przyzwoitość. Na Kercelaku kupowała zwykle to, co mogło się nadać na łapówkę dla gestapowców albo dla ich polskich „żonek”, czyli kobiet, które się z nimi publicznie prowadziły. Najbezpieczniej było kupować od Niemców. Sprzedawali oni koniaki, wina, papierosy, francuskie perfumy i jedwabne pończochy. Te ostatnie były szczególnie cenione i potrafiły otworzyć więcej drzwi niż czekolada czy gotówka. W wielu sytuacjach, w których nawet Jan Wedel nie mógł nic wskórać, para jedwabnych pończoch sprawiała, że można było przenieść więźnia do szpitala, kupić mu nieco więcej czasu przed wywozem do obozu albo wręcz sprawić, że zarzuty wycofywano. Najniebezpieczniejsza przygoda przydarzyła się Zosi właśnie na Kercelaku, na który pojechała po... spadochron. O tym, że spadochron jest najbardziej pożądanym towarem, powiedziała jej siostra Ninka, kiedy szukano dojścia do gestapo po aresztowaniu jednej z pielęgniarek, która w konspiracji uczyła młode dziewczyny pielęgniarstwa i pierwszej pomocy. Wszystkie sześć zabrano na Pawiak i już pierwszego dnia dotkliwie pobito. W szpitalu zaczęła się zbiórka na wykupienie dziewczyn, ale Ninka, która знаła jedną Polkę prowadzącą się z wysoko postawionym gestapowcem, powiedziała, że „trzeba to załatwić inaczej”.

– Jak? – spytała wtedy Zosia.

– Siostra tej gestapówki wychodzi za mąż – opowiadała Ninka. – Potrzebny jest jedwab na białą suknię. I dla niej na białą bluzkę. Dzięki niemu będziemy mogli coś zdziałać.

– A skąd weźmiemy jedwab w czasie wojny? – Zosia załamała ręce.

Słyszała o tym, że za bardzo duże sumy sprzedawano kupony tkanin przywiezione przez żołnierzy Wehrmachtu z okupowanej Francji. Oprócz tego można było nabyć perfumy i elegancką bieliznę, również jedwabną. Niemcy kupili te przedmioty jako prezenty dla swoich żon i dziewczyn po wkroczeniu do Paryża – podobno butik Coco Chanel^[151] był pełny od rana do wieczora – ale potem albo dziewczyny ich rzucały, albo żołnierze nie wracali do siebie i decydowali się spieniężyć wojenne łupy.

– Wiem, kto na Kercelaku handluje perfumami i jedwabną bielizną – oznajmiła Zosia.

Siostra Nina pokręciła głową.

– Musimy zdobyć spadochron – powiedziała z przekonaniem.

Zosia nieomal parsknęła śmiechem, tak absurdalny wydawał jej się ów pomysł, ale Nina miała bardzo poważną minę.

– To najlepszy i najbielszy jedwab. Niech mi pani doktor wierzy.

Zosia zamyśliła się.

– Daj mi kilka godzin.

Wzięła uzbierane pieniądze i pojechała na Kercelak. Odnalazła Niemca i wyłuszczyła mu, o co chodzi. Ten wysłuchał jej spokojnie, po czym popatrzył na bok, splunął i podał cenę. Przekraczała ona kwotę, którą Zosia miała w torebce, ale wręczyła mu wszystko, co miała.

– To zadatek – zapewniła go.

Niemiec pokiwał głową, a następnego dnia na zapleczu budy przekazał jej żądany towar. Zosia wyszła z targu dumna z siebie, ale nie trwało to długo. Tuż za bramą drogę zajechały jej ciężarówki, z których wysypali się niemieccy żołnierze. Zosi zrobiło się gorąco. „Łapanka”, pomyślała, „a ja ze spadochronem w rękach”. Całe życie przemknęło jej przed oczami. Ludzie biegali dokoła, a ona miała ze sobą wbrew pozorom dość ciężki, nieporęczny pakunek. Nie mogła uciekać. „Zaraz złapią mnie ze spadochronem w rękę i nie uwierzą, gdy będę tłumaczyć, że potrzebowałam go na sukienkę dla kochanki gestapowca”, pomyślała. Patrzyła bezradnie, jak podchodzi do niej dwóch Niemców z karabinami,

i tylko było jej żal jedwabiu, który zabiorą i zniszczą. Cała zbiórka i ryzyko, które podjęła, na nic. Próba uratowania dziewcząt nie powiedzie się.

– *Papieren!* – wrzasnął Niemiec.

Pozostali już ładowali ludzi do ciężarówek.

– Proszę. – Zosia podała mu kenkartę.

– Co to jest? – spytał, wskazując pakunek starannie zawinięty w gazety.

Gorączkowo szukała w myślach jakiejś wiarygodnej odpowiedzi, kiedy usłyszała za plecami:

– Gdzie się szlajasz?

Odwróciła się. Za nią stał Niemiec, który sprzedał jej spadochron.

– Kazałem ci iść prosto do domu! – zwrócił się do niej ostro.

– Ciebie szukałam! – odpowiedziała kłótliwie, po czym podała mu spadochron. – Ja muszę wszystko nosić!

– Już ja ci w domu dam! – żołądkował się Niemiec od spadochronu, po czym spojrzał na swoich kolegów i rzucił: – Zabieram ją.

Pociągnął Zosię w stronę tramwaju. Nie oglądając się za siebie, wsiadła z nim posłusznie do wagonu *nur für Deutsche*, dziękując Bogu za to, że trafiła na przyzwoitego człowieka. Tramwaj akurat jechał w dogodnym dla niej kierunku, ale minuty dłużyły się jej niemiłosiernie. W wagonie było kilku Niemców, którzy na nich zerkali. Jej towarzysz gadał przez całą drogę, rugając ją za to, że nie dość dobrze gotuje, nie umie robić zakupów i nie radzi sobie z Polkami, które u nich sprzątają. Ona odpowiadała mu po niemiecku, że się stara, zapewniała, że dziś na obiad będą pulpety, które potrafi przyrządzić, a tę nieporadną Polkę już dawno wyrzuciła. Kiedy wysiedli przy Piusa, odprowadził ją niemal pod sam dom.

– Dziękuję – powiedziała z głębi serca.

– Paniusia to głupia jest jak but – odpowiedział wcale nie sympatycznym tonem. – Spadochron wzięła i w biały dzień z nim maszeruje. A gdyby tak do środka zajrzeli, to oboje byśmy pod mur poszli.

Nie bez dumy wręczyła Nince okupioną strachem łapówkę ale nie chciała słuchać podziękowań i komplementów.

– Daj spokój, głupia jestem, i tyle.

Dziewczyny udało się wykupić. Jedna z nich w wyniku przesłuchań miała złamaną rękę, i to tak paskudnie, że trzeba było ją amputować powyżej łokcia. Wszystkie kobiety jednak żyły. Po szpitalu rozniosła się wieść o tym, co się stało, i Zosia przez jakiś czas prócz wyrazów podziwu musiała znosić docinki kolegów, zwłaszcza Henia Iwanickiego, który nie przepuścił tak dobrej okazji, żeby sobie z niej pożartować.

– Doktor cichociemna Zosia idzie – chichotał w kułak na jej widok albo pytał, czy przyleciała do pracy spadochronem.

– Tylko żeby Stach się nie dowiedział – wzdychała.

Na szczęście echo jej przygody nie dotarło do Komorowa. Teraz Stach stał i patrzył na nią, jak wypakowuje z plecaka mydło, proszek do zębów i płyn po goleniu, i uśmiechał się dobrotliwie.

– Na Kercelak po to jeździłaś? – spytała Klementyna. – Mojaś ty...

– Kochana nasza. – Kornel spojrzał na nią z autentyczną wdzięcznością.
– Boże ci błogosław za ten proszek do zębów. Klementyna twierdzi, że mydłem równie dobrze można je umyć, ale ja za każdym razem mam odruchy wymiotne. I nie pozwala mi myć zębów piaskiem.

– Garnki myje się piaskiem – mruknęła Klementyna. – Nie zęby. A w piasku mogą być robaki. Złapiesz jakąś glistę ludzką i się nie pozbieramy.

– Zwymiotuję ją podczas mycia zębów mydłem – sarknął Kornel.

– Za to jeść mamy co. W końcu co wieś, to wieś – powiedziała Honorka, która przyszła z drugim śniadaniem, złożonym ze świeżego mleka, chleba oraz miodu, i postawiła te wszystkie dobra na stole.

Zosia, która przed wojną nie lubiła mleka, teraz przełknęła ślinę. Przypomniała sobie jednak, że pod płaszczem ma jeszcze ukrytą puszkę z mięsem. Kiedy podała ją Honorce, Klementyna zaczęła klaskać, a Zosia kłaniała się niczym Zula po przedstawieniu.

- To też z Kercelaka? – spytał Kornel.
- Z Różyca – sprostowała.
- Moja żona to przekupka. – Stach westchnął teatralnie.
- A tak. – Zosia pokiwała głową i zaczęła śpiewać: – „Teraz jest wojna, kto handluje, ten żyje. Jak sprzedam rąbankę, słoninę, kaszanekę, to bimbru się też napiję”.

Towarzystwo zgromadzone przy stole roześmiało się.

Zosia była w Komorowie kilka dni; w tym czasie wyraźnie odetchnęła. Całymi godzinami ganiała po sadzie małą Grażynkę i wozila na koniku Gienka. Poszła z dziećmi Klementyny i Karola na długi spacer. Wzięli ze sobą także Tereskę. Przez pół nocy kochała się ze Stachem, tak głodna jego ciała i pieśczoć, że musiał zakrywać jej usta dłonią, bo przecież dzieci spały obok. A kiedy rano zbudziły ich słońce i pianie koguta, złapała się na myśli, że wojna wydaje jej się tak bardzo odległa, jakby nierzeczywista.



Wracała kolejką elektryczną. Tak było bezpieczniej, bo drogi patrolowali Niemcy. Swój samochód Gorazdowscy sprzedali. Zosia mogłaby pożyczyć auto od Klementyny, ale ryzykowała, że zostanie zarekwirowane albo ukradzione.

Pociąg był pełen ludzi. Zosia znalazła miejsce siedzące na tyłach wagonu, przy oknie. Niedaleko niej siedziała gruba baba z wypchanymi torbami i Zosia pomyślała, że to może sprowokować Niemców, którzy umościli się na czele składu, aby przeszukiwać pasażerów. Nieraz była świadkiem, jak zabierali towar, przecież szmugiel był zakazany. Zwykle potem sprawdzali innych podróżujących. Sama nie miała przy sobie już nic nielegalnego, oprócz kawałka czekolady, którą przed wyjazdem wcisnęła jej Grażynka.

- Weź, mamusiu, weź – prosiła. – Tyle czekolady nam przywiozłaś, a sama nie masz.

Wzięła więc słodycz, aby dać ją synkowi pani Hanki, sąsiadki, która teraz zarabiała na życie, trąc ziemniaki na krochmal. Jej mąż zginął na początku wojny, a księgarnia, w której pracowała, została zamknięta. Gorazdowscy wspomagali ją i jej synka, jak mogli. Zosia brała czekoladę od Wedla dla małego Jurka, ale widząc, że matka nie daje jej małemu, bo woli sprzedać ją na targu, starała się przynosić im dwie – jedną na handel, a drugą, najlepiej w kawałkach, dla małego, żeby osłodzić mu życie.

– Pani starsza – jakiś mężczyzna zagadnął kobietę w tramwaju. – Pani da trochę tego towaru, ja zaraz bimber wyjmę i sobie tu piknik zrobimy.

Baba fuknęła i odwróciła głowę, a mężczyzna zaczął się śmiać. Faktycznie, z toreb zalatywało kiełbasą, aż ślinka ciekła. Kobieta jednak nie wydawała się przejęta, zerkając na torby oraz na siedzącą obok starszą panią, która trzymała na kolanach plecak. Pociąg ruszył. W Pruszkowie do wagonu wszedł grajek z akordeonem i małym chłopcem u boku. Dostrzegli żołnierzy, dlatego z ust chłopca nie padła żadna zakazana piosenka. Akordeonista grał tango, chłopczyk pięknie śpiewał, ludzie dawali po parę groszy. Mały kłaniał się wdzięcznie i śpiewał kolejne przyśpiewki. Pasażerka ze szmugłem wyjęła kawałek kiełbasy i wręczyła dzieciakowi. Zosia dała chłopcu część czekolady. Dzieciak aż pojaśniał, szurnął zabawnie nogą i zatańczył w podziękowaniu za hojny datek.

Jeden z żołnierzy, razem z większością pasażerów, grajkim i śpiewającym chłopcem, wysiadł na pobliskiej stacji. W pociągu atmosfera się rozluźniła. Drugi z Niemców widocznie nie chciał siedzieć sam, bo przeniósł się do tyłu. Usiadł niedaleko Zosi, obok kobiety, która trzymała na rękach śpiące dziecko. Zosia zerknęła na niego ukradkiem. Miał piękne niebieskie oczy i ładną, szczupłą twarz. Wyglądał jak dziecko. „Ileż on może mieć lat?”, zastanowiła się. „Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć?” Przeniosła wzrok na siedzącą naprzeciwko śliczną dziewczynę, która wyglądała przez okno i tylko od czasu do czasu zerknęła na współpasażerów. Za oknem śpiewały ptaki i szumiały drzewa. Zosia patrzyła na tę piękność, na przystojnego Niemca i na cudny świat za oknem i myślała o szczęśliwej i spokojnej rodzinie, którą zostawiła na wsi.

Nagle dotychczas śpiące dziecko zbudziło się i zaczęło płakać. Żołnierz najpierw zerkał na nie z dezaprobatą, wreszcie nakazał ostro matce, aby je uspokoiła.

– Może jest głodne – powiedziała Zosia życzliwie.

Kobieta widocznie wstydziła się dać dziecku pierś i pewnie nie miała mleka w butelce, bo wstała, zaczęła bujać becikiem i przemawiać do dziecka łagodnym tonem, prosząc, żeby się uspokoiło.

– Szmatkę z cukrem trzeba by dać do buzi – doradziła kobieta ze szmugłem, kiedy dziecko nie przestawało płakać.

Niemcowi raz za razem przebiegał przez twarz skurcz zniecierpliwienia. Wreszcie mężczyzna zaczął toczyć wściekłym wzrokiem dokoła.

– Cicho! Niech się uciszy! – wrzasnął.

Jego krzyk musiał przestraszyć maleństwo, bo dziecko płakało coraz głośniej, a matka jeszcze bardziej się zdenerwowała. Niemiec wstał i grożąc zaciśniętą pięścią, żądał, aby kobieta „zrobiła coś z tym dzieckiem”. Zosia pomyślała, że mały nigdy się nie uspokoi, jeśli Niemiec nie przestanie krzyczeć. Baba zabrała swoje torby i przeniosła się jak najdalej od płaczącego niemowlęcia. Zosia także chciała wstać i opuścić przedział, wiedzona jakimś dziwnym przeczuciem zbliżającego się nieszczęścia, ale jednocześnie jakaś magnetyczna siła przyciągała ją do siedzenia. Przerazona matka rozglądała się bezradnie na boki, dziecko płakało coraz głośniej. Zosia nie wiedziała, co robić. Nagle odezwała się śliczna dziewczyna, której twarz Zosia miała wspominać do końca życia. Miłym, spokojnym głosem i nienaganną niemczyzną zwróciła się do oficera.

– To małe dziecko, panie oficerze – powiedziała i uśmiechnęła się promiennie. – Proszę nie krzyczeć, bo to tylko pogarsza sytuację.

Niemowlę jak na komendę ucichło, a Zosia odetchnęła z ulgą. Żołnierz także zamilkł i wolno odwrócił głowę w stronę dziewczyny. Przez chwilę wydawało się, że piękna pasażerka zdobyła jego sympatię, że żołnierz usiądzie koło niej i zaczną pogawędkę w języku Goethego o muzyce i poezji.

Już pierwszy cios rozłupał dziewczynie czaszkę, ale Niemiec nie przestawał bić kolbą karabinu po jej głowie, dopóki piękna twarz nie zamieniła się w krwawą miazgę. Zosia patrzyła, jak krople krwi pryskają na wszystkie strony, jak brudzą jej buty i pończochy. Nie mogła się ruszyć. Pociąg zatrzymał się na stacji końcowej i wszyscy wysiedli, także Niemiec o twarzy dziecka. Wyszedł jak gdyby nigdy nic. Kobieta z niemowlęciem, które teraz spało spokojnie, wybiegła bez słowa, a baba ze szmuglem wytaszczyła swoje torby, na odchodnym rzucając:

– Po co się odzywała...?

W wagonie oprócz trupa pięknej dziewczyny pozostały jedynie Zosia i starsza pani z plecakiem.

– Trzeba wysiąść. – Kobieta poklepała Zosię po ramieniu.

Podniosła wzrok. Kobieta przypominała jej ciotkę Reszczyńską, tylko w oczach miała łagodność i współczucie. Zosia wstała.

– Tak – powiedziała. – Wysiądę.

Ledwie trzymała się na nogach. Kręciło jej się w głowie.

– Mieszkam nieopodal – powiedziała starsza kobieta, chwytając ją pod ramię i ciągnąc za sobą. – Niech pani ze mną pójdzie, nie może pani iść ubrudzona krwią.

– Tak – powtórzyła potulnie Zosia, po czym przytrzymała się drzwi, bo zrobiło jej się słabo.

Zanim wyszły, kobieta pochyliła się nad trupem i wyjęła z wewnętrznej kieszeni letniego płaszcza dokumenty dziewczyny. Po namyśle wyciągnęła także portfel.

– Trzeba zawiadomić rodzinę o tym, co się stało – wyjaśniła Zosi. – I oddać pieniądze.

Starsza pani mieszkała rzeczywiście nieopodal, w niewielkim mieszkanku nad piekarnią. Kiedy weszły do środka, posadziła Zosię na kanapie, a sama rozpałała w piecu. Po chwili Zosia usłyszała gwizd pary z czajnika.

– Zrobię ci, dziecko, herbatki – powiedziała. Miała dobre, mądre oczy.

– Ja muszę iść. – Zosia nagle wstała i chwiejnie zrobiła parę kroków.

– Pójdzie pani, gdy się uspokoi – powiedziała kobieta łagodnym tonem. – Nie może pani pokazać się na ulicy w takim stanie.

Siłą zdjęła z niej płaszcz, posadziła ponownie na kanapie i jak dziecku tłumaczyła, że to wszystko przejdzie. Potem, kiedy Zosia piła herbatę z sacharyną, oczyściła z krwi jej buty, pończochy i płaszcz.

– Maria Maciąg^[152] – odczytała z kenkarty. – Mieszkała biedaczka przy placu Unii Lubelskiej. W portfelu miała pięćset złotych.

– Taka piękna – wykrztusiła Zosia i dopiero wtedy zaczęła płakać. – Taka piękna i młoda.

Starsza kobieta, której imienia Zosia nie poznała i której nie podała swojego, długo trzymała ją w ramionach, jak matka, i kołysała, uspokajająco głaszcząc po głowie.

– Dziękuję – powiedziała Zosia. – Nigdy pani nie zapomnę.

– Lepiej byłoby, gdybyś zapomniała, moje dziecko. – Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Mieszkam niedaleko placu Unii Lubelskiej. – Zosia wyciągnęła rękę. – Mogę zanieść tę kenkartę i poinformować rodzinę, co się stało.

– Ja pójdę – powiedziała starsza pani. – Lepiej sobie z tym poradzę. Byłam nauczycielką.

– Ja jestem lekarką. – Zosia przełknęła ślinę. – Widzę śmierć co dzień, ale to... Nigdy nie widziałam niczego bardziej okrutnego. Nigdy...

– Obyś nigdy nie zobaczyła niczego gorszego – odparła kobieta.



Chociaż zapukała w umówiony sposób, kiedy weszła do pomieszczenia, Stanisław Maciąg stał z wycelowanym w nią pistoletem, czujny i wyprostowany.

– Przyniosłam kartoflankę – powiedziała. Widok skierowanej w jej stronę broni już nie robił na niej najmniejszego wrażenia.

– Dziękuję – powiedział i schował pistolet. – Nikt pani nie widział?

– Nie – odpowiedziała. – Nikt.

Nauczyła się być niewidzialna dla Niemców, poruszać się na tyle wolno, aby nie wzbudzić podejrzeń, i na tyle szybko, aby jej nie zapamiętano. Nie uśmiechała się, ale też nie okazywała wrogości. Zagadywana, natychmiast się zatrzymywała, wyciągała papiery, odpowiadała na pytania grzecznie i szybko, najczystsza niemczyzną. To wzbudzało sympatię Niemców i usypiało ich czujność. Raz omal nie wpadła. Niosła do pawilonu zakaźnego broń, którą zabrała rannemu młodemu chłopakowi. Kiedy Niemiec ją zatrzymał i kazał otworzyć torbę, zaczęła recytować wiersz Goethego^[153], który akurat w tym dniu, dwudziestego ósmego sierpnia, obchodziłby urodziny. Niemiec był zachwycony i wyznał jej, że matka nazwała go imionami Johann Wolfgang na cześć poety. Przyniósł później Zosi do pokoju lekarskiego kilka puszek szynki, którą podzieliła się z kolegami.

– Mam jeszcze to – powiedziała i podała inżynierowi kawałek czekolady.

– Może powinna pani dać tę czekoladę jakimś dzieciom? – zasugerował, patrząc na pół tabliczki, którą trzymała w palcach.

Pokręciła głową.

– Jan Wedel ciągle dostarcza nam czekoladę. Jest jej u nas dostatek. Niestety już nie można wchodzić do getta, bo byłabym ją tam zaniósła.

– Powiedziałbym, że zawiozę córeczce, ale...

Nie dokończył. Wiedziała, że spotykał się z najwyższymi dowódcami Armii Krajowej. Domyślała się, że stał za wieloma akcjami dywersyjnymi AK. To oznaczało, że nie może wrócić do domu. Kto wie, gdzie się ukrywał, kiedy nie nocował w pokoiku za kotłownią.

– Kiedy wojna się skończy... – zaczął.

– Wiem – przerwała mu. – Kiedy wojna się skończy, musi pan koniecznie przywieźć do nas swoją córeczkę. A my z mężem odwiedzimy państwa.

Dziewczynki powinny się poznać, zwłaszcza że noszą to samo imię^[154].

– Właśnie – zgodził się i przez moment piwnica zamieniła się w salon, a sterta desek, która służyła za stół i siedziska, w komplet mebli secesyjnych. Nawet menażka z zupą zaczęła przypominać porcelanowy talerz.

Nagle w jego oczach i uśmiechu Zosia dostrzegła coś, co wywołało wspomnienia tamtego dnia, pociągu pełnego ludzi i ślicznej kobiety, która zginęła zatłuczona kolbą przez Niemca o twarzy dziecka. Maria Maciąg, przypomniała sobie imię i nazwisko dziewczyny. „Maciąg”, pomyślała, „tak jak on”. W jednej chwili z trudem przywołana zwyczajność zniknęła.

– Panie inżynierze – powiedziała Zosia schrypniętym głosem. – Ja przepraszam, wiem, że nie powinnam, ale czy miał pan krewną o imieniu Maria?

Tamta nauczycielka oddała rodzinie dokumenty i o wszystkim opowiedziała. Tylko dzięki temu Stanisław Maciąg dowiedział się, co stało się z jego siostrą.

– Nie oddano nam ciała, nie mogliśmy Marysi pochować... Nie mogę się z tym pogodzić.

– Ja nie mogłam nic na to poradzić – wykrztusiła pełnym poczucia winy głosem.

– Przecież wiem – odpowiedział łagodnie i dodał: – Zaraz na początku wojny w łapanie ulicznej zaginęła moja druga siostra, Krystyna^[155]. Próbowaliśmy wszelkimi sposobami dowiedzieć się, co się z nią stało, odnaleźć ją w którymś z obozów. Nic. Przepadła jak kamień w wodę.

– Mój Boże – powiedziała Zosia, kiedy ze ściśniętym sercem i oczami pełnymi łez opuszczała piwnicę. – Jaki to przypadek. Jaki przypadek...



– Jeśli myślisz, że nic gorszego nie może ci się przytrafić, wtedy przychodzi kolejny cios... – powiedział doktor Zbigniew Lewicki^[156], który przybył do szpitala, aby powiadomić wszystkich, że profesor Franciszek Raszeja^[157] został zamordowany w getcie.

– Kiedy? – wykrztusił w końcu Witold.

– Co profesor Raszeja tam robił? – dodała Zosia, głęboko wstrząśnięta smutną wiadomością.

– To się stało wczoraj, dwudziestego pierwszego lipca – opowiadał Lewicki. – Wezwano go na konsultację. Dostał specjalną przepustkę do getta. Mówił mi o tym, a ja, głupi, pozwoliłem mu iść. Jego żona mnie zawiadomiła, że nie wrócił. Miałem jeszcze nadzieję, że nie zdążył przed godziną policyjną, ale dziś z rana poszedłem go szukać.

– Wiadomo kto? I dlaczego?

– Dlaczego... – Romuald Ficowski, który dobrze znał profesora, skrzywił się. – Bo to potrzeba powodu? Myślę, że jeśli ktoś miał w tym jakikolwiek cel, to tylko taki, żeby zastraszyć tych, którzy chodzą do getta i próbują pomóc zamkniętym w nim nieszczęśnikom. I oczywiście ich samych.

– Niektórzy, tak jak Władek Szpilman^[158], twierdzą, że chodziło o rabunek – stwierdził Lewicki. – Ale moim zdaniem to tylko pretekst.

– Profesora mieli obrabować? – Zosia wciąż nie mogła się pogodzić z tym, co usłyszała.

Doktor Lewicki pokręcił głową.

– Nie. Celem miał być pacjent. Abe Gutnajer^[159], ten marszand. Mówi się, że oprócz obrazu Petera de Greberra^[160] zabrał na Chłodną inne bezcenne obrazy. Abego zastrzelono na stole operacyjnym, kiedy był pod wpływem narkozy. Oprócz niego zginęła cała rodzina: żona, córka, zięć, wnuczka, żydowska pielęgniarka i asystent profesora, doktor Kazimierz Pollak^[161]. Obraz zaginął, stąd przypuszczenie, że to był powód. Ale ja w to nie wierzę, bo widziałem, co się tam dziś dzieje.

– Co? – zapytał Witold po dłuższej chwili milczenia.

– Niemcy spędzili jakiś tysiąc osób na Umschlagplatz – odpowiedział. – Dziś około jedenastej. Widziałem tych ludzi na własne oczy. Mieli niby zostać wywiezieni w inne miejsce.

– Wywiad donosił o planach „ostatecznego rozwiązania sprawy żydowskiej” – odezwał się Romek Ficowski.

– Ja myślę, że się zaczęło. Zobaczycie – powiedział gorzko doktor Lewicki. – Zabiją ich na miejscu albo wywiozą do Treblinki.

– Trzeba ratować, kogo się da. – Ficowski zacisnął ręce w pięści. – Spróbuję pomóc doktorowi Korczakowi.

– Tam już nie można wejść, pod żadnym pozorem – przestrzegł go Lewicki. – Nie ma przepustek. Nawet wyjątkowych.

– To co? – spytała Zosia. – Mamy na to patrzeć i nic nie robić?

– Ponoć szykuje się powstanie – powiedział Witold.

Wszyscy zamilkli.



W pierwszych dniach sierpnia jakimś cudem doktor Ficowski załatwił sobie przepustkę do getta. Wszedł tam akurat, żeby być świadkiem, jak Niemcy wywożą podopiecznych Korczaka oraz dzieci z innych sierocińców do Treblinki. Kiedy wrócił, zamknął się na kilka godzin w jednym z pokoi dla lekarzy dyżurnych i wyszedł dopiero wtedy, kiedy Zosia, która wcześniej bezskutecznie dobijała się do niego, zagroziła, że nie pójdzie do domu przed godziną policyjną, jeśli Romek jej nie otworzy.

Kiedy w końcu uchyliły się drzwi, Romuald wyglądał strasznie. Zawsze starannie ułożone i wypomadowane włosy miał teraz w nieładzie, twarz opuchniętą od płaczu, a w rękach do połowy opróżnioną butelkę po wódce. Zosia, która nigdy nie widziała, żeby pił, odebrała mu alkohol, a potem zaparzyła herbaty na kuchence spirytusowej. Nic przy tym nie mówiła,

uznała, że Romuald sam zdecyduje, kiedy będzie gotowy, żeby powiedzieć, co się stało.

– Nie będę mógł z tym żyć – wyrzucił z siebie w końcu. – Z tym, co tam widziałem.

– Co widziałeś? – spytała, głaszcząc go po włosach i przyciskając jego głowę do piersi.

Nie chciała wiedzieć, ale gotowa była przyjąć część jego rozpacz. Inaczej nie mogła pomóc.

– Oni ich spędzają na Umschlagplatz – wykrztusił. – Jak było. Policja żydowska ich pilnuje. Potem robią selekcję. Część dostaje „bilet życia” i może zostać w getcie, gdzie i tak czeka ich śmierć, część jedzie do Treblinki, a inni... – Tu jego głos się załamał, a Romuald zaczął płakać.

Podejrzewała, co dzieje się z innymi. Nigdy nie roiła sobie, że tak zwana sprawa żydowska zostanie rozwiązana inaczej niż przez masowe mordy, a zakończy się dopiero, kiedy żaden Żyd nie będzie już „zagroził” wielkiej Rzeszy.

– Masowe egzekucje – powiedział w końcu Romuald. – Niektórzy nie mają nawet siły, żeby stanąć pod murem, rozumiesz? Kobiety, dzieci... Wiesz, jak zabijają niemowlaki?

– Nie mów, proszę, nie mów tego.

– Roztrzaskują ich główki o mur – wykrztusił Romuald. – Bo szkoda im kul.

Zrobiło jej się ciemno przed oczami.

– A Korczak? – spytała słabo.

– Wywieźli ich wszystkich – wychrypiał. – Prawie dwieście dzieci tylko od niego, a dołączyły do nich inne sierocińce. Korczak i pani Stefa szli na przedzie. On ledwie żywy, bardzo chory, dzieci przerażone, zapłakane.

Ciałem Romualda ponownie wstrząsnął szloch. Zosia nie wróciła tej nocy do domu. Została w ciasnym pokoiku, obejmując Romualda ramieniem i tuląc do siebie. A kiedy wreszcie zasnął, skulony na jednym końcu łóżka, położyła się po drugiej stronie, przykryła tym samym kocem

i zapadła w płytki sen, z którego obudziła się nad ranem sztywna z zimna i niemocy. Romuald także się obudził, spojrzął na nią pytająco, a ona skinęła głową. Przyjęła go do siebie bez namietności, jak pielęgniarka, która opatruje choremu rany. Kiedy było po wszystkim, zasnęli przyciśnięci do siebie, ciasno, tak że czuła każde jego najlżejsze drgnięcie. Nie miała wyrzutów sumienia, właściwie nic nie czuła. Chciała tylko, żeby był choć trochę mniej zrozpaczony.

Gdy obudziła się rano, już go nie było. Potem dowiedziała się, że wszedł do getta, ot tak, w biały dzień. Nawet wartownicy byli zaskoczeni. Zabili go dopiero pod synagogą.



Zofia Garlicka najbardziej martwiła się o córkę. Kiedy 13 października 1942 roku pociąg z więźniarkami przyjechał do Oświęcimia, natychmiast je rozdzielono. Ostatni raz widziała ją gnaną przez Niemców gdzieś w głąb obozu. Ją samą ostrzyżono, wytatuowano jej numer na przedramieniu i kazano się ubrać w znoszony kubrak oraz spodnie, o wiele na nią za duże. Mogła zatrzymać okulary i była za to wdzięczna. Skierowano ją do bloku numer 3; to raczej nie było dobre miejsce, w każdym razie gorsze niż inne miejsca w piekle, do którego trafiła. Widziała współczujący wzrok jednej ze starych więźniarek, która pomagała przy selekcji nowo przybyłych.

– Uważaj, blokowa jest straszna – szepnęła jej dziewczyna.

– Będę uważała – odpowiedziała bez sensu, bo niczego to nie znaczyło, i poczłapała w za dużych, spadających jej z bosych stóp drewniakach do baraku.

Na miejscu miała się przekonać, że Stanisława Starostka^[162] jest osobą pozbawioną wszelkich skrupułów i znęcanie się nad więźniarkami, bicie, pozbawianie ich racji żywnościowych, a nawet kierowanie do gazu sprawia jej przyjemność.

– Wszystkie was rozgniotę – lubiła mówić Starostka. – Jak wszy.

„Czy ona nie widzi, że nie jest w niczym lepsza od nas?”, pytała sama siebie Zofia w bezsenne noce, kiedy pchły i wszy gryzły ją tak bardzo, że dygotała z bólu i obrzydzenia. „Nie widzi”, odpowiadała sama sobie, kiedy bezsilna patrzyła, jak Starostka bije którąś z biedaczek pod byle jakim pretekstem. Sama nie dawała jej żadnego powodu do znęcania się, ale kilka razy i tak oberwała, razem ze wszystkimi – dla przykładu, jak mawiała blokowa.

Zofię skierowano do kartoflarni, co – jak jej powiedziano – było pewnego rodzaju szczęściem, bo gdyby pracowała na zewnątrz obozu, szybko mogłaby trafić do komina krematoryjnego. Jej córka została wysłana do pracy na zewnątrz – Zofii doniosła o tym jedna z dziewczyn z sąsiedniego bloku. Sercem Zofii szarpnął wtedy strach.

– Żyje. To najważniejsze. Nie ma się co martwić na zapas – powiedziała tamta, ale marne to było pocieszenie.

Miała na imię Aneta i przed wojną pracowała w księgarni na Mokotowie. Wpadła w czterdziestym pierwszym, wydał ją własny narzeczony, który niby to pracował w konspiracji, a tak naprawdę był konfidentem.

– No i jestem tu – opowiedziała. – To szczęście, bo jak zrobili u nas kocioł, wszystkich rozstrzelali. Mnie jedną wysłali do obozu. A ty jak wpadłaś?

Nie chciała mówić, ile osób ukrywała, ile uratowała, ile aryjskich papierów przeszło przez jej ręce. Czy ktoś ją zdradził? Przeklęty Cope, że też zebrało mu się na uprzejmości i przyszedł się pożegnać.

– Przechowywałam Żydów – odpowiedziała wymijająco.

– To też masz szczęście, że tu jesteś – powiedziała z ufnością Aneta. – A co robiłaś przed wojną?

Nie przyznała się, że jest lekarką, ale więźniarki i tak się dowiedziały sobie tylko znanymi drogami. Może jej córka komuś powiedziała?

Ziemniaki spadały do kubła z brudną wodą, jeden po drugim. Zofia starała się je obierać cieniutko. Zgniłe miejsca starannie odkrawała, żeby nie zmarnować ani kawałeczka jedzenia. Przed wojną nigdy by tego nie

zrobiła. Zepsuty ziemniak trzeba wyrzucić, nawet jeśli to, co zgniło, jest małe, tłumaczyła córkom. Teraz było inaczej.

Tupot nóg zasygnalizował, że ktoś wszedł. Nawet nie podniosła głowy. Jeśli to po nią, i tak nie było dokąd uciekać.

– Niech pani ze mną idzie – usłyszała nerwowy szept.

– Dokąd? – spytała.

– Trzeba pomóc. Proszę – powiedziała więźniarka.

Była chuda i strasznie brzydka. Doktor Garlicka westchnęła.

– Dokąd? – ponowiła pytanie.

– Jest pani lekarzem, trzeba pomóc – ponaglała ją tamta.

Zofia wstała i zdjęła fartuch, a raczej brudną szmatę, którą była przewiązana.

– Dobrze – powiedziała.

Tamta szła bardzo szybko, Zofii spadały z nóg za duże drewniaki; potknęła się zaraz za progiem kartoflarni. Chuda brzydula pomogła jej z powrotem włożyć buty.

– Trzeba by pani natrzeć czymś stopy – powiedziała. – Jest listopad, a pani boso.

– Wszystkie tu chodzimy boso – odparła Zofia.

Gdyby jakiś anioł przelatywał przypadkiem nad zapomnianym przez Boga skupiskiem wynędzniałych ludzi, zobaczyłby taki oto obrazek: w pustym baraku, pomiędzy pryzkami, leży dziewczyna w zaawansowanej ciąży. Wije się z bólu. Obok stoi przerażona okrutna blokowa Starostka. Zofia ignoruje Starostkę, klęka przy rodzącej. Nagle staje się zupełnie inną osobą niż więźniarka z kartoflarni. Znów jest na sali porodowej. Ma przed sobą trudny przypadek. Pacjentka w drugiej fazie porodu, ale dziecko nie jest dobrze ułożone. Jeśli czegoś nie zrobi, umrą i matka, i dziecko.

– Oddychaj spokojnie – przemawia łagodnym tonem do przerażonej dziewczyny. – Połóż się na lewym boku. Tak, bardzo dobrze.

Brudne od ziemi palce obmywa w podanej jej misce wody, ale żadna to higiena. „Jeśli Bóg zechce, ocali je obie”, myśli Zofia, wkładając palce do wnętrza dziewczyny. Ta nie może powstrzymać jęku.

– Przez nią wszystkie pójdziemy do gazu – wyrywa się Starostce i Zofia rozumie, że okrucieństwo blokowej bierze się ze strachu o życie.

– To nie jej wina – odpowiada spokojnie. – Niech pani przyniesie nożyczki, cokolwiek, co pozwoli mi przeciąć pępowinę.

Starostka kiwa głową i wychodzi z baraku.

– Dobrze, córeńko – mówi do rodzącej Zofia. – Teraz trochę zaboli.

Wprawnym ruchem obraca dziecko z zewnątrz. Mimo zgrabiących palców i dłoni, które jej nie słuchają, uzyskuje pożądany efekt. Dziecko jest już prawidłowo ułożone. Dziewczyna nawet nie krzyknęła.

– A teraz będziemy rodziły – mówi tak samo jak wcześniej do tysiąca kobiet, kiedy przychodziła na sale porodowe, aby pomóc położnej czy wesprzeć młodą lekarkę.

Dziecko rodzi się po dwóch parciach.

– To dziewczynka – mówi do matki doktor Garlicka po tym, jak podanym jej przez Starostkę kozikiem ucina pępowinę i podwiązuje ją sznurkiem.

– Jak pani ma na imię? – pyta matka.

– Zofia – odpowiada.

– Piękne imię – cieszy się tamta, jakby miała z czego. – Tak nazwę córkę.

Nie chciała wiedzieć, co się stało z małą Zosią i jej matką. Lepiej było nie pytać, nie widzieć, jak noworodki były od razu zabijane przez Niemców, jak położnica natychmiast po porodzie szła do gazu, bo nie mogła pracować. Zofia odsuwała złe myśli, zwłaszcza że spotkało ją wreszcie coś dobrego. Może to był przypadek, może zrządzenie losu albo nagroda, ciche podziękowanie Starostki, ale do kartoflarni przydzielono jej córkę.

– Mamo – płakała, kiedy Zofia ją tuliła do serca, odwracając wzrok od chudej twarzy, liszajów na głowie i na rękach. „Taka piękna dziewczyna z niej była”, pomyślała ze współczuciem, „taka piękna dziewczyna”.

Nie wiadomo, kto przywłókł gorączkę do baraku, ale pierwsza upadła tamta chuda i brzydka, która wezwała Zofię do porodu. Nie zdążyły jej nawet przenieść do bloku szpitalnego, bo niemal od razu umarła. Zaraz po niej na tyfus zachorowała Krysia, która była tu niemal od początku istnienia obozu, a potem Ania, która miała dobre układy z jednym z kapo i mogła dużo załatwić. Tyfus nie ominął też dużej i silnej Jaśki, która tak strasznie bała się, że choroba zaprowadzi ją prosto do gazu, że zjadła dwa surowe ziemniaki, zanim Zofia zdążyła zainterweniować.

– Surowe ziemniaki powodują gorączkę, nie leczą jej, głupia – powiedziała do Jaśki Aneta.

– Nie pójdę do gazu – upierała się Jaśka, kiedy ją wynosili do bloku szpitalnego.

Nie poszła. Umarła na przepeconej pryczy, a do krematorium zanesiono ją po śmierci.

Kiedy jej córka zaczęła ciężko oddychać, Zofia nie czekała na cud, tylko przeniosła się razem z nią do baraku, w którym zorganizowano prowizoryczny szpital. Barak był szpitalem tylko z nazwy, ponieważ nie było tam prawie nic, co mogło ulżyć gorączkującym więźniarkom. Choroba córki dała jej trochę siły. Na tyle, aby walczyć o leki na gorączkę i o odrobinę ciepłej zupy, żeby nieszczęsnice mogły wydobrzeć.

– Nie boisz się zarazić? – pytała ją Wiesia, jedna ze starszych więźniarek, która już kilka razy umknęła śmierci spod kosy. Ostatni raz przed miesiącem, kiedy posądzona przez blokową o kradzież jedzenia już szła pod mur, ale jedzenie się znalazło u innej nieszczęsnicy i Wiesię zawrócono. Dla przykładu pobito ją jednak tak straszliwie, że jeszcze długo siusiała krwią.

– Nie boję się. Już przechorowałam tyfus – odpowiadała zgodnie z prawdą. – Są rzeczy gorsze od zarazy.

Miała na myśli niemieckie więźniarki kryminalne, które pracowały w baraku szpitalnym. Los pacjentek był im całkowicie obojętny, prześcigały się w okrucieństwie wobec Polek i Żydówek, którym wmawiały, że są w lepszej sytuacji od nich. Nie było to prawdą. One także szły pod mur i do gazu, ale wydawały się do końca wierzyć, że spotka je inny los.

– Zwalniają mnie – ogłosiła kiedyś jedna z nich, Helge, która dostała wyrok kilku miesięcy więzienia za zatrzymywanie dla siebie większej ilości plonów, niż to było dozwolone.

– To oddaj swój sweter – poprosiła Helge Jaśka. – Tobie wydadzą ubrania, w których przyszłaś.

Przez moment i Zofia uwierzyła, że Helge wychodzi na wolność. W końcu była Niemką. Swetra nie oddała. Przyniosła go do baraku Grania, jedna z pielęgniarek, które tam pracowały.

– Helge nie wyszła na wolność – powiedziała prawdę dla wszystkich oczywistą i dodała: – Która potrzebuje? Dobra wełna.

Zofia pokręciła głową. Już dawno sobie umyśliła, że jeśli pozostanie pokorna i będzie się modliła, jej córka wyzdrowieje. „Weź mnie, a ją ocal”, prosiła Boga.

Zaczęła gorączkować kilka dni później. Była pewna, że to grypa. Narastająca gorączka i osłabienie, które zważyło ją z nóg, dało jej pewność. Ona także zachorowała na tyfus.

– Niech ona wyzdrowieje – mamrotała raz za razem. – Oszczędź mi, Panie, tej straty.

Bóg tylko w części wysłuchał jej prośby. Kiedy córka odchodziła, Zofia Garlicka była już nieprzytomna. Sama umarła kilka dni później.



– To nie jest dobry rok – powiedziała Zosia do swojego dawnego kolegi Andrzeja Trojanowskiego^[163], kiedy przyszedł ją odwiedzić i porozmawiać o „starych dobrych czasach”.

– A poprzedni ci się podobał? – spytał doktor Trojanowski i uśmiechnął się do niej jak dawniej.

Kilka dni wcześniej spotkała go na ulicy, kiedy wracał z pracy do domu. Niósł w ręku siatkę, a w niej dwa wielkie, piękne jabłka. Przypomniała sobie, jak je lubił i jak jego żona śmiała się, że Ewa nie miałyby żadnych problemów, aby skusić go w raju.

– Wieki się nie widzieliśmy, stary przyjacielu – przywitała go.

Ucieszyła się na jego widok.

– Żyjesz, Zosiu! To cudownie – powiedział. – Wszystko u ciebie dobrze?

Potwierdziła.

– Wszyscy zdrowi, tylko mój dziadek zginął lub został zastrzelony – odparła. – Co u ciebie?

Opowiedział jej o wszystkim, dopiero kiedy ją odwiedził. Jak dawniej pracował jako chirurg w Szpitalu Dzieciątka Jezus. Między wierszami wyczytała z jego opowieści, że stoi na czele tamtejszej siatki konspiracyjnej.

– Słyszałaś o ostatniej akcji Szarych Szeregów? – spytał.

Zaledwie tydzień wcześniej zginęło kilku chłopców z ruchu oporu, o których bohaterskiej postawie podczas ulicznych akcji, także zbrojnych, krążyły legendy. Słuchała z podziwem i przerażeniem jednocześnie i dziękowała mu, że nie obawia się rozmawiać z nią otwarcie. Próbował pomóc dwóm z nich: zakatowanemu przez gestapo i postrzelonemu podczas akcji odbicia kolegi. Tego drugiego Andrzej operował, niestety było już za późno.

– „Rudego”^[164] miałem operować w domu, na łóżku, dasz wiarę? – mówiąc to, nie patrzył na Zosię.

Wykonywała już operacje bez znieczulenia oraz przeprowadzała zabiegi w warunkach, w których wcześniej nie wydłubałaby drzazgi spod

paznokcia, więc tylko potakiwała w milczeniu.

– Nic nie dało się zrobić? – spytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Udało się go przetransportować do Wolskiego. Tam byłyby lepsze warunki do operacji. Ale...

„Maria na pewno brała czynny udział w akcji szpitalnej”, pomyślała Zosia. Od początku angażowała się w pomoc walczącym.

– Zmarł krótko po przewiezieniu do szpitala – ciągnął Andrzej Trojanowski.

– Była jakaś szansa? – spytała. – Gdyby udało się go zoperować wcześniej?

– Żadnej – odpowiedział doktor Trojanowski. – Od pasa w dół miał fioletową i opuchniętą skórę. Bito go pałkami i pejczem. W środku na pewno była jedna wielka miazga.

Milczeli chwilę.

– Operowałem „Alka”^[165] – powiedział nagle. – U nas, w Dzieciątku. Oberwał w brzuch. Pękła mu duża tętnica. Natychmiast doszło też zapalenie otrzewnej. Zmarł tego samego dnia co tamten.

– Boże, Boże... – wymamrotała Zosia.

Omiotła wzrokiem stół, na którym stały dwie porcelanowe filiżanki z herbatą, konfitury przywiezione z Komorowa i czekolada od Wedla. Nagle to wszystko wydało jej się zupełnie niestosowne.

– Niemcy w odwecie rozstrzelali sto czterdzieści osób, kobiety i mężczyzn – dodał.

O tym też wiedziała, wszędzie na mieście wisały plakaty. Każda akcja niosła za sobą straszną zemstę. Hans Frank^[166], gubernator generalny okupowanych ziem polskich, zadbał o to, żeby niemieccy żołnierze, gestapo i wszyscy, którzy chcieli, mogli zabić dowolną liczbę Polaków bez żadnego sądu. Stąd „podstawa” prawna i przyzwolenie dla masowych egzekucji na ulicach miast i na wsiach. I ostrzeżenie, że za jednego zabitego Niemca zostanie straconych stu Polaków.

– Uważasz, że nie warto walczyć? – spytał, jakby odgadując jej myśli.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. – Zamyśliła się. – Kiedy panuje względny spokój, można wyciągać ludzi z więzień. Akcje dywersyjne powodują, że Niemcy nasilają represje. Z drugiej strony... – Przypomniała sobie słowa Stacha. – Nie możemy być jak barany i dać się prowadzić na rzeź.

– Wciąż o tym myślę. – Zdjął okulary i zaczął czyścić je chustką. – Chwilowo zaprzestałem nauczania. Niemcy przychodzą do szpitala co dzień, szukają rannych, pakują się do prosektorium.

– U nas to samo – powiedziała. – Ktoś im musiał uświadomić, ilu więźniów opuściło szpitale jako trupy.

– Sprawdzają każdy transport, każdego chorego, który wjeżdża na salę operacyjną i z niej wyjeżdża. Zwłaszcza jeśli jest martwy.

– Tak jak u nas – potwierdziła. – Chociaż funkcjonujemy niby na innych zasadach.

– Już tak bardzo nie boją się zarazy – dodał doktor Trojanowski. – Nawet hasło „tyfus” nie jest w stanie ich odstraszyć.

– Myślisz, że to się skończy? – spytała.

– Myślę, że będzie jeszcze gorzej – odpowiedział. – Ale porozmawiajmy o czymś innym, bardzo cię proszę.

Snuli więc plany na przyszłość. Zosia zaprosiła go wraz z żoną do Komorowa, a on się śmiał, że nie chciałby poznać teściów Klementyny. W końcu, kiedy zbliżał się wieczór, wstał i pożegnał się.

– No cóż, Zosieńko, było mi bardzo miło. Dziękuję ci za te chwile normalności.

– Weź czekoladę – powiedziała. – Twoja żona chyba lubi.

– Lubi. – Uśmiechnął się.



Powstanie w getcie wybuchło w przeddzień święta Pesach, 19 kwietnia 1943 roku. Było pierwszym zrywem wśród okupowanych przez Niemców narodów i krzykiem, który był zbyt cichy, by wstrząsnąć światem.

– Ilu ich tam zostało... – westchnęła Zosia.

4 maja słuchała, jak Władysław Sikorski^[167] przez radio BBC zaapelował do rodaków w kraju o pomoc Żydom.

Kaci hitlerowscy szesnastego^[168] kwietnia o godzinie 4 nad ranem przystąpili do „zlikwidowania”, znaną nam metodą, resztek getta warszawskiego, gdzie wegetowało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy Żydów. Zamknawszy wszystkie wyjścia, najechali je samochodami pancernymi i lekkimi czołgami, by przy pomocy karabinów maszynowych wybić resztki mężczyzn, kobiet i dzieci. Ludność żydowska, doprowadzona do rozpacz, stawiała bohaterski opór zbrojny. Od tego czasu walka trwa. Terkot karabinów maszynowych, wybuchy bomb, pożary ściągnęły w pobliże ludność warszawską, która przejęta zgrozą pomaga, gdzie może i jak może, nieszczęsnym ofiarom nieznanego w dziejach barbarzyństwa. Dziękuję Rodakom w imieniu Rządu oraz własnym za ten szlachetny odruch. Proszę ich o udzielenie wszelkiej pomocy i ochrony mordowanym, a równocześnie piętnuję wobec całej, zachowującej zbyt długo milczenie ludzkości te wszystkie okrucieństwa.

– AK próbowała wysadzić mury – powiedziała Maria, kiedy po pracy podeszły pod getto, tak blisko, jak się tylko dało.

– Słyszałam, że teraz dywersanci atakują patrole niemieckie, te rozstawione wokół muru – odpowiedziała jej Zosia.

Od śmierci Romualda budziła się co noc z krzykiem. Uciekała w pracę, ale to niewiele pomagało. Nie chciała jeździć do Komorowa. Nie umiała powiedzieć, czy to z powodu zdrady, której się dopuściła, czy też zdarzenia w pociągu. Często nocowała na terenie szpitala, jakby i dom jej zbrzydł.

– Co się z tobą dzieje? – pytała Maria.

– Powstanie upadło, to nie wystarczy? – odpowiadała.

16 maja Jürgen Stroop^[169] kazał wysadzić synagogę. Tym samym nastąpił symboliczny koniec powstania.

– Czemu ty, Zosiu, nie pojedziesz do Komorowa? – drażyła Maria. – Odpoczniesz tam, a tu co? Co chwila kogoś zabijają albo aresztują, teraz likwidują getto... To wszystko bardzo źle na ciebie wpływa.

– A na ciebie nie? – spytała apatycznie Zosia.

– Na mnie też, ale ja sobie zawsze lepiej radziłam – odpowiedziała Maria i zaraz dodała: – Opowiedzieć ci coś zabawnego?

Zosia pokręciła głową, ale Maria to zignorowała.

– Pamiętasz kobietę, którą lata temu sprowadziłaś na dobrą drogę?

Zosia okazała niewielkie zainteresowanie. Chodziło o Marynę, prostytutkę, która zaraziła Karolka Wereszczakę kiłą. Zosia objęła ją opieką. Podobnie jak wiele innych cór Koryntu, Maryna została pielęgniarką, a jej córka poszła najpierw do przedszkola, a potem do szkoły. Zosia widywała je czasem obie na terenie Szpitala Ujazdowskiego, ale Maryna udawała, że jej nie zna, a ona rozumiała to i nie próbowała przypominać jej poprzedniego życia.

– Pamiętam. Skończyła kursy, pracowała jako pielęgniarka, jej córka chodziła do tutejszego przedszkola. Bardzo dobra pracownica, sumienna. I życie chyba też sobie ułożyła. Co się z nią stało? – Zosia nieco się ożywiła, co Marię wyraźnie ucieszyło.

– Przeszła do mnie, do Wolskiego – opowiadała. – A jej córka pracuje tutaj, na chirurgii. Taka ładna ruda dziewczyna. Uczy się na pielęgniarkę.

– To ta, co wszczęła jakąś awanturę? – Zosia zamyśliła się. – Nie wiem, o co chodziło.

– To ja ci powiem, o co chodziło, bo jej matka wszystko mi zdradziła – ciągnęła z entuzjazmem Maria. – Ta Kasia opiekowała się tu takim jednym rannym żołnierzem. I zakochali się w sobie.

Zosia straciła zainteresowanie. To było typowe dla pielęgniarek i wolontariuszek, nazywanych „mateczkami”. Zakochiwały się w żołnierzach, którymi się opiekowały. Te historie miały zwykle dwa zakończenia: albo dziewczyny wychodziły za nich za mąż, albo cierpiały, kiedy okazywało się, że żołnierze mają rodziny.

– Ma żonę? – zgađła Zosia.

Maria przewróciła oczami.

– Z tobą to nie ma zabawy – mruknęła. – Nie tylko ma żonę, ale też innej mateczce obiecywał ślub. Wszystkie trzy się pobiły.

– I to ma być zabawne? – Zosia powiedziała z wysiłkiem.

– Tak, bo tu wióry leciały.

Zosia przypomniała sobie Rafała Dziubę, który poszedł z nią do Maryny. Do wybuchu wojny widziała go kilka razy, na konferencjach naukowych, a tylko raz prywatnie, w teatrze. Była już wtedy żoną Stacha. Słyszała, że Rafała powieszono w egzekucji ulicznej, jednej z pierwszych, naprzeciwko sądów, w czterdziestym roku. Zrobiło jej się jeszcze bardziej przykro.

– Zosiu... – zaczęła Maria. – Jedź do Komorowa. Jeśli chcesz, pojedę tam z tobą.

Zosia zastanowiła się chwilę.

– Właściwie to czemu nie – powiedziała w końcu, a Maria odetchnęła z ulgą. – Dobrze będzie zobaczyć dzieci przed kolejnym nieszczęściem, które niewątpliwie na nas spadnie.

Maria uściskała ją serdecznie.



– Dostałam oficjalne zawiadomienie o śmierci matki i siostry – powiedziała Jadwiga Putowska, druga córka Zofii Garlickiej, kiedy przysła do szpitala, aby odnaleźć przyjaciół matki.

– Mój Boże – powiedziała wstrząśnięta Zosia, zmęczona po odebraniu wyjątkowo trudnego porodu.

– Umarły kilka dni po sobie – relacjonowała dziewczyna z rezygnacją w głosie. – Jak napisano w liście, mimo troski i czegoś tam jeszcze... Zmarły w październiku zeszłego roku.

– Czyli wszystkie nasze próby jej zwolnienia były bezskuteczne, tak? – spytała Helena Hołówkowa.

Zosia milczała. Jedynie na początku istnienia obozu w Auschwitz udawało się wielkim kosztem doprowadzić do zwolnienia więźnia. Należało udowodnić, że nie zasługuje na taką karę bądź został osadzony przez pomyłkę. Wymagało to dobrego adwokata i mnóstwa pieniędzy, ale czasem się udawało. Od ponad roku Zosia nie słyszała, aby ktokolwiek opuścił Auschwitz-Birkenau drogą inną niż przez komin.

– Tak – odparła Jadwiga. – Wygląda także na to, że nie dostały ani jednej z paczek, które im wysłaliśmy.

Zosia się tego spodziewała. Paczki, mimo że ich wysyłka kosztowała krocie i nie mogły zawierać nic poza podstawowymi środkami higieny i ubraniami, były rozkradane przez więźniów pracujących przy ich rozdzielaniu.

– Kiedy przyszedł list od siostry, że razem z matką żyją i są blisko, mieliśmy nadzieję – powiedziała jeszcze Jadwiga. – Ale już nigdy więcej nie napisały.

– Wiadomo, co się naprawdę stało? – spytała Tereska Jurkiewicz, położna, która uwielbiała doktor Zofię Garlicką i uważała ją za chodzącego anioła.

– Nie – odpowiedziała krótko Jadwiga. – Nie wiadomo. Nie możemy ich pogrzebać ani należycie pożegnać. Nic nie możemy zrobić. Zostawiłam wiadomość mężowi siostry, ale nie wiem, czy ją odczyta. Ukrywa się.

Zosia wstała i objęła ją.

– Niech pani nie mówi, że mam się nie załamywać, bo ona by tego nie chciała – powiedziała Jadwiga i otarła oczy.

Zosia, która właśnie to chciała powiedzieć, przełknęła łzy i odezwała się stanowczo:

– Możemy pożegnać je jak należy.

Wiadomość o śmierci Zofii Garlickiej i jej córki obiegła okupowaną Warszawę. Na nabożeństwo w kościele Sióstr Wizytek przyszło mnóstwo

ludzi. Z Komorowa przyjechali także Klementyna z mężem i Stach. Zosia, która niemal całą mszę przepłakała, dostrzegła z tyłu Stanisława Jankowskiego^[170], „Agatona”, zięcia Zofii Garlickiej, jednego z najpilniej poszukiwanych ludzi w okupowanym kraju.



Zosia obejmowała Witolda, który szlochał jak dziecko. Kilka godzin wcześniej od Marii dowiedziała się o śmierci jego syna Andrzeja^[171].

– Czemu przyszedłeś do pracy? – spytała łagodnie. – Wracaj do domu, do Niny^[172].

– Nie chcę – odpowiedział, po czym zrobił kilka głębokich oddechów i otarł łzy z twarzy. – Kiedy patrzę na nią i na pozostałych... czuję się jeszcze gorzej.

Zosia pokiwała głową, chociaż pomyślała, że biedna Nina, która straciła już drugiego syna, na pewno potrzebowała wsparcia męża. Nie były ze sobą blisko, Nina zapewne uważała ją za wroga, jako że Zosia przyjaźniła się z Marią. Postanowiła jednak, że odwiedzi ją i złoży kondolencje.

– Co dokładnie się stało? – spytała Witolda.

– Zamierzali wysadzić most pod Czarnocinem. Akcja bardziej szkoleniowa niż bojowa. Ponoć miało pójść jak z płatka. – Zacisnął ręce w pięści. – Ale nie przygotowali tego jak należy. Andrzej nic mi oczywiście nie mówił, ale potem, kiedy poznaliśmy szczegóły...

Zaledwie kilka dni wcześniej, 3 czerwca, Andrzej Zawadowski został komendantem Hufca Południe. Do Szarych Szeregów należał od wiosny czterdziestego pierwszego roku. Był specjalistą od ładunków wybuchowych. Miał wiele planów. Witold był z niego taki dumny.

– Jeden chłopak^[173] zginął przy próbie wyjazdu autem z Bielan – opowiadał Witold. – Niemcy zatrzymali ich do kontroli, więc nasi uciekali, a tamci strzelali.

– I mimo to nie odwołali akcji? – zdumiała się Zosia.

– Nie – odpowiedział krótko Witold. – Ich dowódca^[174] uznał, że należy wykonać plan. Sam się spóźnił, ponoć szukał drogi, błędził.

– Gdzie to było? – Zosia nie mogła przypomnieć sobie nazwy miejsca, o którym wspominał Witold.

– W Czarnocinie... Nawet nie wysadzili tego mostu, jedynie go uszkodzili. Pociąg, który mieli wysadzić, spokojnie przejechał. O kant potłuc! – krzyknął.

Zosia wzięła go za rękę.

– Ci chłopcy nie wiedzą, jak przygotować się do takiej akcji – powiedział w końcu. – A ich dowódcy... wysyłają ich na pewną śmierć.

Zosia wiedziała, że Witold mówi to pod wpływem rozpaczy, że w normalnych okolicznościach nigdy by tych słów nie powtórzył. Jako pułkownik Wojska Polskiego, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, bohater obrony Lwowa, wreszcie ten, który zawrócił z drogi do Katynia, na pewno lepiej pokierowałby taką akcją. Od wielu lat był już tylko lekarzem. I gdyby nie wojna, nie rozmawialiby o wysadzeniu mostu, podkładaniu ładunków, tylko cieszyliby się ze zdanej matury Andrzeja, wyprawiali go w świat na studia. Mógłby studiować w Wiedniu, Paryżu, Warszawie, nawet Ameryce. A teraz pewnie nie wiadomo, gdzie jest ciało.

Sama wielokrotnie zadawała sobie pytanie, czy dowództwo Polski Walczącej wie, jak słabe jest uzbrojenie harcerzy. Mimo że dokonują cudów, giną setkami w nieudanych, niedopracowanych akcjach albo torturowani przez gestapo. Co jednak miała powiedzieć?

– Jacyś rolnicy pochowali go w rowie – powiedział Witold, jakby słyszał jej myśli.

– Nie powinniście uciekać? – spytała jeszcze.

Wiedziała, że po takich akcjach gestapo aresztuje całe rodziny, wywozi do obozów albo przesłuchuje na Szucha w nadziei, że ktoś coś wie i uda się wypłenić „polskich bandytów”.

– Był na akcji, więc nie miał przy sobie dokumentów – westchnął Witold. – Nic nam nie grozi. Niny tylko mi żal. Zupełnie nie umiem z nią rozmawiać. Każde z nas rozpacza po swojemu.



Maria Antonina Zawadowska, zwana Niną, rzuciła się jej na szyję, gdy tylko Zosia przestąpiła próg jej domu przy ulicy Wojska Polskiego 3 na Żoliborzu.

– Poszedł i zginął! Następny! – płakała, a Zosia tuliła nieszczęsną matkę do piersi i dziękowała Bogu, że jej dzieci są zbyt małe, aby działać w konspiracji i ginąć podczas roznoszenia ulotek.

– Wiem, kochana, wiem...

– Gdy szedł na akcję, to nie jadł śniadania – powiedziała gorzko. – Wtedy zawsze wiedziałam.

Zosia usiadła w pokoju. Z kuchni dobiegały odgłosy gotującej się wody i brzęk filiżanek. Chciała powiedzieć Ninie, że nie ma ochoty na herbatę, ale się powstrzymała.

– Wiedziałam, że on nie wróci. Wiedziałam – odezwała się Nina, kiedy postawiła przed Zosią filiżankę i wyjęła z kredensu słoik konfitur.

Chwilę milczały, potem Nina wbiła w gościa ciężkie spojrzenie.

– Ja wiem, że oni chcą walczyć za ojczyznę. Ja wiem, że te akcje są potrzebne, ale... Ale powiedz sama, czy warto iść na uzbrojonych Niemców z dwoma karabinami? Ryzykować życie, by wysadzać most, który nie ma znaczenia? Ginać za coś błahaego? Powiedz mi, no powiedz!

– Każda matka się nad tym zastanawia. – Zosia próbowała ją uspokoić, chociaż była tego samego zdania co Nina Zawadowska.

– Ojciec powinien go powstrzymać! A on jest dumny, że synowie... – Nina zaczęła płakać.

– To nieprawda, Nino. – Zosia głaskała ją po rękę. – Rozmawiałam dziś z Witoldem i on powiedział dokładnie to samo co ty. Że akcja została źle przygotowana, że gdyby wiedział, toby...

Umilkła, bo przecież niemożliwe było, żeby syn działający w konspiracji opowiadał ojcu o akcji dywersyjnej. Andrzej miał swoich dowódców, cóż z tego, że byli to niewiele starsi od niego chłopcy.

– Mnie tego nie powiedział – wyznała gorzko Nina. – Może komu innemu. Mnie nie.

Zosia wiedziała, że Nina mówi o Marii; nie skomentowała jej słów. Co mogła powiedzieć – że Maria także była przeciwna takim akcjom? Albo że je popierała? Zarówno Maria, jak i Nina robiły, co mogły, żeby walczyć z Niemcami. Nina prowadziła tajne komplety, Maria codziennie ratowała życie dziesiątkom osób.

– Uciekali dwoma samochodami – odezwała się znów Nina. – Ten, którym jechał Andrzej, prowadził jakiś niedoświadczony kierowca. Wpadli do rowu, dachowali. Nic się nie stało, ale musieli iść piechotą. Szosą, wyobrażasz sobie? Szosą szli... Za nimi jechał patrol. Niemcy wiedzieli już, że most został wysadzony. Andrzej zginął pierwszy.

Zosia przyglądała się Ninie. Była starsza od Marii i urody ich dwóch nie sposób było porównać. Według Zosi Maria miała więcej uroku, świeżości, a Nina była elegancka, bardziej dystyngowana, szlachetniejsza, chociaż ból stał z jej rysów całą dostojność.

– Witka już nie ma, teraz odszedł Andrzej – powiedziała kobieta.

Witold Antoni^[175], drugi z synów Zawadowskich, zginął w czterdziestym pierwszym pod kołami niemieckiej ciężarówki.

– Co z Januszem^[176], Jurkiem^[177] i Wackiem^[178]? – spytała cicho Zosia.

– Janusz i Jurek działają w konspiracji – odpowiedziała Nina. – Co ja mogę? Prosiłam, błagałam... Dobrze, że Wackowi mogę zabronić.

„Mój Boże”, pomyślała Zosia. Janusz skończył Liceum Batorego, jak starsi bracia, grał na skrzypcach i z tego, co wiedziała od Witolda, studiował medycynę na tajnych kompletach. Witold napomykał, że syn

całkiem załamał się po likwidacji getta, leczył się psychiatrycznie. Jerzy też był bardzo zdolny. Pewnie żaden z braci nie wyobrażał sobie biernego czekania na koniec wojny.

– Wiem, że nic nie utuli twojego żalu – powiedziała łagodnie Zosia.

– Ale...? – Nina spojrzała na nią oczami pełnymi łez.

– Nie ma żadnego „ale” – odpowiedziała Zosia. – Nie przyszłam, żeby cię pouczać ani przekonywać, że jego śmierć nie poszła na marne. Przyszłam okazać ci szacunek, współczucie, miłość...

Siedziały tak długo i razem milczały, aż w końcu Zosia musiała wyjść, żeby zdążyć dotrzeć do siebie przed godziną policyjną. Witold nie wrócił tego dnia do domu. Zastała go nazajutrz w szpitalu, gdzie półżywy ze zmęczenia asystował przy ciężkiej operacji.

– Idź do domu, Witoldzie – powiedziała surowo. – Pociesz żonę, bo straciła drugiego syna. Jeśli będzie trzeba, zawłokę cię tam siłą!

Witold popatrzył na nią, a potem bez słowa pokiwał głową.



11 kwietnia 1943 roku niemiecka agencja Transocean poinformowała o „odkryciu masowego grobu ze zwłokami trzech tysięcy oficerów polskich” w Katyniu, a dwa dni później informacje te ogłoszono oficjalnie na konferencji prasowej w Berlinie.

– Oni wszyscy nie żyją... – powiedziała cicho Zosia do Stacha, kiedy znów przyjechał do Warszawy.

– A my mieliśmy nadzieję, że Rosjanie po prostu nie pozwalają im pisać z łagrów – westchnął Stanisław.

– Witold od początku twierdził, że nie żyją – przypomniała sobie Zosia.

– Rosjanie jeszcze się nie wypowiedzieli, ale pewnie będą chcieli zrzucić winę na Niemców.

– Przecież to absurd – zdenerwowała się Zosia. – Tu wszyscy pamiętają, ilu wojskowych pojechało na wschód. Od nas ze szpitala było ze trzysta osób. I Witold przecież wrócił. A ten jego znajomy, co z oflagu pisał? Ten, który uciekł z Charkowa i do Brześcia szedł piechotą. Tacy jak on na pewno potwierdzą.

Zaczęła płakać, kiedy przypomniała sobie kolegów, których tak lubiła, a którzy zginęli: Antoniego Szwojnickiego, Jana Garbowskiego, Stefana Mozołowskiego^[179], wspaniałego doktora Brzoskę i wielu, wielu innych.

Stach objął ją mocno.

– Straszne nieszczęście i polityczna mogiła – stwierdził. Nie dodał, że zaczyna wątpić w to, że wojna dla Polski skończy się pomyślnie.

30 czerwca 1943 roku Niemcy zadali Armii Krajowej potężny cios. Generał Stefan „Grot” Rowecki został aresztowany na podstawie donosu konfidenta. Hiobowa wieść lotem błyskawicy obiegła całą Warszawę.

– Na pewno go odbiją – powiedziała Zosia Witoldowi, który jeszcze nie zdążył opłakać syna i otrząsnąć się z szoku wywołanego wieścią o pomordowanych oficerach, kiedy przyszło kolejne nieszczęście.

– Nie sądzę. Generał jest najpilniej strzeżonym więźniem w całej Rzeszy – powiedział gorzko. – Ponoć Polacy omawiają okoliczności jego zatrzymania.

Zosia nie zdziwiła się zatem, kiedy w Szpitalu Ujazdowskim na oddziale zakaźnym ponownie zobaczyła Stefana Maciąga ubranego w kitel lekarski. Do myślenia dała jej obecność Lody Halamy, która zapewne dla odwrócenia uwagi zachowywała się bardzo głośno, kręciła się po całym obiekcie i zagadywała przebywających tam Niemców, zapraszając ich na swoje występy do lokalu rozrywkowego Flips przy ulicy Kruczej. Jej mąż, szwajcarski handlowiec George Golembiowski^[180], także ostatnimi czasy przebywał na terenie szpitala, niby to jako towarzysz żony. Według Zosi był nikim innym jak agentem Armii Krajowej i zapewne miał wiele do powiedzenia, jeśli nie o aresztowaniu Grota, to na pewno o miejscu, w którym generał przebywał.

– Odbiją go? – spytała bez zbędnych wstępów, kiedy późnym wieczorem, już po godzinie policyjnej, pomagała zainstalować inżyniera w jednym z pokoi przeznaczonych dla dyżurujących lekarzy.

Pokręcił przecząco głową.

– Dlaczego? – spytała. – Im szybciej, tym lepiej.

– Niemcy doskonale wiedzieli, po kogo idą – odpowiedział, oglądając się na boki.

– Nikt nas tu nie słyszy – powiedziała, ale inżynier swoim zwyczajem zaprotestował.

– Wszędzie nas słyszą, pani doktor – odparł. – Pytanie tylko, kto nas słyszy i co zrobi z tym, czego się dowie.

Po czym wskazał palcem na kratkę wentylacyjną. Pokręciła przecząco głową.

– Ujście jest kilometr dalej, w kominie. Tutaj kratki nie wychodzą nad ziemię jak w innych budynkach. Nie ma też możliwości, żeby ktoś tu pana znalazł. W szpitalu jest teraz co najmniej trzydziestu dyżurujących lekarzy. Szansa, że Niemcy wpadną i zażądają od pana, żeby przeprowadził pan operację, jest znikoma.

– Ktoś mnie śledzi – powiedział. – Kilka dni temu weszli do domu mojego brata. Było za późno na ucieczkę. Wszedłem do tapczanu. Udało się.

– Ma pan tu zostać przez kilka dni. Aż koledzy nie znajdą czegoś dla pana. Wiadomo, co się dzieje z Grotem? – spytała.

– Następnego dnia wywieziono go do Berlina – odpowiedział. – A stamtąd do Sachsenhausen.

– To co teraz?

– Należy znaleźć agentów SS w naszych szeregach, a następnie ich wyeliminować – odpowiedział.

Kolejne dni przyniosły jeszcze dwie tragiczne wiadomości. 4 lipca nad Gibraltarem w katastrofie samolotu zginął Wódz Naczelny Polskich Sił Zbrojnych i premier rządu na uchodźstwie generał Władysław Sikorski.

A 13 lipca w niejasnych okolicznościach, ponoć podczas rabunku, zastrzelono George'a Golembiowskiego, męża Lody Halamy.

Najgorsze jednak miało jeszcze nadejść.



– Mnie zabrali z łapanki – mówiła wysoka dziewczyna, skubiąc wstążki przy warkoczach. – Myślałam, że pójdziemy pod mur, ale zawieźli nas na Pawiak i zwolnili po dwóch dniach. Tam ją spotkałam. Panią doktor. Była najpierw w Łowiczu. Kazała mi przyjść tutaj.

Dziewczyna podniosła na Zosię i profesora niewinne niebieskie oczy. Była ładna, na jej twarzy nie było najmniejszych śladów obecności na Pawiaku. Zosia uśmiechnęła się blado. Dziewczyna mogła być kapusiem. Było prawdopodobne, że po jej wyjściu wpadnie gestapo, wywlecze ich ze szpitala i natychmiast rozstrzela. Mimo to musieli zaryzykować i dowiedzieć się, co stało się z Marią.

– Co przekazała? – przerwał ciężkie milczenie Witold Zawadowski.

– Aresztowano ją, kiedy składała kwiaty na grobie pańskiego syna – powiedziała dziewczyna. – Mówiła, że głupio wpadła. Wygadałaby się, bo znała niemiecki, ale w plecaku znaleźli sznurek, drut i resztki kwiatów.

„Maria mówi po niemiecku, rosyjsku, angielsku i francusku. Oby to jej pomogło”, pomyślała Zosia.

– Dobrze ją tam traktują? – zapytał docent Zawadowski.

Dziewczyna spojrzała z politowaniem.

– To Pawiak – powiedziała cicho, po czym obejrzała się za siebie i dodała: – Czasem Niemcy nie wiedzą, kogo tak naprawdę złapali, i udaje się taką osobę wykupić. Trzeba zebrać pieniądze i dotrzeć, do kogo trzeba – powiedziała dziewczyna.

– Tak zrobimy – powiedziała Zosia, gotowa biec na Kercelak po perfumy, koniak, jedwabie, cokolwiek, co mogło w tej sytuacji pomóc. –

Może spróbujemy z tymi, którzy panią wypuścili?

Witold zakręcił się niespokojnie, ale dziewczyna pokiwała głową.

– Pracuję w kawiarni Czarny Kot przy Marszałkowskiej – powiedziała. – Proszę pytać o Krysię. Mnóstwo Niemców tam przychodzi. Powiem, do kogo trzeba się udać.

Zosia i Witold spojrzeli na siebie. Dziewczyna skierowała się do wyjścia, ale jeszcze się obejrzała i powiedziała:

– Ja wiem, jak to jest, ale... można mi zaufać. Doktor Werkenthin poznałam na tajnych kompletach. Kiedy skończy się to piekło, tak jak ona zostanę radiologiem.



Siedzieli stłoczeni w dawnej pracowni rentgenowskiej. Zosia patrzyła ze współczuciem na Witolda Zawadowskiego. O Marii wciąż nie było żadnych wieści.

– Byłam pewna, że mnie zastrzelą – opowiadała doktor Janina Misiewicz^[181], która po uwolnieniu z Pawiaka od razu skierowała się do Szpitala Ujazdowskiego, bo nie miała odwagi pójść do „siebie”. Bała się, że jest śledzona.

W lutym czterdziestego czwartego roku do gestapo dotarła informacja, że w Szpitalu Wolskim udzielono pomocy ciężko rannemu podporucznikowi Bronisławowi Pietraszewiczowi^[182] – dowódcy akcji przeciwko Niemcom i pierwszemu, który strzelił do kata Warszawy, SS-Brigadeführera Franza Kutschery^[183]. Polowanie na Kutschere odbyło się w Alejach Ujazdowskich, przy skrzyżowaniu z ulicą Piusa XI, więc praktycznie przed szpitalem. Do przyjęcia ewentualnych rannych przygotowano jednak nie tę placówkę, a Szpital Maltański, który mieścił się przy Senatorskiej. Dyżurny lekarz zaraz po akcji opatrzył tylko lżej rannych, nie zgodził się na operację „Lota” ani „Cichego”, drugiego z ciężko rannych. Zawieziono ich do Szpitala Praskiego. Kiedy „Lot” był operowany, Niemcy już tam czekali.

Podziemie nie pozostawiało jednak swoich na pastwę okupanta. Unieszkodliwiono granatowych policjantów pilnujących chorych, odbito zarówno „Lota”, jak i „Cichego” i zaczęto poszukiwanie szpitala, który zgodziłby się przyjąć dwóch ciężko rannych mężczyzn. Dwukrotnie „Lot” miał trafić do Ujazdowa i dwukrotnie, z ciężkim sercem, komendant odmówił pomocy. „Niemcy tylko na to czekają”, tłumaczył Zosi Witold Zawadowski, jakby sama tego nie wiedziała, i dodał, że zrównaliby szpital z ziemią, a wszystkich pracowników wywieźli do obozów. Trzeba było wybrać mniejsze zło. Jak zwykle Zosia czuła ogromny gniew, zwłaszcza kiedy Niemcy w odwecie za zabicie ich generała rozstrzeliwali codziennie setki osób: z Pawiaka, z łapanek, a nawet wyciąganych z własnych domów. Pierwsze zbiorowe egzekucje wykonano przy ścianie budynku, w którym mieszkał generał Franz Kutschera, w alei Róż. Zosia widziała to z okien własnego domu i długo płakała z żalu za ludźmi, którzy padali pokotem, jedni na trupach drugich. Potem płakała już z czystej nienawiści, kiedy Niemcy szlauchem myli spływającą ulicą krew, a ta płynęła w dół Alejami Ujazdowskimi, po szynach tramwajowych. Dopiero po aresztowaniu Janiny dowiedziała się, że rannego przyjął Szpital Wolski. Chłopaka położono na oddziale gruźliczym, jakżeby inaczej. Był już w bardzo ciężkim stanie i mimo dwukrotnej transfuzji wkrótce zmarł. Pochowano go pod własnym nazwiskiem, ale jako przyczynę zgonu podano gruźlicę żołądka. To był błąd.

– Musieli dostać od kogoś cynk – powiedziała Zosia i w duchu cieszyła się, że przynajmniej Janinę udało się uwolnić z Pawiaka dzięki łapówce.

Janina pokręciła głową.

– Nie – powiedziała. – Wyobraźcie sobie, że sprawdzili wszystkie zakłady pogrzebowe w Warszawie. Znaleźli wpis o chłopaku, ekshumowali, zobaczyli dziurę po kuli w żołądku i przyszli po mnie i moich dwóch asystentów. Aresztowali też tego biedaka z zakładu pogrzebowego.

– Cieszymy się, że jesteś z nami – wyszeptała Zosia, która przypominała sobie koszmar więzienia, strach, że umrze i już nigdy nie zobaczy swoich

dzieci, przerażenie, które ścisnęło jej gardło, kiedy słyszała krzyki torturowanych.

– Dyrektor Piasecki^[184] się w to wszystko zaangażował – powiedziała Janina.

– Całe szczęście, że wzięli pieniądze i cię wypuścili – powiedział Witold Zawadowski, a na jego twarzy odmalował się smutek.

Bezskutecznie starali się wykupić Marię. Nawet żona Witolda, Nina, zaangażowała się w zbiórkę. Przez tę dziewczynę, Krysię, dotarli do wysokiej rangi gestapowca i przekazali mu pieniądze. Wydawało się, że to załatwi sprawę, przecież Niemcy złapali Marię na niewielkim przewinieniu. Nic to jednak nie dało. Pieniądze przepadły, a Maria pozostała w więzieniu.

– Jak wam się udało przekazać łapówkę? – spytała koleżankę Zosia.

Ostatnimi czasy coraz częściej słyszało się, że Niemcy nie uwalniają więźniów, chociaż przyjmują pieniądze i kosztowności.

– Dotarliśmy, do kogo trzeba, przez pacjentkę Piaseckiego, kochankę jakiegoś bardzo wpływowego gestapowca. To była pewna osoba i rzeczywiście nam pomogła. Ale kosztowało nas to bardzo dużo. Kilkaset tysięcy złotych – powiedziała cicho Janina. – Nigdy się nie odwdzięczę tym, którzy dołożyli się do tej kwoty.

– Daj spokój. – Zosia uścisnęła ją za ramię.

– Wiadomo coś o Marii? – spytała jeszcze Janina.

Zosia i Zawadowski pokręcili smutno głowami.

– Ponoć jest w obozie, ale to nie jest potwierdzona wiadomość – powiedziała Zosia.



Maria czekała na swoją kolejkę. Podróż była koszmarem: ludzie stali śtłoczeni w bydłowych wagonach, robili pod siebie, umierali na stojąco. Ale to, co nastąpiło potem, było jeszcze gorsze. Maria zorientowała się

natychmiast, że w „fabryce”, która powitała ich napisem *Arbeit macht frei* produkuje się tylko śmierć. Niektórzy prosto z rampy poszli do gazu. Żadne obietnice pryszniców czy kąpielii nie były w stanie przekonać Marii, że komukolwiek ze zgromadzonych tutaj Niemców leży na sercu dobro więźniów. Ale nie miała jak walczyć. Ani o co. Ogolono jej włosy, zabrano ubranie i bagaż, a następnie zarejestrowano jako Wiktorię Werkenthin, bo tak brzmiało jej pierwsze imię, którego dawniej nie lubiła, a które teraz postanowiła nosić z dumą.

Już w pierwszych dniach obozowej rzeczywistości zgłosiła się do pracy w ambulatorium.

– Jestem lekarką – powiedziała do wysokiej, wychudzonej dziewczyny, która musiała przybyć do obozu niedawno, ponieważ tak jak ona miała świeżo ogoloną głowę.

– Jakiej specjalności? – spytała tamta, po czym szybko dodała: – To i tak wszystko jedno. Nie mamy leków, mrzemy tu jak muchy. Cokolwiek potrafisz, na nic się nie przyda.

Maria wpatrywała się w zimne, obojętne oczy tamtej.

– Mogę robić cokolwiek – powiedziała. – Nawet sprzątać. Z czasem okaże się, czy jestem przydatna.

Tamta pokiwała głową.

– Chyba że znasz się na radiologii – powiedziała nieoczekiwanie.

Maria już miała potwierdzić, że jest radiologiem, i to diabelnie dobrym, kiedy lekarka dodała:

– Prowadzą tu badania nad sterylizacją przy pomocy promieniowania rentgenowskiego. – Słowo „badania” wymówiła z pogardą.

Maria słyszała o takich zbrodniczych eksperymentach, podobno zaczęto je prowadzić, jeszcze zanim wybuchła wojna. Nie wierzyła, że którykolwiek lekarz, który składał przysięgę Hippokratesa, może prowadzić takie eksperymenty na upośledzonych, Cygankach i Żydówkach. Podzieliła się swoją opinią z obozową lekarką.

– Zobaczysz tu rzeczy, o jakich ci się nie śniło – powiedziała tamta krótko.

W ambulatorium zwykle nie było wody, brakowało leków i środków opatrunkowych. Maria miała do dyspozycji prymitywne narzędzia, z których nożyczki były jednym z nielicznych przydatnych do czegokolwiek. Mimo to wykonywała swoją pracę najlepiej, jak mogła, starając się nie poddawać, nie okazywać, jak bardzo się boi, jak głęboką odrazę wzbudza w niej okrucieństwo Niemców. Próbowwała nie czuć pogardy do prymitywnych kapo, które jednym słowem skazywały dziesiątki osób na śmierć. Nie okazywała braku szacunku niemieckim lekarzom, którzy traktowali ludzi niczym króliki doświadczalne. Na początku swojego pobytu w obozie nawet nie przyznała się, że mówi po niemiecku. Zrobiła to dopiero wtedy, kiedy zorientowała się, że świadectwa zdrowia, które wystawiała więźniarkom, miały ogromne znaczenie i pozwalały uratować życie dziesiątkom więźniów, poszukującym w szpitalu chociaż kilku dni wytchnienia od pracy ponad ludzkie siły.

– Jak wpadłaś? – pytała Marię jedna z kobiet z baraku. – Mnie aresztowano za tajne komplety i ukrywanie harcerzy w szpitalu.

– U nas w szpitalu opiekowaliśmy się rannymi żołnierzami AK – odpowiedziała jej Maria, a w jej głosie nie było chępliwości. – Ukrywaliśmy „spalonych” konspiratorów, organizowaliśmy tajne odprawy Okręgu Warszawskiego, ba, nawet delegatury rządu. Stawiałam fałszywe rozpoznania więźniom Pawiaka, dzięki czemu zwalniano ich z więzienia albo byli przewożeni do szpitala miejskiego, gdzie dla Niemców zamienialiśmy ich w trupy... I nigdy nie wpadłam. Tylko raz straciłam czujność i... aresztowano mnie.

Wróciła wspomnieniami do chwili, kiedy postanowiła, że złoży hołd synowi Witolda, żeby on wiedział, jaki jest dla niej ważny, żeby czuł, że kiedy stracił synów, ona, Maria, jest z nim. Czemu jej nie wykupił? To pytanie było jak żółć, która podchodziła jej z głodu do gardła.

– Nie zadręczaj się – powiedziała tamta, jakby słysząc jej myśli. – Nikt nie może nam pomóc.

Jak prawdziwe to były słowa, przekonywała się dzień po dniu, kiedy chorzy umierali na gruźlicę, straszną pęcherzycę, w wyniku wielodniowych biegunek, z wycieńczenia, głodu, a przede wszystkim na tyfus. Tych, którzy odchodzili sami, grzebano w wielkich dołach razem z masowo zagazowywanymi.

– My też tam trafimy – powiedziała do Zofii Kossak-Szczuckiej^[185], a ta objęła ją mocno, pogłaskała po łysej głowie, na której kwitły liszaje, i powiedziała:

– Trzeba wierzyć, Marysiu. Trzeba wierzyć, że Bóg nas nie opuści.

Kilka tygodni wcześniej w tym samym obozie zginął syn Zofii Kossak, Tadeusz^[186]. Zofia zmówiła wtedy krótką modlitwę, a potem przysłała do ambulatorium, gdzie akurat leżało kilkanaście kobiet cierpiących na gwałtowną biegunkę.

– Idźcie – powiedziała do Marii i jeszcze dwóch lekarek. – Ponoć w baraku czternastym dwie Rosjanki rodzą jednocześnie. Trzeba im pomóc. Ja się tu wszystkim zajmę.

Po kilku godzinach Maria wróciła do ambulatorium. Gdyby miała cyjanek albo siłę, żeby rzucić się na druty, na pewno skończyłaby ze sobą. Kiedy bowiem wycieńczona do cna odebrała ciężki poród bliźniąt przy pomocy akuszerki, kapo wzięła od niej noworodki i udusiła je własnymi rękoma, najpierw jedno, potem drugie.

– Tak lepiej dla tych dzieci – orzekła spokojnie Zofia, po czym wróciła do sprząwania fekaliów i pojenia gorączkujących kobiet, dziękując głośno Bogu, że wyjątkowo w ambulatorium jest dostatek wody. – Pomódlmy się za nie.

Maria nie miała tej wiary co Zofia i nawet nie usiłowała jej w sobie znaleźć. Kiedy pisarka zachorowała na tyfus, koleżanki ukryły ją w baraku, bo w szpitalu Niemcy zabijali chorych. Jedną nogą na tamtym świecie, powierzała swoje życie Bogu i prosiła go o łaskę i zmiłowanie. Cały czas powtarzała, że jeśli ma przeżyć, to tylko po to, żeby pomóc innym i tchnąć w nich resztki wiary. Maria przemykała się do baraku sanitarnego, żeby zrobić jej dożylnie zastrzyk z glukozy.

– Te modlitwy Zosi działają, bo zawsze znajduje się dla niej glukoza – mówiła potem Sewerynie Szmaglewskiej^[187], młodziutkiej, ślicznej dziewczynie, która wydawała się wykuta ze spizu, bo nie imaly się jej prawie żadne choroby, miała bardzo dużo siły i pierwsza się rwała do pomocy przy chorych.

– Bo trzeba wierzyć – odpowiadała jej Seweryna, po czym tylko sobie znanymi sposobami namawiała mężczyzn, żeby kradli Niemcom środki opatrunkowe oraz lekarstwa i przekazywali je do ambulatorium żeńskiego.

Pierwsza Gwiazdka, którą przeżyła w obozie, była tak straszna, że Maria pomyślała, że nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie śpiewał kolęd. Myliła się. Seweryna zaintonowała *Lulajże, Jezuniu*, po chwili śpiewały już wszystkie więźniarki. Zofia Kossak opowiadała im do późnej nocy zabawne historyjki o swoim stryju Wojciechu^[188], znanym malarzu, i siostrach stryjecznych: Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej^[189] oraz Magdalenie Samozwaniec^[190]. Maria próbowała opowiedzieć im o Lodzie Halamie, która uratowała westerplaczyków, o Janie Wedlu, który przekupywał Niemców czekoladą, o swoich koleżankach, które działały w konspiracji, ale żadne słowo nie przeszło jej przez gardło, kiedy patrzyła na stos trupów, których z powodu świąt nie wyniesiono z baraku. Ze wszystkich osób przywiezionych jednym transportem z Marią pozostało zaledwie kilkanaście. Początkowo liczyła zmarłych, ale przestała, kiedy w ciągu kilku dni naliczyła czterysta trupów.



Zaraziła się tyfusem z głodu i braku higieny, ale wydawało się, że przechodzi chorobę stosunkowo łagodnie. Była przecież szczepiona. Koleżanki opiekowały się nią, podobnie jak ona z oddaniem zajmowała się wcześniej innymi chorymi. Słyszała, jak mówiły, że gorączka jest niewysoka, że Maria jest silna i przetrzyma ten trudny czas. Ona jednak czuła, że siły ją opuszczają.

– Marysiu, musisz jeść – prosiła Alina Przerwa-Tetmajer^[191].

Alina była najsilniejszą osobą, jaką Maria spotkała w całym swoim życiu. Znały się jeszcze ze Szpitala Wolskiego, spotykały się prywatnie. Maria była pełna podziwu dla jej zdolności jako operatorki. Mało było tak zdolnych chirurgów, nawet wśród mężczyzn, tak oddanych dzieciom i swojej pracy. Była jedną z pierwszych osób, które Maria spotkała w Oświęcimiu. Alina urządziła wtedy przyjęcie na jej cześć, na którym podała kawałki chleba rozmoczonego w zdobytym gdzieś z narażeniem życia soku malinowym. Tak jak Maria natychmiast po przybyciu do obozu zgłosiła się do pracy w ambulatorium. Zawsze mówiła, że lepsze to niż stać po szyję w wodzie albo od razu trafić do krematorium. Gotowa była oddać ostatnią skórkę chleba głodniejszemu. Ludzie wiedzieli, że jest najbardziej sprawiedliwą osobą na świecie i nierzadko wzywali ją, zanim umarli. Alina wracała potem do ambulatorium, spokojnie kładła na stole paczkę albo kawałek chleba i mówiła, kto w ostatniej godzinie życia oddał te dobra potrzebującym. Modliły się razem za duszę zmarłej – Maria także, chociaż nie była religijna. Któregoś dnia Alina przyniosła parę okularów i uniosła je z triumfem.

– Patrzcie – powiedziała. – Oddała mi je Joasia Kunicka^[192], zanim umarła. Bardzo dobre okulary.

Maria nie miała nic przeciwko temu, aby wyzionąć ducha na zapluskwionym materacu, przestać czuć ciało, które pachniało zgnilizną, unieść się i pójść dokądś, gdzie są spokój, ciepło i jasność. „Jeśli Bóg istnieje, to nas opuścił”, powtarzała, kiedy głęboko wierzących Zofii Kossak-Szczuckiej i Aliny Przerwy-Tetmajer nie było w pobliżu, a potem zwracała oczy ku niebu i mówiła półgłosem:

– Dobrze, zabierz mnie, ukarż mnie, ja już nie chcę...

Wtedy zaraziła się tyfusem.

– Nie chcę żyć – majaczyła w gorączce, a jej ciałem, oprócz dreszczy, wstrząsał lęk.

Przychodziły do niej różne postaci, z przeszłości i nieznanne istoty, które wyśmiewały ją i odbierały resztki nadziei. Nie umiała ich odegnąć. Miała

zdrętwiałe ręce i nogi. Gdyby nie to, skończyłaby nędzną egzystencję na drutach kolczastych, porażona prądem. Żałowała, że zdradziła się z zamiarem odebrania sobie życia. „Po co im mówiłaś?”, karciła się raz za razem. „Zachowują się tak jakby śmierć wcale nie czaiła się za rogiem. Jakby nie można było umrzeć już teraz, na swoich warunkach”.

– Wyjdiesz z tego, Mario. Nie poddawaj się – prosiła Halina Skonieczna^[193], pisarka z bloku 24, do którego koleżanki przeniosły Marię, żeby mieć na nią oko.

Kiwała głową, ale już się poddała. Nie powiedziała im, że wróciła jej władza w nogach. Nie powiedziała, bo miała plan. Kiedy koleżanki poszły na wieczorny obchód, wstała i wybiegła z bloku w kierunku rowu i ogrodzenia obozowego. Alina Przerwa-Tetmajer, tknięta jakimś dziwnym przecuciem, odłączyła się od pozostałych i wyszła przed barak. Widok Marii biegnącej na druty sparaliżował ją jedynie na chwilę.

– Nie strzelać! – krzyczała po niemiecku. – Nie strzelać! Ona jest chora! Nie strzelać!

Żołnierz, który pełnił służbę na wieżyczce, nie słuchał żadnych próśb. Skupił się na tym, aby dobrze wycelować. Wszystkie cztery strzały, które oddał w kierunku uciekającej w jego mniemaniu więźniarki, były celne. Wprawdzie Maria zdążyła dobiec do ogrodzenia i ucześć się go palcami, ale zaraz wyzionęła ducha z podziurawioną piersią.

Alexander Fleming

1881–1955

Alexander zamyślił się. Ostatnią rzeczą, jakiej oczekiwał, był spadek. Wuj, którego ledwo znał, zapisał mu w testamencie sporą sumę pieniędzy. Czemu pominął innych, bliższych mu przecież krewnych? Alexander mógł tylko zgadywać. Być może wpływ na to miały nieliczne wizyty u wujostwa w malowniczym szkockim miasteczku oddalonym o kilka godzin drogi od jego rodzinnego miasta Lochfield. Podczas pobytu tam czytał ciotce ulubione wiersze i dyskutował o licznych gatunkach róż, które hodowała w ogrodzie, a z wujem toczył gorące dysputy dotyczące przyszłości Szkocji.

– Rozmowy o różach i poezji Johna Keatsa musiały wyrzeć na starej Edith wielkie wrażenie – powiedziała jego matka, kiedy adwokat ciotki zawiadomił Alexandra o postanowieniach zawartych w testamencie.

– Przecież to wuj zostawił mi pieniądze – przypomniał jej Alexander.

Matka uśmiechnęła się.

– Wierz mi – powiedziała. – John nie robił nic, czego nie chciała Edith.

Ciotka zmarła niecały rok wcześniej i pozostawiła wuja w nieutulonym żalu. Matka mówiła wtedy Alexandrowi i jego braciom, że stary John nie przeżyje bez żony nawet roku. Jak pokazała przyszłość, nie pomyliła się.

– Najwyraźniej. – Tom, brat Alexandra, uśmiechnął się i dodał: – Co zrobisz z pieniędzmi? Myślę, że powinieneś zainwestować w jakiś niewielki interes. A jeszcze lepiej – ożenić się.

Alexander się skrzywił. Jego brat uważał, że dla mężczyzny nie ma nic bardziej interesującego od poślubienia którejś z dalszych, ale dobrze

urodzonych kuzynek i płodzenia liczego potomstwa, aby później wysłać je do szkół z internatem.

– Sądzę, że na ożenek ma jeszcze czas – wtrąciła szybko matka.

– A ja uważam, że powinienem sam zdecydować – powiedział przekornie Alexander.

Tom poklepał go po plecach.

– Oczywiście, mój bracie, postąpisz tak, jak uznasz za stosowne. Gdybyś potrzebował rady, zawsze możesz na mnie liczyć.

– Gorąco namawiam cię do podjęcia studiów medycznych – oznajmiła matka.

Alexander był tak zaskoczony, że rozdziawił usta. To nie przyszło mu do głowy. Ukończył studia inżynierskie w Królewskim Instytucie Politechnicznym w Londynie i od prawie czterech lat pracował w biurze armatorskim.

– Jestem inżynierem – przypomniał matce.

– Mama ma rację – dodał ze wstydem w głosie Tom. – Nie pomyślałem o tym. Powinieneś pomyśleć o ukończeniu studiów.

– Ależ ja ukończyłem studia! – wykrzyknął. – Jestem inżynierem i mam dobrą pracę!

– Nie wydaje mi się, aby to była właściwa dla ciebie droga życiowa – powiedział Tom z pewnością w głosie. – Tak jak mama uważam, że będziesz lepszym lekarzem niż ja.

– Sam nie wiem... – bąknął Alexander, niepewnie patrząc na matkę i brata.

Matka ujęła jego dłoń.

– Sądzę, że powinieneś studiować medycynę – powiedziała. – Spadek to dar niebios. Wykorzystaj te pieniądze, Alexandrze.

– Tomie – zwrócił się do brata. – Już nie chcesz, żebym się zenił?

Brat rozłożył ręce.

– Z tego, co widzę, praca pochłania cię na tyle, że nie chadzasz na bale i herbatki i nie chcesz bliżej poznawać córek zacnych obywateli Szkocji.

Alexander zacisnął zęby. Był tak nieśmiały, że myśl o rozmowie z kobietą napełniała go lękiem. Żona Toma kilkakrotnie chciała go zeswatać z którąś ze swoich kuzynek. Organizowała gry towarzyskie, czytanie poezji, a nawet tańce, ale dała spokój, kiedy zobaczyła, że Alexander wprawdzie chętnie dyskutuje o wierszach, ale nic ponadto.

– Pan Collins będzie niepokieszony – powiedział.

Tom westchnął.

– Alexandrze, marzyłeś o szlachetnej profesji lekarza, ale nie mogłeś studiować, bo nasze finanse nie pozwalały na dwóch studentów medycyny w jednym domu. Teraz, kiedy nadarza się okazja, ty się martwisz, co twój przełożony powie na to, że będzie musiał zatrudnić innego inżyniera.

– Bo jestem człowiekiem odpowiedzialnym. – Alexander popatrzył na matkę, a ona uśmiechnęła się ciepło. – I zastanawiam się, czy warto zaczynać tak od zera.

– Zawsze warto – powiedział Tom z przekonaniem. – Kto wie, czy nie przysłużysz się ludzkości. A wtedy i mnie zapamiętają jako tego, który zachęcał cię do ukończenia medycyny.

– Raczej cała zasługa zostanie przypisana wujowi Johnowi – rzucił Alexander ze złościwością w głosie.

– Dobry pocziwy wuj John – powiedziała matka i uśmiechnęła się ciepło. – Niech mu ziemia lekką będzie.



– Przywieziono kolejnych rannych, doktorze Fleming. – Do Alexandra podeszła młoda pielęgniarka, Jane. – Gdzie ich położyć?

– Mój Boże – westchnął zmartwiony John. – Mamy pełny szpital. Musimy ich odesłać.

Ledwie trzymał się na nogach. Pracował prawie dwie doby bez wytchnienia i snu i czuł, że za chwilę zemdleje.

– Niech pan odpocznie, doktorze – powiedziała Jane z przestraczem.

Natychmiast przywołał się do porządku. Ogarnął go wstyd. Jane i inne pielęgniarki także pracowały bez odpoczynku. Opatrywały chorych, obmywały rany, asystowały chirurgom przy zabiegach, a w rzadkich chwilach wytchnienia pisały w imieniu rannych żołnierzy listy do domów.

– Wszystko ze mną dobrze, sostro Jane. – Uśmiechnął się do niej. – Cholerna wojna – rzucił. – Proszę mi wybaczyć te słowa przy damie.

Jane uśmiechnęła się.

– Nie mam czego wybaczać. Cholerna wojna.

– Nowy transport rannych – dobiegł ich głos z końca korytarza.

– Doktorze McGrade! – zawołała Jane na widok chirurga wyłaniającego się z pokoju lekarskiego.

McGrade podszedł do nich. Zaraz dołączył inny chirurg, Irlandczyk Welles. Dwie godziny temu Alexander widział, jak opuszczają stanowiska operacyjne po kilkunastu godzinach nieprzerwanych zabiegów i idą odpocząć. Nowy transport rannych sprawił, że musieli znów stawić się do pracy.

– Powinniśmy odesłać większość rannych – zwrócił się do doktora McGrade'a. – Nie jesteśmy w stanie ich odizolować.

Czekał, aż McGrade zaprotestuje, ale ten spojrzał na niego i kiwnął głową.

– W dwóch największych salach chorzy gorączkują – powiedział. – Nie możemy tam nikogo położyć.

Jane zwróciła się do Alexandra Fleminga.

– Kazał pan przenieść zdrowych, ale nie mamy już miejsca. Przesunęłam ich łóżka na jeden koniec sali i postawiłam parawan.

– Chwilowo to musi wystarczyć – dodał Welles.

Alexander wiedział, że nie na wiele się to zda. Pacjenci, którzy nie mają temperatury, powinni zostać przeniesieni do osobnego namiotu, inaczej i oni zachorują. „Cóż z tego, że operujemy rannych żołnierzy, skoro potem i tak umierają na skutek gorączki”, pomyślał znękany.

– Siostró Jane – zwrócił się do pielęgniarki. – Mieliśmy otrzymać pomoc w postawieniu kolejnego namiotu.

Kobieta bezradnie rozłożyła ręce.

– Najwcześniej w przyszłym miesiącu. Tak mi powiedziano.

Alexander zastanowił się. Koło nich przemknęło kilkunastu żołnierzy z noszami.

– Gdzie kłaść rannych? – spytał młody żołnierz o poszarzałej ze zmęczenia twarzy.

McGrade i Welles spojrzeli wyczekująco na Alexandra. Ten skinął na siostrę Jane.

– Niech pani zawoła wszystkie pielęgniarki, które nie wykonują teraz poważnych zabiegów. Przeprowadzimy od nowa selekcję chorych. – Potem zwrócił się do żołnierza: – Niech pan położy tych ludzi na korytarzu, potem przeniesiemy ich we właściwe miejsca.

Podbiegło do nich pięć pielęgniarek i jeszcze dwóch lekarzy, Cormac i Jameson. Wraz z Wellesem i McGrade'em stanęli z boku.

– Przyjmujemy tylko dziesięciu najciężej rannych – powiedział Alexander do Jamesona.

– Jeśli odeślemy resztę, umrą w drodze do kolejnego szpitala – zaprotestował lekarz.

– Jeśli położymy ich tu, umrze większość z nich – nie ustępował Fleming.

Jameson chciał coś powiedzieć, ale Phil Cormac wtrącił się do dyskusji.

– Doktor Fleming ma rację – zwrócił się do Jamesona. – Zmarło kolejnych pięciu pacjentów. I to tych leżących na sali, którą uznaliśmy za wolną od gorączki. A przecież operacje się udały.

Philip Jameson, który był najstarszy z nich stopniem w królewskiej armii, zawahał się, a potem skinął głową.

Alexander odetchnął z ulgą.

– Dziękuję, doktorze Jameson – powiedział, po czym zwrócił się do Jane i innych pielęgniarek: – Robimy od początku selekcję.

Kiedy odchodził, słyszał, jak Jameson odsyła żołnierzy z noszami.

– Nie przyjmujemy więcej! Nie możemy operować takiej liczby chorych! Proszę udać się do następnego obiektu medycznego!

Po kolejnych kilku godzinach pracy Fleming wrócił do swojego pokoju, położył się na łóżku i zapadł w głęboki sen, z którego po siedmiu godzinach wyrwała go siostra Jane. Alexander zerwał się na równe nogi.

– Przyszła nowa zmiana dziewcząt – zameldowała. – Przekazałam im pana wytyczne na temat mycia chorych przed operacją i po niej. Będą postępowały według instrukcji. A budzę pana, bo doktor Cormac prosi pana do siebie.

Alexander pokiwał głową i przyglądziwszy włosy, poszedł szybkim krokiem do pokoju Phila Cormaca. Zastał kolegę starannie myjącego ręce w gorącej wodzie.

– Pan mnie wzywał.

– Tak. – Cormac pokiwał głową. – Chciałem poinformować, że chyba pokonaliśmy ropnicę. Zmarło wprawdzie dwóch najciężej gorączkujących, tych, których odizolowaliśmy, ale pozostali, w tym nowi pacjenci, nie mają temperatury. Jeśli nie zabije ich zapach karbolu, przeżyją.

Fleming odetchnął z ulgą.

– Cieszę się – zdołał powiedzieć.

– Selekcja jest tu kluczowa – dodał Cormac. – Słusznie pan zauważył, że gorączka ropna niweczy nasze wysiłki i ranni umierają nawet po udanych zabiegach. Sądziłem, że wystarczy zgodnie z naukami Listera myć wszystko karbolem. Ale miał pan rację. To za mało.

Do pokoju lekarskiego wszedł Jameson. Cormac powtórzył to, co powiedział Flemingowi.

– Miałem wątpliwości, kiedy do szpitala wojskowego przysłano nam doktora ogólnego zamiast kolejnego chirurga – wyznał Cormac. – Ale to dzięki panu możemy mieć nadzieję, że ci chłopcy wrócą do domów.

– Dziękuję. – Fleming uklonił się.

– Może to nie jest najlepszy moment, ale proszę mi powiedzieć: skąd u pana zainteresowanie infekcjami? – spytał Jameson.

Fleming uśmiechnął się.

– Właściwie to był przypadek. Studiowałem w szkole medycznej przy Szpitalu Świętej Marii w Londynie. Byłem szeregowcem, członkiem uczelnianego klubu strzeleckiego. Ponoć świetnie strzelałem, dlatego kapitan chciał mnie zatrzymać w drużynie. Zasugerował, żebym po studiach został i pracował w szpitalu. Tak dołączyłem do zespołu człowieka, który stał się moim mentorem na wiele lat, sir Almrotha Wrighta. Uzyskałem licencjat z bakteriologii. Do tysiąc dziewięćset czternastego roku byłem wykładowcą w Świętej Marii. Kiedy rozpoczęła się wojna, zostałem mianowany porucznikiem, potem kapitanem. Tak jak panowie trafiłem do zachodniej Francji. A kiedy ta cała pożoga się skończy, wracam do Londynu.

– Zatem mamy szczęście – podsumował Jameson.



Lata 1918–1921 nie zapadły głębiej w pamięci Alexandra Fleminga. Gdy został zdemobilizowany, pożegnał się z kolegami, zabrał swój bagaż, poklepał po plecach siostrę Jane, której jasnych oczu nie dostrzegął przez trzy lata, i wrócił do Szpitala Świętej Marii, do profesora Almrotha Wrighta, po czym usiadł przy swoim stanowisku jak gdyby nigdy nic. Kraj dźwigał się z wojny, na kontynencie i na wyspach zapanował nowy porządek. Fleming pozostawił naprawę zrujnowanej gospodarki specjalistom, a sam nie odrywał oczu od mikroskopu. Mógłby opowiedzieć o każdej założonej przez siebie hodowli komórkowej, o niezliczonych

koloniach bakterii, które wyhodował, obejrzał, opisał, a potem sam zniszczył, bo nie udało mu się znaleźć żadnej substancji, która by to zrobiła za niego.

– To było najtrudniejsze w szpitalu wojskowym – opowiadał Wrightowi.
– Patrzyć, jak żołnierze umierają z powodu gorączki.

Wright, który dłużej żył na tym świecie i od wielu lat poszukiwał substancji, która hamowałaby wzrost bakterii w organizmie człowieka, spojrział współczująco na wciąż młodego kolegę.

– Musisz przyjąć założenie, drogi Alexandrze, że takowej substancji nigdy nie uda się wyekstrahować – powiedział ostrożnie.

Alexander oderwał wzrok od okularu.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – odpowiedział krótko. – Musimy znaleźć substancję działającą niczym karbol, ale taką, która będzie niszczyć tylko bakterie, a nie tkanki.

Wright pokiwał głową. Miał za sobą wieloletnie próby rozcieńczenia karbolu w taki sposób, żeby móc bezpiecznie wprowadzić go do ludzkiego organizmu. Niestety – wszystkie zakończyły się niepowodzeniem. Karbolem można było czyścić sale operacyjne, narzędzia chirurgiczne, nawet skórę pacjenta, ale wprowadzony do rany czy przełyku zwierząt laboratoryjnych niszczył ich tkanki i doprowadzał do śmierci. Próby zmieszania karbolu z inną substancją, która zneutralizowałaby jego niszczące żywy organizm właściwości, ale nie pozbawiała mocy oczyszczającej, niestety spełzły na niczym.

– Chodzi mi o to, żebyś dołączył do moich badań – napomniął go łagodnie profesor Wright, a potem zażartował: – Nie możesz odmówić mi racji^[194].

Fleming nie roześmiał się. Patrzył na profesora w skupieniu.

– Z całym szacunkiem – powiedział wolno. – Jest pan znakomitym immunologiem. Nikt w Zjednoczonym Królestwie, ba, nikt na świecie nie wie tyle o zjawiskach odpornościowych co pan, profesorze. Kierunek pana badań jest słuszny. Myśl, by pobudzić układ odpornościowy tak, aby sam

zwalczał infekcję, również jest słuszna. Tyle że to może zadziałać w przypadku nowotworów. Nigdy w przypadku gorączki.

– Tego nie wiesz – zaproponował Wright.

– Wiem – upierał się Fleming. – Dlatego szukam mojej substancji.

– Ale nie zaprzestałeś badań nad odpornością nieswoistą – zauważył profesor.

Fleming pokręcił głową.

– Nie zaprzestałem i nie zaprzestamę. Szukam białka niszczącego bakterie także we wnętrzu organizmów żywych.

– Przed chwilą zaprzeczałeś moim badaniom. – Profesor wpatrywał się w ulubionego asystenta z mieszaniną aprobaty i przygany.

– Nigdy im nie zaprzeczałem. – Fleming wyglądał na urażonego. Zupełnie nie rozumiał, czemu Wright go atakuje.

Obecnie obaj badali białko, które miało właściwości enzymu hydrolitycznego i niszczyło ścianę komórkową niektórych bakterii. Fleming zaobserwował, że owo białko, które roboczo nazwał lizozymem, występuje w ścianach komórek odpowiedzialnych za odporność: granulocytów, monocytów i makrofagów. Te ostatnie „zjadały” komórki bakterii, wnikając do ich wnętrza między innymi za sprawą lizozymu.

– Wystarczy doprowadzić do zwiększonej produkcji lizozymu i granulocyty zrobią swoje – twierdził profesor Wright, ale Fleming uważał, że lizozym może jedynie wspomagać walkę z bakteriami z wnętrza organizmu, bo atakuje tylko nieliczne z nich. Wobec postępującego rozmnażania się bakterii w ranie pooperacyjnej i rozprzestrzeniania się ich na cały organizm granulocyty nie mają żadnych szans, aby samodzielnie zahamować rozwój ropnicy.

Alexander ponownie skierował wzrok na szkiełko, które tkwiło w mikroskopie. Udało mu się wyekstrahować lizozym i wiedział już, że działa on na ścianę bakterii, niszcząc wiązania hydroksylowe, zarówno w warunkach in vivo, jak i in vitro, czyli w organizmie oraz poza nim. Pewien dreszcz emocji poczuł, kiedy stwierdził, że lizozym jest najbardziej

aktywny przy określonej kwasowości organizmu – pH zbliżonym do pięciu. Wtedy jego białko najlepiej i najskuteczniej niszczy ściany bakterii, ale niestety nie wszystkich. Istniała grupa cząsteczek chorobotwórczych, których ściana komórkowa opierała się działaniu lizozymu nawet w warunkach sprzyjających białku. Nie umiał do końca wyjaśnić, dlaczego tak się działo. Czekąło go jeszcze wiele godzin obserwacji.

– Wiesz, że nieznaną dotąd zaraza zbiera żniwo wśród żołnierzy? – Wright zmienił temat.

Fleming pokiwał głową. Czytał o tym w prasie. Początkowo sądził, że mowa o gorączce ropnej, wyjątkowo zjadliwej, która nieopanowana rozprzestrzeniła się w koszarach za oceanem, ale kolejne doniesienia pokazały, że się mylił. To nie była gorączka ropna.

– To grypa – powiedział.

– Owszem, ale nie taka, jaką znamy – odparł Wright. – To dobry przedmiot dla moich studiów nad odpornością.

Fleming oderwał wzrok od okularu, potem odsunął mikroskop. Wright miał zwyczaj przychodzić do niego z jakimś zagadnieniem i zaczynać dyskusję. Alexander lubił te rozmowy. Od lat pozwalały one zarówno jednemu, jak i drugiemu wejść na właściwy tor badawczy.

– Skąd taka teza? – spytał.

Wright zdjął okulary i przetarł je wielką kraciastą chustą.

– Widzę, mój drogi, że przestałeś się interesować ową gripą, która rzekomo zawitała do nas z Hiszpanii, z chwilą kiedy potwierdzono jej wirusową etiologię. Czyżbym się mylił?

Fleming przyznał mu rację.

– Nie sądzę, aby hiszpanka mogła się przyczynić do pańskich badań nad odpornością – powiedział, ale zastanowił się i zaraz dodał: – Z początku myślałem podobnie. Zmutowany wirus grypy, który atakuje osłabionych żołnierzy. To by miało sens, ale...

– Ale – wszedł mu w słowo Wright – grypa zaatakowała żołnierzy w koszarach. Tych, którzy nie byli na froncie. A pierwszym pacjentem był

kucharz.

– I to przekreśla teorie o zaburzeniach odporności jako przyczynie rozprzestrzeniania się choroby – stwierdził Fleming.

– Otóż mylisz się, mój drogi. – Wright zrobił minę, jakby miał najsilniejszą kartę w talii i właśnie zdecydował się grać o najwyższą stawkę. – Choroba już wyszła z koszar i teraz atakuje zwykłych ludzi. Docierają do nas bardzo niepokojące raporty o wysokiej śmiertelności. W ciągu dwóch lat umarły miliony ludzi. A byli w większości młodzi.

Fleming zastanowił się. Odkąd zajął się pracą nad wynalezieniem substancji niszczącej bakterie, nie rozpraszał swojej uwagi. Profesor położył przed nim dwa artykuły. Jeden z „British Medical Journal”, drugi z „The Lancet”. Fleming zawstydział się, ponieważ nie znał ani jednego, ani drugiego.

– Dostałem je dopiero dziś – pocieszył go Wright, który dostrzegł konsternację ulubionego asystenta. – A w kolejnym numerze ukaże się moja analiza rozprzestrzeniania się choroby i przyczyn, dla których chorują w większości młodzi albo bardzo młodzi ludzie.

Fleming sięgnął po „The Lancet” i zaczął czytać artykuł. Profesor położył mu na biurku rękopis swojej pracy.

– Oderwij się na chwilę od lizozymu i przewietrz trochę mózg – zażartował.

Fleming natychmiast wykonał polecenie. Wziął notatnik i zaczął czytać artykuł Wrighta, robiąc szybkie notatki.

– Wiem, że nazywają mnie „profesorem Almost Wright”^[195] – powiedział, kiedy opuszczał pracownię Fleminga. – Nie przeszkadza mi to, dopóki moi asystenci rozumieją, co chcę osiągnąć.

Fleming podniósł wzrok. Niektórzy nazywali Wrighta „profesorem Always Wrong”^[196], ale o tym mężczyzna nie wiedział.



Fleming powiódł wzrokiem po zagraconym laboratorium i skrzywił się.

– Tak nie może być – mruknął do siebie.

Podszedł do największego ze stołów, na którym piętrzyły się szalki z hodowlami bakterii. Obok stały słoiki – znajdowały się w nich substancje, które miały niszczyć bakterie.

– Stubbins! – zawołał asystenta, a kiedy ten stanął w progu, wskazał mu brudny stół. – Pomóż mi sprzątać!

Asystent podszedł do stołu.

– Ja się tym zajmę, doktorze – powiedział ze wstydem, zgarniając pierwsze z brzegu szalki.

– Ostrożnie, ostrożnie – upomniął go Fleming. – Proszę uważać. To są kultury bakterii, a pan może się nimi zarazić.

Stubbins zerknął na prawą rękę. Wczoraj w domu podczas oprawiania mięsa zranił się nożem i teraz miał na palcu niewielki, powierzchownie zagojony ślad. Fleming także spojrzął na rękę Stubbinsa i z trudem stłumił irytację.

– Niech pan idzie – odesłał go. – Nie może pan dotykać hodowli z raną na ręce.

– Przemycję ją karbolem i spirytusem – zaproponował młody człowiek. – Albo lizozymem.

Fleming westchnął z rezygnacją. Już osiem lat temu udało mu się wyekstrahować lizozym, substancję obecną między innymi w ludzkich łzach oraz białku jaja kurzego. Substancję, która niszczyła ściany niektórych bakterii. Dostał za swoją pracę liczne nagrody. Zatrudniono go nawet jako wykładowcę w Royal College of Surgeons, gdzie rzecz jasna nauczał nie tylko o odkrytym przez siebie białku. Wielu młodych ludzi chciało u niego pracować, niektórzy byli dość obiecujący. Tacy jak Stubbins, z ambicjami, by dokonać wielkiego odkrycia w drugim tygodniu pracy w laboratorium. Ale musiał przyznać, że rozczarowuje go jego własna niemoc. Profesor Wright, chociaż nie odkrył substancji bakteriobójczej, kontynuował badania nad układem odpornościowym

i wynalazł szczepionkę przeciwko durowi brzuszemu. A chociaż niektórzy nadal nazywali go „profesorem Always Wrong”, to nie sposób było nie docenić jego wkładu w zapobieganie chorobom bakteryjnym. Ile dobrego wprowadził obowiązek wakcynacji? Ile istot ochronił profesor Wright przed ciężką chorobą i śmiercią? A on sam? Latami pracował nad lizozymem i w końcu go wyekstrahował, ale na tym jego działalność się skończyła. Westchnął. Wziął do ręki szalkę gęsto pokrytą koloniami bakterii *Staphylococcus aureus*, gronkowca złocistego, wywołujących czyraki i wrzody. Jego ręka drgnęła. Przybliżył do twarzy szkło i przyjrzał się kolonii bakterii. Coś się tu nie zgadzało.

– Stubbins! – zawołał chłopaka.

– Pan mnie wołał? – spytał wstydliwie asystent, chowając zranioną rękę za plecami.

– Tak – odparł Fleming. – Popatrz!

Chłopak wlepił wzrok w naczynie.

– Widzisz to? – spytał natarczywie Fleming.

Stubbins pokiwał głową.

– Zapomniałem przykryć szalkę i pokryła się pleśnią. Przepraszam.

Jego policzki zalał ciemny rumieniec.

– Popatrz dobrze, chłopcze! – wykrzyknął Fleming, ale zobaczywszy skonsternowany wzrok asystenta, machnął ręką i wyjaśnił: – Nie wiem, ile czasu leżał tu nieprzykryty talerz, ale wystarczająco długo, aby kolonie gronkowca zaatakował pędzlak. Pędzlak, rozumiesz?

Stubbins w końcu pojął. Spojrzał uważnie na grzybnię pędzlaka, który pokrył ponad połowę szalki z hodowlą gronkowca.

– Tam, gdzie rozrósł się *Penicillium notatum*, nie ma bakterii. Pleśń je zabiła – powiedział wolno.

Fleming spojrział na Stubbinsa wzrokiem pełnym szczęścia.

– Tak! – wykrzyknął. – Grzyb *Penicillium notatum* zabija bakterie!

Po czym złapał szalkę i pobiegł do mikroskopu.

– Mam dokończyć sprzątanie? – spytał Stubbins, ale nie doczekał się odpowiedzi.



– Jestem z ciebie dumny, mój drogi. – Profesor Almroth Wright uśmiechnął się i charakterystycznym dla siebie gestem rzucił na stół numer „British Medical Journal” z artykułem Alexandra Fleminga na temat bakteriobójczych właściwości pędzłaka.

– Wciąż nie potrafię wyekstrahować penicyliny – powiedział zmartwiony.

– Wciąż jesteś z siebie niezadowolony – odparł Wright łagodnie. – Kiedy wyekstrahowałeś lizozym, natychmiast zacząłeś się martwić, że to nie dość doniosłe odkrycie, że nie ma wielkiego znaczenia klinicznego. Teraz, gdy jesteś u progu opanowania gorączki ropnej, narzekasz, że nie udało ci się wyekstrahować czystej substancji.

– Tylko efekt kliniczny ma znaczenie. – Fleming zdjął okulary. – Pan dobrze o tym wie, profesorze. Jaką wartość miałyby szczepionka przeciw durowi brzuszemu, jeśli nie mógłby pan zaaplikować jej pacjentowi?

– Udało ci się wyhodować czystą kulturę na bulionie – przypomniał mu Wright. – Potwierdziłeś i opisałeś silne właściwości bakteriobójcze bulionu. Na dodatek twoja penicylina jest bezpieczna dla organizmu. Nie atakuje białych krwinek, nie niszczy tkanki wątroby. Czego jeszcze chcesz?

– Na tym etapie mogę co najwyżej polewać moim bulionem ropiejące rany, bo przecież nie będę go podawał w brzuch niczym szczepionkę – mruknął Fleming.

– Nie zakończyłeś badań – powiedział cierpliwie Wright. – To kwestia czasu.

– Próbuję od trzech lat – zdenerwował się Fleming.

– Rozmawiałem wczoraj ze swoim przyjacielem Bernardem Shawem – pozornie zmienił temat Wright. – Zrobił mnie bohaterem swojej nowej sztuki.

– Kolejnej? – zdumiał się Fleming, który nie rozumiał dziwnej zażyłości między swoim mentorem a najwybitniejszym irlandzkim dramaturgiem.

– Tak. Będzie nosić tytuł *Jak ci doktorzy się kochają!* i traktować o mutacjach bakteryjnych. Mogę tylko przypuszczać, jak mnie sportretuje tym razem. Ale nie boję się ani ironii autora, ani śmiechu widzów...

Tuż po premierze poprzedniej sztuki, która odbyła się w roku 1906 – Fleming zaczął pracować wtedy w Szpitalu Świętej Marii – Alexander spotkał się z Shawem i Wrightem. Przekonał się, że trudno o dwóch ludzi, których mniej łączy. Shaw był między innymi feministą, zwolennikiem równouprawnienia kobiet, a Wright otwarcie głosił, że kobieta ma mniejszy mózg i daleko mniejsze predyspozycje do uprawiania jakiegokolwiek zawodu związanego z pracą umysłową. W sztuce *Rozterki doktora* Shaw stworzył postać lekarza – sir Colensa Ridgeona. Tematem dramatu były szczepienia ochronne.

– Czy pamiętasz, o co mnie za pośrednictwem owej sztuki oskarżał?

Fleming pokiwał głową, a potem zacytował z pamięci:

– Lekarze mają na rękach krew zbyt wielu pacjentów.

– Właśnie – potwierdził Wright. – Shaw spytał mnie wcześniej, co bym zrobił, gdyby pacjentów było zbyt wielu w stosunku do liczby szczepionek czy leków i nie wszyscy mieliby możliwość leczenia...

Fleming słuchał uważnie. Nie znał tej opowieści.

– Odpowiedziałem, że „wtedy musielibyśmy się zastanowić, które istnienie warto uratować”.

Fleming milczał z opuszczoną głową.

– W swoim życiu wielokrotnie się myliłem – powiedział w końcu Wright. – I nic sobie z tego nie robiłem. Wiele razy miałem rację. Otrzymałem za to nagrody oraz tytuł szlachecki. I też nic sobie z tego nie robiłem. Tylko w taki sposób jestem w stanie cokolwiek osiągnąć. Może

moje kolejne odkrycie będzie doniosłe. Może z perspektywy czasu okaże się to bez znaczenia. Nie wiem tego.

Fleming zaczynał rozumieć, co chce mu powiedzieć Almroth Wright.

– Za bardzo się przejmujesz wynikiem końcowym, Alexandrze – podsumował. – A to przeszkadza ci dostrzec, jak wielkiego odkrycia dokonałeś. Wprowadzenie leku do szpitali to kwestia czasu. Uwierz w to.



– Penicylina działa skuteczniej niż bakteriobójcze środki chemiczne – głosił Fleming na posiedzeniu Towarzystwa Królewskiego. – Nie tylko osłabia działanie bakterii Gram-ujemnych i Gram-dodatnich, ale też je zabija. Poddawałem działaniu tej substancji różnorodne tkanki i nigdy nie stwierdziłem negatywnego wpływu penicyliny na leukocyty. Substancja ta nie jest w żaden sposób toksyczna dla ludzi.

Około stu największych profesorów swoich czasów słuchało go bardzo uważnie. Nikt mu nie przerywał.

– Dokonanie syntezy antybiotyku jest kwestią czasu – podsumował.

Rozległy się oklaski. Początkowo pojedyncze, stopniowo dołączali się kolejni słuchacze i wstawali ze swoich krzeseł. Najgłośniej ze wszystkich klaskał sir Almroth Wright. Fleming uklonił się niezdarnie.



Penicylina została wyodrębniona dopiero w 1941 roku. Dokonali tego Howard Florey i Ernest Chain. Wyizolowali antybiotyk i przeprowadzili badania na zainfekowanych myszach. Te, które otrzymały penicylinę, przeżyły – w przeciwieństwie do nieleczonych. W 1943 roku rozpoczęto produkcję penicyliny. W tym samym roku przyjęto Alexandra Fleminga w poczet członków Towarzystwa Królewskiego w Londynie, a rok później

otrzymał on tytuł szlachecki. W 1945 roku został laureatem Nagrody Nobla (wraz z Floreyem i Chainem) za odkrycie penicyliny i jej leczniczego działania w różnych chorobach zakaźnych.

ROZDZIAŁ VII

w którym kończymy opowieść o Szpitalu Ujazdowskim i zegnamy się z bohaterami tej historii. Wybucha powstanie warszawskie. Po 5 sierpnia szpital zostaje ewakuowany i przenosi się do klasztoru Sióstr Rodziny Maryi przy ulicy Chełmskiej. Zosia, ramię w ramię z Klementyną, Henrykiem Iwanickim oraz sanitariuszkami i innymi lekarzami, przyjmuje, opatruje i operuje pacjentów w szczególnie trudnych warunkach – w piwnicach, szpitalach polowych albo po prostu na ulicy.

Byli przygotowani na godzinę „W” od kilku miesięcy, a mimo to kiedy zawyły syreny, Zosia odczuła głęboki niepokój. Jako jedna z nielicznych uważała, że powstanie jest szaleństwem. Niemcy upadały, Armia Czerwona posuwała się naprzód i dotarła nad Wisłę.

– Za chwilę będziemy mogli zatknąć biało-czerwoną flagę na Zamku Królewskim – przekonywała Witolda Zawadowskiego. – Trzeba poczekać.

– Na ruinach zamku. Tym bardziej jest to dobry moment, żeby uderzyć w Niemców – odpowiadał Witold, którego dwóch synów szykowało się do walki.

Niespełna kilka dni wcześniej spotkali się z Zofią Kossak-Szczucką. Jej opowieść o tym, jak opuściła obóz w Auschwitz, była niezwykła, wręcz niewiarygodna. Przewieziono ją bowiem z obozu do Warszawy, na Pawiak, i tam skazano na śmierć. Dzięki staraniu władz podziemia została zwolniona w lipcu 1944 roku. Kiedy opowiedziała wstrząsającą historię o pobycie i śmierci Marii Werkenthin w Auschwitz, w sali, w której zgromadziło się mnóstwo osób, było cicho jak makiem zasiał. Beznamiętna relacja Zofii Kossak-Szczuckiej zrobiła na wszystkich wstrząsające wrażenie.

Zosia, która do końca wierzyła, że przyjaciółka przeżyje obozowe piekło i wróci cała i zdrowa do Warszawy, załamała się. Jeszcze długo po wyjściu

pisarki płakała oparta o ramię Witolda.

– Myślałam, że ona jest z żelaza – powiedziała, przełykając łzy. – Myślałam, że nic jej nie złamie.

– Nie była z żelaza – zaprotestował Witold. – Była niezwykłą kobietą, ale pod fasadą tej buńczuczności i brawury kryła się krucha istota.

– Dlaczego nie udało się jej wyciągnąć najpierw z Pawiaka, a potem z Auschwitz? – pytała bezradnie Zosia.

Witold, który z trudem powstrzymywał wybuch łez, przypominał jej spokojnie, że przecież próbowali, tyle razy próbowali. Nie stracili nadziei do końca, bo przecież były osoby, które zwalniano z Auschwitz, najlepszy przykład stanowiła Zofia Kossak-Szczucka, a wcześniej wypuszczono Stefana Jaracza.

– Dlatego musimy walczyć dla niej – powiedział z mocą.

Zosia nie wierzyła, że można walczyć dla kogoś umarłego, a wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że umarłych, za których mieliby walczyć, będzie jeszcze więcej.

– Ja uważam, że to szaleństwo – powiedziała.

– Nie masz racji – oponował Witold. – Akcja jest bardzo dobrze przygotowana. Niemcy się wycofują. I są znacznie osłabieni.

– Witold, przecież ja słyszałam doniesienia... – upierała się Zosia. – Próbowano przeprowadzić zamach na Hitlera. Swoi w końcu go zabiją, prędzej czy później Niemcy się poddadzą. Po co wysyłać do walki cywilów?

Witold pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ja ciebie, Zosiu, nie poznaję. Wycofując się, tym bardziej będą zabijać. Zobaczysz, zaczną się egzekucje, zwiększą się prześladowania. Jeśli ich zaatakujemy, skupią się na obronie i ucieczce na zachód. Bo na wschodzie Rosjanie już na nich czekają.

– Ja ciebie też nie poznaję! – krzyknęła. – Synów do walki posyłasz! Na Rosjan liczysz! Miałeś szczęście, że w Katyniu cię nie zabili! Dwóch

synów pochowałeś! Straciliśmy Marię! Danusię, Zofię Garlicką, Joachima, Romka... Ilu w getcie zginęło?!

Nie czekając na odpowiedź, poszła do pokoju lekarskiego, gdzie ze starych znajomych pozostał już tylko Heniek Iwanicki, i rzuciła mu się z płaczem na szyję.



– To dziś – powiedział na odprawie komendant Leon Strehl^[197]. – Do walki stanie ponad trzydzieści tysięcy żołnierzy.

„Co dziesiąty ma broń, a Niemcy rzucają się na nas z pełnym uzbrojeniem”, pomyślała Zosia.

– Armia Czerwona jest za Wisłą – relacjonował dalej komendant. – Mamy gwarancję, że zapewni Polsce wsparcie zbrojne.

– Oby, oby... – powiedziała Zosia do Witolda.

On zgromił ją wzrokiem.

– Przechodzę do służby w Szpitalu Maltańskim – kontynuował profesor Strehl. – Obowiązki komendanta tutaj obejmie profesor Teofil Kucharski^[198].

Kilka osób zaczęło bić brawo, ale oklaski szybko ucichły.

– Oby nam wszystkim Bóg dopomógł – powiedział na koniec swojej przemowy nowy komendant.

– Dopomóż nam, Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Jedyny, i Wszyscy Święci – przemówił ksiądz kapelan.

Wszyscy się przeżegnali.

Po odprawie do Zosi podszedł Henryk Iwanicki.

– Zosiu... – zaczął mówić. – Chciałbym cię prosić...

Zawołał ją nowy komendant, więc przeprosiła Henryka i obiecała wrócić do niego później. Potem szukała go wśród lekarzy, ale był zajęty chorymi, więc nie dowiedziała się, o co chciał ją poprosić.



Pierwszego dnia powstańcy zdobyli tylko kilka budynków i większy obszar jedynie na Starym Mieście. Zginęło ich jednak ponad dwa tysiące. Taką wiadomość przyniósł do szpitala jeden z żołnierzy walczących w Śródmieściu.

– Cześć ich pamięci – powiedział chirurg Teofil Walicki, który po pięciu godzinach operacji nad ciałem dwudziestolatka z przestrzelonym brzuchem, przywiezionego niespełna kilka minut po wybuchu powstania, się poddał.

Zosia, której dopiero w kolejnych dniach przyszło operować rannych małych sanitariuszy i grzebać jednego po drugim, drgnęła, kiedy usłyszała koło siebie znajomy głos.

– Stęskniłaś się za mną?

– Klementyna, na miłość boską!

Nie wiedziała, czy ma uściskać przyjaciółkę czy rzucić się na nią z pięściami.

– Nic nie mów – powiedziała z mocą Klementyna. – Całą wojnę siedziałam jak szczur w bezpiecznym dworku. Teraz nie czas na to.

– Kto pilnuje dzieci? – spytała słabym głosem.

– Honorka, gospodyni księdza, Kalisianka, i moi rodzice. Ptasiego mleka im nie zabraknie.

– A Kornel?

Klementyna odwróciła wzrok.

– Oni są na Starym Mieście, Zosiu – powiedziała w końcu. – Chyba nie sądzisz, że Stach cię posłuchał.

Dwa dni wcześniej Zosia wymogła na mężu obietnicę, że wyjedzie z Warszawy, w której w każdej chwili mogło zacząć się powstanie, i do końca wojny nie ruszy się z Komorowa. Przysięgał jej na własne życie.

– Jeśli coś mu się stanie... – Zosia przełknęła ślinę.

– Nawet tak nie myśl, bo nic nie możesz poradzić – odpowiedziała Klementyna zdecydowanie. – Ja nawet nie prosiłam Kornela, żeby został w Komorowie.

– A powinnaś była – odpowiedziała jej Zosia stanowczo. – Jeśli wszyscy zginiemy, kto zajmie się dziećmi? Stara Honorka?

Ale Klementyna jej nie słuchała. Podeszła do komendanta i chwilę z nim rozmawiała, po czym wróciła z wiadomością, że ma zgodę na to, by zostać w szpitalu i pomagać. Każda para rąk była na wagę złota.

– A ja nie wiem, czy tu zostanę – stwierdziła Zosia. – W szpitalu na Litewskiej mogę być bardziej potrzebna. Albo na ulicy.

– Na ulicy ludzie są dobrze zorganizowani – argumentowała Klementyna. – Każdy batalion ma swojego kwatermistrza. Jest wielu sanitariuszy i lekarzy, którzy są przygotowani, żeby operować. Nawet z bronią nie jest tak źle.

– Co ty opowiadasz? – Zosia załamała ręce, po czym, dziwnie zła na przyjaciółkę, odeszła od niej daleko, bo nie mogła słuchać, jak ta przekonuje, że alianci zapewnią zrzuty broni.

Drugiego dnia w serce Zosi wstąpiła otucha, kiedy dowiedziała się, że powstańcy opanowali Starówkę. Wyobraziła sobie Stacha, jak walczy o każdy skrawek Starego Miasta, które tak lubił. Stacha, który od początku wojny narzekał, że skoro nie udało im się wyjechać z kraju, to znak, że powinien wstąpić do armii i walczyć. „Do jakiej armii?”, pytała. „Nie ma żadnej armii, w której mógłbyś walczyć”. Stach był gruntownie przeszkolonym oficerem rezerwy, jakimś cudem we wrześniu nie został aresztowany przez NKWD i wysłany do Katynia. Już w listopadzie wyrobił sobie bardzo dobre fałszywe papiery i kursował między Warszawą a Komorowem. Doskonale wiedziała, że działał w konspiracji, ale podobnie jak wiele innych małżeństw, w czasie wojny nie rozmawiali o tym. Cokolwiek robił, zawsze udawało mu się wyjść cało.

Przez pierwsze dni niemal nie czuła zmęczenia, znużenia ani beznadziei. Opatrywała rannych niczym automat, stawiała do kolejnej operacji, łapiąc jedynie oddech i kilka łyków wody po poprzedniej. Na pytanie, czy nie

chce odpocząć, odpowiadała: „Nie, nie, mogę pracować”. Myślała tylko o kolejnym cięciu, o wyłuskaniu wszystkich szrapneli, o tym, żeby oszczędzać krew, której ciągle brakowało, żeby dobrze wysterylizować narzędzia. „Stach zdobył Stare Miasto”, powtarzała sobie, zaszywając kolejne ciało, „Stach jest bezpieczny”. Następne dni przyniosły jedynie straty.



Zasnęła nad ranem czwartego dnia powstania. Spała bite cztery godziny, luksus jak na te czasy. Obudziła się nagle, gwałtownie, z poczuciem, że nie może odpoczywać, gdy trwają walki i wszyscy lekarze, pielęgniarki i przeszkolone sanitariuszki pracują bez wytchnienia. Odrzuciła koc i pobiegła na miejsce odpraw. Znalazła tam kilka osób, które przyniosły wieści z miasta.

– Niemcy są na Krakowskim – meldował drobny harcerz, któremu spod czapki wystawały rozwichrzone blond włosy. – „Krybar”^[199] walczy na Powiślu. No i najważniejsze – tu harcerz zrobił dumną minę – udało nam się przeprowadzić udany atak na Soldatenheim w Gimnazjum imienia Królowej Jadwigi.

– Gdzie są ranni? – spytał internista, doktor Halski, który przeprowadzał ocenę i segregację poszkodowanych i decydował, kto w pierwszej kolejności wymaga zabiegu.

– Wszędzie – odparł harcerz. – Nasi ich opatrują i operują.

Na twarzy Halskiego odbiło się powątpiewanie.

– Część naszego personelu powinna tu zostać – wtrąciła się Zosia. – A część powinna iść na ulicę.

– Mamy namioty sanitarne i personel, który pracuje nieprzerwanie – wygłaszał z dumą harcerz, a Zosi wydawało się, że śni.

Mały miał nie więcej niż czternaście lat, a u boku jedynie naostrzony nóż kuchenny. Spojrzała z rezygnacją na Halskiego. On najwyraźniej podzielał

jej odczucia, bo zwrócił się do komendanta:

– Uważam, że doktor Gorazdowska ma rację. Trzeba iść na ulicę. Dzieciątko Jezus, Przemienienie i Litewska podzieliły personel. Część operuje w szpitalach, część jest na zewnątrz.

– Na razie zostajemy – zdecydował komendant.

Zosia już chciała powiedzieć, że nie jest lekarką wojskową i nie podlega żadnym rozkazom, kiedy nadbiegła Klementyna.

– Przyszły nowe meldunki – powiedziała. – Sztab Komendy Okręgu Warszawa AK przeniósł się do PKO, na Jasną.

– A co z Victorią? – przerwała jej Zosia.

– Hotel został zburzony. – Klementyna popatrzyła na nią z rezygnacją, ale zaraz w jej oczach pojawiła się iskierka nadziei. – Ale na Żoliborzu walczą.

Tuż koło nich rozległ się huk wybuchających bomb.

– Do schronu! – zarządził komendant.

– Cholera! – wykrzyknął harcerz. – Muszę wracać.

– Nie ma mowy! – Klementyna usiłowała zatrzymać chłopaka, ale jej głos zagłuszyły kolejne wybuchy.

Zosia chwilę patrzyła za nim, ale Klementyna złapała ją za ramię.

– Chodź do schronu! – krzyknęła.

– Ale on tam zginie! – Zosia usiłowała przekrzyczeć huk bomb.

– Nic nie poradzisz! – przez chwilową ciszę przebił się głos Klementyny.

– On ma swoje rozkazy! Dokąd idziesz?!

Pobiegła na oddział, żeby sprawdzić, czy nie potrzeba komuś pomóc zejść do piwnicy.

– Wszyscy już zeszli? – krzyknęła do siostry Luli Kurcz, młodej pielęgniarki, która miała buzię madonny i długie złote włosy.

– Tak, pani doktor – odkrzyknęła tamta. – Zostałyśmy tylko my.

W schronie siedzieli przez cztery godziny, aż Zosia, zmęczona bezczynnością, zaczęła chodzić dokoła i doglądać chorych. Jednego

napoila, starszej pani zmieniała opatrunek na ramieniu, małego chłopca utuliła i zaśpiewała mu kołysankę.

– Śpij, głupia – zdenerwowała się na nią Klementyna.

– Już się wyspałam – odparła Zosia, która poczuła, że jeśli usiądzie choćby na chwilę, zawładnie nią strach o Stacha.

Wzięła śpiące dziecko na ręce i ułożyła na wolnym materacu. Przykryła drobne ciało kocem.

Kiedy wyszli na słońce, pierwsze, czego się dowiedziała z radia, to że Heinrich Himmler^[200] przysłał odsiecz pod dowództwem generała policji Heinza Reinefartha^[201] i dowódcy brygady SS, Oskara Dirlewangera^[202]. Liczne oddziały uzbrojonych po zęby żołnierzy niemieckich rozlokowały się w zachodniej części Woli.

– Mój Boże, przecież to siepacze. Najgorsi z możliwych – powiedziała do Klementyny.

– Może to prowokacja – stwierdziła Klementyna. – Przecież przegrywają wojnę.

– Mój narzeczony jest na Woli – wyznała Lula. – Ale on jest bardzo odważny. Tyle lat w konspiracji, nigdy nie wpadł. Teraz też nie da się zabić.

Zosia złapała ją za rękę.

– Ranni! – krzyknął ktoś i natychmiast pobiegła na chirurgię, nie czekając na Klementynę i pozostawiając Lulę Kurcz ze swoim strachem o narzeczonego.



– Pozostałem już tylko ja – powiedział zgodnie z prawdą doktor Olgierd Sokołowski, kiedy 5 sierpnia 1944 roku do Szpitala Wolskiego na oddział ftyzjatrii, którym kierował, wkroczyli Niemcy.

Wcześniej udali się do gabinetu dyrektorskiego i zastrzelili dyrektora Józefa Piaseckiego, profesora Janusza Zeylanda^[203] oraz kapelana księdza Kazimierza Ciecierskiego^[204].

– *Gut!* – oznajmił wysoki SS-man. – Wszyscy na dziedziniec.

Doktor Sokołowski wymamrotał pod nosem „tak jest”, bo cóż innego mógł zrobić.

– *Schneller!* – krzyczeli Niemcy.

– Są tu ciężko chorzy, niech pan im powie, że nie mogą wyjść – zwróciła się do doktora siostra Janina.

– Lepiej nie – odpowiedział i uśmiechnął się do niej.

Chciała iść do powstania, ale przekonał ją, że sanitariuszką jeszcze zdąży zostać, a w szpitalu, wobec braku personelu, jest mu bardzo potrzebna. Teraz żałował swoich słów.

Napotkał jej pełen przerażenia wzrok, kiedy z sal szpitalnych dobiegły odgłosy strzałów. Pokiwał tylko głową. „Tak, to Niemcy zabijają tych, którzy nie mogą opuścić łóżek”, chciał powiedzieć siostrze Janinie, ale ona wiedziała to aż nazbyt dobrze. Na dziedzińcu stali lekarze, pielęgniarki, technicy i pacjenci z pozostałych oddziałów. Doktor Sokołowski i siostra Janina dołączyli do nich. Doktor podtrzymywał młodą dziewczynę, której z klatki piersiowej wystawał dren i która bardzo się bała. Na rogu ulic Zagłoby i Górczewskiej ustawiono ich w rzędzie i po kolei zabijano. Każdy strzał wzbijał w powietrze dziesiątki ptaków i doktor zastanawiał się, czy to te same ptaki czy też za każdym razem wzlatają inne, oddając osobliwy hołd zabitym. Kiedy nadeszła ich kolej, wciąż podtrzymywał dziewczynę, która nie wiedząc czemu wyciągnęła sobie dren i rzuciła go na ziemię. Chciał jej powiedzieć, że teraz źle się poczuje, bo dren był potrzebny jej płucom, ale uznał, że nie warto. Zanim padły kolejne strzały, tym razem prosto w jego pierś, uśmiechnął się jeszcze do siostry Janinki.



Odprawa była niezwykle dramatyczna.

– Zarządziłem ewakuację! – krzyknął dowódca. – Niemcy są na Woli! Niszczą tam dosłownie wszystko. Zabijają cywilów. Zginęło mnóstwo ludzi. Kobiety, dzieci... W nocy były zrzucone broni, ale nasi prawie nic nie przechwycili.

Zosia chciała spytać o Stare Miasto, ale nie była pewna, czy Stach i Kornel wciąż tam walczą. Poza tym uznała, że jednak woli nie wiedzieć. Słuchała słów komendanta i gwałtownie łapała powietrze, jak ryba, którą ktoś wyciągnął z wody. Wokół doktora Kucharskiego gromadziło się coraz więcej osób. Z podwórza dochodziły krzyki.

– A nie lepiej się tu zabarykadować? – ktoś spytał.

– Słusznie! – dodał ktoś inny. – Zejdźmy do schronu.

– Przecież konwencja haska... – jęknęła koło niej jedna z położnych.

– Już pani zapomniała, jak nas bombardowali w trzydziestym dziewiątym? – zwróciła się do niej Zosia, a potem popatrzyła znacząco na Witolda. – Konwencja haska – powtórzyła z ironią.

Witold zgromił ją spojrzeniem, po czym wybiegł na podwórze, aby koordynować ewakuację chorych i upewnić się, że spakowano potrzebny sprzęt. Zosia podeszła do Henryka. Na skromnym stanowisku operował dzieciaka rannego w głowę. Plecy ugiwały mu się ze zmęczenia. Popatrzył na nią i pokręcił przecząco głową.

– Będą chcieli przebić się do Ogrodu Saskiego, a stamtąd już prosta droga do nas. Nawet konwencja haska nie ochroni szpitala! Nie słyszycie? Ewakuować chorych! Brać sprzęt! – krzyczał komendant.

Zosia postanowiła zawalczyć o swoje.

– Jest tu dużo ludzi do ewakuacji – argumentowała, przekrzykując innych. – Ja chciałabym prosić o pozwolenie na pracę w terenie.

– Zosiu, nie! – usłyszała głos Henryka.

– Czy pani oszalała? – Podpułkownik Teofil Kucharski otarł pot z czoła. – Zresztą nie mam czasu teraz z panią dyskutować! Proszę robić, co mówię!

Nieoczekiwanie w sukurs przyszła jej grupka pielęgniarek chirurgicznych i Kasia Krzela, młoda dziewczyna, która od niedawna pracowała w szpitalu. Wcześniej uczyła się na tajnych kompletach u Marii Werkenthin. Teraz terminowała u Zosi na pediatrii. Miała zadatki na wspaniałą operatorkę.

– Niech pan nas posłucha, komendancie. – Kasia wystąpiła dwa kroki naprzód. – Tam będziemy bardziej przydatne. Jesteśmy pediatrami, a na ulicach walczą dzieci. Doktor Gorazdowska jest znakomitym chirurgiem, ja też dużo potrafię.

– Proszę nam pozwolić. – Do komendanta podeszły Lula Kurcz i śliczna instrumentariuszka Anita, zwana Fiołkiem, od koloru swoich oczu.

Wybiegły za Teofilem Kucharskim na dziedziniec, na którym w szybkim tempie formowała się kolumna transportowa. Do pięciu wozów załadowano sprzęt medyczny, leki, żywność i opatrunki.

– Nie zapomnieć o kasie szpitalnej – wydawał rozkazy profesor Kucharski.

– Sąsiednie budynki płoną! – Przez tłum, który gromadził się na dziedzińcu, przedarł się Witold Zawadowski. – Niemcy stoją pod bramą i każą nam wyruszać.

Komendant zaklął pod nosem.

– Szybko! – krzyknął.

6 sierpnia w kolumnie poszło tysiąc czterysta dziewięćdziesiąt jeden osób ze Szpitala Ujazdowskiego oraz trzysta czterdzieści ze Szpitala Świętego Ducha. Za nimi powoli poruszały się wyładowane po brzegi wozy. Zosia szła ramię w ramię z Klementyną. Niosły na noszach ciężko ranną kobietę. Obok powiewały flagi Czerwonego Krzyża.

– Stać! – Z Górnośląskiej prosto na nich wyszedł oddział Niemców.

– Co tam się dzieje? – spytała Klementyna. – Czemu nas zatrzymują?

Zosia pomyślała, że to koniec ich wędrówki, a Niemcy zabijają wszystkich, personel i pacjentów, ale żołnierze kazali tylko przyjąć do kolumny ponad trzysta kobiet, które, jak Zosia później się dowiedziała,

były wcześniej zakładniczkami w gmachu sejmu. Podążyli dalej Górnośląską, Myśliwiecką, Łazienkowską i Chełmską. Zosia ugięła się pod ciężarem noszy. Na szczęście przy ulicy Czerniakowskiej do kolumny dołączyło wielu cywilów, którzy pomagali nieść rannych.

Na noc zatrzymali się na terenie klubu sportowego Legia. Kiedy rozlokowali się pod gołym niebem i rozdali prowiant, Zosia odnalazła Witolda.

– A jeśli nas zbombardują? – spytała.

Witold rozłożył ręce.

– To nas zbombardują – odpowiedział. – Nie możemy nic na to poradzić.

– Gdzie Jerzy i Janusz? – spytała.

– Nie wiem – odpowiedział. – Wiem tylko, że Wacek w domu. Nina go trzyma pod kluczem, bo się wyrywał do walki.

– Jestem gotowa na zmianę z Niną go pilnować, żeby tylko został – powiedziała.

Witold objął ją ramieniem.

– Zosiu – powiedział poważnie. – Wiem, że chcesz z Kasią i innymi iść do miasta, ale zastanów się. Jutro wejdziemy do klasztoru Sióstr Rodziny Maryi na Chełmskiej. Tam będziemy najbezpieczniejsi. I najbardziej przydatni.

– Nie wiesz, Witoldzie, gdzie będzie bezpiecznie i kto jest najbardziej przydatny. I gdzie – odparowała i zawołała w kierunku Henryka Iwanickiego: – Henryku, uważasz, że warto zostać, czy też lepiej pomagać na ulicy?

– Wczoraj bym powiedział, żebyś została, ale dziś nie mam pojęcia – odkrzyknął Henryk.

Szedł w ich kierunku, kiedy dopadły go dwie pielęgniarki i chociaż niechętnie, wrócił z nimi, oglądając się jedynie na Zosię.

– Prześpij się – powiedział Witold krótko i odszedł.

Kiedy wstała po kilku godzinach ciężkiego snu, nie dostrzegła ani Witolda, ani Henryka. Klementyna siedziała nieopodal, pijąc herbatę

z blaszanego kubka. Świtało, w oddali słychać było strzały artyleryjskie. Kolumna ponownie przygotowywała się do wymarszu.

– Są jakieś wieści? – spytała Zosia.

– Najgorsze z możliwych – odpowiedziała cicho Klementyna. – Niemcy opanowali Ogród Saski, odcięli Starówkę od Śródmieścia.

Zosia wstała zbyt gwałtownie, aż pociemniało jej przed oczami.

– Połóż się – zaproponowała Klementyna.

– Ja tu nie zostanę – stwierdziła Zosia. – Ani chwili dłużej. Muszę dotrzeć do Stacha.

– Zosiu, to szaleństwo – odezwała się Helena Hołówkowa. – Musimy zostać tutaj. Tylko tu mamy szansę.

– Jaką szansę? – Zosia z wysiłkiem panowała nad wzburzeniem. – Nie pamiętacie trzydziestego dziewiątego? Wtedy Niemcy bombardowali flagi z czerwonymi krzyżami, które w swojej naiwności rozwieszaliśmy na szpitalach. Teraz, kiedy zwróciliśmy się przeciwko nim, nagle zaczną respektować konwencję genewską? Albo haską? Oszczędzą nas?

– Przecież Niemcy nas eskortują na Chełmską – odpowiedziała Klementyna.

– Idźcie na Chełmską, a ja pójdę do Śródmieścia. Dzieciątko Jezus na pewno działa. Trzeba ludzi zbierać z ulicy, pomogę. Nie będę się tu kryła jak szcur. – Siłą powstrzymała się, żeby się nie rozplakać. – Ja muszę się dostać do Śródmieścia! – powiedziała z mocą, po czym zostawiła stroskaną Klementynę i znużoną Helenę i poszła szukać jakiegokolwiek dowódcy, żeby zameldować, że odchodzi.

Znalazła jednego z zastępców, ale zanim otworzyła usta, przerwał jej.

– Niech pani idzie, skoro pani chce. Ma pani rację. Tu jest względnie spokojnie, sytuacja opanowana. Tam jest... – Machnął ręką i odszedł.

– Chłopaku – zawołała do szczupłego chłopca, na oko dziesięcioletniego. – Skąd jesteś?

– Mój oddział walczy w Śródmieściu – odpowiedział z godnością. – Uciekliśmy z Woli. Ja tu przyszedłem z meldunkiem.

– I teraz wracasz, tak? – spytała i nie czekając na odpowiedź, poprosiła: – Ja też tam idę. Poprowadź mnie, dobrze?

Chłopak spojrział z powątpiewaniem.

– Proszę pani... pani doktor – poprawił się. – Tam jest piekło. Dokąd pani chce iść?

Zosia zastanowiła się chwilę. Serce podpowiadało jej, żeby szukać Stacha, rozum – że powinna dotrzeć do któregoś ze szpitali stacjonarnych albo polowych.

– Skoro na Woli walki, to może powinnam iść do Szpitala Wolskiego – powiedziała. – Jestem pediatrą, ale potrafię operować. Przydam się.

– Przecież Niemcy zabili wszystkich w Wolskim – odpowiedział harcerz. Powiedział to tak beznamiętnie, że w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Co? – spytała.

– Rzeź – powtórzył. – Wyganiają cywilów z domów, stawiają pod ścianą... A ze szpitala to już wczoraj wszystkich wyprowadzili i ich zastrzelili. Pacjentów, doktorów. Wszystkich.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Przed oczami stanęli jej lekarze i pielęgniarki ze szpitala. Prawie wszystkich znała osobiście, z wieloma się przyjaźniła. To niemożliwe, żeby zginęli. Po prostu niemożliwe.

– Jesteś pewien? – spytała słabo.

Wzruszył ramionami.

– No – potwierdził. – U nas taki jeden, Mistek, ma... miał – poprawił się – całą rodzinę. I wczoraj do nich dotarł. Nie zdążył wyprowadzić. Widział, jak zastrzelili jego matkę i dwóch braci. A potem jak rozwalali tych ze szpitala.

– A Dzieciątko Jezus? – spytała słabym głosem.

– A Dzieciątko Jezus to patrzy z krzyża, jak do dzieciaków snajperzy strzelają niczym do kaczek – odpowiedział chłopiec spokojnie, po czym spojrział spode łba i rzucił: – To jak? Bo ja już muszę ruszać. Idzie pani?

Pokiwała głową, wciąż wstrząśnięta tym, co usłyszała.

– Zabiorę torbę z lekami i opatrunkami – powiedziała.

– Im mniej, tym lepiej – odpowiedział. – I niech pani zdejmie ten biały fartuch, bo nie przejdzie pani trzech kroków.

Posłusznie ściągnęła kitel.

– Poczekaj tu na mnie – poprosiła.



– Jak myślisz, ile nam to zajmie? – spytała Zosia, kiedy po godzinie dotarli jedynie do ulicy Rozbrat.

– Tyle, ile będzie trzeba – wycedził chłopak. – Niech się pani nie odzywa, nie chcę dać się zabić.

Szli powoli, od bramy do bramy. Za każdym razem chłopak sprawdzał, czy droga jest wolna, szukał w oknach i na dachach snajperów.

– Tu nikogo nie ma – powiedziała. – Walki są daleko stąd. Przejdźmy ogrodami Frascati na plac Trzech Krzyży. W ogrodach jest gęsta zieleń, nie będzie nas widać.

– A jak tam pani dojdzie? Chce pani iść środkiem ulicy? Przechodzić przez przejścia dla pieszych? – zapytał z kpina w głosie.

Podniósł z ziemi spory kawałek szkła i wyrzucił w górę. Szkło zamigotało w słońcu. Rozległ się pojedynczy strzał.

– Teraz pani rozumie?

Pokiwała głową. Była pod wrażeniem, jak mimo młodego wieku chłopak orientował się w sytuacji. „Mój Boże”, po raz tysięczny od początku wojny przywołała nadaremno imię boskie, „taki chłopak powinien po sadach jabłka kraść, do kina bez biletu się wślizgiwać, książki o Indianach czytać, a nie chować się przed snajperami”.

Późnym popołudniem dotarli w pobliże jednego z namiotów medycznych, które rozpięto na Świętokrzyskiej.

– To teraz już... – zaczęła, kiedy padły dwa strzały, a chłopak, którego imienia Zosia nawet nie poznała, osunął się na kolana, a potem upadł prosto twarzą w uliczny kurz. – Nie, nie, nie!

Uklękła obok niego i przewróciła go na plecy. Dostał w brzuch oraz w nogę i obficie krwawił.

– Niech pani... – zaczął.

– Nic nie mów – zażądała.

– ...się odsunie... – wyszeptał.

– Nie ma mowy – stwierdziła i chociaż kule świstały jej koło głowy, zawiązała sprawnie opatrunek na nodze chłopca i ucisnęła ranę na brzuchu.

– Musi pani dostarczyć meldunek „Gwizdonowi” – szeptał. – Bardzo ważne... „Gwizdonowi”...

– Dostarczę, spokojnie – powiedziała, jednocześnie go opatrując, pochyłona nad nim.

„Uszkodzone jelito, kula w brzuchu... Musi zostać natychmiast zoperowany”, analizowała w myślach. Chłopak zaczął coś mówić, więc pochyliła się nad jego ustami. W tej chwili kula przeszła nisko, ledwie kilka centymetrów od jej głowy. Ocalił ją łut szczęścia.

– Musi pani... – szeptał.

– Rozumiem. Dostarczę meldunek „Gwizdonowi” – powiedziała poważnie.

Chłopak uśmiechnął się i stracił przytomność.

– Nie strzelać, niosę rannego – powiedziała bardziej do siebie niż do snajperów, którzy nie mogli jej słyszeć.

Wzięła chłopaka na ręce i zniosła w kierunku namiotu medycznego. O dziwo żadna z kul jej nie trafiła. Namiot był pełen rannych, jednych lżej, innych ciężej. Opiekowały się nimi sanitariuszki. Był tam też jeden lekarz, który chodził od jednego pacjenta do drugiego i robił, co mógł, żeby ulżyć im w cierpieniu.

– Doktor Zofia Gorazdowska, chirurg i pediatra z Ujazdowskiego – powiedziała. – Mam rannego, natychmiast go trzeba na stół.

– Henryk Połowski – przedstawił się lekarz. – Jestem internistą. Chirurdzy są przy Saskim, z drugiej strony, ale pani tam nie przejdzie.

– Możemy go przenieść na noszach – zaofiarował się puciołowaty nastolatek, a stojąca obok dziewczyna z warkoczykami przeplatanymi fioletową wstążką pokiwała gorliwie głową.

– Nie ma mowy – zdecydowała Zosia. – On tam nie dotrze żywy, a was po drodze zastrzelą. Tu go zoperuję.

– Czym? – zapytał doktor Połowski.

– Mam narzędzia. – Pokazała torbę. – Wystarczą pomoc i znieczulenie.

– To pierwsze mogę ofiarować, tego drugiego nie – odpowiedział lekarz.

– Dziękuję – powiedziała i skinęła na parę sanitariuszy.

Chłopiec i dziewczyna podeszli. Tymczasem lekarz ułożył chłopaka na stole i zaczął rozcinać mu harcerski mundur.

– Macie przeszkolenie? – spytała Zosia sanitariuszy.

Chłopak pokiwał głową. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Będę studiowała medycynę – powiedziała z dumą. – Po wojnie.

– Dobrze – stwierdziła Zosia i zwróciła się do dziewczyny: – W takim razie ty zajmiesz się tamtymi chorymi. Zobacz, których wystarczy opatrzyć, a których trzeba natychmiast zoperować.

– A ja? – spytał chłopak.

– Znasz „Gwizdona”? – spytała.

– Znam – odparł. – Jest na Kruczej.

– To zanieś mu meldunek – zdecydowała. – Potem przekażesz, że potrzebujemy tutaj chirurgów.

Chłopak pokiwał głową. Już miał ruszyć, kiedy go zatrzymała.

– Zaczekaj. – Wyjęła z plecaka jeden z dwóch pistoletów, który zabrała ze szpitala. – Umiesz strzelać?

Znowu pokiwał głową, patrząc z nieukrywaną radością na broń.

– Zaczynamy w imię Boże – powiedział doktor Połowski, kiedy podeszła.

– Czy to prawda, że na Woli doszło do rzezi? – spytała, oczyszczając ranę. – Że szpital spacyfikowano?

Pomagało jej, kiedy rozmawiała podczas operacji. Miała nadzieję, że lekarzowi nie będzie to przeszkadzało.

– Prawda – powiedział cicho. – Mało kto przeżył. Niemcy zabijają chorych.

Zakłęła, kiedy wyjęła z brzucha chłopaka kulę.

– Niech to jasny szlag. Rozkawałkowana.

– Co teraz? – spytał doktor.

– Teraz wyobrażę sobie, że mam przenośny rentgen – odpowiedziała. Przypomniał się jej inżynier Maciąg i radość, jaka zapanowała w pracowni, kiedy zaczęli posługiwać się przenośnym aparatem podczas operacji. Mimowolnie się uśmiechnęła.

– Ja pani pomogę – powiedział lekarz i wykonał nad ciałem chłopaka szereg ruchów. Wyglądał przy tym jak magik, który zakrywa kapelusz czarnym sukniem i czaruje, żeby wyfrunął z niego gołąb. – O proszę, zrobiłem zdjęcia, jak pani sobie życzyła. Czy widzi pani odłamki? – spytał grzecznie.

– Oczywiście – potwierdziła. – Widzę je dokładnie. Po to wykonujemy zdjęcie rentgenowskie w czasie operacji. Dziękuję panu bardzo, doktorze.

Zagłębiła palce w ranę operacyjną i starając się robić to jak najdelikatniej, przeszukiwała wnętrze ciała milimetr po milimetrze. Wkrótce znalazła dwa niewielkie odłamki, które dopasowała do wyjętej kuli.

– Są! – wykrzyknęła z radością.

W tej chwili spadła koło nich bomba; tylna ściana namiotu uległa zniszczeniu, a na Zosię posypał się gruz.

– Cholera! – wrzasnęła i osłoniła własnym ciałem pole operacyjne.

Kawałek cegły spadł jej na plecy. Zobaczyła przerażony wzrok doktora. Nawet nie syknęła z bólu.

– Gdzie pan pracuje? – spytała, spokojnie zaszywając powieź.

Była z siebie więcej niż zadowolona. Udało jej się wyjąć odłamki kuli z ciała chłopaka, zszyć jelito i nie ubrudzić pola operacyjnego.

– W Przemienieniu Pańskim – odpowiedział drżącym głosem doktor Połoński.

– A jak się pan tu znalazł? – indagowała.

– Godzina „W” zastała mnie w Śródmieściu, bo tu mieszka rodzina mojej żony. Są na Kruczej – mruknął.

Nie pytała dalej, bo nie wiadomo było, które kamienice zostały zbombardowane i którzy mieszkańcy zginęli pod gruzami, a skąd jedynie wywleczono ludzi i rozstrzelano.

– Mój mąż walczył na Starym Mieście – powiedziała, kiedy skończyła zszywać brzuch harcerza i zaczęła oglądać nogę.

Rana nie wyglądała najlepiej. Pocisk rozszarpał mięsień i utkwiał blisko tętnicy udowej.

– Jasny gwint – powiedziała zrezygnowana Zosia. – Przydałby się chirurg...

– A ja mogę być? – Ktoś dotknął jej ramienia.

– Andrzej! – ucieszyła się na widok doktora Trojanowskiego, ale zaraz zmarszczyła brwi. Był wychudzony i pobrudzony gruzem. Na głowie miał ślady zakrzepłej krwi. – Zaraz cię opatrzę – powiedziała.

Pokręcił głową.

– Chrzanić aseptykę – odparł. – Nic mi nie jest. Ale temu dzieciakowi trzeba będzie uciąć nogę, jeśli szybko nie wyjmemy z niej kuli.

Zosia błogosławiła moment, w którym się pojawił. Razem wyjęli kulę, nie uszkadzając tętnicy. Następnie zabrali się do operacji innego dzieciaka, który oberwał w klatkę piersiową, ale miał szczęście, bo pocisk uderzył w odznakę harcerską. Gdyby wbił się centymetr dalej, zabiłby go na miejscu.

Pracowali tak przez kilkanaście godzin, aż Zosia niemal upadła ze zmęczenia. Nad ranem podsumowali pracę.

– Dwudziestu zoperowanych, dwóch nie udało się ocalić, namiot trzy razy niemal zniszczono, nam nic nie jest – powiedział doktor Trojanowski.

– Tobie to by się prześwietlenie głowy przydało – wymamrotała Zosia.

– Kąpiel by mi się przydała – odparł.

Podszedł do nich doktor Połowski.

– Przyszli po rannych – poinformował.

Obejrzała się i zobaczyła pucołowatego harcerza stojącego w otoczeniu kilku chłopaków. Obok niego czekał ksiądz.

– Udało ci się oddać meldunek „Gwizdonowi”? – spytała.

– „Gwizdon” zginął, ale oddałem „Siwemu”. On dowodził kontrnatarciem na plac Mirowski.

– Odbiliście plac? – spytał Połowski.

Pucołowaty pokręcił głową.

– Nie, na dodatek zepchnęli nas na Grzybowską. Bronimy się na placu Grzybowskim.

– A wiadomo coś o Starówce? – spytała Zosia. – Tam walczą mój mąż i jego najlepszy przyjaciel.

Jedna z dziewcząt spojrzała na nią ze współczuciem.

– Ja stamtąd przyszedłam – powiedziała. – Moja siostra i brat tam zginęli. „Wachnowski”^[205] nie może przedostać się na Żoliborz, ciągle jest na Starówce. Dużo ludzi straciło tam życie.

Zosia chciała zapytać, czy dziewczyna może spotkała Stacha, porucznika, który świetnie strzela, ale słowa uwięzły jej w gardle.

– „Pucek”! Chodź! – Do namiotu wbiegł wysoki jak topola harcerz. – Budujemy wykop i barykadę w Jerozolimskich, od numeru dwudziestego do siedemnastego.

Pucołowaty chłopiec natychmiast wybiegł.

– Trzeba iść pomóc – zdecydowała Zosia.

– Niech pani siedzi – zatrzymał ją doktor Połowski. – Pani ręce są przeznaczone do innych celów.

– To pójdę po wodę, bo się kończy – powiedziała. – Mnie będzie łatwiej. Do kobiet nie strzelają tak jak do mężczyzn.

– To złudne wrażenie – zaprotestował Andrzej Trojanowski, podobnie jak Zosia zmęczony po wielu godzinach walki o życie przy prowizorycznym stole operacyjnym.

Zosia zdążyła pomyśleć, że zapanował chwilowy spokój i strzały jakby przycichły, kiedy wniesiono „Pucka”. Zerwała się na nogi i podbiegła do noszy.

– Natychmiast go operujemy... – zaczęła mówić, ale głos uwiązł jej w gardle.

„Pucek” był nieprzytomny. Krew wypływała z otwartej rany na szyi szerokim strumieniem, tworząc na ziemi pokaźną kałużę. Sięgnęła po kawałek bandaża i wcisnęła go w ranę. Cały zwitek natychmiast zrobił się czerwony, a pomiędzy jej palców popłynęła lepka czerwona maź.

– Zosiu... – Andrzej Trojanowski siłą oderwał jej rękę od szyi chłopaka. – Proszę, zostaw go... Nie zatrzymasz krwawienia.

– Ja nie chcę! – zaczęła krzyczeć. – Nie chcę w ten sposób! Ja nie mogę tak pracować!

Andrzej objął ją i przyciskał do serca, pozwalając jej wykrzyczeć swój żal i złość. Potem wyczerpaną i załamaną położył na kocu.

Nie było jej dane długo odpoczywać, bo rozległy się syreny i wszyscy musieli zejść do schronu. Najbliższa piwnica znajdowała się w pewnej odległości od ich namiotu. Kto mógł, niósł nosze albo pomagał rannym. Zosia szła ostatnia; postanowiła wrócić jeszcze na chwilę do namiotu, bo przypomniała sobie, że zostawili torbę z opatrunkami. Kiedy ponownie wyszła, natrafiła na doktora Połońskiego, który leżał obok prowadzonego przez siebie rannego. Rana na piersi chłopaka, którą przez tyle godzin operowali w nocy, była na nowo rozszarpana. Obaj nie żyli.

– Szybko! – krzyknął doktor Trojanowski. – Zostaw ich!

Stała niczym słup soli, czując, że nogi ma jak z ołowiu. Syreny wyły, słychać było strzały. „Niech mnie ktoś trafi”, pomyślała, „ja już nie chcę

dłużej”. Dopadł do niej Andrzej Trojanowski i szarpnął za ramię. W tym samym czasie kula uderzyła w miejsce, gdzie przed chwilą stał. Gdyby nie wrócił po Zosię, teraz by nie żył.

– Zosiu, chodź – prosił. – Wszystko jest dobrze. Tylko rusz się. Zobacz, został tylko kawałek.

– Strzelają jak do kaczek – powiedziała, chowając się z nim w bramie.

– Nas nie trafią – odparł, a w tej samej chwili biegnąca od strony Świętokrzyskiej dziewczyna, która cały dzień opatrywała chorych ramię w ramię z Zosią, Połońskim i Trojanowskim, chciała zostać lekarką, padła trafiona niemiecką kulą i znieruchomiała.

– Trzeba jej pomóc – odezwała się z niepokojem Zosia. – Andrzeju, osłaniaj mnie, ja tam pójdę.

– Ona nie żyje – stwierdził doktor Trojanowski. – Nie rusza się. Już jej nie pomożesz, a sama zginiesz.

Dobiegli do piwnicy w chwili, kiedy zaczęły spadać bomby. Kawał tynku oderwał się od ściany i zwałił dosłownie o kilka centymetrów od głowy Zosi.

– Leż, chłopaku, nie ruszaj się – poleciła harcerzowi, temu samemu, który ją przeprowadził z Legii do Śródmieścia i o którego życie walczyła z Andrzejem.

– Co się stało? – wyszeptał, krzywiąc się z bólu.

– Dwie kule – odparła zwięźle. – Brzuch i noga.

– Boli – powiedział.

– Musisz wytrzymać. – Położyła mu rękę na czole.

Był rozpalony, gorączkował.

– Czy „Gwizdon”...? – zaczął.

– Tak, dostał twój meldunek – zapewniła go. – Wszystko się udało.

Chłopak zamknął oczy. Zosia podeszła do Andrzeja, który opatrywał głowę jakiejś kobiecie w drugim kącie piwnicy.

– Ten chłopak, co oberwał w brzuch i nogę, gorączkuje. Co mamy?

Andrzej Trojanowski skończył opatrywać kobietę i sięgnął po torbę.

– Aspirynę. – Podał jej tabletki.

– Tylko to? – spytała rozczarowana.

– A czego się spodziewałaś? – Wziął się pod boki. – Penicyliny?

– Niemcy ponoć mają.

– Też słyszałem, że mają i nawet stosują w obozach koncentracyjnych.

Mimo to nie chciałbym się tam znaleźć.

Wzięła aspirynę.

– Dziękuję.

– Ranę oglądałaś?

Pokręciła przecząco głową.

– Jest mało wody, licho wie, ile będziemy musieli tu siedzieć. Jak odsłonię mu ranę, to nie wiem, jak ją potem znów oczyszczę.

– Masz rację – powiedział i poszedł z nią do harcerza.

– Hej, mały. – Potrząsnął ramieniem chłopaka. – Otwórz oczy, dostaniesz aspirynę.

– To gorzkie? – wymamrotał harcerz.

– Kwaśne – odparł doktor Trojanowski, po czym rozpuścił lek w resztkę wody i przytknął kubek do ust chłopaka.

– Jak ty się nazywasz, co?

– „Ważka” – ledwie dosłyszalnie wymówił swój pseudonim.

– Słuchaj, „Ważka” – powiedział doktor Trojanowski. – Razem z doktor Gorazdowską trzy godziny cię zszywaliśmy, więc mi tu nie umieraj. Jasne?

– Rozkaz – wyszeptał chłopak i zapadł w sen.

– Tak wygląda piekło – powiedziała Zosia do Andrzeja, a potem także zasnęła mimo bomb i huku.



Kolejne dni nie przyniosły odpowiedzi na pytanie, czy Stach i Kornel żyją. Zosia częściej przebywała w schronie niż w namiocie medycznym. Potem miejsce, w którym stał, zbombardowano, więc już nie było do czego wracać. Kolejną salę operacyjną skromnie wyposażono w jednej z piwnic na Kruczej. Tam Zosia przeniosła się razem z Andrzejem Trojanowskim. Potem dołączyli do nich lekarze ze Szpitala Dzieciątka Jezus i chirurg ze Szpitala Przemienienia, doktor Radomkiewicz.

– Ewakuowano nas do Instytutu Weterynarii przy Terespolskiej i do szkoły przy Siennickiej. Byle dalej od rzeki – relacjonował. – Przedarłem się tu, bo mam rodzinę. Przy Marszałkowskiej.

– To może pan wie, czy kamienica przy Piusa cztery ocalała? – spytała Zosia.

– Ja mieszkam przy placu Unii Lubelskiej – usprawiedliwił się. – Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że moi wczoraj jeszcze żyli.

– Ile bym dała, żeby dowiedzieć się, czy mąż żyje – powiedziała.

– Niech pani pośle kogoś z listem.

Pokręciła przecząco głową. Ludzie przekazywali sobie wieści o tym, że żyją, ukrywają się w piwnicach albo walczą, ale każdy taki list mógł kosztować życie jakiegoś dzieciaka. Nie chciała mieć nikogo na sumieniu. Musiała wierzyć, że Stach żyje. I czekać.

– Nie – odpowiedziała. – Nie będę narażać niczyjego życia. Poza tym wieści, które by przekazał, mogą być przecież nieaktualne.

– Przywieziono nowych rannych – zameldowała śliczna sanitariuszka z oczami jak bławatki i czerwonymi ustami.

– Dawaj ich tutaj, „Różyczko” – zarządził Trojanowski.

Pierwszym, którego wniesiono, był nieprzytomny Kornel Witchel.

– Kornel! – Zosia doskoczyła do noszy i objęła go rękoma. – Kornel! Co ze Stachem? Kornel?

Andrzej Trojanowski podszedł do nich i odsłonił koc, którym Kornel był przykryty. Jego lewa noga była całkiem zmiądzona.

– Trzeba amputować – zaordynował Trojanowski. – Teraz nic ci nie powie.

Zosia zamknęła oczy i pokiwała głową.

– Zajmij się innymi – poprosił. – Ja to zrobię z „Różyczką”.

– Dacie radę? – spytała zdławionym głosem.

– To instrumentariuszka od nas z Dzieciątka. Oczywiście, że damy radę. To tylko noga do ucięcia.

– Kornel jest kierowcą – wyszeptała. – Rajdowcem. Nie może zostać bez nogi. On...

– Ktoś go będzie musiał wozić – odparł krótko Andrzej, po czym skinął na piękną „Różyczkę” i rozpoczęli zabieg.

Rannych było wielu. Zosia oczyszczała i zszywała rany oraz rozerwane mięśnie. Każdy jej ruch był pewny, wystudiowany. Ręka nie drgnęła jej, nawet kiedy opatrywała pięknej dziewczynie dziurę po oku, które trafione odłamkiem wypłynęło na zewnątrz. Uśmiechała się do nastolatki, która straciła prawą dłoń i już nigdy nie będzie grała na skrzypcach. Nic nie mówiła, poza wydawaniem zaleceń lekarskich. Nie umiała znaleźć żadnych uspokajających słów. Nie wiedziała, co powiedzieć matce, która widziała trupy swoich dwóch synów i martwiła się, że córka nie daje znaku życia. Nie wiedziała, co powiedzieć pani Zofii Helbrecht-Kowalskiej^[206], którą znała z posiedzeń Państwowego Instytutu Higieny, bardzo zdolnej farmakolog. Wyciągnięto ją z gruzów i przyniesiono do piwnicy, kiedy już nic nie dało się zrobić.

– Poznaje mnie pani? – spytała Zosia, głaszcząc ją po głowie.

Pani Helbrechtowa otworzyła oczy.

– Doktor Zosia – wyszeptała.

– Gdzie Jurek^[207]?

Syn pani Zofii miał piętnaście lat. Wychowywała go samotnie.

Zofia Helbrecht westchnęła.

– Poszedł – wyszeptała. – Prosiłam, błagałam. On poszedł...

Umarła z szeroko otwartymi oczami i rękoma zaciśniętymi w pięści, a Zosia nie znalazła ani jednej łzy, żeby ją oplakać.

– Zosiu, Kornel się budzi. – Andrzej Trojanowski podszedł do niej. – Nie wie, że nie ma nogi, więc bądź delikatna.

– Stach zginął – brzmiały pierwsze słowa Kornela, a ona poczuła tak silny ból serca, że zabrakło jej tchu.

– Gdzie? – spytała przez zaciśnięte zęby.

– Na Starówce – powiedział z wysiłkiem. – Czwartego sierpnia, podczas obrony pałacu Blanka... Trafił go snajper. Wielu z nas wtedy zginęło. Taki młody poeta, Krzysztof Baczyński^[208], podobno go znaleźcie i lubiliście... Stach umarł godzinę po nim. Dostał w głowę, śmierć nadeszła od razu.

Serce rozdzierała jej rozpacz. Jej Stach, jej radość, miłość, życie. Jej skała, opoka i cała przyszłość, której już nie będzie. Kornel z wysiłkiem przełknął ślinę. Zwilżyła mu usta wodą, wciąż milcząc.

– Przepraszam, Zosiu... – powiedział. – Gdybym mógł się z nim zamienić...

– Na szczęście nie możesz – odpowiedziała, nie patrząc na niego. – Straciłeś tylko nogę.

Kornel sięgnął ręką, próbując wymacać kikut.

– Nie... – jęknął. – Nie...

– Ale żyjesz – dodała bezlitośnie. – Nie masz za co przepraszać. Gdzie on teraz jest?

Przypomniała sobie, jak ciężko przeżyła śmierć dziadka i nie mogła pogodzić się z tym, że nie odnaleźli ciała i nie mogli go pochować. Chciała godnie pożegnać chociaż Stacha.

– Pogrzebałem go – powiedział bardzo cicho. – Na rogu Moliera i Daniłowiczowskiej. Napisałem imię na grobie. Był też ksiądz.

Nie poczuła ulgi na wieść, że Stach spoczywa w ziemi, a jego ciało skropiono wodą święconą.

– Nie chcę księdza – powiedziała i po raz pierwszy od dawna z jej oczu polały się łzy. – Chcę go sama pożegnać. Chcę, żeby leżał w rodzinnym

grobie. Chcę...

Poczuła uścisk czyjejś dłoni na ramieniu. Obejrzała się. Za nią stał ksiądz.

– Niech mnie ksiądz zostawi – poprosiła. – Właśnie się dowiedziałam, że mój mąż zginął. Nie mam siły się modlić.

– Ja się pomodłę za panią. – Uśmiechnął się.

Miał dobre niebieskie oczy.

– Szkoda na mnie modlitwy – rzuciła butnie, sądząc, że go obrazi.

– Na nikogo nie szkoda – zaczął, ale przerwała mu gwałtownie.

– Nie wierzę w Boga! Za wiele widziałam! Tyle cierpienia! Tyle śmierci!
– krzyczała.

– Zosiu, proszę... – wyszeptał Kornel, krzywiąc się z bólu. – Proszę księdza, ja... Przepraszam...

Ksiądz uciszył go wzrokiem.

– Nie trzeba przeproszać. Ludzką rzeczą jest wątpić. Zwłaszcza w obliczu takich... – Tu powiódł dłonią po ludziach skulonych w piwnicy, płaczących, sztywnych z przerażenia. Szczególnie dzieci, ranne, głodne i spragnione, przedstawiały straszny widok.

– Takich niesprawiedliwości, na które Bóg patrzy obojętnie – dokończyła za niego Zosia, a potem wycelowała palcem w „Ważkę”, który leżał między dwoma innymi operowanymi i pojękiwał cicho: – Wie ksiądz, co ten chłopak mi powiedział? O Bogu?

– Co takiego? – spytał ksiądz spokojnie.

– Że Dzieciątko Jezus patrzy z góry, jak snajperzy strzelają do dzieci. I co ksiądz na to odpowie? Zaprzeczy ksiądz?

Pokręcił głową.

– Nie zaprzeczę – powiedział cicho. – Dzieją się straszne rzeczy. Wciąż jednak dostaję znaki miłości Boga.

– Może ksiądz opisać mi jeden z takich znaków? – spytała. Rozmowa przynosiła jej dziwną ulgę.

Znów się uśmiechnął.

– Ukrywaliśmy się w krypcie i kiedy kościół zbombardowano, zasypało mnie – powiedział. – Straciłem przytomność, przez chwilę byłem po tamtej stronie. Widziałem białe światło. Ale Chrystus powiedział do mnie: „Jeszcze nie czas”. Harcerze mnie znaleźli, usunęli kamienie, żebym mógł przeżyć.

– I uważa ksiądz, że ja też otrzymam taki znak? – Skrzywiła się. – Ktoś mnie odkopie i będę mogła powiedzieć, że żyję dzięki Bogu?

– Nie mów tak, Zosiu – rozległ się cichy głos Kornela. – Masz dzieci. Są bezpieczne. Proszę...

– Kto wie, co jeszcze pani pisane. Może miłość, może służba... – dodał ksiądz.

Zosia odeszła na bok, bo nie była w stanie go słuchać. Uklękła przy „Ważce”.

– Hej, chłopaku. – Potrząsnęła jego ramieniem. – Dam ci trochę zupy. Musisz zjeść.

„Ważka” otworzył oczy. Położyła mu dłoń na czole. Było chłodne. Wzięła podaną menażkę z rzadką zupą i zaczęła karmić rannego harcerza, łyżka po łyżce. Obok niej znów znalazł się ksiądz. Usłyszała słowa modlitwy i zirytowało ją to. Odwróciła się, żeby spytać, czemu znów się nad nią modli. Zobaczyła go pochylonego nad dwoma drobnymi ciałami przykrytymi ubraniami. Spod jednego wystawał kikut świeżo amputowanej przez nią nogi. Była to dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, którą przyniesiono ze zmiążdżoną stopą i raną głowy. Operując ją bez znieczulenia, bo już go zabrakło, Zosia zastanawiała się, czy jej matka i ojciec wiedzą, że wyszła na ulicę. Ktoś wtedy powiedział, że jej rodzice zginęli jeszcze na początku wojny, ona mieszkała z siostrą. Siostra zginęła w pierwszych dniach powstania. Mała wyszła z domu, bo zabrakło jej jedzenia.

– Ona nie miała nikogo – powiedziała do księdza, wskazując na wąty kształt pod szmatą.

– Bóg był przy niej. Nigdy nie jesteśmy sami – powiedział cicho ksiądz, po czym uśmiechnął się dobrotliwie i odszedł do innych chorych i zmarłych.

Zacisnęła ręce w pięści.



Wieczorem ostrzał ucichł, a harcerze przynieśli wiadomość, że Niemcy się przegrupowują.

– Do rana pewnie nie wznowią działań – powiedział Andrzej Trojanowski i usiadł koło Zosi. Oddychał ciężko, był bardzo zmęczony.

– Można pochować zmarłych – powiedziała, myśląc o Stanisławie, który leżał gdzieś przy Daniłowiczowskiej i kto wie, czy po wojnie będzie miał go kto wykopać i przenieść do rodzinnego grobu na Powązkach.

– Zjedz coś i odpocznij – nakazał stanowczo doktor, a potem wziął Zosię za rękę i spojrzał w oczy. – Bardzo mi przykro, Zosiu – dodał. – Boleję nad twoją stratą.

– Co ja dzieciom powiem... – Oparła głowę o ramię kolegi. – Grażynka, Gienek... Jak my sami sobie poradzimy?

Andrzej śledził wzrokiem harcerzy, którzy wynosili zmarłych, aby ich pogrzebać.

– Chciałbym cię zapewnić, że przeżyjesz, że sobie poradzisz, że dzieci zapomną...

– Ale nie możesz – przerwała mu.

– Nie mogę – zgodził się. – Dlatego radzę ci, żebyś pojechała do Komorowa, do nich.

W myślach rozważała tę możliwość. Nie była dobrą matką. Kochała syna i córeczkę i gdyby trzeba było, oddałaby za nie życie. Ale więcej radości i satysfakcji sprawiało jej ratowanie zdrowia i życia obcych dzieci. „One mają tylko mnie”, usprawiedliwiała się zawsze w myślach, kiedy zamiast

wyjazdu do Komorowa, żeby zobaczyć się z Grażynką i Gienkiem wybierała pracę i pomoc rannym.

– Jestem złą matką. – Rozpłakała się cicho. – Wolę być tu niż z nimi. To ja powinnam zginąć, a nie Stach.

– Nie mów takich głupstw – zganiał ją Andrzej. – Nasza praca to powołanie, misja. Stach o tym wiedział.

Pokiwała głową, łykając łzy.

– Tam też będziesz przydatna. I nie mówię o spacerach z dziećmi – dodał.

Wiedziała, o co mu chodzi. Pod Warszawą, w prywatnych domach w Pruszkowie, Brwinowie i Milanówku tworzono dobrze funkcjonujące sale operacyjne i miejsca, gdzie ranni dochodzili do zdrowia. Mogłaby stworzyć taki ośrodek w Komorowie.

– Panie doktorze, przyjechał wóz po rannych. Jadą do Pruszkowa, mają pozwolenie – zameldowała „Różyczka”.

– To bezpieczne? – spytała Zosia, która powątpiewała w dane przez Niemców słowo.

„Różyczka” pokiwała głową.

– Niemcy zabrali swoich rannych, nam pozwolili wywieźć swoich – zapewniła ją „Różyczka”. – Jadę z nimi, wuj jest chirurgiem i ma wille w Brwinowie. Z dużą piwnicą. – Uśmiechnęła się.

– Jedź z nimi – zachęcił Zosię Andrzej, ale ona już podjęła decyzję.

– Zostaję – powiedziała, nie patrząc doktorowi Trojanowskiemu w oczy. – Nie mogę inaczej.

Pożegnała Kornela i „Ważkę”.

– Wrócę, żeby dalej walczyć – zarzekał się „Ważka”.

– Zanim wydobrejesz, powstanie się skończy – powiedziała z uśmiechem.

– Beze mnie nie pokonacie szkopów – upierał się chłopak.

– Daj nam szansę – odparła, układając go wygodniej na noszach.

– Nigdy pani nie zapomnę. – Ścisnął ją za rękę.

„Ja bym chciała cię zapomnieć”, pomyślała, ale na głos powiedziała:

– Ja ciebie też nie.

Kornel nie chciał jechać, ale była nieustępliwa.

– Jedzie z wami siostra „Różyczka” – tłumaczyła cierpliwie. – Wywożą was do Pruszkowa. Wydobrzejesz i ktoś cię przewiezie do Komorowa, do domu.

– Chciałbym tu poczekać na Klementynę – prosił. – Chciałbym się z nią zobaczyć.

– Kornelu – westchnęła. – Klementyna została na Chełmskiej. Ani ona tu nie przyjdzie, żeby się z tobą żegnać, ani ty nie możesz pojechać do niej. I nie możesz też tu zostać, bo potrzebujemy miejsca dla innych rannych.

Niemal obojętnie patrzyła, jak po policzkach Kornela, odważnego, zawsze wesołego, ciekną łzy.

– Jeśli zobaczysz Klementynę, to powiedz jej... – zaczął, ale nie mógł dokończyć, bo żal ścisnął mu gardło.

– Wszystko jej opowiem. – Poglaskała go po twarzy. – Że żyjesz. Że będziesz zdrowy.

– Wrócę – powiedział.

– Ani mi się waź – odpowiedziała poważnie. Miała coś takiego w oczach, co sprawiło, że Kornel zawahał się, a potem pokiwał głową.

– Pilnuj dzieci. Nic nie mów o... – zawahała się – ...Stachu. I czekaj na nas w Komorowie.

– Zosiu, wróć na Chełmską – powiedział, zanim odjechał. – Tam jest dla was najbezpieczniej. Cieszę się, że Klementyna tam jest.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się do niego. Nie zamierzała wracać na Chełmską. Nie wierzyła, że gdziekolwiek jest bezpiecznie.

Kiedy odjechali, wyszła na chwilę na ulicę, ale czym prędzej wróciła. Widok trupów leżących pośród gruzów i wykopywanych naprędce mogił przygnębił ją jeszcze bardziej. Dochodził do niej swąd rozkładających się

ciał. Wróciła do piwnicy, gdzie z kolei śmierdziało potem, brudem i odchodami.



Rano ponownie rozległy się strzały.

– W Śródmieściu, z lokalu przy placu Dąbrowskiego, zaczęło nadawać Polskie Radio – doniosła wysoka dziewczyna, która przyszła wraz z nowymi rannymi.

Zasypano ją pytaniami.

– Na Powiślu i w Śródmieściu już jest lepiej. Nasi odpierają atak wroga – relacjonowała, podtrzymując wysokiego chłopaka, który krzywił się z bólu.

– Na Starym Mieście też udało się powstrzymać natarcie od strony mostu Kierbedzia. Ale plac Zamkowy, ratusz i Miodowa są pod silnym ostrzałem.

– Daj go tutaj – poprosiła Zosia, widząc, że chłopak za chwilę zemdleje.

Dziewczyna posadziła żołnierza i czule pogłaskała go po głowie.

– Jestem Małgosia, pseudonim „Gofka” – powiedziała. – A to mój narzeczony, Piotr.

Chłopak uśmiechnął się słabo. Zosia zajęła się jego głową. Nie wyglądało to najlepiej. Na potylicy miał zdartą skórę. Zakrzepła krew tworzyła rodzaj skorupy.

– Kiedy jadłeś ostatni raz? – zwróciła się do chłopaka.

– Cztery dni temu – odpowiedział. – Ale to nic, jestem silny.

– Trzeba dać mu pić i go nakarmić – powiedziała do dziewczyny.

Ta pokiwała głową i poszła po zupe.

– Głowę masz rozharataną, ale to powierzchowne rany – wyjaśniła. – Założę szwy tam, gdzie mogę. Straciłeś dużo krwi, musisz odpocząć.

– Muszę wracać. „Radosław”^[209] osłania Starówkę. Na Mokotowie pułk „Baszta” się broni. Każdy pistolet się liczy – upierał się.

– Nie możesz ustać na nogach. Bez dyskusji – odpowiedziała stanowczo Zosia. – Wydobrzejesz, to się jeszcze komuś przydasz. Teraz to byś do krowy nie trafił z odległości kilku metrów.

Wróciła Małgosia z zupą.

– Najpierw go nakarm – zarządziła Zosia. – Potem go pozszywam. I pilnuj, żeby nigdzie nie poszedł.



Zosi wydawało się, że to sen.

– Ja, Małgorzata, biorę sobie ciebie, Piotrze, za męża – recytowała za księdzem przejęta dziewczyna. – I ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Zosia była świadkiem kilku powstańczych ślubów. Nie wzruszały jej w ogóle. Przeciwnie. Ludzie, których łączyła nie tyle miłość, ile wspólna walka, śmierć, która mogła przyjść w każdej chwili, przysięgali sobie uczucie w piwnicach, pośród huku bomb i gruzów. A chwilę po ceremonii wdowieli. Uważała, że to okrutne. I niepotrzebne. Ale teraz, kiedy patrzyła na uszczęśliwioną twarz Małgosi, na wzruszenie malujące się na zmęczonym obliczu żołnierza, nie mogła ukryć emocji.

Dziewczyna i chłopak wzięli się za ręce. Ani jedno, ani drugie nie miało obrączek. Przypomniała sobie, jak Stach wsuwał jej złoty krążek na palec, a potem pocałunkami pokrył jej młodą i szczupłą dłoń. Wspomnienie sprawiło jej ból. Dotknęła obrączki i kilkakrotnie przekręciła na palcu. Potem nie bez trudu ją ściągnęła.

– Proszę. – Podała księdzu jedną z najcenniejszych pamiątek.

Ksiądz spojrział na nią z uwagą, a młodzi ze zdumieniem. Uśmiechnęła się i pokiwała głową. „Tak”, chciała powiedzieć, „niech wam przyniesie szczęście i uczyni wasze życie dobrym. Tylko tyle mogę dla was zrobić”. Nie wykrztusiła jednak ani słowa.

– I moja.

Na dłoni księdza pojawił się drugi złoty krążek, подарowany przez starszego mężczyznę, dotychczas siedzącego cicho w drugim kącie pomieszczenia. Zosia zapamiętała go, bo przyszedł do piwnicy z dwiema mięsnymi puszkami pod pachami i torbą na plecach, w której miał trzy wielkie bochny chleba. Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech. Małgosia i Piotr rzucili się sobie w ramiona.

Ksiądz podał młodej parze obrączki. Obrączka Zosi leżała na palcu Małgosi jak ulał, ale ta od starszego pana była na nowożeńca za duża, więc zamiast na serdeczny palec włożył ją na środkowy.

– Żyćcie długo i szczęśliwie – pobłogosławił ich na koniec ksiądz, którego imienia Zosia nawet nie poznała. – Radujcie się każdym dniem. Niech w waszych sercach zawsze gości miłość do Chrystusa.

„Wiąże im stulą stęsknione ręce ksiądz, co podobny jest do księżycy”, przypomniała sobie fragment jednego z ulubionych wierszy – *Zaczarowanej drożki* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego^[210]. Ksiądz nie był podobny do księżycy, przeciwnie – był szczupłym starszym mężczyzną, z głową siwą jak gołębek.

– Przeżyjcie – złożyła im życzenia, jedyne, na jakie mogła się zdobyć.

– Tak jest! – zsalutował jej Piotr.

– Ja się teraz nazywam Małgosia Sykucka-Nieszporek – powiedziała dziewczyna. – Muszę zmienić w papierach.

– Koniecznie. – Zosia uśmiechnęła się blado.

– Jacy oni szczęśliwi – zagadnął ją starszy pan.

– Gdzie pana żona? – spytała.

– Zmarła jeszcze w trzydziestym ósmym – wyznał. – Nie mieliśmy dzieci. Zawsze tego żalowaliśmy, ale teraz, kiedy patrzę na ten świat, myślę, że dobrze się stało. Nie przeżyłbym, gdyby... – Urwał.

– Przykro mi – powiedziała.

– A pani? – zapytał. – Ma pani dzieci? Męża?

– Mam dwójkę – wyznała. – Bezpieczne. Poza Warszawą. Ale wczoraj dowiedziałam się, że mój mąż zginął na Starym Mieście. I szczerze mówiąc... – spojrzała mu prosto w oczy – ...mąż był moim światłem, moją miłością. Bez niego... – Głos jej się załamał. Starszy pan wziął ją za rękę.

– Widzę, jak ciężko pani pracuje – powiedział. – Jak pani operuje w tych warunkach, opatruje rany, pociesza. Trzeba wierzyć, że to wszystko jest po coś.

Nie wierzyła, ale nie miała serca powiedzieć mu o tym.

– Wie pani, że Stalin^[211] obiecał Mikołajczykowi^[212] pomoc lotniczą dla Warszawy? – zapytał. – W radiu mówili.

Nie wierzyła w obietnice Stalina. Wszyscy wiedzieli, że oddziały radzieckie stały za Wisłą. Gdyby Rosjanie zamierzali pomóc powstańcom, dawno by to zrobili. Starszy mężczyzna patrzył z taką radością na świeżo poślubioną parę, że nie chciała jednak psuć jego dobrego nastroju.

– To dobrze – powiedziała. – Byle prędko.

Wstała, ponieważ zobaczyła, że ksiądz się zachwiał i osunął na ziemię, po czym zaczął głęboko i ciężko oddychać.

– Co jest księdzu? – spytała.

– Nic, nic – odpowiedział, usiłując się uśmiechnąć, ale jedynie się krzywił.

Zmierzyła puls. Ciśnieniomierza nie miała, ale puls był przyspieszony, a serce biło nierówno.

– Choruje ksiądz na serce? – spytała.

Pokiwał głową.

– Tuż przed wojną miałem zawał – wyznał. – Od kilku dni boli mnie za mostkiem.

Podawała mu resztkę aspiryny, którą znalazła w plecaku. Obawiała się jednak, że to kolejny zawał.

– Niech ksiądz trzyma tę tabletkę pod językiem – poprosiła. – Rozrzedzi krew.

– Ja umieram, prawda? – spytał. – Lewą rękę mam całą zdrętwiałą.

– To pewnie tylko niedokrwienie – powiedziała niemal wesołym tonem.

– Wzruszył się ksiądz tym ślubem i proszę. Lepiej się nie wzruszać. Jak znam życie, to połowa z tych ślubów zaraz się rozpadnie po wojnie.

– Woda się kończy... – dosłyszała głos sanitariuszek.

Ksiądz znów próbował się uśmiechnąć.

– Więcej wiary – wyszeptał.

– Co tam moja wiara pomoże – stwierdziła ironicznie, ocierając księdzu pot z czoła.

– Kilka dni temu udzielałem ślubu jednej parze – powiedział cicho, przyciskając dłoń do serca i krzywiąc się z bólu. – Wcześniej pytałem, czemu chcą się pobrać. Oboje ranni, brudni, w łachmanach. Nie lepiej poczekać, aż wojna się skończy? Ubrać się w sukienkę, we włosy wpleść kwiaty? Wie pani, co powiedzieli? Że nie chcą czekać. Poznali się poprzedniego dnia. I pokochali od razu.

– I ksiądz uważa, że warto udzielać takich ślubów? – spytała, zastanawiając się, skąd wziąć tabletkę nitrogliceryny albo chociaż kubek wody.

– Zginęli kilka godzin później – westchnął. – Mieli zatem rację. Nie powinni czekać. Nie było na co.

– To miało sens?

– Byli ze sobą do śmierci. Jako małżeństwo – stwierdził.

– Ja odczuwam złość i żal, kiedy operuję jakiegoś dzieciaka, a on później umiera – stwierdziła i zaraz dodała, widząc, że ksiądz wstaje: – Dokąd się ksiądz wybiera?

– Chciałbym przydać się na coś przed śmiercią – powiedział. – Pójdę po wodę.

– Oszałał ksiądz – zaprotestowała. – Boli księdza w klatce piersiowej, ledwie ksiądz dyszy, dwóch kroków nie zrobi, a chce do studni iść? Zastrzelą księdza!

– To nic – stwierdził. – To nic. Aspiryna mi pomogła. Albo umrę na zawał, albo zastrzelą. Byle wodę przynieść. To teraz cenniejsze niż życie.

Czuła się jak we śnie. Dokoła krzątały się sanitariuszki, poiły rannych resztkami wody, a ksiądz spokojnie wziął do ręki wiadro i powoli, krok po kroku, wyszedł na zewnątrz. Dopadła okna. Przez brudną szybę dojrzała, jak podchodzi do studni, mocuje wiadro, a potem uruchamia żuraw. Pompował wodę, aż całe wiadro się nią wypełniło. Potem również powoli, aby nie uronić ani kropli, wrócił do piwnicy.

– Wy dwaj – zwróciła się do dwóch lekko rannych harcerzy. – Weźcie od księdza wiadro, rozlejcie wodę. Nie zmarnujcie nawet kropli!

Sama zaczerpnęła wodę do kubka i napiła księdza. Protestował, ale nakazała mu pić.

– Szkoda na mnie wody, dziecko. – Uśmiechnął się blado.

Gdyby ktoś ją o to spytał, powiedziała, że to niemożliwe, aby ktoś z rozległym zawałem serca dźwignął ciężkie wiadro wody.

– Niech ksiądz odpocznie – poprosiła.

Pomogła mu położyć się na lewym boku, przykryła kocem. Usiadła przy nim. Sądziła, że będzie ją prosił o to, żeby nie traciła wiary albo o wspólną modlitwę, ale on uniósł głowę i powiedział:

– Niech mi pani powie jakiś wiersz.

Zastanawiała się chwilę.

– „Zapytajcie Artura” – zaczęła. – „Daję słowo: nie kłamię, ale było jak ulał sześć słów w tym telegramie: Zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń...”

– O tak... – wyszeptał ksiądz i zamknął oczy.



Następnego dnia Zosia opuściła piwnicę przy Kruczej i poszła w stronę Długiej, bo nowożeńcy, Piotr i Małgosia, powiedzieli, że w tamtejszym

szpitalu polowym brakuje personelu. Chcieli, żeby poszła z nimi, bo wracali na Stare Miasto, ale pomna wskazówek „Ważki”, że jednej osobie łatwiej się przedostać, odmówiła. Pożegnała się ze starszym panem, doktorem Andrzejem Trojanowskim, dwoma innymi lekarzami, którzy w międzyczasie do nich dołączyli, i wszystkimi, których operowała i opatrywała. Wzięła swój plecak i ruszyła wcześniej wytyczonym przez harcerzy szlakiem, głównie przez piwnice.

Dotarła do szpitala późnym wieczorem i kiedy zameldowała się u szefa chirurgów doktora Strońskiego^[213], ku swojemu zdumieniu zastała tam Klementynę. Padły sobie w ramiona.

– Czemu nie zostałeś na Chełmskiej? – spytała Zosia.

– Miałaś rację. Tam jest dobra sytuacja – odpowiedziała jej Klementyna.

– Siostry robią, co mogą, żeby pomóc. Mamy zaopatrzenie i wodę. Chciałam być bardziej przydatna.

– Klementyna... – zaczęła.

Przyjaciółka słuchała o śmierci Stanisława i ranach Kornela z zamkniętymi oczami, jak dziecko, które w ten sposób chce schować się przed światem.

– Ma uciętą nogę, tak? – spytała, wciąż nie otwierając oczu.

– Nic nie dało się zrobić. Nawet gdybym miała dostęp do prawdziwej sali operacyjnej i doktor Michałek by go operował – zapewniła ją Zosia, zastanawiając się, czemu Klementyna nie pociesza jej po stracie Stacha.

Jego odejście wciąż wydawało się jej nierzeczywiste. Śnił jej się w nocy, roześmiany, z koszem jabłek w dłoni. „Zebrałem”, mówił, a ona wyrzekała, po co komu tyle jabłek, i radziła, żeby przejechał przez wieś i rozdał je dzieciom. On popatrzył na nią po swojemu i powiedział, że przecież tu każdy ma swoje jabłka i nie ma co rozdawać. Na koniec wzięła od niego koszyk – patrzy, a tam zamiast jabłek granaty. Stanisław nagle zaczął się robić coraz mniejszy, aż znikł. Zbudziła się, wołając go, zrozpaczona i zapłakana. Długo nie mogła się uspokoić ani zająć się chorymi. Klementyna kołysała ją w ramionach jak dziecko.

– Stach był moim bratem. Płacę razem z tobą – powiedziała wreszcie.

Zosia milczała. „Dalej uważasz, że powstanie jest słuszne?”, chciała spytać, ale się nie odezwała.

– Nie możemy się załamać. Pomyśl o naszych dzieciach – dodała przyjaciółka.

– Nie mogę myśleć o naszych dzieciach i jednocześnie operować inne dzieci – stwierdziła szorstko Zosia. – Mogę robić albo jedno, albo drugie. Inaczej zwariuję.

– Wiem – westchnęła Klementyna. – Przynajmniej jedna z nas powinna być teraz z nimi, pocieszać je. Ale im dłużej pozostaną w niewiedzy, tym dla nich lepiej. Zawsze zdążymy im powiedzieć, że...

– Przestań! – nie wytrzymała Zosia. – Twój mąż żyje, bez nogi można nawet jeździć samochodem.

Klementyna objęła ją.

– Nie wiemy, co przyniesie jutro – powiedziała. – Ale wiem jedno. Od tej chwili musimy trzymać się razem.

– Tak – powiedziała Zosia. – Obiecuj mi – zwróciła się nagle do Klementyny. – Jeśli zginę, wychowacie z Kornelem moje dzieci.

– Ty nie... – zaczęła Klementyna, ale Zosia jej przerwała:

– Nie pora teraz na kurtuazje. Być może wszyscy tu zginiemy, a być może komuś uda się przeżyć. Ja nie mam już nikogo. Dziadek zginął, ciotka Reszczyńska zmarła w trzydziestym siódmym, wuj rok później. Kuzynek Karol siedzi w Afryce i nie dostałam od niego wieści od dwóch lat. Mam tylko ciebie. I Kornela.

Klementyna załkała.

– Dobrze, Zosiu – powiedziała. – Ale ty też mi to obiecuj.

Zosia chwyciła jej rękę i położyła sobie na piersi. To samo zrobiła Klementyna.

– Jeśli zginę... – zaczęła Zosia, a przyjaciółka powtórzyła jej słowa.

– ...wychowam dzieci w miłości do ojczyzny, szacunku do drugiego człowieka... – przysięgały. – Nie pozwolę im zapomnieć, kim byli ich matka i ojciec...

Głos uwiązał Zosi w gardle i zaczęła kaszleć, bo gdzieś niedaleko nastąpił potężny wybuch, a ze ścian posypał się gruz.

– Co się stało? – krzyknął ktoś.

Zosia zerwała się na nogi. Taki wybuch zwiastował zwykle nowy transport rannych.

– Czołg wybuchł! – usłyszała krzyk, a po kilkunastu minutach do szpitala wniesiono pierwszych rannych.

– Jaki czołg? Co się stało? – dopytywała Zosia młodej dziewczyny rannej w głowę, ale ta, ogłuszona w wyniku wybuchu, wodziła tylko bezradnie wzrokiem dokoła i nie odpowiadała.

– Na Kilińskiego wybuchł czołg – powiedział młody chłopak, który siedział pod ścianą, przyciskając do piersi wiszącą bezwładnie rękę. – Myśmy myśleli, że go zdobyliśmy. A to była niemiecka pułapka. Wybuchł i...

Opatrywana dziewczyna odzyskiwała słuch, bo przycisnęła dłonie do uszu i rozglądała się z niepokojem.

– Nie dotykaj rany, kochana – poleciała jej Klementyna, a Zosia podeszła do chłopaka.

– Masz zwichniętą rękę – powiedziała mu. – Na szczęście nie ma złamania. Zaraz ci ją nastawię i unieruchomię.

Poszukała wzrokiem jakiejś deszczułki, żeby podłożyć pod przedramię.

– Niemcy zostawili pojazd pancerny – mówił, kiedy Zosia zakładała sztywny opatrunek. – Ci z batalionu „Gustaw” się na niego rzucili. Że niby zdobyli. I wjechali tym czołgiem na Kilińskiego. Był chyba przy numerze jeden, kiedy wybuchł. Napakowany dynamitem czy innym świństwem...

Zosia powiesiła mu rękę na temblaku.

– Mało rannych – powiedziała. – Chyba niewiele szkód narobił.

Chłopak sapnął.

– Przeciwnie. – Popatrzył jej w oczy. – Mało rannych, bo niemal wszyscy zginęli. Ze trzysta osób. Ja byłem w kamienicy naprzeciwko. Wszystko widziałem. Na ścianę mnie rzuciło. Z kolegą byłem. Trupy leżały wszędzie. Ciała w kawałkach.

– Jezu... – zdołała wymamrotać, zanim dosłyszała jęk.

– To mój kolega – powiedział chłopak. – Przyniosłem go tu, bo był nieprzytomny. Nie wiedziałem, czy w ogóle żyje.

Podbiegła do jęczącego. Musiał dopiero co odzyskać przytomność, bo kręcił się niespokojnie.

– Nie widzę. Nic nie widzę – powtarzał.

Brudnymi rękoma rozmazywał krew, która zakrzepła mu na twarzy, a na powiekach zbiła się w gęstą skorupę.

– Zostaw, zostaw – poprosiła. – To krew, zaraz ci to wszystko obmyję i oczyszczę powieki. Nos złamałeś. Spróbuję nastawić.

– Oczy – jęczał. – Oczy są całe? Będę widział?

– Na pewno – powiedziała, chociaż wcale nie była tego pewna. Oprócz krwi chłopak miał na twarzy sadzę, kurz i kawałki tynku wbite w skórę. – Jak się nazywasz? – zagadnęła.

– Jurek – odpowiedział. – Pseudonim „Czarny”^[214].

– Miałeś szczęście, Jurek – powiedziała, systematycznie usuwając płaty zakrzepłej krwi z jego twarzy, omijając na razie złamany nos. – Nie zginąłeś.

– Koledzy mówili, żebym do nich zszedł – odpowiedział, kaszlnął, a z nosa wyleciał mu potężny skrzep krwi. – Żebym przejechał się z nimi tym czołgiem. Nie chciałem, bo trzy noce nie spałem. Byłem strasznie zmęczony.

– Jurek. – Chłopak ze zwichniętą ręką podszedł do nich. – To ja, Staszek.

– Staszek... – ucieszył się „Czarny” i spróbował wstać.

– Nie ruszaj się i nie otwieraj oczu, zanim cię nie umyję – poprosiła Zosia. – Nie utrudniaj mi.

– Trochę widzę – powiedział chłopak z ulgą, ale położył się posłusznie i zamknął oczy.

– Łącznikiem byłeś, tak? – zagadnęła go znów.

Chłopak był drobny, szczupły, miał na oko kilkanaście lat.

– Żołnierzem – odpowiedział obrażony. – Idzie mi na siedemnasty rok. I mam broń. W konspiracji jestem od początku wojny.

– Dobrze, już dobrze – powiedziała. – Jesteś żołnierzem. Matka cię do powstania puściła?

Usunęła krew, ale wokół oczodołów chłopak wciąż miał wbite kawałki gruzu. Oczy wyglądały na nienaruszone. „Całe szczęście, ze złamanym nosem można żyć. Ślepemu trudniej”, pomyślała.

– Prosiła, żebym nie szedł, bo zginę, ale ja i tak poszedłem – powiedział Jurek. – Pani też tu jest.

Skrzywił się, kiedy dezynfekowała mu twarz spirytusem.

– Też tu jestem, ale moje dzieci bezpieczne, poza Warszawą. Mąż zginął – dodała nagle.

– Gdzie? – spytał chłopak.

– Przed pałacem Blanka.

Zastanowił się przez chwilę.

– Tam nie byłem – stwierdził.

– A gdzie byłeś? – dopytywała się, bo koniecznie chciała go zatrzymać.

„Im dłużej tu z nami posiedzi, tym większa szansa, że przeżyje”, wmawiała sobie, współczując jego matce, nieznannej sobie kobiecie, która teraz pewnie modliła się, żeby syn wrócił cały i zdrowy.

– Najpierw na rogu Młynarskiej i Wolskiej – opowiadał. – Ale tam niska zabudowa, do obrony się nie nadaje. Dalej były wyższe bloki, tam było lepiej. Piwnice sprawdzałem, któredy można przejść, a któredy nie. I butelkami w czołgi rzucałem.

– No – potwierdził Staszek. – Ze dwa dni rzucaliśmy. Butelkami i filipinkami. To takie granaty – dodał.

– Wiem, co to filipinki – odpowiedziała. – Tylko nie wiedziałam, że butelkami i granatami można czołgi zatrzymać.

– No nie można. – „Czarny” się skrzywił. – Ze trzy pantery zapaliłem, ale co to dało. Trzeba by więcej benzyny albo trafić butelką do środka. A filipinki nie wybuchały, czołgi po nich przejeżdżały.

– Strzelali do nas – podjął Staszek. – Jak się butelkę rzuciło, to trzeba było szybko uciekać i biec do następnego domu, bo ten, z którego rzucaliśmy, niszczyli. I walili do nas z karabinów. Musieliśmy się wycofać. Przeszliśmy na Stare Miasto.

– Razem? – spytała.

– Razem to raczej nie, bo jednemu łatwiej – odparł Jurek.

Syknął z bólu, kiedy wyjmowała mu z twarzy odłamki.

– Wie pani, co się stało na Woli, prawda? – odezwał się Staszek.

– Wiem – odpowiedziała krótko.

– On wrócił na Wolę, bo rodzinę tam miał. – Staszek wskazał na kolegę.

– Nie wiedział, że na Starówkę poszli.

– Ja za koniem szedłem – odpowiedział Jurek.

– Za koniem? – Siłowała się z największym odłamkiem, wbitym tuż przy lewej skroni.

– Lesznem szedłem i tam już nic nie było. Cywilów Niemcy zabili albo do obozów wywieźli. Konia zobaczyłem, to go wzięłem. Z prawej, tam gdzie są sądy na Lesznie, był ostrzał. Szedłem za koniem i on mnie osłaniał. Nic mu się nie stało. Potem go oddałem. Tylko trzeba było kawałek barykady rozebrać, żeby mógł przejść. A rodzinę na Starym Mieście znalazłem.

„Czarny” otworzył oczy. W pomieszczeniu było ciemno, mimo to zmrużył oczy.

– Widzę – powiedział z wdzięcznością. – Dziękuję, pani doktor.

– To my już pójdziemy – stwierdził Staszek, a Jurek pokiwał głową, po czym się skrzywił, bo go nos rozbolał. Zosia się rozeźliła.

– Jeszcze ci nos nastawię i nakarmię – powiedziała groźnie do „Czarnego”, po czym zwróciła się do Staszka: – A ty jak będziesz strzelał z niesprawną ręką?

– Ja mańkut jestem – stwierdził. – I nic mnie nie boli.

– Nie jesteśmy głodni. Mieliśmy jedzenia pod dostatkiem. Kwatermistrzowie gotują, tylko czasu nie było, bo kto by myślał o jedzeniu – wyjaśnił Jurek.

– Wina skądś przynieśli. Bardzo dużo wina – wtrącił Staszek z głupią miną.

– Od Fukiera – dodał Jurek, ale zaraz zaczął kręcić głową. – Ale myśmy nie pili, bo za młodzi jesteśmy.

Spojrzała na nich. „Za młodzi na wino, ale ganiają z bronią”, westchnęła w duchu.

– Mowy nie ma – powiedziała stanowczo. – Zostaniecie chociaż kilka godzin i mi tu pomożecie, skoro tacy z was żołnierze i nic sobie nie robicie ze złamań i ran.

Po czym wprawnym ruchem, którym tyle razy nastawiała złamane kości dzieciaków, które pospadały z huštawek, rowerków i drzew, nastawiła nos „Czarnemu”.

Jęknął, oczy prawie wyszły mu z orbit, ale po chwili odetchnął z ulgą.

– Pani to jest mistrz – stwierdził. – Przykro mi, że pani mąż zginął.

– Kilka godzin. – Wycelowała w niego zakrwawiony palec. – Umowa stoi?

Obaj pokiwali głowami. Kiedy odeszła do innych chorych, chłopcy usiedli obok siebie, a potem zasnęli. Po kilku godzinach poszła zobaczyć, czy czegoś nie potrzebują, ale żadnego z nich już nie było.



– Ratunku... Tutaj...

– Trzymam cię, już trzymam!

Spod gruzów wysunęła się ręka chłopca, który wzywał pomocy. Zosia złapała ją i ścisnęła mocno. Obok niej harcerze odrzucali gruz. Chciała pomóc, ale jeden z nich krzyknął do niej, żeby oszczędzała ręce. Faktycznie, za każdym razem, kiedy dźwigała cegły, kawałki kamienia i gruzu, żeby jakiegoś nieszczęśnika wyciągnąć z zasypanej po bombardowaniach piwnicy, długo potem miała zdrętwiałe, opuchnięte palce i nie mogła swobodnie pracować.

– Możesz wyjść? – spytała, kiedy otwór zrobił się dostatecznie duży, żeby uwolnić dzieciaka.

– Tam jest mój brat – powiedział. – I mama, tata, babcia...

Wzięła chłopca na ręce. Miał jakieś pięć, sześć lat. Poza draśnięciami nie dostrzegła żadnych widocznych obrażeń. Był za to brudny i przestraszony.

– Zaraz wyciągniemy twoją rodzinę. – Sanitariuszka, której Zosia przekazała chłopca, uśmiechnęła się do niego.

Jeden z harcerzy pochylił się i zaczął krzyczeć w stronę ciemnego otworu:

– Hop, hop! Jest tam kto?

Odpowiedziała mu głucha cisza. Chłopiec zaczął płakać.

– Ratujcie ich – prosił. – Ja chcę do mamy...

Zosia była świadkiem wielu takich scen, ale nigdy nie zdołała się na nie uodpornić. Szanse, że pod gruzami znajdował się jeszcze ktoś żywy, były niewielkie. Jej zdaniem to i tak cud, że chłopczyk przeżył. I że go znaleźli.

– Da się poszerzyć otwór? – spytała.

– Ja tam wejdę – zgłosił się najmłodszy z harcerzy. – Zobaczę, czy żyją.

– Dasz radę? – spytała go koleżanka.

Chłopak kiwnął głową i zagłębił się w czarnej dziurze. Dziecko cicho płakało.

– Jak masz na imię? – Zosia odgarnęła malcowi włoski z czoła.

– Janek – wychlipał.

Przez otwór pokazała się głowa harcerza.

– Nie żyją – powiedział cicho.

Janek rzucił się w stronę drzwi i Zosia ledwie zdążyła go złapać, zanim wybiegł na ulicę.

– Dokąd idziesz, smyku? Dokąd? – mitygował go harcerz, który podczas penetrowania piwnicy zranił się w nogę.

Zosia rzuciła okiem na ranę, ale chłopak machnął ręką.

– To tylko zadrapanie – powiedział i wskazał na zrozpaczonego chłopca.

– Co z nim?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie było miejsca, w którym dzieci takie jak on byłyby bezpieczne. Nikt nie był bezpieczny.

– Najlepiej go przekazać jakiejś rodzinie – powiedziała w końcu. – Nie może zostać w szpitalu.

– Ja mieszkam niedaleko – powiedziała sanitariuszka. – Zaprowadzę go do domu. Mam brata w jego wieku.

Zosia pokiwała głową.

– Ktoś musi was osłaniać. – Wyjęła pistolet i odbezpieczyła go.

Dziewczyna chwyciła Janka za rękę.

– Pójdziemy do mnie do domu, dobrze? – Uśmiechnęła się do niego. – Niczego się nie bój. Tylko bądź grzeczny.

Chłopczyk pokiwał głową i wziął dziewczynę za rękę. Zosia wyszła z nimi i spojrzała po dachach i oknach ocalałych budynków. Miała wprawę w wyszukiwaniu snajperów.

– Czysto. Idźcie – nakazała dziewczynie.

Potem patrzyła, jak biegną w stronę ulicy, na której stała ocalała kamienica, niczym jeden dąb wśród spróchniałych pniaków.



Jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość o tym, że Szpital Ujazdowski zbombardowano. Harcerz, który przekazał hiobową wieść, nie znał jednak szczegółów. Dopiero pod wieczór dwie pielęgniarki, Kasia i Justynka, przyniosły konkretniejsze informacje.

– Pociski zapalające. Zginęło prawie trzysta osób – mówiła Kasia. – Personel i pacjenci.

– Jest wielu rannych – dodała Justynka. – Ponad stu.

– Henryk żyje? – spytała Zosia, a jej sercem szarpnął strach.

– A Witold? – dodała Klementyna.

– Obaj żyją – potwierdziła Kasia. – Sama widziałam. Nie są ranni.

– Który mamy dzisiaj? – spytał jeden z lekarzy.

– Trzydziesty sierpnia – odparła Klementyna, a Zosia pomyślała, że miesiąc walk przyniósł jedynie śmierć i zniszczenia.

– Powstanie upada – powiedziała cicho siostra Justynka. – Trzeba sobie to wyraźnie powiedzieć.

– Nie można tak mówić – uniosła się Klementyna. – Trzeba mieć nadzieję. Trzeba walczyć do końca.

– Co teraz będzie ze szpitalem? – spytała Zosia, ignorując słowa przyjaciółki.

– Przyszli ludzie z Puławskiej, żeby pomóc – odpowiedziała Kasia. – Nas wysłali tutaj, bo tam już... niewiele potrzeba.

– Powinni ewakuować szpital – powiedział doktor Tarnowski, młody chirurg, który przyszedł na Długą z Puławskiej.

– Dokąd? – Justynka rozłożyła bezradnie ręce. – Nie ma dokąd.

– Cała Warszawa jest w gruzach, wszędzie pełno trupów – powiedziała Zosia do Tarnowskiego. – Nie ma dokąd iść.

– Dlaczego? – spytała młoda lekarka, która tuż przed wybuchem powstania skończyła medycynę na tajnych kompletach. – Dlaczego bombardują szpitale?

– Bo są źli – powiedział ktoś, a inny dodał, że przyjdzie taki dzień, kiedy Niemcy zapłacą za wszystko: mordowanie ludzi w obozach, strzelanie do jeńców, więźniów, cywilów, kobiet i dzieci.

– Zabiją nas wszystkich – powiedziała Zosia z rezygnacją.



Zosia znów była na Żoliborzu. Wraz z Klementyną i innymi dotarły tu kanałami. Kiedy znaleźli szpital polowy w jednej z piwnic, dostrzegła wśród lekarzy Henryka Iwanickiego.

– Henryku! – Rzuciła mu się na szyję. – Henryku! Henryku!

– Zosiu, Zosiu! – Uniósł ją i kręcił się w kółko. Kiedy wreszcie postawił ją na ziemi, trzymał przez chwilę w ramionach, bo zakręciło się jej w głowie, niczym po karuzeli.

– Henryku! – zawołała Klementyna. – Żyjesz!

– Żyję – potwierdził. – I wy żyjecie. Chciałbym powiedzieć coś wesołego, ale...

– Jak się tu znalazłeś? Szedłeś kanałami? Co ze szpitalem? – pytały jedna przez drugą.

– Bombardowali nas przez trzy dni, jedenastego, dwunastego i trzynastego września – opowiadał, a one po początkowej uldze, że Henryk jest cały i zdrowy, słuchały wstrząśnięte. – Prawie nic nie zostało ze szpitala. Zapadła decyzja o ewakuacji. Podzieliliśmy się na trzy grupy. Jedna ruszyła poza Warszawę, gdzieś w wasze okolice, do Pruszkowa czy Brwinowa. Druga przeniosła się na Puławską, a trzecia poszła na południe. Ci ostatni chcą dojść do Krakowa. Ja nie poszedłem na Puławską, tylko przedostałem się na Żoliborz. No i patrzę, a tu moje ulubione koleżanki...

Uśmiechnął się słabo, a Zosia ponownie objęła go i przytuliła się do jego piersi.

– Jakie to szczęście, jakie szczęście... – powtarzała.

– Witold żyje? – spytała Klementyna.

– Żyje, ale zginął jego syn. I bratanek.

– Biedna Nina – powiedziała Zosia i dodała: – Mój Stach zginął. Kornel stracił nogę, ale jest bezpieczny. Dostaliśmy wiadomość, że już jest w Komorowie, w domu.

– Nie wiem, co powiedzieć, Zosiu. – Wziął jej ręce w swoje, a potem pochylił głowę i ucałował jej zmęczone dłonie.

– Nic nie mów – poprosiła. – A zwłaszcza, że jego śmierć była potrzebna albo że zginął dla sprawy, a ja mam żyć dalej, że...

Przyciągnął ją do siebie.

– Nigdy bym ci czegoś tak głupiego nie powiedział. – Spojrzał jej w oczy. – Słyszysz? Nigdy! Też jestem wściekły. I też uważam, że to wszystko było i jest na nic!

– Nie mówcie tak, błagam, bo ja nie mogę z tym żyć – poprosiła Klementyna. – Nasi odbijają kolejne ulice i domy.

Spojrzeli na siebie z Henrykiem, żadne nic nie odpowiedziało Klementynie. Zosia ze wszystkich sił starała się nie gasić entuzjazmu tych, którzy cieszyli się z odzyskanych stanowisk na placu Teatralnym.

– Zdobyliśmy pałac Blanka – trajkotał za nią młody chłopak, dowódca oddziału, kiedy otrzymali wiadomości. Obecnie dowodził jedynie trójką obszarpanych powstańców, bo reszta zginęła. – Poza tym frontową część ratusza i kościół Najświętszej Marii Panny.

W sercu poczuła ukłucie, kiedy usłyszała nazwę pałacu Blanka. To tam Stach stracił życie.

– Za to w Śródmieściu Niemcy ostrzeliwują z ziemi i powietrza – oznajmił Henryk, który spędził kilka dni w piwnicy na Marszałkowskiej.

– Czy możemy jeszcze odzyskać Śródmieście? – spytała Zosia jednego z rannych, który także szedł przez centrum miasta.

– Śródmieścia nie ma – odpowiedział krótko.

– Ceglana, Żelazna, plac Grzybowski i Powiśle zostały zrównane z ziemią – potwierdził Henryk Iwanicki.

– Właściwie to czemu tutaj wróciłeś? Trzeba było przejść z tymi, którzy przeżyli, na Puławską. Mimo wszystko uważam, że z dala od Śródmieścia są większe szanse na przetrwanie – dogadywała Klementyna.

Henryk bezradnie wzruszył ramionami.

– Moja narzeczona mieszkała przy Puławskiej – stwierdził i uśmiechnął się szelmowsko. – Nie cierpię tej ulicy.



– Zawsze myślałam, że w kanałach pachnie, wiesz... – powiedziała Klementyna, kiedy po kolejnej wędrówce pod ziemią wyszli na zburzonym Nowym Mieście.

Zosia zamrugła gwałtownie. Mimo że kończył się wrzesień, oślepiło ją słońce.

– Gównem? – usłużnie podpowiedział Henryk, a Klementyna przewróciła oczami.

– Tak – potwierdziła. – Tymczasem pachnie jakimś metalem, gazem, nie umiem tego określić.

– A musisz? – spytał Henryk.

Podążyły za nim posłusznie do piwnicy na Bednarską, gdzie powitała ich śliczna szarytka, siostra Katarzyna. Szarytek było tam więcej, Zosia pamiętała je z Długiej. Podziwiała je za to, że ani na chwilę nie zdejmowały tych swoich wielkich czepców.

– Najpierw się umyjecie, przebierzecie, a potem coś zjecie. – Zaprosiła ich gestem do środka.

– Jest woda? – ucieszyła się Klementyna.

Szarytka pokiwała głową z politowaniem. Zachowywała się tak, jakby przyjmowała ambasadorów we wzorcowym szpitalu, a nie stała w ciemnej piwnicy.

– Operujemy, więc dla nas woda jest zawsze. Poza tym tu była pralnia. Mamy szczęście.

Kiedy wrócili, umyć i przebrani w czyste ubrania, siostra już na nich czekała.

– Kto by tam myślał o jedzeniu – zaprotestowała Zosia, ale siostra Katarzyna położyła palec na ustach i powiedziała:

– Tutaj ja rządę.

Henryk zrobił głupią minę i poszedł za piękną szarytką. Po chwili dołączyły do nich Zosia z Klementyną.

– Wino? – spytał Henryk. – Pan Jezus jednak tu był...

Zosia parsknęła śmiechem, ale zaraz zamilkła.

– Polecam picie wina zamiast wody, przynajmniej niczym się nie zarazicie – wyjaśniła siostra Katarzyna, a kiedy jedli skromny posiłek złożony z gotowanego makaronu z marchwią, siostra im wyjaśniała: – Cały czas operujemy. Działają dwie sale. Regularnie śpimy. Po trzy, cztery godziny. W sali obok są materace i koce.

Pokiwali znużeni głowami.

– Kiedy ostatnio spaliście? – spytała jeszcze.

Zosia sięgnęła do zakamarków pamięci. Od dwóch dni nie zmrużyła oka. Podobnie Klementyna i Henryk.

– No to najpierw się wyśpicie – zarządziła siostra i pokazała im pokój.

Obie z Klementyną nawet nie próbowały protestować. Jedyne Henryk mruknął coś o tym, że wyśpi się po śmierci, ale szarytka spojrzała groźnie i niemal wepchnęła ich do pomieszczenia, w którym spało kilka osób. Zosia położyła się obok Klementyny i zasnęła na kilka godzin, ignorując jak zwykle odgłos bomb.



W kolejnych dniach straty tylko rosły, co utwierdzało wszystkich w przekonaniu, że walczą o przegraną sprawę. Zosia pracowała w podobnym trybie co inni: przez kilkanaście godzin operowała, przez trzy godziny spała, a w międzyczasie jadła jeden posiłek. Nad stołem operacyjnym nie myślała o Stachu, o tym, że zginął ani że musi odnaleźć miejsce jego pochówku, odrzucała wspomnienie dzieci. Skupiona szyła, wyjmowała pociski, amputowała, usypiała, wybudzała. Wszystko, co tylko było trzeba. Podczas selekcji była bezwzględna. Pierwszeństwo mieli chorzy z ranami brzucha. Tam najszybciej mogło wdać się zakażenie. Potem operowała kończyny, na końcu głowy.

– I pomyśleć, że marzyłam o chirurgii – mówiła do Henryka, ilekroć otwierała komuś głowę, żeby usunąć zakleszczone ciało obce albo odessać krew uciskającą mózgowie.

– Proście, a będzie wam dane – odparł Henryk i uśmiechnął się do niej po swojemu. – Panu Bogu musiało się ciebie zrobić żal, bo zrobił cię nie tylko chirurgiem, ale i chirurgiem dziecięcym, a nawet neurochirurgiem. Po wojnie powołasz na świadków kilku chorych, których zoperowałaś w tej oto piwnicy, i odbierzesz dyplomy.

– A ty doktorat – odparła zgryźliwie i odłożyła na bok narzędzia, kiwając głową na asystentkę, która miała zaszyć ranę pooperacyjną.

– Tak. – Henryk uśmiechnął się szelmowsko. – Doktor honoris causa piwnic na Starym Mieście. Wręczy mi je stróż odstawiony jak w Boże Ciało. Temu doniosłemu wydarzeniu towarzyszyć będzie aplauz mioteł uderzających o wiadra. W wykonaniu pań woźnych naturalnie. Posypią się propozycje matrymonialne.

Obmyli ręce i podeszli do kolejnego chorego. Zosia po szybkich oględzinach odetchnęła z ulgą. Chłopak miał tylko jedną ranę na boku, wydawało się, że to jedynie głębokie draśnięcie, a kula nie uszkodziła żadnych ważnych organów.

– Jasny gwint! – Zosia aż podskoczyła, kiedy po nacięciu skóry do zabiegu chory otworzył oczy i poruszył się niespokojnie.

– Dajcie tu więcej znieczulenia! – krzyknął Henryk.

Marychna, instrumentariuszka z Ujazdowa, która z konieczności pełniła funkcję anestezjologa, rozłożyła bezradnie ręce.

– Nie mogę! Musimy oszczędzać.

– No to zwiążcie go! – wrzasnęła Zosia niczym handlarka z Różyca.

– Spójrz na to tak, Zosiu – chichotał Henryk, kiedy zszyli mięśnie, zatamowali krwawienie i zostawili ranę młodszemu do zaszycia. – Umarłego byś przywróciła do życia, nie mówiąc o znieczulonym...

Po raz kolejny tego dnia mimowolnie się uśmiechnęła.

– Nie pozwalam ci zginąć, słyszysz? – pogroziła mu skalpelem. – Musisz przeżyć i mnie rozśmieszać.

– No wiesz – westchnął Henryk. – Ja to ci mogę obiecać, ale...

– Żadnego „ale”. Wszyscy, tylko nie ty.

– Dobrze, dobrze, moja Zosiu, doktoreczko ulubiona. Dobrze...

Podeszła do nich Klementyna.

– Mamy kłopot – oznajmiła półgłosem.

– Serio? – Henryk roześmiał się. – Mały kłopot czy większy, a może ogromne kłopoty polegające na tym, że bez przerwy strzelają, a kiedy przestają strzelać, to bombardują?

– Przestań, Heniek – zdenerwowała się Klementyna. – Mamy za mało wody, rany pacjentów ropieją, szerzy się gorączka. Powinniśmy tych ludzi izolować, a nie ma gdzie ich kłaść.

Zosia westchnęła. Henryk Iwanicki spoważniał.

– Gdybyśmy mieli antybiotyki... – mruknął.

– Ale nie mamy. – Klementyna zdjęła czepek z głowy i otrzepała go.

Henryk zaczął kasłać.

– Operacje się udają, a pacjenci i tak będą umierać na zakażenie ran – powiedziała Zosia z rezygnacją.

– Jeszcze w czterdziestym pierwszym czytałem o antybiotykach. – Henryk zadumał się.

– Ja też o nich czytałam. W czterdziestym drugim i trzecim. Niemieccy lekarze o nich donosili. Niezwykłe leki. Przełom.

– Myślisz, że mają je u siebie na stanie?

Zosia wzruszyła ramionami.

– Nawet jeśli mają, to się nie podzielą – stwierdziła, po czym zawołała kilka pielęgniarek, które akurat nie asystowały przy stołach operacyjnych. – Pewnie już wiecie, że mamy zakażenie – powiedziała. – Musimy wygotować wszystkie narzędzia.

– To nic, że warunki są polowe – dodała Klementyna.

– Tak jest. – Dziewczyny pokiwały głowami.

– Przyniesiono butlę samogonu – dodała jedna, najmniejsza, z mysimi warkoczykami.

Zosia widywała ją przy stole operacyjnym, sprzątającą, opatrującą rany, uspokajającą dzieci, ba, nawet czytającą pacjentom. Nigdy nie widziała, żeby dziewczyna odpoczywała.

– I kilka puszek czekolady – dodała druga, sympatyczna, z piegowatym nosem.

– Samogon będzie dobry do dezynfekcji, czekolada niekoniecznie... – wtrącił się Henryk.

– Całe szczęście, że mamy pompę w podwórzu – dodała Klementyna.

– Tylko z podgrzaniem wody będzie problem, bo nie ma na czym. – Mała sanitariuszka podniosła dwa palce do góry jak do odpowiedzi w szkole. – Ale ja zaraz spróbuję coś tu poradzić.

– Pani idzie ze mną – zdecydowała Zosia. – Wy, dziewczyny, się tym zajmiecie. – Wskazała palcem na pozostałe.

Pokiwały głowami i rozbiegły się do swoich zadań.

– Co mam zrobić, pani doktor? – Myszka patrzyła na nią szarymi, poważnymi oczami.

Zosia wskazała jej pokój do odpoczynku.

– Pójść ze mną odpocząć – stwierdziła stanowczo i widząc, że dziewczyna chce zaprotestować, dodała: – To jest rozkaz.



Kiedy zbudzono ją do skomplikowanego porodu, wstała natychmiast i pomogła przyjąć bliźniaki. Pierwszy przyszedł na świat szybko, ale drugi przodował nóżkami i gdy w końcu się urodził, był w bardzo ciężkim stanie. Razem z Klementyną próbowały utrzymać go przy życiu, ale po kilku godzinach nierównej walki poddały się i zamknęły dziecku oczy.

– Ty jej powiesz? – spytała Klementyna, wskazując na matkę.

Przed wojną Zosia spędziłaby z nieszczęsną położnicą dużo czasu, pocieszała, tłumaczyła, nawet modliłaby się wspólnie nad martwym dzieckiem, ale teraz nie miała na to ani trochę siły.

– Bardzo mi przykro – powiedziała bez ceregieli. – Ale drugi chłopiec nie przeżył.

Dziewczyna nie przestawała karmić pierwszego bliźniaka, nie zaszczyciła jej przy tym ani jednym spojrzeniem. Zosia postąpiła chwilę, potem poszła do pokoju odpoczynku. Miała przed sobą trzy godziny snu i zamierzała je wykorzystać, póki jeszcze mogła.



Ostatniego dnia września o siedemnastej skapitulował Żoliborz. Zosia dowiedziała się o tym dopiero późnym wieczorem, kiedy szła odpocząć po kilku operacjach, z których większość zakończyła się niepowodzeniem.

– Co teraz będzie? – spytała Klementyny, która siedziała w kucki i jadła zupę z menażki.

– Jutro ewakuacja – odpowiedziała dość obojętnie.

– Od piątej rano do dziewiętnastej, jutro i pojutrze. – Podeszła do nich szarytka.

– Niemcy wyznaczyli pięć punktów – dodała sanitariuszka Justysia. – Przy Grzybowskiej, Pańskiej, Piusa, Śniadeckich i przy politechnice, w Alejach.

– Ludność cywilna ma tamtędy opuszczać miasto. – Głos Klementyny był wyprany z emocji.

– To znaczy, że powstanie dogorywa. – Dosiadł się do nich Henryk.

– Trzeba się przespać przed ewakuacją – stwierdziła Zosia.

W tej samej chwili gdzieś niedaleko nich wybuchła bomba.

– To jest zawieszenie broni?! – wrzasnął Henryk.

Zosia chciała mu odpowiedzieć, że to dopiero jutro, ale jej słowa zagłuszyło wycie syren.

– Do schronu! – krzyknęła siostra Katarzyna.



– To pewne? – zwróciła się Zosia do siostry Katarzyny. – Widziała siostra ciała?

Szarytka przeżegnała się kilka razy.

– Świeć panie nad ich duszami.

– Co one tam robiły? – spytała Zosia, przelękając ślinę. – Dlaczego nie weszły do schronu?

Nalot skończył się dopiero nad ranem. Bomby spadały bardzo blisko ich piwnicy i Zosia była pewna, że nie wyjdą z tego żywi. Gruzu i pyłu było w pomieszczeniu tyle, że niektórych, w tym ją, od stóp do głów pokrywał teraz biały pył. Nie powiedziała nikomu, ale dostał się jej do oczu i teraz drażnił powieki. Mimo to zasnęła wsparta o ramię Henryka. Kiedy się obudziła, Klementyna powiedziała jej, że Justyna i Kasia nie przyszły do schronu.

– Schodziłam, gdy krzyknęły, że jakieś dzieci płaczą się na ulicy – opowiadała bezradnie szarytka. – Miały je zaraz przyprowadzić.

Siostra trzęsącymi się rękoma naląła chochelką kubek wody i podała jej. Zosia wypila łąpczywie. Chłodna, czysta woda sprawiła jej przyjemność. Zosia była dziwnie spokojna. Nie czuła lęku, zmęczenia ani żalu. Właściwie nie czuła nic poza nieznośnym pieczeniem pod powiekami.

– Jak teraz wygląda sytuacja? – spytała spokojnie. – Wie siostra?

– Przygotowujemy się do wymarszu – odpowiedziała.

– I zostawimy te dziewczyny? Ktoś je pogrzebał? – dopytywała się.

Zakonnica spojrzała na nią zdumiona.

– Przecież pani doktor wie...

– A siostra wie, że ciała rozkładają się na słońcu i nadgryzają je psy? I zaraza się szerzy?

Szarytka miała rozbiegany wzrok.

– Jeśli wyjdziemy, żeby grzebać ciała...

Zosia potarła czoło palcem.

– No tak – powiedziała. – No tak.



Dziwnie było tak podążać w ciszy, w październikowym słońcu, w ułudzie spokoju. Zosia szła obok Henryka, który niósł nosze. Kilkanaście metrów przed nimi maszerowała siostra Katarzyna, a obok niej Klementyna, obciążona plecakiem ze sprzętem. Zosia zawstydziała się, że niczego nie niesie, ani noszy, ani sprzętu, tylko niewielki tobołek z osobistymi rzeczami.

– Jestem nieprzydatna – powiedziała do Henryka. – Wszyscy widzą, że nie mam już siły.

– Nie gadaj głupot – odpowiedział jej Henryk. – Bo ja nie mam siły cię pocieszać.

– Pójdę do Klementyny – stwierdziła. – Pomogę jej nieść plecak.

Przesunęła się do przodu kolumny i szła obok przyjaciółki. Klementyna też była zmęczona, ale po dawnemu uśmiechnięta i pełna optymizmu.

– Daj, poniosę plecak. – Zosia wyciągnęła do niej rękę.

– Kiedy mnie nie przeszkadza – odpowiedziała Klementyna.

– No właśnie – zdenerwowała się Zosia. – Jak to robisz, że jeszcze jesteś w stanie chodzić, nieść sprzęt i opatrywać chorych? Nawet fartuch masz na sobie. Nie jakieś szmaty, tak jak ja.

Klementyna roześmiała się.

– Lubię być dobrze ubrana – odpowiedziała. – Przecież wiesz.

Po chwili przystanęła i zdjęła plecak.

– Masz. – Podała go Zosi. – Nieś, skoro tak bardzo chcesz.

Zosia przyjęła ciężar z wdzięcznością. Włożyła go sobie na plecy, westchnęła i uśmiechnęła się do przyjaciółki, która teraz niosła jej tobolek.

– Wyglądasz jak... – powiedziała Klementyna, zerkając na nią – jak...

– No jak? – Zosia wzięła się pod boki i podskakiwała w trakcie marszu.

Klementyna zaczęła się śmiać.

– Już wiem! – zawołała. – Wyglądasz jak...

Pocisk, który przeszył jej brzuch, został wystrzelony przez snajpera mierzącego do ich kolumny z okna na drugim piętrze zniszczonego budynku. Niemiec, który najwyraźniej nie słyszał o zawieszeniu broni albo miał za nic ewakuujących się cywilów, strzelał raz za razem.

Klementyna upadła na ziemię. Z rany wypływało mnóstwo krwi i Zosia zrozumiała, że nie ma dla przyjaciółki ratunku, bo ta ma prawdopodobnie rozerwaną tętnicę.

– Nie! Nie! Nie! – wrzeszczała Zosia, uciskając obiema rękami krwawiące miejsce.

– Zosiu, padnij! Zosiu! – jak przez mgłę usłyszała obok siebie głos Henryka i poczuła, że mężczyzna szarpie ją za ramiona.

Klementyna uniosła prawą rękę.

– Trzymaj się, Klementyna! – krzyczała Zosia. – Nie możesz mnie zostawić! Nie możesz!

Kule świstały jej koło ucha, ale Zosia nie zwracała uwagi na to, co się działo koło niej. Ścisnęła przyjaciółkę za rękę, zaklinała ją i płakała. Henryk, który bezskutecznie usiłował odciągnąć Zosię z linii strzału, zasłonił ją własnym ciałem. Wreszcie ktoś strzelił i zabity snajper spadł z dachu prosto na kupę gruzu.

– Zosiu, przestań! – krzyknął. – Ona chce coś powiedzieć.

Zosia zbliżyła ucho do ust Klementyny.

– Obiecałaś... – wyszeptała przyjaciółka.

Umarła w krótkim spazmie, z otwartymi oczami, a Zosia dopiero wtedy położyła się koło niej, wzięła przyjaciółkę za rękę i leżała tak, chociaż Henryk prosił, żeby wstała i pozwoliła ją pochować.

– Co ja powiem jej dzieciom? – spytała Henryka, kiedy już pogrzebali Klementynę w płytkim grobie i obłożyli go gruzami, żeby głodne zwierzęta nie wykopały ciała.

Henryk milczał.



Noc spędzili stłoczeni w na wpół zasypanej piwnicy. Zosia spała wiele godzin, jak zwykle ignorując bomby, ostrzał i krzyki strachu. Śniła jej się roześmiana Klementyna. Zbudzono ją dopiero godzinę przed wymarszem.

– Siostra Katarzyna? – spytała.

Oczy ją bolały i niewiele widziała. „Przeklęty pył”, pomyślała.

– Siostra Renata – odparła tamta. – Siostra Katarzyna jest zajęta przygotowaniem do wymarszu.

– Niewiele widzę – przyznała się Zosia. – Chyba nie będę przydatna.

Ktoś wziął ją za rękę. Poczowała światło latarki na powiekach. Skrzywiła się. Dookoła słyszała tupot nóg i krzyki.

– Szybciej! Szybciej!

– Henryk! – krzyknęła, ale nie usłyszała odpowiedzi.

Wokół niej trwała bieganina.

– Niemcy atakują od strony placu Zamkowego!

– Ze strony Krasińskich i Nowego Miasta też!

– Niech się pani nie rusza, pani doktor – dobiegł ją miły, spokojny głos. –
Oczyszczę pani oczy.

– Ma pani czym? – spytała.

– Mam krople, myślałam, że się nie przydadzą, ale po tych wędrówkach
kanałami będą w sam raz – głos dziewczyny przebijał się przez krzyki.

Poczuła na rogówce szczypanie.

– Jest też ciało obce. – Dziewczyna oglądała ją uważnie, ignorując
zamieszanie dokoła.

– Może je pani usunąć?

Poczuła krótki, ostry ból, a potem ulgę.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Zosiu, co tobie? – dosłyszała pełen troski głos Henryka.

– Zaproszyło mi oczy, ale to nic – powiedziała obojętnie, bo nie chciała
go martwić.

– Poradzisz sobie? – pytał z troską.

– Idź do swoich zadań. – Machnęła ręką.

Bardzo chciała, żeby został, ale Henryk tylko pokiwał głową i odszedł,
aby pomóc przy chorych i pakowaniu sprzętu.



Dwa dni zawieszenia broni pozwoliły na wyprowadzenie cywilów
w miejsca, z których można się było ewakuować poza Warszawę. Dołączyli
do innych grup. Teraz szli już kanałami, przez całą noc ciągnąc ze sobą

chorych i karabiny. Podzielono ich na dwie grupy: pierwsza poszła głównym kanałem, od placu Krasińskich, obok Sądu Apelacyjnego, a druga, do której należała Zosia – bocznym, z wejściem przy ulicy Daniłowiczowskiej. Zosia szła z zamkniętymi oczami, trzymała ją za rękę miła pielęgniarka, która przemywała jej wcześniej powieki. Oczy już jej nie bolały, ale nie chciała ich otwierać, nie chciała widzieć. Wystarczyło jej, że czuje i słyszy.

– Ja ją poprowadzę – dosłyszała głos Henryka.

Podziękowała pielęgniarce, która precyzyjnie się do przodu, żeby pomóc komuś innemu. Dłoń kolegi była ciepła i mocna. Zosia poczuła wdzięczność, że Henryk znów jest przy niej.

– Ależ tu tłok – powiedziała.

– Jak na Marszałkowskiej – zgodził się Henryk. – I ludzie jacyś nieumyjni, nieświeży...

Nie roześmiała się.

– Jak myślisz, ilu nas idzie? – spytała.

– Nie myślę, ale spytałem – odpowiedział. – Do przerzucenia jest jakieś pięć, sześć tysięcy ludzi. Niecałe dwa tysiące to żołnierze. Reszta cywile, bardzo dużo chorych.

– Zdałam sobie właśnie sprawę, że Klementyna zginęła niemal równo w piątą rocznicę wybuchu wojny. Pierwszego października – powiedziała nagle.

– Nie wiem, co to zmienia – westchnął.

Wzruszyła ramionami.

– Tylko mówię – powiedziała. – Że minęło pięć lat. I jedynie my żyjemy.

– Dotarliśmy na miejsce – odpowiedział.

Odważyła się otworzyć oczy i pierwsze, co zobaczyła, to stroskana twarz Henryka. Zamknęła powieki, bo słońce jednak raziło ją w oczy, chociaż dopiero wstawał świt.

– I jak oczy? – spytał z troską w głosie.

– Nie bolą, ta dziewczyna bardzo dobrze się mną zajęła – odpowiedziała Zosia. – Ale światło mnie razi.

Poczuła, jak Henryk wkłada jej na nos okulary.

– Skąd masz? – spytała rozentuzjasmowana.

– Nie chcesz wiedzieć – rzucił, nie patrząc na nią.

– Dziękuję – powiedziała i pocałowała go w policzek.

– Normalnie zaciągnąłbym cię w krzaki – stwierdził. – Ale chyba nie wypada w naszym wieku.

– Wypada – odpowiedziała mu Zosia. – Tylko krzaków nie ma. Same gruzy.

Po południu odznaczono ich Krzyżem Walecznych. Kiedy odczytywano ich imiona, przeżyła nawet chwilę wzruszenia.

– Gratuluję, Zosiu – powiedział Henryk, bez cienia kpiny w głosie.

– Ja tobie też – powiedziała.

W rękę trzymała Krzyż nadany pośmiertnie Klementynie.

– Pojadę do Komorowa – powiedziała i podniosła dwa palce jak do ślubowania. – Oddam odznaczenie jej dzieciom. Powiem, jak odważna była ich matka.

– Stach też dostał Krzyż Walecznych? – spytał Henryk.

Pokręciła przecząco głową.

– Nie – odparła. – Za krótko walczył. Albo ja po prostu nie wiem, że został odznaczony.

– Słabo znałem twojego męża – powiedział. – Ale to był dobry człowiek.

– Bardzo – powiedziała cicho. – Najlepszy ze wszystkich. Dużo lepszy ode mnie.

– Nie mów tak – poprosił.

– Kiedy to prawda – stwierdziła i dodała: – Dali nam te krzyże, a ja od razu pomyślałam o dzieciach Klementyny. Zapomniałam o własnych.

Henryk ścisnął jej rękę. Od chwili, kiedy podszedł do niej w kanale, praktycznie nie wypuszczał jej dłoni z rąk. Było to z jednej strony miłe

i bardzo jej potrzebne, z drugiej powodowało poczucie winy. Zosia czuła w piersi ciężar. Przypomniała sobie bliskość z Romualdem w szpitalnym pokoju, w czasie kiedy likwidowano getto. Chodziło tylko o pociechę, ale czy na pewno? I czy żywi podobne uczucia do Henryka co do Romualda? Jeśli tak, nie powinna go wykorzystywać, a jeśli nie – tym bardziej nie powinna tego robić. Wyjęła z kieszeni kawałek lustra, które znalazła wśród gruzów, kiedy poszła po wodę, i zaczęła się sobie przyglądać. Z odbicia patrzyła na nią smutna, zmęczona życiem, brzydka, stara kobieta.

– Nie mogę na siebie patrzeć – powiedziała.

– Dlaczego? – Uśmiechnął się. – Zawsze uważałem cię za najpiękniejszą lekarzkę w całym szpitalu. Teraz też myślę, że...

– Przestań – powiedziała ostro i odsunęła się od niego. – Zostaw mnie w spokoju. Poradzę sobie.

Miała ochotę natychmiast go przeprosić za przykrość, którą mu sprawiła. Prościej jednak było go odepchnąć. Niespełna miesiąc wcześniej została wdową, w każdej chwili mogła umrzeć albo, co gorsza, on mógł zginąć. Zdała sobie sprawę, że nie zniosłaby takiej straty.

– Dlaczego? – spytał. – Przecież jutro może nas nie być.

– Właśnie dlatego. – Odwróciła się na pięcie i odeszła najdalej, jak tylko mogła.

Nie podążył za nią. Usiadła przy niewielkim stole w towarzystwie starszych kobiet, które rozdzielały jedzenie. Nie miała wiele do roboty, odkąd schronili się w piwnicach przy Karowej. Ludzie mówili, że na Długiej wciąż działa szpital, ale Zosia nie wiedziała, czy to prawda, czy jest tam po co wracać.

– Niech pani coś zje. – Najstarsza z kobiet uśmiechnęła się do niej.

Zosia pokręciła przecząco głową. Po jej policzkach spływały łzy. Widok łez nikogo tu jednak nie dziwił, więc kobiety zostawiły ją w spokoju i zajęły się swoją pracą, aż przyszedł łącznik ze Śródmieścia-Północ i zaczął opowiadać, że ze Starówką stanie się to samo co wcześniej z Wolą.

– W łapy Niemców wpadło ze trzydzieści tysięcy ludzi – mówił, gryząc pajdę chleba z powidłami. – Mordują, jak leci, gwałcą kobiety.

„Co ja zrobiłam”, pomyślała nagle Zosia, zdjęta przerażeniem i wyrzutami sumienia. „Jak mogłam tak z nim postąpić. On gotów jeszcze zrobić coś głupiego. Boże, Boże...” Wstała, żeby poszukać Henryka, przeprosić go za swoje słowa, ale nigdzie go nie było.

– Nie widziałeś Henryka? – spytała jednego z młodych lekarzy, który szedł z nimi kanałami.

– Powiedział, że wraca do szpitala, na Długą.

Stała jak rażona gromem. „Jeśli on zginie”, powiedziała do siebie, „to będzie wyłącznie moja wina”.



– Niech pani opuści miasto razem z nami – prosiła jedna ze starszych kobiet, kiedy po kilku dniach siedzenia w piwnicy, głodni i wycieńczeni, otrzymali wiadomość, że Niemcy są praktycznie wszędzie, a cywilne władze powstańcze upoważniają zarząd PCK do pertraktacji z generałem Rohrem^[215]. – Mówią, że znów pozwoli na ewakuację ludności cywilnej.

Istotnie, niemiecki generał zarządził przerwanie ognia i zezwolił na opuszczenie miasta przez ludność 8 i 9 września w godzinach między dwunastą a czternastą.

– Nie – odpowiedziała apatycznie. – Zostanę. Wrócę na Długą, do szpitala. Tam się przydam.

Miała nadzieję, że na Długiej odnajdzie Henryka i tylko ta myśl trzymała ją przy życiu. Kilka dni przedzierała się przez ruiny. Spała w piwnicach albo w lejach po bombach. Miasto było puste. Po drodze przy Bielańskiej natknęła się na rannego niemieckiego żołnierza. Jęczał i wyciągał rękę, więc podeszła ostrożnie.

– Jestem lekarzem – powiedziała po niemiecku.

„Swoi musieli go zostawić”, pomyślała, „pewnie uznali go za martwego”.

– Niech mi pani... pomoże – wyjęczał.

Rozpięła jego mundur. Z brzucha wystawały mu zakrwawione, zmieszane z brudem i pyłem jelita.

– Umiera pan – powiedziała zimno. – Choćbym chciała, nie pomogę.

„A nie chcę”, dodała w duchu. Nie miał przy sobie broni, ale w jego plecaku znalazła środki opatrunkowe, leki przeciwbólowe i jedną konserwę mięsną. Zabrała to wszystko i nie czekając, aż żołnierz umrze, odeszła. Na Długiej powitały ją jęki chorych i szare twarze dawnych kolegów. Spytała o Henryka, ale tam go nie było.



Wyszła w jednej z ostatnich grup. Chciała zostać przy chorych i pracować tak długo, jak to było możliwe, ale ciągle miała problemy z oczami i nie mogła już operować. Po zapyleniu mimo interwencji sanitariuszki i chwilowej ulgi, oczy bolały i obficie łzawiły.

– Myśli pani, że nas zabiją? – wyszeptała jedna z instrumentariuszek.

– Ależ skąd! – zaprotestowała gorliwie i z zadowoleniem zauważyła, że dziewczyna oddycha z ulgą.

Kiedy wyszła na dziedziniec i ustawiła się z innymi lekarzami i pielęgniarzkami, zamknęła opuchnięte, ciężkie powieki. Przypomniała sobie chwilę, kiedy Henryk włożył jej na nos okulary, i żal oraz tęsknota za nim ścisnęły ją za gardło.

– Ty! – Ktoś szarpnął ją za ramię.

Wyszła przed szereg.

– Imię i nazwisko! – rzucił Niemiec.

– Zofia Gorazdowska – odpowiedziała spokojnie. – Jestem lekarką. Chirurgiem.

– Chirurg? Kobieta? – Niemiec uśmiechnął się krzywo. – Co ci się stało w oczy?

– Pył dostał mi się pod powieki – wyjaśniła równie spokojnie.

Słyszała, jak wbiegli do szpitala. Potem rozległy się pojedyncze strzały. Wiedziała, że mordują ciężko rannych. Ktoś stojący za nią zaczął płakać.

– Niech pani idzie z nami – rozkazał Niemiec.

Ruszyła posłusznie. Sądziła, że Niemiec chce ją zastrzelić w ustronnym miejscu, z dala od kolegów, ale zaprowadził ją do samochodu sanitarnego, gdzie niemiecki doktor obejrzał ją dokładnie, jeszcze raz przepłukał obolałe oczy i dał do ręki krople.

– Nie ma potrzeby już czyścić, ale wciąż ma pani zapalenie spojówek – powiedział. – Proszę wpuszczać krople trzy razy dziennie. Zaleciłbym także ciemne okulary.

Zosia wyciągnęła z kieszeni szkła podarowane przez Henryka i włożyła na nos.

– Tak dobrze? – spytała.

– Bardzo dobrze, bardzo. – Niemiec ucieszył się, jakby sprawiła mu wielką przyjemność.

Podziękowała i wróciła do swoich, chociaż doktor proponował jej, żeby wsiadła do samochodu.

– Byłoby pani wygodniej – zachęcał, jakby rozmawiali o sobotniej wycieczce w góry.

– A dokąd nas zabieracie? – spytała równie lekkim tonem.

– Do Pruszkowa – odparł. Wymówił tę nazwę jako „Proshkof”.

W pierwszej chwili ucieszyła się, bo Pruszków znajdował się tuż koło Komorowa. „Pewnie to jakiś obóz przejściowy”, pomyślała, a głośno spytała:

– A tam? Tam co nas czeka?

Niemiecki lekarz się zafrasował. Niemalże rozbawiona patrzyła na jego zakłopotaną minę.

– Niech pani pójdzie do pawilonu numer sześć – powiedział szeptem. – Jak się pani nazywa?

Powtórzyła swoje imię i nazwisko, a potem wróciła do lekarzy z Długiej. Po ich minach widziała, że nie wszyscy wierzyli, że wróci.

– Przenoszą nas do Pruszkowa – powiedziała obojętnie. – Stamtąd mają nas wywozić na roboty do Niemiec i do obozów koncentracyjnych. Trzeba próbować dostać się do pawilonu numer sześć. Cokolwiek to znaczy.



Jak się okazało na miejscu, pawilon numer sześć był przeznaczony dla tych, którzy mieli zostać wysłani na roboty do Niemiec. Zosia zrozumiała, czemu niemiecki lekarz polecił jej właśnie ten. Z pozostałych pawilonów można było trafić do Auschwitz albo Ravensbrück.

– Szukam doktora Henryka Iwanickiego. Taki wysoki, szpakowaty, sympatyczny – wypytywała każdego napotkanego.

Kręcili głowami. Kilka osób zasugerowało, że zginął, skoro go tu nie ma.

– Na pewno nie zginął – powiedziała z pełną wiarą, ignorując współczujące spojrzenia.

– Pani doktor, pani doktor... – dosłyszała za sobą.

Odwróciła się. W pierwszej chwili go nie poznała.

– „Czarny”! – Zwichrzyła mu gęste, sterczące włosy, ale cofnęła rękę, bo odskoczył jak oparzony.

„No tak”, pomyślała, „ja go traktuję jak dziecko, a to przecież żołnierz. Przeszedł cały szlak bojowy”.

– Przeżyła pani – powiedział. – Cieszę się.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – powiedziała ciepło.

– Jutro mam jechać do Niemiec, do stalagu – stwierdził niemal wesoło.

– Jesteś z tego zadowolony? – pytała zdumiona.

– No – potwierdził. – Jestem żołnierzem, a w stalagu dobrze traktują żołnierzy.

Faktycznie, z tego, co słyszała, jeńcy byli traktowani niemal po królewsku w porównaniu z cywilami w obozach koncentracyjnych.

– Panią też tam wywiozą. – Jego głos był pełen wiary. – Jako lekarz należy pani do wojska. Może nawet trafimy w te same strony.

Uśmiechnęła się do niego.

– Co z twoimi rodzicami? – spytała jeszcze.

– Przeżyli. – Pokiwał głową. – Tylko gdzieś ich wywieziono.

– A twój kolega, Staszek?

– Zginął. – „Czarny” posmutniał. – W kanałach. Niemcy granat rzucili.

Pod wieczór odnalazł ją niemiecki lekarz i kiwnął głową, żeby za nim poszła.

– Jak podróż? – spytał tonem pełnym troski, więc odpowiedziała:

– Dziękuję, bardzo wygodna. Byłam zaskoczona, że przyjechaliśmy tu pociągiem. Sądziłam, że będziemy iść piechotą.

– Ależ skąd! Przecież to trzydzieści kilometrów – oburzył się doktor, który przedstawił się jako Reinhard Shrepf.

„Ten to na pewno nie wierzy w obozy koncentracyjne ani w mordowanie cywilów”, pomyślała niemal rozbawiona. Lekarz tymczasem pochylił się ku niej.

– Niech jutro rano wyjdzie pani poza teren obozu – powiedział.

– Przecież nie wolno – odpowiedziała. – Nie wolno wychodzić poza szlaban.

– Przymkną oko. Załatwię to. – Machnął ręką. – Pojedzie pani do Tworek. Będzie na panią czekała dorożka dwukonna, z żołnierzami. Tam się organizuje szpital polowy.

Wymawiał nazwę miasteczka jako „Thforrki”. Pokiwała z wdzięcznością głową. Wcisnął jej do ręki konserwę.

– Tylko ja? Są jeszcze pielęgniarki, inni lekarze.

Rozłożył bezradnie ręce.

– O dziesiątej. Po apelu.

Zastanawiała się przez chwilę, czy mimo wszystko nie zabrać „Czarnego” ze sobą, ale zrezygnowała. Czy w Tworkach byłby bezpieczniejszy? Może faktycznie w Niemczech doczeka wyzwolenia? Jeśli takowe nadejdzie.



Niemiec dotrzymał słowa. Wyszła przez nikogo niezauważona, a sto metrów dalej czekała dorożka. W środku było dwóch Niemców. Przywitali się z nią grzecznie.

– Wygodnie pani? – spytał jeden z nich.

Pokiwała głową. Jeszcze dwa dni temu operowała przy huku bomb, obok walił się świat, Niemcy zabijali powstańców, kobiety, dzieci, starców, lekarzy i pielęgniarki, a teraz prawią uprzejmości i pytają, czy jej wygodnie. Ruszyli.

Na miejscu czekał na nich doktor Reinhard Shrepf.

– To jest doktor Sofia Gora...st. – męczył się.

– Gorazdowska – przyszła mu z pomocą.

Rozejrzała się. Szpital wyglądał na opuszczony. Do środka wnoszono stoły, krzesła, szafy. Kilku Niemców i dwóch Polaków patrzyło na nią niechętnie. „Spokojnie”, pomyślała, „nie będę wam przeszkadzała. Jutro mnie tu nie będzie”. Do Komorowa, do dzieci, miała nie więcej niż cztery kilometry.

– Proszę. – Doktor Shrepf podał jej podbitą futerkiem kurtkę. – Będzie coraz zimniej, a tu... – zatoczył ręką koło – ...brak sklepów. Wieśniacy bardzo niechętni.

Wzięła kurtkę do ręki, dziwnie wzruszona, i łykając łzy, podziękowała mu za troskę, chociaż miała świadomość, że ta kurtka należała wcześniej do

jakiegoś zabitego nieszczęśnika.

– Dziękuję – powiedziała. – Jest pan dobrym człowiekiem.

– Jestem złym Niemcem – powiedział ze wstydem w głosie, a potem pochylił się w jej stronę i dodał: – Miałem zaszczyt przyjaźnić się z pułkownikiem Stauffenbergiem^[216].

Uścisnęła mu rękę. „Mam nadzieję, że nie będzie miał pan kłopotów, kiedy ucieknę, i nie będzie pan o mnie myślał źle”, chciała powiedzieć, ale zamiast tego uśmiechnęła się.

– Było mi miło panią poznać. – Skłonił się przed nią z kurtuazją. – Jestem pewien, że po wojnie spotkamy się w zupełnie innych okolicznościach.



Wyszła z budynku nad ranem. Nikt jej nie pilnował. Znała dobrze ten teren. Chodziła tu przed wojną na spacer, zwykle wiosną – zbierały wtedy z Klementyną kaczeńce. Przeszła przez ogrodzenie w miejscu, gdzie od wielu lat znajdowała się dziura w płocie. Po niecałych dwóch godzinach marszu dotarła do domu Witchelów w Komorowie. Dom wyglądał na uśpiony, ale Zosia nie chciała wchodzić bez zapowiedzi, bo mogłaby przestraszyć dzieci. Miała też świadomość, że od godziny „W” wiele mogło się zmienić. Poszła zatem do stodoły, w której nie było już samochodu, zagrzebała się w sianie i zasnęła na dwie godziny. Obudziła ją Honorka. Stała nad nią i załamywała ręce.

– Olaboga, panienko!

Zosia już dawno przestała być panienką, ale wzruszył ją okrzyk Honorki.

– Dzień dobry, Honorko. – Wstała z jej pomocą.

– Co panienka tu robi? Gdzie pani Klementyna? Pan Kornel wrócił do nas niecały, ale zdrowy. No, niechże panienka idzie ze mną.

– Honoroko. – Zosia zatrzymała starszkę. – Niech mi Honorka powie, czy wszyscy żyją. Czy wszyscy zdrowi.

Honorka pogładziła Zosię po twarzy.

– Pan Bóg nie pozwolił nas skrzywdzić – powiedziała. – Wszyscy żyją, zdrowi są, chwalić Boga, tylko pana Stacha nie ma...

– Jak to? – zdenerwowała się Zosia. – Prosiłam Kornela, żeby nic dzieciom nie mówił.

– No ale jak dzieciom nie powiedzieć, skoro co dzień pytały, kiedy tata wróci. Pan Kornel mnie powiedział, w końcu razem powiedzieliśmy Grażynce i Gienkowi. Że tatuś w niebie.

Zosia przełknęła ślinę. „Może to i dobrze”, pomyślała. „Będzie łatwiej”. Honorka jakby czytała jej w myślach, bo dodała:

– One się każdego ranka i wieczora modlą o panienkę i o spokój duszy pana Stacha. Ja myślę, że to dobrze, że wiedzą. A teraz panienka wróciła. I tylko pewnie patrzeć, jak pani Klementyna wróci.

– A państwo Gorazdowscy? – spytała Zosia.

– Jaśnie państwo Gorazdowscy, chwalić Boga, wyjechali do Krakowa, do jakichś krewnych. Mają na święta zjechać z powrotem. – Honorka przewróciła oczami. – Oni nic nie wiedzą o tym, że pani Klementyna poszła do powstania.

Zosia spojrzała Honorce w oczy.

– Klementyna nie żyje.

Służąca zasłoniła usta dłonią.

– Jest panienka pewna? – spytała zdławionym głosem. – Tutej po sąsiedzku jeden chłopak z wojny wrócił, a mówili, że zginął. Nawet przysłali dokumenty i pośmiertne odznaczenie...

– Jestem pewna – powiedziała. – Umarła na moich rękach.

– Trzeba dzieciom powiedzieć – stwierdziła Honorka, ocierając łzy z oczu. – I panu Kornelowi. Panienka idzie ze mną, nie będziemy w stodole siedziały. Trzeba się zmierzyć z tym krzyżem.

– To prawda – westchnęła Zosia. – Trzeba się zmierzyć z tym krzyżem.



Kiedy weszły z Honorką do domu, Gienek, Grażynka i Tereska na jej widok zaczęli krzyczeć z radości, ale zaraz potem na korytarz wyszedł Kornel i z wyrazu jej twarzy wyczytał, że Klementyna nie wróci. Kolejne godziny tylko spotęgowały ból oraz tęsknotę za najbliższymi. Grażynka i Gienek płakali za Stachem, a dzieci Klementyny za matką. Właściwie to wszyscy płakali, Zosi nie wyłączając. Kornel chciał wiedzieć, gdzie jest ciało żony, żeby móc je godnie pochować. Zosia prosiła, żeby nie mówić przy dzieciach, że ich matka i ojciec leżą w prowizorycznych mogiłach gdzieś na szlaku powstańczym, ale było za późno, bo cała czwórka chciała zbierać kwiaty, żeby złożyć je na grobach swoich rodziców. Zosia trzęsa się cała z niemocy i miała ochotę uciekać z powrotem do zrujnowanej Warszawy, byle tylko nie czuć na sobie pełnego wyrzutu spojrzenia Kornela.

– Czy ty mnie obwiniasz o to, że przeżyłam? – spytała w końcu.

– Kiedy powiedziałem ci, że Stach zginął, miałaś wypisane na twarzy oskarżenie. – Wycelował w nią palec.

– Nieprawda! – Zosia podniosła głos, ale nie miała siły krzyczeć, tylko więc ukryła twarz w dłoniach.

Wreszcie Honorka, zupełnie nie jak służąca, tylko jak pani, uderzyła pięścią w stół i krzyknęła do Kornela:

– Jak panu nie wstyd?! Wszyscy żeście za ojczyznę walczyli! Wszyscy! I wszyscy przegrali jako Polacy! A jak będziecie tak do siebie mówić, to przegracie także jako ludzie!

Potem powycierała wszystkim dzieciakom zasmarkane nosy, kazała im się ubrać i wyprowadziła całą czwórkę do sadu, żeby Kornel i Zosia mogli porozmawiać.

– Ja Stacha pochowałem z księdzem – powtarzał raz za razem, płacząc, aż Zosia wreszcie poprosiła, żeby przestał ją dręczyć.

– A skąd miałam wziąć księdza? – Po jej twarzy ciekły łzy żalu i wściekłości. – I tak dobrze, że nie było ostrzału, że można było ją zakopać. Nawet tabliczkę na grobie postawiliśmy. Jeśli będzie jakieś „potem”, wrócimy tam i przeniesiemy ciało. Mam nadzieję, że Stacha też.

– Przepraszam... – wyszeptał Kornel, całkiem zdruzgotany. – Powinienem się cieszyć, że żyjesz i wyszłaś z tego piekła. A ja nawet nie spytałem, jak ci się to udało.

– Jak noga? – odezwała się, bo nie chciała już opowiadać o bombardowaniach, ostrzałach, operacjach, braku wody, jedzenia i nadziei.

Kornel podwinął nogawkę i pokazał jej niemal całkowicie zagojony kikut.

– Miałaś szczęście – stwierdziła. – Ostatnio było dużo zakażeń. Ludzie marli po drobnych zabiegach. Ropa szła. Albo zgorzel. A antybiotyków przecież nie ma.

– Miałem szczęście – stwierdził gorzko.

Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Co teraz? – spytał.

Zosia nie zastanawiała się nad tym.

– Nie wiem – powiedziała.

– Wiesz chociaż, czy wasza kamienica przetrwała? Nasz dom ponoć stoi. Ale nie wiem, czy chciałbym tam wrócić bez Klementyny.

Zosia wzruszyła ramionami. Przypomniała sobie ukochane secesyjne meble, obrazy, które były dumą Stacha, porcelaną przywiezioną z podróży poślubnej.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Ale co mnie to obchodzi...

Miała na myśli śmierć Stacha i Klementyny, a wcześniej innych: Marii, Zofii, Romualda, Joachima, a być może Henryka. Przełknęła ślinę.

– Wrócisz do szpitala? – zapytał Kornel.

– Szpital został zniszczony – wyjaśniła. – Niemcy go zbombardowali jedenastego, czternastego i piętnastego września. Zginęło trzysta osób. Ci,

którzy zostali, rozdzielili się. Część jest na Puławskiej, część ruszyła gdzieś na południe. Do Krakowa chyba. I ponoć są tutaj, w Pruszkowie czy Brwinowie.

– Część ich stacjonuje w Milanówku – powiedział Kornel. – Tydzień temu był tutaj wasz kolega, ten wesoły. Klementyna bardzo go lubiła. Szukał cię.

Pod Zosią ugięły się nogi. Henryk. Musiał wrócić na Puławską, a ona myślała, że poszedł na Długą. Dlatego nie było go w obozie przejściowym w Pruszkowie. „Ale żyje”, powtarzała sobie, „żyje. Mój Boże, Henryk przeżył”.

– Pytał o ciebie, ale nie powiedział nic o Klementynie – stwierdził gorzko Kornel. – Chociaż pytałem.

„Całe szczęście, że nic nie powiedział”, pomyślała Zosia.

– Zostawił coś? Jakiś list?

Kornel pokręcił przecząco głową.

– Nic.

Nagle podjęła decyzję.

– Muszę iść – powiedziała.

– Dokąd? – spytał zdumiony Kornel. – Do Warszawy? Nie rób tego.

Zaprzeczyła.

– Do Milanówka – wyjaśniła.

– Dopiero co wróciłaś. – Patrzył na nią zaskoczony. – Odpocznij, pobądź z dziećmi. Pójdiesz jutro.

– Teraz – powiedziała stanowczo, wkładając kurtkę. Zatrzymała się na chwilę w drzwiach. – Nie oczekuję, że zrozumiesz, ale muszę.

Pokuśtykał za nią aż na podwórze.

– Zosiu! – krzyknął.

– Wróć! – odkrzyknęła, nie oglądając się za siebie.



Zobaczyła go na podwórzu, jak stał oparty o ścianę i palił papierosa. Na lekarski fartuch niedbale narzucił płaszcz. Nie miał czapki na głowie, mimo że padał deszcz. Była zmęczona, szła prawie dwanaście kilometrów z Komorowa do Milanówka. Nie chciała brać konia, bo nie wiedziała, czy gdzieś nie czają się Niemcy. Podeszła cicho i stała dłuższy czas, przyglądając mu się z czułością. Wreszcie ją zauważył. Wyprostował się, rzucił papierosa, zrobił krok w jej stronę i zatrzymał się. Zosia stała jak wmurowana, nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Witaj – powiedział w końcu.

Dzieliło ich jakieś dziesięć metrów, ale żadne się nie poruszyło.

– Witaj – odparła.

Podniósł wcześniej rzuconego papierosa, otrzepał starannie, zapalił i włożył sobie do ust.

– Od kiedy palisz? – spytała.

– Od niedawna – odpowiedział, zaciągając się łapczywie.

Wreszcie udało jej się zrobić krok, potem kolejny i jeszcze jeden. Znalazła się tuż przy nim. Dmuchał jej dymem w twarz.

– Wszędzie cię szukałam – wyszeptała. – Potem.

– Doprawdy? – Zaśmiał się krótko.

– Uciekłam z Pruszkowa, z dulagu. Niemiecki lekarz mi pomógł. Wywiózł mnie do Tworek, a stamtąd już dwa kroki do Komorowa. Kornel mi przekazał, że byłeś. Dziękuję, że nie powiedziałaś mu o Klementynie.

Wyrzucała z siebie zdania, a on słuchał w milczeniu.

– Nie ma za co – odpowiedział krótko, po czym ponownie rzucił dopalonego już papierosa i odwrócił się.

– Henryku! – zawołała za nim. – Co robisz? Dokąd idziesz?

– Byle dalej od ciebie – odpowiedział.

Dopadła do niego i zaczęła go szarpać za ramiona, a on się odwrócił. Na twarzy miał wypisaną wściekłość.

– Po co tu przyszłaś?! – krzyknął. – Po co?!

– Przyszłam, bo... – Głos się jej załamał. – Bo ja... Bo ja wiem, że...

– Nic nie wiesz! – krzyczał. – Nic nie rozumiesz! Jesteś ślepa jak kret!

– Masz rację. – Pokiwała głową. – Masz rację, ale proszę cię, zrozum...

– Rozumiem bardzo dobrze. – Wycelował w nią palec. – Trafiłem jak kulą w płot ze swoim uczuciem do ciebie. Mąż ci umarł, zresztą nigdy nie dałaś mi powodu, żebym myślał...

Trzymała go za poły fartucha. Wyrывał się, ale nie puszczała.

– Henryku, błagam cię. – Z oczu płynęły jej łzy. – Henryku, ja...

– Co? – Patrzył jej prosto w oczy. – No co? – spytał.

– Ja też cię kocham! – wykrztusiła i wcisnęła twarz w jego szorstki sweter.

Czekała, aż ją odepchnie. Wreszcie dał za wygraną i przyciągnął do siebie.

– Wszystko się ułoży – powiedziała ze łzami w oczach, wdychając zapach dymu i nikotyny. Czowała, jak jego ręce coraz mocniej ją obejmują. – Wszystko się ułoży.

KONIEC

BIOGRAMY

Biogramy dr Werkenthin i dr Garlickiej stworzone na podstawie książki doc. Marii Ciesielskiej *Szpital obozowy dla kobiet w KL Auschwitz-Birkenau*.

WIKTORIA MARIA WERKENTHIN urodziła się 21 marca 1901 roku w Kordelówce koło Winnicy na Podolu. Rodzina Werkenthinów przeniosła się w 1909 roku do Kijowa, gdzie Wiktoria Maria rozpoczęła naukę w Gimnazjum św. Katarzyny dla dziewcząt parafii ewangelicko-augsburskiej. Po zamknięciu placówki naukę kontynuowała w Gimnazjum Aleksandry Duczyńskiej, gdzie w 1918 roku zdała maturę. Początkowo wstąpiła na Wydział Budowniczy politechniki w Kijowie, ale jesienią 1919 roku została przyjęta do Kijowskiego Żeńskiego Instytutu Medycznego, który w 1920 roku został połączony z Wydziałem Lekarskim Uniwersytetu św. Włodzimierza w Kijowie. Studia kontynuowała w Warszawie, tam otrzymała dyplom doktora wszech nauk lekarskich wiosną 1925 roku. Już w trakcie studiów rozpoczęła pracę jako wolontariuszka w I Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Warszawskiego, prowadzonej przez prof. Antoniego Gluzińskiego. Następnie odbyła staż specjalizacyjny pod kierunkiem dr. Witolda Zawadowskiego w Pracowni Radiologii Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie. Zdaniem Zawadowskiego Maria miała szczególne predyspozycje, aby kształcić się w ówczas jeszcze młodej specjalności, jaką była radiologia. Miała niesłychanie rozwinięty zmysł obserwacyjny i świetną pamięć wzrokową, łatwość adaptacji wzroku do ciemności, szybką i dokładną orientację przestrzenną, wybitną zdolność widzenia stereoskopowego; szybko i trafnie dostrzegała szczegóły widzianego obrazu i właściwie je oceniała. Od 1927 roku pracowała jako lekarz radiolog w przychodni przeciwgruźliczej przy ulicy Miodowej. W 1929 roku została kierownikiem Pracowni Radiologicznej Szpitala

Wolskiego. Pomimo przestarzałej aparatury oraz ciągłego braku personelu pomocniczego, a nawet przerw w dostawie prądu prowadziła pracownię radiologiczną na najwyższym poziomie oraz utworzyła własne archiwum radiologiczne. Dr Werkenthin rozszerzyła zakres standardowych badań, w 1931 roku wprowadzając bronchografię jako rutynową metodę diagnostyczną oraz tomografię liniową. Była także inicjatorką tzw. kominków radiologicznych – spotkań lekarzy pracujących w klinikach z radiologami. Uważała, że droga do trafnej diagnozy prowadzi od łóżka chorego, przez zakłady diagnostyczne, do konsylium lekarskiego, a gdy pacjent nie przeżyje, to dalej do stołu sekcyjnego. Sama wielokrotnie uczestniczyła w pośmiertnych oględzinach zmarłych pacjentów i badaniach histopatologicznych pobranych tkanek, aby lepiej zrozumieć istotę choroby i jej związek z obrazowaniem radiologicznym. 13 grudnia 1931 roku została kierownikiem gabinetu radiologicznego w Stacji Odmy Sztucznej przy ulicy Miodowej 23, kierowanej przez dr Wandę Stankiewicz-Trybowską. Dzięki zdolnościom organizacyjnym dr Werkenthin udało się wyposażyć tę placówkę w nowoczesną aparaturę diagnostyczną. Pracownia radiologiczna zyskała uznanie i była prezentowana podczas V Ogólnopolskiego Zjazdu Przeciwgruźliczego w Warszawie w 1934 roku. Wspólnie z dr. Zawadowskim utworzyła prywatny gabinet radiologiczny przy ulicy Poznańskiej 17/2 w Warszawie, który prowadziła od 1934 roku. Działała w towarzystwach naukowych, była członkiem założycielem Polskiego Towarzystwa Badań Naukowych nad Gruźlicą oraz zastępcą prezesa Warszawskiego Koła Radiologów. Należała także do Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego. Od 1929 roku pełniła funkcję sekretarza redakcji „Polskiego Przeglądu Radiologicznego”. Szkoliła lekarzy ftyzjatrów i radiologów, publikowała prace naukowe (m.in. w „Polskim Przeglądzie Radiologicznym”) oraz przygotowała rozdział w podręczniku dotyczącym radiodiagnostyki chorób płuc, a także własną publikację na ten temat. Wygłaszała referaty na kongresach i zjazdach międzynarodowych, m.in. w Paryżu (1931), Sztokholmie (1932), Zurychu (1934) i Chicago (1937). Odbывała staże szkoleniowe w zagranicznych klinikach, m.in. w Wiedniu u prof. Guidona Holzknechta (1926) oraz

w Londynie i Berlinie. Mówiła biegle w czterech językach obcych: rosyjskim, niemieckim, angielskim i francuskim. We wrześniu 1939 roku Szpital Wolski znalazł się na linii działań wojennych. Dr Werkenthin przeniosła się tam na stałe, wykonywała w tym czasie niezbędne dla ratowania rannych zdjęcia rentgenowskie. Później, gdy stało się to niemożliwe z powodu braku prądu, podawała znieczulenie, asystowała przy zabiegach, a także zajmowała się organizacją zaopatrzenia dla chorych. Przygotowała wyprawę do składnicy sanitarnej przy ulicy Powązkowskiej w celu zdobycia materiałów opatrunkowych. Już w pierwszych miesiącach okupacji utworzyła na terenie szpitala sklepik koleżeński z artykułami pierwszej potrzeby. Osobiście troszczyła się o zaopatrzenie, nierzadko sama sprzedawała w sklepiku towary oraz udzielała kredytów najbardziej potrzebującym. W ten sposób rozdała wszystkie swoje oszczędności. W 1940 roku zorganizowała pracownię radioterapii dla chorych z nowotworami płuc i pomimo zakazu władz okupacyjnych prowadziła wykłady i ćwiczenia w ramach tajnego nauczania, które zostały zapamiętane jako jasne, precyzyjne i bogato ilustrowane zdjęciami z własnego archiwum. Pracownicy Szpitala Wolskiego brali udział w ratowaniu rannych żołnierzy Armii Krajowej, ukrywali spalonych konspiratorów oraz pomagali w organizacji tajnych odpraw Okręgu Warszawskiego ZWZ, inspektorów i Delegatury Rządu na Kraj. Dr Werkenthin uczestniczyła w działaniach ruchu oporu, stawiając fałszywe rozpoznania radiologiczne więźniom Pawiaka, co skutkowało zwolnieniem więźnia lub przewiezieniem go do szpitala miejskiego. Kierowała akcją pomocy lekarzom żydowskim i ich rodzinom, organizując dla nich schronienie po stronie aryjskiej. Pod jej opieką w szpitalu przebywało nierzadko kilkunastu Żydów. Organizowała pomoc lekarską dla getta. Była współpracownikiem Komitetu Porozumiewawczego Lekarzy Demokratów i Socjalistów. Nigdy nie zgodziła się podpisać volkslisty. Została aresztowana 9 września 1943 roku podczas składania wiązanki kwiatów na znajdującym się w lesie grobie zamordowanego przez Niemców podchorążego Andrzeja Zawadowskiego. Próbowano ją bezskutecznie wykupić. W obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau zgłosiła się do

pracy w ambulatorium szpitala, jednakże zataiła swoją specjalizację. Lekarze SS poszukiwali radiologów, co miało związek z prowadzonymi w obozie doświadczeniami sterylizacyjnymi za pomocą promieniowania rentgenowskiego. Praca w ambulatorium polegała na wykonywaniu drobnych zabiegów chirurgicznych za pomocą prymitywnych narzędzi przy ciągłym niedostatku leków, wody i środków opatrunkowych. Dr Werkenthin dzieliła się ze współwięźniarkami zawartością otrzymywanych paczek, roznosiła chorym leki, które nie zdołały dostać się do obozowego szpitala. Tragiczne warunki sanitarne oraz głód sprawiły, że i ona zaraziła się tyfusem plamistym. Dzięki wcześniejszemu przyjęciu szczepionki Weigla przeszła chorobę stosunkowo łagodnie, ale na skutek powikłań neurologicznych była przygnębiona, przeżywała silny lęk, prawdopodobnie miała halucynacje. Nosiła się z zamiarem popełnienia samobójstwa, mówiła o tym w gorączce. Koleżanki opiekowały się nią i stale jej pilnowały, mimo to, korzystając z ich chwilowej nieuwagi podczas wieczornego obchodu, Maria wybiegła z bloku w kierunku rowu i ogrodzenia obozowego. Pomimo natychmiastowej reakcji dr Aliny Przerwy-Tetmajer, która krzyczała, aby nie strzelano, strażnik pełniący służbę na wieżyczce obserwacyjnej zastrzelił Marię. W uznaniu zasług za wkład w wojnę obronną 1939 roku została odznaczona przez wysłannika prezydenta Starzyńskiego Krzyżem Walecznych. 17 grudnia 1947 roku została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Symboliczny grób dr Werkenthin znajduje się na cmentarzu ewangelicko-augsburskim przy ulicy Młynarskiej w Warszawie.

ZOFIA GARLICKA urodziła się 19 czerwca 1874 roku w Niżnym Nowogrodzie. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości w tamtejszym gimnazjum wyjechała w 1895 roku do Genewy, gdzie rozpoczęła studia na Wydziale Lekarskim uniwersytetu. W 1898 roku przeprowadziła się do Zurychu i tam w 1899 roku uzyskała dyplom doktora medycyny. Jako studentka angażowała się w aktywność młodzieży polskiej studiującej w Szwajcarii, działała w sekcji zuryskiej Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich. Do Rosji powróciła w 1900 roku i w tym samym roku

wyszła za mąż za poznanego w Zurychu inżyniera chemika Stanisława Garlickiego. W październiku 1901 roku Zofia Garlicka rozpoczęła specjalizację w zakresie ginekologii i położnictwa w Klinice im. prof. Henryka Jordana w Krakowie. Od 1903 roku pracowała w szpitalu fabrycznym w częstochowskim Rakowie oraz praktykowała w Zawierciu. W 1907 roku przeniosła się do Łodzi i objęła posadę lekarki w fabryce włókienniczej Scheiblera. Dr Garlicka była członkinią tamtejszego koła lekarskiego oraz instytucji Kropla Mleka. Zorganizowała przytułek położniczy Towarzystwa Dobroczynności. Nauczała w szkole położniczej, była ordynatorem w szpitalu rosyjskim oraz prowadziła własną praktykę lekarską. W 1918 roku dr Garlicka dołączyła wraz z córkami Jadwigą, Wandą i Zofią do mieszkającego i pracującego wówczas w Warszawie męża. Początkowo była ordynatorem w szpitalu ginekologicznym Kasy Chorych, a w 1930 roku została ordynatorem oddziału ginekologiczno-położniczego w Szpitalu Ujazdowskim. Pełniła ponadto funkcję lekarza szkolnego w Gimnazjum i Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej, ordynowała w Lecznicy dla Niezamożnych Chorych, prowadzonej przez siostry elżbietanki przy ulicy Topiel, pracowała w II Miejskim Ośrodku Zdrowia przy ulicy Górnośląskiej 26. Współpracowała z Polskim Komitetem do Zwalczenia Raka, była członkiem Rady Nadzorczej Instytutu Radowego i przewodniczącą Zrzeszenia Lekarek Polskich. Działała w ramach Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet w sekcji Opieka nad Matką i Niemowlęciem. Publikowała w czasopismach medycznych oraz popularnych, a także występowała publicznie, np. w audycjach radiowych. Współpracowała m.in. z redakcją „Ginekologii Polskiej”. W 1939 roku brała udział w szkoleniu służb sanitarnych. Wybuch wojny zastał ją u córki Wandy, gdzie nad Bugiem spędzała czas, opiekując się wnukami. W tym czasie zięciowie Stefan Putowski (mąż Jadwigi) i Stanisław Jankowski (mąż Zofii) zostali wcieleni do jednostek wojskowych. W okresie okupacji dr Garlicka pracowała w zakładzie leczniczym przy ulicy Lwowskiej 13, którego była współwłaścicielką, oraz prowadziła prywatną praktykę. Jako członek ZWZ-AK była przydzielona do komórki „Dorsz”, opiekującej się zbiegłymi z niewoli Anglikami, a w jej mieszkaniu znajdowali schronienie

cichociemni i uciekinierzy z obozów. Wiosną 1941 roku dr Garlicka ukrywała oficera angielskiego Christophera Silverwooda-Cope'a, jeńca zbiegłego z oflagu w Forcie VII w Poznaniu, a także wyprowadzoną z getta dr Natalię Zandową. Sytuacja skomplikowała się, gdy Anglik zachorował na tyfus plamisty. Przebieg choroby był bardzo ciężki i tylko dzięki ofiarnej pielęgnacji i staraniom lekarskim dr. Stanisława Wszelakiego, lekarza ze Szpitala Ujazdowskiego, udało się uratować jego życie. 11 sierpnia po południu Christopher Silverwood-Cope „Kit” i jego kolega John Arison Crawford przyjechali do dr Garlickiej, aby pożegnać się przed planowanym przetrzucem za granicę. Zaraz potem do mieszkania weszli gestapowcy. Wszystkie aresztowane osoby: dr Zofię Garlicką, jej córkę Zofię Jankowską, zbiegłą z getta dr Natalię Zand oraz obu Anglików, zawieziono do siedziby gestapo przy alei Szucha. W trakcie przesłuchania dr Garlicka była bita. Tego samego dnia wieczorem w trakcie transportu do więzienia na Pawiaku zażyła truciznę. W ciężkim stanie trafiła do szpitala więziennego, gdzie dzięki pracującym tam lekarzom więźniom została odratowana. W trakcie przesłuchań niczego nie wyjawiała. Gdy tylko poczuła się lepiej, podjęła pracę w pralni oraz pomagała w szpitalu na oddziale kobiecym, tak zwanej Serbii. Rodzina czyniła starania, aby wydostać dr Garlicką i jej córkę z więzienia, niestety bezskutecznie. W nocy z 12 na 13 października 1942 roku wywieziono obie do Auschwitz. Początkowo dr Garlicka przebywała w bloku numer 3, gdzie funkcje blokowej pełniła wyjątkowo okrutna Stanisława Starostka. Pracowała w kartoflarni. Nie przyznawała się do swojego zawodu publicznie, ale więźniarki szybko dowiedziały się, że jest lekarzem, i prosiły ją o pomoc, której pomimo grożących wówczas kar udzielała. Kiedy jej córka zachorowała na tyfus, dr Garlicka zdecydowała się przenieść wraz z nią do bloku szpitalnego, by tam ją pielęgnować. Chorowała już wcześniej na dur plamisty i nie obawiała się zarażenia. W baraku szpitalnym pracowały wówczas kryminalne więźniarki niemieckie, którym los chorych był całkowicie obojętny. Kiedy sama zaczęła gorączkować, była pewna, że ma grypę. Z objawami tyfusu zmagiała się przez trzy tygodnie. Zmarła prawdopodobnie 13 listopada 1942 roku, kilka dni po śmierci swojej córki

Zofii. Oficjalne zawiadomienia o śmierci matki i siostry dotarły do Jadwigi Putowskiej dopiero w kwietniu 1943 roku. Wiadomość obiegła okupowaną Warszawę. Na nabożeństwie w kościele Sióstr Wizytek, tego dnia udekorowanym biało-czerwonymi kwiatami, był także ukrywający się wówczas w Warszawie mąż zmarłej córki, Zofii Jankowskiej, Stanisław Jankowski „Agaton”.

WITOLD EUGENIUSZ ZAWADOWSKI urodził się 23 lutego 1888 roku w Skobelce. W 1907 roku ukończył gimnazjum we Lwowie, następnie w 1913 roku Wydział Lekarski Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie uzyskał dyplom. Przed pierwszą wojną światową był członkiem ZWC, w latach 1914–1918 służył w wojsku austriackim, od 1918 roku w Wojsku Polskim w stopniu majora. W 1920 roku, w czasie wojny polsko-bolszewickiej, pełnił służbę w Naczelnym Dowództwie Wojska Polskiego na stanowisku kierownika Sekcji I Personalnej Szefostwa Sanitarnego. Od 1930 roku był redaktorem „Polskiego Przeglądu Radiologicznego”, w 1933 roku otrzymał tytuł docenta Uniwersytetu Warszawskiego.

Do 1939 roku pełnił służbę w Centrum Wyszkożenia Sanitarnego w Warszawie na stanowisku kierownika naukowego Oddziału Radiologicznego Szpitala Szkolnego. Jednocześnie piastował stanowisko wiceprezesa Polskiego Lekarskiego Towarzystwa Radiologicznego i kierował prywatnym Zakładem Rentgenologicznym dla Diagnostyki i Terapii przy ulicy Poznańskiej 17/2 w Warszawie.

We wrześniu 1939 roku, tuż po wybuchu wojny, Witold Zawadowski został komendantem szpitala ewakuacyjnego, który podążał wraz z polską armią. Swoją rodzinę wysłał do krewnych na Wołyń, do Skobelki, z dala od działań wojennych. Wejście Sowieców do Polski zastało go we Włodawie nad Bugiem. Szpital został rozformowany, a docent Zawadowski aresztowany. Z uwagi na zły stan zdrowia znalazł się w szpitalu dla jeńców w Brześciu nad Bugiem, skąd dzięki pomocy miejscowej ludności udało mu się uciec do Warszawy, przez co prawdopodobnie uniknął śmierci jako jeden z oficerów w Katyniu. Wrócił do Szpitala Ujazdowskiego,

kontynuował też pracę w zakładzie na Poznańskiej. Równolegle rozpoczął wykłady z radiologii w ramach tajnego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Ziemi Zachodnich i Prywatnej Szkoły Zawodowej dla Pomocniczego Personelu Sanitarnego dr. Jana Zaorskiego. Prowadził tajne posiedzenia radiologiczne w Szpitalu Ujazdowskim. Od czasu aresztowania doktor Marii Werkenthin w 1943 roku aż do wybuchu powstania warszawskiego prowadził zajęcia uzupełniające z radiodiagnostyki układu oddechowego. Przejął także stanowisko kierownika Pracowni Radiologicznej Szpitala Wolskiego po aresztowanej dr Werkenthin. W czasie powstania pracował w szpitalu polowym przy ulicy Poznańskiej.

Podczas wojny spotkało go wiele osobistych tragedii. Prócz śmierci najbliższej współpracownicy i przyjaciółki Marii Werkenthin trzech z jego pięciu synów zginęło, a czwarty został ranny podczas powstania.

W 1946 roku otrzymał tytuł profesora tytularnego. W latach 1946–1947 sprawował funkcję prezesa Polskiego Towarzystwa Radiologicznego. Od 1948 roku był krajowym członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie aż do jej rozwiązania w 1952 roku. W 1950 roku został profesorem Akademii Medycznej w Warszawie, a w 1952 roku – Polskiej Akademii Nauk. W tym samym roku otrzymał nominację na przewodniczącego Krajowego Komitetu Ochrony Radiologicznej. W roku 1961, po śmierci żony, przeszedł na emeryturę. Pomimo kolejnej, po śmierci synów, rodzinnej tragedii nie zaprzestał prowadzenia zajęć i wykładów dla studentów. Dodatkowo prawie codziennie do południa niestrudzenie osobiście konsultował pacjentów, po południu odwiedzali go zaś inni lekarze, aby skonsultować zdjęcia rentgenowskie swoich pacjentów. Planował utworzyć Zakład Radiologii Doświadczalnej. Mimo upływu lat wciąż o nim pamiętano i bardzo go szanowano, zwłaszcza na Akademii Medycznej w Warszawie, która w 1975 roku uhonorowała go tytułem doktora honoris causa. Rok później za przykładem Warszawy podążyła Wojskowa Akademia Medyczna w Łodzi.

Napisał dziesiątki prac z rentgenodiagnostyki narządów klatki piersiowej. Był wychowawcą wielu przyszłych radiologów.

W ciągu swojego życia prof. Witold Zawadowski został odznaczony Krzyżem Walecznych, Medalem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Oficerskim i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Orderem Sztandaru Pracy I Klasy i wieloma innymi.

Witold Zawadowski zmarł w 1980 roku w Warszawie w wieku 92 lat. Został pochowany na cmentarzu Powązkowskim. Jego życiowym mottem pozostawał cytat z *Obrony Sokratesa* Platona: „do człowieka dobrego nie ma przystępu żadne zło ani za życia, ani po śmierci, a bogowie nie spuszczaają oka z jego sprawy”.

SZPITAL UJAZDOWSKI mieścił się przy ulicy Górnośląskiej 45 w Warszawie, na terenie historycznego Ujazdowa – dawnej siedziby książąt mazowieckich i królów polskich. Jego początki sięgają 1784 roku, kiedy król Stanisław August przekazał Zamek Ujazdowski na koszary wojskowe. Powstał przy nich lazaret, a kolejne zakłady lecznicze założono na terenie Ujazdowa. W 1818 roku z placówek tych utworzony został Szpital Główny Wojskowy. W lazarecie, a następnie w szpitalu przez lata udzielano pomocy rannym i chorym żołnierzom, poczynając od czasów insurekcji kościuszkowskiej, poprzez okres istnienia Księstwa Warszawskiego, Królestwa Kongresowego, walk w powstaniu listopadowym, funkcjonowania Legionów Polskich, aż po odrodzenie Polski. 11 listopada 1918 roku, po blisko dziewięćdziesięciu latach, Szpital Ujazdowski wrócił pod polską komendę. Był pierwszą odebraną z rąk Niemców placówką medyczną w Warszawie. W imieniu Wojska Polskiego przejęcia dokonali ppłk dr Edward Loth i mjr dr med. Stefan Rudzki. W okresie międzywojennym Szpital Ujazdowski włączony został w struktury Oficerskiej Szkoły Podchorążych, przemianowanej w 1928 roku na Szkołę Podchorążych Sanitarnych. Od 1930 roku działał w ramach Centrum Wyszkożenia Sanitarnego, najważniejszego wojskowego ośrodka naukowo-

badawczego i szkoleniowego w Polsce. Ostatnim etapem historii szpitala był okres drugiej wojny światowej. W placówce ratowano życie rannym i chorym, ukrywano osoby pochodzenia żydowskiego oraz ścigane przez gestapo. Prowadzono tam również tajne nauczanie studentów medycyny i szkolono kadry sanitarne Armii Krajowej. Szpital Ujazdowski częstokroć nazywany był Rzeczpospolitą Ujazdowską. Po wybuchu powstania warszawskiego w sierpniu 1944 roku szpital – a z nim personel medyczny, pacjenci i cywile – został w dramatycznych okolicznościach ewakuowany, a w styczniu 1945 roku – rozwiązany.

PRZYPISY

[1] W 1923 roku za odkrycie insuliny Frederick Banting otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny.

[2] Anna Tomaszewicz-Dobrska (1854–1918) – pierwsza polska dyplomowana lekarka, bohaterka *Doktor Anny*, drugiego tomu cyklu *Uczniowie Hippokratesa*.

[3] Fritz Schaudinn (1871–1906) – niemiecki mikrobiolog i protozoolog, odkrywca krętka bladego, bakterii odpowiedzialnej za zakażenie kiłą.

[4] Erich Hoffmann (1868–1959) – niemiecki dermatolog, prowadził badania nad krętkiem bladym, opisał kliniczne objawy kiły drugorzędowej.

[5] Robert Koch (1843–1910) – niemiecki lekarz i bakteriolog, odkrywca m.in. bakterii wywołujących wąglik, cholere i gruźlicę. Uhonorowany w 1905 roku Nagrodą Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny za badania nad gruźlicą.

[6] Stanisław Feliks Hiszpański (1872–1939) – właściciel warszawskiej firmy szewskiej, prawnik, działacz społeczny, poliglota. Zginął podczas bombardowania Warszawy we wrześniu 1939 roku.

[7] Paul Ehrlich (1854–1915) – niemiecki chemik i bakteriolog, odkrywca salwarsanu, pierwszego w miarę skutecznego leku przeciwko kile. Uważany za twórcę podstaw chemioterapii. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w roku 1908.

[8] Sahachirō Hata (1873–1938) – japoński bakteriolog, współodkrywca leczniczych właściwości salwarsanu.

[9] Stanisław Wyspiański (1869–1907) – malarz, poeta, dramaturg i architekt, jeden z filarów Młodej Polski.

[10] Leon Feliks Goldstand (1871–1926) – polski dyplomata, bankier i filantrop pochodzenia żydowskiego. W 1912 roku sfinansował budowę Miejskiego Zakładu Położniczego im. Świętej Zofii.

[11] Zofia Garlicka (1874–1942) – polska ginekolog-położnik, jedna z następczyń Anny Dobrskiej, twórczyni nowoczesnej opieki położniczej. Za działalność konspiracyjną wywieziona do Auschwitz, gdzie zmarła.

[12] Helena Hołówko (1889–1983) – lekarz pediatra, społeczniczka, jedna z pierwszych w Polsce kobiet lekarzy specjalistów.

[13] Historia Charlesa Darwina została opowiedziana w *Doktor Annie*, drugim tomie cyklu *Uczniowie Hippokratesa*.

[14] Ignacy Zieliński (1871–1955) – generał brygady i lekarz, jeden z komendantów Szpitala Ujazdowskiego po wojnie polsko-bolszewickiej.

[15] Napoleon Cybulski (1854–1919) – polski fizjolog, współodkrywca adrenaliny, jeden z twórców endokrynologii, pionier elektroencefalografii, publicysta. Trzykrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny – w latach 1911, 1914 i 1918.

[16] Napoleon Bonaparte (1769–1821) – cesarz Francuzów, polityk i wojskowy, uważany za najwybitniejszego stratega wojennego w historii.

[17] Allvar Gullstrand (1862–1930) – szwedzki okulista, konstruktor lampy szczelinowej i oftalmoskopu elektrycznego bezodblaskowego, laureat Nagrody Nobla z dziedziny fizjologii lub medycyny w 1911 roku.

[18] Robert Bárány (1876–1936) – austriacki lekarz pochodzenia węgiersko-żydowskiego, otolaryngolog. Uhonorowany Nagrodą Nobla w 1914 roku za badania układu przedsionkowego ucha wewnętrznego.

[19] Ludwik Rydygier (1850–1920) – polski chirurg, generał Wojska Polskiego, jeden z najwybitniejszych światowych naukowców, autor nowoczesnych metod operacyjnych żołądka i dwunastnicy. Przeciwnik przyjmowania kobiet na studia medyczne.

[20] Maria Skłodowska-Curie (1867–1934) – polsko-francuska uczona, zajmująca się fizyką doświadczalną i chemią fizyczną, dwukrotna laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki – w 1903 roku wspólnie z mężem, i chemii – w 1911 sama.

[21] Henryk Sienkiewicz (1846–1916) – polski pisarz, nowelista i publicysta, laureat Nagrody Nobla z dziedziny literatury za całokształt twórczości w 1905 roku, jeden z najpoczytniejszych pisarzy polskich przełomu XIX i XX wieku.

[22] Bolesław Prus, właściwie Aleksander Głowacki (1847–1912) – polski pisarz, prozaik i nowelista oraz publicysta okresu pozytywizmu, jeden z najwybitniejszych pisarzy polskich.

[23] Oktawia z Trembińskich Głowacka (1849–1936) – żona Bolesława Prusa, za życia muza, doradczyni i pierwsza recenzentka. Przeżyła męża o dwadzieścia cztery lata, po śmierci pisarza dbała o jego spuściznę.

[24] Edward Loth (1884–1944) – polski anatom, antropolog i eugenik, doktor medycyny i filozofii, jeden z organizatorów oraz profesor Uniwersytetu Warszawskiego, pułkownik Wojska Polskiego. Zginął w czasie powstania warszawskiego, pracując jako chirurg w punkcie opatrunkowym przy ulicy Mokotowskiej.

[25] Stefan Rudzki (1875–1941) – działacz społeczny i niepodległościowy, pułkownik Wojska Polskiego.

[26] Karl Schmidt (1870–1937) – chirurg.

[27] Eugeniusz Mayer (1891–1940) – kapitan intendent Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[28] Janusz Korczak, właściwie Henryk Goldschmidt (1879–1942) – polsko-żydowski lekarz, pedagog, pisarz, publicysta i działacz społeczny. Zamordowany w Treblince wraz z sierotami, którymi się opiekował.

[29] Joseph Lister (1827–1912) – brytyjski chirurg, twórca aseptyki; bohater jednego z opowiadań w *Doktor Annie*, drugim tomie cyklu *Uczniowie Hippokratesa*.

[30] Mowa o Florence Nightingale (1820–1910), pierwszej profesjonalnej pielęgniarce. Jej historia jest zawarta w *Doktor Annie*, drugim tomie cyklu *Uczniowie Hippokratesa*.

[31] Stanisław Maciąg (1897–1971) – inżynier, żołnierz armii polskiej utworzonej w czasie I wojny światowej przez gen. Hallera, w czasie wojny działał w konspiracji.

[32] Odo Bujwid (1857–1942) – pierwszy polski bakteriolog, pionier higieny, jeden z pierwszych polskich naukowców zajmujących się wytwarzaniem szczepionek leczniczych, w tym przeciwko wścieklicznie.

[33] Stefania Wilczyńska (1886–1942) – wychowawczyni i pedagog, najbliższa współpracowniczka Janusza Korczaka. Zginęła razem z nim i grupą dzieci w Treblince.

[34] Tadeusz Olsza, właściwie Tadeusz Blomberg (1895–1975) – polski aktor filmowy, kabaretowy i sceniczny; śpiewak, tancerz, reżyser.

[35] Hanka Ordonówna, właściwie Marianna Tyszkiewicz z d. Pietruszyńska (1902–1950) – polska piosenkarka, autorka wierszy i tekstów piosenek, tancerka i aktorka, wielka gwiazda dwudziestolecia międzywojennego.

[36] Mieczysława Ćwiklińska, właściwie Mieczysława Trapszo (1879–1972) – polska aktorka teatralna i filmowa, sopranistka, jedna z najwybitniejszych polskich aktorek teatralnych i filmowych.

[37] Stanisław Wokulski – fikcyjny bohater powieści *Lalka* Bolesława Prusa.

[38] Albert Calmette (1863–1933) – francuski lekarz, bakteriolog i immunolog.

[39] Jean-Marie Camille Guérin (1872–1961) – francuski bakteriolog, współtwórca (wraz z Calmette'em) szczepionki przeciwko gruźlicy.

[40] Maria Łucja Nicz-Borowiakowa (1896–1944) – polska malarka, graficzka, jedna z najważniejszych przedstawicielek polskiego konstrukttywizmu.

[41] Józef Borowiec (1884–1954) – inżynier, mąż Marii Nicz.

[42] Henryk Berlewi (1894–1967) – malarz, grafik, typograf oraz teoretyk i krytyk sztuki.

[43] Jan Golus (1895–1964) – polski malarz i scenograf.

[44] Władysław Strzemiński (1893–1952) – polski malarz, teoretyk sztuki, publicysta, pedagog, pionier konstruktywistycznej awangardy lat 20. i 30.

[45] Katarzyna Kobro (1898–1951) – polska rzeźbiarka awangardowa pochodzenia niemiecko-rosyjskiego.

[46] Aleksander Rafałowski (1894–1981) – polski malarz i scenograf.

[47] Teresa Żarnower (1897–1949) – polska rzeźbiarka, graficzka, scenografka i architektka.

[48] Operacja usunięcia wyrostka robaczkowego.

[49] Gabriel Narutowicz (1865–1922) – polski inżynier, minister robót publicznych, minister spraw zagranicznych, pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, został zamordowany na schodach Zachęty 16 grudnia 1922 roku przez malarza Eligiusza Niewiadomskiego związanego z Narodową Demokracją.

[50] Zula Pogorzelska, właściwie Zofia Pogorzelska (1898–1936) – polska śpiewaczka, aktorka filmowa i teatralna oraz tancerka kabaretowa.

[51] Halina Regulska (1899–1994) – polska automobilistka, działaczka społeczna i konspiracyjna, uczestniczka powstania warszawskiego, literatka.

[52] Gra słów, *the best* po ang. oznacza „najlepszy”.

[53] Bronisław Sabat (1871–1953) – polski fizyk, rentgenolog.

[54] Pierre Curie (1859–1906) – francuski fizyk, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki w 1903 roku, mąż Marii Skłodowskiej-Curie.

[55] Roch Brzosko (1891–1940) – laryngolog, pułkownik Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[56] Witold Zawadowski (1888–1980) – lekarz radiolog, pionier radiologii w Polsce, pułkownik Wojska Polskiego.

[57] Ettore Arco Isidoro Bugatti (1881–1947) – włoski projektant i konstruktor samochodów.

[58] Henry Ford (1863–1947) – amerykański przemysłowiec, inżynier i założyciel Ford Motors Company.

[59] Tadeusz Tański (1892–1941) – polski konstruktor samochodowy, inżynier mechanik, wynalazca. Zamordowany w Auschwitz.

[60] Konrad Tom, właściwie Konrad Runowiecki (1887–1957) – polski scenarzysta, piosenkarz, reżyser, aktor, autor tekstów kabaretowych oraz słów piosenek. Mąż Zuli Pogorzelskiej.

[61] Eugeniusz Bodo, właściwie Bohdan Junod (1899–1943) – polski aktor filmowy, rewiiowy i teatralny, reżyser, scenarzysta, tancerz i piosenkarz. Jeden z najpopularniejszych aktorów międzywojennego kina polskiego.

[62] Adolf Dymśa, właściwie Adolf Bagiński (1900–1975) – polski aktor kabaretowy i filmowy. Uważany za najwybitniejszego komika polskiego kina XX wieku. Przedwojenny „król polskiej komedii”.

[63] Julian Tuwim (1894–1953) – polski poeta pochodzenia żydowskiego, pisarz, autor skeczy, wodewilów, piosenek, librett operetkowych. Tłumacz poezji rosyjskiej, francuskiej, niemieckiej oraz łacińskiej. Jeden z najpopularniejszych poetów dwudziestolecia międzywojennego.

[64] Rudolf Virchow (1821–1902) – niemiecki patolog, antropolog i higienista.

[65] Loda Halama, właściwie Leokadia Halama (1911–1996) – polska tancerka, aktorka, choreografka, primabalerina Teatru Wielkiego w Warszawie.

[66] Antoni Salis – restaurator, w latach 20. i 30. prowadził znany lokal gastronomiczny z daniami na wynos.

[67] Jan Zawadowski (1891–1982) – polski artysta malarz.

[68] Maria Werkenthin (1901–1944) – polska radiolog, pierwsza kobieta ordynator Oddziału Radiologii w Szpitalu Wolskim. Zamordowana w Auschwitz.

[69] Ludwik Hirszfild (1884–1954) – polski lekarz żydowskiego pochodzenia, bakteriolog i immunolog, twórca polskiej szkoły immunologicznej oraz nowej dziedziny nauki – seroantropologii, odkrywca prawa dziedziczenia krwi. Opisał grupy krwi i nadał im nazwy A, B, AB, 0, co zostało przyjęte na świecie w 1928 roku, oraz czynnik Rh i odkrył przyczynę konfliktu serologicznego. W 1950 roku nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny lub fizjologii.

[70] Bolesław Szarecki (1874–1960) – chirurg, od 1941 roku generał dywizji, szef Departamentu Służby Zdrowia MON, naczelny chirurg Wojska Polskiego.

[71] Tadeusz Hołówko (1889–1931) – polityk, działacz państwowy II Rzeczypospolitej, publicysta. Zginął w zamachu, który przeprowadzili ukraińscy nacjonaści.

[72] Willem Einthoven (1860–1927) – holenderski fizjolog i histolog, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny lub fizjologii w 1924 roku.

[73] Jan Kołłątaj-Srzednicki (1883–1944) – doktor medycyny, generał brygady Wojska Polskiego, wolnomularz.

[74] Bolesław Roja (1876–1940) – oficer Legionów Polskich, generał dywizji Wojska Polskiego, aresztowany przez Niemców za działalność konspiracyjną. Zamordowany w Sachsenhausen.

[75] Kazimierz Dłuski (1855–1930) – pulmonolog, społecznik oraz działacz polityczny związany z polskim ruchem socjalistycznym, szwagier Marii Skłodowskiej-Curie.

[76] Bronisława Dłuska (1865–1939) – ginekolog i społeczniczka oraz feministka.

[77] Wanda Stankiewicz-Trybowska (1897–1971) – polska ftyzjatra.

[78] Do dziś specyficzne szerzenie się wyładowań w korze ruchowej nazywane jest marszem jacksonowskim.

[79] Marian Hemar, właściwie Jan Hescheles (1901–1972) – polski poeta, satyryk, dramaturg, tłumacz poezji, autor tekstów piosenek.

[80] Christiaan Eijkman (1858–1930) – holenderski lekarz, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w 1929 roku za badania nad chorobą beri-beri.

[81] Frederick Hopkins (1861–1947) – brytyjski biochemik, jeden z pionierów nauk o witaminach, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w 1929 roku za wyodrębnienie witaminy A.

[82] Karl Landsteiner (1868–1943) – austriacki lekarz, patolog i immunolog, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w 1930 roku za badania dotyczące grup krwi.

[83] Grażyna Wyszogrodzka z d. Maciąg (1930–1963) – architekt, w czasie wojny zachorowała na gruźlicę; zmarła w wyniku niewydolności oddechowej.

[84] Historia powstania aspiryny i objęcia jej patentem została przedstawiona w *Doktor Annie*, drugim tomie cyklu *Uczniowie Hippokratesa*.

[85] Adolf Hitler (1889–1945) – niemiecki polityk austriackiego pochodzenia, wódz i kanclerz Rzeszy od 1933 roku, zbrodniarz wojenny odpowiedzialny za zbrodnie przeciwko ludzkości, za śmierć 50 milionów ludzi zabitych podczas jego rządów i w wyniku napaści Niemiec m.in. na Polskę w 1939 roku. Zginął śmiercią samobójczą podczas oblężenia Berlina.

[86] Józef Babiński (1857–1932) – francuski neurolog polskiego pochodzenia, pionier neurochirurgii, odkrywca jednego z najważniejszych objawów neurologicznych, świadczącego o uszkodzeniu drogi piramidowej, nazwanego od jego nazwiska odruchem Babińskiego; w latach 1914, 1924, 1928, 1932 nominowany do Nagrody Nobla z dziedziny fizjologii lub medycyny.

[87] Krystyna Dering-Ossowska (1905–1979) – polska radiolog. W czasie wojny aresztowana, w latach 1941–1944 pełniła funkcję lekarki w tzw. Serbii, kobiecym oddziale więziennym na Pawiaku, gdzie kontynuowała działalność konspiracyjną.

[88] Stefan Kazimierz Pieńkowski (1885–1940) – polski lekarz neurolog i psychiatra, major rezerwy Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[89] Alina Janowska (1923–2017) – polska aktorka teatralna, filmowa i telewizyjna, w czasie wojny oskarżona o udział w konspiracji i pomoc rodzinie żydowskiej, więziona przez siedem miesięcy na Pawiaku, podczas powstania warszawskiego łączniczka (ps. „Alina” lub „Setka”).

[90] Józef Piłsudski (1867–1935) – polski działacz społeczny i niepodległościowy, żołnierz, polityk, mąż stanu; od 11 listopada 1918 roku naczelny wódz Armii Polskiej, w latach 1918–1922 naczelnik państwa, pierwszy marszałek Polski (1920); dwukrotny premier Polski (1926–1928 i 1930); wywarł decydujący wpływ na kształt polityki wewnętrznej i zagranicznej II Rzeczypospolitej.

[91] Bolesław Wieniawa-Długoszowski (1881–1942) – generał dywizji Wojska Polskiego, dyplomata i wolnomularz, poeta, lekarz i dziennikarz, jedna z najbarwniejszych postaci II Rzeczypospolitej.

[92] Tadeusz Boy-Żeleński (1874–1941) – polski literat, tłumacz, krytyk literacki, poeta satyryk, kronikarz i eseista, działacz społeczny, z wykształcenia lekarz. Po zajęciu Lwowa przez Niemców zamordowany na Wzgórzach Wuleckich razem z kilkudziesięcioma innymi lwowskimi profesorami.

[93] Szczepan Wacek (1895–1980) – polski okulista, kapitan lekarz Wojska Polskiego, uczestnik kampanii wrześniowej. W czasie wojny pełnił funkcję lekarza urzędowego w więzieniu na Pawiaku. Aresztowany w 1949 roku i skazany na dziesięć lat więzienia w tzw. procesie generałów, zrehabilitowany w 1956 roku.

[94] Zygmunt Radliński (1874–1941) – polski chirurg, specjalizował się w chirurgii onkologicznej, głównie przewodu pokarmowego, ale również torako- i neurochirurgii.

[95] Historia Charles’a Browna-Séquarda została opisana w *Doktorze Bogumile*, pierwszym tomie cyklu *Uczniowie Hippokratesa*.

[96] Alfred Hauptmann (1881–1948) – niemiecki psychiatra i neurolog.

[97] Bernarr Macfadden (1868–1955) – teoretyk wychowania fizycznego, leczenia różnych chorób dietą i ćwiczeniami fizycznymi.

[98] Hans Berger (1873–1941) – niemiecki neurolog i psychiatra, jeden z twórców elektroencefalografii.

[99] Adolf Beck (1863–1942) – polski neurofizjolog pochodzenia żydowskiego, współodkrywca prądów czynnościowych mózgu, jeden z pionierów elektroencefalografii. W czasie wojny po wejściu Niemców do Lwowa początkowo ukrywał się poza gettem, ale wkrótce został aresztowany. Zmarł w drodze do obozu zagłady w Bełżcu, prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

[100] Andrzej Włast, właściwie Gustaw Baumritter (1895–1942 lub 1943) – polski poeta pochodzenia żydowskiego, librecista. Był autorem najbardziej popularnych tekstów polskich piosenek dwudziestolecia międzywojennego. Współtwórca fenomenu polskiego tanga i piosenek przedmieść miasta. Zginął zastrzelony przez Niemców przy próbie opuszczenia getta.

[101] Jan Nelken (1878–1940) – polski lekarz psychiatra, psychoanalityk, pułkownik Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[102] Erwin Schrödinger (1887–1961) – austriacki fizyk teoretyk, jeden z twórców mechaniki kwantowej, laureat Nagrody Nobla z dziedziny fizyki w 1933 roku za prace nad matematycznym sformułowaniem mechaniki falowej.

[103] Wiktor Kaliciński (1894 lub 1896–1940) – polski lekarz patolog, anatomopatolog, specjalista balsamowania zwłok, major lekarz Wojska Polskiego, legionista, ofiara zbrodni katyńskiej.

[104] Jan Wedel (1874–1960) – polski przedsiębiorca, potomek Karola i Emila Wedlów, twórca fabryki czekolady E. Wedel, w czasie wojny prowadził szeroko zakrojoną działalność dobroczynną, m.in. objął patronatem Szpital Ujazdowski.

[105] Edward Flatau (1868–1932) – wybitny polski neurolog i psychiatra, twórca nowoczesnej neurologii polskiej, założyciel i redaktor naczelny wielu pism medycznych, polskich i zagranicznych, m.in. „Jahresbericht über die Leistungen and Fortschritte auf dem Gebiete der Neurologie und Psychiatrie”.

[106] Ośrodek Broki – miejsce w mózgu zlokalizowane w tylnej części zakrętu czołowego dolnego półkuli dominującej, odpowiedzialne za proces generowania mowy.

[107] Emil Kraepelin (1856–1926) – niemiecki psychiatra, twórca nowoczesnej psychiatrii i psychoterapii, autor dziewięciu wydań podręcznika psychiatrii klinicznej.

[108] Stanisław Michałek-Grodzki (1889–1951) – pierwszy polski chirurg plastyczny, w czasie okupacji przeprowadził w Szpitalu Ujazdowskim setki operacji rekonstrukcyjnych, czym uchronił od kalectwa rannych żołnierzy, oraz wiele operacji odwracających skutki obrzezania u Żydów ukrywających się po aryjskiej stronie.

[109] Róża Amzel (1900–1942) – polska lekarka pochodzenia żydowskiego, asystentka Państwowego Zakładu Higieny. W czasie okupacji była zastępczynią profesora Hirszfelda w szpitalu na Stawkach w getcie warszawskim. Udało jej się zbiec na aryjską stronę, gdzie ukrywała się przez prawie rok. Zamordowana przez Niemców.

[110] Zosia Skórska – polska lekarka, asystentka profesora Hirszfelda.

[111] Olgierd Sokołowski (1885–1944) – polski lekarz fizjatra, zamordowany przez Niemców w Szpitalu Wolskim w czasie pacyfikacji Woli podczas powstania warszawskiego.

[112] Władysław Raczkiewicz (1885–1947) – polski działacz polityczny, społeczny i wojskowy, uczestnik pierwszej wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej, minister spraw wewnętrznych w czterech rządach II Rzeczypospolitej, prezydent RP na uchodźstwie.

[113] Alina Guzowska (1890–1952) – pracownica biura Naczelnej Izby Lekarskiej.

[114] Kurt Schrepf (1903–1964) – oficer SS, komisarz niemiecki, lekarz urzędowy miasta Warszawy. Słynął z okrucieństwa w getcie.

[115] Mieczysław Michałowicz (1876–1965) – pediatra, działacz społeczny, uczestnik kampanii wrześniowej, podpułkownik Wojska Polskiego, założyciel Polskiego Towarzystwa Pediatrycznego, więzień Majdanka.

[116] Stanisław Haller (1872–1940) – generał dywizji Wojska Polskiego, wyznaczony przez Władysława Sikorskiego na przyszłego dowódcę Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, ofiara zbrodni katyńskiej.

[117] Jan Wincenty Królikiewicz (1895–1940) – chirurg, ofiara zbrodni katyńskiej.

[118] Michał Wilhelm Rosnowski (1887–1940) – internista, podpułkownik lekarz Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[119] Janina Krzyżanowska (1907–1995) – stomatolog, w czasie powstania warszawskiego komendantka szpitala polowego przy ulicy Chmielnej.

[120] Olga Krzyżanowska (1929–2018) – lekarka, polityk i działaczka społeczna, posłanka na Sejm X, I, II i III kadencji, wicemarszałek Sejmu X i II kadencji, senator V kadencji.

[121] Julien Bryan (1899–1974) – amerykański reżyser, dokumentalista i fotografik. Z narażeniem życia dokumentował we wrześniu 1939 roku masakrę ludności cywilnej w Warszawie podczas niemieckich bombardowań. Jego film dokumentalny *Oblężenie* obejrzało 300 milionów osób.

[122] Stefan Starzyński (1893–1939) – polski polityk, ekonomista, publicysta, prezydent Warszawy, przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w czasie obrony Warszawy w 1939 roku, aresztowany przez gestapo i zamordowany na Pawiaku w grudniu 1939 roku.

[123] Franklin Delano Roosevelt (1882–1945) – amerykański polityk, 32. prezydent Stanów Zjednoczonych.

[124] Michał Lityński (1906–1989) – ordynator oddziału chorób wewnętrznych w Szpitalu Ujazdowskim, specjalista chorób wewnętrznych, autor wielu prac na temat cukrzycy, amyloidozy oraz historii medycyny, naczelny internista „Roli”, służby sanitarnej Kedywu, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

[125] Stefan Rowecki (1895–1944) – pseudonim „Grot”, generał dywizji Wojska Polskiego, komendant główny ZWZ, dowódca Armii Krajowej.

[126] W styczniu 1940 roku okupanci powołali Naczelną Izbę Zdrowia oraz izby okręgowe kierowane przez niemieckich urzędników. Nowe organizacje dokonywały rejestracji lekarzy na terenie każdego okręgu z uwzględnieniem ich narodowości, co było przygotowaniem do usunięcia polskich medyków pochodzenia żydowskiego.

[127] Jadwiga Sosnkowska (1901–1993) – żona generała Kazimierza Sosnkowskiego, w czasie drugiej wojny światowej pracowała jako pielęgniarka w Szpitalu Ujazdowskim.

[128] Kazimierz, Stefan i Jan Jabłkowscy – przedsiębiorcy, twórcy słynnego domu towarowego usytuowanego przy ulicy Brackiej.

[129] Zofia Księżopolska-Rybicka (1912–1994) – sanitariuszka, pracownica Szpitala Ujazdowskiego w czasie drugiej wojny światowej, uczestniczka powstania warszawskiego.

[130] Edward Loth (1884–1944) – polski anatom, antropolog i eugenik, doktor medycyny i filozofii, pułkownik lekarz Wojska Polskiego. Zginął podczas powstania warszawskiego w punkcie opatrunkowym, niosąc pomoc rannym.

[131] Stefan Matuszewski – ftyzjatra, ordynator oddziału zakaźnego Szpitala Ujazdowskiego.

[132] Władysław Grzankowski (1896–1969) – prawnik, aktywnie działający w konspiracji w czasie drugiej wojny światowej, uczestnik powstania warszawskiego.

[133] Zbigniew Dobraczyński (1913–1990) – podporucznik 20. Pułku Ułanów, uciekł z obozu w Kozielsku.

[134] Antoni Szwojnicki (1891–1940) – lekarz pediatra, pułkownik Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[135] Jan Garbowski (1888–1940) – lekarz, pułkownik Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[136] Wiedeńskie Towarzystwo Psychoanalityczne powołano 15 kwietnia 1908 roku.

[137] Julius Wagner-Jauregg (1857–1940) – w 1927 roku otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny za badania nad leczeniem kiły malarią. Dziś przyznanie mu nagrody uważa się za pomyłkę, a podobne leczenie nie jest praktykowane.

[138] Feliks Teodor Gloeh (1885–1960) – naczelnny kapelan wyznania ewangelicko-augsburskiego w Wojsku Polskim, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

[139] Natalia Zylberlast-Zand (1883–1942) – polska neurolog i psychiatra żydowskiego pochodzenia. Okoliczności jej śmierci nie są jasne.

[140] Christopher Silverwood-Cope – pseudonim „Kit”, cichociemny, ukrywał się w Warszawie, m.in. w domu Zofii Garlickiej.

[141] Stanisław Wszelaki (1898–1956) – lekarz kardiolog, major Wojska Polskiego, uczestnik powstania warszawskiego.

[142] John Arison Crawford – cichociemny.

[143] Sabina Dembowska (1877–1962) – polska ginekolog, w czasie wojny ordynator oddziału ginekologicznego w Szpitalu Czerwonego Krzyża w Warszawie.

[144] Igo Sym, właściwie Karol Sym (1896–1941) – polski, austriacki i niemiecki aktor oskarżony o kolaborację z nazistami, zastrzelony z wyroku Związku Walki Zbrojnej.

[145] Stefan Jaracz (1883–1945) – aktor teatralny i filmowy, pisarz, publicysta, założyciel i dyrektor teatru Ateneum w Warszawie.

[146] Leon Schiller (1887–1954) – reżyser, krytyk i teoretyk teatralny, scenarzysta, kompozytor i pieśniarz, poseł na sejm z ramienia Polskiej Partii Robotniczej, a następnie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

[147] Zbigniew Sawan, właściwie Zbigniew Edmund Nowakowski (1904–1984) – aktor teatralny i filmowy, reżyser teatralny.

[148] Janusz Warnecki, właściwie Jan Kozłowski (1895–1970) – aktor teatralny i filmowy, dyrektor teatrów we Lwowie, w Warszawie i w Krakowie.

[149] Elżbieta Barszczewska (1913–1987) – aktorka teatralna i filmowa.

[150] Zofia Małynicz (1905–1988) – aktorka teatralna, filmowa oraz telewizyjna, pedagog.

[151] Coco Chanel, właściwie Gabrielle Bonheur Chanel (1883–1971) – francuska projektantka mody, zrewolucjonizowała podejście do strojów, ikona haute couture, w czasie wojny kolaborowała z Niemcami.

[152] Maria Maciąg (1920–1942) – jedna z ofiar hitlerowskiego terroru w Warszawie.

[153] Johann Wolfgang von Goethe (1749–1832) – wybitny niemiecki poeta, dramaturg i prozaik.

[154] Dalsze losy rodziny Maciągów przedstawiono w powieści *Plac Leńskiego* Daniela Wyszogrodzkiego (Marginesy 2021).

[155] Krystyna Maciąg (1918–1940) – jedna z ofiar łapanek ulicznych, jej los po dziś dzień jest nieznanym.

[156] Zbigniew Lewicki (1903–1991) – urolog. W czasie drugiej wojny światowej pracował przy ulicy Lwowskiej, uczestnik powstania warszawskiego.

[157] Franciszek Raszeja (1896–1942) – lekarz ortopeda. W czasie drugiej wojny światowej aktywnie wspomagał ludność żydowską w getcie warszawskim.

[158] Władysław Szpilman (1911–2000) – polski kompozytor i aranżer pochodzenia żydowskiego. Po ucieczce z getta ukrywał się po aryjskiej stronie.

[159] Abe Gutnajer, właściwie Abel Gutnajer (1888–1942) – polski marszand pochodzenia żydowskiego, jeden z największych antykwariuszy II Rzeczypospolitej, organizator licznych aukcji oraz wystaw malarstwa polskiego.

[160] Chodzi o *Portret czytającego mężczyzny*, obraz, który odnalazł się w marcu 2006 roku i został sprzedany w londyńskim domu aukcyjnym Christie's za 46 100 funtów. W wyniku starań profesora Wojciecha Kowalskiego, pełnomocnika MSZ ds. Restytucji Zrabowanych i Przemieszczonych Dóbr Kultury, kwotę tę podzielono między anonimowego sprzedawcę z Łotwy a spadkobierców Abego Gutnajera.

[161] Kazimierz Pollak ([1905]–1942) – chirurg ortopeda. W czasie drugiej wojny światowej niósł pomoc pacjentom z getta.

[162] Stanisława Starostka (1917–1946) – zbrodniarka wojenna, kapo w obozach koncentracyjnych Auschwitz-Birkenau i Bergen-Belsen. Po wyzwoleniu skazana na dziesięć lat więzienia. Popełniła samobójstwo.

[163] Andrzej Trojanowski (1905–1964) – chirurg. Operował „Rudego” i „Alka” po akcji pod Arsenalem, działał w komórce Rady Pomocy Żydom, jeden z najbardziej zasłużonych lekarzy pomagającym Żydom w getcie i działający w konspiracji.

[164] Jan Bytnar (1921–1943) – podharcistrz, członek Szarych Szeregów, zmarł w wyniku obrażeń wewnętrznych, zakatowany przez gestapo.

[165] Aleksy Dawidowski (1920–1943) – podharcistrz, członek Szarych Szeregów i Grup Szturmowych, ranny podczas Akcji pod Arsenalem.

[166] Hans Frank (1900–1946) – niemiecki zbrodniarz wojenny, generalny gubernator okupowanych ziem polskich. Skazany przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze na karę śmierci przez powieszenie.

[167] Władysław Sikorski (1881–1943) – generał broni Wojska Polskiego, premier i minister spraw wojskowych II Rzeczypospolitej, premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie, zginął w katastrofie lotniczej w Gibraltarze.

[168] W rzeczywistości 19 kwietnia.

[169] Jürgen Stroop (1895–1952) – niemiecki zbrodniarz wojenny, SS-Gruppenführer, odpowiedzialny m.in. za stłumienie powstania w getcie warszawskim i zbrodnie na polskiej i żydowskiej ludności cywilnej. Po drugiej wojnie światowej skazany przez sąd w Polsce na śmierć.

[170] Stanisław Jankowski (1911–2002) – pseudonim „Agaton”, cichociemny, adiutant generała Bora-Komorowskiego, uczestnik powstania warszawskiego.

[171] Andrzej Zawadowski (1922–1943) – pseudonim „Gruby”, harcerz Szarych Szeregów. Zginął w akcji pod Czarnocinem.

[172] Maria Antonina Zawadowska (zm. 1961) – żona Witolda, skończyła studia w Oksfordzie, nauczała angielskiego, m.in. w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Batorego.

[173] Mowa o Tadeuszu Mirowskim (1919–1943), pseudonim „Oracz”.

[174] Mowa o Tadeuszu Zawadzki (1921–1943), pseudonim „Zośka”.

[175] Witold Antoni Zawadowski (1923–1941) – student medycyny, harcerz Szarych Szeregów.

[176] Janusz Zawadowski (1926–1944) – skrzypek, kapral podchorąży Armii Krajowej, uczestnik powstania warszawskiego. Zginął pod koniec września 1944 roku podczas walk na Żoliborzu.

[177] Jerzy Zawadowski (1928–2011) – lekarz medycyny, uczestnik powstania warszawskiego.

[178] Wacław Zawadowski (ur. 1931) – matematyk, lekarz, autor wielu podręczników szkolnych.

[179] Stefan Mozołowski (1892–1940) – lekarz neurolog, pułkownik Wojska Polskiego, ofiara zbrodni katyńskiej.

[180] George Golembiowski (1900–1943) – szwajcarski dyplomata i przedsiębiorca, współpracował z Armią Krajową.

[181] Janina Misiewicz (1893–1958) – ftyzjatra, pracowała w Szpitalu Wolskim. Ocalała z rzezi Woli podczas powstania warszawskiego, zorganizowała trzy polowe placówki medyczne. Po drugiej wojnie światowej była jedną z głównych organizatorek walki z gruźlicą w Polsce.

[182] Bronisław Pietraszewicz (1922–1944) – pseudonim „Lot”, członek Szarych Szeregów, dowódca plutonu „Agat”, pierwszy wykonawca wyroku na Kutscherze.

[183] Franz Kutschera (1904–1944) – dowódca SS i policji na dystrykt warszawski Generalnego Gubernatorstwa podczas niemieckiej okupacji, kat Warszawy, zbrodniarz nazistowski.

[184] Józef Piasecki (1894–1944) – chirurg, dyrektor Szpitala Wolskiego, zamordowany na początku powstania warszawskiego podczas rzezi Woli.

[185] Zofia Kossak-Szczucka (1889–1968) – polska pisarka, Sprawiedliwa wśród Narodów Świata.

[186] Tadeusz Kossak (1917–1944) – inżynier.

[187] Seweryna Szmagłewska (1916–1992) – pisarka, autorka m.in. książki *Dymy nad Birkenau*.

[188] Wojciech Kossak (1856–1942) – jeden z najświetniejszych polskich malarzy batalistycznych.

[189] Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (1891–1945) – polska poetka i dramatopisarka, jedna z najświetniejszych postaci dwudziestolecia międzywojennego.

[190] Magdalena Samozwaniec (1894–1972) – polska pisarka satyryczna.

[191] Alina Przerwa-Tetmajer (1915–1996) – chirurg dziecięca, więźniarka obozu Auschwitz-Birkenau.

[192] Joanna Kunicka (1900–1943) – nauczycielka, jedna z więźniarek Oświęcimia.

- [193] Halina Skonieczna (1890–1960?) – obozowa pisarka, jedna z sanitariuszek.
- [194] Gra słów: nazwisko Wright czyta się tak samo jak słowo *right*, czyli „racja”.
- [195] Z angielskiego „niemal ma rację”.
- [196] Z angielskiego „zawsze się myli”.
- [197] Leon Strehl (1891–1960) – pseudonim „Feliks”, lekarz, uczestnik dwóch wojen oraz powstań wielkopolskiego, trzeciego śląskiego oraz warszawskiego, pułkownik Wojska Polskiego i Armii Krajowej.
- [198] Teofil Kucharski (1889–1955) – profesor medycyny, pułkownik Wojska Polskiego.
- [199] Grupa Bojowa „Krybar” – zgrupowanie Armii Krajowej walczące w powstaniu warszawskim na terenie Powiśla od 5 sierpnia do 6 września.
- [200] Heinrich Himmler (1900–1945) – jeden z głównych przywódców nazistowskich Niemiec, zbrodniarz wojenny. Aby uniknąć sądu, popełnił samobójstwo.
- [201] Heinz Reinefarth (1903–1979) – niemiecki wojskowy, odpowiedzialny za liczne zbrodnie wojenne popełnione przez wojska niemieckie w czasie tłumienia powstania warszawskiego. Po wojnie zachodnioniemiecki polityk. Nigdy nie poniósł kary za swoje zbrodnie.
- [202] Oskar Dirlewanger (1895–1945) – niemiecki zbrodniarz wojenny, znany z sadyzmu dowódca specjalnej jednostki karnej, odpowiedzialny za zbrodnie wojenne popełnione na terenie Polski, Białorusi i Słowacji. Zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach po aresztowaniu we francuskiej strefie okupacyjnej.
- [203] Janusz Zeyland (1897–1944) – pediatra, ftyzjatra. Zginął po wkroczeniu Niemców do Szpitala Wolskiego.
- [204] Kazimierz Ciecierski (1907–1944) – kapelan. Zginął po wkroczeniu Niemców do Szpitala Wolskiego.
- [205] Karol Jan Ziemski (1895–1974) – pułkownik, kierował obroną Starego Miasta podczas powstania warszawskiego.
- [206] Zofia Helbrecht-Kowalska (1904–1944) – farmaceutka, jedna z wielu matek, które nie doczekały się powrotu swoich synów powstańców.
- [207] Jerzy Kowalski (1929–2019) – jeden z tysięcy nastolatków, którzy walczyli w powstaniu warszawskim.
- [208] Krzysztof Kamil Baczyński (1921–1944) – polski poeta, podchorąży Armii Krajowej, podharcistrz Szarych Szeregów, żołnierz batalionu „Parasol”, zginął

w powstaniu warszawskim.

[209] Jan Mazurkiewicz (1896–1988) – podpułkownik Armii Krajowej, dowódca Kedywu i zgrupowania „Radosław”.

[210] Konstanty Ildefons Gałczyński (1905–1953) – polski poeta, autor m.in. *Teatryku Zielona Gęś*.

[211] Józef Stalin, właściwie Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili (1878–1953) – radziecki rewolucjonista, dyktator, zbrodniarz komunistyczny odpowiedzialny za śmierć milionów ludzi.

[212] Stanisław Mikołajczyk (1901–1966) – polityk, przywódca Polskiego Stronnictwa Ludowego, w latach 1943–1944 premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie.

[213] Bronisław Stroński (1887–1952) – chirurg, żołnierz Armii Krajowej, pułkownik lekarz Wojska Polskiego.

[214] Jerzy Majkowski (1928–2019) – pseudonim „Czarny”, przeszedł cały szlak bojowy powstania warszawskiego, późniejszy profesor doktor habilitowany nauk medycznych, kierownik Kliniki Neurologii i Epileptologii w Warszawie, w której pod jego kierunkiem pracowała autorka.

[215] Günther Rohr (1893–1966) – jeden z niemieckich dowódców odpowiedzialny za stłumienie powstania warszawskiego.

[216] Claus Schenk Graf von Stauffenberg (1907–1944) – oficer niemiecki. Należał do grupy spiskowców, którzy zaplanowali i zrealizowali nieudany zamach na życie Hitlera 20 lipca 1944 roku w kwaterze Führera zwanej Wilczym Szańcem koło Kętrzyna na Mazurach.